



DAVID BRIN

PRZESTWÓR
NIEBA

FINAŁ CYKLU O WSPOMAGANIU

David Brin

PRZESTWÓR NIEBA

Heavens Reach

Przełożył
Michał Jakuszewski



Dla Terrena Jacoba Brina,
naszego nieznanego granic eksploratora
ostatniej części naszej trylogii

SPIS TREŚCI

Spis treści

LISTA POSTACI

CZEŚĆ PIERWSZA Pięć Galaktyk

Harry

Sara

Gillian

Harry

Lark

Dwer

Harry

Sara

Dziennik Alvina

Lark

Emerson

Rety

Lark

CZEŚĆ DRUGA Kategorie życia

Harry

Dziennik Alvina

Kaa

Dziennik Alvina

Lark

Dziennik Alvina

Gillian

Tsh't

Lark

Emerson

Gillian

Emerson

Gillian

Lark

Ewasx

Dziennik Alvina

CZEŚĆ TRZECIA Wielki Selektor

Harry

Sara

Harry

Dziennik Alvina

Harry

Ewasx

Harry

Część czwarta Kandydaci Do Transcendencji

Z dziennika Gillian Baskin

Harry

Sara

Lark

Dwer

Emerson

Harry

Kaa

Z dziennika Gillian Baskin

Lark

Sara

Dziennik Alvina

Lark

Harry

Gillian

Lark

Emerson

Gillian

X

Część piąta Czas zmian

Galaktyki

Przestrzeń E

Układ Sol

Hiperprzestrzeń

Ziemia

Jijo

Dom

Przeznaczenie

Posłowie

Podziękowania

Cywilizacja

Słownik terminów i gatunków Lista rozumnych gatunków

Słownik terminów

LISTA POSTACI

Akeakemai – delfin, członek załogi „Streakera”.

Alvin – człekonaśladowczy przydomek Hph-wayuo, hoońskiego młodzieńca z Wuphonu.

Asx – członek jijańskiej Rady Najwyższych Mędrców, reprezentujący w niej traekich. Patrz Ewasx.

Baskin, Gillian – agentka Rady Terrageńskiej, lekarka, pełniąca obowiązki kapitana delfiniego statku zwiadowczego „Streaker” od czasu katastrofalnych wydarzeń na Kithrupie.

Creideiki – delfin, były kapitan „Streakera”, ziemskiego statku z załogą złożoną z delfinów. Pozostał na Kithrupie razem z kilkoma innymi członkami załogi. Do domu mógł wrócić jedynie kosmicznym „skifem”.

D’Anite, Emerson – ludzki inżynier, przydzielony ongiś do załogi terrageńskiego statku kosmicznego „Streaker”.

Dor-hinuf – młoda hoonka. Córka Twaphu-anuph.

Dwer – syn papiernika Nela Koolhana, główny tropiciel Wspólnoty Sześciu Gatunków.

Ewasx – jophurski stos pierścieni, stworzony ze starego mędrca Asxa poprzez nałożenie nowego pierścienia władzy.

Gillian – patrz Baskin, Gillian.

Harry Harms – neoszympan, zwiadowca pracujący dla Instytutu Nawigacji.

Huck – człekonaśladowczy przydomek przyjaciółki Alvina, g’Keckiej sieroty wychowanej w Wuphonie.

Huphu – noorka Alvina.

Kaa – drugi pilot „Streakera”. Dawniej znany jako Kaa Szczęściarz.

Karkaett – samiec delfina, inżynier pokładowy ze „Streakera”.

Keepiru – były pierwszy pilot „Streakera”, porzucony na Kithrupie.

Kiwei Ha’aoulin – synthiańska handlarka.

Koniuszek Szczypiec – czerwony qheuen, przyjaciel Alvina, który wyrzeźbił z pnia drzewa garu batyskaf „Marzenie Wuphonu”.

Lark – brat Sary i Dwera, heretyk, młodszy mędrzec Wspólnoty.

Ling – biolog, jedna z Daników (ludzkich heretyków).

Makanee – samica delfina, chirurg ze „Streakera”. Pozostawiona na Jijo, aby zaopiekować się uwstecznionymi umysłowo członkami załogi ziemskiego gwiazdolotu.

Niss – pseudorozumny komputer, wypożyczony „Streakerowi” przez tymbrimskiego szpiega.

Orley, Thomas – przekształcony genetycznie agent Rady Terrageńskiej przydzielony do „Streakera”, porzucony na Kithrupie z grupą Creideikiego.

Peepoe – genetyk i pielęgniarka ze „Streakera”, porwana na Jijo.

Prastare Istoty – ogólna nazwa „emerytowanych” gatunków z Fraktalnego Świata.

Prity – neoszympanśca, służąca Sary, obdarzona zdolnościami do matematycznego obrazowania.

Rann – dowódca Daników.

Rety – ludzka przedterminowa osadniczka, uciekiniarka z bandy zdiczałych ludzi, którzy założyli kolonię wśród Szarych Wzgórz na Jijo.

Ro-kenn – rotheński władca.

Sara – córka papiernika Nela Koolhana, siostra Dwera oraz Larka, matematyk i językoznawca.

Skarpetka – dziki noor, któremu imię nadał Dwer Koolhan.

Suessi, Hannes – inżynier ze „Streakera”, cyborg zmodyfikowany przez Prastare Istoty.

Twaphu-anuph – hooński urzędnik celny z Bazy Kazzkark.

Tsh't – samica delfina, ongiś czwarta w hierarchii oficerów „Streakera”, obecnie dzieląca dowództwo z Gillian Baskin.

Tyug – traECKI alchemik z Kuźni Mount Guenn, nowy członek załogi „Streakera”.

Uriel – uryjska mistrzyni kowalska z Kuźni Mount Guenn.

Ur-ronn – uryjska przyjaciółka Alvina. Uczestniczka ekspedycji „Marzenia Wuphonu”. Siostrzenica Uriel.

Wer'Q'quinn – szef Harry'ego z Instytutu Nawigacji.

yee – uryjski samiec, który po wyrzuceniu z torby przez dawną partnerkę „poślubił”

przedterminową osadniczkę Rety.

CZEŚĆ PIERWSZA PIĘĆ GALAKTYK

JAKIE godła zdobią piękne dzioby naszych szybkich statków?

Ile spiral wiruje bez końca na rufie każdej potężnej jednostki, symbolizując łączące nas więzi? Ile jest złączy, składających się na naszą unię?

JEDNA spirala symbolizuje pozostawione odlegiem światy, na których powoli warzy się, naciąga, dojrzewa nowe życie, zaczynające swą długą, trudną wspinaczkę.

Z owej płodności wylaniają się nowe gatunki, dojrzałe do Wspomagania.

DWIE reprezentują kulturę gwiazdnych wędrowców, mknących w naszych szybkich statkach, najpierw jako podopieczni, a potem jako opiekunowie, z wigorem zajmujących się sprawami, które interesują młodych: handlem, wojną i debatami...

Posuwamy się wciąż w górę, aż usłyszymy zew wabiących pływów.

TRZY przedstawiają Prastare Istoty, pogodne i pełne gracji, które wyrzekają się gwiazdolotów na rzecz życia poświęconego kontemplacji. Zmęczone szalonym pędem, odgrodziły się od niego, aby się doskonalić.

Przygotowuję się na spotkanie z Wielkim Selektorem.

CZTERY opisują Wielkich Transcendentów, zbyt majestatycznych, byśmy mogli ich postrzegać. Ale oni istnieją!

I tworzą plany obejmujące wszystkie poziomy przestrzeni oraz wszystkie czasy.

PIĘĆ to galaktyki – ogromne spirale jasnego światła – nasze wyspy w sterylnym kosmosie, otoczone enigmatycznym milczeniem. Połączone ze sobą na wieki wirują bez końca, dając schronienie wszystkim licznym kategoriom życia.

A przynajmniej tak nas zapewniano.

HARRY

Alarmy rozbrzmiewają najrozmaitszymi melodiami.

Niektóre domagają się uwagi przenikliwym wrzaskiem, budząc cię z bliskiego śmierci spoczynku. Inne wypełniają twoje żyły adrenaliną. Na pokładzie każdego statku kosmicznego znajdują się syreny i sygnały ostrzegające przed zderzeniem, wyciekami powietrza do próżni oraz innymi śmiertelnymi zagrożeniami.

Alarm dręczący Harry'ego Harmsa miał inny charakter. Irytujący zgiełk drapał lekko jego nerwy.

– Nie ma powodu się śpieszyć – zdawał się szeptać cichy brzęczyk. – Mogę zaczekać. Ale nawet nie próbuj znowu zasnąć.

Harry przetoczył się na bok i rozchylił zaspane powieki, spoglądając na konsolę sąsiadującą z jego poduszką. Przywoływały go świecące, pełne znaczeń symbole, lecz fragmenty jego mózgu odpowiedzialne za czynność czytania nie były bezbłędnie zaprojektowane. Potrzebowały trochę czasu, by się rozgrzać.

– Um... – komentował. – He?

Senność nie chciała go opuścić. Nadal był wyczerpany po kolejnej długiej, samotnej wachcie. Ile dur minęło, odkąd zwałił się na koję, przysięgając, że poda się do dymisji, gdy tylko ten lot dobiegnie końca?

Sen przybył szybko, ale nie był spokojny. Tutaj, w przestrzeni E, Harry'emu zawsze coś się śniło.

W gruncie rzeczy wchodziło to w zakres jego obowiązków.

W stanie snu paradoksalnego Harry często wracał na stopy Horsta, którego przesłonięty pyłem horyzont był nieodłącznym tłem jego dzieciństwa. To był nieszczęsny świat. Na jego niebie majaczyły ciemne, złowrogie chmury. Choć rozświetlały je błyskawice, pilnie strzegły swej wilgoci, niewiele oddając wyschniętej ziemi. Gdy Harry budził się po takich wizjach, z reguły miał sucho w ustach i rozpaczliwie pragnął napić się wody.

W innych snach występowała Ziemia – hałaśliwa planeta-miasto, pełna wysokich ludzi. Jej wieżowce i bujna zieleń wypaliły się w jego pamięci podczas jedynej krótkiej wizyty, jaką złożył tam dawno temu, w innym życiu.

Były też koszmary o statkach – potężnych okrętach wojennych i ogromnych jak księżyce arkach inwazyjnych – lśniących w świetle gwiazd albo spowitych mroczną luną swych straszliwych pól. O podobnych do widm fregatach, bardziej niesamowitych i przerażających niż w rzeczywistości.

To były te bardziej normalne wizje zakradające się do jego umysłu, gdy tylko pojawiły się luki między znacznie dziwniejszymi zjawami. Najczęściej nocne myśli Harry'ego wypełniały wirujące, oszalamiające allofory, kłębiące się i mrużące w osobliwej półlogice przestrzeni E. Nawet jego osłonięta kabina nie była w pełni bezpieczna przed witkami antyrzeczywistości, które przenikały przez grodzie i wdierały się w jego sen. Nic dziwnego, że obudził się zdezorientowany i wstrząśnięty irytującym sygnałem.

Harry gapił się na świetliste litery. Każda z nich wiła się jak jakiś żywy, oszalały hieroglif, gestykulujący w ideograficznej składni języka galaktycznego numer siedem. Skupił się i przetłumaczył wiadomość na anglic, w którym myślał.

– Świetnie – mruknął z ironią.

Najwyraźniej jego patrolowy statek znowu utknął na mieliźnie.

– Po prostu rewelacja.

Brzęczyk zwiększył tempo. Harry wylazł z łóżka, wylądował bosymi stopami na zimnym pokładzie i zadrzał.

– I pomyśleć... że powiedzieli mi, że mam talent do tej roboty.

Innymi słowy, trzeba było do niej mieć przynajmniej lekkiego świra.

Otrząsnął się z letargu i wdrapał po drabinie na platformę obserwacyjną położoną tuż nad jego kabiną. Sześciokątne pomieszczenie miało dziesięć metrów średnicy, a w jej środku znajdował się pulpit operatora. Sięgając do wyłącznika alarmu, Harry jakimś cudem zdołał nie uruchomić żadnej broni ani nie wypuścić wypełniającej statek atmosfery do przestrzeni E, nim znalazł właściwy przycisk. Wkurzający dźwięk nagle umilkł.

Ach... – westchnął szympanś i omal znowu nie zasnął, stojąc za wyściełanym fotelem pilota.

Ale z drugiej strony... gdyby zasnął, mogłyby wrócić sny.

Nigdy nie rozumiałem, o co chodzi w *Hamlecie*, dopóki mnie tu nie przydzielili. Teraz myślę sobie, że Szekspir na pewno ujrzał przestrzeń E, zanim napisał „być albo nie być”.

„Może śnić...”

Ehe, staruszek Willie na pewno wiedział, że są rzeczy gorsze od śmierci.

Harry podrapał się po brzuchu, spoglądając na tablicę stanu. Nie zapaliło się ani jedno czerwone światło. Stacja sprawiała wrażenie w pełni funkcjonalnej. Nie zarejestrowano poważniejszych przecieków rzeczywistości. Podszedł z westchnieniem do fotela i usiadł na nim.

– Tryb monitorowania. Raport o stanie stacji.

Holoekran włączył się, ukazując niebieskie bezszeryfowe M, unoszące się w przestrzeni. Wirująca powoli litera emitowała melodyjny głos.

– *Tryb monitorowania. Integralność stacji jest minimalna. Odebranie alarmu potwierdził nadzorca stacji, Harry Harms, o godzinie 4:48:52 przybliżonego wewnętrznego czasu subiektywnego.*

– Ja jestem Harry Harms! Czemu nie powiesz mi czegoś, czego jeszcze nie wiem? Na przykład, co powodowało alarm, ty kosmata imitacja tupeci... ach... ach...

Kichnięcie przerwało przekleństwa Harry’ego. Nadzorca otarł oczy grzbietem kudłatej dłoni.

– *Alarm zarejestrował przerwę w naszym patrolowaniu hiperprzestrzeni poziomu E – kontynuowało ze spokojem urządzenie. – Stacja najwyraźniej ugrzęzła w obszarze anomalii.*

– Chcesz powiedzieć, że wpadliśmy na rafę. Tyle to sam wiem. Ale jakiego rodzaju... – wymamrotał. – Och, mniejsza z tym. Sam sprawdzę.

Powlókł się do zestawu pionowych żaluzji, jednego z sześciu okalających sześciokątne pomieszczenie, i wsunął palec między dwie deszczułki, tworząc wąską szparę. Po chwili wahania przysunął oko do szczeliny i wyrzwał na zewnątrz.

Stacja najwyraźniej zachowała standardowy kształt. Dobre i to. Dzięki Ifni nie przypominała wieloryba, meduzy ani bezkształtnego gluta. To kontinuum niekiedy wpływało na fizyczne obiekty w makabrycznie dziwaczny, a nawet śmiercionośny sposób.

Tym razem sterownia nadal siedziała niczym szklana kopuła na szczycie białej owalnej bryły, zapewniając widok we wszystkich kierunkach na ogromne metaforyczne królestwo – domenę, która była niepewna i niebezpieczna, lecz rzadko bywała monotonna.

W oddali kołysały się czarne, wyszczerbione turnie przypominające hebanowe góry lodowe, przecinające majestatycznie coś, co wyglądało jak bezkresne morze fioletowej trawy. „Niebo” miało czerwono-niebieski odcień, widywany tylko w przestrzeni E. Były w nim dziury.

Jak dotąd wszystko w porządku.

Harry rozsunął deszczułki nieco szerzej, by przyjrzeć się bliższemu otoczeniu. Zamrugął z zaskoczenia. Stacja spoczywała na błyszczącej śliskiej powierzchni brązowej barwy. Teren wokół niej, w promieniu około kilometra, pokrywała gruba warstwa olbrzymich żółtych rozgwiazd!

Tak przynajmniej wyglądało to na pierwszy rzut oka. Harry podbiegł do drugiej zasłony i znowu wyjrzał na zewnątrz. Tu również leżały „rozwiazdy”, rozrzucone bezładnie, ale wystarczająco liczne, by trudno było znaleźć między nimi przejście.

– Niech to szlag.

Wiedział z doświadczenia, że próby przelecenia nad tymi paskudztwami na niewiele się zdadzą. Jeśli reprezentowały dwuwymiarowe przeszkody, trzeba je było sforsować dwuwymiarową drogą. Tak właśnie funkcjonowała alloforyczna logika w tej strefie przestrzeni E.

Harry wrócił do pulpitu operatora i nacisnął guzik. Wszystkie żaluzje otworzyły się jednocześnie, odsłaniając panoramiczny widok. W oddali góry i fioletowa trawa. Bliżej śliska brązowa powierzchnia.

Stację rzeczywiście ze wszystkich stron otaczały żółte rozgwiazdy. Były wszędzie.

– Fuj.

Zadrzał. Większość dotkniętych żółtaczka potworów miała po sześć ramion, ale niekiedy widywało się pięć albo siedem. Nie widział, aby się poruszały. To przynajmniej sprawiło mu ulgę. Harry nienawidził ruchomych alloforów.

– Tryb pilotażu! – rozkazał.

Z cichym trzaskiem bezszeryfowe M ustąpiło miejsca żwawemu *p* napisanemu kursywą.

– *Aj, aj, o osobo-dowódco. Dokąd teraz, Henry?*

– Nazywam się Harry – poskarżył się. Dziarski ton, z jakim przemawiał tryb pilotażu, w anglicu mógł się wydawać radosny i przyjazny, ale w siódmym galaktycznym brzmiał po prostu głupio. Jediną dostępną alternatywą był jednak chip głosowy zaprogramowany w złożonym z gwizdów i mlasków drugim galaktycznym. I to w dialekcie Gubru. Harry nie był jeszcze tak zdesperowany, by uciec się do tego.

– Przygotuj się do przesunięcia nas po, postrzeganej jako płaska, trajektorii pod kątem dwa razy po czterdzieści stopni, zaczynając od statku – polecił programowi. – Maksymalnie powoli.

– *Jak sobie życzysz, rozumny szefie. Rozpoczynam adaptację parametrów styku.*

Harry wrócił do okna, by obserwować, jak stacji wyrastają cztery ogromne koła wyposażone w wielkie balonowe opony o szerokich bieżnikach. Wkrótce zaczęły się obracać. Przez grube kryształowe szyby przebił się piskliwy dźwięk, jakby ktoś tarł dłonią o namydlony blat stołu.

Zgodnie z obawami Harry'ego opony nie mogły znaleźć punktu zaczepienia na śliskiej brązowej powierzchni. Mimo to powstrzymał się przed nakazaniem zmiany wybranej przez pilota metody. Lepiej najpierw zobaczyć, co się stanie.

Stacja rozpędzała się powoli. Zbliżała się do pierwszej żółtej rozgwiazdy.

Umysł Harry'ego wypełniło zwątpienie.

– Może powinienem najpierw sprawdzić, czy gdzieś nie zapisano takiego obrazu.

W dawnych – pełnych idealizmu i nauki z taśm – czasach, gdy przyjęto go jako pierwszego ziemskiego ochotnika do wydziału zwiadu Instytutu Nawigacji, sprawdzał zapisy za każdym razem, gdy przestrzeń E zaskoczyła go nowymi dziwacznymi symbolami. W końcu galaktyczna cywilizacja tlenodysznych gatunków badała, eksplorowała i katalogowała to dziwaczne continuum od pół miliarda lat. Ilość informacji zgromadzonych tylko w jego maleńkiej Bibliotece pokładowej przerastała sumę wiedzy ludzkiej z czasów poprzedzających kontakt z nieziemcami.

To był imponujący skarbiec... ale okazało się, że jest niemal całkowicie bezużyteczny. Może po prostu Harry nie radził sobie za dobrze z negocjacjami z referencyjną osobowością Biblioteki. A może problemem było jego ziemskie, małpie pochodzenie. Tak czy inaczej, wkrótce doszedł do wniosku, że podczas misji w przestrzeni E musi polegać na własnych instynktach.

Niestety, to podejście miało jedną wadę.

Jeśli oberwiesz po łbie, możesz winić tylko siebie.

Harry zauważył, że się garbi. Wyprostował się i splótł dłonie, by powstrzymać się przed drapaniem. Nerwowa energia musiała jednak znaleźć jakieś ujście, zaczął się więc pociągać za kciuki. Jeden znajomy Tymbrimczyk powiedział mu kiedyś, że wielu przedstawicieli gatunku Harry'ego ulega temu nawykowi. Być może był to efekt długiego i trudnego procesu Wspomagania.

Przednie opony dotarły do pierwszej rozgwiezdy. Nie sposób było ich ominąć. Stacja musiała podjąć próbę przejechania po nich.

W chwili kontaktu Harry wstrzymał oddech. Nic się jednak nie wydarzyło. Przeszkoda leżała bez ruchu – sześć długich, płaskich pasów żółtej substancji w brązowe cętki, wyrastających z guzkowatej bryły umieszczonej pośrodku. Pierwsza para opon pośliznęła się i stacja wjechała na żółty pas, pchana przez tylne koła.

Nagle przechyliła się lekko. Z piersi Harry'ego wyrwał się niespokojny pomruk. Zwiadowcy coś to przypominało. Być może „rozgwiezdy” nie były najlepszą analogią. Niemniej obiekty wydawały się znajome.

Przechył stawał się coraz większy. Od strony tylnych kół dobiegał niepokojący wizg. Potem one również wjechały na żółtą powierzchnię.

Nagle Harry ją poznał. Przeszył go szok.

– Nie! – krzyknął. – Wstecz! To skór...

Było już za późno. Tylne opony jęczały przeraźliwie, gdy śliskie żółte pasy posypały się na wszystkie strony. Platforma nagle utraciła przyczepność. Harry stracił równowagę, uderzył w sufit, po czym osunął się z głośnym krzykiem pod przeciwległą ścianę. Platforma zwiadowcza toczyła się, ślizgała i znowu toczyła... aż wreszcie runęła na ziemię z głuchym, wnikającym aż do kości łoskotem. Harry trzymał się grodzi, zaciskając palce u nóg na poręczy, aż wreszcie wstrząsy ustały.

– Och... moja głowa... – jęknął, wstając.

Dobrze chociaż, że stacja zatrzymała się właściwą stroną ku górze. Zgarbiony Harry powlókł się do pulpitu operatora i sprawdził jej stan. Dzięki Ifni, uszkodzenia nie były zbyt poważne. Nie ulegało jednak wątpliwości, że zbyt długo zwlekał ze sprzątaniem, ponieważ kłęby kurzu pokrywały jego futro od stóp do głów. Strzepnął je z siebie, wypełniając powietrze tumanami kurzu i prowokując gwałtowny atak kichania.

Gdy tylko doszło do zaburzeń, żaluzje zasunęły się automatycznie, by ochronić oczy operatora przed potencjalnie niebezpiecznymi alloforami.

– Otwórz żaluzje! – rozkazał naburmuszonym tonem. Być może gwałtowny wstrząs spowodował miejscowe przesunięcie fazowe i wszystkie nieprzyjemne przeszkody zniknęły. Podobne rzeczy czasem się zdarzały.

To by było za dobrze – pomyślał, gdy żaluzje skryły się wewnątrz słupów dzielących od siebie wielkie okna. W scenerii na zewnątrz nie zaszły dostrzegalne zmiany. Czerwonawoniebieskie niebo przypominające ser szwajcarski nadal unosiło się nad pampasami barwy lilaróż, czarne góry w oddali wciąż kołysały się w budzącym niesmak rytmie, a stateczek zwiadowczy, jak poprzednio, był uwięziony w śliskim płaskowyzu, otoczony ze wszystkich stron żółtymi obiektami o wielu ramionach.

– Skórki od bananów – mruknął Harry. – Cholerne skórki od bananów.

To był jeden z powodów, dla których załogi takich stacji składały się z tylko jednego obserwatora... allofory stawały się tym dziwniejsze, im więcej umysłów postrzegło je jednocześnie. Widziane przez niego „obiekty” były obrazami nałożonymi przez jego umysł na rzeczywistość, której żaden żyjący mózg nie był w stanie łatwo zgłębić. Rzeczywistość przekształcająca się i ulegająca mutacjom pod wpływem jego myśli oraz spostrzeżeń.

W teorii brzmiało to pięknie. Powinien się już przyzwyczaić do takich rzeczy. Najbardziej jednak niepokoił Harry’ego fakt, że bananowe allofory miały absurdalnie osobisty charakter. Jak wszyscy jego współplemieńcy nie cierpiał stereotypów.

Podrapał się z westchnieniem po boku.

– Czy wszystkie systemy są stabilne?

– *Wszystko stabilne, brutalny dowódco Haroldzie* – odpowiedział tryb pilotażu. – *Chwilowo jesteśmy uwięzieni, ale wydaje się, że nic nam nie grozi.*

Harry przyjrzał się rozległej otwartej przestrzeni otaczającej płaskowyż. Widoczność była znakomita. Zwłaszcza dziury w niebie rysowały się bardzo wyraźnie i nic ich nie zasłaniało. Nasunął mu się pewien pomysł.

– Posłuchaj, czy koniecznie musimy się stąd ruszać już teraz? Możemy obserwować przydzielone nam trasy tranzytowe z tego punktu aż do chwili, gdy wyznaczony czas naszej misji dobiegnie końca, nie?

– *To słuszne stwierdzenie. W obecnej chwili żaden nielegalny tranzyt nie umknie naszej uwagi.*

– Hmm. W takim razie... – Ziewnął. – W takim razie chyba znowu walnę się spać! Mam wrażenie, że będę potrzebował całej swej inteligencji, żeby się z tego wykaraskać.

– *Proszę bardzo. Dobranoc, pracodawco-obserwatorze Harms. Życzę miłych snów.*

– Marne szanse – burknął w anglicu, schodząc z pokładu obserwatora. – I zasuń te skubane żaluzje! Czy muszę sam myśleć o wszystkim? Nie odpowiadaj na to pytanie! To tylko... mniejsza z tym.

Nawet zasunięte żaluzje nie zapobiegały wszystkim przeciekom. Migotliwe archetypy przeciskały się między deszczułkami, jakby koniecznie chciały się wkraść do jego umysłu w fazie snu paradoksalnego i karmić się marzeniami sennymi jak małe pasożyty.

Nic nie można było na to poradzić. Gdy Harry dostał awans i po raz pierwszy wysłano go do przestrzeni E, miejscowy szef patroli Instytutu Nawigacji wyjaśnił mu, że podatność na alloforyczne obrazy jest w tej pracy niezbędnym wymogiem. Wymachujący szczupłą ręką o wielu stawach urzędnik Instytutu wyznał w szóstym galaktycznym z nahallijskim akcentem, że jest zaskoczony kwalifikacjami Harry’ego.

– Sceptyczni byliśmy, gdy po raz pierwszy nam powiedziano, że twój gatunek może posiadać cechy użyteczne dla nas.

– Rozwianie naszych wątpliwości, oto co od owego czasu zdołałeś osiągnąć, obserwatorze Harms.

– Pełny status obecnie ci przyznajemy. Jako pierwszemu z twego gatunku przypada ci ten zaszczyt.

Harry rzucił się z westchnieniem pod kołdrę. Kusila go słodka głupota uzalania się nad sobą.

Ładny mi zaszczyt! – pomyślał i prychnął z niedowierzaniem.

Szczerze mówiąc, nie mógł się jednak uskarżać. Ostrzegano go. Co więcej, to nie był Horst. Przynajmniej udało mu się uciec od suchych, monottonnych pustkowi.

Tak czy inaczej, tylko szaleńcy mogli przez dłuższy czas ulegać złudzeniu, że kosmos

zaprojektowano z myślą o ich wygodzie.

Istniało mnóstwo sprzecznych opowieści na temat tego, kto właściwie stworzył przed miliardami lat projekt tego szalonego wszechświata. Jednakże zanim jeszcze Harry pomyślał o poświęceniu życia na pracę dla Instytutu – czy choćby usłyszał o przestrzeni E – doszedł do pewnego wniosku dotyczącego metateologii.

Bez względu na całą swą moc i chwałę Stwórca nie mógł być zbyt rozsądną osobą.

Z pewnością nie tak rozsądną jak neoszympanasy.

SARA

Istnieje pewne słowo-glif na określenie punktu, w którym trzy stany materii stykają się ze sobą – dwa, które są płynne, omywają trzeci, twardy jak koral.

W takim miejscu niekiedy tworzy się coś w rodzaju piany. Zwodniczej i niebezpiecznej, ubijanej przez pływy losu.

Nikt nie zagłębia się w nią z własnej woli.

Czasem jednak siła zwana desperacją zmusza ostrożnych żeglarzy do wyznaczenia kursu na pełne raf mielizny.

Przez zewnętrzne warstwy atmosfery gigantycznej gwiazdy mknie smukła sylwetka. Segmentowany jak gąsienica, pełen podobnych do szponów wyrosli wgryzających się w czasoprzestrzeń, statek brnie nieustępliwie pod prąd straszliwej wichury.

Rozrzedzone płomienie muskają pełen blizn kadłub ze starożytnego cerametalu, dodając kolejne warstwy do niezwykłej powłoki sadzy, która go pokrywa. Witki rozżarzonej plazmy próbują się przedostać do środka, lecz słabnące pola (jak dotąd) stają im na drodze.

Ale z czasem żar się przebije.

W połowie długości kadłuba obraca się wąskie koło, przypominające ślubną obrączkę drżącą nerwowo na palcu. Przed oczami obserwatora przesuwają się szeregi okien. Za większością z nich nie palą się światła i w szybach błyszczy tylko odbity blask gwiazdy.

Nagle jednak pojawia się prostokąt lśniący jaskrawymi, sztucznymi kolorami.

Szyba umożliwi patrzenie w obu kierunkach. Na wszechświat wewnątrz i na ten na zewnątrz.

Kontemplując straszliwy wir, Sara myślała na głos.

– Moi zbrodniczy przodkowie po drodze na Jijo przeprowadzili skradacz przez to samo piekło... ich ślady ukrył oddech Wielkiej Izmunuti.

Zastanawiała się nad odległymi zaledwie o szerokość dłoni siłami, głaszcząc koniuszkami palców kryształową powierzchnię, uniemożliwiającą gwiazdnemu ogniowi sforsowanie tej wąskiej przestrzeni. Jedną część jej jaźni – ta wychowana na książkach i nauczona matematyki – potrafiła pojąć fizykę gwiazdy o promieniu większym niż promień orbity jej rodzinnego świata. Czerwony olbrzym w ostatniej, ospałej fazie swego rozwoju wysyłał w czarną pustkę wyprażone w nuklearnym ogniu atomy.

Abstrakcyjna wiedza miała swoje zalety, ale po plecach Sary przebiegał przesądny dreszcz. Dorastała jako zdziczała przedterminowa osadniczka na barbarzyńskim świecie. Ziemi gwiazdolot „Streaker” mógł być bezsilną ofiarą, desperacko uciekającą przed tytanicznym łowcą wielokrotnie większym od niego, ale Sarze statek z delfinią załogą nadal wydawał się czymś cudownym i boskim. Masą przerastał wszystkie drewniane domostwa na stoku razem wzięte. Gdy mieszkała na drzewie, obok pojękującej papierni, nawet w najdzikszych snach nie wyobrażała sobie, że przeznaczenie zabierze ją w podróż przez atmosferę piekielnej gwiazdy.

Zwłaszcza Izmunuti. Już sama jej nazwa budziła lęk. Dla Sześciu Gatunków, kryjących się w przerażeniu na Jijo, reprezentowała ona zstępującą ścieżkę. Drzwi otwierające się tylko w jedną stronę, ku wygnaniu.

Przez dwa tysiące lat emigranci przekradali się obok olbrzymiej gwiazdy, by znaleźć schronienie na Jijo. Najpierw przybyli kołowi g’Kekowie, rozpaczliwie próbujący uniknąć

eksterminacji. Potem zjawili się traeki – łagodne stopy woskowych pierścieni, uciekające przed tyrańskimi kuzynami. Później przylecieli qheueni, hoonowie, ursy i ludzie. Wszyscy osiedlili się w wąskim królestwie między Górami Obrzeźnymi a morskim brzegiem. Każda kolejna fala przybyszów porzucała swe gwiazdoloty, komputery i inne zaawansowane technologicznie urządzenia, wysyłając wszystkie boskie maszyny w głębiny morza, na jijańskie śmietnisko zapomnienia. Sześć klanów gwiazdnych władców zerwało z przeszłością, zadowolilo się życiem wieśniaków i na zawsze wyrzekło się kosmosu.

Ale Cywilizacja Pięciu Galaktyk odkryła wreszcie wspólną wyrzutków.

Ów dzień musiał nadejść prędzej czy później. Tak mówiły Święte Zwoje. Żadna banda intruzów nie mogła się ukrywać bez końca. Nie w kosmosie, który katalogowano przez z górą miliard lat, a planety takie jak Jijo rutynowo ogłaszano za pozostawione odłogiem, aby miały szansę wrócić do zdrowia. Mimo to mędrcy Jijańskiej Wspólnoty mieli nadzieję, że otrzymają więcej czasu.

Czasu, który pozwoli gatunkom wygnańców się przygotować. Oczyszczyć. Osiągnąć odkupienie. Zapomnieć o galaktycznych okropnościach, które ich tu wygnały.

Zwoje przewidywały przybycie czcigodnych sędziów z Galaktycznego Instytutu Migracji. Mieli spaść z nieba i osądzić potomków intruzów. Okazało się jednak, że gwiazdoloty, które tego pamiętnego roku przebiły się przez spowijającą Jijo zasłonę, przywiozły kilka różnych rodzajów przestępców. Najpierw genowych rabusiów, potem chciwych morderców, a na koniec bandę uchodźców z Ziemi, jeszcze bardziej pechowych niż nieszczęśni przodkowie Sary.

Kiedyś marzyłam o podróży gwiazdolotem – pomyślała, wpatrując się w burzę plazmy szalejącą na zewnątrz. Ale żadna z tych wizji nie przewidywała, że na zawsze porzucę ojczysty świat, nauczycieli, ojca i braci i ucieknę z delfinami w płomienną noc, ścigana przez statek pełen rozjuszonych Jophurów.

Rybobopodobni kuzyni ludzi uciekający przez kosmos przed egotystycznymi kuzynami traekich.

Podobny zbieg okoliczności przyćmiewał wszystkie wytwory wyobraźni Sary.

Z rozmarzenia wyrwały ją angielskie słowa, wypowiedane przez głos, który zawsze wydawał się jej irytująco sardoniczny.

– Ukończyłem obliczenia hiperprzestrzennego tensora, o mędrzyni. Wygląda na to, że twoje wcześniejsze oceny były prawidłowe. Tajemnicza wiązka, wyemitowana jakiś czas temu na Jijo, nie tylko spowodowała zaburzenia w tym gwiazdnym olbrzymie, lecz również spowodowała zmianę stanu w starożytnym międzywymiarowym punkcie węzłowym, który leżał uśpiony zaledwie pół mictaara stąd.

Sara przetłumaczyła to sobie w myślach na miary, do których była przyzwyczajona, pochodzące z archaicznych tekstów będących podstawą jej wykształcenia.

Pół mictaara. W płaskiej przestrzeni to będzie mniej więcej jedna dwudziesta roku świetlnego.

Rzeczywiście, bardzo blisko.

– To znaczy, że wiązka reaktywowała dawny punkt transferowy. – Pokiwała głową. – Wiedziałam o tym.

– Twoja zdolność przewidywania byłaby bardziej imponująca, gdybym rozumiał stosowane przez ciebie metody. Ludzie słyną z talentu do zgadywania na chybił trafił.

Sara odwróciła wzrok od toczącego się na zewnątrz ognistego spektaklu. Pokój, który jej dali, był jak pałacowa komnata, przestronniejszy niż sala recepcyjna w qheueńskim kopcu. Wyposażono go w luksusowe sprzęty, o których czytała wyłącznie w książkach sprzed dwóch stuleci. Apartament należał ongiś do mężczyzny nazwiskiem Ignacio Metz, eksperta od genetycznego Wspomagania

delfinów. Zabito go podczas jednego z poprzednich straszliwych starć przeżytych przez „Streakera”. Był prawdziwym naukowcem, nie barbarzyńcą z akademickimi pretensjami, jak Sara.

A mimo to była tu teraz, pełna obaw i zastraszona... lecz na swój dziwny sposób dumna z tego, że jako pierwsza z Jijan wróciła po stuleciach w przestrzeń kosmiczną.

Powykręcana niebieska plama zbliżyła się do niej, unosząc się nad pulpitem. Ospaly falujący kształt wydawał się Sarze równie impertynencki jak płynący z niego głos.

– *Tak zwana matematyka ludzkich dzikusów raczej nie jest w stanie przewidzieć podobnie głębokich zaburzeń kontinuum. Dlaczego po prostu nie przyznasz, że to była intuicja?*

Sara przygryzła wargę. Nie zamierzała sprawiać Nissowi satysfakcji ostrą odpowiedzią.

– Pokaż mi ten tensor – rozkazała krótko. – I kartę wykresową... grafik... uwzględniający wszystkie trzy studnie grawitacyjne.

Skłębiona holograficzna istota zdołała wyrazić sarkazm uprzejmym ukłonem.

– *Jak sobie życzysz.*

Przed Sarą zapalił się sześcienny zbiornik holograficzny o bokach długości dwóch metrów, znacznie wyrazistszy od nieruchomych wykresów na papierze, do jakich była przyzwyczajona.

W centrum zbiornika kipiała świecąca masa symbolizująca Izmunuti, ognista kula emitująca światło barwy gniewu. Witki jej obrzękłej korony kołysały się niczym włosy Meduzy, sięgając poza granice normalnych układów planetarnych. Niedawno jednak pojawiły się nowe zakłócenia, które przyćmiły owe delikatne wypustki. W ciągu kilku ostatnich midur coś pobudziło gwiazdę do nienormalnego ataku gniewu. Gwałtowne cyklony zaczęły rodzić skupiska gęstej plazmy, przypominające tornada leje sięgające daleko w przestrzeń kosmiczną.

Będziemy musieli przelecieć przez najgorsze zaburzenia – pomyślała.

Wydawało się bardzo dziwne, że cała ta niezwykła aktywność mogła się zacząć od aktywnego psionicznie głazu z prymitywnej Jijo. Była przekonana, że to Święte Jajo w jakiś sposób sprowokowało tę burzę.

Zielony punkt, zagłębiający się już w strefie zaburzeń, mknął w stronę Izmunuti z szaloną prędkością, wycelowany w ukośne, prawie całkowicie otwarte przejście. Jego hiperboliczną orbitę symbolizowała linia zakrzywiająca się ostro wokół gwiazdy olbrzyma. W jednym kierunku ciągnęła się z powrotem na Jijo, gdzie przed dwoma wyczerpującymi dniami zaczęła się ucieczka „Streakera”, mknącego ku wolności pośród armady starożytnych wraków, odpadów z dna oceanu, reaktywowanych po to, aby mogły odbyć ostatni, pełen chwały lot.

Cele pozorne jeden po drugim przestawały działać, zostawały z tyłu albo wpadały w sprytnie pułapki zastawione przez nieprzyjaciela, aż wreszcie został tylko „Streaker”, mknący ku burzliwej Izmunuti, gdzie na chwilę znajdzie schronienie.

Jeśli zaś chodzi o drugi kierunek... odczyty instrumentów przesyłane przez załogę mostka pomogły Nissowi obliczyć prawdopodobne miejsce ich przeznaczenia. Najwyraźniej Gillian Baskin rozkazała zmienić kurs, wykorzystując efekt grawitacyjnej procy wokół Izmunuti, by skierować „Streakera” w stronę północnego wschodu galaktyki.

Sara przełknęła z wysiłkiem ślinę. Ten kurs był pierwotnie jej pomysłem. W miarę upływu czasu pewność ją jednak opuszczała.

– Nowy punkt transferowy nie sprawia wrażenia zbyt stabilnego – zauważyła, prześledzając planowaną trajektorię gwiazdolotu aż do lewego górnego rogu holojednostki, gdzie gęsta siatka zakrzywionych linii przebijała się przez z pozoru pusty obszar przestrzeni międzygwiazdnej.

W reakcji na jej spojrzenie holoeokran powiększył ten fragment obrazu. Szeregi świecących symboli opisywały lokalną strukturę hiperprzestrzeni.

Sara przewidziała ten cud. Przebudzenie czegoś starego. Czegoś cudownego. Przez krótką chwilę wydawało się, że widzą to, czego potrzebowali. Dar Świętego Jaja. Trasę ucieczki ze straszliwej pułapki.

Po przeanalizowaniu analitycznych profilów doszła do wniosku, że kosmos wcale nie okazał się aż tak przychylny.

– Są tam przewody łączące, prowadzące do innych lokalizacji czasoprzestrzennych, ale wydają się raczej... nieliczne.

– *No cóż, czego można się spodziewać po punkcie węzłowym, który istnieje dopiero od kilku godzin? Przed chwilą wyrwanym ze snu przez siłę, której żadne z nas nie rozumie?*

– *Większość szlaków transferowych prowadzących z tego węzła nadal nie przekracza szerokości Plancka – podjął Niss po chwili przerwy. – Niektóre obiecujące trasy chyba się ustalają i za kilka tygodni mogą się stać bezpieczne dla gwiazdolotów. Rzecz jasna, to nam w niczym nie pomoże.*

Sara pokiwała głową. Ścigający „Streakera” jophurski okręt liniowy z pewnością nie da im tak wiele czasu. Potężny „Polkjhy” porzucił już sznur pojmanych celów pozornych i skupił całą uwagę na prawdziwym „Streakerze”. Na ziemski gwiazdolot nieustannie kierowała się dalekozasięgowa wiązka skanująca.

– Co więc chce osiągnąć Gillian Baskin, zmierzając ku bezużytecznemu...

Zamrugła, gdy w jej klatce piersiowej zrodziło się zrozumienie.

– Ach, chyba że tak.

Odsunęła się od holoeckranu i obraz odzyskał normalne rozmiary. W przeciwnym rogu, odległym o dwa metry, zgrabne krzywe ukazywały przestrzenne regularności innego punktu transferowego. Był znajomy i przewidywalny. To przez niego od dwóch tysiącleci na Jijo docierały kolejne skradacze. Stanowił jedyną szybką drogę wyjścia z tego regionu Czwartej Galaktyki.

Ale nie zawsze. W czasach, gdy Jijo była ośrodkiem handlu i cywilizacji, zarządzanym przez potężnych Buyurów, statki przelatywały przez dwa oddzielne węzły hiperprzestrzenne. Jeden z nich zamknął się pół miliona lat temu, gdy Jijo pozostawiono odłogiem. Przypadkowo stało się to wkrótce po opuszczeniu planety przez Buyurów.

Sara i jej mentor, mędrzec Purofsky, podejrzewali jednak, że to nie był przypadek.

– *A więc zgadzamy się ze sobą – skwitował Niss. – Gillian Baskin najwyraźniej zamierza zaprowadzić Jophurów w samobójczą pułapkę.*

Sara przyjrzała się innym punktom wielkiego holoeckranu, wypatrując nieprzyjaciela. Żółte światełko symbolizujące łowców – jophurski okręt, którego załoga pragnęła doścignąć ziemski gwiazdolot i poznać jego tajemnice – dzieliło jeszcze od Izmunuti kilka gwiazdnych promieni. „Polkjhy” porzucił odpadowe statki, które miały odwrócić jego uwagę, i pędził teraz ku regularnemu punktowi transferowemu, przekonany, że odetnie „Streakerowi” jedyną drogę ucieczki.

Lecz nagłe pojawienie się drugiej bramy z pewnością skołowało wielkie pierścienie sokowe dowodzące potężnym okrętem. Żółta linia zakręcała raptownie, gdy „Polkjhy” gorączkowo próbował wytracić prędkość i udać się w pościg za „Streakerem”, umykającym przez płomienie Izmunuti ku nowym drzwiom w czasoprzestrzeni.

Drzwiom, które nie są gotowe do użytku – pomyślała Sara. Z pewnością Jophurzy dysponowali instrumentami zdolnymi odczytać pływy prawdopodobieństwa. Musieli zdawać sobie sprawę, że próba zanurkowania w nowo narodzony punkt transferowy byłaby śmiertelnie niebezpieczna.

Czy jednak dowódcy „Polkjhy” mogli sobie pozwolić na zlekceważenie tej możliwości? „Streaker” był mały i zwrotny, a do tego kierowały nim delfiny, zaliczane do najlepszych pilotów w

Pięciu Galaktykach.

A Ziemianie byli zdesperowani.

Jophurzy muszą przyjąć założenie, że wiemy o tym punkcie transferowym coś, czego oni nie wiedzą. Z ich punktu widzenia wygląda to tak, jakbyśmy powołali go do istnienia skinieniem dłoni. Albo płetwy. Jeśli w niego zanurkujemy, z pewnością będzie to znaczyło, że wiemy o przewodzie albo nici, która zaprowadzi nas w bezpieczne miejsce.

Muszą nas ścigać, bo inaczej „Streaker” umknie im na zawsze.

Sara pokiwała głową.

– Gillian i delfiny... chcą poświęcić życie dla Jijo.

Gęsto splełany hologram Nissa wykonał na znak potwierdzenia gest przypominający wzruszenie ramion.

– *To wygląda na najlepszą z wielu fatalnych opcji. Przypuśćmy, że zawrócimy i staniemy do walki? Jedyne prawdziwe rozstrzygnięciami byłyby nasza śmierć lub pojmanie, co doprowadziłoby do zguby jijańskiej cywilizacji. Poznawszy tajemnice „Streakera”, Jophurzy zameldowałyby o wszystkim rodzinnemu klanowi, a potem bez pośpiechu przygotowałyby systematyczny program dla Jijo. Zaczęłyby od eksterminacji wszystkich g’Keków. Potem obróciłyby planetę w swą prywatną kolonię hodowlaną, tworząc nowe typy ludzi, traekich i hoonów, stosownie do swych wypaczonych potrzeb.*

Zmuszając „Polkjhy” do podążenia za nami do nowego punktu transferowego, doktor Baskin spowoduje, że do Pięciu Galaktyk najprawdopodobniej nie dotrą żadne meldunki o waszych Sześciu Gatunkach. Twoi współplemieńcy będą mogli jeszcze przez pewien czas napawać się wzniosłą nędzą planetarnego bytowania, ścigając niejasną ideę odkupienia osiągniętego po niezliczonych taplających się w błocie pokoleniach.

To było bardzo typowe dla Nissa. Nawet szlachetny gest potrafił obrócić w powód do obelg. Sara potrząsnęła głową. Plan Gillian był szlachetny i tragiczny.

Oznaczał też, że godziny jej życia są policzone.

– *Cóż za marnotrawstwo* – dodał z westchnieniem Niss. – *Ten statek i jego załoga dokonali odkrycia epoki, a teraz wszystko może pójść na marne.*

Od chwili pośpiesznego odlotu z Jijo działo się tak wiele, że Sara nadal nie była pewna powodu tego całego zamieszania. Co właściwie zrobiła załoga „Streakera”, że wywołała tak wielki gniew i zawziętość niektórych wielkich potęg znanego wszechświata?

– *Wszystko zaczęło się w chwili, gdy kapitan Creideiki zabrał ten gwiazdolot w z pozoru mało obiecujące miejsce, poszukując reliktyw i anomalii, które umknęły uwadze Wielkiej Biblioteki – wyjaśniła sztuczna inteligencja. – To była płytka gromada kulista, pozbawiona planet i osobliwości. Creideiki nigdy nie zdradził, dlaczego wybrał akurat to miejsce. Niemniej jego intuicja okazała się trafna. „Streaker” odnalazł ogromną flotę wraków, dryfującą w majestatycznym milczeniu przez otwartą przestrzeń. Próbkami i holoobrazami zdobyte przez delfinię załogę zdawały się sugerować, że tajemnicza armada może przynieść odpowiedzi na najstarszą zagadkę naszej cywilizacji.*

Rzecz jasna, Instytuty Cywilizacji Pięciu Galaktyk udostępniłyby nasze odkrycia wszystkim tlenodysznyim formom życia. Słabemu i ubogiemu Ziemiemu Klanowi przypadłyby w udziale wielkie korzyści, podobnie jak moim twórcom, Tymbrimczykom. Ale wszystkie pozostałe gatunki i kultury również by skorzystały, poznając nowe fakty dotyczące pochodzenia naszej miliardolietniej kultury.

Niestety, kilka potężnych koalicji uznało pierwszy komunikat „Streakera” za spełnienie złowrogiego proroctwa. Uznały, że owa wiadomość zapowiada czas zmian i zaburzeń, w którym

decydującą przewagę zyska ten, kto zdoła zmonopolizować nasze odkrycie. Zamiast uroczystego powitania na wracającego z Płytkiej Gromady „Streakera” czekały floty wojenne, pragnące przechwycić nasze sekrety, nim zdążymy dotrzeć na neutralny grunt. Kilkakrotnie wpadaliśmy w pułapkę i udawało nam się uciec tylko dzięki temu, że hordy fanatyków walczyły zawzięcie między sobą o prawo pojmania nas.

Niestety, w obecnej sytuacji podobna szansa wydaje się mało prawdopodobna.

To było niedopowiedzenie. Jophurzy mogli swobodnie ścigać „Streakera”, wiedząc, że nikt im nie przeszkodzi. Dla reszty galaktycznej cywilizacji ten region był pusty i zakazany.

– Czy biedny Emerson został ranny w jednej z tych poprzednich kosmicznych bitew?

Sara martwiła się o przyjaciela, milczącego gwiazdnego podróżnika. Opatrzyła jego tajemnicze obrażenia w swym nadrzewnym domu, a potem wyruszyła z nim w epicką podróż przez Jijo, by zwrócić go towarzyszom z załogi.

– *Nie. Inżyniera D’Anite wzięli do niewoli członkowie Emerytowanej Kasty w miejscu, które zwiemy Fraktalnym Światem. Owo wydarzenie...*

Niebieska plama przestała wirować. Zawahała się z drzeniem na kilka sekund.

– *Oficer obserwacyjny melduje o wykryciu czegoś nowego!* – zawołał Niss. – *Zjawiska do tej pory maskowanego przez płomienie Izmunuti.*

Na holograficznym obrazie pojawiły się pasy. Pośród włókiem i skłębionych wyniosłości atmosfery Izmunuti rozbłysły roje pomarańczowych punkcików.

– Co to jest? – zapytała kobieta, pochylając się do przodu.

– *Skupione obiekty.*

Artefakty poruszające się własnym napędem.

Innymi słowy, gwiazdoloty.

Sara musiała dwukrotnie otworzyć i zamknąć usta, nim zdołała cokolwiek powiedzieć.

– Ifni, muszą ich być setki! Jak to możliwe, że nie zauważyliśmy ich przedtem?

– *Och, wielka mędrzyni, rzadko wysyła się wiązki skanujące do płonącej atmosfery czerwonego olbrzyma w poszukiwaniu statków kosmicznych – bronił się Niss. – Kierowaliśmy uwagę gdzie indziej. Poza tym, te statki włączyły grawitory dopiero przed paroma chwilami, używając sił grawitemporalnych, by uciec przed gwiazdnymi burzami, które nagle się pojawiły.*

Sara patrzyła na to w osłupieniu. W jej umyśle zawirowała nadzieja.

– Czy mogą nam pomóc?

Niss znowu przerwał na chwilę, sprawdzając dane instrumentów obserwacyjnych.

– *To bardzo wątpliwe, o mędrzyni. Nasze konflikty raczej ich nie obchodzą. Te istoty należą do innej kategorii piramidy życia, całkowicie odrębnej od naszej... aczkolwiek można je uznać za moich dalekich kuzynów.*

Zbita z tropu Sara potrząsnęła głową.

– To maszyny! – uświadomiła sobie po chwili.

Nawet upadli wyrzutkowie z Jijo potrafili wyrecytować listę Ośmiu Kategorii Rozumności. Tlenodyszne życie było tylko jedną z najbardziej ekstrawaganckich. Jijańskie święte zwoje zawierały między innymi mroczne wzmianki o sztucznych istotach, projektujących i budujących swych pobratymców gdzieś w głębokim kosmosie, ponieważ nie potrzebowały gruntu pod nogami ani powietrza do oddychania.

– *W rzeczy samej. Ich obecność z pewnością wiąże się ze sprawami, które nas nie dotyczą. Mechanoidy najprawdopodobniej zachowają ostrożność i będą unikały kontaktu z nami.*

Głos umilkł na chwilę.

– *Napływają nowe dane. Flotylla najwyraźniej ma trudności z niespodziewanymi burzami.*

Niektóre z mechanoidów mogą potrzebować pomocy bardziej niż my.

– Pokaż mi ten statek! – zażądała Sara, wskazując na jedną z pomarańczowych kropek.

Obraz zachwiał się i ruszył do przodu, korzystając z danych dostarczanych przez dalekozasięgowe instrumenty. Punkt widzenia Sary mknął ku wybranej przez nią drobinie, mijając wirujące włókna gwiazdnej materii. Na tle gniewnego gazu zaczęła się rysować sylwetka statku mechanoidów.

Obraz osiągnął maksymalne powiększenie. Pojawił się na nim zamazany trapezoidalny kształt, odbijający blask Izmunuti prawie jak lustro. Zarys stał się smuklejszy, gdy gwiazdolit mechanoidów zakręcił, umykając przed fontanną gorących jonów, wzbijającą się szybko ze wzburzonych stref konwekcyjnych Izmunuti. Program holoeckranu wziął poprawkę na perspektywę i pojawiły się szeregi cyfr podających prawdziwe wymiary gwiazdolotu. Był to kwadrat o bokach długości setek kilometrów i niemal niedostrzegalnej grubości.

Przestrzeń tuż pod maszynowym statkiem wypełniło coś w rodzaju zmarszczek. Choć Sarze brakowało doświadczenia, poznała charakterystyczne zniekształcające działanie pola grawitemporalnego. Nie wyglądało na zbyt silne, być może wystarczało do podróży międzyplanetarnych, ale nie do ucieczki przed zbliżającą się do statku zagładą. Mogła jedynie obserwować z bezsilnym współczuciem daremne wysiłki gwiazdolotu.

Pierwsza fala uderzeniowa rozerwała cieniutki obiekt na dwie części... a potem na mniejsze fragmenty, które szybko się rozpadały, przechodząc w rój jaskrawych, rozpryskujących się wstęg.

– *To nie jest jedyna ofiara. Spójrz, jaki los dopada kolejnych spóźnialskich.*

Obraz powrócił do poprzedniej skali. Na oczach kobiety kilka następnych pomarańczowych światełek padło ofiarą gęstej, poruszającej się coraz szybciej plazmy. Inne kontynuowały ucieczkę przed rozszalałym wirem.

– Kimkolwiek są, mam nadzieję, że im się uda – wyszeptała Sara.

Wydawało się jej bardzo dziwne, że gwiazdoloty maszyn okazały się mniej solidne niż „Streaker”, którego pola siłowe mogły wytrzymać pełne zanurzenie w chromosferze czerwonego olbrzyma przez kilka midur, bez względu na burzę.

Jeśli nie potrafią się oprzeć fali plazmy, nie mieliby szans w starciu z jophurską bronią.

Po krótkiej chwili nadziei rozczarowanie miało gorzki smak. Z tej strony nie mogli liczyć na ratunek.

Sara zauważyła, że w jej przeżyciach i przygodach z ostatniego roku występują pewne regularności. Wydarzenia porwały ją z zakurzonego gabinetu, spotkała obcych, brała udział w bitwach, jeździła na legendarnych koniach, dotarła w morskie głębiny, a na koniec przyłączyła się do szalonej ucieczki na pokładzie gwiazdolotu. Wszechświat uparcie odsłaniał przed nią cuda stojące na granicy jej pojmowania – gwiazdy olbrzymy, punkty transferowe, mówiące komputery, uniwersalne biblioteki... a teraz ujrzała na moment inną kategorię życia. Tajemniczy typ, całkowicie odrębny od ogromnej Cywilizacji Pięciu Galaktyk.

Podobne sprawy daleko wykraczały poza jej dawne życie zdziczałej intelektualistki z wiejskiego świata.

Niemniej wszystko wskazywało na to, że kosmos pozwoli jej podziwiać te wszystkie cuda tylko przez krótką chwilę.

Patrz sobie – mówił jej. Ale niczego nie dotkniesz.

Twój czas już się kończy.

Sara przyglądała się ze smutkiem pomarańczowym punkcikom umykającym desperacko przed tornadami gwiazdnego żaru. Wzbierająca burza doścignęła kolejną wlokącą się z tyłu grupę. Słabe światełka gwiazdolotów zgasły jak wrzucone do wody węgielki.

Gillian i delfiny są pewni, że wytrzymamy krótką podróż przez to piekło – pomyślała Sara. Widok znikających punkcików podważył jednak jej wiarę. W końcu czy maszyny nie powinny być bardziej wytrzymałe od żywych istot?

Chciała już zapytać o to Nissa, gdy nagle obraz znowu się zmienił. Izmunuti zamigotała, a po chwili Sara ujrzała coś nowego. Pod uciekającymi pomarańczowymi światełkami pojawiły się trzy iskrzące sylwetki, wylaniające się z pewną siebie gracją z płomieni gwiazdy. Zmierzając ku trasie „Streakera”, gorzały charakterystyczną barwą imperialnej purpury.

– A co to znowu? – zapytała kobieta. – Nowe mechanoidy?

– *Nie* – odpowiedział Niss tonem, w którym pobrzmiwało coś bliskiego bojaźni. – *Mam wrażenie, że to coś zupełnie innego. Sądzę, że to...* – Komputerowy hologram przekształcił się, wypuszczając z siebie wyszczerbione wypustki przypominające nerwowe sople. – *Sądzę, że to Zangowie.*

Po skórze Sary przebiegły ciarki. To była nazwa wywodząca się z budzących lęk legend. Na Jijo wymieniano ją tylko szeptem.

– Ale... skąd... co tu robią...?

Zanim zdążyła dokończyć pytanie, Niss ponownie przemówił.

– *Wybacz, że ci przerywam, Saro. Nasza pełniąca obowiązki kapitana doktor Gillian Baskin zwołała pilne zebranie rady statku, by przedyskutować niedawne wydarzenia. Jesteś na nie zaproszona. Czy chcesz, żebym cię jakoś usprawiedliwił?*

Sara już biegła ku wyjściu.

– Ani mi się waż! – zawołała, oglądając się przez ramię. Drzwi złożyły się, by ją przepuścić.

Korytarz zakrzywił się w górę i na oba boki niczym fragment udręczonej czasoprzestrzeni, w oddali przechodząc w pionowy. Na ten widok Sarze zawsze robiło się niedobrze. Mimo to tym razem pobięła.

GILLIAN

Z jakiegoś powodu burzliwa czerwona gwiazda przypomniła jej Wenus.

A to, rzecz jasna, prowadziło do myśli o Tomie.

Wszystko przypominało jej Toma. Choć minęły dwa lata, jego nieobecność pozostawała otwartą raną. Co noc Gillian odwracała się odruchowo, szukając jego ciepła. Za dnia zaś spodziewała się, że usłyszy jego silny głos, obiecujący pomoc w jej zmartwieniach. Wszystkie te cholerne decyzje.

Czyż nie tego spodziewamy się po bohaterach? Że zginą, by uratować świat?

Do tego właśnie służą – podpowiadał jej cichy wewnętrzny głos.

Tak – odpowiadała. – Ale świat istnieje dalej, prawda? I nadal trzeba go ratować.

Odkąd wszechświat rozdzielił ich na Kithrupie, Gillian powtarzała sobie, że Tom nie mógł zginąć.

Wiedziała bym o tym – myślała raz po raz, przekonując samą siebie siłą woli. – Wyczułabym to, choć dzielą nas galaktyki i megaparseki. Tom nadal gdzieś tam jest, podobnie jak Creideiki, Hikahi i wszyscy, których byliśmy zmuszeni zostawić.

Znajdzie jakiś sposób, aby wrócić bezpiecznie do domu... albo do mnie.

Ta pewność pomogła Gillian przetrwać pierwszy okropny rok ucieczki... ale kilka ostatnich miesięcy nieustannego kryzysu zniszczyło w końcu jej odporność.

Wtedy, nie zauważając, kiedy to się stało, zaczęła myśleć o Tomie w czasie przeszłym.

Kochał Wenus – pomyślała, obserwując gwiazdną burzę szalejącą na zewnątrz „Streakera”. Oczywiście, atmosfera Izmunuti świeciła jasno, podczas gdy na siostrzanym świecie Ziemi pod warstwą zawsze się utrzymujących chmur panował mrok. Niemniej oba miejsca łączyło wiele podobnych cech. Straszliwe gorąco, bezlitosne burze i brak wilgoci.

Te miejsca budziły skrajną nadzieję albo rozpacz.

Widziała Toma oczyma wyobraźni. Stał ubrany w skafander pod Szczytem Afrodyty i rozpościerał ręce, wskazując na nagie niziny. Błyskawice tańczyły wokół falangi tytanicznych struktur ciągnących się aż po wypaczony horyzont. Ogromne, mroczne lewiatany dopiero niedawno przystąpiły do prac nad przekształceniem Wenus. Przebudowywały piekło powoli, krok po kroku.

– Czyż to nie wspaniałe? – zapytał Tom. – To przedsięwzięcie dowodzi, że nasz gatunek jest zdolny do długoterminowego myślenia.

Nawet przy wykorzystaniu pożyczonej technologii Galaktów realizacja zadania zajmie czas dłuższy niż ten, który upłynął od wynalezienia przez ludzi pisma, czy nawet rolnictwa. Musi minąć dziesięć tysięcy lat, nim na spieczonych równinach pojawią się morza. To było śmiałe przedsięwzięcie dla ubogich dzikusów, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że saency i kloornapsy bukmacherzy dawali Ziemskiemu Klanowi bardzo niewielkie szanse na przetrwanie najbliższego stulecia albo dwóch.

– Musimy zademonstrować wszechświatowi, że wierzymy we własne siły – dodał Tom. – W przeciwnym razie któż w nas uwierzy?

Jego słowa brzmiały pięknie. Szlachetnie i wzniośle. O mało co udało by mu się przekonać Gillian.

Ale potem sytuacja się zmieniła.

Pół roku temu, gdy przerażona załoga „Streakera” znalazła chwilowy azyl na Fraktalnym Świecie, do Gillian dotarły pogłoski o Oblężeniu Ziemi, trwającym w odległej Drugiej Galaktyce. Najwyraźniej Saentowie przyjmowali już zakłady o wyginięcie ludzkości w ciągu lat albo jadur, nie

stuleci.

W świetle tej informacji projekt terraformowania Wenus tracił wszelkie znaczenie.

Lepiej by nam było, gdybyśmy zostali z Tomem farmerami. Albo nauczycielami. Albo gdybyśmy pomagali w zasiedleniu Calafii. Nie trzeba było słuchać Jacoba Demwy i Creideikiego. Ta misja przyniosła zgubę wszystkiemu, co się z nią zetknęło.

W tym także nieszczęsnym kolonistom z Jijo. Sześciu gatunkom wygnańców, które zasługiwały na szansę niezakłóconych poszukiwań swego niezwykłego przeznaczenia. „Streaker” ściągnął katastrofę na jijańskie plemiona.

Widziała tylko jeden sposób, by to naprawić.

Czy zdołamy zwabić Jophurów do nowego punktu transferowego? Kaa musi poprowadzić gwiazdolot po przekonującej trajektorii, jakby odkrył idealną nić, do której może się podłączyć. Cudowną ścieżkę wiodącą ku bezpieczeństwu. Jeśli zrobimy to jak trzeba, paskudne pierścienie sokowe będą musiały za nami podążyć! Nie damy im wyboru.

Ocalenie Jijo usprawiedliwiało tę opcję, ponieważ wszystko wskazywało na to, że nie ma możliwości bezpiecznego dostarczenia ładunku „Streakera” na Ziemię. Następny powód miał gryzący smak zemsty.

Przynajmniej zabierzemy wrogów ze sobą.

Niektórzy mówią, że zbliżająca się śmierć oczyszcza umysł, ale w przypadku Gillian tylko pobudziła żal.

Mam nadzieję, że Creideiki i Tom nie będą mną zbyt rozczarowani – pomyślała u drzwi sali konferencyjnej.

Zrobiłam, co mogłam.

Skład rady statku zmienił się od czasu, gdy Gillian z niechęcią przejęła pozycję kapitana. W szczęśliwszych czasach radzie przewodniczył Creideiki. U końca długiego stołu ostatnia z delfinich oficerów „Streakera”, porucznik Tsh't, biegle sterująca sześcionożnym wędrownikiem, wprowadziła urządzenie w głąb niszy, którą ongiś zajmował olbrzymi Takkata-Jim, nim zginął w pobliżu Kithrupa.

Tsh't przywitała ludzkiego głównego inżyniera. Hannesa Suessiego nie poznałaby nawet rodzona matka. Bardzo wiele części jego ciała zastąpiono cyborgicznymi elementami, a zamiast głowy miał srebrzystą kopułę. Większą część lśniącej powierzchni pokrywały teraz przedkontaktowe motocyklowe kalkomanie. Ta demonstracja braku szacunku zyskała Hannesowi sympatię załogi. Ktoś przynajmniej zachował poczucie humoru w ciągu lat nieustannego kryzysu.

Gillian boleśnie odczuwała brak jednej z członków rady, jej przyjaciółki i koleżanki po fachu. Makanee została na Jijo razem z kilkudziesięcioma innymi delfinami – tymi, które padły ofiarą gorączki uwsteczniania albo byłyby bezużyteczne podczas próby ucieczki. W praktyce delfiny założyły siódmą nielegalną kolonię na pozostawionym odłogiem świcie – kolejna tajemnica, dla której zachowania warto było poświęcić życie wszystkich przebywających na pokładzie osób.

Sekrety. Istnieją też inne zagadki, trudniejsze do zachowania.

Myśli Gillian przemknęły po znajdujących się w jej gabinecie obiektach. Niektóre były warte gwiazdowego skarbcza. Najmniejsze wzmianki o ich istnieniu wystarczyły, aby zachwiać cywilizacją Pięciu Galaktyk.

Najważniejszą z nich był trup, którego przewali Herbiem. Obce zwłoki, tak starożytne, że ich uśmiech mógł być pozostałością żartu opowiedzianego przed miliardem lat. Inne relikty były prawie tak samo prowokujące, czy może przekłete. Odkąd załoga „Streakera” zaczęła kolekcjonować niezrozumiałe dla siebie obiekty, za gwiazdolotem ciągle podążały kłopoty.

„Narzędzia Przeznaczenia”. Tak jedna z Prastarych Istot nazwała tajemniczy ładunek „Streakera” podczas ich wizyty na Fraktalnym Świecie.

Może to będzie najlepsze rozwiązanie. Wszystkie te uciążliwe skarby ulegną zmiążdżeniu do średnicy protonu, gdy tylko zanurkujemy do nowego punktu transferowego.

Przynajmniej będzie miała tę satysfakcję, że zobaczy, jak mina Herbiego w końcu się zmienia, w ostatniej chwili, gdy granice rzeczywistości zacisną się szybko wokół nich z dziesięciu wymiarów.

Holoobraz Izmunuti zajmował całą ścianę sali konferencyjnej. W przestworze wirujących chmur rozleglejszym niż orbita Ziemi zachodziły nieustanne zmiany. Niss przekazywał zebranim najświeższe wiadomości, mówiąc w siódmym galaktycznym z tymbrimskim akcentem.

– *Jophurski okręt liniowy porzucił już ostatnie cele pozorne, pozwalając, by unosiły się bezwładnie w przestrzeni. Uwolniony od spowalniającego go brzemienia „Polkjhy” stał się znacznie zwrotniejszy i skierował się ku nowemu punktowi transferowemu. Jophurzy pragną dotrzeć do niego przed „Streakerem”.*

– Czy może im się to udać? – zapytała w anglicu Gillian.

Hologram Nissa zawirował w zamyśleniu.

– *Wydaje się to mało prawdopodobne, chyba żeby użyli jakiegoś ryzykownego rodzaju napędu prawdopodobieństwa, co nie byłoby dla nich typowe. Zmarnowali mnóstwo czasu na lot w stronę starego punktu transferowego. Nagły manewr w atmosferze Izmunuti powinien pozwolić „Streakerowi” dotrzeć do celu przed nimi... choć nie wiem, czy nam to w czymkolwiek pomoże.*

Gillian zignorowała sarkazm maszyny. Większość załogi zdawała się popierać jej decyzję. Przy braku innych opcji śmierć łatwiej było zaakceptować, jeśli zabiorą nieprzyjaciela ze sobą.

Sytuacja na odcinku Jophurów sprawiała wrażenie stabilnej, Gillian zmieniła więc temat.

– A co możesz nam powiedzieć o pozostałych statkach?

– *O dwóch tajemniczych flotyllach, które niedawno wykryliśmy w atmosferze Izmunuti? Po konsultacji z archiwami taktycznymi doszedłem do wniosku, że z pewnością działały wspólnie. Nic innego nie mogłoby wyjaśnić ich wzajemnej bliskości podczas ucieczki przed niespodziewanymi burzami plazmy.*

– Mechanoidy i wodorodyszni współpracują ze sobą? To brzmi dziwnie – sprzeciwił się Hannes Suessi chwiejnym, chrapliwym głosem dobiegającym spod srebrzystej kopuły.

Wirująca plama wykonała gest przypominający skinienie głową.

– *W rzeczy samej. Różne kategorie życia rzadko się ze sobą kontaktują. Niemniej według naszej zdobywczej Jednostki Bibliotecznej czasem to się zdarza, zwłaszcza jeśli jakiś projekt o kluczowym znaczeniu wymaga talentów dwóch lub więcej kategorii.*

Najnowszy członek rady zagwizdał, aby przyciągnąć uwagę. Kaa, pierwszy pilot, nie przybył tu w wędrowniku, gdyż w każdej chwili mógł być zmuszony do powrotu na posterunek. Młody delfin przemówił do nich z wypełnionego wodą tunelu biegnącego wzdłuż jednej ze ścian pomieszczenia.

* *Czy jakkolwiek cel*

* *Pod kierowanymi pływami księżycami*

* *Może wyjaśnić takie anomalie?**

Kaa machnął dla podkreślenia płetwami ogonowymi, wypełniając wodę bąbelkami. Gillian przetłumaczyła gwizdane haiku na użytek Sary Koolhan, która nie miała okazji nauczyć się troistego.

– Kaa pyta, jaki projekt mógłby być wart wysiłku oraz ryzyka związanych z zanurkowaniem w

atmosferę gwiazdy?

Młoda Jijanka zareagowała entuzjastycznym skinieniem głowy.

– Być może znam częściowo odpowiedź. – Pogłaskała stojący przed nią czarny sześcian, osobistą maszynę algorytmiczną, którą Gillian pożyczyła Sarze po jej przybyciu na pokład. – Od chwili zaobserwowania tych niezwykłych statków zastanawiałam się, jaka cecha Izmunuti mogłaby przyciągnąć istoty z odległych układów planetarnych. Po przejściu przez regularny punkt transferowy statki skierowały się trasą wiodącą przez zewnętrzne warstwy atmosfery gwiazdy olbrzyma. Wszystkie skradacze lecące na Jijo użyły tej samej metody, by ukryć swe ślady.

Nam również przyszło to do głowy – pomyślała z niezadowoleniem Gillian. – Musiałam jednak popełnić jakiś błąd, bo Rotheni byli w stanie podążyć za nami i odkryć kryjówkę nie tylko naszą, lecz również Sześciu Gatunków.

Gillian zauważyła, że porucznik Tsh't przygląda się jej z uwagą. Czy miała do niej żal o wpakowanie „Streakera” w tę kabałę? Oko delfinicy przez dłuższą chwilę wlepiało w nią oceniające spojrzenie. Potem Sara zaczęła mówić dalej i Tsh't odwróciła wzrok.

– Według mojej jednostki uczącej gwiazdy takie jak Izmunuti wypełniają swe rozdęte atmosfery ogromnymi ilościami ciężkich atomów. Szczególnie licznie występuje węgiel, osadzający się na wszystkich stałych przedmiotach, które znajdują się w pobliżu. Statki naszych przodków przybyły na Jijo czarne od tego pierwiastka. „Streaker” może być pierwszym gwiazdolotem w historii, który próbuje dokonać tej sztuki dwa razy, podczas przylotu i odlotu. Założę się, że sadza sprawia wam trochę kłopotów.

– Nie ze mną! – zagrzmiął wzmocniony głos Suessiego. Hannes cały czas toczył walkę z powłoką sadzy. – Ta substancja jest ciężka, ma osobliwe właściwości i oblepia nam kołnierze prawdziwości.

Sara skinęła głową.

– Pomyśl jednak, co, jeśli ktoś z jakiegoś powodu potrzebuje takiej powłoki? Jak najłatwiej byłoby ją uzyskać?

Ponownie pogłaskała czarny sześcian, przekazując dane do głównego holoeckranu. Choć Sara przebywała na pokładzie dopiero od kilku dni, szybko uczyła się korzystać z nowoczesnych narzędzi.

Przed oczyma zebranych pojawił się zwierciadlany prostokąt, w którym odbijały się ogniste wyniosłości pokrywające bezkresną płaską powierzchnię.

– Może i jestem ciemną przedterminową osadniczką, ale wydaje mi się, że można by zbierać atomy z wiatru gwiazdowego za pomocą czegoś, co ma olbrzymią powierzchnię, ale niewielką masę – zauważyła Sara. – Tego typu obiekt mógłby w ogóle nie potrzebować energii, by oddalić się do gwiazdy. Niosłoby go ciśnienie fal świetlnych.

– Żagiel sssłoneczny! – wyszeptała porucznik Tsh't.

– Czy tak je nazywacie? – Sara skinęła głową. – Wyobraźcie sobie maszyny, które przybywają do punktu transferowego jako zwarte obiekty, spadają ku Izmunuti, a potem rozwijają te żagle, by wrócić za darmo do punktu t i przy okazji pokryć się warstwami węgla o unikatowej strukturze cząsteczkowej, a także innych substancji. Koszt energii na tonę uzyskanego węgla byłby minimalny!

Wirujący hologram Nissa przysunął się bliżej.

– *Twoja hipoteza sugeruje ekonomiczną metodę pozyskiwania surowców, zakładając, że mechanoidy muszą po drodze dokonać tylko jednego transferu hiperprzestrzennego. W uprzemysłowionych regionach Pięciu Galaktyk są dostępne tańsze sposoby, ale tu, w Czwartej Galaktyce, uprzemysłowienie jest obecnie minimalne lub wręcz zerowe z uwagi na decyzję o pozostawieniu odłogiem...* – Niss przerwał na chwilę. – *Mechanoidy byłyby idealnymi*

wykonawcami podobnego zadania. Mogłyby stworzyć specjalne wersje o minimalnej masie, zdolne szybko wykonać robotę. To tłumaczy, dlaczego ich napędy i pola siłowe są bezradne wobec gwiazdnych burz. Nie zostawiły marginesu bezpieczeństwa na nieprzewidziane wypadki.

Gillian zauważyła, że ocalała tylko mniej więcej połowa pomarańczowych światełek, nadal próbujących uciec ze studni grawitacyjnej Izmunuti, nim dopadnie je kolejny przyływ plazmy. Trzy purpurowe kropki już doścignęły konwój mechanoidów, wspinając się ze swobodną gracją.

– A co z Zangami? – zapytała.

– *Przypuszczam, że to oni zatrudnili mechanoidy. Nasza Biblioteka twierdzi, że ugrupowania Zangów często wynajmują istoty z Kategorii Maszynowej do pewnych specjalnych zadań. Wielkie klany tlenodysznych również czasami tak robią.*

– No cóż, wygląda na to, że ich plany spaliły na panewce – zauważył Suessi. – Tym razem nie zebrali zbyt wiele surowców.

Szary delfin unoszący się w wypełnionym wodą tunelu wydał z siebie melancholijny, świszczący klekot. To nie był troisty, lecz bezładne dźwięki produkowane przez głęboko zamyśloną walenie. Gillian nadal miała wyrzuty sumienia, że poprosiła Kaa o zgłoszenie się na ochotnika, ponieważ musiał on porzucić swą kochankę na Jijo, gdzie groziło jej niebezpieczeństwo. Niemniej „Streaker” potrzebował pilota pierwszej klasy, jeśli ich desperacki plan miał się udać.

– *Zgadzam się* – odezwał się wirujący hologram Nissa. – *Po tym niepowodzeniu Zangowie z pewnością będą w paskudnym nastroju.*

– Z powodu strat ekonomicznych? – zapytała Tsh't.

– *Z tego, a także innych. Według Biblioteki wodorodyszni źle przyjmują niespodzianki. Mają metabolizm wolniejszy niż tlenowe życie. Dlatego czują instynktowną niechęć do wszystkiego, co nieprzewidywalne.*

Rzecz jasna, podobne podejście wydaje się dziwaczne jestestwu takiemu jak ja, zaprogramowanemu przez Tymbrimczyków, by poszukiwać nowości! Gdyby nie niespodzianki, skąd byśmy wiedzieli, czy świat istnieje obiektywnie? Równie dobrze moglibyśmy przyjąć, że cały wszechświat to jedna wielka symu...

– Zaczekaj chwilę – odezwała się Gillian, przerywając Nissowi, nim zdążył się wdać w filozoficzne dywagacje. – Wszystkich nas uczono, że Zangowie są niebezpieczni i kontakt z nimi należy zostawić Wielkim Instytutom.

– *To prawda.*

– I mówisz, że w tej chwili mogą być wyjątkowo rozgniewani? Być może nawet rozjuszeni?

Hologram Nissa zwinął się nerwowo.

– *Po trzech wspólnie spędzonych latach, doktor Baskin – pośród narastającej znajomości z tonami twojego głosu i regularności myśli – twoje ostatnie pytanie budzi mój niepokój.*

Czy mam powody do ostrożności?

Czy myśl o rozjuszonych Zangach wydaje ci się... atrakcyjna?

Gillian zachowała milczenie, ale pozwoliła sobie na złowrogi, enigmatyczny uśmiezek.

HARRY

Na jego osobistym zegarze minęło pięć ziemskich lat od chwili, gdy podjął nieodwracalną decyzję i stanął w tłumie ochotników z pięćdziesięciu różnych gatunków, pilnie powtarzających – każdy w swym języku – słowa wyuczonej na pamięć przysięgi napisanej przed wiekami przez członków jakiejś dawno wymarłej rasy. Po wstąpieniu do Korpusu Obserwatorów życie Harry’ego nie tylko się zmieniło, lecz wręcz wyskoczyło z koryta linii genetycznej. Przeniósł swą lojalność z ojczyznej planety na bezosobową biurokratyczną strukturę, starej już w czasach, gdy jego dalecy przodkowie kryli się przed dinozaurami w koronach triasowych drzew.

Niemniej podczas szkolenia zaskakiwało go, jak często inni studenci zwracali się do niego z pytaniami dotyczącymi Ziemskiego Klanu. Jego walka o przetrwanie była tematem aktualnego międzygwiazdowego groszowego dramatu, budzącego powszechną fascynację. Czy najnowsza banda pozbawionych obrońców i sponsorów „dzikusów” zdoła doścignąć cywilizację gwiazdnych wędrowców wystarczająco szybko, by uniknąć losu zwykle spotykającego samozwańców? Choć znaczenie Terry było minimalne, owo pytanie wywoływało wiele spekulacji i zakładów.

Inni akolici pytali go, jak to jest, gdy ma się opiekunów takich jak ludzie, którzy sami siebie nauczyli takich podstawowych sztuk, jak mowa, loty kosmiczne i eugenika? Jako neoszympan Harry miał najniższy status ze wszystkich podopiecznych obywateli w bazie, a mimo to stał się kimś w rodzaju celebryty. Niektórzy okazali mu wrogość, inni podziw, a niemal wszyscy zainteresowanie.

Właściwie nie potrafił opowiedzieć kolegom zbyt wiele o terrageńskiej cywilizacji. Spędził wśród gadatliwych neoszympanów z Ziemi zaledwie rok, nim rzucił studia na uniwersytecie, by wstąpić na służbę w Instytucie Nawigacji. Już wtedy wiódł życie wygnańca.

Urodził się w przestrzeni, na pokładzie terrageńskiego statku zwiadowczego TSS „Pelenor”. Niejasne wspomnienia zachowane z owych czasów były dlań mglistym rajem utraconym, pełnym wygód zapewnianych przez zaawansowaną technikę i ciepłych miejsc, w których mógł się bawić. Członkowie załogi wydawali mu się bliscy bogom – ludzcy oficerowie oraz dowodzone przez nich neoszymy i neodelfiny... a także wesoły, podobny do drzewa kanteński doradca. Wszyscy zajmowali się swoimi zadaniami z wielką powagą, chyba że Harry akurat wymagał przytulenia, połaskotania albo podrzucania w górę.

Potem nadszedł straszliwy dzień, gdy jego rodzice postanowili zejść z pokładu i zająć się badaniami ludzkich plemion zamieszkujących pustynny świat kolonialny zwany Horstem. To zakończyło udział Harry’ego w epickiej podróży „Pelenora” i zrodziło w nim zapiekły żal.

Wspomnienia gwiazdnych pól oraz buczenia silników stały się mgliste i wyidealizowane. W latach dzieciństwa, spędzanych na pełnym pyłu świecie, myśl o podróżach kosmicznych wydawała mu się coraz bardziej magiczna. Gdy Harry wreszcie opuścił Horsta, wstrząsnął nim bezkres sterylnej pustki dzielącej od siebie nieliczne oazy międzygwiazdowego życia.

Inaczej to zapamiętałem – myślał podczas lotu na Ziemię. Rzecz jasna, owe wspomnienia były jedynie fantazjami stworzonymi przez zafascynowanego dzieciaka. Na uniwersytecie nauczono go, że subiektywnym wrażeniom nie można ufać, gdyż tworzy je umysł gorączkowo pragnący uwierzyć.

Mimo to nie opuszczało go pragnienie, ambicja nakazująca szukać raj w innych wersjach rzeczywistości.

Skórki od bananów uwięziły go na kilka dni.

Gdyby allofor miał mniej osobisty charakter, Harry mógłby starać się bardziej. Obraz jednak był

wyraźnie skierowany na niego i szympanś nie potrafił tego zignorować. Po pierwszym niepowodzeniu, gdy stacja omal się nie przewróciła, postanowił, że zaczeka, zanim znowu rzuci rafię wyzwanie.

Zresztą to nie był zły punkt obserwacyjny. Na skutek synergii między niezwykle kontinuum a jego umysłem okolica przybrała postać wysokiego płaskowyżu, górującego nad bezkresnym morzem falujących fioletowych witek. W oddali nadal kołysały się czarne szczyty górskie, choć niektóre z „dziur” w czerwono-niebieskim niebie przerodziły się w ociekające zagłębienia, jakby firmament postanowił się rozpuścić albo osiaść.

Były tu też żywe istoty – głównie należące do Kategorii Memetycznej. Migotliwe formy życia latały lub pełzały wokół ośmiokątnej platformy Harry’ego, pasły się, polowały na pobratymców albo łączyły się ze sobą bądź przechodziły niesamowite transformacje na jego oczach. Na pozostałych płaszczyznach wymiarowych memy mogły istnieć jedynie jako pasożyty, bytujące w mózgach lub procesorach mentalnych fizycznych istot będących ich żywicielami. Ale w przestrzeni E, królestwie dotykalnych idei, miały pełną swobodę.

– Twoja wyobraźnia umożliwia ci pełnienie obowiązków zwiadowcy – oznajmił mu Wer’Q’quinn podczas szkolenia. – Ale nie wolno ci ulec pokusie solipsyzmu, przekonaniu, że w przestrzeni E możesz powodować wydarzenia samym aktem woli. Jeśli staniesz się uparty lub nieostrożny, owo kontinuum może przeciąć ścieżkę twojego życia.

Harry nigdy w to nie wątpił. Obserwując memofomy pełzające po fioletowym stepie, dla zabicia czasu zastanawiał się, jakie pojęcia mogą reprezentować. Zapewne żadna z tych istot nie była rozumna, gdyż prawdziwą inteligencję na wszystkich poziomach rzeczywistości spotykało się rzadko. Niemniej każdy z memów, które widział, reprezentował jedną myśl, nieskrępowaną przez organiczny lub elektroniczny mózg, samowystarczalną ideę o strukturalnej komplikacji dorównującej tej, która zawierała się w narządach i w kodzie genetycznym Harry’ego.

Na przykład tamten stwór, przechadzający się tanecznym krokiem na podobieństwo dwunastonożnej antylopy. Czy był abstrakcją daleko spokrewnioną z „wolnością”? Gdy powietrzna istota o wyszczerbionych brzegach zniżyła lot, chcąc doścignąć pierwsze stworzenie, Harry zadał sobie pytanie, czy łowca może być skomplikowaną wersją „żarłoczności”? A może w typowy dla swego ledwie rozumnego umysłu sposób starał się wtłoczyć to, co złożone i niewysłowione, w proste nisze zaspokajające jego potrzebę klasyfikacji?

No cóż, w „ludzkiej” naturze leży trywializacja. Tworzenie stereotypów. Udawanie, że potrafimy wysłowić niewysłowione.

Miejscowe organizmy memetyczne były fascynujące, ale od czasu do czasu pod punktem obserwacyjnym pojawiało się coś innego, co wymagało głębszej uwagi.

Zawsze potrafił rozpoznać intruza. Wszyscy poruszali się niezgrabnie, jakby ich alloforyczne kształty były tylko nieudolnymi przebraniami. Często zjawiały się drapieżne memy, próbujące wywęszyć smaczny konceptualny posiłek, szybko jednak umykały przed okrutnym smakiem dotykalnej materii. Statki o metalowych kadłubach albo organiczne formy życia. Intruzi z jakichś innych prowincji rzeczywistości, którzy nie zatrzymywali się, by się na niego pogapić, lecz szybko przemykali obok pływających gór, żeby znaleźć schronienie w dziurawym niczym ser szwajcarski niebie.

Harry cieszył się z tych chwil, gdy mógł wykonać jakąś użyteczną pracę. Wyrażając się precyzyjnie, opisywał każdego nowego przybysza swemu partnerowi, komputerowi stacji. Maszyna kryła się pod podłogą, osłonięta przed szkodliwym działaniem przestrzeni E. Eksperci w centrali odcyfrowują te relacje, aby ustalić, jakiego rodzaju statek dokonał tranzytu na oczach Harry’ego, a także

dokład mógł zmierzać. Tymczasem obserwator i komputer na spółkę zabawiali się snuciem domysłów.

– *Pokładowe pliki pamięci znają podobny wzór* – oznajmiło unoszące się w zbiorniku M, gdy Harry opisał szczególnie dziwnego intruza, pędzącego na niezliczonych sztywnych, lśniących łodyżkach niby maszerujące słońce. – *Najwyraźniej to przedstawiciel Kwantowej Kategorii Rozumności.*

– Naprawdę? – Harry wcisnął twarz w szybę. Obiekt wydawał się delikatny jak pierzasty zarodnik zilma, niesiony wiatrem ku najdalszym zakątkom Horsta. Kruche łodyżki ciągle się łamały, gdy intruz (czy to był statek? A może pojedyncza istota?) mknął ku położonej tuż nad horyzontem dziurze w niebie.

– Nigdy nie widziałem tak wielkiego kwantowca. Co on tu robi? Myślałem, że oni nie lubią przestrzeni E.

– *Pomyśl, jak istoty organiczne, takie jak ty, czują się w głębokiej próżni. Natychmiast w niej giniecie, chyba że otaczają was technologiczne warstwy ochronne. Subiektywne fluktuacje królestwa, w którym się znajdujemy, wywierają podobny wpływ na niektóre inne rodzaje życia. Przestrzeń E jest dla istot kwantowych jeszcze bardziej nieprzyjazna niż dla przedstawicieli Kategorii Maszynowej.*

– Hmm. W takim razie po co tu przybył?

– *Brak mi danych, by spekulować, jaka pilna potrzeba mogła go do tego skłonić. Większość istot kwantowych zamieszkuje piankową strukturę kosmosu, gdzie inne warianty życia ich nie widzą. Całkiem jak bakterie żyjące w litej skale na twoim ojczystym świecie. Dopiero niespełna sto milionów lat temu ekspertom z Instytutu Bibliotecznego udało się nawiązać potwierdzony kontakt z Kategorią Kwantową. Chciałbym ci zasugerować, że powinieneś uprzejmie odwrócić wzrok, zwiadowco Harms. Kwantowiec wyraźnie ma trudności. Nie powinieneś ich pogłębiać, gapiąc się na niego.*

Harry skrzywił się, usłyszawszy to przypomnienie.

– Jasne. Zasada nieoznaczoności!

Odwrócił się. Jego zadaniem było śledzenie wydarzeń rozgrywających się w przestrzeni E, ale zbyt dokładna obserwacja mogła spowodować szkody.

Zresztą tak naprawdę powinien wypatrywać mniej egzotycznych intruzów.

Najczęściej widywał statki wodorodysznych. Ich balonowate gwiazdoloty łatwo było zidentyfikować, ponieważ we wszystkich kontynuach wyglądały tak samo. Z jakiegoś powodu przedstawiciele tej kategorii lubili korzystać ze skrótów przez przestrzeń E, udając się z jednego świata typu jowiszowego do drugiego, mimo że poziomy A i B były wydajniejsze, a punkty transferowe znacznie szybsze.

Tylko z rzadka Harry'emu udało się zaobserwować jakichś przedstawicieli własnej kategorii tlenodysznych – wielkiej i potężnej Cywilizacji Pięciu Galaktyk – i żaden z nich nie zbliżył się do jego posterunku, broniącego zakazanej drogi do obłożonego interdymem miejsca.

Nic dziwnego, że zlecili tę robotę szymowi z klasy niższej. Nawet przestępcy próbujący się zakraść do pozostawionej odłogiem strefy nie byłiby tacy głupi, by udawać się tam przez przestrzeń alloforową.

A ja jestem głupi, że muszę pilnować tej trasy.

Niemniej lepsze to niż suche, wietrzne stopy Horsta.

Wszystko było lepsze niż Horst.

On i jego rodzice byli jedynymi przedstawicielami swego gatunku na całej planecie. Znaczyło to, że długi proces nauki mowy, niełatwy dla wszystkich młodych neoszymów, dla niego był dwukrotnie trudniejszy. Marko i Felicity byli zajęci badaniami, Harry musiał więc wprawiać się w sztuce mówienia, rozmawiając z nadzorowanymi chłopakami o szalonych spojrzeniach. Wszyscy nabijali się z niego, gdyż miał długie, kudłate ręce, a z początku również się jąkał. Mieli pomalowane twarze i wybuchowy temperament. Nie okazywali cierpliwej godności, jakiej nauczono go oczekiwać po dojrzałym gatunku. Gdy dotarło do niego, że ludzie na Horście są zupełnie inni, straciło to już znaczenie. Poprzysiągł, że opuści nie tylko tę planetę, lecz również terrageńskie społeczeństwo, i wyruszy na poszukiwania nieznanymi niezwykłościami.

Dopiero po latach Harry uświadomił sobie, że jego rodziców z pewnością gnała podobna ambicja. W swym młodzieńczym gniewie zlekceważył ich prośby o cierpliwość, niezręczne wyrazy miłości, a nawet błogosławieństwo, jakiego mu udzielili na pożegnanie.

Niemniej żał był tylko cienką warstwą, a przebaczenie cywilizowaną abstrakcją, pozbawioną prawdziwej mocy.

Inne wspomnienia nadal potrafiły wypełnić jego żyły żarem emocji. Botbiańskie nocne wilki wyjące nad suchymi jeziorami w blasku pozłacanych księżyców. Ściskanie własnych kolan, gdy nadzorowany szaman recytował przy ognisku niesamowite opowieści – bajki, które Marko i Felicity z pasją studiowali jako czcigodne ludowe legendy, mimo że ludzkie plemiona wędrowały po Horście od niespełna sześciu pokoleń.

Rozumność jego gatunku była niewiele starsza! Uplłynęło dopiero kilka stuleci do chwili, gdy ludzie rozpoczęli genetyczne modyfikacje szympansów.

Kto dał im prawo?

Nie potrzebowali niczyjego pozwolenia. Galaktowie wędrowali tą ścieżką od eonów. Każde „pokolenie” gwiazdnych wędrowców płodziło nowe w ramach samopowielającego się procesu zwanego Wspomaganiem.

Zważywszy wszystko razem, ludzie byli lepszymi panami niż większość innych gatunków... a Harry cieszył się, że jest rozumny.

Nie, do opuszczenia Ziemskiego Klanu nie skłonił go resentyment, lecz dystans między nimi. Bredzenia jętek jednodniówek, jakimi byli nadzorowani mistycy, nie różniły się znaczeniem od desperackich manewrów Rady Terrageńskiej, próbującej się oprzeć potężnym siłom bezlitosnego wszechświata. Równie dobrze można by porównywać sypiące się z ogniska skry z lśniącymi na niebie gwiazdami. Na pierwszy rzut oka wyglądały podobnie, ale co był wart kolejny rozżarzony węgielek wobec skali wszechrzeczy?

Czy kosmos cokolwiek obchodziła kwestia przetrwania ludzi albo szymów?

Ta myśl prześladowała go już na uniwersytecie. Naturalne więzi łączące Harry'ego z pobratymcami rozciągały się coraz bardziej, aż wreszcie pękły jedna po drugiej. Zostało tylko niejasne pragnienie odnalezienia czegoś trwałego. Czegoś, co zasługiwało na przetrwanie.

Dzięki Wer'Q'quinnowi i Instytutowi Migracji osiągnął ten cel. Nigdy nie żałował podjętej decyzji.

Dziwił się jednak, że nawet po latach wciąż wraca w snach na spustoszony świat swego dzieciństwa. Horst wyrył się w jego pamięci. Wiatr poruszający suchymi trawami. Zapachy atakujące nos i zatapiające pazury w zatokach. I wizje, które szaman namalował w jego umyśle, jak łuki wielobarwnego piasku, układające się nagle na podobieństwo jelenia, susoskoczka albo myśliwego z włócznią.

Nawet jako urzędnik galaktycznej cywilizacji, reprezentujący kategorię tlenodysznych na

niezwykłej płaszczyźnie rzeczywistości, gdzie allofory migotały za oknami jak odrzucone przez Salvadora Dali obrazy, Harry widział leje roziskrzonego ciepła, wznoszące się nad dymiącymi ogniskami, by nadaremnie szukać unii z wyniosłymi gwiazdami.

LARK

– Nie tędy! – zawołała Ling.

Lark zatrzymał się nagle, usłyszawszy jej krzyk.

– Jestem pewien, że to najlepsza droga powrotu do naszego gniazda. – Mężczyzna wskazał na mroczny korytarz meandrujący między szarymi ceramicznymi ścianami. W każdej krętej rozgałęziającej się ścieżce wiodącej przez labirynt, jakim był jophurski okręt, unosiły się intensywne odory. Ten korytarz wabił wędrowców intensywnymi aromatami sygnalizującymi ZIELEŃ i BEZPIECZEŃSTWO.

– Wierzę ci. – Ling skinęła głową. – Dlatego właśnie nie możemy tam iść. Niewykluczone, że nadal jesteśmy śledzeni.

Nie przypominała już gwiazdnej bogini. Ciemne włosy obcięła krótko, a jej jasną skórę zbrukała sadza. Miała na sobie tylko podartą bluzę od pięknego ongiś munduru i wyglądała znacznie bardziej dziko niż jijańscy tubylcy, których niegdyś zwała „barbarzyńcami”. W nosidełku z koszuli Larka dźwigała karmazynowy torus, ociekający posoką niczym pęknięta kiełbasa.

Mężczyzna rozumiał jej punkt widzenia. Odkąd spróbowali dokonać sabotażu w sterowni okrętu liniowego, masywni Jophurzy i służące im roboty ściągali ich po całym ogromnym statku. Nie mogli zaprowadzić prześladowców w jedyne miejsce, gdzie znaleźli żywność i schronienie.

– W takim razie dokąd?

Lark bał się przebywania na otwartej przestrzeni. Złapał za fioletowy pierścień, ich jedyną broń. Większy i zdrowszy od czerwonego, był kluczem umożliwiającym im uporanie się z zamkniętymi drzwiami i nieostrożnymi strażnikami.

Ling wiedziała o gwiazdolotach znacznie więcej od swego towarzysza, ale ten ogromny okręt różnił się od znanych jej statków. Zajrzała w głąb zakrzywionego, mrocznego szybu, wyglądającego raczej na część żywego organizmu niż maszyny.

– Wybierz jakiś kierunek. Szybko. Słyszę, że ktoś się zbliża.

Lark rzucił jeszcze tęskne spojrzenie w stronę ich „gniazda”, po czym złapał Ling za rękę i ruszył do innego korytarza, biegnącego pod kątem prostym do pierwszego. Ściany pokrywała tu błyszcząca warstewka oleju, a wszystkie bramy lub przejścia miały swój własny, szczególny aromat, co w jakimś stopniu wynagradzało brak pisanych wskazówek. Choć Lark był tylko prymitywnym przedterminowym osadnikiem, znał traekich. Ci kuzyni Jophurów różnili się od nich charakterem, ale mieli wiele zbliżonych cech. Jako jijański tubylec potrafił wychwycić wiele niuansów pokładowego języka zapachowego.

Pomimo dziwacznej krzywizny wszystkich korytarzy w umyśle Larka tworzył się już obraz ogromnego statku. Był on wydłużoną sferoidą, z której sterczało agresywne uzbrojenie, a jego potężne silniki zakrzywiały przestrzeń na kilka różnych sposobów. Resztę wnętrza wypełniał labirynt pracowni, laboratoriów oraz enigmatycznych komór, zadziwiających nawet doświadczoną w galaktycznych sprawach Ling. Odkąd z najwyższym trudem zdołali uciec z jophurskiej sterowni, cały czas posuwali się w stronę środka statku i swego maleńkiego edenu, w którym skryli się po ucieczce z celi.

Miejscu, gdzie kochali się ze sobą po raz pierwszy.

Ale teraz stopy tłuszczowych pierścieni zamknęły wszystkie biegnące wzdłuż osi szyby, blokując najłatwiejszą drogę przez wiodącą z północy na południe rdzeń „Polkjhy”.

– Z tego powodu kierowanie statkiem jest mało wydajne – wyjaśniła mu przedtem Ling z nutą

satisfakcji. – Nie mogą szybko przerzucić członków załogi na nowe posterunki. Dopóki pozostajemy na wolności, możemy im zaszkodzić, Lark!

Doceniał jej wysiłki znalezienia dobrych stron sytuacji, w której się znaleźli. Choć przyszłość wyglądała smętnie, Lark cieszył się, że będzie mógł spędzić z Ling czas, który im pozostał.

Kobieta obejrzała się za siebie i złapała go za ramię. Coraz głośniejsze szelesty sugerowały, że pościg jest już blisko. Potem Lark usłyszał drugi odgłos, dobiegający z ostrego zakrętu przed nimi.

– Jesteśmy w pułapce! – zawołała Ling.

Lark podbiegł do najbliższych zamkniętych drzwi. Bijący od nich silny odór przypominał mu dni targowe, gdy traeccy hodowcy torusów wystawiali swych wychowanków na sprzedaż w wyłożonych mierzwą zagrodach.

Wycelował fioletowy pierścień na pobliską tablicę zapachową. Z wijącego się stworzenia trysnęła rzadka mgiełka.

No jazda, rób, co do ciebie należy – zachęcał je w myślach.

Ich jedyną nadzieją był ten dar od byłego traeckiego mędrca, Asxa, który zdołał się uwolnić od mentalnej represji jophurskiego pierścienia władzy na chwilę wystarczająco długą, by zrodzić dwa młode torusy. Ludzcy zbiegowie nie mieli pojęcia, do czego ma służyć ranny pierścień o czerwonej barwie, ale fioletowy cud pozwolił im zachować wolność przez nieprawdopodobnie długi okres kilku dni, odkąd okręt liniowy opuścił Jijo i ruszył w obłąkańczą pogoń przez kosmos.

Rzecz jasna, wiedzieliśmy, że to nie może potrwać długo.

Zamek zaakceptował chemiczny kod z cichym trzaskiem i drzwi się otworzyły. Zbiegowie wpadli do mrocznej komory wypełnionej oparami o gryzący zapach. Wysokie przezroczyste ściany dzieliły je na liczne części. Lark nie miał czasu na analizę swych spostrzeżeń. Po chwili w korytarzu za nimi rozległy się ludzkie krzyki. Towarzyszył im tupot biegnącego Ranna.

– Stójcie! Wy durnie, czy nie rozmicie, że tylko pogarszacie sprawę? Wyłaźcie, zanim zrobią użytek z...

Zamykające się drzwi odcięły ich od gniewnych gróźb dawnego dowódcy Ling. Lark przystawił fioletowego traekiego do wewnętrznej tablicy zmysłowej. Stworzenie wydzieliło z siebie aromatyczne kodery – chemikalia mające randomizować kod otwierający drzwi. Lark wiedział z doświadczenia, że minie pół midury, zanim ścigający zdołają wtargnąć do środka, chyba że mieli ze sobą ciężki sprzęt do prucia ścian.

Po co mieliby się trudzić? Wiedzą, że jesteśmy tu uwięzieni.

Szczególnie irytowała go świadomość, że w pułapkę zapędził go Rann. Trzeci ludzki więzień zdecydował się na współpracę z Jophurami, być może licząc na to, że pozyska w ten sposób ich względy i skłoni do uwolnienia swych boskich opiekunów, Rothenów, z więzienia na Jijo. To pozbawiło Larka opcji, ponieważ fioletowy pierścień był bezużyteczny przeciwko wysokiemu danickiemu wojownikowi.

Lark rozejrzał się wokół i zobaczył, że ściany, sięgające od podłogi aż po wysoki sufit, tworzą szeregi olbrzymich wiwariów, pełnych ruchliwych, wijących się stworzeń.

Karłowate traeckie torusy!

Przez przezroczyste rury do każdego z pomieszczeń napływała brązowa maź.

Oczyszczona płynna mierzwa. Pokarm dla dzieci.

Jesteśmy w ich żłobku!

Żaden traekki pierścień nie był inteligentny w pojedynkę. Na swym ojczystym świecie, gdzie pełzały po cuchnących bagnach jako robakowaci pożeracze odpadków, samodzielne torusy nigdy nie osiągnęły zbyt wiele. Dopiero gdy traeki zaczęły tworzyć stosy złożone z wyspecjalizowanych

pierścieni, stali się jedyną w swoim rodzaju formą przedrozumnego życia, gotową do adopcji i Wspomagania przez podobnych do ślimaków Poa.

Tu właśnie załoga „Polkjhy” hoduje specjalne torusy, wyposażone w umiejętności potrzebne dla nowych członków ekipy.

To był bardzo efektywny sposób rozmnażania. Z pewnością niektóre z pulsujących obwarzanków były pierścieniami władzy, zaprojektowanymi przed tysiącletiami po to, aby zmienić łagodnych, skłonnych do kontemplacji traekich w nieubłaganych, przerażających Jophurów.

Gdy w wąskich przejściach zabrzmiał ludzki krzyk, Lark poderwał się do biegu.

– Ling! – krzyknął. Serce waliło mu jak szalone.

– Pośpiesz się! – Głos kobiety odbijał się echem od przezroczystych ścian. – Otoczyli mnie!

Wypadł zza wiwarium i wreszcie ją znalazł. Ling cofała się przed dwoma wielkimi jophurskimi robotnikami, spychana w stronę wnęki w przeciwległej ścianie. To personel żłobka, uświadomił sobie. Oba stożkowate, kołyszące się z sykiem stopy składały się z co najmniej trzydziestu torusów, miały u podstawy dwa metry szerokości i musiały ważyć blisko tonę. Ich woskowate boki lśniły witalnością, jakiej nigdy nie widział u jijańskich traekich. Migotały na nich pełne znaczeń wzory światła i ciemności. Z torusów chemosyntezy buchały barwne zapachy, a witki manipulacyjne wyciągały się ku kobiecie.

Ling poruszała się zgrabnie, uskakując w lewo i w prawo. Wypatrywała drogi ucieczki albo czegoś, co mogłoby posłużyć jako broń. W jej oczach nie było paniki, nie zdradziła też Larka, ciesząc się na jego widok.

Rzecz jasna, wzrokowe czujniki Jophurów patrzyły we wszystkie strony jednocześnie, ale to rozwiązanie miało również pewną wadę – długi czas reakcji. Pierwszy stos nadal pochylał się ku swej ofierze, gdy Lark pognał ku niemu. Dar Asxa wiedział skądś, że należy wystrzelić strumień kwaśnej piany. Uderzony nią, podobny do klejnotu, narząd dostał spazmów i zgasł.

Cały stos zakołysał się i zapadł w śpiączkę. Nie tracąc czasu, Lark zwrócił się ku drugiemu przeciwnikowi...

...ale jego prawą rękę unieruchomiła potężna macka! Powietrze wypełnił ohydny odór triumfu. Drugi Jophur pociągnął mężczyznę ku sobie, gotowy zmiażdżyć go w uścisku witek.

Fioletowy pierścień skurczył się gwałtownie w dłoni Larka, ale struga piany nie mogła pod tym kątem trafić w cel, ukryty za wypukłą talią Jophura. Pierścień władzy poganiał podporządkowane torusy ze złością i skupieniem, jakich Lark nigdy nie widział u pogodnych traekich z Jijo. Ucisk nasilał się z każdą chwilą, wyciskając mu powietrze z płuc ze zdławionym charkotem.

Wtem ogłuszył go ostry trzask. Na plecy posypał mu się deszcz wilgoci i ostrych jak igły odłamków.

Jophur wydał z siebie przenikliwe zawodzenie. Potem ktoś wykrzyczał złowrogie ostrzeżenie w urywanych mlaskach i gwizdach drugiego galaktycznego.

– *Wypuścić człowieka – to musisz zrobić.*

– *Albo następne młode – ku zgubie spadną!*

Nacisk na klatkę piersiową Larka ustał w tej samej chwili, gdy zaczęła opuszczać go świadomość. Jophur sapał i chwiał się niepewnie. Mężczyzna zauważył przez wypełniające mu oczy łyzy, że wielki stos pokryły odłamki szkła i wszędzie jest pełno wilgoci. Potem spostrzegł Ling, która przykucnęła w odległości kilku metrów. Kobieta trzymała w ręce zakrzywiony metalowy pręt i kiwała nim groźnie, wskazując na kolejne wiwarium. Nie miał pojęcia, gdzie znalazła to narzędzie, ale na podłodze pełno było miotających się bezładnie nowo narodzonych pierścieni, wyrwanych brutalnie z bezpiecznej wieży mierzwowej. Niektóre próbowały się poruszać na ledwie

zaznaczonych płetwach lub niewykształconych jeszcze nogach. Karzełkowate pierścienie władzy machały neuronowymi czułkami, poszukując innych toroidów, które mogłyby zdominować.

Lark czuł, że pracownik żłobka drży z wahania.

Dobiegające zza drzwi hałasy świadczyły, że załoga „Polkjhy” wzięła się już do pracy przy otwieraniu drzwi. Dwoje ludzkich zbiegów z pewnością nigdzie nie ucieknie.

Jophurski stos podjął decyzję. Uwolnił Larka.

Pod człowiekiem ugięły się kolana, zdołał jednak nie osunąć się na podłogę. Słabym gestem uniósł fioletowy torus, by wycelować w feromonowe komórki zmysłowe.

Po chwili drugi stos zapadł w stupor tak samo jak pierwszy.

Cholera – pomyślał Lark. – Jeśli to była czuła piastunka, nie chciałbym spotkać któregoś z ich wojowników.

Ling złapała towarzysza za ramię, by pomóc mu zachować równowagę.

– Chodź – popędziła go. – Nie ma czasu do stracenia. Czeka nas mnóstwo roboty.

– O czym ty gadasz? – próbował zapytać Lark, ale z ust wyrwało mu się tylko bulgoczące westchnienie. Ling jednak nie pozwoliła mu opaść na podłogę i odpocząć.

– Chyba wiem, jak się stąd wydostać – zapewniła. – Ale będzie diabelnie trudno się tam wcisnąć.

Zgodnie z jej przewidywaniami pojemnik był maleńki. Nawet zgięty wpół Lark ledwie się zmieścił do środka. Fioletowy pierścień wił się między jego piersią a ścianą.

– Nadal uważam, że ty powinnaś być pierwsza – poskarżył się.

Ling pośpiesznie wpisała polecenia na skomplikowanej klawiaturze sąsiadującej z małym pojemnikiem transportowym.

– Potrafisz programować takie ustrojstwa? – zapytała.

Miała rację, choć Larkowi to się nie podobało.

– Poza tym udajemy się w jakieś nieznane miejsce. Czy nasz najgroźniejszy wojownik nie powinien pójść przodem?

Ling nabijała się z niego. Ten, kto pójdzie pierwszy, pokona ewentualny opór za pomocą fioletowego daru Asxa albo przegra. Siła fizyczna była w praktyce bezużyteczna w starciu z robotem albo Jophurem pełnych rozmiarów.

Zerknął za plecy kobiety ku odległym drzwiom żłobka. Było tam widać czerwony blask palnika przebijający się z drugiej strony. Najwyraźniej Rann i Jophurzy dali sobie spokój z próbami odkodowania zamka i postanowili użyć brutalnej siły.

– Pośpiesz się?

Zamiast odpowiedzi pochyliła się i pocałowała go – najpierw w czoło na znak błogosławieństwa, a potem namiętnie w usta.

– Odpowiada ci taka obietnica? – zapytała, mieszając swój oddech z jego oddechem.

Gdy Ling się odsunęła, przezroczysta pokrywa zasunęła się nad małą kapsułą przeznaczoną do transportowania sprzętu i próbek między stacjami roboczymi na pokładzie jophurskiego statku. W Biblos, jijańskim archiwum, istniała prymitywna wersja takiego systemu. Drogocenne papierowe książki i wiadomości przesyłano w cienkich busowych rurach.

– Hej! – zawołał. – Gdzie mnie wy...

Przerwały mu hałas i jasny rozbrłysk. Ling błyskawicznie się odwróciła. Palnik pracował coraz szybciej, jakby nieprzyjaciel w jakiś sposób wyczuł ich plany. Lark zauważył z przerażeniem, że wycięto już niemal połowę kręgu.

– Wypuść mnie! – zażądał. – Zamienimy się miejscami!

Ling potrząsnęła głową i wróciła do programowania kursu.

– Nie ma takiej możliwości. Przygotuj się. Czeka cię wstrząs.

Nim Lark zdążył się sprzeciwić po raz drugi, fragment ściany runął na podłogę z głośnym hukiem. Przedsionek sali na moment wypełniły iskry i kłęby dymu. Wkrótce jednak do środka wpadną jophurscy wojownicy... a Ling nawet nie miała broni!

Lark walnął pięścią w przezroczystą pokrywę. Kilka rzeczy wydarzyło się szybko jedna po drugiej.

Ling uklękła na podłodze, gdzie pośród fragmentów zniszczonego wiwarium wciąż pełzały dziesiątki dezorientowanych nowo narodzonych pierścieni. Opróżniła nosidełko, delikatnie wypuszczając drugi dar Asxa – ranny, czerwony pierścień – by zmieszał się z pozostałymi.

W kłębach rozświetlonego dymu w wejściu pojawiła się wysoka sylwetka. Potężny tors jednoznacznie świadczył, że to Rann, przywódca Daników, ludzkich renegatów, którzy poprzysięgli służbę rotheńskim władcom.

Ling wstała. Obejrzała się przez ramię na Larka, który nadal walił pięścią w pokrywę, jęcząc z frustracji i strachu o nią.

Sięgnęła spokojnie do klawiatury.

– Nie! Wypuść mnie! Ja...

Przyśpieszenie zadziało nagle. Zgięte wpół ciało Larka walnęło o ścianę małego pojazdu.

Twarz Ling zniknęła w jednej chwili, a on pomknął Ifni wie dokąd.

DWER

– Naprawdę odlecieli?

Dwer pochylił się nisko nad starożytnym, porysowanym oknem. Gdy patrzył na lśniące gwiazdy, czuł lekki dreszcz na myśl, że tylko grubość palca dzieli go od kosmosu.

– Nigdzie ich nie widzę – zawołał do Rety. – Czy po twojej stronie też jest czysto?

Jego towarzyszka – mniej więcej czternastoletnia dziewczyna o twarzy naznaczonej blizną i włosach zwisających w strąkach – przycisnęła się do okna umieszczonego na drugim końcu zakurzonej sterowni szybkiego ongiś statku, który już dawno przerodził się w usmolony wrak.

– Nie ma nic, jeśli nie liczyć kawałków i fragmentów sypiących się z tej zardzewiałej łajby.

Walnęła ręką w najbliższą gródź. Ze szczelin w prehistorycznym metalu posypały się strugi pyłu.

Oryginalni właściciele statku musieli mieć osobliwe kształty, ponieważ okna umieszczono na wysokości kolan stojących ludzi, natomiast instrumenty znajdowały się na wysokich kolumnach, rozsianych po pomieszczeniu o kształcie wydłużonego prostokąta. Bez względu na to, jakie istoty pilotowały kiedyś ten statek, w końcu porzuciły go jako złom. Przed z górą pół milionem lat zwałono go na wielki stos porzuconych maszyn na śmietniku ukrytym w jijańskim oceanie.

Zanurzenie w niemal lodowatej wodzie z pewnością miało konserwujące działanie. Niemniej załoga „Streakera” dokonała cudu, ożywiając dziesiątki wraków i wysyłając je w ostatnią podróż. Znaczyło to, że, zważywszy wszystko razem, słowa Rety były niesprawiedliwe.

Jest tu powietrze – pomyślał Dwer. – A także maszyna produkująca pastę, którą możemy jeść choćby z trudem. Udało się nam powstrzymać śmierć. Na pewien czas.

Nie był zbytnio zadowolony z ich sytuacji, ale po serii cudownych ocalań, jaką było kilka ostatnich dni, był skłonny uważać fakt, że nadal zachował życie i zdrowie, za powód do zdziwienia i radości, nie gorzkich skarg.

Rzecz jasna, Rety spoglądała na świat w swój szczególny sposób. W końcu jej młode życie było znacznie trudniejsze niż jego.

– *czuję zapach każdego kąta tej starej łodzi* – odezwał się piskliwy głosik, przemawiający w anglicu z syczącym akcentem i nutą triumfu. – *nie ma śladu metalowych potworów, najmniejszego! przegналиśmy wszystkie!*

Mówiący truchtał po sterowni na czterech miniaturowych, zakończonych kopytkami nóżkach. Był czworonogiem o dwóch szcypłych centauroidalnych rękach i ruchliwej, węzowatej szyi. Mały yee uniósł dumnie głowę, podbiegł do Rety i wsunął się do torby u jej pasa. Oboje zwali się „mężem i żoną”. Podobny międzygatunkowy związek mógł mieć odrobinę sensu dla Jijanina, ale z pewnością zdumiałby każdego obywatela Cywilizacji Pięciu Galaktyk. Gadatliwy uryjski samiec i niedojrzała, niemyta ludzka dziewczyna stanowili osobliwą parę.

Dwer potrząsnął głową.

– Te roboty nie przstraszyły się naszego groźnego wyglądu. Ukrywaliśmy się przed nimi, sparaliżowani strachem, pamiętasz? – Wzruszył ramionami. – Założę się, że nie przeszukały statku, bo od razu zauważyły, że to pusta skorupa.

Z podmorskiego cmentarza wystartowało prawie sto starożytnych wraków, wskrzeszonych przez Hannesa Suessiego i jego bystrych delfinich inżynierów. Miały one zamaskować odlot „Streakera”, dając Ziemiom choć niewielką szansę ucieczki przed potężnym jophurskim okrętem liniowym. Obecność Dwera na pokładzie jednego z celów pozornych była rezultatem serii absurdalnych

przypadków. (W tej chwili powinien lądować balonem na gorące powietrze pośród Szarych Wzgórz na Jijo, wypełniwszy dawne zobowiązanie, a nie mknąć przez czarny kosmos, oddalając się od dzikich pustkowi, które znał najlepiej).

Ale Rety trafiła tu celowo! Dwer uświadamiał sobie teraz, że plan kradzieży gwiazdolotu musiał się kształtować w jej podstępny mózgu już od tygodni.

– Sokowe pierścienie nas odcięły, żeby móc ścigać delfiny w jakimś innym miejscu? Wiedziałam, że tak będzie – ucieszyła się Rety.

– Teraz musimy tylko dolecieć do Pięciu Galaktyk. Dotrzyjmy w jakieś ruchliwe miejsce, znajdziemy przelatujący statek handlowy i dobijmy targu. Ten stary wrak musi być coś wart. Przekonasz się, Dwer, że spotkanie ze mną było najszcześniejszym wydarzeniem w twoim życiu! Jeszcze mi podziękujesz, kiedy zostaniesz gwiazdowym bogiem i będziesz sobie żył w dostatku przez trzysta lat.

Uśmiechnął się, widząc jej entuzjazm. Z jaką łatwością potrafiła zapomnieć o bieżących problemach! Na przykład o fakcie, że wszyscy troje są prymitywnymi Jijanami. Nauczenie się pilotowania statku kosmicznego byłoby bardzo trudnym zadaniem nawet dla nadzwyczaj zdolnego rodzeństwa Dwera – Larka i Sary – mimo że oboje byli młodszymi mędrkami Wspólnoty Sześciu Gatunków.

Ale ja jestem tylko prostym zwiadowcą! Talent do tropienia zwierząt nic mi nie pomoże w nawigacji od gwiazdy do gwiazdy!

Rety z kolei wychowywała się w bandzie wygnańców, zdiczałych przedterminowych osadników, i dopiero przed kilkoma miesiącami zaczęła opanowywać sztukę pisania.

– Hej, nauczycielu! – zawołała dziewczyna. – Pokaż nam, gdzie jesteśmy!

Cztery szare skrzynki przyśrubowane do podłogi połączone kablami ze starożytną kolumną sterowniczą. Trzy z nich zostawiły tutaj delfiny. Zaprogramowano je tak, aby przeprowadziły statek przez już zakończony manewr ucieczki. Ostatnia była przenośnym „doradcą” – mówiącą maszyną – otrzymaną przez Rety od załogi „Streakera”. Dziewczyna pokazywała już Dwerowi swoją zabawkę, nim zjawily się jophurskie roboty.

– *Bierne czujniki pracują z wydajnością tylko siedmiu procent* – odpowiedziało urządzenie. – *Aktywne czujniki są nieczynne. W związku z tym odwzorowanie nie zachowa precyzyjnych proporcji...*

Między Rety a Dwerem raptownie pojawił się jeden z tych magicznych holoobrazów, które się poruszały i pod każdym względem wyglądały jak rzeczywiste. W jednym z dolnych rogów paliła się gorejąca kulka. Wielka Izmunuti – uświadomił sobie Dwer z przesadnym dreszczem. Żółty punkcik ulokowany w samym środku reprezentował ich nieszczęsny statek. W pobliżu lśniło kilka podobnych. Wszystkie przemieszczały się powoli w górę i w prawo.

Jophurzy porzucili wszystkie pojmane cele pozorne. To chyba znaczy, że wiedzą, gdzie jest „Streaker”.

Pomyślał o Gillian Baskin, bardzo smutnej i pięknej, dźwigającej brzemiona, których nie był w stanie pojąć. Podczas krótkiego okresu, który spędził na pokładzie ziemskiego gwiazdolotu, towarzyszyło mu przecucie... wrażenie, że nie spodziewała się dźwigać ich zbyt długo.

W takim razie po co to wszystko? Jeśli nie było szans ucieczki, dlaczego Gillian skazywała swą biedną załogę na tak wiele bólu i wysiłku?

– *Spójrzcie na jophurski okręt liniowy* – odezwał się nauczyciel. W górnym prawym rogu pojawił się niewyraźny punkt, który błyskawicznie przemieszczał się w lewo, zmierzając pod ostrym kątem w stronę Izmunuti. – *Zmienił drastycznie kurs i porusza się z maksymalną prędkością*

możliwą na poziomie C.

– A czy widzisz „Streakera”? – zapytał Dwer.

– *Nie. Jednakże sądząc z kąta, pod jakim porusza się ścigający go „Polkjhy”, terrański statek może być zamaskowany przez czerwonego olbrzyma.*

Rety siedziała ze skrzyżowanymi nogami na podłodze obok Dwera. Jej oczy lśniły w blasku hologramu.

– Zapomnij o Ziemiakach – zażądała. – Pokaż nam, dokąd lecimy.

Obraz się przesunął. Izmunuti i jophurska fregata zniknęły z pola widzenia. Od góry nasunęła się na nie zamazana plama, na której trudno było zawiesić wzrok. Wzdłuż niej przesunęły się szeregi symboli i cyfr – informacje, które mogły coś znaczyć dla siostry Dwera, ale w nim budziły jedynie lęk.

– To jest punkt transferowy, prawda? – zapytała Rety. Jej głos nagle ucichł. – Dziura, która zaprowadzi nas do Pięciu Galaktyk?

– *W pewnym sensie rzeczywiście jest to dziura, ale ten punkt transferowy nie może służyć jako bezpośrednia droga wyjścia z Czwartej Galaktyki, w której się znajdujemy. W tym celu będziemy musieli podążać wzdłuż nici tranzytowych, prowadzących do innych węzłów hiperprzestrzennych. Znacznie większych węzłów, umożliwiających długodystansowe skoki.*

– Chcesz powiedzieć, że będziemy musieli kilkakrotnie przenosić kajak ze strumienia do strumienia? – zapytał Dwer, porównując ich podróż do przeprawy przez góry drogą wodną.

– *Twoja metafora ma pewne ograniczone zastosowanie. Zgodnie z najnowszymi danymi nawigacyjnymi przejście z tej galaktyki do regionów o gęstszej populacji można osiągnąć przez serię pięciu transferów; trzech transferów i dwóch długich skoków przez hiperprzestrzeń poziomu A; dwóch trudnych transferów, jednego przejścia przez poziom A i trzech kursów przez poziom B; albo...*

– Starczy – przerwała Rety, klaszcząc w dłonie, by uciszyć maszynę. – W tej chwili chcę tylko wiedzieć, czy dotrzemy w całości do tego punktu?

Nastąpiła krótka przerwa. Maszyna się zastanawiała.

– *Jestem jednostką uczącą, nie nawigatorem gwiazdolotu. Mogę ci tylko powiedzieć, że nasz pseudopęd poziomu C powinien donieść statek na skraj węzła. W takim przypadku resztki mocy zachowanej w silnikach mogą wystarczyć, by nakierować go na jedną z prostszych nici transferowych.*

Rety nie musiała się odzywać. Jej triumfalna mina mówiła sama za siebie. Wszystko szło zgodnie z podstępny planem dziewczyny.

Dwer jednak nie dał się nabrać.

Może i jest bajecznie zdolna – pomyślał. – Ale także bardziej zwariowana niż mierzwopająk.

Wiedział o tym już od chwili, gdy przed kilkoma miesiącami oboje omal nie zginęli w Górach Obrzeźnych, złapani w pułapkę przez obłąkane stworzenie z antykwaryczną pasją, zwane Jedynym W Swoim Rodzaju. Od tej pory Rety okazywała odwagę graniczącą z maniacką lekkomyślnością. Dwer uważał, iż przeżyła tylko dzięki temu, że Ifni nagradza szaleńców specjalnym zestawem oszukańczych kości.

Nie miał pojęcia, co to jest punkt transferowy, miał jednak wrażenie, że to, co zamierzali zrobić, jest bardziej niebezpieczne niż drażnienie ruoula przez podsuwanie mu pod pysk fetorowego robaka.

No cóż – pomyślał z westchnieniem. – Obecnie nie mogę nic w tej sprawie zrobić.

Jako tropiciel wiedział, że są chwile, gdy najlepiej jest zachować bierność i ćwiczyć cierpliwość, pozwalając naturze robić swoje.

– Jak uważasz, Rety. Ale na razie wyłączmy to cholerstwo. Pokaż mi znowu tę maszynę do produkcji żywności. Może uda się nauczyć ją przyrządzania czegoś lepszego niż tłusta pasta.

HARRY

Przekształcił stację, upodabniając ją do czegoś w rodzaju marsjańskiego arachnita, czarnego owalnego ciała przycupniętego na smukłych, patykowatych nogach. Był to element jego planu mającego uporać się z problemem metaforycznych skórek od bananów.

Po rozważeniu problemu i konsultacji z archiwum symbolicznych odniesień Harry doszedł do wniosku, że żółte dziwolągi muszą stanowić alloforyczną reprezentację krótkoskalowych odkształceń czasowych. Każde z nich owijało się wokół siebie przez kilka podprzestrzennych wymiarów. Po wpadnięciu na jedno z nich początkowo napotykało się tylko niewielki opór. Potem, bez ostrzeżenia, zaczynało się śliskie, odpychające pole, odrzucające z wielkim przyśpieszeniem intruza z powrotem do punktu, z którego przybył.

Jeśli ta teoria była prawdziwa, Harry miał szczęście, że udało mu się przeżyć pierwsze spotkanie z paskudnymi tworam. Kolejny błąd może się okazać znacznie bardziej... wybuchowy.

Ponieważ w tym regionie poziom E lot najwyraźniej był memetycznie wykluczony, morfologia pająka okazała się najlepszym pomysłem, jaki przyszedł Harry'emu do głowy. Ten sprytny sposób pozwoli mu przemieszczać się na szudłowatych nogach z jednego stabilnego punktu do drugiego. Wiązało się to jednak z ryzykiem. Dlatego odkładał próbę przez kilka dni w nadziei, że stanowiącą anomalię rafę dotknie kolejne przejście fazowe. Irytujące „skórki” w każdej chwili mogły po prostu wyparować albo przeobrazić się w jakąś mniej śmiertcionośną zniewagę. Dopóki miał dobry widok na obszar, który kazano mu obserwować, najbezpieczniej było po prostu siedzieć i czekać.

Rzecz jasna, wiedział, dlaczego ten posterunek przydzielono mało wartościowemu rekrutowi z Ziemi. Wer'Q'quinn oznajmił, że Harry wykazuje w testach idealne połączenie cynizmu z oryginalnością, kwalifikujące go do zajęcia obserwatora w przestrzeni alloforycznej. Prawda jednak wyglądała tak, że przestrzeń E nie pociągała większości tlenodysznych. Wielkie klany Cywilizacji Pięciu Galaktyk uważały ją za, w najlepszym wypadku, osobliwe dziwactwo. Była niebezpieczna i nieprzewidywalna. W przeciwieństwie do poziomów A, B i C prowadziło przez nią niewiele skrótów, pozwalających przyśpieszyć podróż przez ogromne próżniowe pustynie normalnej przestrzeni. Każdy, komu się śpieszyło – albo kto miał silny instynkt samozachowawczy – wybierał punkty transferowe, hipernapęd albo miękkie kwantowe tunelowanie, zamiast zapuszczać się do królestwa, którym władała kapryśna subiektywność.

Rzecz jasna, tlenodyszni byli jedynie najbardziej jaskrawą i rozgorączkowaną z ośmiu kategorii życia. Harry sporządzał notatki, gdy tylko zauważył wodorodysznych, kwantowców, memoidy i inne egzotyczne typy, podchodzące do upływu czasu z osobliwym lekceważeniem.

Właściwie nie uważają go za wroga, tak jak my, tlenowcy.

Jego szefowie z Instytutu Nawigacji byli bardzo zainteresowani danymi o tych niezwykłych poczynaniach, ale Harry nie bardzo rozumiał, dlaczego ich to obchodzi. Kategorie rozumności kontaktowały się ze sobą tak rzadko, że równie dobrze mogłyby zamieszkiwać odrębne wszechświaty.

Niemniej w owym dziwacznym krajobrazie można było ukryć bardzo wiele i ów fakt niekiedy przyciągał tu tlenowe formy życia. Od czasu do czasu jakaś frakcja albo sojusz próbowały wysłać tędy flotę wojenną, narażając się na uciążliwości przestrzeni E, aby móc zaskoczyć rywali. Również przestępcy niekiedy wybierali sekretną ścieżkę wiodącą przez to zdradzieckie królestwo. Harry'ego nauczono wypatrywać przedterminowych osadników, genowych rabusiów, składniowych złodziei i innych złoczyńców próbujących obejść surowe zasady migracji i Wspomagania. Zasady, które nadal

chroniły znany kosmos przed chaosem i ruiną.

Harry nie miał złudzeń co do swego statusu. Wiedział, że takie właśnie niebezpieczne i nudne zadania wielkie Instytuty przydzielają niskim rangą podopiecznym nieważnego klanu. Mimo to poważnie traktował przysięgę, jaką złożył Wer'Q'quinnowi i Instytutowi Nawigacji. Zamierzał pokazać wszystkim niedowiarkom, czego potrafi dokonać neoszympan.

Jego determinację poddano próbie, gdy przerwał następny okres odpoczynku, by wyrzeć przez żaluzje. Zaspany operator zamrugał z zaskoczenia na widok ciągnącego się bez końca szeregu ząbkowanych, zielonych wyniosłości, który pojawił się tu, kiedy on spał. Wijące się sinusoidalnie po pobliskim obszarze twory przypominały zanurzony do połowy w gruncie, wyposażony w kolce grzbietowe tors jakiegoś gigantycznego, leniwego węża morskiego. Ciągnął się on w obu kierunkach aż po horyzont, zasłaniając widok na fioletową równinę.

Wąż posuwał się naprzód bardzo ospale i zapewne upłynie kilka pseudodni, nim Harry znowu będzie miał dobry widok. Gapił się przez pewien czas na falujące miarowo sploty, zastanawiając się, jaka kombinacja rzeczywistości i jego procesów mentalnych mogła spowodować powstanie czegoś takiego. Jeśli był to memoid – jeszcze jedna samopodtrzymująca się, żywa abstrakcja – jego ogrom pozwoliłby mu pochłonąć większość ożywionych idealizacji o skromniejszych rozmiarach, pasących się w pobliżu.

Czy jeśli jakaś idea wyrasta do wystarczająco wielkich rozmiarów, przeradza się w element krajobrazu? Czy zlewa się z podstawową strukturą przestrzeni E? Czy uczestniczy potem w motywowaniu całego kosmosu?

Jedno było pewne: nie mógł obserwować wyznaczonego obszaru, gdy widok przesłaniało mu coś takiego!

Niestety, cholerne skórki od bananów nadal otaczały stację alloforycznym polem minowym. Mimo to najwyraźniej nadeszła pora, aby ruszyć w drogę.

Gdy spróbował ręcznie sterować patykowatymi nogami, stacja zaczęła się kołysać. Najwyraźniej jego wysmukła wieża docierała do granic wysokości osiągalnej w tym regionie, gdzie lokalne prawa fizyki zabraniały lotu. Cała struktura chwiała się i trzykrotnie omal nie upadła, nim wreszcie nauczył się nad nią panować.

Niestety, opcja przejścia na sterowanie komputerowe była wykluczona. „Tryb pilotażu” w przestrzeni E często bywał bezużyteczny, ponieważ maszyny potrafiły być ślepe i głuche na leżące tuż przed nimi allofory.

– No to jazda – wyszeptał, z wielką ostrożnością posuwając platformę zwiadowczą naprzód. Unosił jedną pajęczą nogę, przesuwał ją delikatnie nad żółto-brązową „skórką” i stawiał na najdogodniejszym skrawku wolnego gruntu, jaki miał w zasięgu. Potem sprawdzał, czy stoi pewnie, przesuując środek ciężkości stacji powoli ku przodowi, aż wreszcie dochodził do wniosku, że może bezpiecznie spróbować z następną nogą.

Ta procedura bardzo przypominała szachy. Trzeba było myśleć co najmniej na kilkanaście ruchów naprzód, ponieważ nie można było się cofnąć. „Odwracalność” była pojęciem pozbawionym znaczenia w kontinuum, w którym „śmierć” mogła przybrać atrybuty fizycznej istoty, a „entropia” była kolejnym drapieżnym pojęciem grasującym na sawannie idei.

Wędrówka przerodziła się w powolną, pełną napięcia harówkę, nudną, ale jednocześnie bardzo wymagającą. Harry znienawidził symboliczne skórki od bananów jeszcze silniej niż przedtem. Wykorzystywał to uczucie, by łatwiej się skoncentrować, posuwając się powoli między żółtymi

emblematami śliskości. Wiedział, że każdy błędny krok może spowodować, że zwiadowczy stateczek runie ku kolorowej zagładzie.

Wiedział, że skórki wyczuwają w jakiś sposób jego niechęć. Miał wrażenie, że ich granice cofają się nieco i twardnieją pod jego spojrzeniem.

– Do tego rodzaju obowiązków nie potrzebujemy beznamiętnych wykonawców – wyjaśnił Wer'Q'quinn, gdy Harry dołączył do Korpusu Obserwatorów w Bazie Kazzkark.

– Jest wielu innych, których mogliśmy wybrać. Ich umysły są bardziej zdyscyplinowane. Mają więcej dystansu, ostrożności, a według większości kryteriów, także inteligencji. Owi ochotnicy są jednak potrzebni gdzie indziej. Na poziomie E bardziej użyteczny będzie ktoś taki jak ty.

– Kurde, dziękuję – odparł Harry. – Chcesz powiedzieć, że na tej misji nie muszę być sceptyczny?

Szef szwadronu pochylił wielką, robakowatą głowę. Szeleszczące segmenty pancerza ukształtowały słowa w stukach i trzaskach piątego galaktycznego.

– Tylko ci, którzy zaczynają od sceptycyzmu, mogą się otworzyć na prawdziwą przygodę – kontynuował Wer'Q'quinn. – Istnieje jednak wiele różnych typów sceptycznego podejścia. Twoje jest przyziemne i instynktowne. Bierzesz wszystko do siebie, młody Ziemianinie, jakby wszechświat był zainteresowany utrudnianiem ci życia. Na większości płaszczyzn rzeczywistości stanowi to katastrofalny błąd, wywodzący się z solipsystycznej pychy. Jednakże na poziomie E może się to okazać jedynym sposobem na poradzenie sobie z kapryśnym kosmosem.

Po tej rozmowie Harry miał dziwnie mieszane uczucia, jakby jednocześnie spotkała go najgorsza zniewaga i najwyższa pochwała. W rezultacie jego determinacja wzrosła.

Być może na to właśnie liczył Wer'Q'quinn.

Nienawidzę was – pomyślał do absurdalnych, uwłaczających mu żółtych skórek. Na jakimś poziomie rzeczywistości mogły być jedynie naturalnymi wypaczeniami przestrzeni, opisywanymi przez bezduszne równania. Prowokowały jednak Harry'ego swym wyglądem, budziły odruchową niechęć, którą wykorzystywał, omijając pułapki tak, jakby każdy sukces oznaczał upokorzenie prawdziwego wroga.

Zgrzał się i spocił. Z upływem kolejnych pełnych napięcia i ostrożności godzin kabinę wypełniał coraz intensywniejszy stęchły odór.

Wreszcie poruszający się na pajęczych nóżkach wehikuł przeskoczył zgrabnie ostatnią przeszkodę. Harry odetchnął głęboko – zmęczony, śmierdzący i zwycięski. Być może na jakimś poziomie allofory z rafy zdawały sobie sprawę, że poniosły porażkę, ponieważ w tej właśnie chwili „skórki” zaczęły się przeradzać z żółto-brązowych rozgwiazd w inne formy, pełne kolców i zakrętasów...

Harry nie czekał, by zobaczyć, czym się staną. Rozkazał programowi pilotującemu oddalić się stąd jak najprędzej.

Potrzebował chwili, by znaleźć drogę pozwalającą ominąć zielonego „potwora morskiego”. Przedostał się przez lukę między dwoma falującymi powoli zwojami. Podczas przejścia gapił się niespokojnie na fragmenty torsu żywego conceptualnego lewiatana. Potem stateczek pomknął przez otwartą fioletową równinę, kierując się ku najbardziej obiecującemu punktowi – stabilnemu brązowemu wzniesieniu, zbyt jałowemu i prozaicznemu, by mogło przyciągnąć głodne memoidy. Będzie tam mógł spokojnie się zatrzymać i obserwować przydzieloną mu strefę patrolową.

Wzgórze znajdowało się dość daleko – co najmniej kilka midur subiektywnego czasu drogi. Otaczająca Harry'ego płaska jak stół powierzchnia wyglądała na zupełnie spokojną. Nieliczne

alloforyczne istoty, jakie zaobserwował, pośpiesznie schodziły mu z drogi. Większość typów drapieżnych memów nie lubiła uproszczonych zapachów metalu i innych twardych intruzów z odmiennych poziomów rzeczywistości.

Doszedł do wniosku, że może bezpiecznie zejść na dół i wziąć prysznic. Potem, wyczesując węzły z futra, zamówił u autokucharza coś do jedzenia. Zastanawiał się, czy się chwilkę nie przespać, ale nadal był zbyt podekscytowany. W takiej sytuacji nawiedzałoby go mnóstwo snów i raczej by nie wypoczął. Zresztą rozsądniej będzie mieć oko na poruszający się statek. Nie było pewności, że tryb pilotażu zauważy wszystkie przeszkody.

Okazało się, że to fortunna decyzja. Po powrocie na górę Harry przekonał się, że jego wierny statek jest już znacznie bliżej celu, niż się tego spodziewał.

Szybko posuwa się naprzód. Pokonaliśmy już połowę drogi w górę stoku – pomyślał, wyglądając kolejno przez wszystkie okna. – To powinien być idealny punkt obserwacyjny.

Kilka instrumentów na tablicy rozdzielczej zafurkotało i zaćwierkało z nagłą ekscytacją. Harry sprawdził wskaźniki i zorientował się, że przed nim, tuż za szczytem wzniesienia, znajduje się coś wykonanego przeważnie z dotykanej materii. Obiekt nie sprawiał wrażenia pochodzącego z którejś z pozostałych kategorii rozumności. Wykazywał wszystkie znajome, podejrzane cechy statku Cywilizacji Pięciu Galaktyk.

Tlenowcy – pomyślał Harry.

Mam was!

Gdy sprawdzał systemy uzbrojenia, przeszył go dreszcz. Po to właśnie go szkolono. Spotkanie z własnym rodzajem życia, wędrującym przez przestrzeń, której nie powinny odwiedzać protoplazmatyczne istoty. Cieszył się na myśl o zatrzymaniu i inspekcji gwiazdolotu należącego do jakiego zarozumiałego klanu, jak Soranie albo Tandu. Może udławią się na myśl o hańbie, jaką będzie przyłapanie i wymierzenie mandatu przez nędznego szympansa z klanu ziemskich dzikusów.

Właściwie nie jesteś tu po to, by walczyć – powiedział sobie, gdy uzbrojenie stateczku przygotowywało się do akcji. – Twoje zadania to obserwacja i składanie meldunków.

Niemniej był przedstawicielem prawa, co pozwalało mu wypytywać podróżujące tą trasą tlenowe istoty. Co więcej, ostrożność wymagała, by przygotował broń. Podczas misji na poziomie E zwiadowcy często znikali bez śladu. Atak bandy przestępców mógł się wydawać bardziej prozaiczny od pożarcia przez oszalałą, samorozprzestrzeniającą się ideę, ale śmierć pozostawała śmiercią.

Obiekt się nie porusza – zauważył z lekkim zdziwieniem Harry.

– Po prostu siedzi sobie kawałek za szczytem. Być może statek jest uszkodzony albo napotkał jakieś trudności. A może...

Pośród niepokojących możliwości przemykających przez jego umysł pojawiła się myśl o zasadzce. Obiekt mógł się na niego czaić.

Niemniej czujniki Harry'ego były przystosowane do funkcjonowania w przestrzeni E, intruzi zaś, kimkolwiek byli, zapewne dysponowali tylko standardowymi instrumentami stosowanymi w gwiazdolotach. Było wysoce prawdopodobne, że jeszcze go nie wykryli!

Może uda mi się ich zaskoczyć.

Zastanawiał się jednak, czy na pewno byłby to dobry pomysł. Mijały kolejne dury i pseudodystans do celu malał. W tym kontinuum tlenodyszne istoty często stawały się nerwowe. Być może nawet skłonne najpierw strzelać, a potem pytać. Niewykluczone, że zaskoczenie było przeceniane. Z opóźnieniem uświadomił sobie, że stacja nadal jest sformatowana na kształt arachnita! Posuwała się wielkimi krokami na pajęczych nogach i wyglądała groźnie. Ta konstrukcja zapewniała mu dobry widok na otoczenie... i narażała statek na uszkodzenia, gdyby doszło do wymiany ognia.

No cóż, za późno już na zmiany. Ruszamy naprzód, gotowi czy nie!

Wspiąwszy się na metaforyczne wzgórze, Harry uruchomił transponder rozpoznawczy, dumnie wyświetlający symbole reprezentujące jego oficjalny status przedstawiciela jednego z Wielkich Instytutów kultury galaktycznej.

Intruz pojawił się w polu widzenia, wypełniając przednią szybę. Podłużna, przysadzista sylwetka przypominała straszliwego, opancerzonego chrząszcza o groźnych szczypcach. Ta groźna broń skierowała się teraz w stronę Harry'ego. Zestawy patykowatych emiterów poruszały się nad czołem owada na podobieństwo czułków, odpowiadając agresywnymi symbolami na wyzwanie obserwatora. Kipiące bryły ucieleśnionego sensu przemykały przez zmniejszającą się przestrzeń dzielącą od siebie oba statki. Gdy pierwsza uderzyła w przednią szybę, rozległ się niosący się głośnym echem dźwięk, który zaraz przerodził się w wypełniający kabinę krzyk:

PODDAJ SIĘ, ZIEMIANINIE! OPÓR JEST BEZUŻYTECZNY! SKAPITULUJ ALBO ZGINIESZ!

Harry zamrugał. Gapił się na intruza przez dwie albo trzy dury, z ręką zawieszoną nad guzikiem otwierającym ogień. O szyby wciąż uderzały nowe groźby:

ZATRZYMAJ STATEK I ULEGNIJ! PRZYGOTUJ SIĘ NA SPOTKANIE ZE STWÓRCĄ! ŚCIAGAJ SPODENKI! UZNAJ SWOJĄ PORAZKĘ! PODDAJ SIĘ, W IMIENIU PRAWA!

Z ust Harry'ego wyrwał się cichy jęk.

To na pewno Zasusazu, mój zmiennik. Czyżby mój czas już minął?

Któż zatrzymałby się na szczycie wzgórza w przestrzeni E, widoczny dla wszystkich, jeśli nie kolejny zwariowany rekrut służący Wer'Q'quinnowi?

Kolejne przeraźliwe banały rozbijały się o szybę. Kabinę wypełniały bolesne echa, aż do chwili, gdy Harry odpowiedział ogniem, obrzucając Zasusazu kolejnymi salwami ekspresyjnych terrańskich przekleństw, zaspokajających apetyt jego kolegi na barwne inwektywy stosowane przez dzikusów.

– Śmieję się, dopóki możesz, żabia gębo! Co ty na to, przerośnięta kupo śluzu? Stary serze pleśniowy!

Roześmiał się, częściowo z ulgi, a częściowo dlatego, że obsesja Zasusazu wydawała się okropnie głupia.

No cóż, każdy, kto pracuje dla Wer'Q'quina, jest trochę dziwny – pomyślał, próbując okazać wyrozumiałość. – Zasusazu nie jest taki zły. Przynajmniej lubi małe niespodzianki od czasu do czasu.

Niemniej, nawet gdy wymienił już raporty ze zmiennikiem i przekazał mu obowiązki obserwatora królestwa idei, Harry zastanawiał się nad swoją reakcją na wiadomość o końcu służby. W końcu misja była męcząca i z pewnością zasłużył na odpoczynek. Jednakże pomimo frustracji, niebezpieczeństw i samotności towarzyszących pobytowi w przestrzeni E zawsze czuł się rozczarowany, gdy nadchodził czas powrotu do domu.

Do domu? Może sednem problemu był ten termin.

Zastanawiał się nad owym słowem, jakby było konceptualnym stworzeniem wędrującym po fioletowej równinie.

To nie może być Horst, bo nienawidziłem każdej spędzonej tam minuty. Ani Ziemia, gdzie mieszkałem zaledwie rok, samotny i zdezorientowany.

Czy Baza Kazzkark może być „domem”, jeśli nie ma tam ani jednego mojego pobratymca?

A może Instytut Nawigacji pełni tę funkcję, ponieważ przeniósłem na niego lojalność, jaką inni rezerwują dla rodziny i ojczyzny?

Harry uświadomił sobie, że nie potrafi zdefiniować tego pojęcia.

Wszystkie powierzchniowe znaki orientacyjne i punkty odniesienia zmieniły się, odkąd opuścił

Kazzkark. Mimo to główna trasa nadal wydawała mu się znajoma. Ani przez chwilę nie bał się, że zabłądzi.

Nie zdziwił się zbytnio, gdy czerwono-niebieskie niebo obniżyło się stopniowo, stykając się z „ziemią” niczym potężna ściana. Przejął sterowanie, wyłączając autopilota, i bardzo ostrożnie przeprowadził kroczącą zgrabnie stację przez dogodny otwór w nieboskłonie.

SARA

Najwyżsi mędrcy mówią nam, że istnieje szczególny rodzaj pokoju, który przychodzi wraz z rezygnacją.

Z wyrzeczeniem się wysiłków życia.

Porzuceniem nadziei.

Gdy Sara obserwowała, jak Gillian Baskin próbuje zdecydować, czy żyć, czy umrzeć, po raz pierwszy zrozumiała sens owej starożytnej mądrości.

Nikt – ani złożona z delfinów załoga, ani Hannes Suessi, ani Niss – nie wątpił, że jasnowłosa agentka Rady Terrageńskiej ma prawo i obowiązek podjąć tę decyzję w imieniu wszystkich przebywających na pokładzie osób, ani że posiada niezbędną do tego mądrość. Niemy przyjaciel Sary, Emerson, najwyraźniej również zgadzał się z tą opinią, choć nie była pewna, jak wiele okaleczony był inżynier rozumie z szalonego tańca świateł w holoeckranie, trwającego wokół kipiących płomieni Izmunuti.

Nawet dzieciaki z Wuphonu – Alvin, Huck, Ur-ronn i Koniuszek – akceptowały autorytet dowódcy. Jeśli Gillian uzna, że najlepiej będzie wysłać „Streakera” do niedojrzałego punktu t, by skłonić nieprzyjaciela do pościgu i ocalić w ten sposób Jijo, tylko nieliczne przebywające na pokładzie sfatygowanej gwiazdoloty osoby będą przeklinały jej decyzję. Przynajmniej położy to kres ich nieustającym kłopotom.

Daliśmy za wygraną. Pogodziłam się z losem i doktor Baskin też.

Ale teraz sprawa nie wydaje się już taka prosta. Gillian dostrzega możliwą alternatywę, lecz jest ona piekielnie bolesna.

Sara nie rozumiała większości poczynań załogi – zarówno na wypełnionym wodą mostku, jak i w suchym pokoju mapowym, gdzie delfiny musiały korzystać z poruszających się na kołach lub na sześciu nogach urządzeń.

Rzecz jasna, jej znajomość galaktycznej techniki wywodziła się sprzed dwóch stuleci i kobieta zaczerpnęła ją wyłącznie ze skąpej kolekcji papierowych książek przechowywanych na Jijo. Jej teoretyczna wiedza sprawdzała się zaskakująco dobrze, jeśli chodziło o analizę warunków panujących w lokalnej czasoprzestrzeni. Całkowicie ją jednak oszołamiały sposoby, na jakie członkowie załogi radzili sobie z praktycznymi problemami. Przekazywali raporty o stanie przez podłączone do mózgu kable albo przesyłali sobie infopakiety złożone z maleńkich, samowystarczalnych odprysków półinteligentnego światła. Gdy delfiny przemawiały na głos, często posługiwały się trudnym do zrozumienia żargonem składającym się z klekotów i nachodzących na siebie krzyków, który nie miał nic wspólnego z żadnym ze standardowych języków galaktycznych. Najbardziej zachwycona była jednak w chwili, gdy doktor Baskin zaprosiła ją, by obserwowała próbę wydobycia informacji z pojmanej jednostki Biblioteki Galaktycznej.

Wielki sześcian umieszczono w odrębnym pomieszczeniu. Spowijały go kłęby zimnej mgły, a jedną ze ścian zdobiła przekreślona spirala – godło sławne nawet wśród dzikich plemion zamieszkujących Jijo. Pod dwunastoma krawędziami i sześcioma ścianami krył się skarbiec wiedzy tak ogromny, że porównywanie go z bibloskim archiwum byłoby jak zestawianie wielkiego morza z jedną łżą.

Gillian Baskin zbliżyła się do jednostki bibliotecznej spowita w widmowy płaszcz iluzji. Jej szczupła, ludzka sylwetka kryła się za komputerowym obrazem monstrualnej, pokrytej łuskami istoty

zwanej „Thennaninem”. Ukryta w pobliskich cieniach Sara mogła jedynie zamrugać z bojaźni, gdy starsza kobieta użyła tej niesamowitej sztuczki. Przemawiająca w szóstym galaktycznym o gardłowym brzmieniu Gillian zadawała pilnie wymagające odpowiedzi pytania dotyczące enigmatycznych istot znanych jako Zangowie.

Ten temat nie spotkał się z przychylnym przyjęciem.

– *Strzeż się mieszania kategorii życia* – zaintonował sześcian lodowatym głosem. Sara pomyślała, że to z pewnością rytualne ostrzeżenie.

– *Ostrożny kontakt najlepiej nawiązuje się w głębiach Majestatycznej Miski, gdzie ci, którzy zrodzili się oddzieleni, mogą bezpiecznie łączyć się ze sobą.*

W owym głębokim miejscu różnice zanikają i rodzi się jedność.

Jednakże tutaj, w czarnej próżni, gdzie przestrzeń jest płaska i promienie światła wędrują prostymi drogami, młode rasy nie powinny nieostrożnie kontaktować się z innymi kategoriami. W tym zewnętrznym królestwie są one dla siebie jak wrogie gazy. Fraternalizacja może prowadzić do pożaru.

Sara była pod wrażeniem proroczego tonu archiwum. Przyszło jej na myśl, że ów typowy dla przypowieści język przypomina Święte Zwoje z Jijo, czytane na głos przez pobożnych podczas świąt shobb. Podobną niejasnością cechowało się wiele innych religijnych tekstów pochodzących z długiego okresu izolacji Ziemi, które poznała w bibloskim archiwum. Owe starożytne tomy wiele od siebie różniło, ale wszystkie były pełne niejasnych alegorii.

W nauce – prawdziwej nauce – zawsze można było poprawić dobrze zadane pytanie, utrudnić zbycie go za pomocą wykrętów. Natura nie zawsze od razu udzielała jednoznacznej odpowiedzi, ale można się było zorientować, kiedy ktoś się wymiguje. Natomiast mistyczna niejasność brzmiała wspaniale i porażająco, nieraz przechodziły od niej ciarki po plecach. W końcu jednak zawsze sprowadzała się do uników.

Ach, ale starożytnych Ziemiaków – i wczesnych jijańskich mędrców – usprawiedliwiała ignorancja. Niejasne przypowieści były czymś naturalnym dla istot, które nie znały lepszych metod. Ale nie spodziewałam się czegoś podobnego od Biblioteki Galaktycznej.

Już od młodych lat Sara marzyła o ujrzeniu podobnej jednostki. Mogłaby ją wypytać o wszystkie nurtujące ją zagadki, zanurzyć się w chmury oczyszczonej mądrości zgromadzonej przez wielkich myślicieli z miliona gatunków w ciągu z górą miliarda lat. A teraz czuła się jak Dorota zdradzona przez szarlatana w sali tronowej Oza.

Och, wewnątrz lodowatego sześcianu z pewnością kryła się prawdziwa wiedza, zakamuflowana gdzieś w głębokich zakamarkach. Biblioteka nie chciała się nią jednak dzielić, mimo że doktor Baskin wdziała przebranie wodza wojsk szlachetnego klanu.

– *Gr-tuthuph-manikhochesh, zangish torgh mph* – zażądała Gillian nosząca maskę thennańskiego admirała. – *Manik-hophtupf, mph!*

Guzik umieszczony w uchu Sary na bieżąco tłumaczył ekscentryczny dialekt:

– Jak rozumiemy, Zangowie z natury nie lubią niespodzianek – mówiła doktor Baskin. – Powiedz mi, jak mogą zareagować, gdy po jednym nieprzyjemnym szoku spotka ich kilka następnych. Następna odpowiedź Biblioteki była tylko odrobinę bardziej otwarta.

– *Termin „Zangowie” określa tylko jedną z podklas wodorodysznych form, wariant najczęściej spotykany przez tlenodysznych w otwartym kosmosie. Większość wodorodysznych rzadko opuszcza bezpieczne skupiska gęstych burz cyrkulacyjnych na swych masywnych planetach...*

Wykład ciągnął się bez końca. W normalnej sytuacji Sara uznałaby zawarte w nim informacje za

fascynujące. Nie mieli jednak na to czasu. Za niespełna midurę będą musieli podjąć decyzję o kluczowym znaczeniu.

Czy „Streaker” powinien kontynuować szalony lot ku zmartwychwstałemu punktowi transferowemu? Pozostawał on w uspieniu od pół miliona lat – od chwili, gdy Czwartą Galaktykę ogłoszono za pozostawioną odłogiem dla życia rozumnego – i zapewne nie mógł jeszcze zapewnić bezpiecznego przejścia. Niemniej jego niesamowite wskrzeszenie otworzyło przed zbiegami straszliwą szansę.

Rozwiązanie Samsona. Zwalimy dach na siebie i na swych wrogów.

Ale teraz los zdawał się oferować im inną, zdumiewającą szansę. Obecność maszyn wydobywczych oraz statków Zangów pozostawała niewyjaśniona. Armada sprawiała wrażenie słabej, uciekała w popłochu przed niespodziewanymi burzami na Izmunuti.

Czy mimo to może nam jakoś pomóc w pokonaniu Jophurów bez potrzeby płacenia za to życiem?

Rozkazy Rady Terrageńskiej jasno określały priorytety Gillian. Statek przewoził skarby – relikty o wielkim znaczeniu, które mogły całkowicie zdestabilizować sytuację w Pięciu Galaktykach, zwłaszcza gdyby zagarnął je jakiś klan fanatyków. Mała, uboga Ziemia nie mogła wziąć na siebie odpowiedzialności za to, że jakiś agresywny sojusz zdobędzie przewagę nad pozostałymi. Nic nie mogłoby skuteczniej doprowadzić do unicestwienia Terry. Byłoby znacznie lepiej, gdyby statek zaginał razem z załogą, niż gdyby jakaś wrogo nastawiona grupa, taka jak Jophurzy, miała zdobyć monopol na jego ładunek. Zwłaszcza jeśli rzeczywiście zbliżał się przepowiadany Czas Zmian.

Co jednak, jeśli „Streaker” zdoła jakoś przekazać swe brzemie prawowitym władzom? W idealnej sytuacji zmusiłoby to Wielkie Instytuty i „umiarkowane” klany do skończenia z wahaniem i podjęcia odpowiednich działań. Do tej pory nieubłagany pościg i załamanie się rządów prawa czyniły ten z pozoru prosty krok niemożliwym. Neutralne siły okazały się tchórzliwe albo nieskłonne udzielić schronienia „Streakerowi”. Niemniej, jeśli zrobią wszystko jak trzeba, ich sukces może zapewnić Ziemskiemu Klanowi triumf na niespotykaną skalę.

Niestety, upływające dury nie przynosiły nic, co ułatwiłoby Gillian podjęcie decyzji. Doktor Baskin słuchała słów Biblioteki z coraz większą frustracją, aż wreszcie postanowiła jej przerwać.

– Nie musisz mi powtarzać, że Zangowie nienawidzą niespodzianek! Chodzi mi o praktyczne rady! Czy to znaczy, że jeśli się do nich zbliżymy, zaczną strzelać, nie zadając pytań? Czy raczej dadzą nam szansę przemówić? Potrzebuję protokołów kontaktu!

Jednostka biblioteczna była jednak zdeterminowana nadal wyrażać się niejasno albo zasypywać Gillian bezużytecznymi szczegółami. Sara stała w miejscu, z którego przebranie Thennanianina nie zasłaniało jej widoku, i zauważyła, że starsza kobieta jest coraz bardziej podenerwowana.

Mamy jeszcze jedno źródło – pomyślała Jijanka. – Na pokładzie jest ktoś, kto mógłby nam pomóc w sprawie Zangów.

Do tej pory nie była pewna, czy powinna wspomnieć o owej możliwości. W końcu jej „źródło” było raczej podejrzanе. Upadłe istoty, których przodkowie odwrócili się od rozumności, nic nie wiedziały o kosmicznych dylematach. Teraz jednak, gdy mijały cenne dury i frustracja Gillian rosła, Sara uświadomiła sobie, że musi interweniować.

Jeśli Wielka Biblioteka nie jest w stanie nam pomóc, może powinniśmy zwrócić się do niewiarygodnej legendy.

DZIENNIK ALVINA

Od chwili, gdy nasza grupa odważnych ochotników przyłączyła się do zdesperowanych ziemskich uciekinierów, nie przestawałem porównywać tej wyprawy do naszej poprzedniej wycieczki w łodzi podwodnej własnej roboty – krótkiej wakacyjnej eskapady, która zaprowadziła czworo dzieci osadników na dno morza, a potem do gwiazd.

Rzecz jasna, nasze małe „Marzenie Wuphonu” było tylko wydrążoną kłodą o szklanym nosie. Ursa, hoon, qheuen i g’Keczka ledwie zdołali wcisnąć się do środka, a do tego musieliśmy oddychać na zmiany. Natomiast „Streaker” jest tak obszerny, że można by w nim pomieścić wszystkie khuty z Wuphonu. Są tu wygodny, jakich nigdy sobie nawet nie wyobrażałem, mimo że przeczytałem całe skrzynie terrańskich powieści o czasach gwiazdnych wędrowców.

Mimo to obie wyprawy łączy sporo podobnych cech.

W obu przypadkach dobrowolnie podjęliśmy ryzyko i wyruszyliśmy w mroczną otchłań, aby odkryć niespodziewane cuda.

Podczas obu wypraw moim przyjaciółom i mnie przydzielono odmienne zadania.

I oczywiście na pokładzie „Streakera”, podobnie jak na „Marzeniu Wuphonu”, najgorsza robota przypadła mnie.

Opiekun zwierząt. Oto kim jestem.

Ur-ronn może dawać upust swej pasji do maszynierii, pomagając ekipie Suessiego.

Koniuszek służy jako goniec załozce mostka. Śmiga między suchymi a wypełnionymi wodą częściami statku, błyskając pazurami z typowym dla qheuenów entuzjazmem. To dla niego świetna zabawa.

Huck kręci radośnie kołami. Może odgrywać szpiega, kołyszając czworgiem oczu na szypułkach, by prowokować jophurskich jeńców zamkniętych w celi na dole. Widok żywego g’Keka wprawia ich w szal i sprawia, że zdradzają informacje, których w innym przypadku z pewnością by nie ujawnili. Szkoła przesłuchania oparta na prowokowaniu.

Wszyscy troje mają kontakt z delfinami z załogi i udzielają im znaczącej pomocy. Nawet jeśli wkrótce nieprzyjacielska broń rozwali gwiazdolit na drobne kawałeczki, Huck i pozostali przynajmniej mieli okazję zrobić coś ciekawego.

A ja? Siedzę w ładowni, pilnując stada dwudziestu beczących glawerów oraz pary zrzedliwych noorów. Cała ta menażeria razem wzięta ma tyle zdolności konwersacyjnych, co larwa qheuena.

Według Nissa jeden z noorów powinien być bardzo elokwentny. Wiecie, to nie jest noor, tylko tytal, przedstawiciel gatunku gwiazdnych wędrowców, którzy wyglądają jak noory, cuchną jak one i mają taki sam podły charakter. W jakiś sposób zdołali ukrywać się między nami na Jijo przez wszystkie te lata i nikt się nie zorientował. Siódmy gatunek nielegalnych przedterminowych osadników, który czerpał korzyści z naszej Wspólnoty, ale nie raczył formalnie się do niej przyłączyć.

Muszę przyznać, że to wymagało pewnego sprytu. Niemniej Skarpetka zachowuje się tak samo, jak moja noorka, Huphu. Leniuchuje, zjada wszystko, co nie jest przymocowane do podłogi i wylizuje sobie lśniąca, czarną sierść aż po brązowe łapy, którym zawdzięcza imię. Wszyscy uważają mnie za specjalistę od przemawiania do noorów, ponieważ hoońscy marynarze korzystają z ich pomocy na swych żaglowcach. Noory zręcznie biegają po rejach i olinowaniu, zadowolając się zapłatą w postaci burkotu i kwaśnych kulek. Moim zdaniem to świadczy, jak łatwo jest oszukać hoon.

Współpracowaliśmy z tymi zręcznymi stworzeniami przez długi czas i nie zdołaliśmy się zorientować.

A teraz wszyscy liczą na to, że zdołam skłonić Skarpetkę, by znowu przemówił.

No jasne. A kiedy wrócimy, opublikują ten mój dziennik i dostanę nagrodę Sheldon.

Huphu i Skarpetka nadal łypią na siebie spođe łba i syczą zazdrośnie. To dość typowe dla pary noorów, które jeszcze nie ustaliły swego wzajemnego statusu. Ja tymczasem próbuję zadbać o wygodę swych pozostałych pupilów.

W moim rodzinnym mieście, położonym na wulkanicznym brzegu Stoku, nie oglądamy zbyt wielu glawerów. Te stworzenia uwielbiają rozgrzebywać śmietniska i zbutwiałe kłody w poszukiwaniu smacznych owadów, ale na pokładzie „Streakera” trudno o podobne rzeczy.

Doktor Baskin dobiła targu z Uriel Kowalicą, zamieniając to stadko na grupę członków załogi, którzy zostali na Jijo, by założyć nową kolonię delfinów. To raczej nie był korzystny interes. Kiedy widzę, jak glawery przepychają się i beczą w kacie ładowni, mam trudności z wyobrażeniem sobie ich przodków jako potężnych gwiazdnych wędrowców. W ich wyłupiastych jak u kameleona oczach, poruszających się niezależnie od siebie, wypatrując w sterylnej ładowni pełzających stworzeń, nie widać blasku rozumności. Według jijańskich Świętych Zwojów czyni to owe czworonogi o opalizujących skórach świętymi istotami. Osiągnęły najwyższy cel wszystkich gatunków przedterminowych osadników – odzyskały prostotę i wkroczyły na Ścieżkę Odkupienia.

Odnowione, oczyszczone z grzechu przodków, spoglądają na wszechświat z odzyskaną niewinnością, gotowe na drugą szansę. Tak przynajmniej zapewniają mędracy.

Wybaczcie, ale mnie glawery nie imponują. No wiecie, muszę sprzątać po tych śmierdzących zwierzakach. Jeśli jakiś gatunek opiekunów podejmie się kiedyś szlachetnego zadania ich ponownego wspomoczenia, powinien zacząć od nauki zachowywania czystości.

Na pierwszy rzut oka te brudne stwory nie mają nic wspólnego ze schludnymi noorami, ale i jedne, i drugie lubią, gdy nadymam worek rezonansowy i zaczynam niską, donośną, burkotliwą pieśń. Odkąd wyłoniły mi się dorosłe kręgi, potrafię osiągnąć głęboki rezonans, z którego jestem dumny. To pomaga uspokoić zwierzaki, gdy „Streaker” wykonuje gwałtowny manewr i jego pola grawitacyjne słabną.

Staram się nie myśleć o tym, gdzie w tej chwili znajduje się gwiazdolot, mknący z niewiarygodną prędkością przez płomienną atmosferę gwiazdy olbrzyma.

Na szczęście potrafię burkotać, poprawiając jednocześnie i uzupełniając dziennik na małym urządzeniu uczącym połączonym z autoskrybą, które dostałem od doktor Baskin. Nauczyłem się już pracować z literami, unoszącymi się przede mną w powietrzu, zamiast leżeć spokojnie na poplamionej atramentem kartce. Wygodnie jest móc sięgnąć w głąb tekstu, przesuwać i poprawiać zdania ruchem ręki albo głosem. Wolałbym jednak, żeby maszyna przestała poprawiać moją gramatykę i składnię! Może i nie jestem człowiekiem, ale należę do najlepszych znawców anglicu na Jijo i nie chcę, żeby jakiś przemądrzały komputer mówił mi, że mój dialekt jest „archaiczny”. Jeśli ten dziennik doczeka się kiedyś publikacji na cywilizowanym świecie, jestem pewien, że kolonialny styl zwiększy tylko jego urok, podobnie jak dzieje się to w przypadku staromodnych dzieł Daniela Defoe i Jonathana Swifta.

Mam coraz więcej trudności z pohamowaniem frustracji. Wiem, że moi przyjaciele przebywają w centrum wydarzeń, podczas gdy ja siedzę na dole, gapię się na puste ściany i mam za towarzystwo tylko tępe zwierzaki. Zdaję sobie sprawę, że w ten sposób zwalnię jakiegoś członka przerzedzonej

załogi „Streakera”, by mógł się zająć jakimiś ważniejszymi zadaniami, ale i tak chwilami mam wrażenie, że gradzie zaciskają się wokół mnie.

– Jak ci się zdaje, na kogo się gapisz? – warknąłem, przyłapawszy Skarpetkę na spoglądaniu na przemian na mnie i na unoszący się w powietrzu tekst dziennika. – Chcesz sobie poczytać?

Obróciłem autoskrybę tak, że słowa przesunęły się ku gładkofutremu stworzeniu.

– Podobno wy, tytlale, jesteście okropnie bystrzy. W takim razie powiedz mi, w którą stronę powinienem teraz poprowadzić akcję. Hrm?

Skarpetka gapił się na unoszące się przed nim symbole. Na widok jego miny moje kręgi zaskrzypiały. Zacząłem się zastanawiać.

Jak wiele wspomnień naprawdę zachował ten tajny klan supernoorów? Kiedy dokładnie Tymbrimczycy ulokowali na Jijo zamaskowaną kolonię swych podopiecznych? To musiało się wydarzyć jeszcze przed przybyciem hoonów. Być może zjawili się nawet wcześniej niż g’Kekowie.

Oczywiście, słyszałem wiele legend o sprytnych Tymbrimczykach. Konserwatywni Galaktowie na ogół nie lubili tego gatunku gwiazdnych wędrowców z uwagi na jego nicponiową naturę. Ta sama cecha spowodowała, że Tymbrimczycy zaprzyjaźnili się z Ziemią, gdy ich naiwny klan po raz pierwszy pojawił się na gwiazdnych szlakach. W naszym niebezpiecznym wszechświecie ignorancja może być śmiertelnie groźna i Terrę szybko mógłby spotkać typowy Los Dzikusów, gdyby nie wsparcie i rady Tymbrimczyków.

Ale teraz Pięcioma Galaktykami targają konwulsje kryzysu. Potężne sojusze szukają zemsty za dawne zniewagi. Może się okazać, że Ziemia i jej przyjaciele wyczerpali już swój zasób szczęścia.

Jeszcze przed spotkaniem ludzi Tymbrimczycy z pewnością wiedzieli, że może nadejść dzień, gdy wszyscy wrogowie zjednoczą się przeciwko nim. Na pewno czuli pokusę zakamuflowania niewielkiej populacji w jakimś bezpiecznym miejscu, nim wojna, przypadek lub zdrada położą kres ich gatunkowi.

Czy rozważali wkroczenie na ścieżkę przedterminowych osadników?

Nie jestem ekspertem, ale sądząc z tego, co o nich czytałem, nie wydaje się prawdopodobne, by własna natura pozwoliła Tymbrimczykowi zadowolić się spokojnym, sielankowym życiem na wsiowym świecie, takim jak Jijo. Nawet ludziom ledwie się to udało, a oni są znacznie bardziej rzeczowi.

Nawet jeśli Tymbrimczycy nie mogli się ukryć jako przedterminowi osadnicy, dla ich ukochanych podopiecznych nie było jeszcze za późno. Tytlali nadal nie znano powszechnie i pozostawali bliscy swych zwierzęcych korzeni. Można było częściowo uwstecnić ich małą pulę genową, a potem bezpiecznie zakamufłować ją na odległym Jijo. Wszystko to wydawało się niesamowicie sensowne – w tym również myśl o gatunku wewnątrz gatunku, grupie niewstecznionych noorów, ukrytych wśród pobratymców strażników, którzy szeroko otwierali czarne oczka, wypatrując niebezpieczeństwa... albo szansy.

Obserwując Skarpetkę, przypomiinałem sobie historie opowiadane przez Dwera Koolhana podczas jego krótkiego okresu pobytu na statku. Gdy „Streaker” ukrywał się w głębinach jijańskiego morza, Skarpetka ponoć ciągle wtrącał się we wszystko, podążając za Dwerem przez połowę kontynentu. To dzikie zwierzę cały czas było tajemnicze, wkurzające i nie chciało służyć pomocą. Jego zachowanie zdawało się łączyć typową dla noorów lekkomyślność z godną hoonów zdolnością do długotrwałego skupienia uwagi.

Gdy Skarpetka spoglądał na najnowsze linijki mojej prozy, na jego krótkonosym, drapieżnym pyszczku dominował wyraz inteligentnej ironii – żywa ilustracja moich uwag dotyczących natury tytlali. Zwiął czarnofutre ciało w ciasny kłębek, co mylnie wziąłem za wyraz skupionego

zainteresowania. Mógłbym niemal wyobrazić sobie, że niema noorska żartobliwość przerodzi się nagle w elokwentną mowę – być może jakiś dowcipny komentarz albo brutalny atak na mój prostacki styl.

Wtem Skarpetka poderwał się z wielką energią i skoczył w sam środek unoszących się w powietrzu słów. Machał na lewo i prawo zręcznymi przednimi łapami, drąc zdania na strzępy i odrzucając na bok całe akapity, nim sztuczna grawitacja „Streakera” ściągnęła go na metalową podłogę. Odwrócił się natychmiast z pełnym zachwytem wrzaskiem łowcy i przygotował się do kolejnego skoku.

– Nie zapisuj tych zmian! – zawołałem do autoskryby z niezwykłym dla siebie pośpiechem. – Uczyń cały tekst niedotykalnym!

Moje polecenie sprawiło, że drugi skok Skarpetki okazał się znacznie mniej satysfakcjonujący. Słowa zapisane w moim dzienniku były teraz wyłącznie holograficznymi obrazami i fizyczny dotyk nie miał na nie wpływu. Skarpetka przemknął bezsilnie między widmowymi symbolami, poszczekując z rozczarowania.

Po paru chwilach znowu przycupnął na moim prawym ramieniu. Huphu przyglądała mu się z lewego. Oboje muskali się przez chwilę, a potem zaczęli ocierać się o moje gardło, prosząc o burkot.

– Nie dałem się nabrać nawet na durę – mruknąłem. Nie zostało mi jednak nic do zrobienia poza naprawieniem uszkodzeń, dokończeniem notatki i daniem im tego, czego chciały.

Kiedy śpiewałem dla pary noorów i stada oczarowanych glawerów, do ładowni wpadł Niss, przynosząc wiadomość.

Nadal nie mam pojęcia, dlaczego szyderczy maszynowy umysł ciągle przerywa mi w ten sposób, bez żadnych wstępów ani pozdrowienia, choć ciągle się skarżę, że to irytuje moją hoońską naturę. Co więcej, tornado wirujących, powykrzywianych linii razi mnie w oczy. Ifni, trudno mi jest przyzwyczać się do myśli o mówiących komputerach, mimo że czytałem o nich w klasycznych książkach takich autorek, jak Nagata i Ecklar. Czy to możliwe, że Niss jest w jakimś sensie krewniakiem Skarpetki? Podejrzewam, że łączy ich pochodzenie od Tymbrimczyków. Można to poznać po ich pogardzie dla uprzejmości oraz talentowi do wytrącania innych z równowagi.

– *Przynoszę wiadomość od załogi mostka – oznajmił wirujący kształt. – Choć nie przypuszczam, żeby to coś dało, chcę zobaczyć paru twoich pupili. Musisz ich tam natychmiast zaprowadzić. Jeden z członków załogi jest gotowy zastąpić cię na posterunku.*

Postawiłem delikatnie Huphu na metalowej podłodze i położyłem Skarpetkę wygodnie na przedramieniu, żeby nie mógł się wyrwać. Ostatnie, czego bym chciał, to żeby umknął mi w przypadkowo wybranym kierunku po drodze na mostek, a potem narozrabiał w kuchni albo schował się w jakimś magazynie, gdzie nie znaleźlibyśmy go, dopóki „Streakera” nie rozwalono by na kawałki.

– Czy mógłbyś mi powiedzieć, o co tu chodzi? – zapytałem.

Abstrakcyjne linie wykonały gest przywodzący na myśl wzruszenie ramion.

– *Z jakiegoś powodu doktor Baskin i mędrzec Sara Koolhan wydają się sądzić, że zwierzę może przemówić w odpowiednim momencie, co pomoże nam porozumieć się z potencjalnie wrogo nastawionymi obcymi.*

Skwitowałem to niskim, burkotliwym śmiechem.

– Mogą sobie sądzić! Ten olewający Ifni tytał przemówi, kiedy będzie chciał, a nim ta chwila nadejdzie, cały wszechświat może sobie iść do diabła.

Linie zacisnęły się mocniej niż kiedykolwiek dotąd.

– *Nie mówię o tytlalu, Alvinie. Odstaw, proszę, tego małego łobuziaka i słuchaj uważnie.*

– Ale... – Zbity z tropu, potrząsnąłem głową jak człowiek. – W takim razie o kogo?

Hologram pochylił się ku najdalszej ścianie pomieszczenia, jakby wskazywał palcem.

– *Masz przyprowadzić jedno albo dwa z tych stworzeń.*

Gapiałem się na stado kretynów o wylupiastych oczach. Beczały, szturchały nosami własny odrażający kał... „pobłogosławiono” je świętym zapomnieniem i były odporne na zmartwienia.

Ten wpis w dzienniku kończy się więc nutą totalnego zdumienia.

Chcą, żebym zaprowadził gławery na mostek.

LARK

Mknął krętymi, przypominającymi jelito korytarzami, uciekając niemal na oślep przez wnętrze ogromnego gwiazdolotu. Od czasu do czasu zatrzymywał się, by oprzeć głowę o gąbczastą gródź i zapłakać. Mdłe sygnały zapachowe Jophurów mieszały się z jego własnym smrodem żalu i obrzydzenia do samego siebie.

Powiniennem być z nią zostać.

Niemyte ciało Larka, nadal lepkie od soków ze straszliwego żłobka, nie przestawało się poruszać pomimo zmęczenia i głodu. Do działania popychały je słyszalne od czasu do czasu odgłosy pościgu. Jego umysł pozostawał jednak sparaliżowany, żal pozbawił go ostrości. Raz po raz próbował wyrwać się z depresji, wymyślić coś, co pozwoli mu podjąć walkę.

Musisz się zastanowić. Ling na ciebie liczy.

Szczerze mówiąc, Lark nie był nawet pewien, gdzie szukać ukochanej. Obraz „Polkjhy” przechowywany w jego umyśle składał się z plątaniny korytarzy łączących ze sobą komory o dziwnych kształtach i był bardziej chaotyczny niż przypominające ul wnętrze qheueńskiej tamy. Zresztą nawet gdyby odnalazł drogę prowadzącą do sekcji więziennej i do pomieszczenia, z którego uciekli z Ling przed kilkoma dniami, z pewnością przekonałby się, że strzegą go liczne stosy pierścieni, roboty oraz wysoki ludzki renegat.

Rann będzie się mnie spodziewał. Świetnie wie, co czuję... zdaje sobie sprawę, że pragnę popędzić jej na ratunek.

Niestety, Lark nie był człowiekiem czynu jak jego brat, Dwer. Paraliżowała go myśl o przewadze nieprzyjaciela. Zbyt dobrze wyobrażał sobie wady i luki każdego planu, który przychodził mu do głowy.

Dopóki jestem wolny, Ling może zachować nadzieję. Nie mam prawa pozbawiać jej tego przez wbiegnięcie prosto w pułapkę. Najważniejsze jest teraz znalezienie miejsca, gdzie będę mógł odpocząć i może czegoś do jedzenia... a potem stworzenie planu.

Używając fioletowego pierścienia jako klucza uniwersalnego, Lark sprawdzał rozmaite pokoje wzdłuż swej krętej trasy, licząc na to, że znajdzie jakieś narzędzie albo informacje, które będzie mógł wykorzystać przeciwko nieprzyjacielowi. Niektóre pomieszczenia były puste. Inne zajmowali Jophurzy z załogi gwiazdolotu, ale ci nie zwracali uwagi na otwierające się i zamykające drzwi. Podobnie jak ich kuzyni z Jijo, traeki, zwykle skupiali się na bieżącym zadaniu i powoli reagowali na zakłócenia.

Tylko raz nie udało mu się schować na czas.

Przeszukiwał laboratorium pełne zwiniętych, przezroczystych rur, które migotały, buchając skłębionymi oparami. Lark nagle zauważył, że drogę zagroził mu masywny stos pierścieni, który właśnie odwrócił się od tablicy rozdzielczej i wszystkie jego torusy zmysłowe były aktywne.

Ze szczytu Jophura buchnęły strumienie śmierdzącego pierdami dymu. Istota była oburzona widokiem ludzkiego intruza. Na tłuszczowych torusach zamigotały wzory światła i ciemności, wyrażające zaskoczenie i gniew.

Gdyby Lark miał czas na zastanowienie, z pewnością zabrakłoby mu odwagi, aby skoczyć ku groźnie wyglądającemu stworzeniu. Wyciągnął przed siebie swą jedyną broń, omijając kilkanaście wyciągających się ku niemu macek. Witki otoczyły człowieka ze wszystkich stron, uderzając go po barkach.

To pierścienie władzy powodują, że Jophurzy są ambitni i zdecydowani – pomyślała

wychowana na książkach część jego jaźni. – Ale, dzięki Ifni, pod innymi względami przypominają traekich. Ich ospałych nerwów nigdy nie poddały próbie grasujące na sawannie drapieżniki.

Jophur miał też inne silne strony. Zdołał owinać wokół szyi i ramion Larka pulsujące witki w tej samej chwili, gdy ze ściszanego w rękach przez mężczyznę torusa – ostatniego daru łagodnego Asxa – trysnęły usypiające soki.

Tym razem jednak potężna, stożkowata wieża nie zareagowała. Wzmocniła tylko uścisk, przyciągając Larka ku swym błyszczącym, oleistym bokom.

Lark poczuł, że fioletowy pierścień wygiął się, wypuszczając z siebie trzy kolejne mieszanki. Każda miała inny, ostry fetor. Oczy mężczyzny zaszyły łzami. Dopadły go mdłości... a po chwili zaciskające się wokół piersi macki całkowicie uniemożliwiły mu oddychanie.

Niewykluczone, że ta sztuczka już nie działa. Mogli wszystkich zawiadomić i rozdać im środki zapobiegawcze...

Tłuszczowy tytan zadrżał gwałtownie. Pętle się naprężyły... a potem osłabły. Masywna istota osunęła się na podłogę z cichym westchnieniem, emitując obrzydliwe smrody. Gdy Lark zdołał zaczerpnąć tchu, omal się nie udusił. Wyrwał się ze straszliwego ucisku i oddalił chwiejnym krokiem w poszukiwaniu świeżego powietrza.

Uczą się. Za każdym razem, gdy fioletowy pierścień oszuka któregoś z nich, wymieniają informacje i antidota. Nawet Asx nie zdołałby przewidzieć wszystkich możliwych kodów zapachowych używanych przez Jophurów.

Wielki stos zapadł w śpiączkę, Lark obawiał się jednak, że zdołał podnieść alarm. Rozejrzał się szybko po sali w poszukiwaniu innych Jophurów. Istota była sama.

Chciał już wrócić na korytarz, ale nagle się zatrzymał. Zauważył z zaciekawieniem, że jophurska konsola nadal jest aktywna. Migotliwe holoekrany nastawiono na częstotliwości, które dla jego oczu wydawały się w najlepszym przypadku mroczne. Mimo to podszedł do jednego z nich i przyjrzał mu się z zainteresowaniem, a potem z narastającą ekscytacją.

To plan statku!

Poznawał wydłużony kształt okrętu liniowego, pokazany w przekroju w celu odsłonięcia labiryntowego wnętrza. Obraz wirował powoli i jego barwy zmieniały się na oczach Larka.

Szkoda, że nie wiem więcej o technice Galaktów.

Przed dotarciem na Jijo rotheńsko-danickiej ekspedycji komputery były dla niego legendarnymi urządzeniami, o których czytał w zakurzonych tomach z bibloskiego archiwum. Nawet teraz do pewnego stopnia spoglądał na nie przez zasłonę dwóch stuleci strachu i bliskich przesądom przekonañ. Rzecz jasna, znająca technikę gwiazdnych wędrowców Ling również miałaby kłopoty z przeznaczonym dla Jophurów urządzeniem. Lark postanowił, że nie będzie dotykał żadnych guzików ani płytek czuciowych.

Niemniej dzięki obserwacji też można się nieraz sporo nauczyć.

Ten jaskrawy prostopadłościan... Wiem, że znajduję się w tym sektorze statku. Czy może oznaczać tę salę?

Symbole wywodziły się z prostego drugiego galaktycznego, ale Larkowi trudno było zinterpretować specyficzny techniczny subdialekt. Niemniej udało mu się zlokalizować sekcję bezpieczeństwa, gdzie uwięziono jego i Ling po ich pojmaniu na Jijo. Plama intensywnego, niezdrowego błękitu zaczynająca się w owym obszarze sięgała na zewnątrz, przesuwaną się stopniowo na „północ” wzdłuż głównej osi statku, wypełniając jego kolejne poziomy.

Strefa poszukiwań. Zapędzają mnie w coraz mniejszy obszar... w stronę sterowni.

I coraz dalej od Ling.

Ścigające go roboty posuwały się naprzód powoli i metodycznie. Oceniał, że dotrą do tego pomieszczenia za niespełna godzinę. Choć była to zatrważająca perspektywa, Lark poczuł się lepiej na tę myśl. Wiedział, na czym stoi. Dało mu to też czas na wykrycie błędów w ich strategii przez obserwację planu.

Jeśli głód nie zmać przedtem mojego umysłu.

Rozejrzał się po laboratorium i zauważył zlew z kranem. Ling zapewniała, że to stały element na statkach niemal wszystkich tlenodysznych istot. Woda była absolutnie czysta i w związku z tym smakowała dziwnie. Mimo to Lark siorbał ją chciwie, pragnąc zmyć z ust niezliczone skomplikowane aromaty gwiazdolotu. Potem wrócił do holoeckranów.

Większość pozostałych obrazów była enigmatyczna – migotliwe wykresy albo kaskady rażących oczy kolorów, niemożliwych do zrozumienia. Na jednym z nich ukazano jednak czarne pole usiane błyszczącymi punktami.

W jophurskim centrum dowodzenia widzieliśmy coś podobnego. Ling powiedziała, że to mapa gwiazdowa, pokazująca, w którym miejscu przestrzeni się znajdujemy i co się wokół nas dzieje.

Larkowi nadal robiło się niedobrze na myśl o tym, że mkną przez bezpowietrzną pustkę wielokrotnie szybciej od światła. W przeciwieństwie do Sary nigdy nie marzył o opuszczeniu Jijo. Pracą jego życia było studiowanie organizmów bytujących na tym niezwykle zróżnicowanym świecie. Tylko wojna i chaos mogły go oderwać od tego zadania. Wyłącznie coraz silniejsze uczucie, jakim darzył Ling, wynagradzało mu ową stratę.

A teraz odebrano mu ją. To było jak amputacja.

Gapiąc się na ekran – czarną płaszczyznę z zaledwie garstką migotliwych iskierek – poczuł przerażenie na myśl o odległościach, przy których ogromna Jijo wydawałaby się zaledwie pyłkiem. Jeden z punktów cały czas zajmował pozycję pośrodku ekranu. Lark pomyślał się, że to jophurski okręt. Natomiast wielka, przypominająca motek przedzy kula w lewym dolnym rogu z pewnością była gwiazdą olbrzymem. Bez pomocy swej kosmopolitycznej przyjaciółki Lark nie potrafił jednak zinterpretować innych kolorowych obiektów poruszających się w ekranie. Co chwila rozbłyskiwały tam symbole drugiego galaktycznego, ale brakowało mu doświadczenia potrzebnego, by je zrozumieć.

Sfrustrowany mężczyzna chciał się odwrócić i odejść, gdy nagle zauważył pewien drobny szczegół.

Ta wielka kropka obok gwiazdy... najwyraźniej pędzi prosto na nas.

Ciekawe, czy okaże się przyjaźnie nastawiona.

EMERSON

Nic nie mogłoby się mu wydawać bardziej znajome czy naturalne niż widok mapy gwiazdnej. Czuł się, jakby oglądał własną twarz w lustrze.

Widok był nawet bardziej znajomy, ponieważ pogrążony w oszołomieniu Emerson spędził cały rok na prymitywnym świecie, gdzie oglądał własne odbicie tylko w płytach niedokładnie wypolerowanego metalu, zastanawiając się, kim jest ten gapiący się na niego człowiek z wielką dziurą nad uchem i nieobecnym wyrazem oczu. Nawet własne imię przypomniał sobie dopiero przed kilkoma tygodniami, gdy niektóre fragmenty jego przeszłości wreszcie zaczęły się łączyć w całość.

...rozproszone wspomnienia o cudownej Ziemi i młodości spędzonej – z poważną stanowczością zachwycającą jego rodziców – na zmierzaniu ku lśniącemu wabikowi Pięciu Galaktyk.

...życie inżyniera, który miał szczęście odebrać najlepsze możliwe wykształcenie, pozwalające prowadzić gwiazdoloty między tajemniczymi fałdami czasoprzestrzeni.

...wabik przygody – dalekiej podróży ze sławnym kapitanem Creideikim, propozycja, której nie mógłby odrzucić, nawet gdyby wiedział, że zaprowadzi go ona w otchłań Hadesu.

Wszystko to, a także wiele więcej, Emerson odzyskał, gdy nauczył się pokonywać straszliwy ból, który więził jego wspomnienia.

Wróciło do niego sporo rzeczy, które mu ukradziono, ale nie to, co najlepsze. Nie bogata, złożona moc mowy. Nie rzeka słów, ongiś będąca smarem dla każdej subtelnej myśli i przewożąca wiedzę na zgrabnych łodziach składni. Bez mowy jego umysł był pustynnym królestwem, spustoszone przez agnoję głęboką jak straszliwa rama na lewej skroni.

Emerson wreszcie zrozumiał, że okaleczono go celowo. Uczyniono to ze złej woli, tak głębokiej, że ledwie mógł pojąć jej granice albo wyobrazić sobie skalę należnej zemsty.

Wtem nastąpiła kolejna zmiana – niespodziewana i nieproszona. Jakieś wrażenia i towarzyszące im uczucia spowodowały w jego umyśle przesunięcie, uwalniając kolejną falę. W jednej chwili wyobraził sobie otaczający go ze wszystkich stron wir cichego dźwięku. Jego echa pieściły mu skórę, nie uszy. Raczej je czuł, niż słyszał.

** Z każdym obrotem*

** Cykloidy*

** W wymiarach, których*

** Nikt nie zliczy*

** Przewracają się*

** Kuboidy*

** O wielu powierzchniach,*

** Niezliczonych twarzach...*

** Zawsze niesprawiedliwe... zawsze niemile.*

** Patrz jak wirują*

** Tak kapryśnie,*

** Białe i w kropki*

** Zawsze pełne znaczeń,*

** A ty bez nadziei*

- * *Sięgasz po nie, by*
- * *Wykonać ryzykowny*
- * *Rzut kośćmi*
- * *Butnej Ifni...*

Emerson uśmiechnął się blado, gdy oda w troistym wybrzmiała. Obwodów jego umęczonego mózgu, które wykorzystywała, nie zniszczyły nawet noże okrutnych Prastarych Istot. Cała oda pobrzmiwała tonami mądrości waleni niczym jęklive melodie Wielkiego Śniącego.

Wiedział jednak, że jej obietnica jest jedynie wątłą trzcina. Trudno ją było uznać za podstawę do nadziei. Wszechświat raczej nie da mu szansy zemsty. Życie rzadko bywało tak przychylne. Zwłaszcza dla słabych, udręczonych i ściganych.

Mimo to Emerson był wdzięczny za dar niezwykłej poezji. Choć troisty nie był językiem inżynierów, znakomicie radził sobie z wyrażaniem ironii.

Przez szerokie krystaliczne okno obserwował neodelfiny, które przemykały przez wypełniony wodą mostek „Streakera”, uderzając potężnie ogonami. W musującej, przesyconej tlenem wodzie zostawiały za sobą wyraźnie widoczne ślady. Inni załoganci leżeli na podobnych do ramp stanowiskach kontrolnych. Na gładkich głowach mieli hełmy powietrzne, a neuronowe kable łączyły ich wielkie mózgi z komputerami i odległymi przyrządami.

Kryształ drżał pod jego palcami pod wpływem impulsów sonaru oraz zwartych pakietów informacji uderzających w szybę z drugiej strony. Muzyka bieglej współpracy. Eufonia fachowości. To byli najlepsi członkowie doborowej załogi. Elita gatunku *Tursiops amicus*. Duma ziemskiego programu Wspomagania, zwerbowana przez nieżyjącego kapitana Creideikiego i wyszkolona przez niego na niezrównanych pilotów.

Delfinia porucznik, Tsh't, szybko podejmowała rutynowe decyzje, przekazując rozkazy załodze mostka. Obok niej leżał główny sternik Kaa, otoczony licznymi przewodami. Wąską paszczę miał otwartą, a zapadnięte oczy zamknięte. Poruszał płetwami, sterując gwiazdolotem jak częścią własnego ciała. Pomagał mu udoskonalany przez trzydzieści milionów lat instynkt, intuicja nagromadzona od czasów, gdy jego odlegli przodkowie porzucili ląd na rzecz wodnego królestwa wymagającego poruszania się w trzech wymiarach.

W pokoju mapowym położonym za plecami Emersona panował równie ożywiony ruch. Tutaj delfiny korzystały z toczków albo wędrowników – maszyn pozwalających im poruszać się po suchym terenie. W tych urządzeniach wydawały się jeszcze bardziej masywne w porównaniu ze smukłymi dwunogami. Niemniej to ludzie kierowali całą tą gorączkową aktywnością. Dwie kobiety, które do tej pory wiodły zupełnie różne życie, ale zbieg okoliczności zaprowadził je w to samo miejsce.

Emerson kochał obie, choć nigdy nie będzie mógł im tego powiedzieć.

Pulsujące dźwięki silników nagle zmieniły tonację. Okaleczony inżynier wyczuł, że zwrotny gwiazdolot hamuje szybciej, by powstrzymać upadek po hiperboli, walczy z przyciąganiem gigantycznej gwiazdy, zmieniając kurs, aby wykonać kolejny śmiały plan Gillian Baskin.

Emerson zapłacił bardzo wysoką cenę za jedno z jej poprzednich przeczuć. Wydarzyło się to w ogromnej, skomplikowanej strukturze zwanej Fraktalnym Światem, składającym się z ośnieżonych sopli królestwie, którego najmniejsze odgałęzienia przerastały powierzchnią planetę. Nie miał jednak do Gillian pretensji o jej błąd. Któż inny zdołałby uciekać „Streakerem” przez całe trzy lata, wymykając się armadom kilkunastu klanów fanatyków? Żałował tylko tego, że jego poświęcenie okazało się daremne.

Najbardziej ze wszystkiego pragnął na coś się przydać. Zejść na dół, do źródła odległego buczenia i pomóc Hannesowi Suessiemu wycisnąć więcej pseudoprędkości z przeciążonych grawitorów. Był jednak poważnie okaleczony. Jego rozdarta kora mózgowa nie potrafiła zrozumieć symboli migoczących na ekranach, a dotyk i instynkt miały tylko ograniczoną użyteczność. Towarzysze traktowali go miło, przydzielając mu jakieś pozorowane zadania, ale szybko sobie uświadomił, że lepiej po prostu nie wchodzić im w drogę.

Zresztą Sara i Gillian wyraźnie coś kombinowały. W pokoju mapowym panowało napięcie. Obie kobiety spierały się z wirującym obrazem Nissa.

Spiralne linie maszyny zaciskały się ciasno. Najwyraźniej zbliżał się jakiś dramatyczny moment. Emerson grał rolę widza, obserwując na gwiazdnej mapie trudny manewr „Streakera”, wymykającego się z uporczywego uścisku ogromnej Izmunuti. Statek przemknął nad huraganami zjonizowanego żaru przeciążającego jego pola siłowe, a potem zmienił kurs, kierując się stromo w górę, ku skupisku białych, migotliwych światła.

To był konwój gwiazdolotów... czy jakichś obiektów, które zachowywały się jak gwiazdoloty, mknąc przez kosmos pod dyktando świadomych umysłów.

Podśledzał Sarę, wypowiadającą zwarte spółgłoski krtaniowe o ostrym brzmieniu, by wyrazić słowo z szóstego galaktycznego, wymawiane rzadko i zawsze tonem stłumionego zachwyty.

Zangowie.

Pomimo swego kalectwa Emerson zrozumiał nagle, jakich rad udziela Gillian młoda jijańska matematyczka. Zadrżał. Załoga „Streakera” nieraz już podejmowała ryzyko, ale to? Nawet próba przejścia przez gardło nowo uformowanego punktu transferowego mogłaby być lepsza. Sama myśl o tym sprowokowała reakcję jakiegoś ukrytego zakamarka jego uszkodzonego mózgu. Drogocenne jak klejnot słowo żarzyło się gorącym blaskiem beznadziei.

Desperacja...

Nie minęło wiele czasu, nim zauważono zmianę taktyki „Streakera”.

Jophurski nieprzyjaciel – odległy tylko o dwadzieścia paktaarów – natychmiast zaczął zmieniać kurs, wytracając pseudoprędkość, by przeciąć drogę uciekającym Ziemianom.

Inne statki były jednak bliżej.

Liczne niebieskie punkciki reprezentowały delikatne maszyny wydobywcze. Emerson widział ich obrazy i poznawał cienkie jak pajęczyna żagle. Szybko się szerzące burze gwiazdne pochłonęły już połowę pechowego konwoju. Reszta gorączkowo chwyciła światło, a ich niewystarczające do tego zadania silniki pulsowały intensywnie. Statki chciały znaleźć schronienie w starszym punkcie transferowym.

W grupie małych iskierek krążyły władczo cztery jaskrawożółte punkty, śpieszące z pomocą zagrożonym mechanoidom. Ich poczynania zakłócił jednak niespodziewany manewr „Streakera”.

Dwa żółte punkty kontynuowały wysiłki ratunkowe, przemykając od jednej żniwiarki do drugiej. Wyciągały z płomieni błyszczący rdzeń maszyny, porzucając wielki żagiel na pastwę ognia.

Trzeci żółty punkt zawrócił w stronę jophurskiego okrętu.

A ostatni pomknął ku „Streakerowi”.

Z głośników popłynął przenikliwy, trzeszczący dźwięk. Wszyscy w pokoju mapowym przerwali swe czynności. Choć ośrodki mowy w mózgu Emersona były uszkodzone, jego uszy zachowały sprawność i natychmiast się zorientował, że głos nie przypomina żadnego galaktycznego języka – ani narzecza dzikusów – jakie w życiu słyszał.

Hałas brzmiał wojowniczo, nerwowo i gniewnie.

Hologram Nissa drżał przy każdej eksplozji zgrzytliwych trzasków. Delfiny machały płetwami, jęcząc żałośnie. Sara zakryła uszy dłońmi i zamknęła oczy.

Gillian Baskin przemawiała jednak spokojnie, kojąc towarzyszy ironicznym tonem swego głosu. Po chwili pomieszczenie wypełnił skrzeczący śmiech delfinów. Sara opuściła z uśmiechem ręce i nawet Niss wyprostował splątane linie.

Emerson płonął w duchu, pragnąc się dowiedzieć, co powiedziała Gillian, jakim celnie dobranym żartem wyrwała towarzyszy z oparów strachu. Słyszał jednak tylko „bla-bla”, brzmiące niemal równie obco jak mowa istot z innej kategorii życia.

Niss również wydał z siebie jakieś zgrzytliwe dźwięki. Emerson domyślał się, że maszyna próbuje się porozumieć z żółtą kropką. Czy raczej z tym, co ona reprezentowała... z jedną z legendarnych, półpłynnych kul służących jako „statki” tajemniczym, potężnym wodorodowym. Przypominał sobie, że podczas szkolenia wielokrotnie powtarzano mu, że powinien unikać wszelkich kontaktów z nieprzewidywalnymi Zangami. Nawet Tymbrimczycy hamowali swą impulsywną naturę, gdy chodziło o te śmiertelnie groźne, enigmatyczne istoty. Jeśli Zangowie uznają „Streakera” za zagrożenie – a nawet jeśli byli po prostu poirytowani – ich szanse ocalenia w praktyce równały się zeru. Fragmenty ziemskiego gwiazdolotu wkrótce dołączą do wypieczonych atomów unoszących się w burzliwej atmosferze Izmunuti.

Po chwili dalekozasięgowe skanery odsłoniły przed nimi twarz nieznanego. Migotliwy obraz o maksymalnym powiększeniu, przesłonięty skupiskami wzburzonej plazmy, przedstawiał w przybliżeniu sferyczny obiekt o falujących niesamowicie bokach. Emersonowi przypominało to nie tyle bańkę mydlaną, co ogromną bryłę drżącego tłuszczu, otoczoną gęstą mgiełką pary.

Wtem na powierzchni kuli pojawiła się mała wypukłość. Oddzieliła się od niej i przez krótką chwilę unosiła się obok.

A potem eksplodowała.

Z jarzącej się oślepiającym blaskiem kuli ognia wystrzelił promień światła, wymierzony prosto w „Streakera”!

Na mostku i w pokoju mapowym zabrzmiały sygnały alarmowe. Na mapie gwiazdnej pojawiła się cienka linia, która oddzieliła się od symbolu statku Zangów i szybko przecięła obszar o szerokości orbity Ziemi. Emerson nigdy nie widział podobnej broni.

Przygotował się na zagładę...

...ale po chwili zaczął znowu oddychać. Śmiercionośny promień przemknął tuż przed dziobem „Streakera”.

Porucznik Tsh't wygłosiła ironiczny komentarz:

** Jak na strzał ostrzegawczy*

** (Czyny przemawiają znacznie głośniej niż słowa!)*

** To było ekstra. **

Gdy Emerson próbował zrozumieć jej haiku, drzwi pokoju mapowego otworzyły się nagle i do środka weszły trzy istoty. Jedną był kudłaty dwunóg, dorównujący niemal wzrostem długości delfina. Miał wyrastające wzdłuż kręgosłupa kolce, a pod brodą zwisały mu fałdy łuskowatej skóry. Za nim lały dwa blade stworzenia, chodzące na kostkach dłoni i stóp niczym protoszympany. Miały wielkie, okrągłe głowy i oczy jak u kameleonów, próbujące patrzeć we wszystkich kierunkach jednocześnie.

Emerson spotykał już przedtem hoonów i glawery, więc nie przejął się zbytnio tym widokiem.

Wszyscy z narastającą nerwowością przyglądali się rozmawiającym szeptem kobietom.

Nie wydano rozkazu zmiany kursu. Sara zacisnęła mocno usta. Emerson ją rozumiał. Nie mieli już odwrotu. Drugi punkt transferowy nie wchodził w grę. Nie zdołają dotrzeć do tego niepewnego azylu przed Jophurami. „Streaker” nie mógł też uciec w głęboki kosmos albo spróbować szczęścia na jednym z licznych poziomów hiperprzestrzeni. Na dłuższą metę silniki okrętu liniowego – najlepsze, na jakie mógł sobie pozwolić bogaty klan – z pewnością pozwolą mu ich prześcignąć.

Zangowie nie musieli niszczyć ziemskiego gwiazdolotu. Wystarczy, że go zignorują, pozwalając, aby paskudni tlenodyszni sami rozstrzygnęli swe spory.

Być może tak właśnie by zrobili... albo może kula zniszczyłaby ich kolejnym strzałem, gdyby nagle nie wydarzyło się coś innego, co całkowicie zaskoczyło Emersona.

Hologram Nissa pojawił się tuż obok wysokiego hoona – inżynier przypomniał sobie, że młodzieniec ma na imię Alvin – a potem pochylił się ku oszołomionym glawerom. Stworzenia beczwały ze zwierzęcego strachu, odsuwając się trwożnie od splątanej siatki spiralnych linii... ale po chwili Niss wydał z siebie przeraźliwy hałas, taki sam jak ten, który przed kilkoma minutami popłynął z głośników.

Dwa glawery poruszyły szybko oczami i zaczęły kołysać się odruchowo. Emerson mógłby przysiąc, że są równie zdziwione jak on i dwa razy bardziej wystraszone. Najwyraźniej jednak ów jazgot działał na nie jak przymus, odpowiedziały bowiem własnymi okrzykami. Z początku brzmiały one słabo i niepewnie, ale z każdą chwilą nabierały siły.

Dla załogi okazało się to brutalnym szokiem. Podoficer żandarmerii – muskularny delfin o cętkowanych bokach – ruszył ku stworzeniom w swym sześcionożnym wędrowniku, zdecydowany usunąć je z pomieszczenia. Gillian powstrzymała go jednak, gapiąc się z fascynacją na glawery.

Sara klasnęła w dłonie i zakrzyknęła z zadowolenia, jakby liczyła na coś w tym rodzaju.

Na twarzy młodego hoona zaskoczenie ustąpiło miejsca zrozumieniu. Z worka rezonansowego Alvina wyrwał się spokojny, dudniący głos. Emerson rozpoznał jedno słowo – „legenda” – lecz jego znaczenie wymykało mu się uporczywie. Skupił się maksymalnie i omal udało mu się je pojąć, ale głos hoona zagłuszyło dobywające się z głośników wycie. Oburzeni szybkim zbliżaniem się „Streakera” Zangowie odpowiedzieli groźną kocią muzyką.

W oddali zapulsowała groźnie wielka globula. Zaczęła się od niej oddzielać kolejna kropla, większa od poprzedniej. Już w tej chwili gorzała gniewnym żarem.

Glawery dały się coraz głośniejszemu. Zachowywały się inaczej od tych z Jijo, które zawsze robiły wrażenie pochrzających zwierząt. Teraz Emerson dostrzegł w nich coś innego. Światło. Wiedzę. Wrażenie, że wreszcie wykonano długo odwlekane zadanie.

Po kuli Zangów przebiegły drobne fale. Jej chrapliwe groźby mieszały się z czynionym przez glawery rwetesem, tworząc wzburzone *pas de deux*. Tymczasem od statku oddzieliła się nowa wypustka, pulsująca z trudem powstrzymywanym gniewem.

Tym razem mogło się okazać, że to nie będzie strzał ostrzegawczy.

RETY

– Wychodzi na to, że korzystanie z tych punktów transferowych nie jest takie proste, jak mi się zdawało.

Rety chciała, by jej słowa były propozycją zawarcia pokoju. Rzadkim w jej przypadku przyznaniem się do winy. Ale Dwer nie zamierzał pozwolić jej tak łatwo się wykręcić.

– Nie potrafię uwierzyć, że myślałaś, iż dwoje barbarzyńców może po prostu lecieć sobie przez kosmos jak gwiazdni bogowie. Czy na tym polegał twój plan? Zamierzałaś porwać stary wrak, nadal ociekający wodorostami po pobycie na Wielkim Śmietniku i lecieć prosto przed siebie, aż wpadnie w dziurę w przestrzeni?

Choć raz Rety przełknęła typową dla siebie gniewną odpowiedź, mimo że nigdy nie zapraszała Dwera na porwany statek i nie zaoferował jej też żadnych sensownych rad w sprawie tego, jak sobie poradzić z wrakiem sprzed miliona lat, który ledwie potrafił utrzymać w sobie powietrze, nie wspominając już o lataniu.

Mimo to rozumiała, dlaczego jest na nią zły. Stokowcowi śmierć spoglądała w oczy i miał prawo czuć się poirytowany.

– Kiedy Besh i Rann o tym opowiadali, brzmiało to prosto. Wystarczy wycelować statek i zanurkować...

Dwer prychnął pogardliwie.

– Ehe, sama to powiedziałaś, Rety. Wycelować statek w punkt transferowy? Pomyślałaś, ile pokoleń potrzebowali nasi przodkowie, by opanować tę sztuczkę? A my musimy się tego nauczyć w midurę albo dwie.

Tym razem Rety nie musiała odpowiadać. Mały yee wysunął z torby głowę i ugryzł Dwera w ramię.

– Hej! – zawołał mężczyzna i odsunął się.

– *widzisz?* – karcił go ursik sepleniącym głosem. – *podgryzanie się nawzajem nic nie da. wykorzystaj tę midurę na naukę! albo uskarżaj się, aż zginiesz!*

Dwer potarł trójkątny ślad, łypiąc ze złością na miniaturowego samca. Zęby yee nie przebiły jednak skóry. Każdy człowiek z Jijo wiedział co nieco o uryjskich ukąszeniach i potrafił rozpoznać takie, które jest tylko ostrzeżeniem.

– No dobra – mruknął do Rety. – Ty jesteś uczennicą gwiazdnych bogów. Przekonaj ten swój zarozumiały komputer, żeby nas uratował.

Rety westchnęła. Na jijańskich pustkowiach to Dwer zawsze był tym, który potrafił zaproponować bystre rozwiązanie każdego problemu. Nigdy nie wyglądał na zbitego z tropu. Bardziej lubiła go wtedy, gdy nie czuł się zastraszony faktem, że jest uwięziony w metalowej trumnie i mknie ku nieuniknionej śmierci.

Mam nadzieję, że to nie znaczy, że będę mu musiała służyć za niańkę przez cały czas podróży do jakiegoś cywilizowanego świata. Kiedy już się urządzimy, będziemy mieli piękne mieszkania i maszynowych niewolników spełniających wszystkie nasze zachcianki. Będzie moim dłużnikiem!

Dziewczyna przykucnęła przed małą, czarną skrzynką, którą dostała od Gillian Baskin na pokładzie „Streakera”. To była jednostka ucząca, zaprogramowana dla bardzo małych ludzkich dzieci. Dobrze realizowała postawione przed nią zadanie, jakim było tłumaczenie dzikiej dziewczynie z prowincjonalnego Jijo podstawowych zasad kierujących życiem cywilizowanego społeczeństwa. Ku swemu zaskoczeniu Rety opanowała nawet podstawy pisania i czytania. Gdy

jednak chodziło o naukę pilotowania gwiazdolotu... no cóż, to było bardziej skomplikowane.

– Nauczycielu – zagaiła dziewczyna.

Tuż nad skrzynką pojawił się maleńki sześcienny hologram. Widniała w nim twarz radośnie uśmiechniętego mężczyzny o wąsach cienkich jak narysowane ołówkiem.

– *Hej, witam znowu! Czy nie upadasz na duchu? Próbowałaś jednej z tych gier, których cię nauczyłem? Pamiętaj, że to ważne czymś się zająć i myśleć pozytywnie, dopóki nie przybędzie pomoc!*

Rety spróbowała kopnąć obraz, ale jej lewa stopa przeniknęła twarz, nie wyrządzając żadnej szkody.

– Posłuchaj no. Już ci mówiłam, że nikt nam nie pomoże, nawet gdyby udało ci się wysłać sygnał alarmowy, w co raczej wątpię, bo delfiny naprawiły tylko elementy potrzebne, by ta balia mogła latać.

Hologram wydał symulowane wargi, niezadowolony z zachowania Rety.

– *To nie usprawiedliwia pesymizmu! Pamiętaj, że gdy sytuacja jest trudna, najlepiej jest szukać czegoś, co pozwoli obrócić przeciwności w szansę! Czemu nie mielibyśmy...*

– Czemu nie mielibyśmy wrócić do rozmowy o tym, jak mam sterować tą kupą złomu – przerwała mu Rety. – Prosiłam cię już o to, byś mnie nauczył doprowadzić ją do punktu t. Zabierzmy się za to!

Hologram zmarszczył brwi.

– *Jak już próbowałem ci wytłumaczyć, Rety, obecny stan statku nie pozwala na podjęcie próby hiperprzestrzennego transferu. Systemy nawigacyjne pracują na minimalnym poziomie i nie są w stanie wysondować znajdującego się przed nami węzła, aby sprawdzić stan nici. Funkcje komputera sterującego zdegradowały się do umysłowości szóstego poziomu. To mniej, niż w normalnej sytuacji potrzeba, by wyliczyć trajektorie w tunelu hiperprzestrzennym. Ze wszystkich tych powodów próba przejścia przez punkt transferowy po prostu nie wchodzi w grę.*

– Ale nie mamy innego wyjścia! Okręt Jophurów holował nas do punktu t, ale potem nas odciął. Sam powiedziałeś, że silnik ma za mało mocy, by zmienić kurs, nim wpadniemy do środka! Musimy spróbować! Nie mamy nic do stracenia!

Nauczyciel potrząsnął symulowaną głową.

– *Standardowa mądrość wskazuje, że każdy manewr, jaki wykonalibyśmy w tej sytuacji, utrudniłby tylko zadanie przyjaciółom/krewnym/rodzicom próbującym cię odnaleźć...*

Tym razem Rety nie zdołała powstrzymać wybuchu.

– Ile razy muszę ci powtarzać, że nikt po nas nie przyleci! Nikt nie wie, gdzie jesteśmy. Nawet gdyby ktoś wiedział, nikogo to nie obchodzi. A nawet gdyby kogoś obchodziło, nikt nie zdoła dotrzeć do nas na czas!

Jednostka ucząca była wyraźnie zbита z tropu. Jej symulowane spojrzenie zwróciło się ku Dwerowi, który ze swym tygodniowym zarostem wyglądał na bardziej dorosłego. Rzecz jasna, to jeszcze bardziej poirytowało dziewczynę.

– *Czy to prawda, proszę pana? Nie możemy liczyć na pomoc?*

Dwer skinął głową. Choć on również spędził pewien czas na pokładzie „Streakera”, nadal trudno mu było przemawiać do ducha.

– *No cóż – rzekł nauczyciel. – W takim przypadku pozostaje nam tylko jedno.*

Rety westchnęła z ulgą. Może dzikijskie ustrojstwo wreszcie zrobi coś użytecznego.

– *Muszę się teraz wycofać i wrócić do prób rozmowy z pokładowym komputerem, bez względu na jego stan. Nie zaprojektowano mnie ani nie zaprogramowano do takich zadań, ale to*

niezmiernie ważne, bym postarał się bardziej.

– Jasne! – szepnęła Rety.

– *W rzeczy samej. Musimy znaleźć jakiś sposób na dostarczenie energii do systemów łączności, by móc wysłać silniejszy...*

Rety zerwała się z miejsca.

– Co? Nie słyszałaś mnie, ty kupo glawerzego gówna? Przed chwilą powiedziałam...

– *Nie niepokój się, gdy będę niedostępny. Spróbuj być odważna. Wrócę, gdy tylko będę mógł!*

Mały sześcian zniknął, porzucając drżącą z frustracji i gniewu Rety.

Nie pomógł jej też fakt, że ten skubany Dwer wybuchnął głośnym śmiechem. Rechotał, krztusił się i prychał całkiem jak ursa. Ponieważ nie wydarzyło się nic zabawnego, Rety doszła do wniosku, że po prostu chce jej zrobić na złość. Albo może był to kolejny przykład tej „ironii”, o której mówili ludzie, gdy szukali usprawiedliwienia, by zrobić coś głupiego.

Dwer, jeśli się nie zamkniesz, wbiję ci trochę ironii w ten dzikijski łeb.

Był jednak większy i silniejszy od niej... a poza tym w ciągu kilku ostatnich miesięcy uratował jej życie co najmniej trzy razy. Dlatego Rety zacisnęła tylko pięści, czekając, aż Dwer wreszcie się uciszy i otrze łzy z oczu.

Nauczyciel milczał przez długi czas, a ludzie rozbitkowie nie mieli pojęcia, co mogliby zrobić o własnych siłach.

Były tu prowizoryczne instrumenty sterujące, zamontowane przez delfiny ze „Streakera”, które wskrzesiły ten starożytny buyurski wrak, odnaleziony na stosie statków kosmicznych porzuconych na dnie jijańskiego morza. Tajemnicze skrzynki połączono przewodami z obwodami sterującymi wraku i zaprogramowano je po to, by wysłać je ku niebu razem z całym rojem celów pozornych, mającym zmylić instrumenty Jophurów i zamaskować próbę ucieczki „Streakera”. Delfiny jednak nie spodziewały się, że statek będzie miał pasażerów na gapę, nie zamontowały więc zbyt wielu guzików i przełączników. Bez nauczyciela nie mieli szans skłonić mknącego ku punktowi transferowemu statku do zmiany kursu.

Nie mając nic lepszego do roboty, Rety i Dwer pochylili się nad jednym z dziobowych okien, pokrytym rysami po pół miliona lat przebywania w Wielkim Śmietniku. Wspólnie próbowali wypatrzeć „wirującą dziurę w przestrzeni”, o której upadłe gatunki z Jijo wciąż opowiadały w sagach opisujących dawne dni. Przez te potężne drzwi przechodziły kolejne skradacze, przynoszące na zakazany świat położony w pozostawionej odłogi galaktyce nowe fale uchodźców.

Początkowo Rety nie widziała pośród błyszczących gwiazd nic niezwykłego. Nagle Dwer wyciągnął rękę.

– Tam. Widzisz? Żaba jest bardzo zniekształcona.

Rety wychowywała się w prymitywnym plemieniu ukrywającym się na brudnych pustkowiach i nie miała nawet prostych wygod dostępnych na Stoku, który był ojczyzną Dwera. Mieszkała w nędznych chatkach i przed zimnem oraz ciemnością chroniły ją wyłącznie ogniska. Przez całe życie niemal co noc widziała nad głową gwiazdozbiory, ale w przeciwieństwie do swych kuzynów, którzy snuli o tych mrugających kształtach wymyślne myśliwskie opowieści, interesowała się nimi wyłącznie z praktycznych względów. Miały się stać dla niej drogowskazem, który zaprowadzi ją na zachód, gdy wreszcie ucieknie ze swego nieszczęsnego klanu.

Z drugiej strony, Dwer był naczelnym zwiadowcą Jijańskiej Wspólnoty i nauczono go rozpoznawać wszystkie widoczne na niebie szczegóły. Co więcej, Sześć Gatunków zawsze się spodziewało, że właśnie stamtąd nadejdzie sąd. Z pewnością zauważyłby, gdyby coś było nie tak.

– Nie widzę. – Wbiła spojrzenie w skupisko błyszczących punkcików wskazane przez Dwera. –

Ojej! Niektóre gwiazdy ustawiły się w krąg i...

– W środku nic nie ma – dokończył za nią Dwer. – Absolutnie nic.

Przez chwilę gapili się na to bez słowa. Rety nie potrafiła się powstrzymać przed porównywaniem czarnego dysku z otwartą paszczą drapieznika, gotowego połknąć statek wraz z całą jego zawartością.

– Wokół niego gwiazdy są zamazane – dodała.

Dwer pokiwał głową, wydając z siebie dźwięk naśladowujący hooński burkot.

– Hr-rm. Moja siostra mówiła, że to coś w rodzaju zakrzywienia wszechświata. Miejsce, gdzie przestrzeń się zawężła.

Rety pociągnęła nosem.

– Przestrzeń jest pusta, głupolu. Dowiedziałam się o tym, kiedy mieszkałam z Danikami w ich podziemnej stacji. Tam nie ma nic, co mogłoby się zawęzić.

– Jasne. W takim razie powiedz mi, w co zaraz wpadniemy.

W tej właśnie chwili postanowił się odezwać mały yee.

– *łatwo to wytłumaczyć, duży chłopcze-mężczyzno. czym jest życie? czmychaniem z jednej dziury do drugiej, a potem do trzeciej! tak jest lepiej, do środka! yee wywęszy dla nas dobrą norę. dobra, wygodna nora to szczęście.*

Dwer łypnął z niezadowoleniem na uryjskiego samca, ale Rety uśmiechnęła się i pogłaskała yee po główce.

– Dobrze mu powiedziałaś, mężu! Przemkniemy przez ten otwór, gładko jak błotny scynk, a potem dotrzemy na główną spiralną arkadę Galaktyki Numer Jeden, gdzie światła palą się jasno, a statków jest więcej niż kleszczy na grzbiecie lwotygrysa. Gdzie gwiazdy leżą tak blisko siebie, że mogą wymieniać plotki, a wszyscy są tak bogaci, że potrzebują komputerów, żeby policzyć, ile mają komputerów! Tacy jak oni potrzebują takich jak my, Dwer – zapewniła. – Oni są miękcy, a my jesteśmy twardzi i bystrzy, gotowi do przygód! Znajdziemy sobie jakąś robotę, do której gwiazdni bogowie są zbyt wybredni, i zarobimy więcej, niż jest warta cała Jijańska Wspólnota. Wkrótce będziemy żyć w luksusach, przekonasz się. Jeszcze pobłogosławisz dzień, gdy mnie spotkałeś.

Dwer gapił się na nią przez chwilę. Potem się uśmiechnął, najwyraźniej wbrew woli. Tym razem jego śmiech brzmiał bardziej przyjaźnie.

– Szczerze mówiąc, Rety, wolałbym wrócić do domu i dotrzymać kilku obietnic. Ale to chyba nie jest zbyt prawdopodobne, więc... – Zerknął na czarny krąg, który od chwili, gdy go zauważyli, zrobił się wyraźnie większy. – Więc może i masz rację. Poradzimy sobie. Jakoś.

Widziała, że tylko udaje optymizm. Był przekonany, że zaraz rozerwą ich na strzępy siły zdolne w parę chwil zniszczyć całą Jijo.

Powinien mieć więcej wiary – pomyślała. – Coś nas uratuje. Zawsze tak się dzieje.

Nie mając nic lepszego do roboty, liczyli mijające dury i rozmawiali o tym, że gwiazdy otaczające monstrualny obiekt, ku któremu zmierzali, wydają się dziwnie rozciągnięte i zniekształcone. Jego średnica wzrosła jeszcze dwukrotnie i wypełniał już jedną czwartą okna, gdy nad czarną skrzynką wreszcie zmaterializował się „nauczyciel” Rety. Osadzone w maleńkiej twarzy oczy gorzały triumfem.

– *Sukces!* – zawołał radośnie.

Rety zamrugła.

– Chcesz powiedzieć, że nauczyłeś się sterować tą balią?

– *Jeszcze lepiej! Udało mi się dostarczyć więcej mocy do systemu komunikacji i poszerzyć*

jego pasmo!

– Tak? – Dwer podszedł bliżej. – I co się stało?

– *I wreszcie doczekałem się odpowiedzi!*

Dwoje ludzi popatrzyło na siebie bez zrozumienia.

Potem Rety zaklęła.

– Chyba nie ściągnąłeś nam znowu na głowę cholernych Jophurów, co?

To mogłoby pomóc załodze „Streakera”, ale ona nie miała ochoty wracać do roli przynęty. Wolałaby zaryzykować przejście przez punkt transferowy, niż poddać się stosom śmierdzących pierścieni.

– *Ich okręt liniowy jest już za daleko. Mknie ku czerwonemu olbrzymowi, gdzie niewyraźnie postrzegam inne potężne statki zajęte jakimiś niejasnymi dla mnie czynnościami. Ratownicy, o których mi chodzi, należą do zupełnie innej grupy.*

Nauczyciel przerwał.

– Mów dalej – zachęcił go Dwer z ostrożnością w głosie.

– *Aktywne czujniki z początku sprawiały mi trudności, ale w końcu udało mi się je uruchomić. Wtedy zauważyłem w pobliżu grupkę statków, które uciekały ku punktowi transferowemu, tak samo jak my! Po dalszych wysiłkach udało mi się przyciągnąć uwagę najbliższego z nich... który zmienił nieco kurs i zmierza teraz w naszą stronę!*

Rety i Dwer omal nie wpadli na siebie, pędząc ku oknu na rufie. Wyglądali przez nie przez jakiś czas, ale nawet za pomocą wskazówek nauczyciela dziewczyna nie potrafiła dostrzec nic poza wielkim czerwonym słońcem. Choć było jeszcze bardzo daleko, wydawało się już większe niż paznokieć jej kciuka na odległość wyprostowanej ręki. A jego gniewne burze sięgały jeszcze dalej, wyciągając przypominające tornada witki.

Dwer wskazał palcem.

– Tam! Trzy rumby w górę od Izmunuti i dwa rumby na lewo. Nie można go przeoczyć.

Rety spróbowała spojrzeć we wskazanym kierunku, ale pomimo zapewnień Dwera nie zauważyła nic nadzwyczajnego. Gwiazdy świeciły jasno...

Niektóre z nich przesuwały się nieco, poruszając się razem jak stado ptaków. Najpierw przemieściły się trochę w lewo, a potem w prawo, ale zawsze były razem. Wyglądało to, jakby kawałek nieba ślizgał się na tle reszty, nie mogąc zatrzymać się w miejscu.

Po chwili uświadomiła sobie, że poruszające się gwiazdy leżą wewnątrz obszaru przypominającego lekko pochylony kwadrat.

– To odbicia – wyjaśnił Dwer. – Jak w lustrze. Jak to możliwe?

Nauczyciel najbardziej lubił udzielać prostych wyjaśnień.

– *Obraz, który widzicie, jest powodowany przez olbrzymie zwierciadło będące jednocześnie kolektorem energii. W siódmym galaktycznym nazywa się to ntove tunicun, a zgodnie z ziemską tradycją używa się nazwy żagiel słoneczny. Z tej metody najczęściej korzystają rozumne istoty, dla których czas jest mniej istotny niż dla tlenodysznych. W tej chwili jednak włączyły dodatkowy silnik grawitacyjny, by umknąć przed niespodziewanym chaosem, który zapanował w tym układzie gwiazdnym. Przy swej obecnej pseudoprędkości statek powinien być w stanie nas przechwycić i zdążyć skierować się ku punktowi transferowemu po optymalnej trajektorii wiodącej do jego miejsca przeznaczenia.*

Dwer uniósł obie dłonie.

– Stop! Chcesz powiedzieć, że istoty pilotujące ten statek nie oddychają tlenem? Że nie są nawet członkami, hmm...

– *Cywilizacji Pięciu Galaktyk? Nie, proszę pana, nie są. To maszyny mające własną kulturę gwiazdnych wędrowców, zupełnie różne ode mnie czy robotów-żołnierzy służących Jophurom. Ich zwyczaje są niezwykle, ale sprawiają wrażenie skłonnych przeprowadzić nas przez punkt transferowy. To znacznie poprawia naszą sytuację.*

Rety przyglądała się z niepokojem „żagłowi”. Wkrótce zauważyła błyszczące gniazdo złożone ze skomplikowanych kształtów. Usytuowano je w samym środku gładkiej lustrzanej powierzchni. Z jednej strony zbliżał się do nich punkt transferowy, a z drugiej maszynowy statek. Rety nie potrafiła się oprzeć szalonemu wrażeniu mówiącemu, że znalazła się między stromym urwiskiem a drapieżnikiem.

– To coś... – zaczęła, czując suchość w gardle. – To coś leci nam na ratunek. Czy wiesz, co tu robiło, nim Izmunuti wybuchła?

– *Zrozumienie innych kategorii życia rzadko bywa łatwe. W tym jednak przypadku odpowiedź jest prosta. Ta klasa urządzeń nosi nazwę „żniwiarkoratowników”. Tego typu maszyny zbierają surowce wykorzystywane przy rozmaitych projektach inżynieryjnych lub budowlanych. Zanim zaskoczyły ją bieżące zaburzenia, z pewnością zbierała na żaglu atomy metali z bogatego wiatru gwiazdowego. Żniwiarka może jednak wydobywać potrzebne surowce z dowolnego źródła nagromadzonych lub skondensowanych...*

Sztuczny głos umilkł. Twarz nauczyciela zamarła w bezruchu. Przerwa trwała kilka sekund.

– Dowolnego źródła – powtórzył cicho Dwer. – Na przykład z unoszącego się w przestrzeni wraku?

Rety ogarnął paraliż.

Nauczyciel nie powiedział „o kurczę”.

Nie do końca.

Nie musiał.

Dwoje młodych ludzi ujrzało wyciągające się ku ich statkowi pazury, chwytaki i przypominające kosy ostrza. Silne pola unieruchomiły wrak i pociągnęły go ku czarnemu otworowi ulokowanemu pośrodku wielkiej plamy zamazanego blasku.

LARK

Coś się działo.

Pokład drżał i wibrował. Zza gąbczastych ścian dobiegały stłumione łoskoty. Z początku był nimi zdziwiony.

Potem przypomniał sobie, że już słyszał podobne dźwięki, wkrótce po tym, gdy pojmano jego i Ling, kiedy Sześć Gatunków z Jijo zaskoczyło swych dręczycieli atakiem na okręt liniowy za pomocą prymitywnych rakiet.

Widział wówczas na ekranie monitora wypełnione materiałami wybuchowymi pnie drzew, przeszywające niebo nad Jijo. Były ich setki. Wykonali je ręcznie najlepsi rzemieślnicy z Sześciu Gatunków, a potem wysłano je z misją zemsty. Pamiętał, że modlił się, aby choć niektóre z ognistych pocisków dotarły do celu i zabiły go razem ze wszystkimi odrażającymi jophurskimi najeźdźcami i ich okrutnym statkiem.

Następnie usłyszał taki sam głuchy łoskot.

Gdy broń Jophurów przemówiła, Ling stwierdziła, że to „działo obronne”. Dumne pociski tubylców, jeden po drugim, zamieniły się w parę daleko od celu... i Lark musiał się pogodzić z myślą, że zostanie przy życiu.

Tym razem targające statkiem wstrząsy były dziesięć razy szybsze.

Tłuszczowe stopy są wyraźnie zdesperowane. Ciekawe, z kim walczą tym razem.

Niestety, ścigający nie dali mu czasu na zastanowienie. Bez względu na to, co się działo w przestrzeni na zewnątrz, myśliwskie roboty kontynuowały systematyczne przeszukiwanie krętych korytarzy i blokowały wszelkie próby przebiccia się przez kordon, spychając Larka na północ wzdłuż długiej osi statku.

W nagonce uczestniczyli również syczący jophurscy żołnierze, działający w grupach złożonych z co najmniej trzech istot. Od czasu do czasu słyszał też ludzki głos. Mężczyzna wykrzykiwał sugestie, mające pomóc w schwyтaniu jego pobratymca.

Rann.

Larkowi zostało niewiele opcji. Ponieważ w pościgu uczestniczył zdrajca, nie odważy się ponownie spróbować szczęścia z fioletowym pierścieniem. Zresztą jego użyteczność zapewne już się zakończyła. Dlatego kierował się ku miejscu, gdzie podjęli z Ling krótką próbę sabotażu, rzucając na jophurskie centrum nerwowe żalostną bombę, a potem uciekli w triumfie przez kłęby dymu. Bawili się w szpiegów, otwierając niemal wszystkie drzwi za pomocą fioletowego pierścienia. Byli przekonani, że nieprzyjaciel nigdy ich nie złapie.

W rzeczywistości wcale nie było im tak przyjemnie. Tylko w kontraście z obecnym położeniem Larka owe chwile mogły się wydawać bez troskie. Oddałby wszystko, żeby tylko wróciły. Czuł się szczęśliwy, nawet gdy pełzał półnagi po gwiazdocie obcych jak jakiś szkodnik, bo była przy nim Ling.

Z pewnością minęła doba, zanim ostatnio miał okazję odpocząć. Jedzenie stało się zanikającym wspomnieniem. Nie miał też czasu badać mijanych pomieszczeń. Została mu jedynie nerwowa ostrożność ściganej zwierzyny, rozpaczliwie próbującej odwlec nieuniknione.

Tajemnicze wibracje były coraz intensywniejsze. Przerywały je inne łoskoty lub trzaski, rozbrzmiewające słabo w oddali. Ostre aromaty wypełniające zwykle jophurskie korytarze wzmocniły teraz nowe komórki zapachowe, napływające przez system wentylacji. Niektóre były zbyt niezwykle albo skomplikowane, by Lark potrafił je odcyfrować, ale „strach” i „obrzydzenie” prawie

niczym się nie różniły od traeckich wersji, które pamiętał z Jijo.

Coś poważnie wstrząsnęło załogą statku.

Budzące mdłości wrażenia informowały Larka o zmianach siły sztucznej grawitacji. To było tak, jakby podłoga przechylała się nagle, a potem jego stopy na chwilę traciły z nią kontakt. Nieustanny hałas silników również przybierał na sile. Lark miał ochotę wbiec do któregoś z pomieszczeń i uruchomić na chwilę ekran, by się przekonać, co jest grane. Ścigający byli już jednak blisko i każdy pokój mógł się okazać pułapką.

Kilka dur później po karku przebiegł mu nerwowy dreszcz świadczący o bliskości robotów. Niezwykła wrażliwość na ich pola nośne uratowała go już nieraz. Woń zbliżających się jophurskich żołnierzy potwierdzała, że zdecydował słusznie.

Tamtędy! Szybko!

Pomimo zmęczenia przyśpieszył kroku, próbując dotrzeć do jednej z ramp prowadzących na następny poziom. W miarę jak posuwał się na północ, jego domena stawała się coraz węższa, co ograniczało stojące przed nim opcje. Wkrótce zapędzą go w kozi róg...

Lark wypadł zza węgła i nagle się zatrzymał. Chrząknął z pełnego trwogi zaskoczenia. Kilka metrów przed nim stał Rann.

– Mam skurwysyna! – zakrzyknął wysoki danicki wojownik do złotej bransolety, którą nosił na ręce.

Lark odwrócił się błyskawicznie i rzucił do ucieczki, zmierzając do jedyne wolnego od wrogów odgałęzienia. Usłyszał, że Rann przeszedł na drugi galaktyczny, bardziej użyteczny w rozmowie z Jophurami niż wulgarne angielskie przekleństwa.

– Do tej lokalizacji zmierzajcie szybko i pilnie. Zwierzyna, ona jest blisko!

Lark zastanawiał się, czy się nie zatrzymać, nie znaleźć jakiegoś rogu, zza którego mógłby zaskoczyć ścigającego go Ranna. Lepiej zmierzyć się z ludzkim zdrajcą, gdy będzie sam, i być może wyrządzić mu szkodę, niż walczyć ze zgrają Jophurów i ich robotów. Wobec nich jego pięści będą bezradne.

Postanowił jednak zachować wolność, choćby tylko na parę chwil. Gnał jedyną dostępną drogą ucieczki – wąskim korytarzem, który zapewne nie prowadził donikąd.

Po chwili faktycznie usłyszał radosne okrzyki. Uświadomił sobie, że wpadł w pułapkę. Nie więcej niż czterdzieści metrów przed nim korytarz kończył się ślepo.

Przystanął przy zamkniętych drzwiach. Uniósł fioletowy pierścień w drżących rękach, kierując go ku zamkowi. Z daru Asxa trysnęła delikatna mgiełka, ale albo torus był już zmęczony, albo jophurscy dowódcy czegoś się nauczyli. Drzwi nie chciały się otworzyć.

Lark usłyszał krzyk satysfakcji. Stojący na skrzyżowaniu korytarzy Rann zauważył go. Danik nie zbliżał się jednak, czekając na posiłki – Jophurów i ich maszyny. Przez kilka dur obaj mężczyźni gapili się tylko na siebie z nienawiścią. Nagle Rann się uśmiechnął. Przyłączył się do niego Jophur i dwa roboty. Ruszyli w stronę Larka.

Wtem po drugiej stronie zbiega rozległo się ciche dudnienie. Towarzyszyła mu narastająca fala gorąca. Lark odwrócił się i odsunął od grodzi zamykającej korytarz. Pusta ściana zaczęła świecić i pojawiło się na niej wybrzuszenie. Z brzegów gorejącego jasnym blaskiem owalu kapąły krople stopionej substancji. Lark musiał unieść obie ręce, by osłonić oczy. Zrobiło mu się niedobrze od odoru, który pamiętał ze swych wizyt w laboratorium Cechu Wysadzaczy w Tarek. To był siarkowodór.

Ował zapadł się do wewnątrz. Mężczyzna zobaczył przelotnie odcinek ciągnącego się dalej krętego korytarza. Wypełniał go niesamowity blask. Lark odwrócił się, chcąc uciekać, ale fala

gorących oparów walnęła go w plecy i przewróciła. Uderzył boleśnie przedramionami o pokład. Gorejący podmuch przemknął nad nim, zmierzając ku Rannowi i jego towarzyszom.

Przez krótką chwilę zmysły Larka były tak przeładowane, że ogarnęło go odrętwienie. Nie mogła się przedostać żadna informacja poza bólem... i faktem, że jeszcze żyje. Gdy zdołał znowu otworzyć oczy, zamrugał z niedowierzaniem.

Łowcy, którzy przed chwilą zbliżali się pewnym krokiem, gotowi go pojmać, właśnie znikali za rogiem. Rann obejrzał się jeszcze za siebie. Jego jasne oczy wypełniało przerażenie. Masywni jophurscy wojownicy zdążyli już czmychnąć. Na skrzyżowaniu zostały tylko dwa roboty. Zająły obronne pozycje, ale nie strzelały, jakby bały się to zrobić.

Lark wiedział, że powinien się cieszyć ze wszystkiego, co skłoniło jego wrogów do ucieczki. Mimo to nie miał ochoty oglądać się za siebie, by sprawdzić, co się zjawilo.

Po prostu wiem, że to mi się nie spodoba – pomyślał.

Smród zgniłych jaj niemal go sparaliżował. Korytarz wypełniła blada poświata, bijąca z góry i z tyłu. Towarzyszyło jej słabe, cichutkie buczenie.

Lark zdobył się na odwagę, wsparł na prawej, poparzonej ręce i odwrócił się na plecy.

Istota stała kilka kroków za nim, tuż za dziurą, którą zrobiła w grodzi. Wyglądała jak świecąca kula o średnicy około trzech metrów. Ledwie zdołała się wcisnąć do korytarza. Choć intruz miał kolor spiżu, po jego powierzchni przebiegały drobne fale i sączył się z niej płyn. Stworzenie toczyło się powoli naprzód, raczej jak wypełniona wodą torebka niż balon. Lark przypomniał sobie żywe komórki, które oglądał pod swym ukochanym mikroskopem. To było w dawnych czasach, gdy on i inni mędrcy mieli jeszcze czas na poszukiwanie wiedzy, mogli zajmować się tym, co na prymitywnym Stoku uchodziło za naukę.

Pojedyncza komórka, znacznie większa od niego. Żywa.

To nie przypomina żadnej formy życia, jaką dotąd widziałem – uświadomił sobie natychmiast.

Stworzenie pełzło powoli ku niemu z głośnym pluskiem. Wsunęło mu się na stopę, a potem wlaźło wyżej. Lark był unieruchomiony. Zimne odrętwienie wnikało mu w kości.

CZEŚĆ DRUGA

KATEGORIE ŻYCIA

OD WIEKÓW – od czasów odejścia błogosławionych Przodków – niektóre skłonne do kontemplacji gatunki tlenodysznych zastanawiały się nad koncepcją „mnogości”.

Skoro życie w Pięciu Połączonych Galaktykach jest tak częste i pełne wigoru, czy nie powinniśmy obserwować go również gdzie indziej? Tak brzmiało ich pytanie.

Astronomowie naliczyli siedemset miliardów innych galaktycznych spiral, owali oraz odmiennych skupisk gwiazd. Niektóre z nich są jeszcze większe od naszej Pierwszej Galaktyki. Możliwość, że nasz węzeł jest jedynym, w którym powstał rozum, wydaje się przeczyć wszelkim zasadom logiki.

Cóż za marnotrawstwo potencjału, jeśli to prawda!

Oczywiście, nie wszyscy podzielają tę opinię. Niektóre z wielu społeczno-religijnych sojuszy składających się na naszą różnorodną cywilizację upierają się, że musimy być jedyni, ponieważ każda inna możliwość byłaby drwiną z niezrównanej wielkości Przodków. Inne uważają owe miliardy galaktyk za niebiańskie domostwa, do których odchodzą szlachetni Transcendenci, gdy już zakończą długi proces doskonalenia się na naszej płaszczyźnie rzeczywistości.

Wielu próbowało przebić zasłonę tajemnicy za pomocą naukowych instrumentów, takich jak potężne teleskopy wycelowane w naszych milczących sąsiadów. Faktycznie udało się wykryć anomalie. Na przykład pewne cele emitują rytmiczne sygnały, pulsujące szумы o straszliwym stopniu skomplikowania. Niektóre inne galaktyki robią wrażenie wypalonych, jakby niedawno przeszły przez nie straszliwe pożogi, które zniszczyły niemal wszystkie układy planetarne jednocześnie.

Niemniej dane zawsze wydają się niejednoznaczne, dopuszczają różne interpretacje. W Wielkiej Bibliotece można znaleźć mnóstwo zapisów ciągnących się eonami polemik.

Czy inne grupy galaktyk również są połączone hiperprzestrzennymi punktami transferowymi, jak nasze pięć spiral, nawet jeśli w płaskiej czasoprzestrzeni dzielą je od siebie ogromne odległości? Nawet najlepsze modele i obliczenia nie potrafią nam zapewnić jednoznacznych odpowiedzi.

OD czasu do czasu jakiś młody gatunek staje się niecierpliwy i zadaje te pytania Prastarym Istotom – mędrcom, którzy wyrzekli się gwiazdolotów, by doskonalić swe dusze w Objęciu Pływów, przechodząc do następnej kategorii życia.

Zależnie od nastroju starożytni albo ignorują podobne prośby, albo udzielają przyprawiających o frustrację odpowiedzi.

Jesteśmy samotni, oznajmiła jedna wspólnota czcigodnych istot.

Nie jesteśmy, sprzeciwiła się druga. Inne galaktyki są podobne do naszych. Roi się w nich od niezliczonych rozumnych gatunków, które spełniają wobec swych pobratymców świąty obowiązek Wspomagania, a następnie kierują swą uwagę ku zadaniom transcendencji... podobnie jak my.

Pewna grupa Prastarych Istot twierdziła jednak, że zna inną odpowiedź. Według niej większość galaktycznych wysp zasiedla pierwszy gatunek, który opanuje sztukę lotów międzygwiazdnych. Owi pionierzy kolonizują wszystkie układy planetarne, unicestwiając inne formy życia lub obracając je w niewolników. Tego typu galaktyki są ubogie w różnorodność oraz

zrozumienie, brak im mądrości, jaką wykazali się błogosławieni Przodkowie, dając początek wielkiemu łańcuchowi Wspomagania.

To nieprawda, sprzeciwia się jeszcze inna grupa czcigodnych, zamieszkująca sople domostwo skulone pośród kontemplacyjnych pływów. Unifikacja celu, jaką wyczuwamy w takich galaktykach, świadczy, że zaszły one dalej na ścieżce ewolucji, zbliżając się do prawdziwej jedni! Zaawansowanego stanu, w którym wszystkie istoty rozumne mają swój udział w ogromnym nadumyśle...

Z CZASEM stało się jasne, że wszystkie te sprzeczne opowieści muszą znaczyć jedną z dwóch rzeczy.

Albo Prastare Istoty rzeczywiście nie mają pojęcia, o czym mówią, albo...

Albo te rozmaite odpowiedzi składają się razem na kazanie. Prostą nauczkę.

Inne galaktyki to nie nasz interes! Tego właśnie próbują nas nauczyć Prastare Istoty. Powinniśmy wrócić do zadań, które przystoją młodym gatunkom – walki, nauki, Wspomagania i współzawodnictwa, zbierania doświadczenia potrzebnego, by przejść do następnej fazy.

Odpowiedzi otrzymają ci, którzy przeżyją próbę, gdy w końcu stawimy czoło oślepijącemu światłu Wielkiego Selektora.

HARRY

Najwyraźniej przestrzeń E nie była jedynym królestwem, w którym idee żyły własnym życiem. Po powrocie Harry przekonał się, że w Bazie Kazzkark roi się od plotek. Dziwne pogłoski krążyły po niej jak wygłodniałe pasożyty, przechodziły od jednej zaniepokojonej istoty do drugiej, kwitnąc w atmosferze zakaźnego lęku.

Harry poprowadził swój zwiadowczy stateczek do północnego bieguna planetoidy, zaparkował go na stanowisku zarezerwowanym dla Instytutu Nawigacji i wyłączył z ulgą silniki. Jedyne, czego teraz pragnął, to przespać kilka dni bez nieustannych, dręczących snów. Jednakże gdy tylko zszedł z pokładu i rozpoczął procedurę powrotu do bazy, ze wszystkich stron otoczył go wir plotek o wątpliwej wiarygodności.

– *Podobno Sojusz Abdykatorów rozpadł się na kilka heretyckich frakcji walczących ze sobą* – wyszeptał pośpiesznie w skrzekliwym czwartym galaktycznym tourmujski przedstawiciel handlowy, stojący przed Harrym w kolejce do kontroli imigracji. – *Mówią też, że Liga Roztropnych Neutralnych Klanów wreszcie rozpoczęła mobilizację, jednocząc swe floty pod dowództwem pargi!*

Harry gapił się przez chwilę na tourmuja – żółtoskórą, patykowatą istotę, która zdawała się składać z samych łokci i kolan – nim odpowiedział mu w tym samym języku:

– *Mówią? A kto tak mówi? W jakim medium? I jaka jest wiarygodność tych słów?*

– *Wiarygodność? Zerowa!* – zawołał oulomiński dyplomata. Frędzle jego macek zabezpieczono wielobarwnymi zatyczkami, by zapobiec mimowolnej emisji pyłku. Pełznący za Harrym oulomin wyraził swą pogardę dla zgarbionego tourmuja za pomocą strumieni pomarańczowej śliny, które przemknęły tuż obok ramienia Harry'ego.

– *Wiem z pewnych źródeł, że wybitni i wielce szanowni pargi zamierzają się wycofać z Ligi – a także całkowicie porzucić galaktyczne sprawy – ponieważ panujący obecnie chaos budzi ich wstręt. Owa szlachetna rasa wkrótce przejdzie w stan błogosławionej emerytury i dołączy do swych dawnych opiekunów w szczęsnym królestwie pływów. Tylko uwsteczniiony głupiec mógłby sądzić, że jest inaczej.*

Tego rodzaju słowa raczej nie kojarzyły się Harry'emu z dyplomacją. Poirytowany tourmuj wyprostował długie nogi i obie pary ramion tak gwałtownie, że walnął guzowatą głową w sufit. Kupiec skrzywił się z bólu i oddalił demonstracyjnie, poświęcając miejsce w kolejce.

Och, kapuję – pomyślał Harry raz jeszcze spoglądając na czekającą za nim istotę, niewątpliwie cechującą się znakomitą znajomością psychologii innych gatunków. – Tylko nie próbuj tej sztuczki ze mną. Ja nie ustąpię ci miejsca, nawet jeśli nazwiesz mnie wujkiem delfina.

Dyplomata najwyraźniej zauważył jego determinację i machnął tylko dwoma mackami w uniwersalnym geście znamionującym dobrą wolę. Obaj przesunęli się do przodu.

Harry wyjął przenośną tabliczkę danych i pogłaskał jej guzki sterownicze. Połączył się pośpiesznie z miejscową jednostką Biblioteki Galaktycznej, aby sprawdzić wiadomości. To była bardzo dobra jednostka, ponieważ na Kazzkarku znajdowały się lokalne filie kilku ważnych instytutów. Mimo to główny katalog zapewniał, że nic nie wie o żadnej schizmie wśród Abdykatorów. Co więcej, według oficjalnych źródeł wpływowi pargi nadal pozostawali aktywni w galaktycznych radach. Wzywali do pokoju i umiarkowania, próbując skłonić wszystkie wojownicze sojusze do wycofania armad i rozwiązania bieżącego kryzysu drogą negocjacji, a nie wojny.

Czy to znaczy, że obaj szerzyciele pogłosek byli w błędzie? W normalnych czasach Harry z pewnością nie wątpiłby w słowa głównego katalogu. W Cywilizacji Pięciu Galaktyk często

mawiano, że nic nie wydarzyło się naprawdę, dopóki nie zarejestrowała tego Wielka Biblioteka. Planeta mogła eksplodować na twoich oczach, ale nie było to potwierdzonym faktem, dopóki w rogu ekranu nie zamigła przekreślona spirala.

To jednak z pewnością nie były „normalne czasy”.

Zatrzymując się przed budką celnika, Harry podслуchał, jak talpuurska handlarka nasion skarży się guldingarskiemu pielgrzymowi na liczne, wywołujące mdłości zmiany nici, na które była narażona podczas podróży z Trzeciej Galaktyki. Neoszympanowski trudno było zrozumieć jej dialekt – synkopowany stukot szczątkowych pokryw skrzydeł – ale najwyraźniej kilka tradycyjnych punktów transferowych zmieniło rytm oscylacji i albo utraciło koherencję, albo w ogóle przestało działać.

Drobny, pająkowany guldingar odpowiedział w tym samym rytmicznym dialekcie, przemawiając za pośrednictwem mechanicznego urządzenia przytwierdzonego do jednej z nóg.

– *Te wyjaśnienia wydają się wątpliwe. W gruncie rzeczy, to tylko usprawiedliwienia, przedstawiane przez wielkie mocarstwa. Każde z nich próbuje zagarnąć i zmonopolizować cenne łącza hiperprzestrzenne, by wykorzystać je dla własnych celów strategicznych.*

Harry zmarszczył brwi. Niepokój sprawiał, że futro swędziało go pod mundurem. Jeśli coś podważyło wiarygodność punktów t, sprawa miała kluczowe znaczenie dla Instytutu Nawigacji. Raz jeszcze zwrócił się do miejscowej filii Biblioteki, ale nie znalazł tam wiele informacji – tylko rutynowe porady dla podróżnych i ostrzeżenia przed objazdami na niektórych trasach.

Jestem pewien, że Wer’Q’quinn wszystko mi wytłumaczy. Jeśli ktokolwiek wie, co się dzieje, to na pewno ten stary wąż.

Tematem, który najbardziej interesował Harry’ego, było oblężenie Terry, ale żaden z plotkujących o tym nie wspomniał. Przed kilkoma tygodniami, gdy wyruszał na patrol w przestrzeni E, pętla wokół Ziemi i kolonii na Canaanie zaciskała się stopniowo, pomimo cennej pomocy Tymbrimczyków i Thennanian. Armady kilkunastu sojuszy fanatyków zaprzestały na pewien czas sporów i połączyły siły. Uszczelniona blokada odcięła wszelki handel i dopływ informacji ze świata, z którego wywodzili się przodkowie Harry’ego.

Oparł się pokusie zapytania o to Biblioteki. W obecnej sytuacji politycznej dopytywanie się o rodzinny klan nie byłoby zbyt rozsądne, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że nadal był przyjęty na okres próbny.

To nie powinno już mnie obchodzić. Moim domem jest teraz Instytut Nawigacji.

Po przejściu przez punkt celny czekała go kolejna przeszkoda, nieprzyjemna i aż za dobrze znana – wysoki hoon o skwaszonym obliczu, noszący na ramieniu sędziowską odznakę Instytutu Migracji. Inspektor Twaphu-anuph ścisnął tabliczkę, po której sływały dane zebrane przez instrumenty skanujące statek Harry’ego. Po każdym powrocie z misji Harry był narażony na spotkanie z tym pozbawionym poczucia humoru dwunogiem o czarnych oczach, uważnie wypatrujących w wykazie bioładunków jego statku wszelkich oznak genetycznego przemytu, i wielkim hoońskim worku rezonansowym, z którego płynęły niskie, pompatyczne, pełne wzgardy dźwięki.

Dlatego Harry zdziwił się mocno, gdy muskularny biurokrata przemówił do niego tonem, w którym pobrzmiwały nuty sympatii!

– Widzę, że właśnie wróciłeś z przestrzeni E – wyszeptał inspektor w siódmym galaktycznym, kosmicznym języku najbardziej lubianym przez Ziemiaków. – Hr-rm. Witaj w domu. Mam nadzieję, że twoja podróż była przyjemna i interesująca.

Harry zamrugał, zaskoczony nieformalnym, przyjaznym tonem. A co ze zwyczajowymi afrontami? – zadał sobie pytanie.

Urzednicy Instytutu Migracji z reguły zachowywali się arogancko. W końcu zajmowali się

sprawami o kosmicznym znaczeniu, takimi jak ta, które światy mogą kolonizować tlenodyszni gwiazdni wędrowcy, a które trzeba na jakiś czas zostawić odłogiem, pozwolić, by leżały nietknięte rozumną dłońią. W porównaniu z tym Instytutem organizacja Harry'ego była „młodszym kuzynem”, wykonującym zadania porównywalne ze strażą przybrzeżną na oceanach dawnej Ziemi – nadzór nad hiperłączami, obserwacja warunków panujących w czasoprzestrzeni oraz zapewnianie bezpieczeństwa galaktycznych szlaków handlowych.

– Przestrzeń E to królestwo pełne niespodzianek – odparł ostrożnie Harry. – Niemniej moja misja przebiegła tak dobrze, jak to możliwe. Dziękuję, że zapytałeś.

Mały, kudłaty rousit – podopieczny służący hoonowi – podszedł do swego pana i wymierzył w Harry'ego urządzenie nagrywające, co dodatkowo zwiększyło niepokój neoszympana. Inspektor pochylił się nad nim, kontynuując pytania.

– Oczywiście, chodzi mi tylko o zaspokojenie osobistej ciekawości, ale czy mógłbyś mnie oświecić w jednej sprawie? Czy przypadkiem zauważyłeś w przestrzeni E jakieś szczególnie wielkie memoidy? Hrrrm. Być może nawet conceptualne jestestwo zdolne wyjść poza swe rodzinne kontinuum i sięgnąć do... hrr-rr... innych poziomów rzeczywistości?

Harry niemal instynktownie stał się ostrożniejszy. Podobnie jak wiele innych tlenodysznych gatunków hoonowie nie byli w stanie znieść niejednoznacznych warunków panujących w przestrzeni E ani licznych alloforów zamieszkujących owo dziwaczne królestwo. Nie było to zbytnio zaskakujące, jako że słynęli z braku wyobraźni i poczucia humoru.

Skąd więc wzięło się to nagłe zainteresowanie?

Ta niezręczna sytuacja wymagała połączenia uprzejmych pochlebstw z wykrętami. Harry odwołał się do starej metody zwanej „tak, bwana”.

– *Powszechnie wiadomo, że memowe organizmy mnożą się w przestrzeni E jak kosmiczne pąkle na kadłubie powolnego frachtowca* – zaczął, przechodząc na szósty galaktyczny. – *Niestety <o jestestwo klasy starszego opiekuna> zdołałem zauważyć tylko takie stworzenia, które pozwolił mi subiektywnie postrzec mój marny, nie do końca wspomóżony mózg. Z pewnością moje spostrzeżenia są zbyt prymitywne, aby mogły zainteresować tak szlachetną istotę jak ty.*

Harry miał nadzieję, że inspektor nie zauważy sarkazmu. Teoretycznie wszyscy, którzy poprzysięgli wierność Wielkim Instytutom, powinni zapomnieć o dawnych lojalnościach i uprzedzeniach. Jednakże od czasu katastrofy na NuDawn wszyscy wiedzieli, co hoonowie sądzą o nuworyszach z Ziemskiego Klanu. Jako neoszympan – świeżo wspomóżony podopieczny ludzi – Harry spodziewał się po hoońskim urzędniku wyłącznie przejawów snobizmu.

– *Zapewne masz rację <o przedwcześnie rozwinięty, ale obiecujący dzieciaku>* – odparł hoon. – *Niemniej nadal jestem <niezobowiązująco> zainteresowany twoimi spostrzeżeniami. Czy może zauważyłeś jakieś <wyjątkowo wielkie lub skomplikowane> memoidy, podróżujące w <bliskim> sąsiedztwie transcendentnych form życia?*

Tabliczka danych inspektora była odwrócona od Harry'ego, ale jej blask odbijał się w łuskach pokrywających pierś istoty znajomym niebieskim kolorem aprobaty. Kontrola Harry'ego i jego statku była skończona. Inspektor nie miał już prawnych pretekstów, by go zatrzymać.

– Coś ci powiem, Twaphu-Anuph – oznajmił Harry, przechodząc na anglic, język dzikusów. – Wyświadcę ci przysługę i wyślę oficjalne zapytanie w tej sprawie... w twoim imieniu, oczywiście.

Harry wycelował własną tabliczkę i manifestacyjnie skopiował symbol tożsamości, nim inspektor zdążył się sprzeciwić.

– *To nie będzie konieczne! Pytałem tylko nieformalnie, żeby...*

Harry uwielbiał przerywać ważniejszym od siebie.

– Och, nie musisz mi dziękować. W końcu wszyscy przysięgaliśmy wzajemną współpracę. Załatwię zwyczajowy międzyinstytutowy upust i przekażę ci raport na adres Kwatery Głównej Instytutu Migracji. Może być? Świetnie! – ucieszył się Harry, nim spłoszony hoon zdążył mu odpowiedzieć. – W takim razie chyba już sobie pójdę, zgodnie z protokołami powrotu i za twoim szlachetnym pozwoleniem.

Mały rousit zszedł mu pośpiesznie z drogi. Harry skierował się prosto ku barierce, zastanawiając się, czy odważy się go zatrzymać.

Otworzyła się, wpuszczając go na ulice Kazzkarku.

Być może świadczyło to o przewrotności, ale Harry’ego ekscytowała myśl, że żyje w czasie pełnym zmian i niebezpieczeństw.

Przez niemal połowę okresu obrotu galaktyki – miliony lat – ten wydrążony, unoszący się w przestrzeni kamień był niewiele więcej niż sennym posterunkiem dla urzędników galaktycznej cywilizacji, wykorzystującym jedynie drobny ułamek prehistorycznych tuneli wydrążonych przez jakiś wymarły gatunek w stumiłowym kawałku gąbczastej skały.

Potem, zaledwie piętnaście kadur od chwili, gdy skierowano tu Harry’ego, planetoida zmieniła się nagle. Katakumby pogrążone w milczeniu od końca Epoki Ch’th’turn ożyły na nowo. Codziennie zjawiali się nowi przybysze. W ciągu dwóch ziemskich lat zrodziła się tu kosmopolityczna metropolia. Każda grotta i korytarz oferowały melanz zmysłowych wrażeń, losowy przegląd szerokiej oferty kultury tlenodysznych.

Ładny mi zbieg okoliczności – pomyślał z ironią szympans. – Można by pomyśleć, że wszystko to czekało na moje przybycie.

Rzecz jasna, prawda wyglądała nieco inaczej. W rzeczywistości Harry był jednym z najmniej ważnych wolnych rozumnych chodzących po tych starożytnych korytarzach.

Chodzących... i truchtających, pełzających, skradających się, człapiących... można tu było zobaczyć wszelkie możliwe formy ruchu. Ci, którzy byli zbyt delikatni, by zachować pozycję stojącą przy połowie ziemskiego przyciągania, jeździli wszędzie na eleganckich wózkach, niekiedy dorównujących stopniem komplikacji miniaturowym statkom kosmicznym. Harry widział nawet kilkunastu przedstawicieli jakiegoś długorękiego gatunku przypominającego nieco gibbony – o fioletowych, odwróconych do góry nogami twarzach – używających brachiacji, by przemieszczać się pod sufitem, gdzie umieszczono dla nich dogodne pręty i uchwyty. Chciało mu się śmiać i huczeć na widok takich wygłupów, ale ów gatunek zapewne pilotował już gwiazdoloty w czasach, gdy ludzie jeszcze żyli w jaskiniach. Galaktowie rzadko posiadali poczucie humoru.

Jeszcze niedawno większość mieszkańców na Kazzkarku istot nosiła uniformy Instytutu Migracji, Nawigacji, Cywilizowanej Wojny albo Wielkiej Biblioteki. Teraz jednak ci, którzy wdziewali liberie, stali się drobną mniejszością ginącą w tłumie. Reszta była obleczona w niesamowicie różnorodne kostiumy, od osłaniających całe ciała kombinezonów ochronnych oraz uroczystych szat ozdobionych runami opisującymi genealogię ich gatunku, aż po istoty, które paradowały bezwstydnie nago – lub zadowalały się osłoną otworów wydalniczych – eksponując maksymalnie wiele skóry, łusek, piór albo torgu.

Gdy Harry wstąpił do służby w Instytucie Nawigacji, mała terrańska rodzina była tak nieważna i mało znana, że większość Galaktów miała trudności z odróżnieniem neoszympana od wygodnego szezlonga. Ostatnio jednak sytuacja się zmieniła. Gdy Harry szedł korytarzem, śledziło go wiele spojrzeń. Różne istoty trącały się nawzajem i wskazywały go, mrużąc coś do siebie. To z pewnością świadczyło, że kryzys związany ze „Streakerem” nie zakończył się pod jego nieobecność.

Najwyraźniej na Ziemi Klan nadal sływała niepożądana sława.

Stare galaktyczne przysłowie oddawało to trafnie:

„Strzeż się niebezpieczeństwa, jeśli niechcący przyciągasz uwagę potężnych”.

Niemniej przez większość czasu mógł z łatwością zagubić się w tłumie. Szedł do kwatery głównej okrężną drogą, zafascynowany faktem, że odkąd był tu ostatnio, ruch znacznie się nasilił.

Harry sprawdzał profile imigracyjne mijanych istot za pomocą swej tabliczki i wiedział, że większość z nich stanowią emisariusze lub delegaci handlowi wysłani przez swój gatunek, sojusz albo korporację, by szukać jakichś korzyści w czasach, gdy rutynowe procedury cywilizacji zawodziły, powodując coraz silniejszy niepokój wszystkich. Chaos mógł być szansą, dlatego agenci i pełnomocnicy rywalizowali ze sobą, oddając się starożytnym grom szpiegostwa. Zawierano i zrywano umowy. Oferowano łapówki i łamano lojalności w podstępnych rozgrywkach tak skomplikowanych, że w porównaniu z nimi intrygi na dworze Medyceuszy byłyby zabawą dzieci w piaskownicy. Małe klany, pozbawione wpływu na galaktyczną politykę oraz na wynik starć flot, również zjawily się tłumnie, próbując stać się użytecznymi dla wielkich mocarstw takich jak Klesh, Soro czy Jophur, które z kolei poświęcały mnóstwo środków, aby zdobyć przewagę nad wrogami.

Ponieważ przekazywano tu sobie mnóstwo bogactw, gospodarka kwitła. Każdy poseł albo szpieg miał potrzeby, które trzeba było zaspokajać. Prawie milion wolnych rozumnych oraz służebnych maszyn znajdowało zatrudnienie przy spełnianiu biotycznych wymagań gości – od określonego składu atmosfery, aż po egzotyczne potrawy i środki odurzające.

To dobrze, że szymy musiały osłabić swój zmysł węchu, by zwolnić tkankę mózgową na potrzeby rozumności – pomyślał Harry, wędrując bez pośpiechu Wielką Drogą – handlową aleją poprowadzoną tuż pod powierzchnią Kazzkarku. Ciągnęła się ona od bieguna po biegun, co kilka kilometrów wychodząc ponad skalne sklepienie, by zademonstrować oszałamiający widok na wewnętrzne ramię spiralne Piątej Galaktyki. Gdy Harry przybył tu po ukończeniu szkolenia w centrali, korytarz był upiornie pusty. Teraz w każdej wnęce ulokowano sklepy i restauracje. Biły od nich organiczne odory tak intensywne, że każdy gatunek z pewnością znajdzie w powietrzu coś toksycznego. Większość gości przed zakończeniem kwarantanny przechodziła antyalergiczną terapię mającą przygotować ich systemy odpornościowe na to wszystko. Mimo to wielu przechodniów na Wielkiej Drodze nosiło respiratory.

Harry'ego owo doświadczenie przyprawiało o zawrót głowy. Co kilka metrów jego nozdrza i zatoki atakował inny aromat. Niektóre powodowały fale zachwyty albo przemożnego głodu. Inne budziły mdłości.

To trochę przypomina Nowy Jork – pomyślał, wspominając swą krótką wizytę na Ziemi.

Jego uszy również były na granicy przeciążenia. Dwanaście standardowych języków galaktycznych dzieliło się na niezliczone dialekty, zależnie od sposobu produkowania sygnałów przez dany gatunek. Najczęściej spotykanym medium dla negocjacji lub plotek był dźwięk. Brzęczenie, klekotanie, jęki albo skrzeczenie kilkuset różnych rodzajów istot wypełniały Wielką Drogę fizycznie wyczuwalnymi falami intryg. Ci, którzy preferowali wizualne gesty, pogarszali jeszcze sytuację swym tańcem, wymachiwaniem kończynami albo sygnałami świetlnymi, które wydawały się Harry'emu piękne, a zarazem onieśmielające.

A były też sygnały psioniczne.

Istniały surowe zasady, ograniczające użycie „jaskrawego spektrum” przez adeptów. Choć czujne detektory wykrywały najbardziej skandaliczne naruszenia, Harry odnosił wrażenie, że część dręczącego go napięcia jest skutkiem psionicznego hałasu wypełniającego tło.

Na szczęście większość neoszymów była głucha na psioniczne oddziaływania.

Niektóre z cech czyniących go dobrym obserwatorem przestrzeni E zapewniały mu również częściową odporność na kakopsonię mentalnych wibracji wypełniających w tej chwili Kazzkark.

Rzecz jasna, wiele „restauracji” było w rzeczywistości osłoniętymi miejscami spotkań, gdzie dochodziło do nieformalnej wymiany informacji, nierzadko między klanami zarejestrowanymi jako wrogowie w Instytucie Cywilizowanej Wojny. Harry zauważył wyniosłą jaszczuropolodną Sorankę w towarzystwie nielicznej świty podopiecznych – Pilan i Pahańczyków. Istota weszła do osłoniętego lokalu, którego właściciel natychmiast wyłączył migający napis „wolne”... ale zostawił drzwi uchylone, jakby spodziewał się jeszcze jednego klienta.

Mogłoby być ciekawe zaczekać tu i przekonać się, kto się zjawi, by negocjować z sorańską matriarchinią, ale Harry zauważył kilkunastu osobników, którzy właśnie to robili. Wszyscy udawali, że czytają infoplakietki albo oglądają towary oferowane przez ulicznych sprzedawców, lecz cały czas mieli na oku zacienione wejście.

Szympons przypomniawszy sobie nieudolne próby hoońskiego inspektora, który chciał się od niego dowiedzieć, co się dzieje w przestrzeni E. Zaufanie do Instytutów słabło i wszyscy zawzięcie poszukiwali dodatkowych informacji, zapewne licząc na to, że nawet odrobina wiedzy może mieć kluczowe znaczenie.

Nie mógł sobie pozwolić na to, by wzięto go za kolejnego szpiega. Zwłaszcza kiedy był w mundurze. Niektóre z wielkich służb mogły odczuwać skutki napięcia, tracąc wiarygodność i profesjonalizm, ale Instytut Nawigacji musiał podtrzymywać nieskazitelną reputację.

Mijając ruchliwe skrzyżowanie, Harry zauważył dwie podobne do szopów synthiańskie handlarki. Ten gatunek słynął z upodobania do terrańskiej sztuki i kultury. Były zbyt daleko, by mógł nawiązać z nimi kontakt wzrokowy, ale przyciągnęły jego uwagę i w rezultacie wpadł niechcący na najeżonego, przycupniętego Xatinni.

O cholera – pomyślał Harry, gdy zwróciła się ku niemu ocelotowata twarz, wykrzywiona w kwaśnym grymasie nienawiści.

Nie tracąc czasu, neoszympons pochylił głowę i skrzyżował ręce w pozie skruszonego podopiecznego, odsuwając się od stworzenia, które rozpoczęło tyradę, karcąc go wyniośle w przenikliwym, tonalnym czwartym galaktycznym.

– *Wyjaśnić to beczelne przerwanie! Poniżyć się i przeprosić ze służalczą szczerością! Umieścić ten afront na długiej liście długów nagromadzonych przez twój klan bezwartościowych...*

Xatinni nie należeli do wielkich potęg, ale rutynowo zatruwali życie Ziemiom z najstarszego powodu znanego wszystkim dręczycielom – dlatego, że mogli.

– *Celem wysłuchania dalszych wyrzutów zameldować się za trzy midury w moim apartamencie pod adresem: czterdzieści siedem na pięćdziesiąt dwa, korytarz...*

Na szczęście w tej samej chwili ulicą przegalopował masywny Vriiilh, wychrzając rytualne przeprosiny skierowane do wszystkich, którzy musieli usuwać się z drogi, by przepuścić sympatycznego, stawiającego dwumetrowe kroki giganta. Xatinni cofnął się z gniewnym wrzaskiem, gdy Vriiilh przepchnął się między nimi.

Harry wykorzystał sytuację i wtopił się w tłum.

Do widzenia, kotku – pomyślał, uciekając. Żałował, że nie potrafi przekazać tej obelgi psionicznie. Zamiast okazywać służalcze poniżenie, wolałby zdzielić Xatinniego w tubę, i może też pozbawić nieziemiaka kilku nadliczbowych kończyn, by poprawić jego aerodynamikę.

Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy. W jakimś ciemnym zaułku, gdzie nie będzie świadków.

Niestety, umiejętność panowania nad sobą była najważniejszym kryterium, jakie stosowała Rada Terrageńska, nim pozwoliła jakiemuś neoszymowi wyruszyć samodzielnie w kosmos. Mały i

słaby Ziemiński Klan nie mógł sobie pozwolić na incydenty.

Jasne... i dużo nam taka polityka pomogła.

Delfinom dali gwiazdolit i tylko popatrz, co wzięły i zrobiły te przemądrzałe ryby. Wywołały największy kryzys od Ifni wie ilu milionów lat.

Szczerze mówiąc, Harry trochę im tego zazdrościł.

Poza tymi, którzy przybyli na Kazzkark z oficjalnych powodów, na tutejszych ulicach i w podziemnych komorach bytowała też populacja uchodźców z obszarów ogarniętych narastającym chaosem, a także poszukiwaczy szczęścia, altruistów oraz mistyków.

Ci ostatni mnożyli się szczególnie szybko.

Na większości światów o sprawach filozofii oraz religii debatowano w nieśpiesznym tempie. Spory trwały przez wiele pokoleń, a z biegiem eonów przechodziły nawet z opiekunów na podopiecznych ich podopiecznych. Teraz jednak Harry wyczuwał osobliwą gorączkę w mowach wygłaszanych przez misjonarzy obozujących w Kopule Sześćdziesiąt Siedem.

Na niebie lśniły mgławice i gromady gwiazd, a wysłannicy najpopularniejszych wyznań głosili starożytne mądrości w swych perfumowanych namiotach. Byli wśród nich Spadkobiercy, Oczekujący, Transcendujący... a także Abdykatorzy, nie wykazujący żadnych oznak schizmy. Ich odziani w czerwone szaty akolici wywodzący się z kilkunastu różnych gatunków zakłócali spokój przechodniów swą ortodoksyjną interpretacją Woli Przodków.

Harry zdawał sobie sprawę, że wielu aspektów Cywilizacji Pięciu Galaktyk nigdy nie zrozumie, choćby nie wiedzieć jak się starał. Na przykład, jak wielkie sojusze rozumnych gatunków mogły przez całe epoki toczyć ze sobą wojny z powodu drobnych różnic w doktrynie?

Nie on jeden był zdziwiony. Wiele najwybitniejszych umysłów na Ziemi borykało się z problemami takimi, jak czy gdy legendarny Pierwszy Gatunek rozpoczął przed dwoma miliardami lat cykl Wspomagania, był to przejaw deterministycznych praw fizyki, czy raczej emergentna cecha samoorganizujących się systemów w pseudoświadomym wszechświecie? Harry rozumiał z tego tylko tyle, że większość dysput toczyła się wokół tego, w jaki sposób tlenożycie stało się rozumne i jakie może być jego ostateczne przeznaczenie w ewoluującym kosmosie.

– Raczej nie warto z tego powodu zabijać – zachnął się. – Albo ginąć, jeśli już o tym mowa.

Ale z drugiej strony ludzie raczej nie mogli twierdzić, że są całkowicie niewinni. Podczas długich, mrocznych czasów przedkontaktowej izolacji Ziemi – nim przynieśli światło gatunkowi Harry'ego – wymordowali niezliczone tłumy swych pobratymców z jeszcze mniej sensownych i istotnych powodów.

– A to jest coś nowego – mruknął, zatrzymując się u samego końca kopuły.

Za lśniącymi namiotami głównych sekt stworzono alejkę przeznaczoną dla uboższych misjonarzy, głoszących swe kazania w zasłoniętych kotarami alkowach albo kamiennych niszach bądź też po prostu chodzących po ulicy i próbujących popularyzować swe niekonwencjonalne przekonania.

– Odejdźcie stąd wszyscy! – skrzeczał ponuro wyglądający peeoot o spiralnej szyi i wylupiastych oczach. – Albowiem każdy z was tylko w jednym miejscu odnajdzie bezpieczeństwo podczas nadchodzących zaburzeń. U źródła, w którym był wasz początek!

Harry z trudem zdołał odcyfrować heretyckie credo głoszone w silnie akcentowanym trzecim galaktycznym. Użycie przypadku zbiorowego znaczyło rzecz jasna, że peeoot mówi o zbawieniu

gatunków, nie jednostek. Nawet herezja miała swoje granice.

Czy chce powiedzieć, że każdy gatunek powinien powrócić na świat ojczysty? Na kulkę błota, na której jego przodkowie osiągnęli przedrozumny poziom i zostali adoptowani przez jakichś opiekunów?

A może w słowach kaznodziei krył się bardziej alegoryczny sens?

Być może chodzi mu o to, że każdy łańcuch Wspomagania powinien szukać wiedzy o swym dziedzictwie, które odróżnia go od pozostałych. To równałoby się wezwaniu do rozwiązania Instytutów i pozwolenia, aby każdy klan tlenożycia poszedł własną drogą.

Oczywiście, Harry'emu brakowało kwalifikacji, by rozważać skomplikowane kwestie galaktycznej teologii i właściwie nie obchodziły go one zbytnio. Co więcej, następny gorliwiec okazał się znacznie bardziej interesujący.

To był komahd. Istota o wspartym na trzech nogach dolnym tułowi i humanoidalnym torsie oraz rękach robiła przyjazne, jowialne wrażenie. Miała jaszczurczą głowę, szerokie usta, otwarte w czymś, co wyglądało na permanentny radosny uśmiech, a długie rzęsy czyniły jej twarz niemal pociągającą. Grubą tylną nogą stworzenie wybijało jednak posępny rytm, śpiewając jednocześnie w szóstym galaktycznym. Jego smętna opowieść zadawała kłam radosnemu wyglądowi.

– Wszystkie <obecne, godne pożałowania> zaburzenia mają korzenie w <podłych, podstępnych> knowaniach nieprzyjaciół tlenodyszcznego życia!

Spójrzcie, jak nasze wielkie mocarstwa i sojusze wykrwawiają się we wzajemnych walkach, marnotrawiąc swą zbrojną potęgę w pościgu za <niejasnymi> wzmiankami zapowiadającymi <możliwy, lecz mało prawdopodobny> powrót <dawno zaginionych> Przodków!

To może służy jedynie interesom <niepojętych, nieprzyjaznych> wodorodyszcznych! Zazdroszcząc nam <śmigłej, sprawnej> prędkości i <szybkiego> metabolizmu, bali się nas od eonów i knuli <długie, powolne, podłe> plany. A teraz wreszcie są gotowi. Spójrzcie jak <niegodziwi> wodorodyszczni <złowrogo> przygotowują się, by spowodować nasz <zbiorowy> koniec!

Któż nie pamięta, jak <bardzo> niedawno musieliśmy się wyrzec jednej z naszych Pięciu Galaktyk? Zaledwie pół miliona lat temu <całość> Czwartej Galaktyki ogłoszono za pozostawioną odlegiem i opróżniono ze wszystkich kultur <tlenodyszcznych> gwiazdnych wędrowców. Nigdy przedtem Instytut Migracji nie zgodził się na podobne <całkowite, zdradzieckie> oddanie terytorium, którego <związane z przesiedleniem> reperkusje są odczuwalne do dziś!

Mówi się nam, że wodorodyszczni <w zamian> opuścili <całą> Piątą Galaktykę, ale czy <codziennie> nie słyszymy meldunków o niezwykłych obiektach i zaburzeniach w normalnej przestrzeni, z całą pewnością spowodowanych przez <perfidnych> Zangów?

A co z <zaburzonymi> punktami transferowymi? Co z <rozległymi> szlakami <hiperprzestrzennych> poziomów A i B, które stały się obecnie powolne i niezdatne do użytku? Co, jeśli <wielkie, ale zachowujące podejrzane milczenie> Instytuty nie mówią nam prawdy?

Komahd zakończył aż nazbyt ludzkim gestem, wskazując palcem Harry'ego, który w swym mundurze mógł uchodzić za dogodnego reprezentanta Instytutu Nawigacji. Neoszympanś zaczerwienił się pod futrem i wycofał pośpiesznie.

Szkoda. To zaczynało się robić ciekawe. Ktoś wreszcie się skarży na głupotę reakcji Soran i innych wielkich mocarstw. Co więcej, komahd mówił o przyszłości, podczas gdy większość Galaktów ma obsesję na punkcie czasów minionych. To prawda, było w tym trochę paranoi, ale

gdyby więcej rozumnych uwierzyło w coś takiego, mogliby złagodzić nacisk na Ziemię i dać biednym delfinom szansę powrotu do domu.

Wolnomyślicielscy komahdowie na ogół nie lubili Terran. Harry pomyślał, że jest w tym wiele ironii. Jemu raczej się podobał ich wygląd, uważał też, że ładnie pachną. Szkoda, że nie odwzajemniali jego podziwu.

Wtem z tyłu rozległ się rwetes. Harry odwrócił się błyskawicznie i zobaczył, jak wszyscy uciekają pod najbliższą ścianę. Gdy dostrzegł, kto się zbliża, po plecach przebiegł mu dreszcz. Środkiem bulwaru przechodził oddział dwudziestu przerażających modliszkowatych wojowników Tandu. Nie mieli broni, ale nikt im nie zabrał śmiertelnie groźnych, ostrych jak brzytwy pazurów. Czubki ich kołyszących się szypulek ocznych niemalże dotykały falistego sufitu. Każdy, kto ich ujrzał, pierzchał na bok. Nikt nie kłócił się z Tandu o prawo przejścia, a handlarze nie próbowali oferować im żadnych towarów.

Przed wyruszeniem na ostatnią misję Harry widział, jak Tandu odgryzł głowę upartemu Pahańczykowi, który był zbyt dumny, by zejść mu z drogi. Dowódca oddziału niemal natychmiast ukarał winnego, od niechcienia rąbiąc go na kawałki. W ten sposób wymierzono prostą sprawiedliwość, nie dając władzom pretekstu do ingerencji. Wszyscy jednak zrozumieli nauczkę, jakiej miało im to udzielić.

Nie zadzierajcie z nami.

Nie przeprowadzono śledztwa. Nawet pahańscy dowódcy musieli przyznać, że brawura ich pobratymca równała się samobójstwu.

Serce Harry'ego nie przestawało tłuc gwałtownie, dopóki straszliwy oddział nie skręcił w boczną aleję i nie zniknął mu z oczu.

Lepiej skończyć ze zwlekaniem – pomyślał. Nagle poczuł się zmęczony i stłamszony kłębiącym się w korytarzach tłumem. – Wer'Q'quinn będzie pluł żółcią, jeśli wkrótce nie złożę mu raportu.

Harry pragnął też zapytać starego węża o wszystko, co zobaczył i o czym usłyszał od chwili przybycia – o hoonów zainteresowanych przestrzenią E, znikające punkty transferowe i komahdańskich kaznodziejów nawołujących do...

Serce Harry'egoomal nie zrobiło przewrotu w tył, gdy za bark uścisnęła go nagle koścista dłoń, dłuższa od jego przedramienia. Uścisk smukłych białych palców zakończonych przyssawkami był delikatny, ale nieustępliwy.

Odwrócił się błyskawicznie i ujrzał obszerną srebrną szatę, spowijającą wysokiego dwunoga, który ważył chyba z pół tony. Jego głowa przypominała dziób morskiego statku, ale tam, gdzie na burtach takiej starożytnej jednostki ktoś mógłby namalować po jednym oku, ta istota miała po dwa, jedno umieszczone nad drugim. Jej płaska żuchwa przypominała taran greckiej triery.

To... Skiano... – przypomniał sobie Harry, przywołując z pamięci listę niezliczonych gatunków, którą wbijano mu do głowy podczas szkolenia. Nigdy by się nie spodziewał, że spotka na ulicy takie stworzenie, nie wspominając już o tym, że mogłoby go ono zaczepić.

W co tym razem wdepnąłem? – zastanawiał się, gotowy odbyć kolejny rytuał poniżających przeprosin. – Przynajmniej ten chodzący drapacz chmur nie może mnie oskarżyć, że zasłaniam mu widok.

Na jednym z szerokich ramion Skiano przycupnęło barwne, ptakopodobne stworzenie przypominające ziemską papugę.

– Przepraszam, że cię przestraszyłem, bracie – oznajmił łagodnym tonem gigant, uprzedzając przeprosiny Harry'ego. Głos płynął z małego brzmieniacza, trzymanego przez istotę w drugiej olbrzymiej dłoni. Usta nie poruszały się ani nie produkowały żadnych dźwięków. Zamiast tego dolna

para oczu emitowała łagodne błyski, tłumaczone przez brzmieniacz na słyszalne dźwięki. – Odnoszę wrażenie, że zgubiłeś drogę.

Harry potrząsnął głową.

– Wybacz, że ci zaprzeczam, starszy opiekunie. Twoja troska ogrzewa ten nieszczęsny podopieczny pomiot. Wiem, dokąd idę. Dziękuję, ale pójdę już...

Ptak przerwał mu pogardliwym skrzeczeniem.

– Idiota! Dureń! Nie chodzi o twoje ciało, tylko o duszę. O duszę! O duszę!

Dopiero w tej chwili Harry uświadomił sobie, że rozmawiają w anglicu, jego rodzinnym języku dzikusów. Przyjrzał się ptakowi uważniej.

Surowe wymagania wiążące się ze zdolnością lotu sprawiały, że wszystkie upierzone, ptakopodobne istoty miały zbliżony wygląd, bez względu na świat, z którego się wywodziły. W tym przypadku jednak nie mogło być wątpliwości. To była papuga. Prawdziwa. Taka od „jo-ho-ho i butelka rumu”. A to czyniło Skiano jeszcze dziwniejszym.

Masz za dużo oczu – pomyślał Harry. – Powinieneś nosić przepaskę na jednym... albo nawet na trzech! A do tego mieć drewnianą nogę... i hak zamiast dłoni.

– Zaiste, moja dobra małpo – podjął obcy brzęczącym głosem dobiegającym z brzmieniacza, zgadzając się z gadającym ptakiem. – To twojej duszy grozi niebezpieczeństwo. Czy zastanawiałeś się nad jej zbawieniem?

Harry zamrugął. Nigdy nie słyszał o misjonarzu Skiano, nie wspominając już o takim, który głosiłby wiarę w anglicu, mając za towarzysza przemądrzałego ptaka.

– Mówisz o mnie? – zapytał.

– Tak, o tobie.

Harry zamrugął z niedowierzaniem.

– O mnie... osobiście?

Papuga wydała z siebie poirytowane parsknięcie, ale w oczach Skiano pojawił się błysk satysfakcji. Jego maszynowy głos pobrzmiwał radością.

– Nareszcie ktoś, kto bez trudu zrozumiał tę ideę! Zaiste, nie powinienem się dziwić, że ktoś z waszego szlachetnego rodu ją pojmuje.

– Szlachetnego rodu? – zdziwił się Harry. Nikt dotąd go o to nie oskarżał.

– Oczywiście. Pochodzisz z Ziemi! Błogosławionego domu Mojżesza, Jezusa, Buddy, Mahometa, Tiplera i Weimberga-Changa! Domostwa, w którym dzikusy dobiły się rozumności w oczywistym przykładzie niepokalanego poczęcia. To był nieskazitelny dar samego kosmosu, niewymagający interwencji żadnego gatunku galaktycznych grzeszników!

Harry cofnął się o krok, gapiąc się na istotę z niedowierzaniem. Skiano podążył za nim.

– Na twoim rodzinnym świecie zrodziła się idea, która na zawsze zmieni wszechświat. Bracie, musisz nam pomóc w popularyzacji owej koncepcji!

Olbrzymi misjonarz pochylił się nad Harrym. W jego oczach gorzało światło wiary, a w głosie pobrzmiwał gorący ferwor.

– Idea Boga, który kocha każdą osobę! Dla którego ważny jest nie tylko gatunek i klan, czy inne abstrakcje na wielką skalę, ale każde świadome jestestwo, zdolne do samodoskonalenia. Stwórcy wszechrzeczy, obiecującego szczęście, gdy spotkamy się z nim w Punkcie Omega. Tego, który daje zbawienie nie dla zbiorowości, lecz dla każdej indywidualnej duszy.

Harry mógł jedynie mrugać z osłupienia. Jego mózg i gardło sparaliżował uścisk, niepozwalający mu wydać z siebie dźwięku.

– Amen! – wrzasnęła papuga. – Amen i alleluja!

DZIENNIK ALVINA

Choć raz to ja najlepiej widziałem, co się dzieje. Moi koledzy – Ur-romn, Huck i Koniuszek – przebywali w innych częściach gwiazdolotu, gdzie musieli się zadowolić tym, co obserwowali w monitorach. Ja stałem tylko kilka długości ręki od doktor Baskin i podczas ucieczki z ogni Izmunuti widziałem to samo co dowódca.

Wszystko to wydarzyło się na moich oczach.

Oficjalnie przebywałem w pokoju mapowym, aby opiekować się śmierdzącymi glawerami, ale to nie wymagało ode mnie wiele poza karmieniem ich od czasu do czasu syntetycznymi granulkami, które miałem w torbie... i sprzątaniami, kiedy napaskudziły. W pozostałych chwilach zadowalałem się obserwowaniem, słuchaniem i zastanawianiem się, jak opisać to wszystko w dzienniku. Nic w moim życiu – ani dzieciństwo spędzone w małym hoońskim porcie rybackim, ani czytanie książek z ludzkiej przeszłości – nie przygotowało mnie na to, co wydarzyło się w tych midurach pełnych zmian i niebezpieczeństw.

Sara Koolhan była dla mnie inspiracją. Ona również jest przedterminową osadniczką, urodziła się na Jijo tak samo jak ja i jej przodkowie byli przestępcami. Podobnie jak ja do ubiegłego roku nigdy nie widziała gwiazdolotu ani komputera. Mimo to załoga liczy się ze zdaniem młodej ludzkiej kobiety. Prosi ją o rady. Sara wcale nie sprawia wrażenia zagubionej, gdy mówi o „obwodowych granicach nici” i o „warstwach kwantowej rzeczywistości”. (Mój mały autoskryba czuwa nad ortografią, bez obaw). Powtarzam sobie, że jeśli choć jedna obywatelka Stoku potrafi sobie poradzić z całą tą niezwykłością, nie powinienem być od niej gorszy.

Ach, ale Sara była na Jijo mędrzynią i czarodziejką. To znaczy, że wróciłem do punktu wyjścia i próbuję opowiadać o czynach gwiazdnych bogów, a także opisywać widoki znacznie dziwniejsze od tego, co ujrzelśmy w głębiach Śmietniska, w języku, który ledwie potrafię zrozumieć.

(Na Jijo posługujemy się anglikiem, by rozmawiać o kwestiach technicznych, ponieważ większość książek z czasu Wielkiego Drukowania napisano w tym języku. Na pokładzie „Streakera” sprawy mają się jednak inaczej. Jeśli trzeba posługiwać się precyzyjnymi terminami naukowymi, załoga przechodzi na siódmy albo na drugi galaktyczny, używając glifów słownych, które są dla mnie niemal zupełnie niezrozumiałe. To dowód na to, jak bardzo uwsteczniły się nasze jijańskie dialekty).

Zawodzenie glawerów zaliczało się jednak do zupełnie innej kategorii. Nie przypominało żadnego narzecza, jakie do tej pory słyszałem! Wzmocniony i upiększony przez Nissa hałas przebiegał niebo, docierając do przerażającego statku Zangów, który zbliżał się do nas, gotowy rozwalić „Streakera” na atomy unoszące się w burzliwej atmosferze gwiazdy.

Nawet jeśli lecąca ku nam złota globula blefowała – jeśli zamierzała skrócić w ostatniej chwili i przepuścić nas – staniemy przed następnym śmiertelnym zagrożeniem. Ścigający „Streakera” już od Jijo okręt liniowy Jophurów wkrótce odetnie nam jedyną drogę ucieczki z układu targanej burzami gwiazdy.

Gillian Baskin z całą pewnością wprowadziła nas między dwa szeregi rozjuszonych demonów.

Glavery nie przestawały jęczeć i ujadać. Mijały pełne napięcia dury.

Aż wreszcie wodorodyszni odpowiedzieli!

Ich skrzeczący hałas brzmiał jeszcze gorzej. Mimo to Sara uderzyła z radości otwartą dłonią o stół mapowy.

– A więc legenda mówi prawdę!

No dobra, przyznaję, że ja również powinienem znać tę opowieść. Zbyt wielką część młodości poświęciłem jednak na pochłanianie starożytnych ziemskich nowel, zamiast studiować dzieła jijańskich uczonych. Zwłaszcza zbiorów ustnych mitów i sag, które składały się na nasze dziedzictwo kulturowe, nim Ziemianie dołączyli do Sześciu Gatunków, zwracając nam umiejętność czytania i pisanania.

Najwyraźniej pierwsze pokolenie glawerskich uchodźców przybyłych na nasz świat rozmawiało z g'Kekami, którzy już tu byli, i opowiedziało, co je skłoniło do ucieczki z Cywilizacji Pięciu Galaktyk. Wiele stuleci przed wstąpieniem na Ścieżkę Odkupienia glawery wyjaśniły, dlaczego wybrały wygnanie.

Najwyraźniej posiadały talent, który dawał im pewną pozycję wśród klanów gwiazdnych wędrowców. W dawnych czasach były jednym z nielicznych gatunków mających smykałkę do rozmawiania z wodorodysznyimi! Dzięki temu wzbogaciły się, pośrednicząc w skomplikowanych transakcjach handlowych... aż wreszcie stały się aroganckie i nieostrożne. A w stosunkach z Zangami nie można sobie na to pozwolić.

Pewnego dnia opuściło je szczęście. Być może zdradziły jakieś informacje, przyjęły łapówkę albo nie spłaciły wielkiego długu. Tak czy inaczej groziły im poważne konsekwencje.

Zangowie zażądali w zamian jedynej rzeczy, która pozostała glawerom.

Ich samych.

Tak przynajmniej zrelacjonowała tę legendę Sara, tłumacząc wszystko Gillian i reszcie obecnych. Mówiła bez chwili wytchnienia. Czas upływał, glawery wyły, a my z każdą chwilą zbliżaliśmy się do ogromnego, groźnego lewiatana kosmosu.

Złożywszy w całość ciąg wydarzeń, uświadomiłem sobie, że glawery w rzeczywistości wcale nie przemawiają do Zangów. Osiągnęły przecież odkupienie i są teraz przedrocznymi istotami, prawie całkowicie pozbawionymi zdolności mowy.

Wspomnienia Zangów sięgają jednak daleko w przeszłość i nasze glawery instynktownie – być może na jakimś genetycznie zaprogramowanym poziomie – wiedziały, jaką znaczącą frazę powinny z siebie wydawać. Frazę znaną ich dawnym wierzytelom.

Hej! To my! Jesteśmy tu! To my!

Niss musiał dodać do tej jękliwej introdukcji jedynie prostą prośbę.

Zechciejcie uprzejmie przegonić tych jophurskich skurczybyków z naszego ogona.

Pomóżcie nam stąd uciec.

Mijały pełne napięcia chwile. Moje kręgi skrzybiały, gdy patrzyłem na zbliżających się z każdą chwilą Zangów. Byłem zaniepokojony jak urisa na plaży, bawiąca się w berka z morskimi bałwanami.

Potem, gdy już wyglądało na to, że Zangowie szykują się do śmiertelnośnego ataku, nasz niedoszły zabójca zmienił nagle kurs! Z głośników dobiegł pożegnalny zgrzyt. Niss poświęcił kilka dur na konsultacje z jednostką Biblioteki, nim wreszcie zaferował prawdopodobne tłumaczenie.

Lećcie teraz z nami.

Prześladowca w jednej chwili zmienił się w eskortę, wskazującą „Streakerowi” drogę wyjścia z gniewnego chaosu Izmunuti.

Zajęliśmy miejsce w konwoju ocalałych zniwiarek, uciekających ku staremu punktowi transferowemu.

A jeden z towarzyszących mu statków zawrócił, aby stawić czoło ścigającym.

Dalekozasięgowe czujniki ukazały nam starcie wszechmocnych tytanów.

Był to porażający widok, mimo że wielka odległość zacierała szczegóły. Słyszałem, jak

porucznik Tsh't tłumaczy Sarze, co się dzieje.

– To sssą pocisski piekielne – mówiła delfini porucznik, gdy okręt Jophurów przyśpieszył, zasypując nowego przeciwnika błyszczącymi punkcikami.

Sokowe pierścienie na pewno diabelnie mocno chcą dorwać delfiny, jeśli są gotowe stanąć do walki z tym potworem, by dostać się do „Streakera” – pomyślałem.

Globula Zangów była jeszcze większa od jophurskiego okrętu liniowego. Jej drżąca sylwetka przypominała raczej żelatynę albo coś, co mogłoby się sączyć z ranionego traekiego, niż litą materię. W pewnej chwili wydało mi się, że dostrzegam jakieś poruszające się wewnątrz widmowe kształty, przypominające unoszące się w powietrzu chmury albo ogromne żywe istoty pływające w mętnej cieczy.

Drobne kawałki oddzieliły się od głównego ciała niczym krople tryskające z bryłki tłuszczu na gorącej blasze. Te odpryski nie mknęły z pośpieszną gracją jak pociski Jophurów. Sprawiały wrażenie masywniejszych. I nieubłaganych.

Jedna kropla po drugiej powiększały się jak nadmuchiwane balony, osłaniając swą rosnącą powierzchnią okręt Zangów. Jophurskie pociski zręcznie manewrowały, starając się ominąć przeszkody, ale niemal wszystkie wpadały na którąś z kapek, powodując oślepiające wybuchy.

– Zangowie rzucają naprzód fragmenty swej ssubstancji, by się bronić – wyjaśniła Tsh't, obserwująca walkę chłodnym, szarym okiem ze swej wielkiej maszyny do chodzenia. – Do tej pory nie przeszli do działań ofensywnych.

Pamiętam, że zrodziła się we mnie nadzieja, że wodorodyszni mają pokojową naturę i nie są tak skłonni do przemocy, jak mówią sagi. Być może chcieli tylko opóźnić lot Jophurów, aby dać nam czas na ucieczkę.

Potem zmieniłem zdanie.

Powiedzmy, że pomoc wodorodysznych pozwoli „Streakerowi” uciec. To będzie znakomita wiadomość dla Ziemiaków – i być może również dla Pięciu Galaktyk – ale Jijo nadal pozostanie w paskudnej sytuacji. Jophurzy będą mogli przywołać posiłki i zrobić z mieszkańcami Stoku wszystko, co tylko zechcą. Wyrzucić g'Keków. Przekształcić wszystkich biednych traekich. Spalić bibloskie archiwum i obrócić Stok w swoją prywatną farmę genetyczną, na której przerobią pozostałe gatunki na małych, posłusznych podopiecznych...

Wcześniej plan Gillian – wciągnięcie jophurskiego okrętu w samobójczą pułapkę – doprowadziłby do śmierci mojej i wszystkich na pokładzie – ale mój ojczysty świat mógłby być bezpieczny.

Zmieniłem też zdanie, gdy chodziło o Zangów.

Na co czekacie? Strzelajcie!

Jophurzy byli tlenodyszni istoty, tak samo jak ja, dzielili ze mną część pradawnego DNA, które rozprzestrzeniło się w galaktykach w poprzedzających zaranie czasach, nim jeszcze nadeszli Przodkowie i dali początek cyklowi Wspomagania. Mimo to w owej chwili pragnąłem, by unicestwili ich prawdziwi obcy. Istoty należące do niezwyklej, niepojętej kategorii życia.

No jazda, Zangowie. Usmażcie te wielkie, paskudne stopy pierścieni!

Choć jednak dystans dzielący od siebie obu olbrzymów się zmniejszał, wszystko nadal wyglądało tak samo. Globula marnotrawiła znaczną część swego materiału, aby powstrzymać pociski i impulsy śmiertelności ognia wystrzeliwane przez wielki okręt. Mimo tych wysiłków niektóre zdołały się przedrzeć, uderzając z wielką gwałtownością w jej główne ciało. Widoczne na tle czarnego nieba fontanny galaretowatego materiału płonęły, syjąc pięknymi iskrami. Po powierzchni statku Zangów przebiegały konwulsyjne fale. Mimo to parł naprzód, a gawery zawodziły, jakby

dopingowały wodorodysznych.

– *Zbliża się punkt t* – oznajmił wzmocniony delfini głos, dobiegający z głośnika. Syczące brzmienie sugerowało, że mówiący oddycha nasyconą tlenem wodą, to zaś znaczyło, że przebywa na mostku.

– *Wszyscy przygotować się do przejścia. Kaa mówi, że nasi przewodnicy zachowują się dziwnie. Wybierają niekonwencjonalny sposób podejścia, więc może być ciężko!*

Gillian i Sara złapały za poręcze. Delfiny przebywające w pokoju mapowym szeroko rozstawiły nogi wędrowników i namagnetyzowały je, by przywrzeć do podłogi. Ja i glawery nie mogliśmy jednak zrobić wiele poza wybałuszaniem oczu ze strachu. W przednim ekranie widziałem pole gwiazd, na którym rysował się wir nieprzeniknionej czerni. Wygenerowane przez komputer linie zbiegały się w nim, a Sara szeptała z podniecenia na widok towarzyszących im figur i glifów.

Obserwowałem lecący przed nami statek. Pierwsza globula Zangów zadrżała z czymś bliskim niecierpliwości, zakręcając ostro w stronę wiru...

A potem spadła gwałtownie w kierunku, którego nie potrafiłbym opisać, choćby zależało od tego moje życie.

W kierunku, o którego istnieniu nie miałem do tej pory pojęcia.

Zerknąłem pośpiesznie na tylny ekran. Drugi statek wodorodysznych sypał odpryskami pod ciosami jophurskiego okrętu liniowego, zasypującego go desperackim ogniem z krótkozasięgowej broni. Oba lewiatany były już bardzo blisko siebie i nadal gnały za nami z tą samą prędkością.

Statek Zangów przeszył ostatni, straszliwy cios. Globula rozpadła się na kilka rozpływających się fragmentów.

Przez chwilę sądziłem, że jest po wszystkim.

Że Jophurzy zwyciężyli.

Potem dwie ogromne grudy wyciągnęły się, całkiem jak żywe macki, i opadły na lśniący, metalowy kadłub. Przywarły do jego powierzchni. Rozprzestrzeniały się. Rozlewały.

Choć dzielił nas wielki dystans, a obraz przesłaniała migotliwa mgiełka, odnosiłem wrażenie, że coś próbuje wniknąć do środka.

Następnie obraz zniknął.

Zwróciłem się ku głównemu ekranowi. Zaczęło się przejście.

KAA

Pilotowanie gwiazdolotu przez wypaczoną geometrię punktu transferowego było skomplikowaną sztuką. Żadna maszyna ani algorytm logiczny nie mogłyby poradzić sobie z tym zadaniem samodzielnie.

Trzeba było kierować się intuicją, wiedzieć, kiedy zwolnić pola kołnierzowe, wiążące statek z błyszczącą nicią, i wybrać odpowiedni moment do skoku – trwającego sekundy, a zarazem eony – przez pustkę głębszą niż próżnia... a potem przemknąć zręcznie do następnej smukłej nieciągłości (nie dotykając jej śmiertcionośnego brzegu) i popędzić wzdłuż niej do celu.

Nawet spokojny punkt t był straszliwym wirem. Płataniną spaghetti pełną migotliwych łuków i fałd, gdzie tkanka kosmosu wyginała się w licznych – i niekiedy niekompletnych – wymiarach.

Labiryntem oszałamiających niedoskonałości o formie włókien.

Przypominających struny pęknięć w zwierciadle rzeczywistości.

Tym, którzy posiadali mądrość potrzebną, by zrobić z nich dobry użytek, lśniące pasma mogły przynieść wielkie korzyści. Pozwalały podróżować między połączonymi galaktykami znacznie szybciej niż przez hiperprzestrzeń.

Ale dla głupich i nieuważnych ich darem był szybki, efektywny kres.

Kaa kochał skakanie między niciami najbardziej ze wszystkich elementów gwiazdnych lotów. Coś w nich pasowało do obu stron jego neodelfiniej natury.

Nowe warstwy mózgu, dodane przez ludzkich inżynierów genetycznych, pozwalały mu widzieć w pasmach skazy w kwantowej metryce, pozostałość po czasach, gdy wszechświat stygnął, przechodząc z przegrzanej inflacyjnej piany w wielowarstwowy tort, składający się na różne warstwy rzeczywistości i hiperprzestrzeni. Po tej koalescencji pozostały defekty – granice i szczeliny – w których można było naginać prawa fizyki i odnaleźć drogę na skróty. Kaa potrafił zastanawiać się nad podobnymi sprawami za pomocą zdyscyplinowanych procesów mentalnych, które kapitan Creideiki zwał Umysłem Inżyniera.

W tej samej chwili postrzegał jednak również inne struktury i odbierał odmienne wrażenia. Umożliwiały mu to starsze narządy, ukryte głębiej w czaszce. Starożytne kawałki szarej substancji nastawione na słuchanie – analizę struktury szumów morskiego prądu albo ocenę cykloidalnego rytmu fal. Instrumenty sondowały gęstą płataninę skamieniałych granic topologicznych i przekazywały mu dane w formie obrazów sonaru. Wyczuwał, niemalże intuicyjnie, kiedy nic transferowa się skończy i do którego z sąsiednich pasm powinien się potem przyczepić, aby wprowadzić „Streakera” na błyszczącą ścieżkę wiodącą ku nowemu celowi.

Thomas Orley porównał kiedyś ten proces do „przeskakiwania z jednej kolejki górskiej na drugą, gdy w lunaparku szaleje burza z piorunami”. Creideiki opisał to inaczej.

** Zbiegająca się natura*

** Zaczyna się i kończy, żyje i umiera,*

** Tam, gdzie pływ spotyka się z płycizną i niebem... **

Nawet we wczesnych dniach ekspedycji, gdy kapitan był jeszcze z nimi, a naprawdę trudnymi manewrami zajmował się znakomity pierwszy pilot „Streakera”, Keepiru, wszyscy zgadzali się, że nic nie może się równać z przelotem przez punkt t, kiedy statkiem pilotuje Kaa. Jego śmiałość,

efektywne manewry wydawały się bezbłędne. Gdy seria absurdalnie fartownych skoków pozwoliła mu pobić liczący sobie milion lat rekord i dotrzeć z Tanith na Calafię w pięć i ćwierć mictaara, załoga nadała mu specjalny przydomek.

„Szczęściarz”.

W troistym ta fraza słowna niosła ze sobą znacznie więcej znaczeń niż w anglicu. Sugerowała szczególną przychylność morza fortuny, głębokiego królestwa przypadku, gdzie Ifni rzucała swymi kośćmi, a pradawni marzyciele śpiewali jękliwe pieśni, które były stare, zanim jeszcze zrodziły się gwiazdy.

To był wielki zaszczyt. Niemniej niektórzy powiadają, że podobne tytuły, raz zdobyte, trudno jest utrzymać.

Pierwszy raz szczęście opuściło go podczas fiaska na Oakka, straszliwym zielonym świecie, gdzie spotkała ich zdrada. Potem szybko robiło się coraz gorzej. Kiedy „Streaker” uciekł na mroczne wysypisko śmieci ukryte w głębinach nieszczęsnego oceanu Jijo, tylko nieliczni nadal zwali Kaa Szczęściarzem.

Potem, w ciągu kilku dni, los dał mu najlepszą, a zaraz po niej najokrutniejszą kartę. Znalazł miłość... i zaraz ją utracił, gdy obowiązek odciągnął go z miejsca, gdzie pozostało jego serce. Z każdą upływającą minutą oddalał się od Peepoe o kolejne parseki.

I stało się to w chwili, gdy najbardziej mnie potrzebowała.

Dlatego lot przez labirynt migotliwych nici sprawiał neodelfinowi niewiele radości. Tylko nieustępliwy profesjonalizm pozwalał mu wykonać zadanie.

Kaa nauczył się nie liczyć na szczęście.

Za nim, w wypełnionej wodą sterowni, panowała niesamowita cisza. Kaa nie otwierał oczu ani nie rozpraszał uwagi, lecz i tak wiedział, że pozostałe neofiny ze wszystkich sił starają się hamować odruchowe klikanie sonaru, żeby mu nie przeszkadzać.

Miały powody do niepokoju. Ten transfer był inny niż wszystkie.

Powód lśnił łagodnym blaskiem tuż przed „Streakerem” – ogromny obiekt, który Kaa w jednej chwili postrzegał jako gigantyczną meduzę... w następnej zaś jako kolosalną kałamarnicę o mackach większych od wszystkich gwiazdolotów, jakie w życiu widział. Na widok monstrualnego profilu – przekształconego z myślą o podróży przez kręte jelita punktu t – Kaa przesywały dreszcze. Instykt kazał mu uciekać, zwolnić pole kołnierzone i przeskoczyć na jakąś sąsiednią nić, bez względu na to, w jaki zakątek wszechświata mogłaby prowadzić, tylko po to, by umknąć przed przerażającą sylwetką.

To nasz przewodnik. Gdybyśmy spróbowali się oddalić, Zangowie z pewnością nas zabiją.

Słyszał cichą kocią muzykę dobiegającą z sąsiedniego, suchego pomieszczenia – pokoju mapowego. Z czasem rozpoznał w niej zawrodożenie glawerów, uwstecznionych istot z Jijo, które dobrowolnie wróciły do zwierzęcej przedrozumności. Już to jedno wystarczyłoby, żeby go nastraszyć, nawet bez dziwnego powinowactwa łączącego te zwierzaki o wylupiastych ślepiach z zupełnie inną kategorią życia. Owa zdolność dała „Streakerowi” szansę ucieczki przed przerażającymi Jophurami, ale jakim kosztem?

Umknęliśmy przed śmiertelnymi wrogami – myślał. – Ale spotkaliśmy innych, budzących lęk w całej Cywilizacji Pięciu Galaktyk.

Szczerze mówiąc, takie dylematy stały się już dla delfiniej załogi chlebem powszednim. Dokądkolwiek się udali, zawsze wpadali z deszczu pod rynnę.

Przygotowują się – pomyślał Kaa, gdy macki przypominającego kałamarnicę obiektu lekko zapulsowały. Już dwukrotnie podobne efekty poprzedzały manewr skoku. W obu przypadkach potrzebował całych swych umiejętności, by podążyć za Zangami, nie rozbijając przy tym „Streakera” o pobliską osobliwość strunową. Wodorodyszni mknęli wzdłuż nici, używając stylu niepodobnego do niczego, co dotąd widział. Posuwali się wzdłuż linii świata raczej czasopodobnych niż przestrzeniopodobnych, wywołując fale mikroprzyczynowości doprowadzające do mdłości wszystkich na pokładzie. W ich metodzie nie było nic szczególnie efektywnego. Po każdym drastycznym manewrze, któremu towarzyszyły nieprzyjemne reakcje układu nerwowego, Kaa miał ochotę zawrócić i zrobić to jeszcze raz, w bardziej sensowny sposób.

Zapewne potrafiłbym doprowadzić was na miejsce dwa razy szybciej – pomyślał, spoglądając z urazą na przypominający głowonoga obiekt. – Gdybyście tylko powiedzieli mi, dokąd lećcie.

Co prawda, efekty rezonansowe zmieniły się, odkąd ostatnio korzystał z tego punktu t, podczas ucieczki ze strasznego Fraktalnego Świata, gdy Gillian wprowadzała w życie swój ostatni desperacki plan... ścieżkę przedterminowych osadników, poszukiwanie kryjówki na odległej Jijo. Gdy w pobliżu Izmunuti otworzył się drugi węzeł osobliwości, z pewnością wstrząsnął również i tym. Niemniej z pewnością istniał łatwiejszy sposób dotarcia w miejsce, do którego zmierzali Zangowie...

Obrazy sonaru skupiły się i Kaa dostrzegł jasną wiązkę nici tuż przed nimi... węzeł gordyjski pozbawiony choćby jednego przestrzeniopodobnego pasma.

O kurde! Wodorodyszni lecą prosto na to okropne skupisko. Niech ich szlag!

Wysłuchawszy się uważnie w dźwiękowy portret węzła, Kaa poczuł jednak, że wyczuwa coś w jego płataninie...

Wiecie co? Idę o zakład, że zgadnę, który węzeł wybiorą.

Skupił maksymalnie uwagę. To było dla niego bardzo ważne. Stawka była większa niż obowiązek i przetrwanie, czy sława, jaką neodelfini piloci zdobywali powoli w Pięciu Galaktykach. Nawet odzyskanie przydomka nie pociągało go już zbytnio.

Dla Kaa liczyło się teraz tylko jedno. Miał do wykonania robotę. Musiał bezpiecznie dostarczyć na miejsce Gillian Baskin i jej ładunek, a potem odnaleźć drogę powrotną na Jijo. Wróci do Peepoe, nawet jeśli miało to oznaczać, że już nigdy nie będzie pilotować gwiazdolotu. Włączył alarm, by ostrzec pozostałych.

– Ruszamy!

„Kałamarnica” rozwinęła się, przygotowując się do ostatniego skoku.

DZIENNIK ALVINA

Nie potrafię opisać ani jednego momentu naszej podróży przez punkt transferowy.

Nasuują mi się różne porównania. Na przykład sztuczne ognie na Dzień Założycieli. Albo zręczna uryjska majsterka rzucająca błyszczący proszek wysadzaczy podczas pokazu sztuczek magicznych. Albo...

Daj sobie z tym spokój, Alvin.

Szczerze mówiąc, z całego przyprawiającego o mdłości przejścia zapamiętałem tylko błyszczące intensywnie wstążki wypełniające wszystkie ekrany. Sara Koolhan krzyczała z radości, widząc, że matematyka, którą tak kochała, ożyła na jej oczach, natomiast bardziej doświadczona Gillian Baskin pokastywała tylko z zaskoczenia i trwogi. Ten dźwięk mnie niepokoił.

Pola grawitacyjne zmieniały się z każdą chwilą. Z szeregów pobliskich przyrządów sypały się iskry. Neofiny z załogi podchodziły bliżej w swych wędrownikach, gasząc rozżarzone punkty za pomocą nieczynnego chemicznie gazu. Zważywszy wszystko razem, ten niedoświadczony gwiazdny wędrowiec doszedł do wniosku, że nie mamy do czynienia z typowym przejściem.

Szczerze mówiąc, wkrótce poczułem się tak źle, że przestałem zwracać uwagę na cokolwiek. Rozpostarłem szeroko ramiona, by miauczące żałośnie gławery mogły się pod nie wsuwać. Niestety, ogłuszający wizg silników „Streakera” zagłuszał wszelkie moje próby uspokajającego burkotania.

Bez wątpienia były to najgorsze dwie midury w moim życiu, nawet jeśli porównać je z tą okropną chwilą, gdy w rozbitym „Marzeniu Wuphonu” spadliśmy z podmorskiego urwiska w zimne piekło jijańskiego Śmietniska, a prosto w twarz trysnął mi strumień lodowatej wody.

– Ruszamy! – krzyknął nagle jeden z delfinów i w jednej chwili sytuacja pogorszyła się znacznie. Moje drugie jelito uderzyło gwałtownie o serce. Poczułem, że nie mogę oddychać. Wszystkie dźwięki nagle ucichły!

Przez długi czas czułem się, jakby zawijano mnie w grubą belę bekowej bawełny. Jakby wrywano mnie ze wszechświata i patrzyłbym na niego z końca długiego tunelu albo dna bardzo głębokiej studni.

Potem, równie gwałtownie, wróciłem! Znowu otoczył mnie kosmos. Z moich kolców kręgowych spadł olbrzymi ciężar i mogłem zaczerpnąć tchu.

Hoonowie z Jijo kochają swe żaglowce – pomyślałem, opierając się falom mdłości. – Nigdy nie mamy choroby morskiej. Ale jeśli nasi wędrujący między gwiazdami przodkowie byli narażeni na coś takiego, na pewno bez przerwy rzygali. Nic dziwnego, że legendy opisują ich jako okropne zrzędy.

Uniosłem wzrok i zauważyłem, że Sara i Gillian już wstały. Obie podchodziły z niepokojem do wielkiego ekranu. Tsh't i reszta delfinów podążali w swych wędrownikach tuż za nimi, patrząc na obraz nad ich ramionami.

Wstałem z lekkim drżeniem i dołączyłem do nich. Skłębione kolory na głównym ekranie szybko się rozpraszały. Ryk silników gwiazdolotu przeszedł w cichy pomruk. Wiry na ekranie rozstąpiły się niczym fałdy zasłony, odsłaniając...

...gwiazdy.

Gapilem się na niezwykle konstelacje.

Nawet Ifni nie zliczy, jak daleko leżą od tych, które znam.

Jak powinien się czuć ktoś, kto zrealizował swe dawne, nierealne marzenia?

Alvin, znalazłeś się naprawdę bardzo daleko od domu.

Kiedy dumałem nad tym cudem, „Streaker” powoli zawracał. Przed naszymi oczami przesuwały się błyszczące pola gwiazd – niezwykle gromady, mgławice i ramiona spiralne, których światło dotrze do Jijo dopiero za tysiące, czy nawet miliony lat – aż w końcu ujrzeliśmy naszą eskortę, ogromne statkowe jestestwo Zangów.

I miejsce, do którego nas prowadziło.

Pokojem mapowym wstrząsnął głośny jęk. Wszyscy Ziemianie jednocześnie dali wyraz temu samemu uczuciu.

– O nie! – zawołała porucznik Tsh’t. – T... to niemożliwe!

Doktor Baskin westchnęła.

– Nie wierzę w to. Po tylu cierpieniach wróciliśmy tutaj!

Przedni ekran powoli wypełniał kolejny widok, którego w pierwszej chwili nie byłem w stanie opisać. To była jakaś struktura, niewiele jaśniejsza od czarnej pustki. Dopiero gdy Gillian kazała dostroić obraz, obiekt oddzielił się od tła, przybierając barwę ciemnej umbry.

Miał w przybliżeniu kulisty kształt, ale wszędzie sterczały z niego kolce, jak z jednego z tych rzepów, które podczas wędrówki przez chaszcze wczepiają się w futro porastające nogę. W pierwszej chwili pomyślałem, że to kolejny potężny gwiazdolit, znajdujący się niepokojąco blisko.

Potem jednak uświadomiłem sobie, że nadal mkniemy naprzód z ogromną prędkością, ale wielkość obiektu zmienia się bardzo powoli.

Musi być naprawdę gigantyczny – pomyślałem, przedstawiając swą wyobraźnię. – Jeszcze większy od statku Zangów!

Pożółkła globula leciała obok „Streakera”, drżąc w sposób, który budził mój niepokój. Znowu zaatakowały nas przypominające drapanie odgłosy płynące z głośników. Gławery zakołysały wielkimi głowami, wybałuszyły wyłupiaste oczy i zaczęły jęczeć.

– *Mówią, że musimy lecieć za nimi* – przetłumaczył Niss.

– Cz... czy s... spróbujemy ucieczki do punktu t... transferowego? – wyjąkała porucznik Tsh’t. – Moglibyśmy szybko zawrócić i wpaść do środka. Kaa przeprowadziłyby nas...

Gillian potrząsnęła głową.

– Zangowie nie pozwoliliby nam przelecieć nawet dwóch metrów.

Opuściła ramiona w ludzkim geście cierpienia, jakiego żaden hoon nie potrafił naśladować. Najwyraźniej załoga „Streakera” знаła to kolczaste miejsce i żaden z jej członków nie chciał go ponownie odwiedzić.

Spojrzałem w oczy Sarze Koolhan. Po raz pierwszy moja rodaczka sprawiała wrażenie równie zagubionej jak ja. Zamrugła z wyraźnym zdziwieniem, niezdolna pojąć ogromu obiektu, który widzieliśmy.

Z ust jedyne go obecnego tu ludzkiego mężczyzny wyrwał się dziwny odgłos. Emerson D’Anite był niemy, utracił zdolność mowy. Przez cały czas lotu z Izmunuti zachowywał się spokojnie, obserwując niezwykle kolory przestrzeni t, jakby kryło się w nich więcej znaczeń niż w słowach mowy jego gatunku.

Gdy gapił się na ogromną, kolczastą kulę, na jego twarzy malowało się zdumienie, podobnie jak u jego towarzyszy. Ciemne oblicze rannego mężczyzny wykrzywiało się pod wpływem rozmaitych emocji. Sara podeszła do niego i ujęła go za ramię, mówiąc coś cicho.

Pamiętam, że pomyślałem wtedy: „Jeśli to miejsce doprowadziło Terran do takiej desperacji, że uciekli na Jijo, nie dziwię się, że nie cieszą się z powrotu tutaj.”

– Superpołyśliwe! – dobiegł mnie z tyłu znajomy, pełen zachwyty głos.

Odwróciłem się akurat na czas, aby zobaczyć wjeżdżającą do pokoju mapowego Huck. g'Keczka kołysała wszystkimi czterema ruchliwymi oczami, wyciągając je w stronę ekranu.

– Wygląda bombowo. Co to jest?

Tuż za nią podążała moja druga koleżanka. Przez otwarte drzwi do środka wsunęła się uryjska głowa, a za nią długa, kręta szyja. Jedyne nozdrze rozwarło się pod wpływem nieprzyjemnego odoru strachu Ziemi.

Przybywający z innego kierunku czerwony qheuen o masywnym opancerzonym ciele odtrącił bezceremonialnie na bok wahającą się Ur-romn. Koniuszek Szczypiec zakręcił kopułą zmysłową i strzelił szczypcami z podniecenia.

Oczywiście, powinienem był się tego spodziewać. Moich przyjaciół nikt tu nie zapraszał, ale bez względu na międzygatunkowe bariery wszystkich ich łączył talent do natychmiastowego wpadania w kłopoty.

– Hej, kosmatonogi! – zawołała Huck, trącąc mnie w bok dwiema szypułkami. Dwie pozostałe wyciągała w górę, by widzieć coś nad tłumem. – Zrób wreszcie jakiś użytek ze swojego przepasionego cielska i utwórz nam drogę między tymi rybowatymi stworami, żebyśmy mogła coś zobaczyć!

Skrzywiłem się. Miałem nadzieję, że delfiny są zbyt zajęte, by zauważyć jej impertynencję. Zamiast przeszkadzać załodze, pochyliłem się i złapałem Huck za obręcz kół, a potem z głośnym stęknieniem uniosłem ją nad tłum. (Młodzi g'Kekowie nie ważą zbyt wiele, choć w owym czasie mój grzbiet jeszcze w pełni nie wyzdrowiał. Kłuło mnie w nim za każdym razem, gdy Huck poruszała się nerwowo i kręciła kołami z podniecenia).

– Co to jest? – zapytała, wskazując na ogromną, kolczastą kulę.

Porucznik Tsh't uniosła gładką głowę nad miękką platformę mechanicznego wędrownika i skierowała jedno oko na moją g'Kecką przyjaciółkę.

– To jessst miejsce, w którym my, rybowate stwory, cierpieliśmy straszliwie przed przybyciem na wasz świat.

Gdybym był człowiekiem, uszy zapłonęłyby mi ze wstydu. Ponieważ byłem hoonem, w moim worku rezonansowym zrodził się przepaszający burkot. Huck nic nie zauważyła. Nie przestawała trąkotać:

– Kurde, ale wielkie!

Z wilgotnego otworu nosowego delfinicy wyrwał się parszający śmiech.

– Można by t... tak powiedzieć. Sfera ma objętość około trzydziestu astronów, czyli jednej bilionowej parseka sześciennego.

Huck poruszyła szypułkami w radosnym geście zastępującym jej wzruszenie ramion.

– Hmm! Cokolwiek to znaczy. Powiem ci, co mi przypomina. Wygląda jak kolczasta muszla pustynnego małża!

– Pozory częsssto myślą, młoda Jijanko – odparła Tsh't. – Ta muszla jest tak miękka, że można by ją kroić drewnianą łyżką. Gdybyś się zbliżyła i wypuściła na nią oddech, dotknięty przez powietrze obszar wyparowałby. Nie przekracza gęstością chmury podczas zamieci.

To nie brzmi zbyt groźnie – pomyślałem. Potem jednak zauważyłem zdumienie na twarzy Sary Koolhan. Nasza młoda ludzka mędrzyni zmarszczyła brwi, przenosząc spojrzenie z pełnych danych monitorów na główny ekran, a potem na Tsh't.

– Podczerven... profile reemisji... chyba nie chcesz powiedzieć, że to coś naprawdę zawiera...

Przerwała, nie mogąc dokończyć zdania. Delfinica zachichotała.

– W rzeczy samej, zawiera. Wewnątrz tej miękkiej ozdóbki, tego zwodniczego płątka t...

trującego śśśniegu, kryje się gwiazda. Witajcie, drodzy jijańscy przyjaciele. Witajcie we Fraktalnym Świecie.

LARK

Nie było mu zimno, mimo że, logicznie rzecz biorąc, powinno.

Spowiła go dławiąca mgła. Ze wszystkich stron ścisnęły go błony, zginające jego ciało niemalże wpół, z kolanami podciągniętymi pod brodę.

To było tak, jakby ktoś wepchnął go z powrotem do macicy.

Wkrótce jego uwagę przyciągnęło kolejne podobieństwo.

Przestał oddychać.

Co więcej, usta miał szczelnie zamknięte, a do nosa wepchnięto mu zatyczki. Rytmiczne ruchy klatki piersiowej, cichy szum słodkiego powietrza, te zauważalne elementy codziennego tła jego życia zniknęły!

Gdy Lark uświadomił sobie ów fakt, omal nie zawładnęła nim panika. Szarpał się i miotał, aż wzrok przesłoniła mu czerwona mgiełka, zwężająca się do tunelu. Choć ciało z początku zdawało się odporne, kazał mu zaczerpnąć tchu... i nic nie osiągnął.

Postarał się mocniej, zmuszając do wysiłku ospałą przeponę i klatkę piersiową. Natęzał mięśnie, wyginając kręgosłup, aż wreszcie przez jedną z zatyczek przedostał się maleńki strumyk powietrza – zapewne tylko kilka cząsteczek...

...i przyniósł ze sobą gryzący smród!

Larkiem targnęły gwałtowne paroksyzmy. Szarpał kończynami, a wnętrzności podchodziły mu do gardła, gdy próbował wymiotować we wzburzone otoczenie.

Na szczęście w brzuchu miał pustki. Od kilku dni jadł bardzo niewiele. Jego ciało ogarnął bezwład, jakby podano mu narkotyk. Atak minął i nadeszło kojące odrętwienie. Tylko w ustach został mu paskudny posmak.

Nauczył się czegoś ważnego.

Kiedy następnym razem znajdziesz się we wnętrzu śmierdzącego robala, zwinięty w pozycji płodowej, i poczujesz, że opuścił cię instynkt oddychania, wyciągnij odpowiednie wnioski. Daj się ponieść biegowi wydarzeń.

Sprawdził swój puls i przekonał się, że przynajmniej jego serce ciągle funkcjonuje. Uporczywe pieczenie w zatokach – znajomy, ohydny smród – wystarczał, by potwierdzić, że życie trwa nadal, bolesne jak zawsze.

Rozejrzał się i wkrótce się zorientował, że torba, w której go zamknięto, jest jedną z wielu unoszących się w znacznie większym obszarze. Zdołał wypatrzeć inne błoniaste worki. Większość zawierała wielkich stożkowatych Jophurów, zwężające się ku górze stopy tłuszczowych pierścieni, które słabo pulsowały, a ich segmenty podstawne poruszały bezsilnie nogami, nie mając stałej powierzchni, od której mogłyby się odepchnąć. Niektóre przypominające traekich istoty wyglądały na nieuszkodzone, inne jednak rozbito na mniejsze stopy albo nawet na indywidualne pierścienie.

Od każdej komórki, również jego własnej, odchodziły zawężone liny, podobne do pulsujących witek mierzwopajaka. Jedna z nich przebijała się przez pobliską półprzezroczystą ścianę, owijała się wokół lewej nogi Larka i kończyła na wewnętrznej powierzchni uda, tuż poniżej pachwiny.

Na ten widok nadeszła druga fala paniki, Lark stłumił ją jednak, odwołując się do swej najsilniejszej strony – wiedzy prymitywnego uczonego. Jijo mogła być zacofana i brakowało jej intelektualnych zasobów Pięciu Galaktyk, ale karty papierowych książek wystarczały, by wyszkolić sprawny umysł.

Wykorzystaj to, co wiesz. Domyśl się prawdy!

W porządku.

Po pierwsze... przewód wbity w jego nogę był najwyraźniej wymierzony w tętnicę udową. Być może karmił się jego krwią, jak jakaś kosmiczna pijawka z tandetnej przedkontaktowej historii science fiction. Ta przerażająca wizja wydawała się jednak za głupia. Lark podejrzewał, że prawda wygląda całkiem odmiennie.

Podstawowe funkcje podtrzymywania życia. Unoszę się w trującej atmosferze, więc nie pozwalają mi oddychać, jeść ani pić. Z pewnością przekazują tlen i substancje odżywcze bezpośrednio do mojej krwi.

Kimkolwiek mogli być.

Jeśli zaś chodzi o kołyszące się pojemniki, Lark był pracującym w terenie biologiem i potrafił rozpoznać torby do przechowywania próbek. Choć nie mógł się śmiać, poczucie ironicznej sprawiedliwości pozwalało mu zachować dystans do sytuacji. W swej karierze przyrodnika pojął bardzo wiele pechowych stworzeń, chcąc poznać skomplikowane relacje między zamieszkującymi Jijo gatunkami.

Jeśli natura przechowywała karmę za takie uczynki, brzemień nagromadzone przez Larka mogło go skazać na taki właśnie czyściec.

Wyteżał wzrok, chcąc zobaczyć przez mgiełkę coś więcej. Miał nadzieję, że nie znajdzie Ling wśród więźniów, ale gdy się upewnił, że nigdzie jej nie widać, spowił go całun samotności.

Może uciekła przed Rannem i Jophurami, kiedy żółte potwory zaatakowały „Polkjhy”. Jeśli zdołała dotrzeć do centrum życia, mogło jej się udać skryć w dżungli i dotrzeć do naszego dawnego gniazda. Przynajmniej na pewien czas.

Za zasłoną mroku dostrzegał ściany. Komora wyglądała na większą niż drzewo spotkań w jego rodzinnej wiosce. Niektóre widoczne sprzęty oraz zamontowane na ścianach jednostki zbierania danych świadczyły, że nadal znajduje się na jophurskim okręcie. Jednakże tą jego częścią zawładnęli najeźdźcy, wypełniając ją swą toksyczną atmosferą.

To powinno być dla niego wskazówką. Znajomy, odrażający zapach. Trucizna, której nie można wciągać do płuc. Jednakże przeciążony umysł Larka nie był w stanie wyciągnąć natychmiastowych wniosków. Dla Jijanina, nawet tak zwanego uczonego, cały kosmos był bezkresnym królestwem, pełnym straszliwych cudów.

Czy zawładnęli całym statkiem?

To wydawało się mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę potęgę jophurskich gwiazdnych bogów, ale Lark znajdował w tej myśli abstrakcyjną pociechę. Ci kuzyni traekich z pewnością oznaczali złe wieści dla wszystkich Sześciu Gatunków z Jijo, a zwłaszcza dla biednych g’Keków. Dla jego rodzinnego świata najlepiej by było, gdyby okręt liniowy „Polkjhy” nigdy nie dotarł do domu i nie zameldował, co odkrył w mało znanym zakątku Czwartej Galaktyki.

Nie cieszył się jednak zbyt z nowej sytuacji ani nie był wdzięczny tym, którzy go pojmali.

Dopiero po pewnym czasie Lark uświadomił sobie, że niektórzy z nich są blisko!

W pierwszej chwili brał drżące sylwetki za zagęszczenia wypełniającej pomieszczenie mgły. Jednakże owe plamy zachowywały zwartość i swoistość, nawet jeśli ich zarysy były płynne. Porównywał je do ruchomych skupisk pokrywającej staw rzęsy... albo gęstych chmur burzowych, unoszących się majestatycznie pośród pomniejszych obłoków. Kilka owych amorficznych kształtów skupiło się wokół pobliskiej torby na próbki, przyglądając się jophurskiemu więźniowi.

Przyglądając się? Dlaczego tak myślisz? Widziałeś jakieś oczy? Albo inne organy zmysłowe?

Wielkie krople poruszały się ospale w gęstym ośrodku, wysuwając wijące się tymczasowe

ramiona albo nibynóżki. Na ich półprzezroczystej powłoce Lark nie dostrzegał żadnych trwałych organów ani struktur, a jedynie rytmiczne ruchy małych, kluchowatych podjednostek, które łączyły się lub dzieliły w skomplikowanym tańcu, którego mężczyzna nie był w stanie prześledzić.

Przypomniawszy sobie znacznie większe amebowate stworzenie widziane przedtem – intruza, który przedarł się przez grodz gwiazdolotu i spłoszył Ranna oraz resztę ścigającej Larka grupy. Miał wówczas wrażenie, że istota spojrzała na niego, nim ruszyła szybko naprzód, by go połknąć.

Co to za stworzenia? Czy Ling kiedykolwiek wspominała o podobnych? Nie pamiętam...

Nagle przypomniał sobie, gdzie przedtem czuł ten paskudny zapach. W Biblos... w Sali Nauki... części wielkiego archiwum, z której usunięto półki, by urządzić laboratorium chemiczne. Mała grupka mędrców, finansowana przez Jijański Cech Wyszadzaczy, próbowała tam odtworzyć pradawne tajemnice.

Chcieli odzyskać dawne umiejętności, a może nawet dowiedzieć się nowych rzeczy. W cechu z pewnością pełno było heretyków takich jak Sara. Tych, którzy wierzyli w „postęp”.

Nigdy przedtem o tym nie myślałem, ale na Stoku roiło się od dysydenckich przekonań, jeszcze dziwniejszych niż moje. Z czasem doszłoby do schizmy – a nawet wojny domowej – gdyby z nieba nagle nie spadł deszcz bogów.

Pomyślał o Harullenie i Uthenie, swych pokrytych chityną przyjaciółach zabitych przez zdradzieckich obcych. A także o Dwerze i Sarze. Miał nadzieję, że są teraz bezpieczni w domu. Choćby tylko dla nich pragnął wysadzić ten majestatyczny okręt, by Jijo ponownie spowiła błogosławiona zasłona tajemnicy.

Te ponure rozważania prowadziły go z melancholijnej przeszłości przez tajemniczą terażniejszość ku niepewnej przyszłości.

Czas upływał, choć Lark mógł go mierzyć jedynie uderzeniami serca. Ich liczenie wkrótce go znudziło, ale nie dawał za wygraną, nie chcąc utracić orientacji.

Żyję! To znaczy, że z jakiegoś powodu wydałem się im ciekawy.

Zamierzał pobudzić owo zainteresowanie na wszelkie dostępne sposoby.

DZIENNIK ALVINA

„Witajcie, drodzy jijańscy przyjaciele. Witajcie we Fraktalnym Świecie.”

Te słowa były znakomitym zakończeniem rozdziału dziennika.

Owa chwila miała w sobie dogłębny, niesamowity dramatyzm. Wyczuwałem tragiczne rozczarowanie załogi „Streakera”. Uciekli tak daleko, aż do piekielnych głębin jijańskiego oceanu, a także stracili wielu towarzyszy, tylko po to, by wrócić w to samo miejsce, które przysporzyło im tak wiele bólu.

W porównaniu z tym, co wydarzyło się później, wszystko to jednak błędnie jak cień, gdy uderzy błyskawica.

– Może to jessst inna struktura Criswella – zasugerował Akeakemai, jeden z delfinich oficerów technicznych. Jego głos dobiegał z mostka. – W końcu tylko w tej jednej galaktyce są ich ponoć miliony.

Ta nadzieja prysła, gdy Tsh't potwierdziła konfigurację gwiazd.

– A poza tym, jak wielkie są szanse na to, że znajdziemy następną strukturę tak blisko punktu transferowego? Większość znajduje się w odległych gromadach kulistych. Nie – ciągnęła porucznik. – Nasi przyjaciele Zangowie s... sssprowadzili nas tu z jakiegoś cholernego powodu... niech zamienią się w parę i spłoną.

Nasza czwórka dzieciaków z Wuphonu zgromadziła się na jednym końcu pokoju mapowego, żeby porównać notatki. Ur-ronn rozmawiała ze swymi przyjaciółmi z maszynowni. Gdy opowiadała nam, czego się dowiedziała o kolczastej kuli, pod wpływem podniecenia sepleniała jeszcze bardziej niż zwykle:

– Jest fusta w środku i na fronień trzykrotnie większy od orwity Jijo. W środku jest czerwony karzeł. Te wszystkie kolce służą do tego, wy naksynalnie zwiększyć fowierzchnię wyfronieniowującą ciefło w frzestrzeń kosmiczną. Wewnątrz wygląda to tak sano, wo nierówna fowierzchnia wychwytuje wszystkie fronienie gwiazdy.

– *Właściwie zwykła sfera osiągnęłaby taki sam cel* – wyjaśnił Niss profesorskim tonem. Pojawił się obraz przedstawiający sferę otaczającą jaskrawokarmazynowy punkcik. – *Niektórzy przedkontaktowi Ziemiańskie przewidzieli istnienie podobnych struktur. Nazywali je...*

– Sferami Dysona! – zawołała Huck.

Wszyscy popatrzyliśmy na nią. Splotła kilka szypulek w lekceważącym geście.

– No wiecie, powinniście czytać więcej klasycznej science fiction.

Hoonowie myślą wolniej od g'Keków, ale w końcu skinąłem głową.

– Hr-rm, tak. Pamiętam, że wspomniano o nich w powieściach napisanych przez... Shawa i Allena, ale ten pomysł wydawał się zbyt fantastyczny, by traktować go poważnie...

Mój głos ucichł. Oczywiście, zobaczyć znaczy uwierzyć.

– *Jak miałem właśnie wytłumaczyć* – podjął Niss z lekką urazą – *prosta idea sfery Dysona nie spełniała podstawowego geometrycznego wymogu, potrzebnego do całkowitego zamknięcia gwiazdy. Pozwólcie, że to zilustruję.*

Gładka kula ustąpiła miejsca kolczastej, przypominającej bryłkę pierzastego koralu wyłowioną przez rybacki kaszarek. Wygenerowany przez komputer obraz rozszczepił się na naszych oczach, odsłaniając puste wnętrze, w którym świeciła maleńka gwiazda. Z wewnętrznej powierzchni również sterczały niezliczone, podobne do noży wyrostki, krzyżujące się ze sobą niczym gałęzie konkurujących ze sobą drzew w wybijającej tropikalnej dżungli.

– *W późniejszych czasach Ziemiańskie nazwali podobny obiekt strukturę Criswella. Kolce zapewniają fraktalny kształt o wymiarach w przybliżeniu dwa przecinek cztery. Na wewnętrznej powierzchni jest nieco więcej wyrosła mających zmaksymalizować powierzchnię wystawioną na światło słoneczne, choćby nawet padające pod kątem.*

– A po co? – zainteresował się Koniuszek Szczypiec.

– *Po to, by mieć jak najwięcej okien, oczywiście* – odpowiedział Niss, jakby to wszystko tłumaczyło. – *Najważniejszym czynnikiem ograniczającym jest tu energia. Małe słońce produkuje w przybliżeniu dziesięć do trzydziestej ergów na sekundę. Jeśli struktura przechwyci wszystko, to nawet zakładając hojnie, że na każdego mieszkańca przypada jeden megawat, będzie mogła utrzymać populację stu tysięcy miliardów istot rozumnych. Przy mniejszym zużyciu mocy mogłoby to być ponad dziesięć biliardów.*

Wszyscy byliśmy zdumieni. Nawet Huck oniemiała.

Szukałem czegoś, co pozwoli mi ogarnąć podobne liczby moimi biednymi, powolnymi myślami.

Ujmijmy to tak: Gdyby wszystkie komórki w ciałach każdego obywatela Wspólnoty Sześciu Gatunków na Jijo zamieniły się nagle w pełnoprawne istoty rozumne, ich liczba i tak byłaby mniejsza od tej, o której mówił Niss. Było ich znacznie więcej niż wszystkich gwiazd i zdolnych do podtrzymywania życia planet w Pięciu Galaktykach.

(Oczywiście, to wszystko policzyłem później. Wówczas mój mózg był pogrążony w oszołomieniu i mogłem się tylko gapić).

Pierwsza odzyskała równowagę Ur-ronn.

– Tan chywa jest... tłoczno – zasugerowała.

– *W rzeczywistości populację limituje poziom energii oraz wystawionej na promienie słoneczne powierzchni. W porównaniu z nimi objętość przestrzeni mieszkalnej nie stanowi istotnego czynnika ograniczającego. Pomieszczenia mieszkalne powinny być całkiem duże. Każde suwerenne jestestwo mogłoby otrzymać komnatę większą niż cały wulkan zwany przez was Mount Guenn.*

– Och... och... och... och... och – wyjąkał Koniuszek Szczypiec ze wszystkich pięciu otworów nogowych jednocześnie. To nieźle podsumowywało również i moją reakcję. – R... r... rozumne istoty zbudowały tę strukturę... ż... ż... żeby w niej zamieszkać?

Hologram Nissa splótł się w wirujący abstrakcyjny obraz złożony z krzyżujących się linii. Miało to wyrażać wesołość.

– *Mieszkańcy mogliby uznać termin „rozumne” za obraźliwy, mój drogi młody barbarzyńco. W gruncie rzeczy większość z nich to jestestwa należące do klasy wyższej niż ty czy ja. Fraktalne kolonie z reguły zamieszkują przedstawiciele emerytowanej kategorii życia. W tym miejscu – i w miliardzie innych podobnych struktur rozsianych po Pięciu Galaktykach – prastare gatunki spędzają swe ciche lata we względnych spokoju, daleko od hałasu, swarów i konfliktów młodszych klanów.*

Stojący obok delfin prychnął pogardliwie. Jednakże w owej chwili nie pojmowałem jeszcze gorzkiej ironii kryjącej się w słowach Nissa.

Do naszej grupy podeszła Sara Koolhan.

– Ale z czego to jest zrobione? – zapytała młoda mędrzyni. – Jaki materiał mógłby wytrzymać podobne obciążenie?

Niss zrobił zbliżenie, pokazując nam małe fragment ostrej krawędzi struktury. Z w przybliżeniu kolistego łuku sterczały poszarpane wyrostki, sięgające zarówno ku gwieździe, jak i w przeciwnym kierunku. Dzielły się na coraz drobniejsze odgałęzienia, tak małe, że w końcu zniknęły

mi z oczu. Wszystkie zamknięte przestrzenie wypełniały fasetkowane komory.

– *Wewnętrzną powierzchnię zbudowano głównie z włókien węglowych pochodzących z rozmaitych źródeł, między innymi z samej gwiazdy. W ciągu milionów lat reaktory zamieniające wodór w hel wyprodukowały jeszcze więcej tego materiału. Węgiel może wytrzymać bezpośrednio wystawienie na promienie słońca. Co więcej, dobrze znosi też siły odśrodkowe.*

Natomiast zewnętrzne fragmenty tej ogromnej struktury pozostają w subkeplerowskich warunkach dynamicznych. Ponieważ siły dośrodkowe przeważają, materiał musi być odporny na ściskanie. Dlatego większa część ogromnej ażurowej struktury składa się z metalicznego wodoru stabilizowanego przez pola siłowe zmieszanego z ceramiczno-węglowym polimorfem. Wodór to najpospolitszy pierwiastek we wszechświecie. Ściągnięto go z gwiazdy za pomocą indukcji magnetycznej, usuwając mniej więcej jedną dziesiątą całkowitej masy. Stamtąd również pochodzi tlen oraz inne pierwiastki, których potrzebuje protoplazmatyczne życie. Usunięcie części materii przyniosło również dodatkową korzyść, ponieważ słońce płonie teraz spokojniej i jest bardziej przewidywalne.

Zewnętrzna powłoka struktury Criswella jest tak zimna, że wypromieniowuje ciepło w przestrzeń przy temperaturze ledwie przekraczającą temperaturę uniwersalnego tła.

W tej chwili właściwie wyłączyłem słuch. Niss z pewnością uważał, że jego słowa są zrozumiałe, ale nawet gdy później odtworzyliśmy z kolegami jego wykład, pytając autoskrybę o każde kolejne słowo, tylko Ur-ronn twierdziła, że pojmuje coś więcej niż drobne fragmenty.

Rzeczywiście znaleźliśmy się w królestwie bogów.

Pogrążyłem się w zamyśleniu. Mój umysł wypełniało jedno pytanie, na które nikt nie chciał odpowiedzieć, i nie miało ono nic wspólnego z technicznymi szczegółami.

Chciałem się dowiedzieć, po co?

Jeśli ta monstrualna konstrukcja miała pomieścić miliony milionów milionów mieszkańców, kto właściwie tu mieszkał? W jakim celu zgromadzono tak wiele istot w jednej wielkiej kuli śniegowej otaczającej małą gwiazdę? W „domu” tak zimnym i delikatnym, że mógłbym stopić jego fragmenty własnym oddechem?

Cały ten wodór nasuwał mi myśl, że mogą tu mieszkać Zangowie.

Co najważniejsze, dlaczego załoga „Streakera” tak bardzo bała się tego miejsca?

Gillian Baskin stała samotnie pod dwoma wielkimi ekranami. Na pierwszym przedstawiono Fraktalny Świat widoczny w świetle rzeczywistym – ogromny, czarny dysk, usta o wyszczerbionych brzegach pochłaniające całe gwiazdozbiory.

Drugi ekran prezentował tę samą panoramę „przesuniętą do podczerwieni”. Obiekt wyglądał jak głowica wymyślnej średniowiecznej maczugi, żarząca się kolorem hoońskiej krwi. Powiększał się i powoli obracał, w miarę jak gwiazdolot przeszywał noc, zbliżając się pod ostrym kątem do monstrualnego obiektu. Zastanawiałem się, ile zestawów oczu obserwuje nas zza wielkich, zimnych okien, analizując nas na podstawie doświadczeń nagromadzonych przez niezliczone eony. Podobne umysły w najlepszym przypadku uznałyby mój gatunek za postać larwalną. W najgorszym bylibyśmy dla nich nie więcej niż owadami.

Eskortujący nas potężny statek Zangów zaczął wypuszczać z burty mniejsze obiekty – żniwiarki, które zdołał uratować z chaosu Izmunuti, wyposażone w zmięte żagle. Pomknęły przed nami po spirali, zmierzając z narastającą prędkością ku ogromnej sferze, jakby miały tam do wykonania jakieś ważne zadanie.

Nasunęła mi się myśl, że mam przywilej oglądać jednocześnie cztery różne kategorie życia.

Wodorodowych, maszynowe inteligencje, tlenowych, takich jak ja, oraz przedstawiciele „emerytowanego” typu – istoty, które budowały na taką skalę, że bez większego trudu mogły zagarnąć całą gwiazdę, aby ogrzewała ich dom. Urodziłem się na Jijo i wiedziałem, że moje plemię jest prymitywne w porównaniu ze szlachetną Cywilizacją Pięciu Galaktyk, teraz jednak dotarło do mnie, że nawet Wielkie Instytuty Galaktyczne istotom stojącym jeszcze wyżej na drabinie ewolucji mogą się wydawać jedynie kopcami mrówek.

Chyba wiedziałem, w jakiej sytuacji mnie to stawia.

Do stojącej przed dwoma ekranami doktor Baskin podszedł ciemnoskóry ludzki mężczyzna. Spojrzenia, jakie wymienili, z pewnością mówiły więcej niż słowa.

– Ty też to wyczuwasz, Emersonie? – zapytała cicho kobieta. – Coś się zmieniło. Czuję się naprawdę nieswojo.

Niemny mężczyzna podrapał się po naznaczonej bliznami głowie, a potem uśmiechnął się nagle i zaczął gwizdać wpadającą w ucho melodię. Nie poznawałem jej, ale Gillian roześmiała się głośno.

– Tak. Życie jest pełne zmian. Masz rację, równie dobrze możemy być optymistami. Być może Prastare Istoty dorosły trochę pod naszą nieobecność. – Sądząc po pozbawionym wesołości uśmiechu, nie uważała tego za prawdopodobne. – A może coś innego odciągnęło ich uwagę i zapomnieli o takim drobiazgu jak my.

Miałem ochotę wykorzystać sytuację. Podejść bliżej i poprosić o wyjaśnienia. Doszedłem jednak do wniosku, że wrywanie dwojga ludzi ze wspomnień byłoby nieuprzejme. Dlatego zachowałem spokój i odwróciłem wzrok, spoglądając na żniwiarki, które zniknęły już za wyrosłą Fraktalnego Świata.

Po chwili z głośników dobiegł zaniepokojony głos. To była Olelo, oficer odpowiedzialny za czujniki.

– *Już od pewnego czasu obserwujemy zwiększenie gęstości gazu w całym układzie oraz sssygnatury cząstek* – zameldowała delfinica.

– *A teraz tuż przed nami pojawiły się odbicia od większych drobin, a także strumienie jonów charakterystyczne dla wiatru ssłonecznego.*

– Odbicia? Czego? Światła gwiazdy? – zapytała ze zdziwioną miną doktor Baskin.

Nastąpiła krótka przerwa.

– *Nie, pani kapitan. Profile widmowe odpowiadają bezpośredniemu oświetleniu przez bliską gwiazdę karła typu widmowego M8.*

Tym razem to Emerson D’Anite i ja wymieniliśmy zdumione spojrzenia. Żaden z nas nie zrozumiał ani słowa – on z powodu swych ran, ja zaś z uwagi na barbarzyńskie pochodzenie. Niemniej dla doktor Baskin ta informacja najwyraźniej znaczyła bardzo wiele.

– Bezpośredniemu... ale to musi oznaczać... – Rozwarła szeroko oczy ze strachu połączonego ze zrozumieniem. – Och, słodka...

Przerwał jej nagły sygnał alarmowy. Wszystkie rozmowy w pokoju mapowym umilkły. Obraz na głównym ekranie powiększył się, skupiając się na punkcie, ku któremu zmierzał „Streaker”, właśnie wyłaniającej się zza horyzontu wyrosłej ogromnej sfery.

– Ifni! – mruknęła ściszym głosem Huck, rozpościerając wszystkie szypułki.

Neodelfiny kołysały wędrownikami w nerwowym podnieceniu. Ur-ronn stukała kopytami, a Koniuszek Szczypiec powtarzał:

– Kurde... de... de... de... de!

Nie wiedziałem, jak skomentować sytuację, ale odruchowo zacząłem burkotać, by uspokoić otaczające mnie podenerwowane istoty. Jak zwykle, zapewne ostatni zorientowałem się, na co

właściwie się gapię.

W ząbkowanej powierzchni sfery była luka.

Ku gwiazdom bił szeroki snop słabego, czerwonego światła.

Unosiło się w nim mnóstwo lśniących drobinek, przypominających węgielki unoszone wiatrem z płonącego domu.

Nasza jijańska mędrzyni, Sara Koolhan, podeszła bliżej.

– W sferze... jest dziura!

– *Potwierdzam...* – dobiegł ponownie z mostka nerwowy głos Olelo. – *T... to luka w ssstrukturze Criswella. Wielki otwór o średnicy przynajmniej assstronu albo nawet dwóch. Nie możemy jeszcze określić tego dokładnie, ale sssądzę...*

Znowu zapadła długa cisza. Nikt nie odzywał się ani słowem, ani nawet nie oddychał.

– *Tak, potwierdzono to* – podjęła Olelo. – *Kolapsss jeszcze się nie skończył. Cokolwiek tu się wydarzyło, trwa nadal.*

GILLIAN

Panorama śmierci wstrząsnęła nią dogłębnie.

– *Muszę ludziom przyznać jedno* – twierdził wirujący hologram. – *Dokądkolwiek we wszechświecie docieracie, zostawiacie po sobie ślad.*

Gillian nie potrafiła odpowiedzieć Nissowi. Miała nadzieję, że jeśli będzie milczała, maszyna sobie pójdzie.

Tornado spiralnych linii zbliżyło się jednak jeszcze bardziej i pochyliło nad lewym uchem kobiety.

– *Dwa miliony stuleci* – zaczęło, przemawiając cichym, naturalnie brzmiącym głosem w jej ojczystym języku. – *Tak długo według Biblioteki istniała ta struktura. Była azylem, okrążającym spokojnie galaktykę.*

Aż nagle, pewnego dnia, dzikusy przybyły z krótką wizytą.

Gillian machnęła gniewnie ręką, ale jej dłoń przeszła hologram, nie napotykając oporu. Abstrakcyjne wzory nie przestawały wirować. Siatka cienkich linii rzucała błyski na jej twarz. Cholerny Niss oczywiście miał rację. „Streaker” przynosił pecha. Zniszczenie podążało za nim wszędzie. Tutaj jednak jego skala przerastała wszystko, co Gillian potrafiła pojąć sercem lub rozumem.

Gdy eskortowany przez potężną globulę Zangów „Streaker” wszedł do wyszczerbionego otworu w ogromnej fraktalnej sferze, instrumenty pokładowe ukazały im złowrogi obraz zniszczeń. Czerwonawe światło gwiazdy wydostawało się z zamknięcia po raz pierwszy od eonów. Razem z nim na zewnątrz płynęła nawałnica atomów i cząstek. Była tak gęsta, że w pewnym punkcie słowo „próżnia” przestało mieć zastosowanie. Instrumenty wykazywały, że ziemski gwiazdolot napotyka lekki opór otoczenia.

Były tu też większe odłamki. Fragmenty, które Kaa musiał zgrabnie omijać. Niektóre były olbrzymimi klinami, podzielonymi na sześciokątne komórki wielkości planetoid. Każdy fragment ciągnął za sobą ogon pyłu i jonów. Tysiące podobnych sztucznych komet unosiły się w luce tak szerokiej, że Ziemia potrzebowałaby miesiąca, by ją przemierzyć po swej orbicie.

– *Muszę z niechęcią przyznać, że jestem pod wrażeniem, doktor Baskin* – ciągnął Niss. – *Gratulacje.*

Nieopodal tłoczyli się pasażerowie oraz grupka neodelfinów w wędrownikach. W pokoju mapowym zrobiło się ciasno. Wszyscy, którzy akurat nie pełnili służby, zeszli się, aby podziwiać spektakl. Wokół Gillian utrzymywała się jednak pusta przestrzeń, coś w rodzaju fosy, której nie ważył się przekroczyć nikt poza sardoniczną tymbrimską maszyną myślącą. Nikt się nie cieszył. Załoga straszliwie ucierpiała w tym miejscu, ale zniszczenia były zbyt kolosalne, by ktokolwiek mógł triumfować.

Nie byłoby to zresztą sprawiedliwe. Tylko kilka frakcji Prastarych Istot było odpowiedzialnych za zdradę, która przed niespełna rokiem zmusiła „Streakera” do ucieczki. Niektóre inne stronnictwa pomogły Ziemianom umknąć przed prześladowcami. Dlaczego setki miliardów miałyby ginąć z powodu chciwości nielicznych?

Nie daj się ponieść – pomyślała. – Nie ma żadnych dowodów świadczących, że ta katastrofa ma cokolwiek wspólnego z nami. Mogło ją spowodować coś zupełnie innego.

To jednak nie wydawało się prawdopodobne. Jakiś inny powód byłby niewiarygodnym

zbiegiem okoliczności.

Przypomniała sobie, jak zakończyła się ich poprzednia wizyta. Gdy „Streaker” uciekał, mieli ostatnią okazję spojrzeć za siebie.

Ujrzeliśmy wybuch przemocy w tej samej chwili, gdy ktoś otworzył drzwi, pozwalając nam dotrzeć do punktu transferowego. Zauważyłam, że parę pobliskich gałęzi fraktalnych uszkodzono i wybito kilka okien. Różne sekty starły się w walce o zwiadowczy stateczek Emersona i przechwyciły go, uniemożliwiając mu podążenie za nami.

Przyjaciel Gillian drogo zapłacił za odważną próbę osłaniania ich ucieczki. Poddano go niewyobrażalnie okrutnym torturom, a potem w jakiś tajemniczy sposób przeniesiono na Jijo, w ślad za „Streakerem”. Były inżynier utracił zdolność mowy i nie był w stanie im o tym opowiedzieć.

Czuliśmy się winni, że go porzuciliśmy, chcąc jak najszybciej stąd uciec. Kto by pomyślał, że po naszym zniknięciu Prastare Istoty nie zaprzestaną walki? Dlaczego? Czemu miała służyć apokalipsa, skoro zabraliśmy już stąd swój przeklęty ładunek?

Potem z pewnością nastąpiły straszliwe wydarzenia. Dowód tego mieli przed oczami. Strumienie plazmy i obłoki czerwonego pyłu... a także niezliczone długie czarne cienie odpadające z rozsypujących się fragmentów sfery, niekiedy większych od księżyców, ale zawsze delikatnych jak płatki śniegu.

Zastanowiła się nad pierwotną przyczyną tego wszystkiego – skarbami znajdującymi się na pokładzie „Streakera”. Zwłaszcza nad Herbiem. Starożytny trup zawładnął jej myślami na podobieństwo kruka Poe'go albo ducha Banka. Fanatyczne potęgi pragnęły go zagarnąć, licząc na to, że monopol na odkryte przez Ziemię tajemnice zapewni im jakąś przewagę, gdy nadejdzie Czas Zmian.

Za wszelką cenę należało temu zapobiec. Rada Terrageńska wydała jednoznaczne rozkazy – najpierw Creideikiem, a potem Gillian, gdy to ona przejęła dowództwo. Odkrycia „Streakera” muszą należeć do wszystkich, zgodnie z prawnym galaktycznym zwyczajem, albo do nikogo. Potężne gatunki i sojusze mogły próbować złamać tę zasadę i liczyć, że ujdzie im to na sucho, ale słaby Ziemiński Klan nie mógł sobie pozwolić nawet na cień stronnictwa.

W czasach nasilającego się chaosu słabi i pozbawieni przyjaciół niekiedy nie mają żadnego oparcia poza prawem. Ludzie i ich podopieczni musieli dochować wierności galaktycznym instytucjom. W przeciwnym razie mogliby utracić wszystko. Niestety, prowadzone przez Gillian poszukiwania neutralnej potęgi, której mogliby przekazać relikty, okazały się gorzej niż bezużyteczne.

Nie dlatego, że nie próbowali. Na Oakka okazało się, że Wielkim Instytutom nie można ufać, Gillian wpadła więc na pomysł, który wówczas wydał się im natchniony.

Czemu by nie przekazać pałeczki jeszcze wyżej?

Postanowiła, że dostarczą relikty tutaj, do cytadeli gatunków, które już „wyrosły” z małostkowych, doczesnych obsesji będących plagą Pięciu Galaktyk. W jednym z legendarnych Fraktalnych Światów ścigani Ziemię odnajdą wreszcie bezstronne rady i przemyślenia istot otaczanych tak wielkim szacunkiem, że będą się mogły za nimi wstawić, kładąc kres szaleństwu młodszych klanów. Owe szanowane starsze istoty przejmą odpowiedzialność za brzemień „Streakera”, uwolnią gwiazdolot od toksycznych skarbów i zmuszą swarliwe klany tlenodysznych do podzielenia się nimi ze wszystkimi.

Znużone delfiny będą wreszcie mogły wrócić do domu.

A ja udałabym się na poszukiwania Toma w jakimś tajemniczym miejscu, w które zaniósł go z Kithrupa, razem z Creideikiem i całą resztą.

Tak przynajmniej wyglądała teoria, nadzieja.

Niestety, Prastare Istoty okazały się tak samo drażliwe, zdesperowane i podstępne jak ich młodszy kuzyni, nadal bytujący wśród gorejących jasno gwiazd.

To tak, jakbyśmy byli statkiem zarazy, roznoszącym jakąś straszliwą infekcję z dalekiej przeszłości. Wszędzie, dokąd dotrzemy, racjonalne istoty zaczynają się zachowywać jak obłąkańcy.

Instrumenty skupiły się na najbliższym brzegu ogromnej rany, ukazując im skorupę grubą na kilka tysięcy mil, nie licząc rozgałęziających się szpikulców sterczących z niej na obie strony. Gęsta mgiełka częściowo przesłaniała trwającą tragedię, nie mogła jednak zamaskować iskier towarzyszących powtarzającym się uporczywie konwulsjom. Segmenty struktury rozpadały się na oczach Gillian. Fraktalne gałęzie odłamywały się i, wirując, umykały w przestrzeń. Ich zderzenia prowokowały dalsze reakcje łańcuchowe.

Potężne wyrośle wyciągające się ku słońcu błyszcząły w sposób, który coś Gillian przypominał.

To okna. Gdy przybyliśmy tu po raz pierwszy... otworzyli wąziutkie drzwi, żeby nas wpuścić i natychmiast zwróciłam uwagę, że większa część wewnętrznej powierzchni sprawia wrażenie zrobionej ze szkła. A pod tymi ogromnymi szybami...

Zamknęła oczy, przypominając sobie, jak ujrzała przez teleskop, że każda gałązka jest odrębnym światem. W niektórych szklarniach – większych niż jej rodzinny stan Minnesota – rosły bujne dżungle. W innych lśniły światła miast, na falujących lekko morzach unosiły się pałace bądź też całą przestrzeń wypełniały równiny połyskliwego piasku. By wypełnić tak wiele miejsca, potrzeba by powierzchni wielu milionów planet takich jak Ziemia, a i to nawet by się nie zbliżyło różnorodnością do Fraktalnego Świata. Mogłaby spędzić lata na obserwacji kolejnych habitatów i w każdym rutynowo znajdować coś nowego, coś niepowtarzalnego.

To było najpiękniejsze, najbardziej majestatyczne miejsce, jakie widziała w życiu.

A teraz rozpadało się na jej oczach.

Ta mgiełka to nie tylko fragmenty struktury i sublimujący gaz – uświadomiła sobie z przerażeniem. – To mieszkańcy. Ich meble, ubrania, domowe zwierzęta i rośliny, albumy rodzinne...

A przynajmniej odpowiedniki tego wszystkiego w rozumieniu Prastarych Istot. Któż z ludzi potrafiłby odgadnąć życzenia, zainteresowania oraz obsesje gatunku, który już dawno temu ujrzał wszystko, co było do zobaczenia w Pięciu Galaktykach, i zrobił wszystko, co było do zrobienia?

Bez względu na to, jak niezrozumiałe i niejasne mogły być ich nadzieje, wszystkie rozwiewały się szybko. Tylko w krótkiej chwili przelotu „Streakera” przez otwartą ranę z pewnością zginęło więcej istot rozumnych, niż liczyła ich sobie cała populacja Ziemi.

Umysł Gillian cofał się przed tą myślą. Osobiste traktowanie takiej tragedii prowadziły do szaleństwa.

– Czy ktoś próbuje to powstrzymać? – zapytała ochryplym głosem.

Minęła dłuższa chwila, nim Niss jej odpowiedział.

– *Niektórzy nie oszczędzą wysiłków. Ujrzyj je.*

Gdy „Streaker” wreszcie wniknął do wnętrza ogromnej struktury, obraz przesunął się ku przodowi.

Tak samo jak poprzednio Gillian odniosła wrażenie, że znalazła się w gigantycznej, nakrytej kopulastym sklepieniem komorze pełnej błyszczących, falistych stalaktytów oraz niezmiernych cieni. Choć najdalsze punkty sklepienia dzieliło od niej kilkaset milionów kilometrów, była w stanie dostrzec nawet drobne szczegóły. System obrazowania śledził ruch jej oczu i powiększał oraz uwydatniał wszystko, na co spozjrzała.

Na wprost przed nimi – niczym jasna lampa w centrum bazyliki – lśnił ciepłym blaskiem

czerwony karzeł. Jego widoczna tarcza była mniejsza i bardziej czerwona niż u rozrzutnych słońc, wokół których krążyły światy kolebki, takie jak Terra. Budowniczości struktury usunęli zewnętrzne warstwy gwiazdy, by wykorzystać je jako materiał konstrukcyjny, i w ten sposób stworzyli doskonałe ognisko, któremu paliwa powinno wystarczyć na sto miliardów lat. Na jego tarczę można było patrzeć bez fizycznego bólu. Plazmową otoczkę, spokojną podczas ich pierwszej wizyty, teraz pokrywały sine owrzodzenia. Pojawiały się na niej jaskrawe punkty blasku, towarzyszące upadkowi na gwiazdę wielkich jak planety fragmentów.

Gillian uświadomiła sobie jednak, że do podobnych kolizji dochodzi tylko w wyjątkowych przypadkach. Większość wyszczerbionych odłamków na długo przed dotarciem do fotosfery przechwytywały oślepiające, błękitne wiązki energii.

– *Oczywiście, nawet jeśli uda im się rozbić gruz, masa i tak opada na słońce jako gaz, wracając tam, skąd tak dawno temu ją wydobyto. To wywrze poważny wpływ na termojądrowe i atmosferyczne procesy zachodzące w gwieździe. Niemniej zredukują w ten sposób liczbę wielkich impaktów, a co za tym idzie również rozbłysków.*

– To znaczy, że system obsługi technicznej działa – zauważyła Gillian z rosnącą nadzieją.

– *Tak, ale ledwo, ledwo. Co gorsza, jego elementy wykorzystuje się w mniej szlachetnych celach.*

Obraz się zamazał, przesuwał się szybko na punkt położony w dalekim kwadrancie sfery Criswella. Jeden z błękitnych laserowych skalpeli zajmował się tam mniej altruistyczną robotą. Bezlitośnie otwierał drogę przez pokrytą wyrosłami powierzchnię, odcinał olbrzymie fraktalne gałęzie i rozbijał okna, z których buchały ogromne chmury pary.

Gillian krzyknęła głośno, odsuwając się od ekranu.

– Mój Boże. To masowy mord!

– *Ta ekspedycja stała się dla nas smutną lekcją – przyznał Niss. – Z pewnością zainteresuje ona moich twórców, Tymbrimczyków, jeśli będziemy mieli okazję im ją przekazać.*

Kiedy tlenodyszny gatunek porzuca galaktyczne sprawy, by odnaleźć azyl w jednej z tych ogromnych struktur, nie zawsze wyrzeka się młodzieńczych uprzedzeń i lojalności. Choć wielu rzeczywiście szuka oświecenia lub wiedzy potrzebnej do transcendencji, inni nadal pozostają podatni na pokusy lub dochowują wierności dawnym sojuszom.

Innymi słowy, Gillian była naiwna, licząc na bezstronność i obiektywizm mieszkańców tu gatunków. Niektóre z nich były opiekunami – czy może prapraopiekunami – prześladowców Ziemi.

Przyglądała się z przerażeniem, jak jakaś frakcja nadużywa defensywnej broni – mającej osłaniać całą kolonię – celem zniszczenia twierdzy przeciwnika.

– Ifni! Co ich powstrzymuje przed potraktowaniem nas w taki sam sposób?

– *Nie mam pojęcia, doktor Baskin – wyznał wirujący hologram. – Być może tubylcy są zbyt zajęci walką, by zauważyć nasze przybycie. A może chodzi o towarzystwo, w jakim się obracamy.*

Na ekranie pojawił się wielki statek Zangów, odległy zaledwie o dziewięćdziesiąt kilometrów. Globula drżała, gdy złowrogi, czarny od sadzy wiatr muskał jej półpłynne boki. Obok leciały chmury mniejszych obiektów. Niektóre z nich były maszynowymi istotami, inne zaś trzeba było uznać za żywe fragmenty potężnego statku, które oddzieliły się na chwilę, by wykonać jakieś zadanie na zewnątrz, a potem spokojnie zostaną wchłonięte z powrotem.

– *To potwierdza moje poprzednie przypuszczenia. Wodorodyszni koordynują wysiłki robotów żniwiarek oraz innych maszynowych istot, pomagających załatać i ustabilizować Fraktalny Świat.*

Gillian skinęła głową.

– Dlatego właśnie przybyli do Izmunuti. Po materiał budowlany. To źródło łatwo dostępnego

węgla, odległe tylko o jeden skok przez punkt transferowy.

– *W normalnych warunkach, tak. Ale rozszalały się nieprzewidziane burze, spowodowane przez falę psioniczną pochodzącą z Jijo. Żniwiarki, które tam widzieliśmy, z pewnością są tylko drobną częścią tego zakrojonego na szeroką skalę przedsięwzięcia.*

– A więc to kontrakt naprawczy. Umowa handlowa.

– *Tak sądzę. Ponieważ tlenodyszni gwiazdni wędrowcy ewakuowali Czwartą Galaktykę, Prastare Istoty były zmuszone poszukać pomocy w najbliższym dostępnym źródle. Czy mam potwierdzić te przypuszczenia, łącząc się z węzłem danych Fraktalnego Świata?*

– W żadnym wypadku! Nie chcę przyciągać uwagi. Jeśli nikt nas dotąd nie zauważył, lepiej niech tak zostanie.

– *Czy mogę wskazać, że niektóre grupy istot z emerytowanej kategorii nie były wrogo nastawione? Bez ich pomocy nie udałooby się nam uniknąć pojmania podczas pierwszej wizyty. Być może będą skłonne znowu nam pomóc, jeśli się z nimi skontaktujemy.*

Gillian potrząsnęła stanowczo głową.

– Nadal się obawiam, że w każdej chwili mogą się zjawić ścigający nas Jophurzy. Załatwmy sprawę z Zangami i uciekajmy stąd. Masz od nich jakieś wiadomości?

Sara Koolhan uważała, że wodorodyszni mogą mieć jakieś starożytne prawa do gatunku gławerów... dług, który można było spłacić teraz, gdy gławery powróciły do stanu przedrozumnej niewinności. Jak jednak mogłaby się odbyć taka transakcja? Czy byłoby to słuszne i moralne, gdyby załoga „Streakera” przekazała inny tlenodyszny gatunek bez formalnego usankcjonowania przez odpowiednie Instytuty? I czy gławery byłyby bezpieczne na pokładzie statku zbudowanego z myślą o podtrzymaniu życia o zupełnie innej chemii?

Co więcej, czy Zangowie pozwoliliby potem „Streakerowi” odlecieć? Zgodnie z nielicznymi istniejącymi w Bibliotece relacjami na ten temat wodorodyszni rozumieli takie pojęcia jak honor i zobowiązania, ale kierowali się osobliwą logiką. Mogli nagrodzić Ziemiaków... albo zniszczyć ich gwiazdolot i pozbyć się kłopotu.

Dobrze przynajmniej, że nie zawlekli nas tutaj celem oddania pod sąd, jak się obawiałam. Nie wydali nas Prastarym Istotom. Jeszcze nie.

Cichy głos sumienia skarcił Gillian za to, że myślała o tym, jak wykraść się niepostrzeżenie w swym małym gwiazdolocie i uratować życie niespełna stu istot, podczas gdy z każdym jej oddechem ginęły populacje równe liczbą ludności dużych państw.

To był kolejny powód, dla którego nie pozwoliła Nissowi nawiązać kontaktu z siecią łączności Fraktalnego Świata. Chciała, aby katastrofa pozostała dla niej czymś maksymalnie abstrakcyjnym. Pokazem efektów specjalnych. Zakrojonym na niewiarygodną skalę zderzeniem bezosobowych sił. W obecnej chwili oficjalne informacje na temat liczby ofiar mogłyby ją wpędzić w rozpacz.

To nie nasza wina.

Przybyliśmy tu, by legalnie poszukać pomocy. Mieliśmy do tego prawo.

Co prawda, „Streaker” przyniósł ze sobą kłutwą Płytkiej Gromady, ale skąd mogliśmy wiedzieć, że szaleństwu ulegną również mądrzy i wybitni?

To nie nasza wina!

TSH'T

To był idealny moment. Uwagę wszystkich przyciągał widoczny na zewnątrz spektakl. „Streaker” zapewne jeszcze przez pewien czas pozostanie w bezruchu, więc Tsh't nie musiała być na każde zawołanie doktor Baskin, nie musiała udawać, że dzieli z nią dowództwo, mimo że wszyscy wiedzieli, kto naprawdę wydaje rozkazy.

Wielu członków załogi ignorowało szansę odpoczynku, gdy ich zmiana się kończyła, wynajdując preteksty pozwalające im tu zostać i gapić się z szeroko otwartymi oczami na katastrofę wspaniałego Fraktalnego Świata. Wymieniali komentarze szybkim klekotem, zakładając się o to, czy gorączkowe wysiłki wynajętych robotów ocalą gigantyczny, zraniony habitat. Po paru godzinach część gapiów odesłano przymusowo na dół, na odpoczynek. Gdy jednak skończyła się wachta Tsh't, delfini oficer natychmiast się oddaliła.

To była dla niej jedyna szansa, by zejść na dół i sprawdzić dręczące ją podejrzenia.

Wiem, że Gillian przemyciła na pokład kogoś albo coś – myślała delfinica. – To było w tej jijańskiej wiosce, w której mieszkali hoonowie z radością pływający na prymitywnych żaglowcach, mimo że ani trochę nie umieją pływać. Noc była burzliwa, a ja zajęłam się rozmową o technicznych sprawach z tą uryjską kowalicą. Ale znam Akeakemaia. To prawdziwy lizus, zrobiłby wszystko, o co poprosi Gillian.

Kłamie albo coś ukrywa.

Coś, co przemycił, kiedy nie patrzyłam.

Tsh't niepokoiła myśl, że coś przed nią zatajono. W teorii była powiernicą Gillian i współdowódcą. Martwił ją podobny brak zaufania, zwłaszcza że faktycznie na niego zasługiwała.

Nic nie wskazuje na to, aby ktokolwiek łączył mnie ze śmiercią dwóch ludzi.

Mimo to idąc w wędrowniku przez jeden z głównych korytarzy gwiazdolotu, Tsh't nie przestawała się niepokoić. Przejście sprawiało wrażenie opustoszałego, zniszczonego przez trzy lata nieustannej ucieczki.

Oczywiście, nie można wykluczyć, że Gillian wykryła coś dzięki swemu psionicznemu zmysłowi. Może podejrzewać, że zgon Kunna i Jassa nie był przypadkiem podwójnego samobójstwa.

Tsh't próbowała odegnać od siebie niepokojący obraz dwóch ludzkich trupów. Starła się stłumić drżenie wypływające z jej nerwów grzbietowych. Wilgotna skóra delfinicy drżała, a jej ogon miotał się w tylnej części miękkiego hamaka wędrownika.

Tak bardzo pragnęła popływać! Niestety, „Streakera” niemal całkowicie opróżniono z wody, by zmniejszyć jego masę przed rozpaczliwą ucieczką z Jijo. Ziemiński gwiazdolot dźwigał gruby płaszcz węglowej sadzy pochodzący z tłącej się Izmunuti i bardzo potrzebował zwiększenia zwrotności. Dlatego niemal wszystkie pomieszczenia mieszkalne i rekreacyjne były teraz suche jak kość. Wkrótce przed izbą chorych uformują się długie kolejki. Neodelfiny już uskarżały się na owrzodzenia skóry i poobijane żebra. Po zbyt długim leżeniu na brzuchu w trzęsących się maszynach czuły się jak wyrzucone na brzeg pokryty ostrymi kamykami, choćby poduszki z pól siłowych były nie wiedzieć jak miękkie.

W dodatku straciliśmy doktor Makanee i trójkę pielęgniarzy. Zostali na Jijo, by pomagać kolonistom, a teraz muszę kombinować, jak rozdzielić pozostały personel medyczny i poradzić sobie z nieuniknionymi skargami. Pomimo wszystkiego, co się wydarzyło, musimy dbać o morale i wydajność pracy. To właśnie zostawia mi wielka i potężna doktor Baskin – wszystkie uciążliwe szczegóły kierowania życiem statku oraz załogi, podczas gdy sama medytuje nad głębokimi

zagadnieniami polityki i przeznaczenia, prowadząc nas to tu, to tam po Pięciu Galaktykach, próbując to tego, to tamtego i uciekając od jednego nieszczęścia do drugiego.

Gorycz Tsh't mieszała się jednak z sympatią. Delfinica szczerze kochała Gillian, której zdolność wydostawania „Streakera” z tarapatów niemal dorównywała talentowi do wpadania w nie. Nie żałowała też, że to ludzie są opiekunami jej gatunku. Gdyby nie ich nieudolne, lecz pełne najszczerzej chęci wysiłki, *Tursiops amicus* mógłby nigdy nie postawić ostatniego kroku na drodze wiodącej od bystrych, lecz niewinnych zwierząt do obiecujących gwiazdnych wędrowców, a Tsh't nie zobaczyłaby Gwiazdznego Łuku czy Łuku Herkulesa... ani Płytkiej Gromady.

Terrageńska kultura przyznawała neofinom więcej praw i szacunku, niż z reguły otrzymywał w Cywilizacji Pięciu Galaktyk nowy gatunek podopiecznych. Większość musiała przez sto tysięcy służyć swym opiekunom. Ludzie radzili sobie tak dobrze, jak to tylko możliwe w ich sytuacji.

Ale są granice tego, czego można oczekiwać od dzikusów – pomyślała, wchodząc do podwójnej śluzy prowadzącej do Suchego Kręgu gwiazdolotu.

Ostatni, żalony epizod dowodził tego szczególnie dobitnie. Kilka godzin przed przybyciem „Streakera” do Fraktalnego Świata Gillian Baskin postanowiła sprawdzić, czy są gośćmi, czy więźniami. Zaczekała na chwilę, gdy uwagę Zangów przyciągnie coś innego – nadzór nad rojem maszynowych jestestw zajętych naprawami – i rozkazała Kaa włączyć ostrożnie silniki gwiazdolotu, a potem skierować go ku przejściu, w którym obiecująco lśniły gwiazdy.

Statek Zangów przerwał swe czynności, rozproszył pomagające mu roboty i ze zdumiewającą szybkością odciął Ziemią drogę ucieczki.

Nadal pokryty grubą na kilka metrów warstwą sadzy „Streaker” nie był w stanie prześcignąć potężnej globuli. Gillian ustąpiła, kierując gwiazdłot z powrotem ku gigantycznemu habitatowi. Potem zarządziła przerwę, nakazując odpocząć wszystkim poza grupą obserwatorów. Gwiazdłot Zangów wrócił do pracy, nie okazując gniewu. Mimo to Tsh't czuła, że udzielono im surowej nauzki.

Ludzie osiągnęli rozumność zaledwie kilka tysięcy przed nami. W skali wszechświata to tylko mgnienie oka. To nie ich wina, że są ciemni i nieudolni.

Po prostu potrzebują pomocy, nawet jeśli są zbyt uparci, by o nią prosić.

Winda zawiozła ją na krawędź wielkiego koła. W długim korytarzu, w obu kierunkach zakrzywiającym się ku górze, ulokowano liczne pokoje. Pętla otaczała gwiazdłot w połowie jego długości i można ją było wprawić w ruch wirowy w tych rzadkich przypadkach, gdy załoga z jakiegoś powodu musiała wyłączyć sztuczną grawitację – na przykład na czas przeprowadzania obserwacji głębokiego kosmosu... albo gdy kryli się wśród planetoid przed ścigającymi ich flotami. To rozwiązanie miało jednak pewną wadę. Gdy lądowali na powierzchni planety – jak zdarzyło się to na Kithrupie, Oakka i na Jijo – większość pomieszczeń Suchego Kręgu pozostawała niedostępna.

Dla wszystkich poza dwunogami, które potrafią się biegle wspinać.

Tsh't minęła zamknięte drzwi gabinetu doktor Baskin. Liczne warstwy zabezpieczeń strzegły tam skarbu Creideikiego – reliktyw, które spowodowały tak wiele nieszczęść. Gdy „Streaker” znajdował się na powierzchni planety, ta część Suchego Kręgu zawsze była „dnem”. Delfiny rutynowo korzystały z usytuowanych tu apartamentów i gabinetów, ale te, które znajdowały się na drugim końcu, często były niedostępne. Członkowie załogi rzadko nawet o nich myśleli.

Na miejscu Gillian to właśnie miejsce wybrałabym na kryjówkę.

Krąg aktualnie wirował, więc Tsh't nie miała trudności z kroczeniem wzdłuż jego obwodu. Mijała laboratoria, wykorzystywane ongiś przez uczonych takich jak Ignacio Metz, Dennie Sudman lub Charles Dart, geolog neoszympan. Unosiła głowę, aby lepiej słyszeć, jakby niepokoila się, czy

nie dobiegną jej widmowe echa kroków młodego wesołego midszypmena z Calafii, Toshio Iwashiki... albo silny, promieniujący pewnością siebie rytm kroków Toma Orleya, zaginionego towarzysza życia Gillian.

Nie było ich tu jednak. Zostali z Creideikim i Hikahi. Nie żyli albo byli uwięzieni na trującym Kithrupie – co w praktyce także równało się śmierci.

Byli z nas najlepsi i utraciliśmy ich, nim jeszcze nadeszły najtrudniejsze próby. Gdyby kapitan i reszta wciąż byli z nami, z pewnością wiele by się zmieniło. A tak dowództwo przypadło Gillian i mnie... lekarce-uzdrowicielce oraz najmłodszej z poruczników na pokładzie... która nigdy sobie nie wyobrażała, że będzie musiała dźwigać podobne brzemie przez wiele straszliwych lat.

Tsh't czuła się straszliwie znużona. Podczas okresów przeznaczonych na sen wysyłała klekotliwą pieśń swego sonaru w stronę Snu Wieloryba, modląc się o to, by zjawił się ktoś, kto uwolni ją od ciężaru odpowiedzialności.

To wszystko przekracza możliwości naszej załogi. A nawet całego Ziemskiego Klanu! Gillian w jednym ma rację. Potrzebujemy pomocy i rady. Ale od nieziemiaków ich nie dostaniemy. Ani od Wielkich Instytutów, ani od Prastarych Istot.

Zapomniała o jednej z największych prawd życia, znanej od dziecka wszystkim ludziom i delfinom. Gdy nadejdą naprawdę poważne kłopoty, trzeba się zwrócić do rodziny.

Zwróciła się przez neurołacze do systemu konserwacji statku i zażądała wykazu zanieczyszczeń atmosferycznych, sprawdzając kolejno wszystkie pokoje odcinka Suchego Kręgu, położonego naprzeciwko gabinetu doktor Baskin. Gdy „Streaker” znajdował się na powierzchni planety, ten sektor rutynowo był „górami”. Dlatego delfiny były skłonne go ignorować, nawet gdy pozostawał dostępny.

Aha! Jest tak, jak myślałam. Podwyższony poziom dwutlenku węgla, trochę ketonów, ślad metanu i parę dziwnych alkoholi. To ewidentne ślady oddechu tlenodysznej formy życia... choć z pewnością nie wywodzącej się z Ziemi.

A wszystko to skupia się... w tym miejscu.

Zatrzymała wędrownika przed drzwiami z napisem NIEBEZPIECZNE MATERIAŁY ORGANICZNE i zachichotała z żarciku Gillian.

Lekki impuls woli sprawił, że ramię robocze jej upręży narzędziowej wysunęło się do przodu, celując smukłą wiertarką w okolicę ościeża, gdzie mały otwór mógł przez pewien czas pozostać niezauważony. Towarzyszył temu tylko cichy furkot. Ostrze wchodziło w materiał, zamieniając odpadki w parę i wciągając je do zbiornika.

Tsh't pomyślała, że oto popełnia kolejne przestępstwo, stawia następny krok na ścieżce zdrady. Wszystko zaczęło się podczas poprzednich odwiedzin „Streakera” we Fraktalnym Świecie, gdy uświadomili sobie, że ze strony Prastarych Istot spotka ich rozczarowanie. Morale załogi spadało i Tsh't doszła do wniosku, że pora podjąć samodzielne kroki, Wysłać wiadomość do jedyne go źródła, na którego pomoc można było liczyć.

Na szczęście Fraktalny Świat miał regularne komercyjne połączenia pocztowe. Podczas gdy członkowie rozmaitych frakcji wśród kategorii emerytowanej zasypywali Gillian coraz poważniejszymi groźbami i przekleństwami, Tsh't bez trudu mogła wysłać tajny pakiet przekazowy. Zaprogramowała go tak, by wędrował po Pięciu Galaktykach, paranoicznie maskując swe ślady i zmieniając losowo kierunek, nim wreszcie ruszy w stronę miejsca przeznaczenia – kapsuły czasowej, której współrzędne zapamiętała w dawnych latach młodości. Reagowała ona na sygnały od tylko jednego gatunku w całym wszechświecie.

Gillian zdecydowała już wówczas, że uciekną ze struktury Criswella i spróbują „ścieżki

przedterminowych osadników” – zwieją do zakazanej Czwartej Galaktyki, przemkną się wokół gorejącej gwiazdy olbrzyma i ukryją się na zakazanym świecie zwanym Jijo.

Tsh't z łatwością mogła się umówić na tajne spotkanie.

Wiertarka w końcu się przebiła. Delfinica cofnęła ramię upręży i wsunęła w otwór światłowód, który uniósł się wewnątrz zamkniętego pokoju na podobieństwo kobry.

Przesuwała go w lewo i w prawo, aż wreszcie ujrzała chudą, dwunożną istotę, siedzącą na ławce przed małym stolikiem.

Stworzenie uniosło głowę, jakby reagowało na dźwięk. Gdy spojrzało na nią, Tsh't wciągnęła z wrażenia powietrze.

Twarz była wąska i pochylona, o wystającej, pozbawionej podbródka szczęce oraz wielkich, sterczących zębach.

Niemniej oczy i czoło pozostawały niesamowicie ludzkie. Istota przymrużyła powieki, oslepią nagłym światłem sondy.

Odwróciła pośpiesznie głowę i zgarbiła ramiona, by zasłonić widok delfinicy. Potem wyciągnęła obie ręce po jednostkę podtrzymywania życia – pudełko służące do przetrzymywania małych zwierząt. Zręczne dłonie wyjęły ze środka jakieś wijące się stworzenie. Tsh't nie widziała, co się dzieje, ale wyglądało to, jakby dwunóg je jadł albo przytulał.

Wysoka istota rozluźniła ramiona i opuściła ręce wzdłuż ciała, a potem zwróciła się ku drzwiom.

Jej twarz wyglądała teraz inaczej. Była szlachetniejsza od ludzkiej. Bardziej dobrodusza i wesoła od tymbrimskiej. Cierpliwsza i wyrozumialsza od boskiej.

Tak jest. To on. Ten sam.

Oblicze Rothena drżało w kilku miejscach, gdzie symbiont nie przywarł jeszcze do niego na dobre – żywa istota zaprojektowana specjalnie po to, by stała się częścią rotheńskiej twarzy, dawała jej pięknie zarysowane kości policzkowe, królewski podbródek oraz wargi, które zakrywały zęby, a także zapewniały czuły, łaskawy uśmiech.

Misjonarz.

Tsh't przypomniała sobie jego wizytę na Ziemi. To było dawno temu, gdy jeszcze nie dorosła i ledwie potrafiła mówić, ale wydawało się jej, że to wczoraj. Wizja misjonarza przemawiającego w ukrytej podmorskiej grocie do małej grupki nawróconych delfinów mocno wypaliła się w jej umyśle.

– Wszechświat jest pełen samotności – rzekł im wówczas misjonarz. – Ale nie jest aż tak niebezpieczny, jakby się zdawało. Obecny rząd Ziemi składa się z niewiernych darwinistów, ale to nie ma znaczenia. Pamiętajcie, że pomimo propagandy tych, którzy głoszą dumę dzikusów, nie jesteście sami. My, którzy potajemnie ukształtowaliśmy geny ludzkości, by zaprowadzić ją ku wielkiemu przeznaczeniu, pozostajemy wierni temu marzeniu. Temu chwalebniemu celowi. Nadal działamy za kulisami, osłaniamy was, bronimy i przygotowujemy na nadejście Dnia. Kochamy nie tylko swych ludzkich podopiecznych, lecz również was. Wasz klan jest niezwykły i zmierza ku najwspanialszemu ze wszystkich przeznaczeń. Gdy nadejdzie czas, delfiny będą miały do odegrania bardzo ważną rolę. Zwłaszcza ci spośród was, którzy wybiorą wiarę Daników.

Czuła się wyjątkowa, dorastając jako jedna z wyznawców tajnej sekty, znającej wielką, kojącą Prawdę. Oczywiście, terrageńska konstytucja zapewniała wolność wyznania, ale gdyby zbyt szybko wszystko ujawnili, czekałoby ich ośmieszenie. Większość delfinów wierzyła w mit mówiący, że ludzie osiągnęli rozumność drogą ewolucji, bez interwencji wyższych sił. To było absurdalne przekonanie, ale jego wpływy były zbyt silne, by dysydenci mogli się mu otwarcie przeciwstawiać.

Nawet wśród ludzi i szympanów, gdzie danikenistyczne wierzenia spotykało się częściej, trwały debaty między konkurencyjnymi kultami. Wielu miało własnych kandydatów na potajemnych opiekunów... zagadkowy gatunek, który ponoć dawno temu wspomógł *Homo sapiens*. Niektóre grupy Galaktów uważano za „prawdopodobniejsze” od mało znanych, skrytych Rothenów.

Dlatego Tsh't zachowała milczenie podczas nauki, szkolenia wojskowego oraz wtedy, gdy wykonywała pierwsze zadania dla TAASF. Czekwała na odpowiednią chwilę, choć spotykały ich kolejne katastrofy: Morgran, Kithrup, Oakka. Wreszcie pewnego dnia zrozumiała, że ludzie nie poradzą sobie z tym zadaniem. Gillian Baskin zaliczała się do najlepszych, ale nie mogła działać nic więcej.

Nadeszła pora, aby poszukać pomocy wyżej na drzewie genealogicznym.
Rotheni będą wiedzieli, co zrobić.

Uczuciami Tsh't zawładnęły konflikt, sprzeczności i zmieszanie. Przyszła tu niepewna, czego się spodziewać.

Wiedziała o symbiontach. Jijanie widzieli Rothena bez maski. Wszystko jest w raportach. Niemniej, kiedy ujrzałam jego nagą twarz na własne oczy...

Przelotny widok naturalnego oblicza Ro-kenna przyprawił ją o szok. A mimo to zapamiętany z dzieciństwa miły uśmiech sprawił, że załapała ją fala ciepła.

Rozumiem, dlaczego potrzebują maski. To niekoniecznie musi być kłamstwo. Nie, jeśli pozwala im skuteczniej prowadzić Ziemiaków ku ich przeznaczeniu.

Liczy się to, co jest wewnątrz.

– Słucham? – odezwał się Ro-kenn, stawiając krok ku drzwiom. Złączył dłonie, jego długie ręce wystawały z rękawów szlafroka przeznaczonego dla wysokiego człowieka. Więźnia z pewnością przysłali tu potajemnie jijańscy mędrcy, którzy pojмали go w wysoko położonym miejscu zwanym Polaną Zgromadzeń. Mógł być jedynym pozostałym przy życiu członkiem mieszanej rotheńsko-ludzkiej ekspedycji, którą spotkały zdrada i klęska – najpierw ze strony Sześciu Gatunków, a potem załogi jophurskiego okrętu liniowego.

W sercu Tsh't wszystko złożyło się w jedną całość. Tęsknota towarzysząca jej od czasów dzieciństwa. Frustracja nagromadzona przez trzy straszliwe lata. Poczucie winy spowodowane faktem, że sprzeciwiła się pragnieniom Gillian. Znacznie silniejsza wina zrodzona z tego, że zamordowała dwóch ludzi – nawet jeśli uczyniła to dla słusznej sprawy.

Przyszła tu spragniona konfrontacji z Ro-kennem. Chciała zażądać od niego wyjaśnień.

Wiadomość, którą wysłałam... dostrojona do rotheńskiego umysłu. To dzięki niej dowiedzieliście się, dokąd zmierza Gillian. Mieliście przybyć potajemnie na Jijo... żeby nam pomóc. Żeby nas uratować.

A teraz słyszę, że prześladowaliście przedterminowych osadników, w tym również jijańskich ludzi. Słyszę, że to wy sprzedaliście Jijo Jophurom za garść drobnych. Słyszę, że jesteście oszustami, którzy nawracają łatwowiernych Ziemiaków, aby wykorzystać ich jako współników i drobnych złodziei.

Jeden z ludzi, których zabiłam... pilot Kunn... zrobiłam to, bo chciałam chronić naszą tajemnicę. Ale skąd mogę mieć pewność...

Nie powiedziała jednak nic w tym rodzaju. Słowa nie chciały wyjść jej z ust.

Wszystkie krążące w niej strumienie połączyły się nagle w jeden emocjonalny pływ. Desperacja, dominująca przez tak długi czas, załamała się, ustępując miejsca swemu jedynemu prawdziwemu wrogowi.

Nadziei.

Tsh't musiała zaczerpnąć kilka głębokich oddechów, nim zdobyła się na przemówienie.

– Panie... jesssst coś, co muszę ci wyzzznać.

Na twarzy Rothena pojawiło się zaskoczenie. Jego lewy policzek zadrżał.

Potem Ro-kenn uśmiechnął się ciepło.

– W rzeczy samej, dziecię ciepłych mórz – rzekła istota głębokim, łagodnym głosem. – Nie śpiesz się. Wysłucham cię. Bądź pewna, że tylko wyznanie win może dać odkupienie.

LARK

Ciekawe, jak długo już tu siedzę. Czy jest jakiś sposób, aby określić, czy minęły godziny, dni... czy może miesiące?

Jeśli te istoty rozumieją chemię mojego ciała w stopniu wystarczającym, by utrzymać mnie przy życiu, równie dobrze mogą włączać i wyłączać moją świadomość jak lampę. Albo zmienić sposób, w jaki postrzegam czas, po prostu przez przestawienie metabolizmu.

To również brzmiało jak odpowiedź. Lark żałował, że nie ma z kim porównać notatek, jak robili to z Ling. Najpierw byli odnoszącymi się do siebie z nieufnością przeciwnikami, potem stali się sojusznikami, a wreszcie kochankami. Tęsknił za nią straszliwie. Za jej ciepłą skórą i intensywnym zapachem, ale przede wszystkim za bystrym umysłem. Podczas wszystkiego, przez co przeszli, najbardziej fascynował go jej nieprzewidywalny dowcip. Oddałby wszystko, aby móc z nią teraz porozmawiać.

Miałem wymyślić jakiś sposób na uratowanie jej przed Rannem i Jophurami, a teraz mogę tylko marzyć o tym, że odziana w skafander kosmiczny przebije się przez ścianę tej okropnej krypty z laserami w obu dłoniach, a następnie zabierze mnie stąd i razem uciekniemy w jakimś porwanym...

Te ekscytujące wizje rozwiały się, gdy sobie uświadomił, że coś się zmieniło. Wzdłuż kręgosłupa przesunęło mu się niepokojące wrażenie, że ktoś go obserwuje. Lark odwrócił głowę... i zadrżał odruchowo.

W pobliżu błoniastej bariery unosił się wielki, bryłowaty... obiekt. Miał kulisty kształt, a przebiegające rytmicznie po jego powierzchni fale sugerowały, że żyje... a być może nawet jest rozumny. Obok stworzenia przepływały strumienie żółtej mgły, lecz mimo to utrzymywało pozycję dzięki ruchom maleńkich witek, licznych jak włosy na nodze hoona.

Rzęski – pomyślał Lark, rozpoznając narządy ruchu spotykane u maleńkich organizmów oglądanych pod mikroskopem. Nigdy nie słyszał, aby coś takiego występowało u makrojestestwa podobnych rozmiarów. Jako biolog uważał to za dziwne.

Ciekawość przeszła jednak w zdumienie, gdy stworzenie nagle wessało w siebie wszystkie falujące organelle. Potem wydeło się jak balon, wydłużając kształt do cylindrycznego. Dołki na obu końcach pogłębiły się, sięgając do wewnątrz, aż wreszcie się spotkały. Stworzenie przerodziło się w pustą w środku tubę i zaczęło wyginać wydłużone ciało. Z jednego z otworów trysnęły strugi żółtego płynu i istota pomknęła ku małej, przezroczystej celi Larka.

Okrażyła ją trzy razy Człowiek odnosił wrażenie, że przygląda mu się ze wszystkich stron.

Tej sali nie wypełnia normalny gaz czy para – uświadomił sobie.

– Ale płynu również nie przypomina.

Przyszło mu na myśl, że ośrodek może mieć coś wspólnego z elastycznością stworzenia, jego talentem do przechodzenia od poruszania się za pomocą rzęsek do napędu odrzutowego.

Środowisko, w którym powstało, z pewnością jest dziwniejsze od wszystkiego, o czym czytałem w archiwach. Pomijając...

Pod wpływem nagłego zdumienia otworzył oczy tak szeroko, że dotknął powiekami przezroczystych kubeczków, które je osłaniały. Do tej pory nie zdawał sobie nawet sprawy z ich istnienia, ale gwałtowny ruch sprawił, że przez barierę przedostało się kilka drażniących cząsteczek, powodując pieczenie, łzy oraz ból w głębi gardła.

To jednak nie przerwało toku myśli Larka.

Wodorodyszni! Starożytne zwoje twierdziły, że to jedna z wielkich kategorii życia. Dzielą Pięć

Galaktyk z tlenowcami, ale ich cywilizacja jest całkowicie odrębna od naszej. Oni zajmują się swoimi światami i swoimi sprawami, a my swoimi.

Naturalnie, to było uproszczenie. Nawet z nielicznych bibloskich tekstów wspominających o wodorowym życiu jasno wynikało, że interakcje między dwoma odrębnymi cząsteczkowymi dziedzictwami zawsze były niebezpieczne. Minimalizowanie kontaktów między nimi należało do podstawowych zadań Instytutu Migracji, który formułował swe zasady dzierżawy nie tylko po to, by chronić pozostawione odłogiem światy, lecz również z myślą o ograniczeniu wspólnej przestrzeni, w której mogło dochodzić do przypadkowych spotkań.

Jijo leży w Czwartej Galaktyce. Pomijając oficjalne wizyty Instytutów, w jej spiralnych ramionach nie powinno być żadnych statków naszej kategorii życia. To jeden z powodów, dla których nasza planeta przyciągała przedterminowych osadników.

Jedno oko nadal mu łzawiło, drugim jednak spoglądał na wodorodyszną istotę, która nagle się zatrzymała, odzyskując w przybliżeniu kulisty kształt.

Czy widzę ich odpowiednik policjanta? Albo urzędnika imigracyjnego?

Pod powierzchnią stworzenia utworzyła się wyglądająca na pustą w środku wakuola. Tryskały z niej lśniące bańki, powiązane niezwykłym napięciem powierzchniowym. Larkowi przywiodło to na myśl pierdzenie pod wodą, lecz równie dobrze mógł być świadkiem elokwentnego wykładu dotyczącego kosmicznych praw regulujących stosunki między różnymi kategoriami.

Może stworzenie chce się dowiedzieć, co właściwie tu robię. Żąda okazania paszportu i wizy. Pyta, czy przyznaję się do winy... albo czy chcę przepaskę na oczy...

Stworzenie wyciągało się ku Larkowi, a pęcherz pod jego powierzchnią rósł z każdą chwilą. W jego wnętrzu mężczyzna dostrzegł kilka unoszących się swobodnie obiektów. W pierwszej chwili wszystkie wyglądały dla niego jak mniejsze wersje dużego jestestwa. Zajęły rozmaite pozycje wewnątrz wakuoli, a potem zaczęły się zmieniać, przybierając nowe kształty i kolory.

A niech mnie...

Jeden z obiektów nabrał błękitnego odcienia, nieco bardziej intensywnego niż niebo na rodzinnym świecie Larka. Przestał falować, pokryło go coś, co wyglądało jak twarda skorupa ozdobiona symetrycznymi zestawami wzgórków i pęcherzy. Lark zauważył nawet obok szczytu owalnej bryły godło przekreślonej spirali. Szybko sobie uświadomił, że to niemal idealne przedstawienie jophurskiego okrętu liniowego „Polkjhy”.

Kapuję. Komunikacja za pośrednictwem znaków i obrazów. A ta druga bryła... czy to ma być statek wodorodysznych?

Jego domysł szybko się potwierdził. Lark miał szansę obejrzeć konfrontację między dwoma kosmicznymi lewiatanami, odgrywaną w przestrzeni nie większej niż węzeł szczytowy traekiego. Z narastającą fascynacją przyglądał się, jak jophurski okręt zasypuje salwami żółtą globulę. Z początku jego ataki powstrzymywały pojawiające się nagle roje delikatnych balonów. Z czasem jednak coraz więcej pocisków oraz impulsów energii przedostawało się przez tę barierę, bezlitośnie uszkadzając zbliżającego się wroga, aż wreszcie statek wodorodysznych rozpadł się na nierówne fragmenty, drżące jak wystrzępione sztandary łopoczące na wietrze. Mimo to kilka z nich zdołało przywrzeć do twardego metalowego pancerza „Polkjhy”.

A więc to tak dostali się na pokład.

Nigdy nie czytał o takim sposobie walki ani nawet nie śnił o nim.

Niebieski statek powiększył się i Lark zobaczył, że w jego wnętrzu trwają starcia. Kilka punktów wtargnięcia zamieniło się w żółtawe przyczółki, które z początku szybko się powiększały, ale wkrótce natrafiły na twarde opór. Widział błyszczące punkciki błyskawicznie przesuwane się

obok linii frontu. Zapewne reprezentowały one pojedynczych Jophurów oraz ich groźne roboty bojowe.

Niekiedy jeden czy dwa takie punkciki wpadały w żółtą plamę, ale nie gasły. Przesuwano je w kierunku punktu zbornego ulokowanego z tyłu.

To więźniowie. Jeńcy wojenni.

Gdy przytrafiło się to kolejnej iskierce, Lark poczuł w udzie nagłe poruszenie.

To ja!

Dzięki temu uświadomił sobie coś jeszcze.

Nie porozumiewają się ze mną tylko za pomocą obrazów. Jest w tym też składnik chemiczny! Fakt, że ich rozumiem, zawdzięczam częściowo obserwacji tego pokazu, ale z pewnością wysyłają też znaczenia przez przewód odżywczy bezpośrednio do krwi.

Ta świadomość mogłaby spowodować mdłości i odrazę... ale nagle kończyny Larka spowił dziwny spokój. Z pewnością to również było skutkiem cząsteczkowego oddziaływania. Jako biolog czuł się zafascynowany.

Wodorodyszni przez ponad miliard lat zbierali doświadczenia w kontaktach z tlenowcami. To nie musi znaczyć, że przekroczenie szerokiej przepaści dzielącej od siebie różne kategorie życia jest dla nich łatwe, bo w takim przypadku przemawialiby do mnie bezpośrednio, w słyszalnych słowach. Niemniej jestem pewien, że znają kilka sztuczek.

To pozwoliło mu spojrzeć na sytuację z odmiennej perspektywy. Przez cały czas trwania zawodowej kariery Larka zachwycała go szalona różnorodność zaledwie kilku milionów tlenodysznych gatunków występujących na małym obszarze jednej tylko planety. Teraz uświadomił sobie, że istnieją istoty, którym różnica między człowiekiem a Jophurem musi się wydawać niemal niezauważalna.

Czy widzieli już kiedyś Ziemiannina? Mało prawdopodobne. A mimo to potrafią grać na mnie jak na uryjskich skrzypkach.

Poczuł się upokorzony... i zastanowił się, czy to również może być reakcja narzucona albo zasugerowana z zewnątrz.

Mniejsza z tym. Ważne, że chcą, abym się uczył. Zależy im na tym, żeby utrzymać mnie przy życiu i sprawić, żebym zrozumiał.

Przynajmniej na pewien czas mogę się pogodzić z tą myślą.

EMERSON

Może i nie był już inżynierem, ale nadal potrafił docenić dobrą robotę.

Ze swej prywatnej kapsuły obserwacyjnej, umieszczonej tuż za mostkiem „Streakera”, Emerson miał znakomity widok na zakrojone na ogromną skalę prace remontowe. Widział niemal całą ogromną konstrukcję – od dostarczającego ciepła słońca pośrodku aż po straszliwą wyrwę w majestatycznej sferze, odsłaniającą szerokie pole niewykorzystanych gwiazd. Mimo gorączkowych wysiłków wielkich maszyn, próbujących załatać otwór, nadal sypały się z niego niezliczone fragmenty, zamieniające się w pył, parę oraz armady świetlistych komet.

Rana sfery przypominała Emersonowi tę, którą zadano jemu. To również wydarzyło się tutaj.

Uniósł drżącą dłoń ku okolicy lewego ucha. Błoniaste stworzenie zadrżało pod jego dotykiem. Rewq, symbiont zabrany przez nich z Jijo. Na spółkę z maściami traeckiego farmaceuty pomógł mu przeżyć obrażenia, które inaczej by go zabiły albo zrobiły z niego żyjącą roślinę. Stworzonko zwolniło z łagodnego uścisku powierzchniowe naczynia krwionośne i odsunęło się na bok, pozwalając Emersonowi pogłaskać zbliznowaciałą powierzchnię otaczającą dziurę w jego głowie. To nie był przypadkowy uraz. Zrobiono mu to celowo.

Właśnie tutaj, przed mniej więcej rokiem.

Tutaj – przypomniał sobie, jak wchodził do maleńkiego myśliwca, aby, poświęcając życie, osłaniać desperacką ucieczkę „Streakera”.

Tutaj – pomknął naprzód w zwiadowczym stateczku, wykrzykując obelgi pod adresem nieprzyjaznych frakcji, których groźby i żądania zadawały kłam otaczającej je sławie mądrych i neutralnych... a potem krzycząc z radości, gdy do gry włączyła się inna koteria Prastarych Istot, otwierając w ogromnej sferze drzwi, przez które Gillian i reszta załogi mogli uciec.

Tutaj – radość minęła szybko, gdy stateczek pochwyciły potężne pola siłowe, najpierw go unieruchamiając, a potem zdzierając pancerz i demontując go stopniowo, jak obdzieranego ze skóry ananasa. Emersona czekała niewola gorsza niż wszystko, co mógłby sobie wyobrazić.

Tego, co wydarzyło się później, nie pamiętał zbyt jasno. Ci, którzy go więzili, użyli potężnego uwarunkowania czyniącego wspomnienia bardzo bolesnymi. Przez większą część ubiegłego roku błądził we mgłę amnezji, przeszywanej impulsami straszliwego cierpienia, gdy tylko próbował coś sobie przypomnieć.

Pokonanie tego uwarunkowania było jego największym zwycięstwem. Umysł Emersona znowu należał tylko do niego. Bólowe odruchy nadal próbowały kierować jego myślami, przeszkadzając mu w dotarciu do kolejnych wspomnień, nauczył się jednak walczyć z nimi przez zobojętnienie na ból. Wiedział, że każdy jego atak oznacza, że odkrył kolejny brakujący fragment i pokrzyżował plany swych dręczycieli.

Gdyby tylko wiedział, na czym polegały te plany.

Ponieważ brakowało mu ważnych fragmentów mózgu, nie potrafił wyrazić w słowach ironii, którą czuł, siedząc w swej małej skrytce i spoglądając na ogromny, zraniony Fraktalny Świat. Choć był niemy, jego emocjom nie brakowało złożoności.

Na przykład powinien czuć satysfakcję na widok straszliwej katastrofy, jaka spotkała to miejsce. Widząc roje potężnych robotów, wlatujące do środka przez otwartą ranę w sferze i kierujące się ku jej rozpadającym się brzegom, powinien im życzyć niepowodzenia. To by była zemsta – jego dręczycieli spotkałaby zagłada, a wszystkie ich nadzieje oraz dzieła posypałyby się jak popiół na wyemancypowane słońce.

Żył w nim jednak coś starszego i potężniejszego niż gniew.

Miłość do pewnego rodzaju piękna.

Urody sztucznych konstrukcji.

Chwały dobrze wykonanej roboty.

Nadal pamiętał dawno miniony dzień, gdy „Streaker” po raz pierwszy dotarł do reddy istot z emerytowanej kategorii. Byli wówczas pełni naiwnych nadziei, które wkrótce miała rozproszyć zdrada. Emerson, Karkaett i Hannes Suessi, zachwyceni splendorem Fraktalnego Świata, spierali się z pasją o to, jaka jest podstawowa funkcja tytanicznego habitatu – oszukanie niszczycielskiego upływu czasu czy pełne wykorzystanie marnotrawnej ekstrawagancji gwiazdy. To był raj dla inżynierów.

I Emerson nadal tak sądził! Dlatego życzył robotom sukcesu. Doszedł do wniosku, że sam fakt, iż ocalił życie, jest wystarczającą zemstą. Dopóki „Streaker” pozostawał na wolności, zimne oczy jego prześladowców z pewnością wypełniała frustracja. Pamiętał, jak patrzyli na niego, gdy okrutne instrumenty wtargnęły do jego umysłu, przeczesując go w poszukiwaniu tajemnic, których nie znał...

Zadrzał. Dlaczego Prastare Istoty po prostu go nie zabiły po zakończeniu tych poszukiwań? Okaleczyły go tylko i w jakiś tajemniczy sposób przeniosły jego wijące się z bólu ciało w inny zakątek kosmosu, by rozbił się na dalekiej Jijo.

Zadały sobie mnóstwo trudu. Ów fakt z jakiegoś powodu poprawiał samoocenę Emersona, zwiększał jego poczucie własnej wartości.

Dlatego był gotowy okazać wspaniałomyślność. Życzył sukcesu naprawczym mechanizmom rozwijającym wielkie jak księżycy szpule włókien węglowych, tkających sieci, w które łapały drżące fraktalne igły, większe od planety, lecz wykonane z delikatnego śniegu. Bił brawo robotom holownikom rojącym się niczym komary wokół ogromnych, dryfujących w przestrzeni struktur, aby sprowadzić je z kursu na zderzenie i zapobiec niewypowiedzianym zniszczeniom. Emerson nie myślał o istotach rozumnych mieszkających za niezliczonymi błyszczącymi oknami. Być może powodem była utrata słów, ale Fraktalny Świat wydawał mu się nie tyle habitatem, ile samodzielną istotą, odrębną i samoświadomą. Istotą, która została ranna i walczyła o życie.

Skorzystał z kieszonkowego terminalu, by uzyskać zbliżenie. Nie potrafił wydawać poleceń głosem ani za pomocą klawiatury, ale na szczęście okazało się, że małym komputerem można również sterować na inne sposoby. Urządzenie zachęciło go do stosowania języka gestów, z pewnością stworzonego na Ziemi dla ofiar afazji, wygodnej mieszanki ruchów rąk, oczu i zwyczajnego pokazywania palcem, która w końcu pozwoliła mu osiągnąć to, czego chciał. Z pewnością było to lepsze od niezgrabnych wysiłków czynionych przez niego na Jijo, gdzie próby porozumienia się z biedną Sarą często doprowadzały ich oboje do łez bezsilności.

Mimo to... miło wspominał owe miesiące. Świat przedterminowych osadników był piękny, a nielegalna kolonia sześciu sprzymierzonych gatunków głęboko go poruszyła swym dziwnie radosnym pesymizmem. Z tego powodu, a także dla Sary, pragnął w jakiś sposób pomóc Jijanom.

W gruncie rzeczy pragnął pomóc wszystkim – Gillian, załodze „Streakera”... a nawet hordom robotów, nieszczędzących wysiłków, by pomóc ocalić konstrukcję powstałą w czasach, gdy na Ziemi zaczynała się era dinozaurów. Nie mógł jednak zrobić nic użytecznego i pozostało mu jedynie gapienie się na rozgrywający się na zewnątrz dramat na kosmiczną skalę.

Emerson nie znośił roli widza. Zaciskał nerwowo dłonie. Wolałby wykorzystać je do pracy.

Szybką serią mrugnięć przywołał wspomnienie sceny rozgrywającej się w pokoju mapowym. Gillian spotkała się tam z Sarą oraz grupką młodzieży z Wuphonu. Stos buchających oparami woskowych pierścieni – Tyug, traECKI alchemik z kuźni pod Mount Guenn – dołączył do nich, aby

stworzyć kworum Sześciu Gatunków Jijo. Podczas ożywionej dyskusji młoda centauroidalna ursa imieniem Ur-ronn wskazała nagle na stadko miauczących, wylizujących się gławerów, które stały nieopodal. Przodkowie tych istot wędrowali pośród gwiazd, ale one odzyskały już niewinność, co ponoć miało otworzyć przed nimi drugą szansę.

Emerson nie był do końca pewien, na czym to polegało, ale owe uwstecznione istoty miały najwyraźniej coś wspólnego z wielkim, półpłynnym gwiazdolotem, który doprowadził tu „Streakera”.

Poczuł się dumny, gdy przypomniał sobie nazwę owych istot.

Zangowie.

Choć wielka globula nie pozwalała „Streakerowi” uciec, z początku nie interesowała się nim zbyt. Skupiała uwagę na pracach remontowych, kierując mechanicznymi najmitami, którzy tkali ogromne sieci z czarnych włókien, mające zatkać dziury w gigantycznej konstrukcji. Niemniej po jakiejś dobie Zangowie byli zmuszeni zwrócić uwagę na ziemski gwiazdolot. Z różnych stron zamieszkaney sfery zbliżały się do niego tajemnicze obiekty, najwyraźniej pragnące go zbadać.

Zangowie przeganiali kolejno wszystkich intruzów, otaczając terrageński statek szczelnym kordonem. Egzotyczni strażnicy nie raczyli jednak odpowiedzieć na żadną z wysyłanych często przez Gillian wiadomości.

Emerson przypomniał sobie jedną z niewielu rzeczy, jakie na pewno wiadano o potężnych wodorodysznych istotach. Zangowie patrzyli na czas inaczej niż tlenodyszni. Z pewnością uważali, że „Streaker” może zaczekać.

A teraz słuchał, jak Gillian naradza się z Jijanami, próbując opracować jakiś plan.

– Co się stanie, jeśli po prostu zapędzimy gławery do wahadłowca i wyślemy je do nich? Czy wiemy, że to usatysfakcjonuje Zangów? I czy gławery będą bezpieczne? Przypuśćmy, że odpowiedź na oba pytania brzmi „tak”. Co mówi o podobnej sytuacji prawo galaktyczne? Czy powinniśmy poprosić Zangów o pokwitowanie?

Ze wszystkich tych słów „Zangowie” było jedynym, które miało dla niego jednoznaczny sens. Pozostałe uparcie wymykały się zrozumieniu. Mimo to dźwięczny głos Gillian brzmiał dla niego jak muzyka.

Rzecz jasna, zawsze darzył doktor Gillian Baskin skrywanym uczuciem, nawet w czasach, gdy na pokładzie przebywał jej mąż, Thomas Orley. To było tylko nieszkodliwe zadurzenie. Dorosły mężczyzna potrafił je kontrolować i nic po sobie nie okazać. A przynajmniej nie w nieuprzejmy sposób. Życie nie było sprawiedliwe, ale przynajmniej mógł być blisko niej.

Niestety, po bohaterskim czynie Toma, który zaginał na Kithrupie, owo uczucie zaczęło zaburzać rozsądek Emersona. Stał się skłonny do podejmowania ryzyka, próbował naśladować Orleya, by zademonstrować Gillian, że jest godny go zastąpić.

To było głupie, ale naturalne. I opłacało się im na Oakka, gdzie służy Biblioteki i Instytutu Migracji złamali przysięgę i próbowali podstępem zawładnąć „Streakerem”, aby na jego odkryciach skorzystały ich rodzinne klany, nie cała cywilizacja. Emerson podjął szalone ryzyko i jego śmiałość się opłaciła. Odnieśli z trudem wywalczone zwycięstwo. „Streaker” zdołał uciec, a następnie znowu stanąć do walki.

Ale tutaj...

Potrząsnął głową. Oglądając taśmy nakręcone z pokładu uciekającego gwiazdolotu, Emerson uświadomił sobie, że jego śmiały lot na ukradzionym Thennanianom stateczku zmienił bardzo niewiele. Gdy ruszył do akcji, ignorując słowa Gillian, błagającej, aby wrócił, przed „Streakerem” otwierała się już droga ucieczki. Gdyby pozostał na pokładzie statku i nie wpadł w ręce Prastarych

Istot, i tak dotarłby na Jijo, a jego podróż byłaby znacznie wygodniejsza.

Przyglądając się najbliższemu brzegowi dziury we Fraktalnym Świecie, pogrążył się w marzeniach o jego ratowaniu. Nie mógł już ufać liczbom i równaniom, ale nadal zachował inżynierskie instynkty i przeszywał go dreszcz na widok maszyn tworzących wielkie konstrukcje z lodu i nici węglowych. Nigdy dotąd nie widział zakrojonej na tak wielką skalę współpracy wodorodowych, tlenodowych i maszyn.

Na tę myśl kosmos wydał mu się nieco sympatyczniejszym miejscem.

Czas mijał. Emerson nie postrzegał go już w kategoriach minut i godzin – czy dur i midur – ale jako nieokreślone, subiektywne przerwy między atakami głodu, pragnienia i innych potrzeb cielesnych. Mimo to wypełniała go nerwowa niecierpliwość.

Niepokojące wrażenie, że coś tu nie gra.

Przez pewien czas trudno mu było określić jego źródło. Delfiny pełniące służbę na mostku sprawiały wrażenie spokojnych. Nic się nie działo. Na żadnym z ekranów nie pojawiły się sygnały bliskiego zagrożenia.

Spotkanie w pokoju mapowym zakończyło się i wszyscy wrócili na stanowiska albo gapili się na zdumiewający spektakl rozgrywający się wokół „Streakera”. Nikt nie okazywał zaniepokojenia.

Emerson przekazał małej holojednostce swe pragnienie połączenia się bliskozasięgowymi czujnikami gwiazdolotu, by sprawdzić stan kadłuba oraz najbliższego otoczenia. Gdy wykonywał to ćwiczenie po raz drugi, zaczęły go nawiedzać fale niesamowitego uczucia. Nie potrafił jednak określić jego źródła.

Poprosił o zbliżenie samej Gillian i zauważył, że ona również się niepokoi, jakby pod powierzchnią jej świadomości czaiła się jakaś myśl. Obok niej znajdował się holoobraz. Emerson zauważył, że kobieta przygląda się otoczeniu tylnej części „Streakera”.

Chrząknął i uniósł palec, polecając w ten sposób przenieść obraz w tamto miejsce. Gdy spojrzenie kamery przesunęło się po powierzchni kadłuba, pokrytej grubą warstwą gwiazdnej sadzy, czuł narastającą ulgę. Jeśli Gillian również się tym zainteresowała, mógł to nie być jedynie wytwór wyobraźni. Co więcej, instynkt rzadko ją zawodził. Gdyby istniała poważna groźba, kapitan zareagowałaby.

Gdy obraz minął tylne kołnierze prawdopodobieństwa gwiazdolotu, Emerson czuł się już znacznie lepiej.

To stało się dla niego pierwszą wskazówką.

Poczuł się lepiej.

O ironio, to właśnie spowodowało narastający niepokój.

Na Jijo – odkąd ocknął się, dręczony gorączką, w nadrzewnym domu Sary, z poparzoną ciałem i uszkodzonym mózgiem – jedna rzecz zawsze sprawiała mu większą przyjemność niż wszystko inne. Niż kojące balsamy traeckich farmaceutów. Niż satysfakcja płynąca z powrotu do zdrowia czy odzyskania siły w kończynach. Niż cudowne widoki, dźwięki i zapachy Jijo. A nawet niż towarzystwo łagodnej, kochającej Sary. Jedno wrażenie przyćmiewało wszystko.

Ustąpienie bólu.

Kiedy cierpienie zaprogramowane w jego uszkodzonej korze mijało, jego nagły brak przynosił ekstazę.

Zdarzało się to, gdy tylko przestawał robić coś, przed czym chciano go powstrzymać. Na przykład coś sobie przypomnieć. Wszelkie takie próby karano straszliwym bólem. Początkowo nagroda była jednak jeszcze skuteczniejsza. Hedonistyczna satysfakcja płynąca z zaniechania wysiłków.

W obecnej sytuacji Emerson dostrzegał podobieństwo.

Och, wrażenie nie było aż tak intensywne. Nagrody i kary miały znacznie subtelniejszy charakter. W gruncie rzeczy mógłby w ogóle nic nie zauważyć, gdyby nie długotrwała walka, którą toczył na Jijo. Nauczył się wtedy zwalczać ból uporem, stawiać mu czoło jak udęczona zwierzyna zwracająca się przeciwko drapieżnikowi... i zmieniająca się z ofiary w łowcę. To było trudne, ale z czasem przyswoił sobie tę lekcję.

Nie... idź... tam... – pomyślał, z wysiłkiem formułując słowa jedno po drugim, aby zdobyć się na nieustępliwą determinację. – Wracaj...

To było tak, jakby próbował walczyć z silną wichurą albo płynąć pod prąd.

Za każdym razem, gdy holoobraz przesuwiał się w stronę dziobu statku, Emerson czuł się dziwnie. Jakby sama idea tamtej części „Streakera” była czymś osobliwym, wręcz niewłaściwym. Czymś w rodzaju próby wizualizacji piątego wymiaru.

Co więcej, komputery najwyraźniej również odczuwały ten efekt. Instrumenty stawiały opór. Gdy spojrzenie kamery przesunęło się za pierwszy szereg kołnierzy, zaczynało skręcać na boki, ponownie kierując się ku rufie.

Z ust Emersona wyrwał się potok przekleństw. Ekspresyjne, wyraziste słowa płynęły ścieżkami, przez które kiedyś przechodziły wszystkie rodzaje mowy. Podobnie jak piosenki i poezja, przekleństwa rodziły się w części mózgu nietkniętej przez Prastare Istoty. Strumień inwektyw uspokoił Emersona i przydał klarowności jego myślom. Mężczyzna odwrócił się od wszystkich sztucznych narzędzi oraz obrazów. Przycisnął twarz do wypukłego okna, wykonanego z jakiegoś przezroczystego, niewiarygodnie mocnego materiału, którego najnowocześniejsza ziemaska technika nie potrafiła skopiować, i spojrzał w kierunku dziobu „Streakera”.

To było tak, jakby próbował coś zobaczyć w swej ślepej plamce. Skupił się, wykorzystując w walce wszystkie metody, których nauczył się na Jijo.

Wreszcie udało mu się wypatrzeć w ciemności jakieś poruszenia.

Wyczuwając, jak bardzo pragnie widzieć, rewą zsunął się na jego oczy, przesłaniając je swym błoniastym ciałem. Symbiont przetwarzał i wzmacniał obraz, przesuwając kolory, aż wreszcie Emerson chrząknął z zaskoczenia i satysfakcji.

Wokół dziobu „Streakera” krążyły jakieś obiekty. Roboty albo małe stateczki. Zbliżały się do części gwiazdolotu, o której wszyscy na pokładzie nagle zapomnieli!

Emerson zauważył mały, jasny jak gwiazda płomień. Erupcje jaskrawego blasku.

Nie tracił już czasu na przekleństwa. Wypadł na rękach i kolanach z obserwacyjnej klitki zbudowanej przez jakiś znacznie mniejszy od ludzi gatunek, który niegdyś był właścicielem „Streakera”, na długo przed tym, nim statek sprzedano z piątej ręki ubogiemu klanowi ciemnych dzikusów, którzy dopiero niedawno wyrwali się z izolacji tak głębokiej, że poważnie zastanawiali się, czy są samotni w całym wszechświecie.

Nie mógł w żaden sposób zameldować o swoim odkryciu. Nie miał słów, które mógłby wyrzucić przez głośniki. Gdyby poszedł do pokoju mapowego, złapał Gillian za ramiona i zmusił ją do spojrzenia naprzód, zapewne w końcu by zareagowała, ale jak wiele czasu by to zajęło?

Co gorsza, czy nie naraziłby w ten sposób jej życia? Ci, którzy rzucili to nowe zaklęcie, używali metod podobnych do tych, za pomocą których uwarunkowano Emersona. Mogliby wyczuć zrozumienie budzące się w umyśle Gillian i stłamsić gwałtownie jej psioniczny talent.

Emerson nie mógł jej narażać na takie niebezpieczeństwo.

Sara? Prity? To były drogie mu przyjaciółki. To samo dotyczyło pozostałych członków załogi

„Streakera”. Zresztą miał za mało czasu na wyjaśnienia.

Czasami trzeba działać samemu.

Zerwał się do biegu. Pomknął do wielkiego hangaru – służy wypełniającej obszerny dziób gwiazdolotu. Wszystkie mniejsze stateczki, zajmujące stanowiska cumownicze, gdy odlatywali z Ziemi, dawno już zniknęły. Szalupa i skif zostały z Orleyem i jego towarzyszami na Kithrupie. Kapitańska szalupa eksplodowała jeszcze wcześniej, w Płytkiej Gromadzie. To była pierwsza straszliwa cena, jaką zapłacili za skarb Creideikiego.

Teraz były tam małe, solidne zwiadowcze stateczki Thennanian, zabrane ze znalezionej przez załogę wraku. Gdy wsunął się do jednej z opancerzonych maszyn, towarzyszyło mu aż nazbyt znajome wrażenie. Raz już robił to wszystko – włączał moc, szarpał się z kołem sterowym zbudowanym dla gatunku o znacznie dłuższych rękach, uruchamiał mechanizmy, kierujące stateczek na wąską szynę prowadzącą do rury, z której wypadnie w...

Emerson stłumił wszystkie wspomnienia poprzedniego razu, bo inaczej opuściłaby go odwaga. Skupił się na odczytach przyrządów i na ekranach. Nie rozumiał już symboli, ale miał nadzieję, że dawne nawyki i umiejętności oraz szczęście Ifni pozwolą mu nie utracić kontroli nad stateczkiem, gdy tylko wypadnie w przestrzeń przez zewnętrzne drzwi.

W jego umyśle niespodziewanie pojawiła się piosenka – znany pilotom hymn o mknięciu przez czarną pustkę – ale z zaciśniętych ust nie wyrwał się śpiew. Emerson był zbyt zajęty, by wydawać z siebie dźwięki.

Gdyby był w stanie myśleć w jasno sformułowanych zdaniach, zapewne zadałby sobie pytanie, co właściwie chce osiągnąć i jak mógłby zaszkodzić napastnikom. Stateczek wyposażono w broń, ale przed rokiem Emerson nie poradził sobie za dobrze z jej obsługą. A teraz nie potrafił nawet odczytać wskazań instrumentów.

Mimo to powinno mu się udać wywołać zamieszanie. Przeszkodzić napastnikom. Rozerwać zasłone iluzji i zwrócić uwagę terrańskiej załogi na zagrożenie.

Ale na czym właściwie ono polegało?

Nieważne. Emerson zdawał sobie sprawę, że jego mózg nie jest już w stanie rozwiązywać skomplikowanych problemów. Być może wystarczy, jeśli przyciągnie uwagę Zangów i skieruje ich gniew na intruzów.

Śluza się zamknęła. Zraniony Fraktalny Świat wirował powoli przed jego oczami. Emerson włączył silniki i ruszył w stronę intruzów. W miarę jak się zbliżał, odstrasżające fale stawały się coraz silniejsze. Ból i przyjemność, odraza i fascynacja zalewały mężczyznę na spółkę z wieloma innymi wrażeniami, nagradzając go, gdy tylko jego myśli odwracały się od tego, co działo się przed nim, i karząc wszelkie próby skupienia uwagi. Gdyby nie doświadczenia zdobyte na Jijo, nie miałby szans poradzić sobie z takim połączeniem. Tam jednak wyrobił w sobie nowy nawyk. Nauczył się szukać nieprzyjemnych wrażeń, jak dziecko naciskające na bolący ząb, przyciągane każdym impulsem bólu, nie dające za wygraną, aż wreszcie stare ustąpi miejsca nowemu.

Pomagał mu mały rewq. Wyczuwając jego pragnienia, ciągle zmieniał kolory, przesuując się przez całe widmo. Przesyłane przez symbionta obrazy z początku były nieuchwytnie, ale po chwili pojawiły się możliwe do rozpoznania sylwetki.

Maszyny.

Emerson uświadomił sobie, że do nosa „Streakera” przytwierdziło się już kilkanaście wrzecionowatych urządzeń. Łaziły po nim jak padlinożerne owady próbujące wnikać do oka jakiegoś pechowego zwierzęcia. Gdyby jednak chodziło im o proste zniszczenie gwiazdolotu, dawno

już byłoby po wszystkim. Ich cele musiały być bardziej skomplikowane.

Poznał gorący blask palnika. Albo roboty próbowały utorować sobie drogę do środka, albo...

Albo zamierzały coś odciąć. Być może pobrać próbkę. Ale czego?

Stworzył w swym umyśle szczegółowy obraz „Streakera”. W tym zadaniu nie przeszkadzała mu uniemożliwiająca formułowanie zdań afazja. Wspomnienie nie potrzebowało słów, było niemal dotykalne. Przez lata kochał stary, pochodzący z odzysku statek na wiele sposobów, na które mężczyzna nigdy nie mógłby kochać kobiety, nadzorując jego transformację w coś niepowtarzalnego – dumę Ziemskiego Klanu.

Natychmiast sobie przypomniał, co się znajduje w miejscu, którego dotykał oślepiający płomień.

Przekreślona spirala. Godło Pięciu Galaktyk.

Zdumiała go absurdalność tej sytuacji. W pierwszej chwili zadawał sobie pytanie, czy to może być po prostu kolejna sztuczka, czy ponownie zakłócili jego procesy myślowe, aby mu wmówić, że to godło jest ich celem. Czyżby zadawali sobie tak wiele trudu tylko po to, by pozbawić „Streakera” dziobowego znaku?

Tak czy inaczej, maszyny najwyraźniej miały więcej trudności, niż się spodziewały. Gruba węglowa warstwa pokrywająca ziemski gwiazdolot była twarda. Oparła się wszelkim wysiłkom Hannesa Suessiego oraz delfinich inżynierów, próbujących ją usunąć. Zbliżywszy się, Emerson zauważył, że roboty poczyniły tylko niewielkie postępy, odsłaniając maleńki fragment oryginalnego kadłuba „Streakera”.

Emerson omal się nie roześmiał, widząc ich daremne starania.

Potem przyjrzał się uważniej i zobaczył więcej maszyn, mnóstwo ciemnych sylwetek zlatujących się ku gwiazdolotowi z czarnej, rozgwieżdżonej pustki. Niemal na pewno były to posiłki, mające przyspieszyć wykonanie zadania.

Pora brać się do roboty. Emerson sięgnął do konsoli sterującej bronią. Wybrał najmniej potężne promienie, aby niechcący nie uszkodzić „Streakera”.

Ruszamy z tym koksem – pomyślał.

Oby się udało.

Tak bardzo skupił się na celowaniu, z wielką dokładnością przesuwając krzyż nitek, że nie zauważył, co się przed chwilą wydarzyło w jego okaleczonym umyśle.

Sformułował dwa klarowne zdania, jedno po drugim, biegle wyrażając najpierw ironię, a potem nadzieję.

GILLIAN

Zrozumienie przedarło się przez warstwy jej świadomości z siłą pioruna.

– Alarm bezpieczeństwa! – krzyknęła ostrym tonem.

W na wpół opustoszałych korytarzach ziemskiego gwiazdolotu zabrzmiały sygnały. Delfiny popędziły na stanowiska bojowe. Wszechobecne buczenie silników zmieniło tonację. Ekipa Suessiego zwiększyła dopływ mocy do pól siłowych oraz systemów broni.

– Niss, raport!

Wirujący hologram przemawiał szybko, bez śladu typowego dla niego szyderczego tonu.

– *Wygląda na to, że padliśmy ofiarą podstępnego ataku psioniczno-cybernetycznego, mającego na celu odwrócenie uwagi obrońców „Streakera”, zarówno organicznych, jak i maszynowych. Fakt, że oboje zauważyliśmy to jednocześnie, sugeruje, że emiter nagle zniszczono lub uszkodzono. Wstępne spostrzeżenia zdają się świadczyć, że wykorzystano zaawansowane jestestwo logiczne o poziomie memetycznym odpowiadającym co najmniej klasie...*

– Co nam zagraża w tej chwili? – przerwała mu Gillian.

– *Nie wykrywam impulsów celujących ani wymierzonej w nasz statek makrobroni, lecz niektóre z pobliskich automatów wykazują poziomy uśpionej mocy, które z bliskiej odległości mogą się okazać niebezpieczne.*

Ale jak na razie zadowolają się strzelaniem do siebie nawzajem.

Kobieta podeszła do ekranu ukazującego obraz dziobu statku... położony dokładnie naprzeciwko punktu, który przed chwilą obserwowała, obawiając się jakiegoś ukrytego zagrożenia. Serce zabiło jej mocno, gdy się zorientowała, jak niewiele zabrakło. Wszystko mogłoby być stracone, gdyby intruzi nie zaczęli walczyć między sobą. Pająkowate sylwetki zasypywały się jaskrawymi impulsami świetlnymi. Cienie bitwy majaczyły niepokojąco blisko.

– Gdzie są Zangowie, do licha? – wyszeptała pod nosem Gillian.

W obszarze przestrzeni, w którym jeszcze niedawno znajdowały się wodorodyszne jestestwa, jej instrumenty nie wykrywały teraz żadnych śladów wielkiego, kulistego statku... a tylko niepokojącą, wydłużoną chmurę unoszących się w przestrzeni jonów.

Być może to tylko strumienie wylotowe z ich silników. Możliwe, że musieli pilnie gdzieś polecieć i za chwilę wrócić.

Jej umysł cofał się przed drugą możliwością – że jakaś broń po prostu zlikwidowała Zangów. Broń tak potężna, że nie zostawiła po sobie nic poza mgiełką wzbudzonych atomów.

Tak czy inaczej, psioniczny atak nie pozwolił nam zauważyć zniknięcia naszych strażników. Ktoś zadał sobie mnóstwo trudu, by się upewnić, że przez pewien czas będziemy siedzieć nieruchomo.

Poczuła, że silniki Suessiego włączyły się nagle i Kaa zaczął cofać statek od wiru walki. Pokonał jednak tylko niewielką odległość, nim skonfliktowany rój podążył za nim, jakby łączyły go ze „Streakerem” niewidzialne sznury.

– Nie wiesz, kto...

– *Żadna z walczących stron dotąd się nie zidentyfikowała.*

– A co właściwie zamierzają...

– *Najwyraźniej jedna z grup próbuje ukraść archiwum jednorazowego zapisu z pokładu gwiazdolotu.*

– Archiwum...?

Pytanie ugrzęzło jej w gardle. Gillian zamknęła usta, gdy tylko zrozumiała w czym rzecz.

Zgodnie z prawem na pokładzie każdego galaktycznego statku znajdował się „obserwator” – urządzenie biernie spisujące kronikę najważniejszych wydarzeń podróży. Niektóre z nich miały bardzo zaawansowane funkcje. Inne – takie, na które mógł sobie pozwolić ubogi klan – były prostymi mineralnymi urządzeniami, potrafiącymi jedynie zapisywać przybliżone położenie gwiazdolotu oraz identyfikować sąsiednie statki. Wszystko to jednak była „pamięć do jednorazowego zapisu”, przeznaczona do rejestrowania informacji, nie do ich odczytu. W końcu wszystkie takie urządzenia miały trafiać do niezmiernych archiwów Wielkiej Biblioteki, aby mogli je w wolnym czasie studiować obywatele jakichś przyszłych czasów, w których namiętności bieżącej epoki będą już miały wyłącznie historyczne znaczenie.

Natychmiast zrozumiała plan kryjący się za tym atakiem.

– Prastare Istoty... z pewnością poznały kody pozwalające odczytać nasze archiwum. Dowiedzą się z niego, gdzie dotarł „Streaker”!

– *A to im pozwoli odtworzyć naszą trasę i odnaleźć Płytkę Gromadę.*

Reakcja Gillian była dziwnie ambiwalentna. Z jednej strony wypełniał ją gniew na istoty, które pogwałciły integralność jej umysłu i próbowały ukraść skarb „Streakera”. Informacje, których jej załoga strzegła tak długo. Za które Tom i Creideiki zapłacili życiem.

Z drugiej strony, jeśli złodziejom się uda, może to rozwiązać bardzo wiele problemów. Jakaś potężna frakcja pozna w końcu tajemnicę i być może wykorzysta zdobyte w ten sposób informacje, aby zdominować następną epokę. Bitwy i wielkie spiski będą trwały dalej, a Ziemia i jej kolonie mogą otrzymać szansę powrotu w boczne nurty historii, zaniebane i przez pewien czas może również bezpieczne.

– Dziwię się, że nikt nie spróbował tego przedtem – komentowała, obserwując z uwagą minitwę podążającą za umykającym przez ogromne wnętrza Fraktalnego Świata „Streakerem”.

– *W rzeczy samej, kradzież obserwatora z naszego dziobu wydaje się logicznym pomysłem. Mogę jedynie zgłosić przypuszczenie, że nasi poprzedni wrogowie nie dysponowali środkami niezbędnymi do odczytania zakodowanej pamięci do jednorazowego zapisu.*

Jeśli rzeczywiście tak było, fakt, że nawet najbogatsze klany albo sojusze nie zdołały złamać zabezpieczeń, dobrze świadczyłby o neutralności Instytutu Bibliotecznego. Gillian zadała sobie pytanie, czy to możliwe, by zdrada na Oakka była aberracją? Niewykluczone, że tylko typowy dla „Streakera” pech zdał ich na łaskę rzadko spotykanych renegatów. W innych miejscach urzędnicy Instytutów mogli być bardziej honorowi.

W takim przypadku czy powinniśmy spróbować znowu? – zadała sobie pytanie. – Może należałoby polecieć na Tanith i raz jeszcze spróbować oddać się w ręce władz?

Tymczasem Niss zawirował w zamyśleniu. Stworzone przez Tymbrimczyków softwarowe jestestwo przybrało kształt płaskiej spirali, a potem przemówiło:

– *Zdobycie kluczy musiało im zająć większą część minionego roku. Z pewnością użyli swych wpływów jako wysokich rangą członków Emerytowanej Kategorii. W gruncie rzeczy...*

Siatka wirujących linii nagle się zacisnęła, sygnalizując napięcie.

– *W gruncie rzeczy to rzuca cień na naszą poprzednią cudowną ucieczkę z tego miejsca.*

– To znaczy?

– *Chodzi mi o to, że sądziliśmy, iż pomogły nam jakieś altruistycznie nastawione istoty z Emerytowanej Kategorii, które chciały pomóc nam wymknąć się prześladowcom w imię sprawiedliwości. Pomyśl jednak, jak dziwnie łatwa była cała nasza ucieczka. A zwłaszcza fakt, że akurat udało nam się trafić na wzmianki o tak zwanej ścieżce przedterminowych osadników...*

– Łatwa! Wyduszenie tych informacji z naszej zdobywczej jednostki bibliotecznej było uciążliwe jak wyciskanie wina z kamienia! To było...

– *To było łatwe. Spoglądając wstecz, dostrzegam to wyraźnie. Z pewnością zaraził nas memetyczny pasożyt niskiej klasy, który przekazał nam atrakcyjny pomysł ucieczki na Jijo. Do położonego w pobliżu azylu, do którego prowadziła tylko jedna droga. Opuszczając owo schronienie, musielibyśmy trafić z powrotem tutaj.*

Gillian zamrugła. Nagle zrozumiała, do czego zmierza maszyna.

Przypuśćmy, że któraś z frakcji pragnęła ukraść ich pamięć do jednorazowego zapisu, ale wiedziała, że będzie potrzebowała sporo czasu, by zdobyć odpowiednie kody. Zbiegłym dzikusom nie można było pozwolić czekać w otwartej przestrzeni, żeby łupu nie zagarnął ktoś inny

Jak najlepiej zabezpieczyć jednostkę pamięci przed kradzieżą? Wysłać ją do bezpiecznego azylu pod opieką tych, którzy przetrwali już wiele. To znaczy załogi ziemskiego gwiazdolotu.

– *Gdybyśmy nadal nie wracali, wkrótce z pewnością wysłaliby na Jijo wiadomość mającą nas zwabić. W rzeczy samej, ów plan posiada cechy takie jak cierpliwość i pewność siebie, kojarzące się z Emerytowaną Kategorią.*

Niemniej fakt, że nie udało im się zdobyć poszukiwanego obiektu, świadczy o załamaniu się ich planów. Nie wszystko poszło tak, jakby tego chcieli. Ich frakcja nadal ma wrogów. Co więcej, zauważ, jak rozpaczliwy jest stan ich sił w tych warunkach klęski!

„Klęska” była trafnym określeniem. Gillian zauważyła, że walki rozprzestrzeniają się wszędzie wokół nich. Czujniki taktyczne wskazywały, że pożar dociera już do najbliższej wyszczerbionej krawędzi zranionej struktury Criswella.

– Jeśli tak dalej pójdzie, ktoś w końcu się wkurzy i użyje tych wielkich dezintegratorów. Być może przeciwko nam. Lepiej zastanówmy się, jak stąd zwać.

– *Doktor Baskin, od początku naszej rozmowy myślę prawie wyłącznie o tym. Na przykład próbowałem się połączyć z naszymi strażnikami i obrońcami, statkowym jestestwem Zangów, niestety, bez rezultatu. jako roboczą hipotezę musimy przyjąć założenie, że Zangów zniszczono.*

Gillian pokiwała głową. Doszła do tego samego wniosku.

– No cóż, jeśli po nas nie przychodzą, nie mam zamiaru na nich czekać. – Podniosła głos, zwracając się w stronę głośnika. – Kaa! Wrzucaj pełną moc! Zwiewamy do punktu t!

Pilot odpowiedział serią potwierdzających klekotów.

* *Osaczeni przez stado orek,*

* *Z twardym koralem za plecami,*

* *Patrzmy, jak żrą plankton!**

„Streaker” zaczął się oddalać. Bitwa podążała za nim. Detektory wykrywały wciąż nowe maszyny zlatujące się ze wszystkich stron, lecz mimo to odległość powoli zaczęła rosnać.

Aż nagle Niss odezwał się znowu:

– *Doktor Baskin, moją uwagę przyciągnął kolejny fakt, który z pewnością cię zainteresuje.*

Popatrz, proszę.

Spojrzenie głównej kamery przesunęło się w stronę narożnika obszaru gwałtownych walk. Starcie było zakrojone na znacznie mniejszą skalę niż niektóre z bitew, które widział „Streaker” ale niewielka odległość sprawiała, że rozbłyski i wybuchy wydawały się znacznie jaskrawsze. Szybko następujące po sobie obrazy ujawniły, że większość walczących to maszyny. Nie było w nich żadnych pudełkowatych pomieszczeń zapewniających schronienie protoplazmatycznym załogom.

Najwyraźniej rozmaite „emerytowane” frakcje wołały wysługiwać się mechanicznymi najemnikami zamiast nadstawiać karku osobiście.

Nagle pojawił się kolejny obiekt, o bardziej przysadzistej sylwetce niż pozostałe – pękata strzałka, zaokrąglona i wyposażona w gruby pancerz. Gillian poznała thennański stateczek zwiadowczy.

– Ifni! – wydyszała. – Czyżby znowu to zrobił?

– *Jeśli chodzi ci o inżyniera Emersona D’Anite, mogę ci powiedzieć, że wewnętrzne czujniki nie wykazują oznak jego obecności na pokładzie naszego statku. Zakładam, że on strzela teraz radośnie ze wszystkich dostępnych broni, nie mogąc trafić w prawie żaden cel. Organiczne istoty naprawdę nie powinny się mierzyć z mechanizmami w walce z bliska. To nie jest wasza silna strona.*

– Zapamiętam to sobie – wyszeptała Gillian, czując się głęboko rozdarta. Nie była pewna, co powinna i co może teraz zrobić.

EMERSON

Gdy tylko sobie uświadomił, że nie może w nic trafić – i nikt nie odpowiada ogniem – wyłączył układy kierujące bronią. Najwyraźniej nikt nie uważał go za godnego wysiłku czy choćby uwagi. Czuł się poirytowany myślą, że go ignorują, ale przynajmniej żadna z frakcji nie pragnęła pomścić robotów, które załatwił kilkoma pierwszymi szczęśliwymi strzałami, doprowadzając do wybuchu furii.

Wszędzie wokół szalały walki. Nie sposób było nic zrozumieć z tej wojny cieni, w której maszyny niszczyły inne maszyny.

Wkrótce uświadomił sobie, że dzieje się tu również coś innego. Coś znacznie istotniejszego i mającego bardziej osobisty charakter niż wydarzenia rozgrywające się na zewnątrz.

Przez jego umysł przebiegały fale dezorientacji.

Nie było w tym nic niezwykłego. Zdążył się już przyzwyczać do poczucia oszołomienia. Niemniej ten jego rodzaj był czymś wyjątkowym. Emerson czuł się tak, jakby wyglądał zza mrocznych chmur maligny. Jakby wszystko, co wydarzyło się dotąd, było częścią jaskrawego snu wypełnionego przewrotną logiką. Jak dręczone gorączką dziecko, przez bardzo długi czas nie potrafił jasno zrozumieć, co widzi, ale na mgnienie oka światło przebiło się przez mgłę, odsłaniając ciemne, spowite całunami zakamarki.

Wrażenie przypominało podpowiedź albo ulotny zapach. Potrwało krótką chwilę, a potem zniknęło.

Podejrzewał, że to jakaś sztuczka. Kolejny psioniczny atak mający odwrócić jego uwagę.

Ale światło musiało znaczyć coś więcej! Radość, jaką przyniosło, była zbyt intensywna. Poczucie utraty wywołane jego odejściem zanadto rozpaczliwe.

Nagle, bez ostrzeżenia, wróciło, znacznie potężniejsze niż przedtem.

To było coś, czego brakowało mu przez bardzo długi czas.

Coś bardzo wartościowego, czego nie potrafił docenić, dopóki mu tego nie odebrano.

Potrafię... potrafię myśleć!

...znowu potrafię myśleć w słowach!

Nie tylko w słowach, lecz również w zdaniach i akapitach!

Pilotuję thennańską strzałkę wojenną... „Streaker” pozostał za mną... Niemal całe niebo przesłania mi uszkodzony łuk Fraktalnego Świata...

W jednej chwili Emersona zalał przemożny potop zrozumienia. Pojął rzeczy, które zobaczył na Jijo, a także później. Pojęcia, które dotąd mu się wymykały, ponieważ nie można ich było wyrazić tylko za pomocą obrazów i uczuć. Które wymagały bogatej subtelności abstrakcyjnego języka, zakotwiczenia w sieci słów.

Ogarnął go smutek, kiedy pomyślał o wszystkim, co pragnął powiedzieć Sarze podczas ich długiej wspólnej podróży przez Stok. A także Gillian, po tym, jak wrócił do domu jako kaleka. To były dwa różne rodzaje miłości, których do tej pory nie potrafił wyrazić ani nawet zrozumieć.

Jak to możliwe? Mój mózg... zniszczyli mi ośrodki mowy!

Gdy Prastare Istoty skończyły go przesłuchiwać, z jakiegoś powodu pozwoliły mu żyć, ale skazały na ciszę. Umożliwiło im to odczytanie wspomnień Emersona o biednym, zranionym Creideikim. Zadały mu takie same obrażenia, okaleczyły go okrutnie, czyniąc z niego półtrupa... i mniej niż półczłowieka.

Tyle już zdołał się z wysiłkiem domyślić na Jijo, choć nie potrafił ująć tego w słowa. Ta

odpowiedź nigdy jednak nie wydawała mu się satysfakcjonująca. Nie wyjaśniała brutalnej logiki kryjącej się za podobnym uczynkiem.

I wtedy nagle usłyszał głos. Głos, o którym do tej pory nie pamiętał.

Identyfikował go z zimnymi, niemrugającymi oczami.

– *NIEDOKŁADNOŚĆ. NIE ZNISZCZYLIŚMY TYCH CZĘŚCI TWEGO ORGANICZNEGO MÓZGU. POŻYCZYLIŚMY/PRZYWŁASZCZYLIŚMY SOBIE KILKA GRAMÓW TKANKI, BY WYKORZYSTAĆ JĄ DLA WIELKIEGO CELU. POTRZEBOWALIŚMY JEJ BARDZIEJ NIŻ TY.*

Arogancja zawarta w tych słowach była tak wielka, że Emerson omal nie zawył z gniewu. Potrzebował maksymalnej dyscypliny, aby sformułować odpowiedź, korzystając ze ścieżek, których nie używał od bardzo dawna. Mówił niewprawnym głosem, z dziwnym nosowym akcentem.

– Okaleczyliście mnie, żebym nie mógł nikomu powiedzieć, co zrobiliście, skurwysyny!

Odpowiedzi towarzyszyła aura wyniosłej wesołości.

– *TO BYŁA TYLKO MAŁO ZNACZĄCA DODATKOWA KORZYŚĆ. W RZECZYWISTOŚCI PRAGNĘLIŚMY/POTRZEBOWALIŚMY SAMEJ TKANKI. PRAWDEŃ MÓWIĄC, WYDAWAŁA SIĘ NAM ZNACZNIE CENNIJSZA NIŻ TY JAKO CAŁE JESTESTWO... CHOĆ MOGŁOBY BYĆ LEPIEJ, GDYBYŚ NALEŻAŁ DO NIECO INNEGO GATUNKU. POSIADALIŚMY JEDNAK TYLKO JEDNEGO ZIEMIANINA, WIĘC PRZEZNACZENIE ZDECYDOWAŁO, ŻE TO TY ZOSTANIESZ NASZYM DAWCĄ.*

Te wyjaśnienia przyprawiły go o jeszcze większe oszołomienie.

– W takim razie, jak to się stało, że mogę teraz mówić?

– *TO KWESTIA POŁĄCZENIA I BLISKOŚCI. ZOSTAWILIŚMY W JAMIE POZOSTAŁEJ PO USUNIĘTEJ TKANCE REZONATORY KWANTOWE. ŁĄCZĄ JE PRZYCZYNOWE WIĘZI Z INNYMI REZONATORAMI POKRYWAJĄCYMI POBRANĄ PRZEZ NAS PRÓBKĘ. W ODPOWIEDNICH WARUNKACH, JEŚLI BĘDZIESZ WYSTARCZAJĄCO BLISKO, STARE ŚCIEŻKI NEURONOWE MOGĄ NA NOWO PODJĄĆ DAWNE FUNKCJE.*

Emerson zamrugał. Pochylił się ku łukowatemu oknu stateczka i spojrzął na czarne niebo usiane błyskami bezgłośnych eksplozji.

– *TAK, KAPSUŁA JEST BLISKO. SPROWADZIŁ JĄ TU ROBOT REMONTOWY, KTÓRY WYGLĄDA NIESZKODLIWIE I DZIĘKI TEMU UNIKA UWAGI WALCZĄCYCH FRAKCJI. W GRUNCIE RZECZY MOŻE PODEJŚĆ ZNACZNIE BLIŻEJ. TKANKA BĘDZIE NALEŻAŁA DO CIEBIE, JEŚLI SPEŁNISZ PEWNE WARUNKI.*

Pragnął wrzasnąć na swych dawnych dręczycieli, oznajmić im, że nie mają prawa targować się z nim o coś, co mu ukradli. Prastare Istoty z pewnością jednak zlekceważyłyby ten argument jako odwoływanie się do używanych przez dzikusów standardów uczciwości. Umysł Emersona pracował gorączkowo. Jego myśli pokonywały wielkie przestrzenie, posuwając się równolegle po starych ścieżkach logicznych i po nowych, które poznał podczas wygnania.

– Jeśli zgodzę się wam służyć, odzyskam ośrodek mowy, tak? Co się stało? Czyżby wasz poprzedni plan zawiódł?

– *NIEKTÓRZY Z NAS NADAL POKŁADAJĄ W NIM WIARĘ/ZAUFANIE. ALE NAWET W NAJLEPSZYM PRZYPADKU BYŁ ON RYZYKOWNĄ PRÓBĄ PRZEKUPIENIA KOGOŚ, KTO JEST/BYŁ DALEKO STĄD. ALE TERAZ, W BREW WSZELKIM OCZEKIWANIOM, ZNOWU JESTEŚ BLISKO. TO STWARZA NAM KOLEJNĄ SZANSĘ SUKCESU*

– Och, nie mogę się doczekać, aż to usłyszę – mruknął Emerson. Już za pierwszym razem nauczył się jednak, że do Prastarych Istot sarkazm nie dociera.

– *ZASADA POWINNA BYĆ WYSTARCZAJĄCO PROSTA, BY ISTOTA NA TWOIM POZIOMIE*

ROZWOJU POTRAFIŁA JĄ ZROZUMIEĆ. JEŚLI SIĘ POŚPIESZYSZ, ZDĄŻYSZ WRÓCIĆ NA POKŁAD ZIEMSKIEGO GWIAZDOLOTU I ODNALEŹĆ/ODZYSKAĆ INFORMACJE, KTÓRYCH POTRZEBUJEMY. POTEM NASTĄPI PROSTA WYMIANA I ODZYSKASZ TO, CZEGO NAJBARDZIEJ PRAGNIESZ.

Emerson zacisnął pięści, nie chcąc wyrazić w słowach niektórych myśli rodzących się w głębi jego umysłu. Wszystko, co formułował w ten sposób – nawet przez subwokalizację – musiało przechodzić przez kawałek protoplazmy, znajdujący się w jakimś innym miejscu, wewnątrz maszyny mknącej przez przestrzeń pełną przenikliwego promieniowania i eksplodujących min. Fragment jego samego, który inni mogli przesiewać do woli.

– A więc teraz chcecie dobić targu. Ale przed rokiem byliście przekonani, że jestem tylko beużyteczną padliną! W takim razie dlaczego wysłaliście mnie na Jijo? Dlaczego jeszcze żyję?

W jego głosie zabrzmiało pełne rezygnacji przekonanie, że wszelkie wyjaśnienia okażą się beużyteczne.

– *ISTNIEJĄ WARUNKI BRZEGOWE UNIWERSALNEJ FUNKCJI KWANTOWEJ, WPŁYWAJĄCE NA LINIE ŚWIATA, ROZCHODZĄCE SIĘ WE WSZYSTKICH KIERUNKACH. JEDNYM Z NICH JEST TWOJA FIZYCZNA EGZYSTENCJA W PRZYSZŁOŚCI. NASZE POCZYNIANIA MUSZĄ POZOSTAWAĆ W ZGODZIE ZE ZNANYMI FAKTAMI. NIEMNIEJ W TKANINIE LINII ŚWIATA JEST PEWIEN LUZ. LICZBOWE RACHUNKI WYKAZAŁY, ŻE DO OSIĄGNIĘCIA POZYTYWNEGO WYNIKU WYSTARCZY, BYŚ W PEWNYM CZASIE I MIEJSCU ZNALAZŁ SIĘ, ŻYWY, W POBLIŻU SWYCH TOWARZYSZY. UMIESZCZENIE TWOJEGO CIAŁA NA JIJO, GDZIE BYŁO W ICH ZASIĘGU, UZNALIŚMY ZA WYSTARCZAJĄCE.*

Emerson wytrzeszczył oczy, przerażony potęgą i okrucieństwem implikowanymi przez te słowa.

– Ta... piekielna podróż, którą musiałem odbyć, znaczy według was, że byłem w zasięgu?

Głos nie raczył odpowiedzieć. Pytanie równie dobrze mogłoby być retoryczne.

Emerson przesunął spojrzeniem po instrumentach sterowniczych stateczku. Rozumiał teraz litery i glify bez najmniejszego trudu. „Streaker” oddalał się od niego z rosnącą prędkością. Najwyraźniej Gillian znowu postanowiła podjąć próbę ucieczki do gwiazd.

– *TO PRAWDA. ZOSTAŁO CI TYLKO NIEWIELE CZASU. JEŚLI NIE ZGODZISZ SIĘ NA NASZĄ PROPOZYCJĘ I NIE WRÓCISZ NA STATEK, BĘDIEMY ZMUSZENI ZNISZCZYĆ ZIEMSKI GWIAZDOLOT RAZEM Z WSZYSTKIMI TWOIMI TOWARZYSZAMI.*

Emerson wybuchnął głośnym śmiechem.

– Pod warunkiem, że wasi wrogowie wam na to pozwolą. Niewiele brakowało i udało by im się ukraść obserwatora „Streakera”, nim wasza frakcja im przeszkodziła. Oni również mogą mieć coś do powiedzenia na temat waszych planów. A poza tym, jestem ważnym warunkiem brzegowym, tak? Musicie pomóc mi dożyć przyszłości, razem z moimi przyjaciółmi, bo inaczej całe wasze przyczynowo-skutkowe hokus-pokus trafi szlag!

– *WYMOGI PRZYCZYNOWOŚCI NIE SĄ AŻ TAK SZTYWNE, JAK CHCIAŁBYŚ ZASUGEROWAĆ, CZŁOWIEKU. NIE PRÓBUJ SPRAWDZAĆ SWEJ DYSKUSYJNEJ WARTOŚCI ANI NIE PROWOKUJ NAS BRAKIEM SZACUNKU.*

Roześmiał się jeszcze głośniej.

– Bo co mi zrobicie? Ukarzecie mnie? Zadacie mi ból?

Na jego wyzwanie odpowiedziała cisza, ale Emerson czuł, że tym razem jego pogarda osiągnęła zamierzony skutek. To była słaba broń, ale Prastare Istoty nie przywykły do niej. Ubodły je jego słowa.

Z drugiej strony jednak wiedziały, że Emerson nie ma wyboru. Przecież raczej nie mógł tu

zostać. Jego ręce zdecydowały za niego. Dotknęły instrumentów i zwiększyły prędkość, kierując stateczek w pościg za „Streakerem”. Mimo to mężczyzna czuł narastający lęk.

Co się stanie, jeśli oddali się do robota zawierającego fragment jego mózgu? Czy maszyna podąży za nim? Czy będzie się czaiła w pobliżu, by nadal umożliwiać mu myślenie?

Gdy głos zabrzmiał znowu, wydawał się chłodny i odległy.

– *PRZEKAŻEMY CI TERAZ KOD, KTÓRY POZWOLI CI SIĘ Z NAMI SKONTAKTOWAĆ, KIEDY BĘDZIESZ GOTOWY SPEŁNIĆ NASZE WARUNKI.*

Umysł Emersona wypełniła seria kolorów, prosta sekwencja, która wypaliła się w jego pamięci. Nie potrafiłby jej zapomnieć, nawet gdyby próbował.

Potem jego dawni dręczyciele ogłosili pożegnalną uwagę.

– *NAJWYRAŹNIEJ NIE DOCENIALIŚMY POZIOMU TWEJ ROZUMNOŚCI, SĄDZĄC, ŻE PROSTE ODSTRASZAJĄCE UWARUNKOWANIE WYSTARCZY, BY POKIEROWAĆ TWOIM ZACHOWANIEM. GRATULUJEMY UPORU I ELASTYCZNOŚCI, JAKIMI Z PEWNOŚCIĄ MUSIAŁEŚ SIĘ WYKAZAĆ. NIEMNIEJ JESTEŚMY PRZEKONANI, ŻE NASZA POŻEGNALNA ZACHĘTA OKAŻE SIĘ WYSTARCZAJĄCA.*

Głos umilkł, ale Emerson nie skończył jeszcze z Prastarymi Istotami.

– Powiem wam, gdzie możecie sobie wsadzić swoją przeklętą przez Ifni ofertę, wy gorożerne bękarty uwstecznionych porostów! Poszukajcie odkupienia we własnych kloakach, dżefożerne, skazane na gehennę ziemiolizy...

Strumień inwektyw nie milknął przez dłuższy czas. Emerson pędził za „Streakerem”, mijając walczące ze sobą roboty, które cięły i rozszarpały się nawzajem, ale ani razu nie skierowały przeciwko niemu wiązki ani szponu. Mężczyzna radował się dźwięcznym potokiem przekleństw, świadomością, że z jego ust wypływają słowa. Przeciągał tę chwilę tak długo, jak tylko mógł. Każda dodatkowa sekunda wulgarного języka wydawała mu się zwycięstwem.

Przekleństwa były dla niego sprawdzianem. Wypełnianie ciasnej kabiny nieprzyzwoitymi słowami pozwalało mu zachować dar mowy. Nie chciał pozwolić, by odległość albo wrogowie znowu mu go odebrały.

Wkrótce zauważył, że „Streaker” zwalnia, aby mógł go dogonić. Ten akt lojalności ogrzał mu serce. Tunel cumowniczy otworzył się przed nim, wypuszczając w przestrzeń blask powitania. Mimo to Emerson nie przestawał wyrażać krzykiem swej opinii o Prastarych Istotach – o ich pochodzeniu, charakterze oraz prawdopodobnym przeznaczeniu w wielkiej piramidzie bytu.

Dopiero gdy podłączył się do wiązki przewodniej „Streakera”, umilkł na chwilę wystarczająco długą, aby coś sobie przypomnieć.

Przekleństwa się nie liczyły.

Potrafił kłąć nawet na Jijo. Nie potrzebował do tego ukradzionej części mózgu, podobnie jak do śpiewu czy rysunków.

Spróbował powiedzieć coś jeszcze – komentować przebieg wypełniającej niebo szczątkami bitwy albo wyrazić swój narastający strach – lecz bez powodzenia.

Jego myśli kłębiły się rozpaczliwie wewnątrz udreżonego mózgu w poszukiwaniu zdolności, która jeszcze przed chwilą wydawała mu się tak naturalna i oczywista. Posiadał ją przez całe życie, lecz potem złoczyńcy mu ją odebrali, by oddać mu ją tylko na krótką – zbyt krótką – chwilę.

To było tak, jakby próbował poruszać amputowaną kończyną. Widmowy obraz pozostawał na miejscu. Ciężki zamiar. Jego umysł wypełniały znaczenia, połączone z gotowością do działania, do formowania zdań. Do mowy.

Ale znowu odebrano mu jakiś kluczowy element. Wraz z nim Emerson utracił wszystko, co

pragnął i zamierzał powiedzieć Sarze. Albo Gillian.

Osunął się w fotelu zbudowanym dla znacznie większego pilota, istoty o wielkiej sile fizycznej, przedstawiciela gatunku szanowanego w całej Cywilizacji Pięciu Galaktyk. Ręce mężczyzny zsunęły się z wielkich instrumentów, podbródek opadł na pierś, a łzy przesłoniły oczy. Czuł się bezradny jak dziecko postawione w sytuacji, która je przerasta. Jak ciemny dzikus.

Do tej chwili Emerson sądził, że świetnie zna poczucie utraty. Teraz uświadomił sobie, że pod każdym dnem może się kryć następne.

GILLIAN

Porucznik Tsh't składała meldunek z mostka. Gdy uderzała ogonem, w natlenionej wodzie tworzyła się nawałnica bąbelków.

– Inżynier D'Anite powrócił na pokład. Czy z... znowu przyśpieszymy?

Gillian czuła, że niezdecydowanie opadło na nią niczym masywna bestia, drapiąc ją po barkach i ramionach.

– Czy nasze czujniki wykryły jakieś ślady statku Zangów?

Hologram Nissa wyraził niepokój nagłym zaciśnięciem swych linii.

– *Niewykluczone, że wodorodyszne jestestwa zostały zniszczone razem z całym statkiem. Ale nawet jeśli Zangowie są zajęci gdzie indziej, niektóre z walczących frakcji z pewnością połączą siły, aby uniemożliwić nam ucieczkę.*

– Nie znamy ich motywów. Nawet nie wiemy, ile stronnictw...

– *Analizując taktyczne regularności, naliczyłem co najmniej pięć różnych grup. Ich siły składają się głównie z robotów-sipajów, które odbierają polecenia z różnych części Fraktalnego Świata, pracując dla miejscowych sojuszy istot z Emerytowanej Kategorii.* – Niss przerwał na chwilę. – *Poprawka. Dostrzegam sześć różnych grup. Jedna z nich najwyraźniej zmierza do utorowania nam drogi ucieczki. Wygląda na to, że mamy sojuszników wśród walczących.*

– Poprzednim razem również na to wyglądało – zauważyła Gillian. – Czy ci pomocnicy są wystarczająco silni, by nas osłonić?

– *Wątpliwe. Krytyczna chwila nadejdzie, gdy będziemy mijali najwęższą część luki powstałej we Fraktalnym Świecie. Każda z grup będzie nas wówczas mogła zniszczyć za pomocą obronnych wiązek, które widzieliśmy przedtem.*

To nie była pocieszająca myśl. „Streaker” wleciał do ogromnego korytarza pełnego parujących szybko szczątków oraz migotliwych sztucznych komet. Ale tym razem błyski bitwy podążały za ziemskim gwiazdolotem, otaczając go ze wszystkich stron.

Gillian poleciła Kaa przemknąć tylko pół miliona kilometrów od wyszczerbionego brzegu ogromnej rany. Statek musiał omijać kikuty i złowrogie cienie kruchych tytanicznych wież.

– Jeśli będziemy tak blisko samej struktury, może dwa razy się zastanowią, zanim zaczną walić do nas z tych wielkich dział.

Nawet stąd widzieli niektóre z gigantycznych maszyn próbujących załatać rozdartą strukturę Criswella za pomocą sieci tkanych z rozwijanych z wielkich szpul nici węglowych. To były mechanizmy zupełnie innego rodzaju, rozumne i autonomiczne. Wynajęci robotnicy, nie niewolnicy.

Niemniej niektóre ze szpul sprawiały wrażenie niemal całkowicie pustych.

Zaczyna im brakować surowców – uświadomiła sobie Gillian.

– Jeśli tak dalej pójdzie, wszystkie ich wysiłki mogą spełznąć na niczym... zwłaszcza zakładając, że niektóre grupy Prastarych Istot będą kontynuowały walkę, zamiast im pomagać.

Za jej plecami rozległ się radosny delfini krzyk. Odwróciła się akurat na czas, by zobaczyć, jak do pokoju mapowego wchodzi Emerson D'Anite. Mężczyzna opuszczał głowę i ramiona w geście wyrażającym depresję.

– Proszę, oto nasz bohater... – zaczęła Gillian, ale Sara Koolhan przebiegła obok niej z piskiem radości i uściskała przyjaciela. Mała neoszympanśca, Prity, skakała wokół nich. Wkrótce Emersona otoczono ze wszystkich stron. Podekscytowane delfiny klekotały, a ich wędrowniki syczały i zgrzytały. Młodzi Jijanie – Alvin i jego przyjaciele – poklepywali inżyniera D'Anite po plecach,

ściskali jego dłoń i mówili mu, jaki jest wspaniały.

Nawet jeśli ich słowa były dlań niezrozumiałe, towarzysząca im aura aprobaty poprawiła nieco jego nastrój. Emerson uniósł wzrok i spojrział w oczy Gillian. Odwzajemniła jego niepewny uśmiech, ale w tej samej chwili odezwał się Niss.

– *Doktor Baskin, zbliżają się dwa nowe roje.*

– Kolejne roboty-sipaje? – zapytała, zwracając się w jego stronę.

– *Nie... i to właśnie mnie niepokoi. Nowi przybysze są znacznie potężniejszymi istotami, Gillian. To niezależni kontraktowi konstruktorzy. Autonomiczni członkowie Maszynowej Kategorii Życia.*

– Pokaż mi ich!

Nowi przybysze nadlatywali z przeciwnych stron w grupach złożonych z kilkunastu mechanizmów, jedną reprezentowało na ekranie skupisko czerwonych punktów, drugą zaś zielonych. Obie eskadry mknęły władczo przez strefę działań wojennych. Dowodem ich statusu był fakt, że żaden z walczących robotów nie odważył się do nich strzelać. Większość czmychała im pośpiesznie z drogi.

To nie wygląda dobrze – pomyślała Gillian, gdy jaskrawozielone iskry znalazły się w zasięgu wzroku. Przywódcy obu grup przypominali olbrzymie jeżowce, o długości niemal jednej dziesiątej kadłuba „Streakera”, choć większą część stanowiły długie odnóża, wijące się niespokojnie, gdy mechanizm zmierzał w kierunku ogona gwiazdolotu.

– *Spotkanie za t... trzydzieści sssekund* – dobiegł z mostka głos Tsh't. – *Czy mamy otworzyć ogień?*

– Nie! – zawołała Gillian. – Nikt dotąd nie skierował na nas wiązki cząstek albo energii. Nie zamierzam strzelać pierwsza. Najpierw przekonajmy się, czego chcą.

Pierwszy rój dotarł do rufy „Streakera”. Kilka wielkich kolczastych mechanoidów przytwierdziło się do kadłuba. Wkrótce między nimi pojawiło się jasne, migotliwe światło.

– *One rozpuszczają statek!* – zawołał Niss. – *Tempo usuwania materii przekroczyło trzydzieści ton na sekundę... i wciąż rośnie. Musimy je przepędzić!*

Tsh't skierowała laserową wieżyczkę na jedną z maszyn, ale Gillian rozkazała wstrzymać ogień.

– Nic nie rób, dopóki ci nie każę! Akeakemai, daj mi zbliżenie na maszyny unoszące się za tymi, które wylądowały na powierzchni statku!

Trudno było się przebić przez powstałą w krótkim czasie mgłę, Gillian miała jednak wrażenie, że dostrzega wielki cylinder. Coś w rodzaju obręczy.

– To szpula! Taka sama jak te, których używają do prac remontowych. – Odwróciła głowę. – Szybko. Podaj mi cechy widmowe usuwanego materiału. Czy to czysty węgiel?

Nastąpiła krótka przerwa.

– *Tak, to węgiel* – potwierdził wreszcie Niss przyciszonym głosem.

– Jak bardzo czysty?

– *Bardzo. Para nie zawiera ani śladu metalu z kadłuba „Streakera”. Skąd wiedziałaś?*

Gillian nadal miała wrażenie, że serce podchodzi jej do gardła, ale panika nieco już opadła.

– Tych wielkich mechanizmów nic nie obchodzi konflikty porywczych tlenodysznych form życia. Mają do wykonania robotę i zaczyna brakować im surowców. Stracili najlepsze źródło węgla, gdy Jijanie w jakiś sposób sprowokowali rozbłyski w atmosferze Izmunuti. Ale nasz kadłub pokrywają grube warstwy tego samego materiału, który zbierają ich żniwiarki. Brygady ich robotników z pewnością wyczuły, że przelatujemy w pobliżu, i postanowiły zebrać trochę materiału.

– *Potwierdzam* – odezwał się Niss. – *Posuwają się powoli wzdłuż kadłuba, a kolejne maszyny*

wciągają zamieniany przez nich w parę materiał i tkają z niego polikarbonowe nici. Sam kadłub pozostaje nietknięty.

Z maszynowni dobiegł radosny okrzyk Hannesa Suessiego, wyraźnie zachwyconego wiadomością, że maszyny usuwają powłokę, która od wielu miesięcy utrudniała mu życie.

– Przy tym tempie w mgnieniu oka pozbędziemy się kilku megaton – zauważył. – To znacznie zwiększy naszą manewrowość.

Drugi rój – oznaczony na ekranach jako czerwone punkciki – przybył na miejsce i do dziobu „Streakera” przywarły kolejne olbrzymie mechanizmy. Goście nie wykazywali zainteresowania obszarem otaczającym symbol przekreślonej spirali.

Gillian pokiwała głową.

– Pewnie zedrą teraz powłokę z obu końców. Módlmy się, żeby rzeczywiście nie naruszyli kadłuba. Jeśli szczęście się w końcu do nas uśmiechnęło, ich obecność może powstrzymać innych przed strzelaniem do nas, dopóki nie znajdziemy się w pobliżu punktu transferowego.

Niss zawirował w zamyśleniu.

– *Rzecz jasna, jest też inne niebezpieczeństwo. Jeśli konsensus i rządy prawa całkowicie załamały się w całym Fraktalnym Świecie, nic nie powstrzyma rozmaitych „emerytowanych” frakcji przed zawiadomieniem swych młodszych kuzynów za pomocą hiperfali albo kapsuły czasowej.*

– Innymi słowy, w każdej chwili możemy zobaczyć floty wojenne Soran, Jophurów albo Tandu. Rewelacja. – Westchnęła. – To kolejny powód, żeby zmiatać stąd jak...

Cętkowany, wirujący wzór powiększył się nagle niczym balon. To świadczyło o zaskoczeniu.

– *Coś się zmieniło* – oznajmił Niss. – *Grupa u dziobu... nie robi tego samego, co ta na rufie.*

Gillian postąpiła krok naprzód.

– Pokaż mi!

Na pierwszy rzut oka scena wyglądała podobnie. Kilka długonogich maszyn przywarło do pokrytego sadzą kadłuba „Streakera” i skierowało na czarną powierzchnię jasne promienie. Tym razem nie było jednak mlecznej pary wsysanej przez podobne do ust wloty. Nie było strumieni czarnych włókien wysuwających się z tyłu maszyn i zbieranych na gigantycznych szpulach. Z grubą pokrywą pozostałą po dwukrotnym przejściu gwiazdolotu przez atmosferę Izmunuti działało się coś dziwnego. Za wielkimi mechanizmami pojawiła się tęcza poświata, która gęstniała w miarę tego, jak posuwały się po spirali wzdłuż kadłuba.

Przez kilka minut nikt się nie odzywał. Zachowanie maszyn było całkowicie niespodziewane i niewytłumaczalne. Gillian nie miała pojęcia, jak zareagować.

– One... nie zdzierają węgla, tylko...

– *Przetwarzają go w coś innego* – zgodził się Niss.

Po chwili odezwał się Suessi. Obraz głównego inżyniera pojawił się na mniejszym ekranie. Choć głowa cyborga przerodziła się w lustrzaną kopułę, Gillian potrafiła odczytać język jego ciała. Miał jakąś teorię.

– Sadza produkowana przez Izmunuti... fazy osadzające się na naszym kadłubie składały się głównie z węgla, ale znaczną jego część stanowiły fullereny. Nie brakowało też form diamentu Penrose’a. Ten materiał ma wiele dziwnych właściwości. Przekonaliśmy się o tym na Jijo, kiedy próbowaliśmy go usunąć. Wszelkiego rodzaju śladowe zanieczyszczenia czynią go wysokotemperaturowym nadprzewodnikiem, a także zmieniają współczynnik tarcia...

– Hannes! – przerwała mu Gillian. – Do rzeczy.

Cyborg skinął srebrzystą głową.

– Sprawdziłem powierzchnię, którą zostawiają za sobą te nowe maszyny. Jest znacznie bardziej jednolita niż surowa gwiazdna sadza. Różne formy fullerenów mieszają się ze sobą na sposoby, jakich nigdy nie widziałem. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że własności, jakie obserwowaliśmy przedtem, nasilą się o wiele rzędów wielkości.

– Rewelacja – mruknął jeden z delfinów. – Teraz będzie jeszcze trudniej to zzzdrapać!

Gillian potrząsnęła głową.

– Ale co właściwie chcą osiągnąć? Zamknąć nas w środku?

Jeśli tak, mogli mieć jeszcze czas na ewakuację, gdyby załoga bezzwłocznie popędziła ku słuzom usytuowanym na rufie. Być może pierwsza grupa maszyn udzieliłaby im schronienia.

– Przednia wieżyczka laserowa ma otwartą linię ognia – oznajmiła Tsh't.

Gillian skinęła prawą dłonią, rozkazując na razie powstrzymać się od wszelkich działań.

Nagle odezwało się jedno z jijańskich dzieciaków, mała g'Keczka używająca imienia Huck. Była dobrym obserwatorem, ponieważ ruchome szypułki pozwalały jej patrzeć na cztery ekrany jednocześnie.

– O kurde – odezwała się. – Wygląda na to, że nasi nowi goście też zaczną walczyć ze sobą.

Wskazała na punkt, w którym można było zobaczyć, że maszyny wsparcia obu grup dryfowały powoli ku sobie. Iskrzyła między nimi ledwie powstrzymywana energia. Zbliżała się chwila starcia. Wiele mniejszych maszyn wycofywało się z tego obszaru.

Nasz statek stanie się dla nich polem bitwy. Gorzej już być nie może.

Gillian wiedziała jednak, że takie sformułowanie byłoby błędem. Lepiej nie kusić Ifni, bogini szczęścia, która zawsze ma w zanadrzu jakiś jeszcze straszliwszy pomysł.

Hologram Nissa nagle się zwinął. Głos maszyny był cichy i pełen rezygnacji.

– *Skierowano na nas instrumenty obserwacyjne z samego Fraktalnego Świata. Ci, którzy kontrolują potężne wiązki dezintegratorów, wymierzili je w naszą stronę. Wkrótce możemy podzielić los zniszczonych Zangów.*

– To groziłoby uszkodzeniem habitatu i to w miejscu, gdzie jest najbardziej narażony!

– *Najwyraźniej niektórzy uważają, że warto podjąć takie ryzyko, by nas zastraszyć. Albo chcą zniszczyć to, czego nie mogą zatrzymać.*

Gillian widziała już w akcji te niszczycielskie wiązki. W kilka sekund zamieniłyby „Streakera” w parę.

LARK

To były piekielne warunki, ale biolog mógł się tu czuć jak w niebie. Choć ciało Larka było uwięzione w śmierdzącej plastikowej torbie, jego umysł pośpiesznie przyswajał sobie kolejne lekcje, uwalniając się od zaściankowych opinii na temat szerokiej panoramy życia.

Biegle opanował nową formę komunikacji. Odbierał obrazy wsparte znaczeniami i skojarzeniami przekazywanymi przez przewód prosto do jego krwi. To był język hormonów i wpływających na nastrój peptydów. Komunikacja zachodziła przy tym w obie strony. Gdy tylko pojawił się coś nowego, nie musiał się odzywać ani nawet kiwać głową. Sam akt zrozumienia wpływał na metabolizm, powodując znajomy wpływ endorfin znamionujący satysfakcję. Obcy nauczyciel wykrywał to z łatwością. Podobnie jak dezorientacja albo frustracja prowadziły do szybkich zmian. Ucząca globula poprawiała swą prezentację, dopóki Lark nie uzmysłowił sobie, o co chodzi.

To była dziwnie aktywna postać biernej nauki.

Czy można by to uznać za rodzaj telepatii? – zastanawiał się.

Niemniej ta metoda nauczania była powolna i raczej prymitywna. Demonstracje przypominały przedstawienia kukielkowe. Część fizycznego ciała instruktora oddzielała się od reszty i unosiła się w pustej wakuoli, przybierając postać żywych modeli czy manekinów, odgrywających jakąś scenkę. Następnie te same obrazy prezentowano znacznie szybciej i wyraziściej za pomocą komputerowych ekranów, podobnych do tych, jakich Ling używała na Jijo i na pokładzie jophurskiego okrętu.

Ta metoda mogła nie być wydajna, ale Lark z czasem zrozumiał, dlaczego obcy ją wybrali.

To jedna z fundamentalnych różnic między wizjami wszechświata typowymi dla tlenodysznych i wodorodysznych.

Na pierwszy rzut oka oba królestwa wydawały się całkowicie odmienne. Choć obie biologie opierały się na cząsteczkach węgla, jedna wykorzystywała reaktywną chemię utleniających atmosfer, a woda w stanie ciekłym była dla niej niezastąpionym rozpuszczalnikiem. Ten rodzaj życia mógł powstać tylko w ściśle określonych warunkach temperatury i ciśnienia. Rozwijał się w wąskich warstewkach oceanu i powietrza, otaczających ziemiopodobne planety. Jeśli tlenowe życie chciało opuścić swe ciasne oazy, musiało zabierać ze sobą w kosmos panujące w nich wyjątkowe warunki.

„Redukujące” środowiska były znacznie pospolitsze. Spotykało się je na zimnych, olbrzymich planetach, jak Jowisz, Saturn czy Uran albo na księżycach takich jak Tytan, a nawet w rozległym, lodowym królestwie komet. Niektóre z tych światów zawierały mnóstwo wodoru, na innych spotykało się zaś metan, amoniak albo cyjan. Wszystkie jednak miały pewne cechy wspólne. Na przykład rozległe, gęste atmosfery o burzliwych warstwach konwekcyjnych, przypominających nieco kipiące atmosfery słońc. Życiodajne ciepło często płynęło do góry z gorącego jądra planety. Niektóre z nich w ogóle nie miały stałej powierzchni.

Z tego powodu większość wodorodysznych była mieszkańcami bezkresnego, burzliwego nieba. Góra i dół były kierunkami o wielkich wymiarach, niemal dorównującymi pozostałym, a przemieszczanie się w nich nie wymagało męczącego lotu, opierania się grawitacji za pomocą ruchomych skrzydeł, lecz prostej zmiany pływalności i unoszenia się w gęstych mgłach, gdzie panowało ciśnienie równie wysokie jak na dnie ziemskich oceanów.

W takim królestwie wielkie rozmiary były zaletą. Olbrzymie stworzenia unosiły się w atmosferze z ospałą gracją, cedząc ją w poszukiwaniu organicznego pokarmu. Tylko gigant potrafił się wydostać z potężnych prądów zstępujących i uniknąć zmiażdżenia przez panujące w głębinach ciśnienie. Niektóre wodorodyszne istoty wyrastały do tak ogromnych rozmiarów, że można je było

zobaczyć z przestrzeni kosmicznej. Przypominały tytaniczne chmury o ostro zarysowanych granicach.

Chemia organiczna – pomocnik projektanta – mogłaby na tym poprzestać, gdyby nie wtrącił się inny czynnik.

Krytyk.

Ewolucja.

Logika rozmnażania i przystosowania nieuchronnie zdominowała redukujące światy, podobnie jak utleniające, takie jak Ziemia... ale na inne sposoby.

Tlenowe życie potrzebowało ciekłej wody jako środowiska dla skomplikowanej, koloidowej chemii białek i aminokwasów. Niemniej nadmiar płynu rozcieńczyłby owe procesy, czyniąc je bezużytecznymi. Nawet w ciepłych morzach musiało to prowadzić do powstania ciasnych skupisk – komórek – o najmniejszych rozmiarach wystarczających dla powstania maszynierii życia. Na Ziemi przez dwa miliardy lat szczytem możliwości biologicznego życia było wypełnienie oceanów jednokomórkowymi organizmami, które pochłaniały światło słoneczne i pożerały się nawzajem, udoskonalając stopniowo swe molekularne procesy.

Aż wreszcie pewnego dnia jedna komórka pochłonęła drugą i pozwoliła jej żyć dalej. Prymitywny eukariot połknął niebieskozieloną algę i stał się dla niej domem, oferując bezpieczne schronienie w zamian za cukry produkowane drogą fotosyntezy. Ten akt współpracy zapewnił im przewagę w rywalizacji z innymi komórkami.

Nie była to jedyna taka spółka. Wkrótce komórki zaczęły łączyć się masowo. Tworzyły pary, grupy i konglomeraty, tymczasowe albo trwałe sojusze mające zapewnić im przewagę nad innymi zespołami. Skomplikowane organizmy osiągnęły sukces i tempo ewolucji wzrosło.

Niektórzy zwą to łańcuchem pokarmowym albo Tańcem Życia. Widziałem go w akcji na Jijo, w wielu różnych lokalnych środowiskach i ekosystemach. Rośliny posługują się fotosyntezą, by magazynować energię pod postacią węglowodanów. Roślinożercy zjadają rośliny. Drapieżniki polują na roślinożerców, a potem zamykają cykl, zwracając swą substancję do ziemi, kiedy się wyróżniają albo giną.

Wszystko to wygląda jak dobrze nastrojona maszyna, w której każda część jest zależna od pozostałych, nie brakuje jednak paradoksów. Wszystko, co na pierwszy rzut oka wygląda jak współpraca, opiera się na rywalizacji. A niemal każdy akt rywalizacji ma swój udział w większym, zdrowszym systemie, jakby współpraca od samego początku była nieunikniona.

Oczywiście, to było uproszczenie. Czasami równowaga zawodziła – z powodu zmian w środowisku, kiedy jakiś stanowiący element środowiska gatunek wyrwie się spod kontroli. Staje się wtedy czymś w rodzaju raka i wypiera sieć ekonomicznych zależności, która pozwoliła mu osiągnąć sukces.

Niemniej podstawowe zasady wyglądały tak samo na niemal wszystkich z milionów małych, płodnych światów. Zaczniemy od małych torebek wypełnionych bogatą w białka wodą. Pozwólmy im rywalizować na śmierć i życie. Po dłuższym czasie zaczną się wyłaniać coraz większe i coraz bardziej skomplikowane sojusze. Współdziałające ze sobą grupy składające się na narządy, ciała, stada, plemiona, narody, społeczeństwa planetarne... a wszystko to prowadziło do swarliwej, lecz zdumiewającej Cywilizacji Pięciu Galaktyk.

Niektóre elementy opowieści o wodorodowym życiu były podobne, ale jej fabuła miała inne zwroty akcji.

Na światach jowiszowego typu duże rozmiary pojawiały się na samym początku. Proste istoty o wielkich ciałach unosiły się na niebach tak obszernych, że mogłyby połknąć kilkadziesiąt światów takich

jak Jijo. Ewolucja sprawiała, że te istoty również stawały się coraz doskonalsze, choć w niższych temperaturach działało się to wolniej. W rzeczywistości przyczyną zmian nie zawsze było rozmnażanie i dziedziczenie. Częściej zdarzało się, że jakiś fragment ogromnego, unoszącego się w atmosferze stworzenia odkrywał nową chemiczną sztuczkę albo nowy sposób zachowania. Fragment ten zaczynał się wówczas rozprzestrzeniać, pochłaniając sąsiadujące z nią ciało i stopniowo opanowywał całe jestestwo.

Śmierć nadal pozostawała elementem całego procesu, ale nie była to taka sama śmierć jak na Ziemi.

Dla nas umieranie jest kwantytatywnym wydarzeniem. Osobnikowi udaje się pozostawić po sobie potomstwo albo nie, ale tak czy inaczej kres indywidualnego życia zawsze nam zagraża i prędzej czy później następuje, bez względu na wszelkie wysiłki lub innowacje.

Ale dla wodorodysznych wszystko jest zamazane, kwalitatywne. Gdy nie ma ściśle wytyczonych granic, śmierć ma względny charakter. Jeśli transformacja zachodzi powoli i płynnie, nie budzi strachu silniejszego niż we mnie strzyżenie włosów.

Zamiast budować większe struktury z maleńkich komórek drogą trudnej współpracy, formy życia na światach jowiszowych od samego początku miały wielkie rozmiary. Nie wszystko obracało się tam wokół współpracy i rywalizacji. Pojęcia „ja” i „nie ja” były znane, ale owo rozróżnienie nie było tak ważne jak dla tlenodysznych.

W takim razie jak się organizujecie? – pomyślał w pewnej chwili dręczony frustracją Lark. – Jak rozpoznajecie obiekty, cele, przeciwników albo idee?

Nauczyciel nie potrafił czytać w jego myślach ani postrzegać zadawanych przez Larka pytań jako odrębnych zdań. Mimo to najwyraźniej do krwi wnikała jakaś postać znaczenia, produkowana przez mózg zadającego pytanie człowieka. Ten proces był wolniejszy i mniej wydajny niż mowa, wymagał wielu powtórzeń. Lark jednak nigdzie się nie wybierał.

Wewnątrz wakuoli unosiły się oddzielone od głównego ciała istoty obiekty. Pulsowały przez chwilę w pustej przestrzeni, a potem łączyły się ze sobą, wymieniały fragmenty bądź też wracały do źródła. Lark przez dłuższy czas obserwował owe małe formy, które przybierały różne subtelne kształty, by udzielić mu odpowiedzi, aż wreszcie nagle pojawiła się głęboką prawdę kryjącą się za tym wszystkim.

Te małe podjaźnie to...

Do jego uda wnikała pulsująca fala, docierając do tułowia. Owo wrażenie nie przypominało żadnego z poprzednich. Lark w jednej chwili uświadomił sobie, że podano mu nazwę.

Nie mógłby jej powtórzyć na głos w żadnym języku ani nawet w myślach, przetłumaczył ją więc najlepiej jak potrafił.

Delegaci.

W swym macierzystym środowisku wodorodyszne jestestwa nie szukały nauki albo spełnienia na zewnątrz. Jeśli jedna olbrzymia bestia spotkała drugą, mogło się to skończyć walką, polowaniem albo pokojowymi stosunkami, ale szanse trwałej bliskości były niewielkie. Potężne wiatry jowiszowego nieba szybko rozdzielały wszystkich znajomych. Ponowna wizyta albo umówione spotkanie były niemal niemożliwe.

Jednakże wzrost wymaga wyzwań. Dlatego w poszukiwaniu konwersacji, oceny lub zrozumienia wodorodyszni zwracali się do wewnątrz.

Otoczone potężnymi błonami jądro istoty wodorodysznej w stanie natury było oazą spokoju pośród wielkich jak całe planety sztormów. Można było bez przeszkód tworzyć w nich osłonięte komory, małe przedziały unoszące się swobodnie przez pewien czas, by kontaktować się z innymi na

niezliczone sposoby. Podobnie jak ludzkie myśli albo fantazje owi delegaci mogli się łączyć w grupy, rozmawiać albo ścierać się ze sobą, testując niezliczone scenariusze dla dobra większej całości.

Symulacje.

Lark wbił wzrok w unoszącą się tuż za jego błoniastym więzieniem globulę. Wydawała mu się dotąd autonomiczną istotą, teraz jednak wiedział, że to tylko „delegat” czegoś większego – być może ogromnego statkowego jestestwa, które poświęciło się, pozwoliło, aby zniszczył je ogień Jophurów, żeby jego fragment mógł wnikać do wnętrza statku.

Przypomniawszy sobie nagle coś, o czym kiedyś czytał w jednym z rzadkich na Jijo tekstów dotyczących galaktoksenologii. Chodziło o typ wodorodysznych istot zwany Zangami.

Ich największą pasją są symulacje świata... wszechświata... ale nie za pomocą matematyki czy komputerów. Oni tworzą żywe repliki, modele, imitacje wewnątrz własnych ciał.

Na pewien dziwny sposób wydawało mu się to znajome.

To tak, jak ludzie badają to, co może przynieść przyszłość, używając wyobraźni.

Było też jednak coś więcej.

Zaczynamy życie jako małe torebki z wodą – komórki – i musimy posuwać się w górę, podnosić się sami za włosy w wielkim tańcu współpracy i rywalizacji, tworzyć koalicje i społeczeństwa, stopniowo stawać się stworzeniami zdolnymi do kierowania tym procesem za pomocą Wspomagania. Bez względu na wszystkie swe wady nasza galaktyczna cywilizacja stanowi kulminację tego procesu.

Z wielu... jedno.

Wodorodyszni robią to inaczej. Na początku mają wielkie rozmiary, ale samotność zmusza ich do dzielenia się, do szukania różnorodności wewnątrz.

Z jednego... wiele.

Od tej myśli Larkowi zakręciło się w głowie z radości. Ujrzenie zarówno różnic, jak i podobieństw dwóch całkowicie odmiennych królestw życia było darem, jakiego nigdy sobie nawet nie wyobrażał. Oczekiwanie go albo proszenie o niego wykraczało poza jego możliwości.

Pragnął podzielić się tym darem z Ling, opowiedzieć jej wszystko i poznać jej pełne zachwytu opinie.

Smutek zalał go falą równie intensywną co przyjemność, która nadeszła przedtem. Oba uczucia zmieszały się ze sobą, tworząc miksturę, która wypełniła mu żyły, gnana tłukącym mocno sercem. Po paru chwilach dotarła do przewodu w jego nodze, a potem...

Unoszący się obok Larka nauczyciel szarpnął się gwałtownie. Globula zadrżała, jakby kontemplowała związki chemiczne wyprodukowane przez ciało Larka podczas objawienia, gdy wszystko stało się jasne.

W cebulowatym ciele pojawiła się co najmniej setka maleńkich wakuoli. Wewnątrz każdej z nich eksplodowały chmury niemal mikroskopijnych żyłatek. Wszystkie gorączkowo łączyły się ze sobą, oddziaływały na siebie, obijały się o siebie i dzieliły. Lark gapił się na to zafascynowany. Na własne oczy widział, jak „myśli” Zang. Był to skomplikowany i oszałamiająco szybki proces.

Musujące ruchy ustały równie raptownie, jak się zaczęły. Małe wakuole zapadły się, a mikroskopijnych subdelegatów z powrotem wchłonęło główne ciało. Nauczyciel znowu zapulsował...

Lark poczuł, że do jego nogi wnikała kolejna fala bodźców. Ciepłe wrażenie szybko ogarnęło wnętrze i tętnice. Ta postać komunikacji była tak intymna, że wykraczała poza wszelkie pojęcia wstydu. Po prostu istniała.

To było uznanie.

Tak przynajmniej Lark zinterpretował tę cząsteczkową falę. Miał nadzieję, że się nie łudzi.

Uznanie jest mile widziane.

I odwzajemnione.

Po krótkiej chwili utracił świadomość. Nagła fala senności powiedziała mu, że jego gospodarz pragnie, by zasnął. Lark spełnił jego życzenie.

Świadomość powróciła niemal równie szybko. Nie miał pojęcia, ile czasu minęło, wiedział tylko, że przeniesiono go w inne miejsce.

Nie znajdował się już w obszernej komorze, pełnej innych jeńców oraz z pewnością toksycznych oparów. Jego przezroczysty kokon przetransportowano do znacznie mniejszego pomieszczenia. Zauważył też inne zmiany.

Otoczające go błony skurczyły się, spowijając jego ciało na podobieństwo workowatego ubrania. Lark zorientował się, że stoi. Być może nawet zaprowadzili go tu na piechotę, kierując jego ciałem jak marionetką. To była nieprzyjemna myśl, ale możliwość rozprostowania ciała, przez tak długi czas zgiętego w pozycji płodowej, wynagradzała mu to z nawiązką.

Nadal nie mógł oddychać, a przy życiu utrzymywał go wprowadzony do uda cewnik, ale wyraźniej widział otoczenie i wrażenie bliskiego zimna nie było już tak bardzo silne.

Poruszył ostrożnie nogami, by się odwrócić.

W pobliżu unosił się jeden z Zangów, choć Lark nie potrafił określić, czy to jego dawny nauczyciel. Zapewne nie. Ta istota przypominała globulę-wojownika, spotkaną przez niego w korytarzach „Polkjhy”, istotę, która przebiła się przez ścianę, przestraszyła Ranna i pojmała Larka. Po bliższych oględzinach można było zauważyć przystosowania pozwalające wodorodysznym wysłannikom przetrwać w toksycznym środowisku tlenowym. Stworzenie otaczały grube, połyskliwe warstwy ochronne, zachowywało też kulisty kształt w celu zminimalizowania kontaktu z otoczeniem.

To znaczy, że obaj nosimy kombinezony. Jesteśmy przygotowani, by spotkać się w połowie drogi. Tyle że ja jestem nadal podłączony do pępowiny, a wy możecie mnie wyłączyć jak światło, kiedy tylko zechcecie.

Lark spojrział za Zanga i zauważył coś, co do tej pory umknęło jego uwadze.

Okno wychodzące na zewnątrz!

Podszedł do niego, uważając, aby się nie potknąć. Gorąco pragnął zobaczyć gwiazdy. Ujrzeć kosmos po raz pierwszy od chwili, gdy razem z Ling zostali uwięzieni na startującym z Jijo statku Jophurów.

Zamiast obcych gwiazdozbiorów przed jego oczyma pojawiło się jednak coś nieporównanie dziwniejszego – unoszący się w czarnej pustce obiekt przypominający kolczasty anemon żywopłotowy, jakie można było znaleźć pod kamieniem na górskich łąkach Jijo. Obiekt robił jednak wrażenie niewiarygodnie olbrzymiego. Larkowi wydawało się, że kolczasty twór może być równie wielki jak Jijo... albo jeszcze większy.

Po krótkiej chwili zauważył coś jeszcze. Mroczny obiekt był uszkodzony. Widział iskierki, mrugające w słabym, czerwonym świetle wydostającym się na zewnątrz przez wyszczerbiony otwór w sferze.

„Polkjhy” najwyraźniej kierował się właśnie ku owej ogromnej dziurze, i to z wielką prędkością.

Wcześniej Zang zdawał się twierdzić, że nie udało im się przejąć kontroli nad statkiem. Być może za bardzo rozciągnęli siły. Symulowane mapy sugerowały, że Jophurzy nadal panują nad maszynownią, systemami broni oraz podtrzymywania życia.

Być może śpieszą się do miejsca, gdzie znajdą pomoc w uwolnienia okrętu od szkodników, takich jak Zangowie... i ja.

A może uważają, że tu właśnie znajdą „zwierzynę”, o której wspominał Rann. Ziemiński gwiazdolit, którego wszyscy szukają.

Lark odwrócił głowę i spojrzał na globulę-wojownika. Czy mieli jakiś cel, przynosząc go tutaj i pokazując mu tę scenę? Może Zangowie domyślili się, że Lark nie jest przyjacielem Jophurów. Może chcieli zawrzeć z nim sojusz. Chętnie się na to zgodzi... pod jednym warunkiem.

Musicie mi pomóc odnaleźć i uwolnić Ling. A potem dajcie nam szalupę lub znajdźcie inny sposób, który pozwoli nam odlecieć stąd na Jijo albo w jakieś inne miejsce.

Jeśli się zgodzicie, stanę się waszym psem gończym i wywęszę dla was swych pobratymców.

Rzecz jasna, zdawał sobie sprawę z ironii zawartej w tych myślach. Mógł uważać Jophurów za swych pobratymców jedynie w porównaniu z wodorodysznyimi. Ten sarkazm był jednak zapewne zdecydowanie zbyt subtelny, by Zangowie mogli go odczytać ze składu chemicznego jego krwi.

Jeśli mamy połączyć swe siły, będziemy potrzebować znacznie lepszej metody porozumiewania się.

Obserwował uważnie globulę, wypatrując oznak odpowiedzi czy choćby zrozumienia. Przez kilka chwil nic się nie działo, potem Zang podskoczył z nagłego podniecenia i zaskoczenia. Przez cewnik do ciała Larka dotarły fale nerwowej ekscytacji.

Co to? Co się dzieje?

Obrócił się błyskawicznie wkoło, poszukując powodu. Potem znowu wyjrzał przez okno.

Och, Ifni...

Okręt liniowy bardzo się już zbliżył do wielkiej pofałdowanej kuli, wyraźnie zmierzając w stronę otworu w jej powierzchni. Mężczyzna natychmiast zauważył, że sfera jest pusta w środku, a w jej centrum gorzej mały, okrągły płomień. Nie miał pojęcia, co sądzić o tej scenie ani czym może być ów ogień. Tak czy inaczej, jego uwagę szybko przyciągnęło coś innego.

Wzdłuż jednego brzegu ogromnej dziury widać było rozbłyski eksplozji. Kilka potężnych piór czy kolców odłamało się na oczach Larka i odpływało powoli, rozpadając się na fragmenty. Otwór powiększał się z każdą chwilą.

Główną przyczyną zniszczeń były igły jaskrawego światła, generowane gdzieś wewnątrz olbrzymiej sfery. Kilkanaście promieni skupiało się na pojedynczej plamce widocznej w pobliżu brzegu gigantycznej rany, tworząc oślepiająco jasny punkt. To właśnie odbite od niego promienie powodowały najwięcej zniszczeń w pobliskiej sferze.

Iskierka manewrowała, niekiedy wymykając się snopom i zmuszając je do pościgu. Szybko zmierzała w stronę wyrwy. Gdy tylko dościgała ją jedna z wiązek, rozjarzała się tak jasno, że Lark musiał mrugać i odwracać wzrok.

Co tu się dzieje? Co właściwie widzę?

Znowu poczuł się jak ciemny dzikus. Mądrość była blisko, Zangowie z pewnością pojmowali, co znaczą te niezwykle widoki. Niestety, zrozumienie nawet najprostszych aspektów z pewnością wymagałoby kilku midur cierpliwego oglądania przedstawień kukielkowych.

Podłogą pod stopami Larka wstrząsnęła nagła wibracja. Dowódcy „Polkjhy” próbowali coś zrobić.

Lark rozpoznał drażniący rytm pokładowej artylerii.

Po chwili od okrętu oddaliły się dwie garści błyszczących obiektów. Wszystkie zakreśliły łuk i pomknęły z fantastyczną prędkością ku uszkodzonej kolczastej sferze.

Czy to pociski?

Lark przypomniał sobie, jak Jijańska Wspólnota zaskoczyła Jophurów, atakując ich okręt za pomocą prymitywnych chemicznych rakiet. Odnosił wrażenie, że te świecące strzały są nieporównanie groźniejsze.

W pierwszej chwili sądził, że Jophurzy przyłączyli się do ataku na jasną plamkę, ale ich pociski przemknęły obok niej, zmierzając wzdłuż okrutnych wiązek ku ich źródłu.

Przez ciało Larka przepłynął kolejny strumień naładowanych emocjonalnie znaczeń. Tym razem łatwo mu było zinterpretować krytyczny komentarz Zanga.

Pochopne.

Nierozsądne.

Daremne.

Jego nauczycielom nie podobały się poczynania Jophurów, ale nie mogli już nic w tej sprawie zrobić. Pociski zdążyły zniknąć w ogromnym wnętrzu.

Nie mając nic lepszego do roboty, Lark patrzył i czekał, denerwując się.

Po paru chwilach jaskrawe wiązki zaczęły znikać jedna po drugiej.

Ich cel, nadal świecący jasno, pomknął ku otwartej przestrzeni. „Polkjhy” popędził mu na spotkanie.

EWASX

SPOKÓJ, MOJE PIERŚCIENIE.

Kultywujcie pokojowe refleksje. Nalegam.

Pogłaszczcie wosk.

Szanujcie mądrość naszego kapitana-dowódcy.

TO PRAWDA, że ten czcigodny stos nie był ostatnio sobą. Niektóre z wchodzących w jego skład pierścieni odniosły rany, gdy ludzkie szkodniki wtargnęły do naszego centrum dowodzenia w celu dokonania podstępnego sabotażu za pomocą prymitywnej bomby.

TO PRAWDA, że zakrojone na znacznie większą skalę wtargnięcie wyparło naszą dumną załogę z kilku poziomów, zmuszając nas do oddania części naszego drogiego „Polkjhy” pladze Zangów i poddania go kwarantannie.

TO PRAWDA, że z pierścieni dowodzenia naszego kapitana biją ostatnio opary o osobliwych zapachach i aromatach, co spowodowało, że kilka stosów kapłańskich wypuściło z siebie nieprawomyślną parę, prowokując załogę do produkowania buntowniczych woni.

NIEMNIEJ, bądźcie pewne, że Ja/my dochowam wierności naszemu dowódcy. W końcu, czyż tego stosu niedobrych pierścieni nie zmontowano w celu eksperymentu zaplanowanego i kierowanego przez naszego kapitana-dowódcę? Jeśli przewodnictwo przejmie ktoś inny, będzie mógł rozkazać natychmiast rozebrać nas/Mnie na części zamienne!

MOJE PIERŚCIENIE, NIEKTÓRE Z WAS NIE OKAZUJĄ NALEŻYTEGO OBURZENIA NA TĘ MYŚL.

Dlatego jako wasz ukochany torus władzy muszę wam przypomnieć (za pomocą elektrycznych impulsów bólu/sympatii), że Jophur nie jest złożoną istotą tego samego rodzaju, jaką byliście na Jijo, gdy składaliście się na traeckiego mędrca, Asxa.

My/wy/ja jesteśmy teraz czymś znacznie wspanialszym.

Od czasu ingerencji łaskawych Oalie, którzy wydobyli nasz gatunek z ospałego braku asertywności, klan Jophurów zdobywał coraz więcej władzy i znaczenia pośród pełnych wigoru, rywalizujących ze sobą gatunków Cywilizacji Pięciu Galaktyk. To nie jest przeznaczenie, którego można się łatwo wyrzec, zwłaszcza że znaki i proroctwa wskazują, iż nadchodzi Czas Zmian. Z każdą upływającą jadurą coraz oczywistsze staje się, że fortuna może się odmienić, dając nam znaki/wskazówki/współrzędne/relikty przewożone przez statek dzikich delfinów.

DLATEGO JA/MY ZGADZAM SIĘ Z DECYZJĄ KAPITANA-DOWÓDCY, KTÓRY POSTANOWIŁ INTERWENIOWAĆ!

Niech najstarszy stos kapłański bredzi sobie o prawie i przyzwoitości. Czy powinniśmy biernie pozwolić, by spalono ziemski gwiazdolit? Po wszystkim, przez co przeszliśmy, po pościgu przez rozległe przestwory i pięć poziomów hiperprzestrzeni, gdy wreszcie ujrzeliśmy zwierzyne/łup, mielibyśmy dopuścić, aby spanikowane istoty z Emerytowanej Kategorii zniszczyły największy skarb w znanym kosmosie?

TO PRAWDA, że tu, w Czwartej Galaktyce, nie mamy żadnych formalnych uprawnień. Nikt nie udzielił nam pozwolenia na strzelanie do celów znajdujących się we fraktalnym azylu. Ale to ich wina! To oni zmusili nas do działania! Ziemski gwiazdolit wraz ze swą zawartością wchodzi w zakres prawowitych zainteresowań naszej kategorii życia. Spadkobierców Przodków nadal krążących po gwiazdnych szlakach. Emerycy powinni się zajmować własnymi sprawami, pograżać się w

głębokiej kontemplacji i studiować skomplikowane dzieła filozofów, by przygotować swe linie genetyczne do transcendencji, a nie wtrącać się w sprawy, które nie powinny już ich obchodzić!

Nasze nadświetlne pociski jeden po drugim uderzają w cele na wewnętrznej powierzchni sfery... i jedna po drugiej wiązki dezintegratorów gasną.

SPÓJRZCIE! Oto zniknęła ostatnia, a statek Terran nadal posuwa się naprzód, napędzany własnymi silnikami.

Sukces!

Przestraszone dzikusy pędzą z maksymalną prędkością do punktu transferowego, licząc na to, że umkną z pułapki i dotrą do jakiegoś nieznanego azylu. Ich nadzieje spełzną na niczym.

Jesteśmy tu, gotowi do ataku.

(Ale jak to możliwe?)

Nasz drugi stos poznawczy zadaje to pytanie, emitując parę ciekawości.

(Doprawdy, Ja/my bardzo się cieszę, że Ziemianie zdołali przetrwać atak straszliwych, niszczycielskich wiązek. Ale jak do tego doszło? Czy nie powinni zamienić się w parę, gdy tylko dotknęły ich bezlitosne promienie?)

To samo pytanie zadają sobie stłumionym tonem jophurskie stopy odpowiedzialne za ocenę sytuacji taktycznej. Na emitującej światło powierzchni pierścieni pojawiają się pastelowe barwy niespokojnego zatroskania, a nad całą tą częścią centrum dowodzenia unosi się mgiełka obaw. Wyspecjalizowane torusy przegrzewają się, kontaktując się z komputerami, aby rozstrzygnąć ów dylemat.

Jak to możliwe, że ziemski gwiazdolot przetrwał tak gwałtowny atak?

Czy to kolejna sztuczka podstępnych dzikusów?

A może nadal ochraniają ich wścibscy Zangowie, gwałcąc w ten sposób podstawową zasadę głoszącą, że wszystkie kategorie życia powinny się zajmować własnymi sprawami?

Czy wodorodyszni naprawdę są skłonni/gotowi zaryzykować Armagedon w imię spraw, których nie pojmują i które ich nie obchodzą?

Najstarszy stos kapłański ośmiela się rzucić kapitanowi-dowódcy otwarte wyzwanie. Owa znamienita/święta złożona istota podchodzi bliżej na pierścieniu nogowym i zatacza szczytem oracyjnym krąg sprawiedliwego oskarżenia.

– TEGO NIE MOŻNA ZAAKCEPTOWAĆ! WYSTRZELIWUJĄC OWE POCISKI, TY/MY Z PEWNOŚCIĄ UTRACILIŚMY WSZELKICH SYMPATYKÓW, JAKICH MÓGŁ MIEĆ W TEJ KOLONII EMERYTÓW NASZ GATUNEK, KLAN I SOJUSZ!

Kapitan-dowódca, być może wyczuwając, że sytuacja jest niepewna, odpowiada w spokojniejszych tonach, wypuszczając z siebie słodkie aromaty pewności siebie.

– **REPERKUSJE BĘDĄ NIELICZNE. PRAWNIE WINA NIE LEŻY PO NASZEJ STRONIE, PONIEWAŻ CI, KTÓRZY EMITOWALI WIĄZKI Z PEWNOŚCIĄ ZŁAMALI ZASADY OBOWIĄZUJĄCE ICH KATEGORIĘ ŻYCIA. NASZYM CELEM BYŁO URATOWANIE SKARBU, KTÓREGO POSZUKUJE CAŁA TLENODYSZNA CYWILIZACJA.**

Wiele stosów spośród załogi wydaje z siebie zapachy potwierdzenia, ale kapłan nie ma zamiaru dać się udobruchać.

– **NIELICZNE? W MIEJSCACH, GDZIE SPADŁY NASZE POCISKI, HABITATEM WSTRZĄSAJĄ EKSPLOZJE! ZAGROŻONA JEST CAŁA OGROMNA STRUKTURA!**

Nie sposób zaprzeczyć, że sprawa jest poważna. Można się spodziewać pozwów, a sprawy sądowe będą się ciągnęły przez tysiące bądź nawet miliony lat. Niemniej z naszego wspaniałego dowódcy buchają kojące aromaty pewności siebie.

– SPOŁECZNĄ I FIZYCZNĄ TKANKĘ HABITATU ROZDARŁA JUŻ SAMA OBECNOŚĆ PATOGENNYCH TERRAN. SŁUCHAJCIE, WSZYSTKIE STOSY: NASZA POKŁADOWA BIBLIOTEKA UZYSKAŁA DANE O POPULACJI MAKROHABITATU. ZWRÓĆCIE UWAGĘ, ŻE WIĘKSZOŚĆ MIESZKAŃCÓW JUŻ GO OPUŚCIŁA! NIEKTÓRZY UCIEKLI DO INNYCH DOMÓW DLA EMERYTOWANYCH ISTOT, POŁOŻONYCH DALEJ OD NIEBEZPIECZNYCH FAL NAMIĘTNOŚCI MŁODSZYCH GATUNKÓW. INNI POSTANOWILI PORZUCIĆ STAN EMERYTÓW I WRÓCIĆ DO NASZEJ KATEGORII ŻYCIA! ZACZĘLI JUŻ SZUKAĆ WSPARCIA DAWNYCH PODOPIECZNYCH, BY PONOWNIE SIĘ WŁĄCZYĆ W BURZLIWY NURT ŻYCIA CYWILIZACJI PIĘCIU GALAKTYK. TRZECIA GRUPA UCHODźCÓW POSTANOWIŁA RUSZYĆ DALEJ I PRZED TERMINEM SKIEROWAĆ SIĘ KU TRANSCENDENTNYM KRÓLESTWOM.

Zapadła pełna bojaźni cisza. Nawet w tym stosie – pośród naszych/moich pierścieni – na chwilę zapanowała zgodność ducha. Od torusa władzy aż po najnędrniejszą tłuszczową pozostałość dawnego Asxa wszyscy zgadzają się co do jednego – to wielki przywilej dla mnie/nas/was, że możemy żyć w takich czasach. Uczestniczyć w podobnych cudach.

Widzieć/obserwować/poznać wydarzenia, które w przyszłych erach staną się legendą.

Nasz kapitan-dowódca mówi dalej.

– TEN HABITAT JEST JAK PUSTA SKORUPA JAJA OUIUTA – MNIEJ WAŻNY, NIŻ MOGŁOBY SIĘ ZDAWAĆ. W JEGO UDREĆZONYCH STRUKTURACH ZOSTAŁO ZALEDWIE KILKA BILIONÓW MIESZKAŃCÓW. DLATEGO NIE BĘDIEMY SIĘ WIĘCEJ PRZEJMOWAĆ JEGO LOSEM. WSZELKIE MOŻLIWE REPARACJE Z ŁATWOŚCIĄ SPŁACIMY Z NAGRODY, JAKĄ OTRZYMAMY, GDY ZIEMSKI GWIAZDOŁOT BEZPIECZNIE SPOWIJE JOPHURSKI WOSK!

Stronnicy kapitana-dowódcy popierają go entuzjastycznie, emitując chmury radosnych zapachów. Mimo to nasz/mój wkład do aplauzu wydaje się słaby i pozbawiony przekonania. Pierścienie, niektóre z was, delikatne i współczujące jak traeki, pograżają się w ponurych rozmyślaniach o pechowym losie, jaki spotka te „zaledwie kilka bilionów”.

Kapłański stos nieustępliwie wysuwa dalsze oskarżenia.

– CÓŻ ZA GŁUPOTA! CZY ZAPOMNIAŁEŚ O NASZYCH TRUDNOŚCIACH? SPODZIEWALIŚMY SIĘ/WIERZYLIŚMY, ŻE ZNAJDZIEMY TU POMOC W UWOLNIENIU NASZEGO DROGIEGO „POLKJHY” OD LUDZKO-ZANGOWSKIEJ INFEKCJI. TERAZ NIKT NIE ZGODZI SIĘ NAM POMÓC ZA ŻADNĄ CENĘ!

Nasz kapitan-dowódca syczy, prostując się na pełną wysokość, najwyraźniej tracąc zarówno cierpliwość, jak i panowanie nad sobą. Podwładni kulą się trwożnie.

– TA SYTUACJA JEST POD KONTROLĄ. ZANGOWSKIE SZKODNIKI IZOLOWANO. DOPÓKI KWARANTANNA SIĘ UTRZYMUJE, ABSOLUTNYM PRIORYTETEM POZOSTAJE POJMANIE ZIEMSKIEGO GWIAZDOŁOTU!

Innym mogło to zaimponować, ale stos kapłański nie da się zastraszyć krzykiem ani fizycznymi gestami. Szacowny stos pierścieni podchodzi jeszcze bliżej.

– A CO Z KOMUNIKACJĄ? MIELIŚMY NADZIEJĘ SKORZYSTAĆ Z MIEJSCOWYCH

PRZEKAŹNIKÓW HIPERPOCZTY, BY NAWIĄZAĆ KONTAKT Z NASZYM KLANEM/SOJUSZEM. A TERAZ WSZYSTKIE TE URZĄDZENIA ZNISZCZONO. JAK ZAWIADOMIMY ZWIERZCHNIKÓW O NOWYCH ODKRYCIACH/SZANSACH, NA JAKIE NATRAFILIŚMY NA JIJO? JAK POPROSIMY O POMOC W DALSZYM POŚCIGU ZA ZIEMIANAMI?

Podwładne stopy pierścieni pierzchają trwożnie od tej konfrontacji między dwoma wysokimi, szlachetnymi stosami, które stoją już tak blisko siebie, że stykają się pięknymi, grubymi torusami. Wokół nich ścierają się ze sobą gęste, wymuszające posłuch aromaty, zbijające z tropu pomniejszych Jophurów, do których docierają powiewy. Obaj wielcy władcy wyciągają się w górę, próbując zastraszyć przeciwnika.

Ja/my widzę ich bardzo dobrze z dogodnego punktu tuż za nimi w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara. Zauważam, że kapitan-dowódca sięga witkoreką po ukrytą broń. Naszym tłuszczowym rdzeniem wstrząsają nerwowe drżenia.

MOJE PIERŚCIENIE, CZY WYSTRZELI?

Coś nagle przerywa tę pełną napięcia scenę. Słowa-glify głównego oficera taktycznego przebijają się przez gryzący odór niczym lodowaty powiew, przypominając wszystkim o naszym celu.

– Ziemski gwiazdolot za chwilę znajdzie się w zasięgu! Wkrótce przeleci obok nas, zmierzając do węzła transferowego. Szanse przechwycenia osiągną punkt szczytowy za dziewięćdziesiąt dur.

Nasi wielcy władcy cofają się od krawędzi przepaści jak dwa antagonistyczne wulkany, które na razie postanowiły nie wybuchnąć. Ich stopy kurczą się i przestają produkować ohydne opary.

Pewnych rzeczy nie trzeba mówić na głos. Jeśli osiągniemy teraz sukces, naszej załogi oraz dowództwa nie ominą żadne możliwe nagrody. I wybaczy im się wszystko.

Instrumenty informują, że okoliczną przestrzeń wypełniają odłamki gigantycznej katastrofy. Widzimy też niezliczone statki, opuszczające habitat emerytowanych istot i mknące ku miejscowemu punktowi transferowemu.

Z uwagą wypatrujemy wśród tych obrazów możliwych zagrożeń – okrętów albo innych jestestw, które mogłyby się wtrącić, jak zrobili to Zangowie poprzednim razem, gdy wyglądało na to, że Ziemianie znaleźli się w naszym zasięgu. Poddajemy każdy statek oględzinom, ale tym razem nie ma wśród nich takich, które byłyby w zasięgu czy reprezentowałyby klasę wystarczająco silną, aby nam przeszkodzić.

Co więcej, dzikusy nie próbują się ukrywać wśród uchodźców, używać ich jako celów pozornych. Ta sztuczka nie może się tu udać/powieść, inaczej niż na Jijo, ponieważ nie spuszcza my ich z oczu od chwili zgaśnięcia wiązek dezintegratorów. Najwyraźniej oni również o tym wiedzą, gdyż ich jedynym priorytetem jest szybkość. Chcą nas prześcignąć. Znaleźć schronienie w węzłach linii świata punktu transferowego.

Ale żeby tam dotrzeć, muszą przelecieć obok nas. Logicznie rzecz biorąc, niewiele przemawia na ich korzyść.

Ale – (wskazuje drugi nasz/mój pierścień poznawczy) – dzikusy i ich podopieczni wymykają się pościgowi już od trzech lat. Zawsze mają w zanadru diabelskie sztuczki godne Tymbrimczyków i pokrzyżowali szyki wszystkim wielkim sojuszom wojskowym. A teraz docierają do nas pogłoski, że tu i ówdzie w Pięciu Galaktykach budzą się ospałe siły umiarkowania. Jeśli to się zdarzy – jeśli Ziemianom nadal będzie się udawało przeciągać sprawę, nie sposób przewidzieć, co zrobią pargi i inni siedzący okrakiem na barykadzie tchórze!

Tak, moje pierścienie. Nasz wosk wypełniają niepokoje i troski. Ale czyż wszystko to nie przyniesie nam jeszcze większej chwały, gdy Jophurom uda się tam, gdzie wszyscy inni przegrali?!

„Polkjhy” wysłała ultimatum, podobne do tego, którym Terranie wzgardzili przedtem, kiedy próbowaliśmy osiągnąć ich w głębinach oceanu Jijo za pomocą wiązek i bomb.

Poddajcie się i przekazcie nam swoje skarby. W zamian za to nasz potężny sojusz obroni Ziemię. Delfinia załoga zostanie internowana, oczywiście, ale tylko na tysiąc lat hibernacji. Potem odzyska wolność w nowej, przekształconej Cywilizacji Pięciu Galaktyk.

Ponownie jedyną odpowiedzią jest bezczelna cisza.

Przygotowujemy broń.

– Dynamika ziemskiego gwiazdolotu jest słaba/zdegradowana – tłumaczy stos z załogi taktycznej. – Nadal musi dźwigać dodatkową masę. Jego kadłub zanieczyściło długotrwałe narażenie na przesyconą sadzą atmosferę czerwonej gwiazdy olbrzyma.

„Polkjhy” również przeszedł przez tę zanieczyszczającą mgłę, ale Ziemianie mogą sobie pozwolić tylko na tańsze modele gwiazdolotów, podczas gdy nasz piękny okręt należy do wyższej klasy i jego pola siłowe potrafią się pozbywać niepożądanych atomów.

(Naprawdę?)

(To jak Zangowie zdołali wtargnąć na pokład?)

CISZA, MOJE PIERŚCIENIE!

Wysłałam po wtkach kontroli przymuszające impulsy elektryczne, przypominając naszemu drugiemu pierścieniowi poznawczemu, żeby zajmował się swoimi sprawami.

Gwiazdolot/zwierzyna może być zdegradowany, ale ma wysoką zwrotność i sprawia wrażenie dobrze pilotowanego. Nasz pierwszy strzał ostrzegawczy mija go w zbyt wielkiej odległości i dzikusy nie traktują go poważnie.

Tymczasem stosy taktyczne debatują o tym, dlaczego ziemski statek nadal istnieje.

Jedna frakcja utrzymuje, że atak, który widzieliśmy – wiązki dezintegratorów o planetarnej skali skupione na maleńkim gwiazdolocie – musiał być fortelem! Efekciarskim przedstawieniem, mającym przekonać wszystkich, że Ziemianie są zgubieni i skłonić resztę ścigających do wycofania się, co pozwoliłoby zwierzynie umknąć! W gruncie rzeczy tę zdumiewającą opinię podziela obecnie większość taktyków „Polkjhy”, choć w jej świetle nasz atak na cele położone w habitacie wydaje się głupotą.

(Za nami ogromna struktura wciąż drży po naszych ciosach, a także innych uszkodzeniach, spowodowanych przez jej mieszkańców).

To wyjaśnienie wydaje się oczywiste, biorąc pod uwagę fakt, że gwiazdolot o załodze złożonej z delfinów nadal istnieje. Mniejszość doradza jednak zachowanie ostrożności. Mogliśmy być świadkami czegoś realnego. Czegoś prawdziwego. Wydarzenia mogącego budzić obawy.

Nasz drugi strzał ostrzegawczy jest celniejszy. Przemyka tylko o pół długości statku przed dziobem zwierzyny.

– WYKRYWAMY NIEPOKOJĄCĄ RÓŻNICĘ.

Tak powiedział stos, którego zadaniem jest śledzenie stanu nieprzyjaciela.

– CEL PRODUKUJE DZIWNY REZONANS. JEGO PROFIL HIPERPRĘDKOŚCI NIE JEST TAKI SAM JAK POPRZEDNIO W POBLIŻU GWIAZDY OLBRZYMA. OBSERWUJEMY OSOBLIWE ODBICIA OD KADŁUBA.

Na rozkaz kapitana-dowódcy przeprowadza się dokładniejsze obserwacje, które potwierdzają, że klasa oraz typ ściganego gwiazdolotu pozostają takie same. Emanacje silnika również są identyczne. Detektory psioniczne sprawdzają lekki przeciek przez pola siłowe i wykrywają charakterystyczny trop Ziemi.

Powiększenie się zwiększa i my/ja wreszcie widzę kadłub...

Moje pierścienie, ależ on błyszczy!

Nie jest już czarny od sadzy jak próżnia, lecz lśni gładką doskonałością, jaką widuje się tylko u nowych statków, które przed chwilą opuściły stocznię.

Jest jeszcze doskonalszy, bo gdy w jego powierzchni odbija się światło gwiazd, każdy wypaczony lustrzany obraz wydaje się jaśniejszy od oryginału!

Co to może znaczyć?

Nasz najstarszy stos kapłański jest wściekły.

– PO WSZYSTKIM, PRZEZ CO PRZESZLIŚMY I CO WIDZIELIŚMY, TYLKO NIEJEDNORODNY GŁUPIEC NIE SPODZIEWAŁBY SIĘ DALSZYCH SZTUCZEK/WYCZYNÓW/CUDÓW. TYLKO NIEUDACZNY/NIEDOPASOWANY ZESTAW NIE WEZWAŁBY POMOCY!

Nasz kapitan-dowódca drży, osuwając się ostrożnie na podium dowodzenia. Z jego drżącego węzła szczytowego płyną strużki niespokojnego dymu.

Po chwili szlachetny stos-dowódca narzuca sztywność swym składowym pierścieniom i nakazuje nastawić broń na jedną dziesiątą mocy, a potem wystrzelić do ziemskiego gwiazdolotu, aby pozbawić go zdolności lotu.

„Polkjhy” rozbrzmiewa pięknie nastrojoną pieśnią bojową i wypuszcza z siebie wiązki o straszliwej mocy, mające odciąć trzy kołnierze prawdopodobieństwa od kadłuba zwierzyny. Potężna energia przeszywa kurczącą się przestrzeń między nami i trafia prosto w cel...

NIE ZADAWAJCIE PYTAŃ, MOJE PIERŚCIENIE. RÓBCIE, CO WAM KAŻĘ.

Przesuwajcie się ku drzwiom, powoli i niewinnie.

To wszystko. Stąpajcie cicho, nie powodując zbytecznego hałasu. Nie wyświetlajcie barwnych cieni. Nie wydzielajcie świadczącej o niepokoju pary.

Teraz, gdy dramat/tragedia odwrócił uwagę reszty załogi, opuśćmy dyskretnie to pomieszczenie, jak skromny traeki, którym wy/my/ ja ongiś byliśmy.

W odpowiedzi na nasz klucz zapachowy pancerny luk odsuwa się na bok, otwierając drogę wyjścia z centrum dowodzenia. Zwróconymi w tył pączkami ocznymi my/ja obserwuję tłumy naszych jophurskich pobratymców krążące beładnie w toksycznych oparach strachu/napięcia.

Najbardziej cuchnąca mgła bije z kałuży płonącego wosku i tłuszczu – trawionych ogniem szczątków naszego byłego kapitana-dowódcy.

Rzecz jasna, kapłańskie stosy miały bardzo niewielki wybór. Gdy nasza broń energetyczna zawiodła... kiedy jej moc się wyczerpała, w jakiś sposób pochłonięta przez nową, błyszczącą powłokę ziemskiego gwiazdolotu... zmiana zarządu-dowództwa była nieunikniona.

Równie niepowstrzymana, jak rozciąganie się metryki przestrzeni w rozszerzającym się wszechświecie.

Rzecz jasna, to nie koniec pościgu. Nasza pozycja jest korzystna. Ziemski gwiazdolot nie może się nam wymknąć. Dokądkolwiek się uda, będziemy w stanie utrzymać z nim kontakt. A tymczasem „Polkjhy” ma na pokładzie obszerną filię Biblioteki Galaktycznej. Zagłębimy się w jej mądre wspomnienia i z pewnością odnajdziemy w nich sztuczkę, której użyli Ziemianie, a także poznamy jej

słabe strony, które pozwolą nam ją zneutralizować.

Niestety, Moje pierścienie, to w niczym nie pomoże temu skundlonemu zestawowi niedobrych elementów.

„Polkjhy” sprawnie posuwa się na autopilocie, śledząc ziemski gwiazdolit, gdy oba statki mkną ku punktowi transferowemu. Jednocześnie zachodzą przesunięcia w strukturach władzy pośród tych stosów z załogi, które niewłaściwie oceniły sytuację i wykazały się przesadną lojalnością wobec dawnego dowódcy. Dla niektórych wystarczą degradacja i przeniesienie. W przypadku innych konieczne będzie zastąpienie torusa władzy.

Jeśli jednak chodzi o biednego Ewasxa, wy/my byliśmy natchnionym pomysłem poprzedniego kapitana-dowódcy. W najlepszym razie nasze pierścienie zachowa się jako części zamienne dla żołnierzy rannych w walce z Zangami. W najgorszym, zostaną zmierzwowane.

Teraz cieszę się ze zwierzęcych umiejętności, jakie opanowałyście jako przedterminowy osadnik/dzikus/traeki. Wasze ruchy są zachwycająco ukradkowe, Moje pierścienie. Najwyraźniej potraficie się ukrywać lepiej niż Jophur.

Gdy luk zamknie się gładko za nami, udajmy się szybko na poszukiwania jakiegoś spokojnego, bezpiecznego miejsca, w którym będziemy mogli kontemplować wosk... medytując nad dylematem przetrwania.

DZIENNIK ALVINA

– Po pewnym czasie można się przyzwyczać do czegoś takiego.

Teraz, gdy pośpiesznie spisuję krótkie impresje z ostatnich momentów spędzonych przez nas we Fraktalnym Świecie, towarzyszy mi wrażenie, że echo tych wypowiedzianych przez Gillian słów nadal wypełnia moje puste w środku kręgi.

Powiniem się śpieszyć. Już w tej chwili czuję, że nacisk na moje hoońskie nerwy rośnie, gdy „Streaker” mknie wzdłuż przypominających nici „granic domen”, zaginających się wewnątrz punktu transferowego. Wkrótce straszliwy atak choroby lokomocyjnej uniemożliwi mi pracę. Pozwólcie więc, że w skrócie opowiem o straszliwych przeżyciach, które przed chwilą mnie spotkały.

Najdziwniejszy ze wszystkiego był głos doktor Baskin, przepojony rezygnacją tak głęboką, że przypominała raczej Jijankę niż gwiazdną boginię. Brzmiała jak jeden z najwyższych mędrców, cytujący ze Świętych Zwojów jakiś fragment zapowiadający nieuniknione cierpienia. Zdołała sprawić, że niemożliwe wydało się przerażająco prawdopodobne.

„Po pewnym czasie można się przyzwyczać do czegoś takiego”.

Gdy otaczają mnie pola transferowe, a mdłości sprawiają, że moją drżącą skórę pokrywają dreszcze, mogę jedynie mieć nadzieję, że to się nigdy nie zdarzy.

Powiedziała to przed midurą, oglądając się na to, co po sobie zostawiliśmy.

To było osiągnięcie, jakiego nikt z nas nie pragnął.

Katastrofa, która wydarzyła się wyłącznie dlatego, że tam przybyliśmy.

Wszyscy, którzy kręcili się po pokoju mapowym, widzieli dwa różne obrazy Fraktalnego Świata, przedstawione na dwóch wielkich ekranach. Całkowicie różniły się od siebie, ale oba były oficjalnie „prawdziwe”.

Jako jijański dzikus, którego wyobrażenia o lotach kosmicznych wywodzą się z lektury dwudziestodrugowiecznych powieści pisanych przez przedkontaktowych Ziemiaków, muszę przyznać, że nie potrafiłem się w tym wszystkim połapać. Na przykład wiele z tych tekstów przyjmowało założenie, że loty z prędkością nadświatlną są niemożliwe. W innych, bliższych kosmicznym romansom, historiach autorzy po prostu traktowali napęd nadświatlny jak coś oczywistego. Tak czy inaczej, opisywanie wydarzeń nie sprawiało im trudności. Zdarzały się wtedy, gdy się zdarzały. Przyczyna była najpierw, a skutek potem i kropka.

Ale na ekranie po mojej lewej stronie czas płynął wstecz!

Autoskryba mi to wytłumaczył i mam nadzieję, że wszystko zrozumiałem właściwie. Najwyraźniej w każdej mikrosekundzie, gdy „Streaker” wracał z poziomu C do normalnej przestrzeni, do zwróconego w tył teleskopu docierały fotony, tworzące obraz ogromnej „struktury Criswella”, która stawała się coraz mniejsza i mniej wyraźna w miarę, jak się od niej oddalaliśmy. Co więcej, obrazy były coraz starsze, ponieważ prześcigaliśmy kolejne świetlne fale. Według pokrętnej logiki Einsteina cofaliśmy się w czasie.

Gapiałem się z fascynacją na ogromny habitat, który zdawał się zdrowieć na moich oczach. Uszkodzone strefy odzyskiwały spójność. Straszliwa rana zamykała się powoli. A niezliczone iskierki zbiegały się z powrotem do punktu wyjścia, jakby statki uchodźców wracały do domu.

Ten spektakl u każdego z moich przyjaciół budził inne reakcje.

Huck śmiała się głośno, Ur-ronn pociągała ze smutkiem nosem, a Koniuszek Szczypiec ciągle

powtarzał: „Kurde... de... de...!”

Nie mogłem mieć do nich pretensji o takie zachowanie. Widoczna na ekranie sekwencja była jednocześnie rozpaczliwie smutna i śmiesznie absurdalna.

Na prawo od nas stały Sara i Gillian, obserwujące inny obraz, ukazywany przez hiperfale za każdym razem, gdy przechodziliśmy na poziom C. Ten przekaz budził we mnie wrażenie przyprawiającej o mdłości jednoczesności. Ekran zdawał się opowiadać nam, co się dzieje we Fraktalnym Świecie w tej chwili. Czas płynął na nim do przodu, ukazując pokłosie naszej gwałtownej ucieczki.

Skutki wypływające z każdej przyczyny.

Jasne, że w rzeczywistości sprawa była znacznie bardziej skomplikowana. Na przykład tamten obraz ciągle migotał, jak pierwsza wersja opowiadania, którego autor nie jest jeszcze pewien.

Sara wytłumaczyła mi to w taki sposób:

– Fotony transportują powolne prawdy, Alvin, natomiast szybkie hiperfale przynoszą prawdopodobieństwa.

To znaczy, że drugi obraz ukazuje najprawdopodobniejszy przebieg wydarzeń rozgrywających się za nami. Istnieje szansa, choćby nawet niewielka, że rzeczywistość może wyglądać inaczej.

Na Boga, Ifni i Jijo, nadal modlę się o to, aby się zrealizowała.

Pełen zakłóceń obraz ukazywał nam bezlitosną opowieść o szybkim rozpadzie.

W gigantycznej sferze było teraz więcej niż jedno ogromne rozdarcie. Jej delikatna skóra łuszczyła się i rozpadała wokół kilku świeżych ran. Owe pęknięcia powiększały się, rozgałęziając się szybko. Z każdego płynęło na zewnątrz światło barwy uryjskiej krwi.

Setki zewnętrznych kolców już się odłamały i pomknęły, koziołkując, w przestrzeń. Z każdą chwilą było ich coraz więcej. Mogłem się tylko domyślać, na ile gorsza sytuacja panuje po wewnętrznej stronie ogromnej sfery. Czy wybito już milion wielkich jak Jijo okien, wystawiając lasy, stepy i oceany na działanie próżni?

Przekazywany przez hiperfale obraz co chwilę się odnawiał. Momentami wydawało się nawet, że cofa się w czasie albo poprawia poprzednią wersję. Jakiś fragment zniszczeń przedtem widoczny w jednym miejscu niespodziewanie przenosił się w drugie. Żaden szczegół nie był nieruchomy ani niezmienny, ale trend pozostawał ten sam.

Poczułem pazury wbijające mi się w plecy. Mała Huphu i tytał Skarpetka wdrapały się na oba moje barki i zaczęły się o mnie ocierać, domagając się pieśni, która rozproszy ponury nastrój. Szok sprowadził na mnie odrętwienie i częściowo dlatego zareagowałem naszą rodzinną wersją Trenu na Niezauważoną Śmierć, burkotu tak starożytnego, że zapewne wywodzi się jeszcze z czasów poprzedzających Wspomaganie hoonów, gdy nasze mózgi nie były w stanie w pełni objąć potencjału rozpacz.

Poirytowana basowymi tonami doktor Baskin obejrzała się i spojrzała na mój worek rezonansowy. Słyszałem, że międzygwiazdni ludzie nieszczerze lubią hoonów, ale Sara Koolhan szepnęła coś do jej ucha i Gillian pokiwała głową z aprobatą, najwyraźniej rozumiejąc, o co chodzi.

Po kilku durach, gdy już skończyłem, w pobliżu pojawił się mały, wirujący hologram Nissa.

– *Kaa melduje, że zostało nam dziesięć minut do punktu transferowego.*

Doktor Baskin pokiwała głową.

– Czy skład naszej świty się zmienił? – zapytała.

Jej cyfrowy pomocnik wygiął się w geście mającym zapewne zastępować wzruszenie ramion.

– *Podąża za nami tłum rozmaitych statków – odparł głos maszyny. – Niektóre z nich są automatyczne, ale większość zawiera tlenodysznych uchodźców. Zdobią je zapewniające*

bezpieczeństwo godła Emerytowanej Kategorii Życia.

Rzecz jasna, wszystkie trzymają się w bezpiecznej odległości od jophurskiego okrętu liniowego.

Niss przerwał na parę chwil.

– *Jesteś absolutnie pewna, że chcesz wziąć kurs na Tanith?* – zapytał wreszcie.

– *Pozostaję otwarta na inne propozycje* – odparła wysoka kobieta, wruszając ramionami. – *Wygląda na to, że próbowaliśmy już wszystkich innych możliwości, w tym również ukrycia się w najbardziej zapadłym kącie wszechświata. Bez obrazu, Alvin.*

– *Nie czuję się urażony* – zapewniłem, ponieważ ten opis Jijo z pewnością był trafny. – *Co to jest Tanith?*

– *To planeta, na której znajduje się sektorowa kwatera główna Instytutu Bibliotecznego, położona najbliżej Ziemi* – wyjaśnił Niss.

– *Tam właśnie dostarczyłby nasze odkrycia kapitan Creideiki, gdyby nie spadła na nas kaskada przemocy i zdrady. Ponieważ zabrakło nam innych opcji, doktor Baskin jest przekonana, że powinniśmy wrócić do oryginalnego planu.*

– *Ale czy nie próbowaliście już oddać się w ręce Instytutów? W jakimś miejscu zwanym Wakka...*

– *Oakka. W rzeczy samej, dwa lata temu, po wymknięciu się pościgowi bezlitosnych flot wojennych podjęliśmy taką próbę, ale oblęd, który ogarnął naszą cywilizację, dotarł przed nami również i tam. Zaprzysiężeni mnisi biurokratycznych bractw zakonnych złamali przysięgę neutralności, wracając do dawnych lojalności. Motywowani starożytnymi resentymentami albo olbrzymimi nagrodami oferowanymi za pojmanie nas przez rozmaite sojusze fanatyków spróbowali zagarnąć ziemski gwiazdolot, by przekazać go swym gatunkowym i klanowym kuzynom.*

– *To znaczy, że Instytuty również nie były wtedy godne zaufania. Co się zmieniło od tego czasu?*

– *To, Alvin* – odparła doktor Baskin, wskazując na mniejszy ekran.

Widniał na nim jophurski okręt – w tej chwili najważniejszy fakt w życiu nas wszystkich. Potężny, wydłużony okręt liniowy uczepił się nas niczym paskudny smród. Trzymał się bardzo blisko od chwili, gdy próba unieruchomienia „Streakera” zakończyła się niepowodzeniem. Delfinia załoga była przekonana, że nawet z Kaa za sterami nie uda się go zgubić. Równie dobrze można by próbować uwolnić się od cienia w słoneczny dzień.

– *Wydano nam jednoznaczne rozkazy. Pod żadnym pozorem nie możemy dopuścić, by któraś z frakcji zagarnęła dane dla siebie.*

– *I dlatego musimy polecieć prosto do jednego z najruchliwszych portów w Drugiej Galaktyce?*

W głosie Nissa brzmiało powątpiewanie, bliskie jawnego szyderstwa. Doktor Baskin zignorowała jednak ten ton.

– *Czyż to nie jest dla nas najlepsza szansa? Skierować się tam, gdzie jest bardzo tłoczno i mogą się trafić okręty wystarczająco wielkie, by oprzeć się temu, który nas ściga? Poza tym, nie można wykluczyć możliwości, że Oakka było wyjątkiem. Aberracją. Może urzędnicy z Tanith nie zapomnieli o swych przysięgach.*

Niss wyraził powątpiewanie nieuprzejmym odgłosem.

– *To mało prawdopodobne. Być może jednak samo zaskoczenie zdoła sprowokować do działania ostrożną większość galaktycznych klanów, do tej pory sparaliżowaną niezdecydowaniem.*

– *O tym marzyliśmy od samego początku. I to może się zdarzyć, jeśli w okolicy będzie wystarczająco wiele statków Synthian, pargi oraz ich sojuszników. Dlaczego mieliby nie stanąć w*

obronie tradycji i prawa?

– *Optymizm jest jedną z twych najbardziej czarujących cech, doktor Baskin. Wyobrażasz sobie, że umiarkowanych da się skłonić do podjęcia szybkiej decyzji, gdy może ich to narazić na śmiertelne niebezpieczeństwo? W tej chwili dla wszystkich jest już jasne, że nadciąga Czas Zmian. Muszą się martwić o przetrwanie gatunku i sprawiedliwe traktowanie dzikusów nie będzie dla nich priorytetem.*

Znacznie prawdopodobniejsze jest, że nasze nagłe przybycie spowoduje wybuch walki wszystkich ze wszystkimi, w porównaniu z którą bitwa wokół Kithrupa wyda się zwykłą potyczką. Jak sądzę, pamiętasz, że armady oblegające obecnie Terrę znajdują się w odległości zaledwie dwóch skoków od Tanith? Mogą w ciągu niespełna standardowego dnia zjawić się...

– I złagodzić oblężenie Ziemi? W takim razie może warto to zrobić?

Hologram Nissa zacisnął wirujące linie.

– *Krążymy wokół zasadniczego problemu, doktor Baskin. Nie ma znaczenia, dokąd zmierzamy. Jophurzy nie pozwolą nam dotrzeć na Tanith. Tego możesz być pewna.*

– A czy mogą nas powstrzymać? – zapytała Sara Koolhan, odzywając się po raz pierwszy. – Już raz próbowali i nic im z tego nie wyszło.

– *Niestety, mędrzyni Koolhan, nasza pozorna niewrażliwość na atak nie może się utrzymać długo. Jophurzy dali się zaskoczyć, ale z pewnością sprawdzają już swą pokładową bazę danych w poszukiwaniu informacji o słabych stronach naszego cudownego pancerza.*

Mówili o błyszczącym płaszczu pokrywającym obecnie kadłub „Streakera”. Jako ciemny Jijanin nie miałem pojęcia, co czyni tę powłokę tak niezwykłą, choć bardzo wyraźnie pamiętałem przerażające chwile, gdy otaczał nas rój maszynowych jestestw. Mroczne sylwetki toczyły enigmatyczny bój o nasze przeznaczenie, nie zadając sobie trudu, aby pytać o zdanie dzikusów i przedterminowych osadników.

Do ostatecznej rozgrywki stanęły dwie grupy gigantycznych robotów naprawczych. Te na rufie chciały zebrać z kadłuba gwiazdolotu potrzebny im węgiel, druga zaś ekipa pośpiesznie przekształcała gwiazdną sadzę w substancję mieniającą się wielobarwnym blaskiem jak jijański Tęczowy Wyciek.

Między dwoma ugrupowaniami przeskakiwało coś, co wyglądało jak błyskawice. Niss powiedział, że to „memetyczne impulsy kierujące” i ostrzegł nas, byśmy na nie nie patrzyli, bo naszym mózgom również może grozić zakażenie. Po kilku durach konflikt dobiegł końca. Żadna maszyna nie doznała fizycznych uszkodzeń, ale jedna grupa raptownie „zmieniła zdanie”.

Obie grupy robotów zabrały się potem do pracy nad wspólnym celem i ukończyły transformację akurat na czas, nim uderzyły pierwsze promienie dezintegratorów.

– A kto powiedział, że musi być jakaś słaba strona? – zapytała doktor Baskin. – Wygląda na to, że jesteśmy całkowicie odporni, przynajmniej na działanie dalekozasięgowych wiązek.

W jej głosie pobrzmiwała pewność, pamiętałem jednak, jak głęboki szok przeżyły Gillian, Sara, Tsh't, a także cała reszta, kiedy się okazało, że przeżyliśmy atak wiązek. Tylko okaleczony inżynier, Emerson D'Anite, chrząknął i pokiwał głową, jakby od początku się tego spodziewał.

– *Niezniszczalne osłony nie istnieją – sprzeciwił się Niss. – W Wielkiej Bibliotece opisano wszelkie możliwe rodzaje broni. Jeśli jakaś technologia wydaje się nam cudowna i zaskakująca, przyczyną może być fakt, że zarzucono je dawno temu z bardzo istotnych powodów. Gdy tylko Jophurzy poznają te powody, nasza nowa tarcza zmieni się z zalety w obciążenie.*

Ludziom i delfinom to rozumowanie wyraźnie się nie spodobało. Ja też nie mogę twierdzić, bym był nim zachwycony. Jak jednak można je było obalić? Nawet przedterminowi osadnicy znali jeden z

podstawowych truizmów życia w Pięciu Galaktykach:

Jeśli czegoś nie ma w Bibliotece, to niemal na pewno jest niemożliwe.

Mimo to nigdy nie zapomnę owej chwili, gdy wielkie roboty konstrukcyjne zakończyły pracę i odleciały, zostawiając nasz sfatygowany gwiazdolot, który nagle stał się superpołyskliwy jak klejnot.

„Streaker” spróbował ucieczki przez wielką dziurę we Fraktalnym Świecie i nagle z kilku kierunków jednocześnie uderzyły weń potężne włócznie niszczycielskiego światła! Zabrzmiały alarmy. Każda wiązka skupionej energii zdawała się popychać nas naprzód z tytaniczną siłą.

Ale nie spłonęliśmy. Otoczył nas niezwykle hałas, brzmiący jak jęki jakiegoś głębokomorskiego lewiatana. Huck wciągnęła wszystkie oczy, Koniuszek schował nogi, a Ur-ronn zapętlila długą szyję, wydając z siebie ciche uryjskie zawodzenie.

Wszystkie instrumenty oszalały... ale nie spłonęliśmy!

Po krótkiej chwili większość załogi zgodziła się ze wstępną opinią Hannesa Suessiego, który oznajmił, że wiązki dezintegratorów z pewnością są fałszywe.

Że są tylko efekciarskim pokazem, mającym odstraszyć naszych wrogów i umożliwić nam ucieczkę. Żadna inna odpowiedź nie mogła tłumaczyć naszego ocalenia.

Ale wkrótce potem zaatakowali nas Jophurzy i ich wiązka ulotniła się z takim samym tajemniczym jękiem.

Wtedy zrozumieliśmy prawdę.

Ktoś wyświadczył nam przysługę... a my nawet nie wiedzieliśmy, komu dziękować. Nie mieliśmy też pojęcia, czy owo błogosławieństwo nie jest jedynie zapowiedzią dalszych nieszczęść.

Z głośnika dobiegł głos jednego z delfinów.

– *Wejście do punktu transferowego za... trzydzieści sssekund.*

Wszyscy przebywający w pokoju mapowym zwrócili się ku przedniemu ekranowi i spojrzeli na spletaną sieć ciemności – pierwszą z serii, która zaprowadzi nas daleko od Czwartej Galaktyki, ku odległym królestwom, które ja i moi przyjaciele znaliśmy wyłącznie z legend i opowieści o bogach. Mój hooński układ trawienny przewidywał już nadchodzące mdłości. Pamiętam, że pomyślałem, iż znacznie lepiej czułbym się na pokładzie ojcowskiego odpadowca, ciągnąc za liny i burkocząc razem ze szczęśliwą załogą. Twarz muskałby mi ciepły jijański wiatr, a słona piana śpiewałaby na żaglach.

Pod hiperfalowym ekranem znalazłem jeszcze jedną osobę mniej zainteresowaną tym, dokąd lecimy, niż miejscem, które opuściliśmy. Emerson, okaleczony inżynier, miał rewqę na oczach i uśmiechał się do mnie z przekąsem. Odpowiedziałem mu ruchem worka rezonansowego.

Zamazany, falujący obraz Fraktalnego Świata przypominał wielkie jak cały układ planetarny jajo, z którego zaraz miało się wykluć coś młodego, gorącego i gwałtownego. Z dziur i szczelin bił czerwony blask gwiazdy, a straszliwe iskry informowały o eksplozjach tak potężnych, że wstrząsały całą strukturą udręczonej sfery.

Emerson westchnął, a potem zaskoczył mnie, wygłaszając proste zdanie w angliczu, wyrażające niewiarygodną myśl.

– No cóż... łatwo przyszło... łatwo poszło.

Gdy silniki „Streakera” zwiększyły obroty, by sprostać napięciom towarzyszącym transferowi, Skarpetka wdrapał mi się na ramię. Nadal jednak nie odwracaliśmy spojrzeń od nieszczęsnego Fraktalnego Świata.

Sfera w jednej chwili pękła wzdłuż wszystkich szczelin, rozpadając się na niezliczone ogromne fragmenty. Część z nich umknęła w czarną przestrzeń, część zaś runęła w dół, aby znowu połączyć się w całość w ogniu.

Uwolniona po pół miliarda lat pokornej służby maleńka gwiazda rozjarzyła się triumfalnie,

jakby radowała się każdym kolejnym elementem spadającym na jej powierzchnię. Ukradziona jej ongiś substancja wracała na miejsce.

Oswobodzone słońce sypało pod niebo fajerwerkami.

Wypełniłem worek rezonansowy i zacząłem burkotliwy tren... hoońskie requiem na śmierć tych, którzy zaginęli na morzu i nikt nigdy nie odnajdzie ich kolców sercowych.

Nie przestawały mnie prześladować mrożące krew w żyłach słowa Gillian Baskin.

„Po pewnym czasie można się przyzwyczaić do czegoś takiego”.

Naprawdę?

Ifni, przez co musieli przejść ci Ziemianie, jeśli podobna katastrofa wydaje im się codziennym wydarzeniem?

Pomyśleć, że kiedyś spoglądałem tęsknie na gwiazdy i pragnąłem przygód.

Po raz pierwszy w pełni zrozumiałem jedną z najważniejszych lekcji zawartych w najstarszych jijańskich zwojach.

W tym wszechświecie najtrudniejszą ze wszystkich sztuk jest przetrwanie.

CZEŚĆ TRZECIA

WIELKI SELEKTOR

DO WSZYSTKICH NASZYCH KLIENTÓW W PIĘCIU GALAKTYKACH –

Syndykat Hazardowy Saentów tymczasowo zawiesił przyjmowanie zakładów o wynik Obłężenia Ziemi. Aczkolwiek nadal przewidujemy szybkie załamanie się sprzymierzonych sił broniących rodzinnego świata dzikusów, warunki po raz kolejny stały się zbyt płynne, by nasze urządzenia do dynamicznego przewidywania mogły wyliczyć sensowne prawdopodobieństwa.

Dla tych, którzy już uczestniczą w zakładach stawki pozostają niezmienione: dwadzieścia do jednego na to, że planeta padnie w ciągu jednego obiegu Ziemi po orbicie (trzech czwartych tanithańskiego roku); czternaście do jednego na to, że podda się przed jedną czwartą orbity; pięć do dwóch na „godny pożalowania wypadek”, który może doprowadzić do destabilizacji ekosystemu, co w praktyce spowoduje organiczne wymarcie gatunków dzikusów; siedem do dwóch na przymusową adopcję ludzi oraz ich podopiecznych, przez któryś z wielkich klanów oblegających planetę, takich jak Soranie, Tandu, Klennathowie czy Jouourouou.

Mimo że stawki pozostają w przybliżeniu stałe, w rzeczywistości kilka szybko się zmieniających czynników prowadzi do wysokiego poziomu niepewności.

1) Wśród potężnych klanów oraz sojuszy prowadzących obłężenie ciągle dochodzi do zdrad i przesunięć. Ich połączone siły z łatwością zwyciężyłyby ludzi, Tymbrimczyków oraz Thennanian, gdyby tylko potrafiły się pogodzić co do podziału łupów. Jednakże wśród oblegających dochodzi do nieprzewidywalnych gwałtownych konfliktów (czasami sprowokowanych przez sprytne manewry Terran), co spowodowało ataki na Ziemię i uczyniło przewidywanie szans trudniejszym niż zwykle.

2) W Pięciu Galaktykach z bezprecedensową prędkością szerzy się polityczny chaos. Na przykład długo odkładane zgromadzenie Koalicji Umiarkowanych Gatunków wreszcie się zebrało, ale jego program był wyjątkowo krótki: jak sobie poradzić z nieokiełznanymi ambicjami okazywanymi ostatnio przez fanatyczne sojusze. Koalicja dała sobie spokój ze zwyczajowymi formalnościami i może zgłosić oficjalne ostrzeżenia do Instytutu Wojny przed upływem tanithańskiego roku! Zbiórka flot jego członków może zająć następny rok.

Kilka innych luźnych konfederacji „umiarkowanych” gatunków również rozpoczęło przygotowania. Jeśli podobny pośpiech się utrzyma (i nie zakłóci go po raz kolejny sorańska dyplomacja), będzie to przykład bezprecedensowej elastyczności niefanatycznej części tlenowego społeczeństwa.

Oczywiście, wszystko to wydarzy się za późno, by ocalić Ziemię, ale może się przyczynić do uratowania śladowej populacji ludzi po jej upadku.

3) Od połowy tanithańskiego roku nikt nie meldował o zauważeniu osławionego gwiazdolotu z załogą złożoną z delfinów. Jeśli wbrew wszelkim przewidywaniom zbiegom uda się bezpiecznie dostarczyć swe skarby do idealnie neutralnego azylu – albo udowodnić, że relikty są nieszkodliwe – kryzys może minąć, nim cywilizację tlenodysznych ogarnie powszechna wojna. W takim przypadku oczywiście porzucilibyśmy naszą obecną zasadę akceptowania wyłącznie płatnych z góry zakładów.

4) Międzygwiazdny ruch handlowy, już przedtem zakłócony przez tak zwany kryzys „Streakera”, ostatnio ucierpiał jeszcze bardziej z powodu „pobudzonych warunków” na

wszystkich poziomach międzyprzestrzennych. Co najmniej trzydzieści najważniejszych punktów transferowych dotknęło przeciążenie nici. Instytuty obwiniają o to „nienormalne warunki pogodowe w hiperprzestrzeni”, ale niektórzy uważają to za kolejną zapowiedź nadchodzącej transformacji.

5) Utrzymujący się trend wzrostowy socjoreligijnego fanatyzmu – w tym niedawny wzrost zainteresowania kultem Ifni – zaszkodził obrotom bukmacherów w całym Pięciu Galaktykach. Z uwagi na zwiększone wydatki (związane z obroną naszych placówek przed flotami fanatycznych zwolenników doktryny predeterminacji) byliśmy zmuszeni zwiększyć zyski kasyna ze wszystkich przyjmowanych zakładów.

Nawet Syndykat Hazardowy Saentów nie może działać jak zawsze, gdy nadchodzi zapowiadany Czas Zmian...

HARRY

O kurde – pomyślał. – To będzie trudne.

Harry wyłączył komputer przewodni, by nie narażać jego obwodów podczas przejścia. Zasłony zasunęły się w oknach, a on zapiął pasy, czekając na transfer do innego regionu przestrzeni E. Takiego, który od bardzo dawna był zakazany.

No cóż, zgłosiłem się na ochotnika i dobrze mi tak. Wer'Q'quinn nazwał to „zadaniem specjalnym”, ale im dalej się posuwam, tym bardziej wygląda mi to na misję samobójczą.

Z początku nie działo się nic ciekawego. Oficjalne instrumenty były bezużyteczne lub niegodne zaufania, Harry skupił się więc na prowizorycznym prawdometrze własnej roboty. Składał się on z łabędzia origami, który drżał osadzony na igle z czystego metalu, zebranego z powierzchni gwiazdy neutronowej. Tak przynajmniej zapewniał sprzedawca na bazarze w Kazzkark. Harry nerwowo obserwował ruchy skrawka papieru. Jego umysł wyobrażał sobie, co może się dzieć na zewnątrz zwiadowczego stateczku, gdzie znikła wszelka obiektywność.

Podrapał się drżącymi dłońmi po futrze na karku i piersi. Łabędź zakołysał się niespodziewanie, jakby próbował sobie przypomnieć, jak się lata...

Harry'ego nagle dopadło wrażenie spadania. Żołądek podszedł mu do gardła. Potem nastąpiło kilka ostrych wstrząsów, a po nich gwałtowne kołysanie, jakby stateczek płynął po wzburzonym morzu. Neoszym ścisnął mocno poręcze. Pasy wpijały mu się w barki i uda.

Pokład pod jego bosymi stopami przeszyło osobliwe drzenie. Rozległo się charakterystyczne buczenie, towarzyszące automatycznemu włączeniu się kotwicy rzeczywistości. To było niepokojące. Ten dźwięk słyszało się tylko wtedy, gdy regularne środki bezpieczeństwa były przeciążone niemal do granic wytrzymałości. Zdarzało się, że kotwica była ostatnim, co powstrzymywało losowe wiatry przyczynowości przed ciśnięciem statku na płycizny nieurzeczywistnionego prawdopodobieństwa... albo zmienieniem pilota w coś, czym wolałby się nie stać.

No cóż... czasami kotwica pomagała.

Gdyby tylko można tu było użyć kamer telewizyjnych, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Niestety, z powodów nadal niezgłębionych przez galaktycznych uczonych, żywe istoty, które znalazły się w przestrzeni E, mogły postrzegać wydarzenia jedynie bezpośrednio i to nie bez sporego ryzyka.

Na szczęście, gdy Harry już zaczynał się obawiać, że ostatni zjedzony przez niego posiłek dołączy do leżących na podłodze naczyń i sztućców, bujanie zaczęło słabnąć i po kilku sekundach przeszło w łagodne kołysanie.

Raz jeszcze zerknął na prowizoryczny prawdometrz. Papierowy łabędź robił wrażenie stabilnego... choć na obu jego skrzydłach pojawiły się skomplikowane fałdy, których przedtem tam nie było.

Harry odpiął się ostrożnie i wstał. Potem powlókł się naprzód, rozstawiając szeroko ręce, aby zachować równowagę. Skierował się do przedniego kwadrantu i ostrożnie uniósł żaluzję.

Wciągnął gwałtownie powietrze i odskoczył do tyłu ze strachu.

Platforma zwiadowcza wisiała – bez żadnego widocznego wsparcia – wysoko nad bezkresnym krajobrazem!

Przełknął z wysiłkiem ślinę i znowu wyjrzał na zewnątrz.

Jego punkt widzenia zakołysał się lekko w lewo, a potem w prawo, jakby Harry patrzył z perspektywy wisielca. Na dole rozciągało się ogromne, zamazane królestwo. Jego rozmiary były

niezmierzone i znajdowało się niewiarygodnie daleko w dole. Gigantyczne wieże, pionowe i symetryczne, majaczyły niewyraźnie za przesłaniającą wszystko mgłą, wzbijającą się z płaszczyzny jeszcze wyżej, niż znajdowała się platforma.

Neoszympanś gapił się na to z zapartym tchem, aż wreszcie upewnił się, że równina się nie zbliża. Nie miał wrażenia, że spada. Coś utrzymywało go na stałej wysokości.

Pora się przekonać, co to jest. Harry okrążył pokład obserwacyjny i przez okno położone z samego tyłu zobaczył, co chroni go przed fatalnym w skutkach upadkiem.

Stacja wisiała na końcu wąskiej świecącej nici wydostającej się z otworu w kadłubie, którego nigdy dotąd nie widział. Znajome niebieskie paski sugerowały, że musi to być kotwica rzeczywistości, która tym razem objawiła się w szczególnie dogodny sposób.

Na swym drugim końcu, wysoko na górze, kotwica była przytwierdzona do krawędzi powierzchni ciągnącej się horyzontalnie w prawo. Po lewej stronie owej półpłaszczyzny rozpościerał się jeszcze większy przestwór otwartego nieba. Harry miał wrażenie, że jeszcze wyżej dostrzega kolejne podobne warstwy.

Fizyczny wygląd stacji zbytnio się nie zmienił. Metaforyczne szcudłowate nogi nadal wisiały pod podłużną bryłą, poruszając się powoli w przestrzeni. Coś jednak było nie w porządku z obrazem. Harry potarł powieki, ale problem nie leżał w jego oczach. Wszystko, co widział za oknami, wydawało się zamazane. Na przykład nie potrafił rozpoznać wielkich jak góry kolumn, mimo że ich groteskowe kształty wydawały mu się skądś znajome, przywoływały w jego umyśle zastarzałe wspomnienia z dzieciństwa.

To miejsce nie przypominało niczego, z czym się zetknął, odkąd na Tanith maszyny zajmujące się profilowaniem osobowości wytypowały go na pierwszego neoszympanśa, który zostanie wyszkolony na obserwatora pracującego dla Instytutu Nawigacji. Harry wiedział, że nie ma sensu prosić pokładowych programów o pomoc w rozpoznaniu sytuacji.

– Region przestrzeni E, do którego wyruszysz, rzadko jest odwiedzany i to nie bez powodu – oznajmił mu Wer'Q'quinn, nim

Harry wyruszył w drogę. – Wiele cech, jakie opiekunowie nadają podopiecznym podczas Wspomagania, by pomóc im stać się stabilnymi, racjonalnymi, zorientowanymi na cel gwiazdnymi wędrowcami, zmienia się w słabości w królestwie, w którym znika wszelka przewidywalność.

Harry potrząsnął głową, przypominając sobie te słowa.

– No cóż, nie mogę powiedzieć, że mnie nie ostrzegał.

– Tryb pilotażu – rozkazał, zwracając głowę w lewo.

Znajome, wirujące *p* zmaterializowało się tuż obok z cichym trzaskiem.

– *Jestem na twe rozkazy, Harvey.*

– Nazywam się Harry – poprawił z westchnieniem po raz kolejny. – Nie dokucza mi agorafobia ślepej plamki, więc równie dobrze możesz całkowicie odsłonić wszystkie okna.

Statek wykonał polecenie. Harry skrzywił się, ujrawszy osobliwy zestaw kolorów, nawet jeśli tłumiała je niezwykła mgiełka.

– Dziękuję. A teraz sprawdź, proszę, czy ta metaforyczna przestrzeń pozwoli nam na lot.

– *Już się robi.*

Zapadła długa cisza. Harry ścisnął palce. Lot znacznie ułatwia przemieszczanie się... zwłaszcza jeśli się wisi na końcu liny nad niezliczonymi milami najwyraźniej pustej przestrzeni. Wydawało mu się, że słyszy stukot maszyny, sprawdzającej kolejne jednostki napędu, aby się przekonać, które będą tu działały, a które będą bezużyteczne czy nawet niebezpieczne. Wreszcie wirujące *p* doszło do pewnych wniosków.

– *Jakiś rodzaj lotu powinien tu być możliwy, ale nie potrafię określić tego ściśle. Żadna z alloforycznych metod zawartych w moich archiwach nie skutkuje. Będziesz musiał wymyślić coś oryginalnego.*

Harry wzruszył ramionami. To był jeden z najważniejszych powodów, dla których był tu potrzebny.

– *Zlokalizowałeś strefę, którą mamy obserwować?*

– *Wyczuwam pas normalnej przestrzeni. Leży niedaleko stąd, w jednostkach figuratywnych. Subiektywnie powinieneś go zobaczyć jak lśniąca aleję gdzieś w czwartym kwadrancie „na dole”.*

Harry podszedł do wskazanego okna i wyjrzał na zewnątrz, spoglądając na gigantyczne, zamazane sylwetki.

– *Taaak, chyba go widzę. – Ledwie dostrzegał słabą, lśniąca linię. – Lepiej spróbujmy się zbliżyć.*

– *Pod warunkiem, że znajdziesz jakiś sposób.*

– *Ehe – zgodził się. – W tym sęk.*

Harry nerwowo przebiegł palcami po futrze porastającym jego brodę i skórę czaszki. Minęło już sporo czasu, odkąd ostatnio porządnie się wyiskał. Na Horście, gdzie on i jego zabiegani rodzice byli jedynymi szympanami na całej planecie, usuwanie wszechobecnego pyłu z futra wydawało się po prostu kwestią osobistej higieny. Dopiero w szkole, na Ziemi, Harry dowiedział się, że pozwalanie, aby jeden lub więcej pobratymców głaskało, czesało, szczotkowało i rozczesywało ci włosy, może się przerodzić w sybarycką formę sztuki. Gdy wspominał teraz owe czasy, to za ciepłym fizycznym kontaktem wzajemnego iskania tęsknił najbardziej.

Szkoda, że wszyscy jego partnerzy za dużo gadali – od przekomarzania się i plotek, aż po wypytywanie o wszelkie osobiste słabostki. Harry nigdy nie czuł się dobrze, rozmawiając o takich sprawach. Jego nieśmiałość i brak otwartości ziemskie szympany uważały za wyniosłość, a nawet wzgardę, on zaś nie cierpiał ich wścibstwa. W duchu zawsze czuł się outsiderem, nigdy nie stał się w pełni akceptowanym członkiem uczelnianych klubów iskania.

Orientował się, że przeciąga sprawę, ale nie był pewien, od czego zacząć.

– *Niepokoją cię pogłoski o nietypowych objazdach w hiperprzestrzeni oraz zakłóconych punktach transferowych – oznajmił mu Wer’Q’quinn, gdy Harry wrócił z ostatniej misji. – Takie sprawy wychodzą poza zakres naszej jurysdykcji, ale wygląda na to, że zbieg różnych wydarzeń zmusza mnie do podzielenia się z tobą pewną tajemnicą.*

– *Pozwól mi zgadnąć – rzekł Harry. – Zaburzenia są na tyle poważne, że można je zaobserwować nawet w przestrzeni E.*

– *Twój domysł jest trafny – zgodził się Wer’Q’quinn, strzelając dziobem w rytm synkopowanej aprobaty drugiego galaktycznego. – Widzę, że zwerbowanie ciebie nie było ryzykownym posunięciem, lecz raczej świadczyło o głębi mojej intuicji. Dowiodłem w ten sposób, że jestem bardzo wartościowy dla Instytutu i zasługuję na szybki awans. Twój następny patrol zaczyna się za jeden przecinek trzy standardowego dnia.*

Po złożeniu meldunków Harry’emu zostało wystarczająco wiele czasu, by się wykąpać i porządnie wyspać w pokoiku w koszarach. Liczył na dłuższy odpoczynek. Pragnął odwiedzić działającą na bazarze foruńską masażystkę. Gibka istota cechowała się instynktownym zrozumieniem układów mięśniowo-szkieletowych innych gatunków, pozwalającym jej łagodzić kurcze w plecach Harry’ego... niestety, nic z tego.

Drapiąc się nerwowo po brodzie, zahaczył złamanym paznokciem o splątane włosy i skrzywił się z bólu. Uniósł wyrwany kosmyk i przyjrzał mu się uważnie.

Całe szczęście, że szympansom nie wyrastają na twarzy dłuższe włosy, jak ludziom, którzy się nie depilują.

Na Horście widywał nadzorowanych szamanów, którym patriarchalne brody rosły z roku na rok, aż wreszcie sięgały prawie do...

Zamrugał, uświadomiwszy sobie, do czego zmierza jego podświadomość. Odwrócił się szybko i przycisnął twarz do tylnego okna, spoglądając na niebieską linię, na której trzymała się wisząca nad nieopisaną głębiną stacja. Zdawała się ona znikać na górze, nad kolejną płaszczyzną.

– Pilocie – odezwał się – chcę sprawdzić, czy możemy coś zrobić z pseudodługością naszej kotwicy rzeczywistości. Czy nie da się rozwinąć więcej?

– *Jest już rozwinięta na maksymalną długość* – odparła maszyna.

Harry zaklął. Wydawało się, że to dobry pomysł.

– Chwileczkę – mruknął. – Nie traktuj tego zbyt dosłownie. Spróbujmy innego podejścia. Dobra, może i nie da się jej bardziej rozwinąć, ale i tak spróbuj połaskotać to cholerstwo, w porządku? Może uda się zmienić jego długość w jakiś inny sposób. Rozciągnąć albo spowodować, żeby urosło.

Wiedział, że wypowiada się niejasno, ale elastyczność myśli czasem wymagała obmacania zamazanych granic problemu.

– *Zrobię to i zawiadomię cię o wynikach* – zapewnił komputer.

Nastąpiła seria cichych, buczących dźwięków, a potem platforma opadła z nagłym szarpnięciem. Nieważkość zapanowała na chwilę wystarczająco długą, by w piersi Harry'ego eksplodował strach. Stateczek zatrzymał się nagle i szympan powlókł się chwiejnym krokiem na fotel dowódcy. Miał wrażenie, że żołądek wciąż mu opada.

– J... j... j... – Powoli próbę. – I c... co?

– *Zasady topologii panujące w tym miejscu zdają się dopuszczać szeroki zakres elastycznych odwzorowań wiernokątnych. W praktyce oznacza to, że lina może się rozciągać do dowolnej długości z niemal każdą wybraną prędkością. Gratulacje, komandorze Harms. Wygląda na to, że odkryłeś sposób manewrowania w subiektywnym pionie.*

Harry zignorował rodzące się w nim podejrzenie sarkazmu. To mógł być jedynie wytwór wyobraźni. Ucieczka z tej pułapki okazała się łatwiejsza niż z płaskowyzu ze skórek od bananów.

Ale poczuje się bezpiecznie dopiero wtedy, gdy zrozumie panujące tu metaforyczne zasady.

Statki patrolowe nie bez powodu rzadko zapuszczały się w te okolice. Wielu tych, którzy próbowali, nigdy nie wróciło.

– Zacznij nas opuszczać – rozkazał. – Ale ostrożnie.

Półpłaszczyzna na górze zaczęła się oddalać, a „ziemia” zbliżała się miarowo. Ten widok coś mu przypominał – albo nieubłaganą naturę przeznaczenia... albo nadjeżdżający z przeciwka pociąg.

Podczas pobytu na Kazzkarku miał okazję zapytać o obłężenie Ziemi.

Nie powinien się tym interesować. Poświęcił życie zakonnemu Instytutowi Nawigacji i oczekiwano od niego, że wyrzeknie się wszelkich dawnych lojalności wobec kuzynów czy linii opiekunów. Jednakże niewiele istot rozumnych potrafiło całkowicie zapomnieć o dawnych sympatiach i pracownicy Instytutu nieraz dyskretnie wypytywali o wieści z „domu”.

Gdy tylko Harry znalazł wolną godzinę między składaniem kolejnych raportów, wybrał się na bazar, gdzie handlujący plotkami Le'4-2vo przyjął sowitą opłatę i zaprowadził go do wyłożonego osmem pokoju, w którym znajdowało się zamaskowane łącze biblioteczne.

Nie potrzebował wiele czasu, aby odnaleźć temat – którego znaczenie od poprzedniego razu wzrosło o trzy kolejne poziomy – pod hasłem „Ważne wiadomości – quasi-współczesne

wydarzenia”. Najnowsze wieści z Drugiej Galaktyki brzmiały straszliwie.

Terrańskie siły i ich nielicznych sojuszników zmuszono do odwrotu z kolonii na Canaanie, którymi prowizorycznie zarządzała sorańska admirał.

Na piękną, skolonizowaną przez delfiny Calafię najechali Bracia Nocy. Jedną trzecią pokrytej wodą planety zajęła jedna z ich frakcji, podczas gdy inne ugrupowanie owego gatunku fanatycznych wojowników walczyło zawzięcie o „wyzwolenie” reszty.

Ziemia była całkowicie obleżona i słabe terrańskie siły dawno już by się załamały, gdyby nie pomoc Tymbrimczyków oraz Thennianian, a także fakt, że wśród nieprzyjaciół ciągle wybuchały walki. Mimo to koniec wydawał się już bliski.

W jednym z przypisów Harry wyczytał, że małą kolonię na wydzierżawionym przez Ziemiaków Horście okupują straszliwi Tandu.

Po grzbiecie przebiegły mu ciarki. Wspomniano o ewakuacji miejscowego personelu, więc być może Marko i Felicity zdołali uciec razem z innymi antropologami, ale Harry raczej w to wątpił. Jego rodzice mieli obsesję na punkcie swej pracy. Zapewne postanowili zostać, przekonani, że najeźdźcy nie będą mieli powodu niepokoić pary uczonych zajętych pracą o czysto cywilnym charakterze.

Nawet jeśli wszyscy technicy i terraformerzy zdołali opuścić planetę, w jakiej pozycji zostawi to tubylców? Ludzkie plemiona, które wykorzystaly swój „nadzorowany” status mentalny jako licencję na ucieczkę przed rygorami nowoczesnego społeczeństwa, by eksperymentować z niezliczonymi formami społecznymi. Wiele z nich imitowało taki czy inny gatunek totemiczny. Niektóre grupy celowo starały się upodobnić do matriarchalnych rojów pszczół, inne zaś naśladowały stada lwów albo wilków bądź też przyjęły zwyczaje małżeńskie spotykane jedynie w dziwacznych przedkontaktowych powieściach. Większość małych grup nadzorowanych nie interesowała się zbytnio technologią ani galaktyczną polityką.

Będą bezradni wobec wojowniczych drapieżców, takich jak Tandu.

Harry uciekł z nory handlarza plotek, starając się skasować te wspomnienia ze swego umysłu. Wkrótce zwycięzcy nieziemiacy będą walczyć o szczątki pokonanego Ziemiaków Klanu. Wszędzie w Pięciu Galaktykach załamywały się neutralne rządy i łatwo będzie zmusić Instytut Wspomagania do uznania ludzi, szymów oraz delfinów za gotowe do adopcji. Wszystkie trzy gatunki zostaną podzielone jak łupy wojenne, każdy trafi do nowych „opiekunów”, a ci staną się jego społecznymi i genetycznymi przewodnikami na okres stu tysięcy lat.

O ile „przypadkowo” nie wyginiemy podczas zamieszania, które nastanie.

Zdarzało się to już poprzednio, niemal za każdym razem, gdy pojawiał się gatunek dzikusów, twierdzących, że wydzwignęli się do poziomu rozumności bez niczyjej pomocy. Uważano za zdumiewające, że Ziemiaki przetrwali tak długo.

No cóż, przynajmniej goryle są bezpieczne. Ihennanianie nie są złymi panami... jeśli już trzeba mieć panów.

Ciekawe, komu przypadną szmy.

Harry obnażył zęby w gniewnym grymasie.

Mogą mieć z nami więcej kłopotów niż to warte.

Podczas następnej rozmowy z Wer’Q’quinnem ośmielił się zadać otwarte pytanie:

– Czy wszystkie te hiperprzestrzenne anomalie i zaburzenia... są wywołane przez wojnę o Ziemię?

Zamiast skarcić Harry’ego za okazywanie zainteresowania sprawami swego dawnego klanu,

urzędnik Instytutu uprzejmie machnął pełną przysawek macką.

– Młody kolego, trzeba pamiętać, że jednym z wielkich intencjonalnych niebezpieczeństw grożących istotom rozumnym jest egotyzm, tendencja do patrzenia na wszystkie wydarzenia w kontekście własnej osoby albo gatunku. To naturalne, że wydaje ci się, iż cały wszechświat obraca się wokół problemów twojego dawnego klanu, choć jest on mały i pozbawiony znaczenia. Muszę przyznać, że najnowsze wydarzenia mogą skłaniać ku takiemu przypuszczeniu. Zawiadomienie o odkryciu domniemanych relikwii Przodków, odnalezionych w nieznanym miejscu przez osławiony statek o załodze złożonej z delfinów, doprowadziło do wybuchu otwartych walk między najbardziej wojowniczymi z tlenodysznych klanów. Szlaki handlowe przestają funkcjonować, ponieważ niektóre sojusze przejęły kontrolę nad lokalnymi punktami transferowymi. Mogę cię jednak zapewnić, że przepływy energii wywołane przez kosmiczne bitwy są stanowczo za słabe, aby mogły wpłynąć na kosmiczne łącza.

– Ale wydarzyły się jednocześnie! To nie może być zbieg okoliczności.

– Mylisz przyczynę ze skutkiem. Gniew i furia, które obecnie zwróciły się przeciwko dzikusom, narastały od wielu stuleci, nim jeszcze ludzie nawiązali kontakt z naszą kulturą. Już od czasu Epizodu Fututhoońskiego panował niepewny pokój, utrzymywany głównie przez strach. Wojownicze frakcje zbroiły się, czekając na następną fazę. Twój rodacy mieli pecha. To nie była odpowiednia dla niewiniątek chwila, by wyjść na gwiazdne szlaki.

Harry nie przestawał mrugać przez kilka sekund, aż wreszcie skinął głową.

– Mówisz o Czasie Zmian.

– W rzeczy samej. My, pracownicy Instytutów, już od prawie miliona lat wiedzieliśmy, że nadchodzi nowa era, pełna niebezpieczeństw i zamieszania. Wśród zapowiadających ją znaków była narastająca niestabilność w stosunkach między tlenodyszną a wodorodyszną kategorią życia, dochodziło też do spazmatycznych epizodów wykładniczego wzrostu wśród kategorii maszynowej. Te przypadki łamania zasad trzeba było tłumić przy użyciu brutalnych metod. Nawet wśród klanów naszej Cywilizacji Pięciu Galaktyk obserwowano narastanie religijnego ferworu.

Harry przypomniał sobie tłumy misjonarzy, którzy krążyli po głównych alejach Kazzkarku, głosząc rozmaite osobliwe interpretacje starożytnej przepowiedni.

– Wszystko to bzdurne przesady – mruknął.

Ku jego zdziwieniu Wer'Q'quinn zgodził się z nim emfaticznym trzaskiem dzioba.

– To, co zachowuje się najgłośniej, nie zawsze jest najbardziej reprezentatywne – wyjaśnił jego szef. – Większość gatunków i klanów wolałaby żyć i pozwolić żyć innym. Wytyczać własne ścieżki wiodące ku mądrości i pozwolić, by przeznaczenie przybyło, gdy nadejdzie czas. Kogo obchodzi, czy Przodkowie powrócą w fizycznej postaci, czy jako wcielone duchy, albo może objawią się na nowo w genomie jakiegoś niewinnego przedrozumnego gatunku? Sojusze fanatyków toczą zażarte walki o swe dogmaty, ale większość tlenodysznych woli miarowo zmierzać ku oświeceniu własnego gatunku. W końcu wszyscy poznają odpowiedzi, gdy dołączą do swych opiekunów i protoplastów w Kategorii Emerytowanej... a potem w Transcendencji... podążając ku przywołującemu wszystkich Objęciu Pływów.

Znowu to samo – pomyślał wówczas Harry. – To podstawowe założenie, spotykane w niemal wszystkich galaktycznych wiarach. Zbawienie osiągają gatunki, nie indywidualne organiczne istoty.

Tylko ten misjonarz Skiano, chodzący z papugą na ramieniu, głosił inne poglądy. Prawdziwa herezja!

– Tak więc, młody kolego – podjął Wer'Q'quinn – próbuj sobie wyobrazić, jak bardzo to wstrząsnęło wszystkimi, zarówno fanatykami, jak i umiarkowanymi, kiedy twój pechowi delfini

kuzyni ujawnili obrazy najwyraźniej ukazujące statki Przodków, unoszące się w jednym z najbardziej płaskich obszarów galaktycznej czasoprzestrzeni! Implikacje tej jednej sceny zagroziły podstawowemu przekonaniu podzielanemu przez niemal wszystkich tlenodysznych...

Zafascynowany szympans słuchał go z wielką uwagą, ale pech sprawił, że w tej samej chwili wpadł asystent z meldunkiem, że kolejny punkt transferowy rozpadał się w Sektorze Gorgol Piątej Galaktyki. Wer'Q'quinn nie miał już więcej czasu na abstrakcyjne dyskusje z niskimi rangą podwładnymi. Pośród chaosu, który nagle zapanował, Harry'ego wysłano do Wydziału Nadzoru, by dokończył składania meldunku. Nie miał już okazji zapytać starego węża o jego intrygującą uwagę.

Jakiemu podstawowemu przekonaniu? Co takiego było w odkryciu „Streakera”, że wszyscy wpadli w szal?

Wreszcie platforma opadła na „ziemię”.

Powierzchnia była stosunkowo miękka. Szczudłowate nogi wehikułu przejęły jego ciężar tylko z lekkim wstrząsem.

Na razie wszystko idzie dobrze. Nie pochłonęła mnie ziemia. Nie zaatakowało mnie stado pasożytniczych memów, pragnących zawładnąć moim umysłem albo sprzedać mi towary niedostępne w handlu od eonów.

Podobne wydarzenia zawsze wściekały Harry'ego.

Rozejrzał się ostrożnie po szerokiej płaszczyźnie pokrytej oklapłymi, puchatymi cylindrami. Wyglądały jak obwisłe kaktusy o smukłych łodygach, opierające się w wielu miejscach o siebie. Pokrywały teren tak daleko, jak okiem sięgnąć. Harry przeszedł na sterowanie ręczne i dotknął najbliższego skupiska szczudłowatą nogą wehikułu. Ugięło się swobodnie pod naciskiem, a potem wyprostowało powoli.

– Czy możemy wciągnąć kotwicę rzeczywistości? – zapytał pilota.

– *Nie ma potrzeby. Wróciła już do swej niszy.*

– W takim razie co to jest? – zapytał Harry, wskazując na niebieską linię, nadal wznoszącą się pionowo ku niebu.

– *Linopodobna metafora stała się strukturą semipermanentną. Jeśli chcesz, możemy ją tu zostawić.*

Harry spojrział w górę wzdłuż liny, pocierając brodę.

– Może nam zapewnić drogę ucieczki, jeśli będziemy zmuszeni szybko opuścić to miejsce. Zapamiętaj jej pozycję i w drogę.

Stacja zwiadowcza ruszyła przez równinę porośniętą kosmatymi rurami. Harry przechodził od okna do okna, wyglądając nerwowo na zewnątrz. Zastanawiał się, w jaki sposób objawią się śmiertelne niebezpieczeństwa, z których słynął ten region.

W oddali majaczyło co najmniej tuzin smukłych, niesamowicie wysokich wież, otaczających go ze wszystkich stron. Niektóre zdawały się mieć kwadratowy przekrój, inne zaś były prostokątne albo owalne. Momentami Harry odnosił wrażenie, że dostrzega w ich rozmieszczeniu sztywny formalizm, jakby wszystkie zajmowały wyznaczone pozycje na jakimś planie.

Wkrótce uświadomił sobie, że dziwnie zamazany wygląd wszystkich obiektów nie jest efektem przesłaniającej widok „mgiełki”, lecz wady w funkcjonowaniu samego wzroku. W tej części przestrzeni E był on najwyraźniej zmysłem o krótkim zasięgu.

Rewelacja. Nie ma nic lepszego niż częściowa ślepotą w miejscu, gdzie rzeczywistość dosłownie może cię zniecka ugryźć.

Marsz ku miejscu, gdzie ostatnio widział Aleję, powinien być krótki. Harry zwiększył prędkość,

posuwając się niezgrabnie przez równinę porośniętą mechatymi obiektami, splecionymi ze sobą niczym gęsta trawa. Te „rośliny” nie kołysały się na wietrze, jak piłorosty z Horsta, ale i tak przypominały mu bezkresne stopy ojczystej planety, gdzie przesłonięte całunem pyłu niebo rozjarzało się co świt rozproszonym, rażącym oczy blaskiem. Dawno temu, na Ziemi, taką właśnie krainą wzgardzili jego przodkowie przed powrotem na drzewa. Zgodnie z nakazami rozsądku zostawili palące niebo i ostrą trawę swym zidiociałym kuzynom – naczelnym, które miały za mało rozumu, by umknąć przed prażącym w południe słońcem i z czasem przerodziły się w ludzi.

Według Wielkiej Biblioteki Horst był niegdyś przyjemnym światem o bogatym, złożonym ekosystemie, ale przed tysiącleciami, zanim jeszcze Ziemianie zbudowali gwiazdoloty i przypadkiem odkryli galaktyczną kulturę – na kilku planetach w Sektorze Tanith wydarzyło się coś straszliwego. Zgodnie ze starożytnym Kodeksem Przodków naturalne ekosystemy uważano za świętość, ale Cywilizacja Pięciu Galaktyk popełniała niekiedy błędy. Podczas Epizodu Fututhoońskiego setki światów spustoszyła krótkowzroczna kolonizacja, zamieniając je w jałowe pustkowia.

Jak łatwo można było przewidzieć, potem nastąpił zwrot ku szalonej gorliwości. Różne frakcje obwiniały się nawzajem, żądając powrotu do prawdziwej ścieżki Przodków.

Ale której prawdziwej ścieżki? Kilka miliardów lat musiało zamazać nawet najstaranniej przechowywane zapiski. Z biegiem eonów zakradł się do nich szum, aż wreszcie zachowało się niewiele informacji o niemal legendarnym gatunku. Fakty zastępowano spekulacjami, a dowody dogmatyzmem. Umiarkowani starali się łagodzić konflikty między sojuszami fanatyków, których przesadzona reakcja na postfututhooński chaos groziła innego rodzaju katastrofą.

I w tej delikatnej sytuacji pojawili się Ziemianie. Z początku dzikusy były jedynie zabawną ciekawostką. Ludzie oraz ich podopieczni byli ciemni i nie potrafili się zachować. Samym swoim istnieniem irytowali niektóre wielkie klany. Co więcej, ponieważ ludzie jeszcze przed kontaktem wspomogli szympansy i delfiny, trzeba im było przyznać status „opiekunów”, co oznaczało prawo do zakładania kolonii, nieprzysługujące wielu starszym gatunkom.

Niech najpierw się sprawdzą na planetach dotkniętych katastrofą – brzmiał galaktyczny konsensus. Jeśli Ziemianie wykażą się kompetencją w przywracaniu do życia chorych biosfer, będą potem mogli otrzymać lepsze światy. Dlatego ludzie i ich podopieczni męczyli się na Atlaście, Garthu, a nawet nieszczęsnym Horście, zyskując z niechęcią udzielane uznanie jako planetarni zarządcy.

Nie obeszło się jednak bez kosztów.

Pustynny świat zmienia swych mieszkańców – pomyślał Harry. Gdy tylko przypomniał sobie Horsta, ogarnął go nagły smutek. Zszedł do kuchni, przygotował sobie posiłek i wrócił z nim na pokład obserwacyjny. Jadł powoli, patrząc na bezkresną równinę puszystych, powykręcanych rurek. Ten widok nadal wydawał mu się niesamowicie znajomy.

Wrócił w myślach na Kazzkark, gdzie wysoki misjonarz zasypywał go dziwnymi herezjami. Dziwaczny Skiano z papugą na ramieniu uważał Ziemię za święte miejsce, którego cierpienia przyniosą zbawienie całemu wszechświatowi.

– Nie widzisz analogii? Tak samo jak Jezus, Ali oraz wielebny Feng musieli zostać umęczeni, aby zbawić dusze ludzi, grzechy wszystkich tlenodysznych form życia może zmyć jedynie poświęcenie czegoś cennego, niewinnego i jedyne w swoim rodzaju. To znaczy twego ojczystego świata, mój drogi szympansy bracie!

Harry oznajmił mu wówczas, że to wątpliwy zaszczyt, wypatrując jednocześnie drogi ucieczki przez tłum, ale Skiano nie dawał za wygraną. Nastawił brzmieniacz na maksymalną głośność i każdy

znaczący błysk jego wyrazistych oczu przerażał się w ogłuszające szympansa słowa.

– Zbyt długo już rozumne istoty żyły w cieniu przeszłości, zafascynowane legendą o Przodkach, mitem, który obiecuje zbawienie gatunkom, ale nie ma nic do zaoferowania jednostkom! Wszyscy mierzą swoje postępy na drabinie Wspomagania: od podopiecznych do opiekunów, a potem przez szlachetny stan emerytów do Objęcia Pływów. Ale ile bilionów istnień poświęca się po drodze? A każde z nich jest drogocenne i niepowtarzalne. Każde jest doczesną manifestacją nieśmiertelnej duszy!

Harry wiedział, że błyski oczu są naturalną formą mowy Skiano, ale ich widok przydawał niesamowitej pasji dźwięcznym frazom płynącym z brzmieniacza.

– Pomyśl o swym rodzinnym świecie, o szlachetny szympansi bracie! Ludzie są dzikusami i osiągnęli rozumność bez Wspomagania. Czyż nie jest to forma narodzin z dziewicy? Czyż mimo niskiego pochodzenia nie wypadli na galaktyczną scenę, budząc podniecenie i kontrowersje, dostrzegając rzeczy, których nikt przedtem nie zauważał? Mówiąc słowa, których nikt nie śmiał dotąd rzec? Czyż Terranie nie cierpią teraz z powodu swej niepowtarzalności? Z powodu wiadomości płynącej z ich pięknego błękitnego świata, który wkrótce zostanie ukrzyżowany? Wiadomości niosącej nadzieję dla wszystkiego, co żyje?

Zebrał się już tłum gapiów. Skiano wznosił ręce nad głowę.

– Nie obawiaj się o swych najbliższych, o dziecię Ziemi. To prawda, że wkrótce czeka ich ogień i zniszczenie, ale ich ofiara przyniesie nowy świt wszystkim istotom rozumnym. Zaiste, nawet tym z innych kategorii życia! Fałszywe bożki wzniesione ku czci mitycznych Przodków zostaną zniszczone, a Objęcie Pływów zdemaskowane jako kłamliwa przynęta. Wszystkie serca zwrócą się wreszcie ku jedynej prawdziwej wierze, której wszyscy winni są posłuszeństwo. Ku świętemu Niebu, mieszkaniu jedyne, wiecznego, kochającego Boga.

– Amen! – zawołała w odpowiedzi jaskrawo upierzona papuga, trzepocząc skrzydłami.

Wielu gapiów obrzuciło misjonarza złowrogimi spojrzeniami, słysząc, że nazwał Przodków mitycznymi. Harry czuł się niepewnie jako obiekt uwagi kaznodziei. Jeśli tak dalej pójdzie, faktycznie mogą zostać męczennikami! Niektórych w tłumie wyraźnie powstrzymywała jedynie czcigodna reputacja gatunku Skiano.

Chcąc załagodzić sytuację, Harry zgodził się z niechęcią przyjąć zleczone mu przez misjonarza zadanie i obiecał, że przekaze wiadomość w mało prawdopodobnym przypadku, gdyby podczas następnej wyprawy napotkał anioła pańskiego.

Po mniej więcej godzinie subiektywnego czasu pokładowego nieco na lewo od Harry'ego zmaterializowało się niebieskie M.

– *Włączono tryb monitorowania, kapitanie Harms* – odezwał się lekko afektowany głos. – *Z przyjemnością oznajmiam, że Aleja jest już w zasięgu. Można ją obserwować przez przedni kwadrant.*

Harry wstał.

– Gdzie? Nie...

Nagle ją zobaczył. Westchnął głośno. Z dziwnej mgielki wyłaniała się usiana światłkami wstęga. Aleja wiła się przed nim na podobieństwo olbrzymiego węża. Wychodziła z mroku po lewej i znikła w ciemności po prawej. Pod pewnymi względami przypominała mu krętego „potwora morskiego”, którego widział podczas ostatniej wyprawy, nieopodal płaskowyzu ze skórek od bananów. Tamto jednak było tylko memetyczne stworzenie – niewiele więcej niż ekstrawagancka idea, wcielona myśl. Tym razem miał przed sobą coś zupełnie innego.

Aleja nie stosowała się do alloforycznych zasad przestrzeni E.

Ścisłej mówiąc, składała się ze wszystkiego, co nie było tą przestrzenią.

Dlatego właśnie mogły ją postrzegać kamery. Technicy z Instytutu Nawigacji wypełnili stateczek instrumentami obserwacyjnymi, które Harry miał rozmieścić w określonych odległościach wzdłuż migotliwej trasy, aby potem je zebrać po drodze powrotnej do bazy. Jeśli dobrze pójdzie, uzyskane w ten sposób dane pomogą podwładnym Wer'Q'quinna w przewidywaniu hiperprzestrzennych zmian wywołanych bieżącym kryzysem.

Nacisnął guzik. Stateczek zadrżał lekko, zostawiając na miejscu pierwszy pakiet czujników.

Czy powinien teraz skręcić w lewo, czy może w prawo? Nie widział żadnych powodów, by przedkładać jeden kierunek nad drugi.

No cóż, nadal pozostawał funkcjonariuszem prawa. Jego drugim zadaniem było wypatrywanie w przestrzeni E oznak przestępczej działalności.

– Komputerze, czy dostrzegasz ślady świadczące, że ktoś niedawno odwiedził tę okolicę?

– *Sprawdzam to. Intruzi musieliby się posuwać wzdłuż Alei, jeśli chcieliby dotrzeć do skrzyżowania z Czwartą Galaktyką. Każdy wielki statek przebijający przewód albo nawet przelatujący obok niego pozostawiłby po sobie fale, bez względu na to, jaki alloforyczny kształt mógłby przybrać.*

Platforma zbliżyła się do świecącego jasno przewodu. Harry już wiele razy widział Aleję podczas patroli, ale nigdy dotąd nie oglądał jej z tak bliska. W tym miejscu była dość wąska, tylko dwukrotnie przerastała szerokością wysokość stacji. Wewnątrz przewodu lśniły miliony maleńkich iskerek, unoszących się w nieprzeniknionej czerni.

Wąska, węzowata przestrzeń była pełna gwiazd... a także wielu innych obiektów. Krył się tam cały znany Harry'emu wszechświat – planety, słońca, całe pięć połączonych ze sobą galaktyk.

Pierwszym, dawno wymarłym odkrywcem owa topologiczna nieregularność mogła się wydawać znakomitym sposobem na ominięcie praw relatywistycznych. Wystarczy mieć jedno skrzyżowanie w wyjściowym układzie planetarnym i drugie w docelowym. Metody wchodzenia do przestrzeni E i opuszczania jej można było znaleźć w każdej filii Biblioteki Galaktycznej.

Przestrzeń E była jednak nieprzewidywalnym światem, pełnym metapsychologicznych dziwactw, a nawet figuratywnych absurdów. Trzymanie się przez cały czas w zasięgu wzroku od Alei, dopóki nie dotrze się do jakiegoś punktu położonego blisko miejsca przeznaczenia, mogło oznaczać albo podróż długą, albo bardzo krótką. Wzajemne odległości ciągle się zmieniały.

Zakładając, że wędrowiec znajdzie bezpieczny punkt wyjścia i poradzi sobie z przejściem, będzie miał szansę znaleźć się tam, gdzie pragnął. Pod warunkiem, że okaże się, iż w ogóle opuścił dom! Jednym z powodów, dla których większość istot rozumnych nienawidziła przestrzeni E, był fakt, że przyczynowość działała tu w zupełnie szalony sposób. Jeśli ktoś nie był ostrożny, mógł skasować sam siebie. Obserwatorzy, tacy jak Harry, czuli się poirytowani, jeśli wracali z misji tylko po to, aby się dowiedzieć, że nigdy nie istnieli.

Harry raczej nie aprobował przestrzeni E i tę opinię Instytut Nawigacji z pewnością uwzględnił w jego profilu. Mimo to musieli mieć jakieś powody, dla których pozwolili mu nauczyć się tego zajęcia.

Platforma ruszyła zygzakowatą trasą wzdłuż Alei, zatrzymując się od czasu do czasu, by pochylić szczudła i uruchomić instrumenty obserwacyjne, jak węszący pies. Harry ćwiczył cierpliwość, obserwując niezwykle mgławice przepływające obok, wewnątrz cylindrycznego kontinuum.

Nieopodal jego bliskiej granicy pojawiła się żółta gwiazda, widoczna na czarnym,

gwiazdzistym tle. Wydawało się, że jest tak blisko, iż mogłaby dotknąć statku.

Pewnie istnieje skończona szansa, że to Sol, a wokół niego krąży Ziemia, maleńki pyłek w kosmosie. Mniejsza niż jedna na miliard.

Wreszcie stacja się zatrzymała. Pochyła litera zawirowała szybciej.

– *Zauważyłem w pobliżu trzy odrębne ślady torowe statków – zameldował komputer. – Pierwszy przelatował tędy przed mniej więcej rokiem, a drugi podążył jego śladem wkrótce potem.*

– Pościg!

To przyciągnęło uwagę Harry'ego. Fakt, że trop przetrwał tak długo, świadczył, że okolica jest bardzo mało uczęszczana... a być może także o tym, że wędrowcy byli wyjątkowo zdesperowani.

– A co z trzecim statkiem?

– *Ten ślad jest świeższy. Kwestia kilku subiektywnych dni. I jest też coś jeszcze.*

– Tak? – zapytał Harry, łapiąc się nerwowo za kciuki.

– *Sądząc po śladzie, ten ostatni statek należy do Maszynowej Kategorii Życia.*

Harry zmarszczył brwi.

– Maszyna? W przestrzeni E? Jak sobie radzi z nawigacją? Albo nawet widzi, gdzie... – Potrząsnął głową. – W którą stronę poleciała?

– *W figuratywną lewą... w tę samą, w którą się obecnie zwracamy.*

Harry zaczął spacerować po podłodze. Wer'Q'quinn wydał mu wyraźne rozkazy. Musiał rozmieścić kamery tam, gdzie będą mogły zaglądać z przestrzeni E w normalniejsze kontinua, co zapewni technikom z Instytutu nowe spojrzenie na wpływ sił powodujący zamieszanie w Pięciu Galaktykach. Ale z drugiej strony w skład jego obowiązków wchodziło też śledzenie podejrzanych czynności...

– *Co rozkażesz, kapitanie Harms?*

– Za nimi! – wygarnął, nim jeszcze decyzja ukształtowała się w jego umyśle.

– *Przykro mi, nie jestem zaprogramowany do...*

– Tryb pilotażu! – zawołał z przekleństwem Harry i wskazał ręką naprzód, nim zdążyło się pojawić pisane kursywą *p*.

– W tamtą stronę! Szybko! Jeśli się pośpieszymy, mamy jeszcze szansę ich złapać!

Platforma zakołysała się, skręcając w prawo.

– *Aj aj, Hoover. Ruszamy. Wyczha!*

Tym razem Harry nawet się nie skrzywił. Program bywał irytujący, ale nigdy nie szkodziło to jego funkcjom. Dzięki Ifni, nawet Tymbrimczycy na ogół wiedzieli, kiedy powinno się skończyć z żartami. Stacja potruhtała na ośmiu nogach przez sawannę porośniętą zamazanymi, przypominającymi kaktusy, tworamami.

Po lewej stronie ciągnęła się Aleja, połyskliwy przewód zawierający wszystko co rzeczywiste.

SARA

Gdy „Streaker” wniknął w splątane trzewia punktu transferowego, sytuacja znacznie się skomplikowała.

Kaa, przebywający w sąsiednim, wypełnionym wodą pokoju, tłukł gwałtownie ogonem, wzbijając pianę.

– *Cholera, tu jessst za ciasno!* – sprzeciwił się głośno.

Sara wiedziała, że nie chodzi mu o ciasnotę panującą na mostku gwiazdolotu, lecz o kręty labirynt na zewnątrz, pełen strunopodobnych granic międzyprzestrzennych, zapętłających się przez wszystkie możliwe wymiary niczym deliryczny projekt kolejki górskiej stworzony przez jakiegoś szalonego planistę.

Węzeł punktu t faktycznie był raczej zatłoczony. Podczas normalnego transferu można było niekiedy dostrzec pośród splątanych nici odległe błyszczące punkty i zorientować się, że inne statki również poruszają się przez kręte połączenie między odległymi gwiazdami. Tym razem jednak wyglądało to tak, jakby brnęli przez gęstą dżunglę, gdzie na każdej gałęzi i lianie siedziały niezliczone świetliki.

Na ekranach rozbłyskiwały żółte ostrzeżenia. Kaa musiał raz po raz omijać wielkie statki, zmierzające ociężałe tą samą cienką trasą. Marginesy bezpieczeństwa były wąskie i pilotujący gwiazdolot delfin kilkakrotnie przelatował tak blisko olbrzymich transportowców, że Sara dostrzegała przelotnie ich zarysy na ekranach ukazujących niepowiększony obraz. Statek szarpał się w ich burzliwych śladach torowych niczym płochliwy wierzchowiec. Przeciążone silniki jęczały, gdy „Streaker” ze wszystkich sił trzymał się życiodajnej nici.

– Niemożliwe, żeby te wszystkie gwiazdoloty uciekały z Fraktalnego Świata! – zawołała Gillian przesyconym bojaźnią głosem.

– *Z pewnością tak nie jest, doktor Baskin* – zgodził się Niss, którego głos nadal zachował zuchwałe brzmienie. – *Tylko około miliona statków zmierza trajektorią zbliżoną do naszej, uciekając przed katastrofą, która skłoniła nas do panicznego exodusu. To tylko drobny ułamek populacji wypełniającej aktualnie tę macierz przestrzenną. Cała reszta statków wniknęła w nią z innych punktów. Dane zawarte w Bibliotece wskazują, że ten węzeł nici akceptuje wejścia z co najmniej stu punktów w normalnej przestrzeni, rozsianych po całej Czwartej Galaktyce.*

Sara zamrugała na myśl o tak wielu statkach. Większość z nich była znacznie potężniejsza od biednego „Streakera”, a wszystkie zmierzały z błogosławionym przez Jajo pośpiechem do wybranego czasu i miejsca.

– Myślałam, że Czwarta Galaktyka jest porzucona.

Z takim przekonaniem dorastała. Całe wielkie galaktyczne koło, niemal całkowicie pozbawione rozumnego życia. Czyż jej własni przodkowie nie wyruszyli tam w zamaskowanych skradaczach, czyż nie ominęli ściślej kwarantanny, by osiedlić się na zakazanej Jijo?

– *Porzucona, tak jest, ale tylko przez dwie z wielkich Kategorii Życia, mędrzyni Koolhan. Przez inteligencje maszynowe i tlenodysznych gwiazdnych wędrowców. Traktat migracyjny nie żąda ewakuacji od przedstawicieli pozostałych kategorii. Mimo to, sądząc po tym, co obserwujemy w tej chwili, nie byłoby przesadą zasugerować, że doszło do exodusu zakrojonego na szerszą skalę.*

Sara wydała z siebie ciche chrząknięcie, świadczące o zrozumieniu.

– Mieszkańcy Fraktalnego Świata...

– *Oficjalnie należeli do Emerytowanej Kategorii i pławili się w łagodnych pływach swego*

zadbanego, prywatnego słońca, spokojnie doskonaląc gatunkowego ducha w przygotowaniu do następnego kroku.

Najwyraźniej niektórzy z nich czują się już gotowi postawić ten krok.

– Jaki krok? – zapytała Gillian.

– *Najlepiej wyjaśnić to wizualnie. Patrz, proszę.*

Na jednym z większych ekranów pojawił się migoczący, znacznie powiększony obraz kilkudziesięciu statków wyglądających na raczej sfatygowane. Wszystkie mknęły wzdłuż lśniącego brzegu nici transferowej. Gdy obraz stał się wyrazistszy, Sara uświadomiła sobie, że wygląd statków bierze się z faktu, iż ich kadłuby pokrywa gąszcz kolców oraz zadziórów. To było absolutne przeciwieństwo opływowości.

To znaczy, że fraktalna geometria zniszczonej struktury Criswella utrzymywała się nawet w zbudowanych na małą skalę szalupach ratunkowych – uświadomiła sobie. – Ciekawe, czy to ciągnie się dalej? Co z ich ciałami? Ich żyjącymi komórkami?

Obraz powiększył się, skupił na dziobie pierwszego statku. Sara i inne przebywające w pokoju mapowym osoby zauważyły zdający się świecić własnym blaskiem glif, który składał się z kilku koncentrycznych kręgów.

Nawet barbarzyńska Jijanka z łatwością rozpoznała godło Emerytowanej Kategorii.

– *Przyjrzyj się teraz. Zaobserwowałem to już w kilku przypadkach. Ci uchodźcy z Fraktalnego Świata przygotowują się do ogłoszenia decyzji o monumentalnym znaczeniu.*

Sara poczuła, że Emerson przystanął obok niej. Wysoki, ranny mężczyzna ujął ją za rękę, spokojnie i bez natarczywości. Oboje przyglądali się brzemiennej w skutkach zmianie.

Pierwszy statek nagle zadrżał. Po jego fraktalnym kadłubie przebiegły drobne fale energii, zaczynające się na rufie i schodzące się ku świecącemu symbolowi na dziobie. Na parę chwil jego blask stał się tak jasny, że Sara musiała osłonić oczy.

Równie szybko osłabł. Gdy kobieta spojrzała znowu, glif miał już inną postać. Kręgi zniknęły, ustępując miejsca dwóm krótkim odcinkom prostej stykającym się pod rozwartym kątem, jak w trójkącie pozbawionym podstawy.

– *To znak unii –* oznajmił Niss nieco ściszym głosem. – *Dwa przeznaczenia spotykają się pod kątem stu czterech stopni.*

Gillian Baskin pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Aha – odparła tylko.

Wkurza mnie, kiedy to robi – pomyślała Sara. – Teraz będę musiała prosić o wyjaśnienie.

Wydarzenia przyśpieszyły jednak, nim zdążyła zapytać, co oznacza ta tajemnicza zmiana godła. Obraz kamery się przesunął i zobaczyli, że kilka kolejnych statków przeszło jeden po drugim identyczną transformację, przyjmując dwunogi symbol w ślad za przewodnikiem. Następnie grupka oddzieliła się od reszty uchodźców, tworząc odrębną flotyllę, która zaczęła się przesuwać ku przodowi, jakby niecierpliwie zmierzała ku nowemu przeznaczeniu. Przy następnym węźle nici transferowych statki rozjarzyły się ekstatycznie jasnymi wyładowaniami prawdopodobieństwa i przeskoczyły przez wąską lukę, zmierzając Ifni wie dokąd.

Reszta statków uchodźców nie przestawała się zmieniać i dzielić na grupy. Po kadłubach kolejnych potężnych gwiazdolotów przebiegały fale światła, zamazując nieco ich wyszczerbione zarysy. Powłoki pokryte splątaniem lasem kolców topniały i spływały, a potem zestalały się na nowo, przyjmując bardziej jednorodne kształty... znajome symetryczne zarysy kołnierzy hipernapędu używanych przez normalne gwiazdoloty w Cywilizacji Pięciu Galaktyk.

Tak samo jak poprzednio każda metamorfoza kończyła się oślepiającą eksplozją na dziobie

statku. Tym razem jednak, gdy światło zgasło, Sara zauważyła na miejscu koncentrycznych kręgów inny symbol – przekreśloną spiralę, taką samą jak na dziobie „Streakera”.

– *Ci tutaj najwyraźniej sądzą, że ich gatunkowy duch nie dojrzał jeszcze do transcendencji. Oni również postanowili się wyrzec statusu emerytów, ale pragną powrócić do społeczeństwa ambitnych i swarliwych tlenodysznych gwiazdnych wędrowców. Być może uważają, że mają jeszcze parę spraw do załatwienia, nim będą mogli wrócić do Objęcia Pływów.*

Gillian pokiwała głową z poważną miną.

– To my możemy być taką niezalutwioną sprawą.

Zwróciła się w stronę mostka.

– Kaa! Pamiętaj trzymać się z daleka od wszystkich statków noszących galaktyczne godło.

Z wypełnionej wodą sterowni dobiegły śpiewne odgłosy skomplikowanych fraz troistego, ekspresyjnego, poetycznego języka neodelfinów, którego Sara dopiero zaczynała się uczyć. Rytmiczne piski i klekoty zdawały się wyrażać pełną rezygnacji ironię. Kilka obecnych w pokoju mapowym osób zachichotało z uznaniem dla dowcipu pilota.

Sara zrozumiała tylko jedną prostą frazę:

...poza tym, który chce nas ugryźć w ogon!

Oczywiście, jednego statku ozdobionego przekreśloną spiralą nie pozbędą się tak łatwo. Jophurski okręt trzymał się ziemskiego gwiazdolotu jak cień, w odległości znacznie mniejszej niż ta, którą większość nawigatorów uznałaby za bezpieczną. Cały czas widzieli go na zwróconym ku tyłowi ekranie. Gdyby nie nowe gęste warstwy pokrywające kadłub „Streakera”, Kaa mógłby spróbować pełnej serii swych sztuczek i spróbować wymknąć się krążownikowi w szalonym wyścigu po krętych niciach. To jednak nie było możliwe. Obciążony „Streaker” poruszał się ociężale jak rudowiec.

No cóż, gdyby nie ta powłoka, usmażyłyby nas wiązki dezintegratorów – pomyślała Sara. – Bylibyśmy też łatwym łupem dla Jophurów. Może to wychodzi na zero.

Ponownie spojrzała na główny ekran powiększający. Flotylla uchodźców podzieliła się ponownie. Ci, którzy przybrali symbol spiralnej galaktyki, oddzielali się od pozostałych, wracając do pełnych wigoru i pasji poczynań wcześniejszej fazy życia.

– *Z tego węzła transferowego odchodzi kilka szlaków prowadzących do czterech pozostałych galaktyk. Istoty pilotujące te statki z pewnością zamierzają się spotkać z dawnymi klanowymi współbraćmi oraz podopiecznymi.*

– To jakby dziadek i babcia wrócili z domu spokojnej starości, aby znowu zamieszkać z młodymi – zauważyła Gillian, pociągając nosem. – Ciekawe, czy dzieciaki ucieszą się na ich widok.

Wirujący hologram zatrzymał się na chwilę, wyraźnie zbity z tropu.

– *Słucham?*

– Nieważne. – Doktor Baskin potrząsnęła głową. – Na naszych oczach dom starców rozpadł się na kawałki, a jego mieszkańcy uciekli w trzech różnych kierunkach. A co z tymi? – Wskazała na fraktalne statki nadal pozostające we flotylli, te, które zachowały dawne godło przedstawiające koncentryczne kręgi. – Dokąd się wybierają?

Niss znowu zawirował.

– *Zapewne do innej struktury Criswella. Gatunki, które naprawdę przeszły w stan spoczynku, nie mogą znieść zbyt długiego pobytu w tym, co nazywają „płytkim królestwem”, nie lubią podróży międzygwiazdnych i lękają dotyku słonecznych pływów. Dlatego wolą siedzieć głęboko w studni grawitacyjnej, w pobliżu uregulowanej gwiazdy.*

W gruncie rzeczy odbieram sporo krótkozasięgowych sygnałów... rozmów toczonych między statkami. Pytają, czy ktoś zna w okolicy inną fraktalną społeczność, która ma wolne miejsca i jest nasłoneczniona...

– Innymi słowy, szukają domu spokojnej starości, który zgodzi się ich przyjąć. Rozumiem.

– *W rzeczy samej. Ale najwyraźniej szczęście im nie sprzyja. Większość statków wchodzących do węzła z innych kierunków zadaje to samo pytanie!*

– Słucham? Mówisz o gwiazdolotach przybywających z innych miejsc? One też szukają schronienia? Myślałam, że istnieją dziesiątki tysięcy podobnych habitatów, a każdy z nich tak wielki, że...

– *Proszę, zaczekaj chwilę. Pozwól mi to sprawdzić.*

Zapadła cisza. Niss nasłuchiwał uważnie, coraz ciaśniej zaciskając swe wirujące linie. Gdy wreszcie się odezwał, jego syntetyczny głos był cichszy i pobrzmiwało w nim zdumienie.

– *Doktor Baskin, wygląda na to, że katastrofa, którą widzieliśmy we Fraktalnym Świecie, nie była izolowanym incydentem.*

Znowu nastąpiła długa przerwa, jakby Niss uważał za konieczne sprawdzić jeszcze parę razy to, czego się przed chwilą dowiedział.

– *Tak – podjęła w końcu maszyna – Dziwaczna i tragiczna informacja się potwierdziła. Struktury Criswella rozpadają się w całej Czwartej Galaktyce.*

Sarze trudno było to sobie wyobrazić. Zniszczenia, których świadkiem była – rozpad fantastycznej, kolosalnej konstrukcji będącej domem dla biliardów istot – nie mogły się powtórzyć w innych miejscach! Tak jednak mówiły wiadomości przekazywane w urywanych błyskach przez statki uchodźców mijające się nawzajem w gordyjskich łukach i pętłach węzła transferowego.

– Ale... myślałam, że to my byliśmy powodem wybuchu walk i całych tych zniszczeń!

– *Ja również tak sądziłem, mędrzyni Koolhan, być może dlatego, że Tymbrimczycy, którzy mnie stworzyli, wypełnili moją macierz osobowości przesadnym egotyzmem oraz wygórowaną opinią o własnym znaczeniu. W rzeczywistości istnieje też inna możliwa interpretacja wydarzeń, do jakich doszło we Fraktalnym Świecie. Niewykluczone, że jesteśmy jak mrówki, które uciekają z płonącego domu, powtarzając sobie, że pożar wybuchł dlatego, iż ich królowa zniosła niewłaściwe jajo.*

Sara rozumiała, co próbuje powiedzieć Niss, ale ta wizja nie spodobała się jej. Choć myśl, że prześladowają ich potężne siły, budziła grozę, niosła też ze sobą paranoidalne pocieszenie, potwierdzała, że są bardzo ważni w ogólnym planie wszechrzeczy, zwłaszcza jeśli wszechpotężne istoty niszczyły własne wspaniałe dzieła, by tylko móc ich dorwać. Niss zasugerował jednak, że cierpienia, jakie spotkały ich we Fraktalnym Świecie, były jedynie przypadkiem, ubocznym efektem wydarzeń zakrojonych na skalę tak ogromną, że jestestwo takie jak ona nigdy nie zdoła ich pojąć.

– A... ale... a... ale kto w takim razie zniszczył Fraktalny Świat? – zapytał mały, krabopodobny qheuen, Koniuszek Szczypiec.

Nikt nie odpowiedział. Nikt nie znał odpowiedzi na to pytanie, choć Sara zaczęła rozważać pewną możliwość. Była ona tak niepokojąca, że kobieta potrafiła ją sobie wyobrazić tylko w postaci matematycznej. Jako serię równań i warunków brzegowych, które potrafiła uczynić schludnymi i beznamiętnymi. W przeciwnym razie implikacje mogłyby wstrząsnąć nią stanowczo zbyt głęboko, podważyć jej wiarę w stabilność samego kosmosu.

– Gillian, Kaa melduje, że zbliżamy się do skrzyżowania, które może nas zaprowadzić do Drugiej Galaktyki – odezwała się delfini porucznik, Tsh't, wprowadzając do rozmowy nutę

pragmatyzmu. – Czy Tanith nadal pozostaje twoim celem?

Blondynka wzruszyła ramionami. Na jej twarzy malowało się znużenie.

– Tak, chyba że ktoś potrafi wskazać luki w moim rozumowaniu.

– *Jego niedoskonałości łatwo jest zauważyć* – odpowiedział Niss głosem, który odzyskał sardoniczne brzmienie. – *Chcesz nas zaprowadzić tam, gdzie panują przemoc i chaos, do części wszechświata, w której nasi wrogowie są najliczniejsi.*

Nie, doktor Baskin, nie pytaj o wady.

Lepiej zapytaj, czy ktoś z nas ma lepszy pomysł.

Gillian ponownie wzruszyła ramionami.

– Mówisz, że Jophurzy w każdej chwili mogą odkryć sposób na uporanie się z naszą nową zbroją. Musimy znaleźć jakiś azyl, nim do tego dojdzie. Zawsze pozostaje niewielka nadzieja, że Instytuty...

– W porządku – przerwała jej Tsh't. – Naszym celem jest Druga Galaktyka. Sektor Tanith. Jego stołeczna planeta. Zawiadomię Kaa.

Teoretycznie podopieczni nie powinni przerywać opiekunom, ale Tsh't chciała po prostu zyskać na czasie.

Zmierzamy ku Ziemi – pomyślała w tej samej chwili Sara. – Wkrótce znajdziemy się tak blisko niej, że Sol stanie się widoczną gwiazdą, odległą tylko o kilkaset parseków, prawie za rogiem. Być może już nigdy nie zdołamy bardziej się do niej zbliżyć.

Gillian Baskin skinęła głową.

– Tak jest, ruszajmy.

HARRY

Około subiektywnej doby po wyruszeniu w pościg za tajemniczymi intruzami Harry dowiedział się o zagradzającej mu drogę przeszkodzie.

Mknąc przez osobliwy region przestrzeni E, skrzętnie wykonywał główne zadanie, jakie zlecił mu Wer'Q'quinn – rozmieszczał pakiety instrumentów obserwacyjnych wzdłuż grubego, krętego przewodu, w którym zawierał się cały gwiazdny wszechświat. Wewnątrz Alei kryły się wszystkie znane Harry'emu galaktyki, a także skomplikowane hiperprzestrzenne łącza zwane punktami transferowymi. Spoglądając na przewód, Harry zawsze dostrzegał w nim osobliwie wypaczone konstelacje, unoszące się w pustce mgławice, a nawet całe ramiona spiralne, pełne migotliwych gwiazd i jaskrawych erupcji pobudzonego gazu. Świadomość, że zawarta wewnątrz przewodu domena jest nieporównanie rozleglejsza niż otaczające ją ciasne królestwa metafor, wydawała się dziwna i przeczyła wszelkiej intuicji.

Harry przyzwyczał się już do myśli, że żyje we wszechświecie tak skomplikowanym, że jego zrozumienie znacznie wykraczało poza możliwości biednego szympaniego mózgu.

Wykonując zlecone przez Wer'Q'quina zadania, utrzymywał maksymalną bezpieczną prędkość stateczku zmierzającego tropem pozostawionym przez ostatnich gości, którzy odwiedzili tę egzotyczną domenę.

Coś w owym tropie budziło jego podejrzenia.

Oczywiście, powinienem czekać sobie spokojnie, aż minie wyznaczony przez Wer'Q'quina czas, a potem zebrać kamery i zmiatać, nim ta strefa metarzeczywistości znowu się zmieni, rozpuszczając mój statek i mnie razem z nim!

Lokalna strefa pełna niesamowitych sylwetek i wypaczonej logiki była tak niebezpieczna i niestabilna, że memetyczne istoty – formy życia naturalnie występujące w przestrzeni E – pojawiały się tu rzadko i były płochliwe. Wyglądało na to, że wcielonym ideom okolica wydawała się równie nieprzyjemna jak Harry'emu. Szympanś zauważył tylko kilka pojęciowych zwierząt pasących się na prerii porośniętej puszystymi, podobnymi do kaktusów cylindrami. Większość ruchomych wyobrażeń sprawiała wrażenie bardzo prostych, ograniczających się do prostej deklaracji: „Ja istnieję”.

Jakby wszechświat cokolwiek to obchodziło.

Zwinny stateczek szybko podążał tropem pozostawionym przez poprzednich intruzów. Przedmioty wykonane z prawdziwej materii zostawiały w przestrzeni E wykrywalne ślady. Z każdego fizycznego obiektu, który odważył się wtargnąć do królestwa urzeczowionych abstrakcji, nieustannie odpadały albo parowały maleńkie drobiny. Mogły to być smużki atmosfery porwane z systemu podtrzymywania życia albo fragmenty metalu z kadłuba, o średnicy nie większej niż sześć, siedem atomów.

Trop z każdą chwilą był coraz świeższy.

Ciekawe, dlaczego tu przybyli – pomyślał Harry. Najstarszy ze śladów miał około roku... jeśli można było ufać jego miernikowi subiektywnego czasu, oceniającemu tempo, w jakim rozkładały się tu protony, zmieniając swą masę w mikroskopijne deklaracje. Na podstawie profilów rozproszenia potrafił ocenić, że mały stateczek przed nim – ten, który przeleciał tędy pierwszy – nie przerastał rozmiarami jego ruchomej stacji.

Musieli być zdesperowani, jeśli wybrali tę drogę. Albo totalnie się pogubili.

Drugi trop był niewiele świeższy. Statek, od którego pochodził, był większy, ale i tak ustępował rozmiarami korwecie. Nie ulegało wątpliwości, że zawzięcie ścigał pierwszy.

Dzięki próbkom unoszących się w przestrzeni cząsteczek Harry potwierdził, że oba statki należały do jego własnej kategorii życia. To były gwiazdoloty Galaktów i na ich pokładzie przebywały tlenodyszne formy życia – aktywne, pełne wigoru, ambitne i nierzadko skłonne do przemocy.

Trzeci statek zbił go na pewien czas z tropu. Przelatywał tędy znacznie później, być może zaledwie kilka dni temu. W jego śladzie torowym wciąż unosiły się gęste chmury atomów. Sondy próbkujące wysuwały się ze stacji Harry'ego na podobieństwo czulek jakiegoś obdarzonego chemicznym zmysłem owada, odkrywając metaloceramiczne profile, kojarzone zwykle z mechanicznymi formami życia.

Jako akolita Instytutów Harry zawsze miał oko na podejrzane poczynania maszynowych jestestw. Mimo że mechanoidy od miliardów lat programowano z myślą o ostrożności, nadal pozostawały skłonne do okazjonalnych spazmów niekontrolowanego rozmnażania, podczas których zagarniały i wykorzystywały wszystkie dostępne surowce, produkując kopie samych siebie w rosnących wykładniczo ilościach.

Rzecz jasna, ten problem dotyczył każdej kategorii, ponieważ wszystko, co zwano „życiem”, miało skłonności do oportunistycznego wzrostu. Tlenodyszni również dopuścili się w Pięciu Galaktykach ekologicznych holokaustów. Ich populacje niekiedy rosły tak gwałtownie, że zużywały zasoby planet szybciej, niż mogły się one odnawiać. Dlatego właśnie uchwalono prawa migracyjne, nakazujące regularnie pozostawiać odłogiem wielkie strefy galaktyk, aby miały możliwość się odnowić. Niemniej reprodukcja maszyn bywała wyjątkowo szybka i żarłoczna, często też zaczynała się w mrocznych zakątkach przestrzeni, których nikt nie obserwował. Raz zdarzyło się, że fala autonomicznych replikatorów nabrała tak wielkiego impetu, że w ciągu zaledwie dziesięciu milionów lat zużyła wszystkie planetoidy w Trzeciej Galaktyce, zmieniając każdy gram ich masy we wrzecionowate automaty... które potem zaczęły demontować planety. Dopiero interwencja koalicji wszystkich pozostałych kategorii życia zdołała powstrzymać katastrofę.

Maszyny nie były też jedynym obiektem zainteresowania Harry'ego. W czasach takich jak te, gdy uwagę cywilizacji tlenodysznych odciągały walki wewnętrzne, trzeba było mieć oczy otwarte, by konkurencyjna kultura wodorodysznych nie wykorzystała sytuacji.

Niemniej ślady wykryte przez Harry'ego wydawały się bardziej dziwne niż niebezpieczne. Wielka ilość metalicznych szczątków sugerowała, że mechanoid może być uszkodzony. Wykrył też inne anomalie. Czujniki zarejestrowały zapach aminokwasów oraz innych odpadów organicznych. Najwyraźniej maszynowemu statkowi towarzyszyły niewielkie ilości tlenowego życia. Być może jako ładunek? Mechanizmy niekiedy używały biologicznych części, które były bardziej odporne na uszkodzenia wywołane promieniowaniem kosmicznym niż wymagające obwody logiczne.

Po upływie midury musiał zaprzestać na chwilę pościgu, aby umieścić kolejny pakiet czujników. Starannie wybrał lokalizację, by kamery zaglądały prosto do wnętrza Alei, zbierając dane dla techników z Instytutu Nawigacji. Harry miał nadzieję, że okażą się one cenne.

Rzecz jasna, jego szef przeprowadził już mnóstwo pomiarów za pomocą sond wysłanych do wszystkich punktów transferowych, a także na poziomy hiperprzestrzenne A, B i C. Co więcej, wędrowcy rutynowo składali meldunki o warunkach, jakie napotkali podczas podróży. Wysyłanie Harry'ego w daleką drogę po informacje pochodzące z tak osobliwego źródła wydawało się niezrozumiałe i niekonwencjonalne, co jednak dało mu prawo osądzać Wer'Q'quinna?

Znajduję się prawie u samej podstawy słupa totemowego. Mogę tylko wykonywać swoją robotę najlepiej, jak potrafię i nie próbować odgadywać zamiarów szefa.

Podczas odprawy przed misją Harry dowiedział się, że instrumenty wykazują narastanie napięć

na niemal wszystkich szlakach kosmicznych w Pięciu Galaktykach. Regularnie zdarzały się pęknięcia i blokady, co sprawiło, że wymiana handlowa poważnie ucierpiała. Gdy jednak Wer'Q'quinn zwrócił się z zapytaniem do wysokich rangą urzędników z kwatery głównej Instytutu Nawigacji, otrzymał w odpowiedzi jedynie banalne, uspokajające slogany.

Te wydarzenia nie są dla nas zaskoczeniem.

Poczyniono przygotowania (dawno temu), które pozwolą nam poradzić sobie z tymi zjawiskami.

Agenci twojego poziomu nie powinni się martwić o ich przyczyny ani długoterminowe skutki.

Wykonuj wyznaczone ci zadania. Chroń ruch międzygwiazdny. Pilnuj bezpieczeństwa publicznego. Nadal przekazuj dane. A przede wszystkim zapobiegaj panice. Dbaj o morale obywateli.

Utrzymuj sprzęt w gotowości.

Odwołaj wszystkie urlopy.

To pismo nie wydawało się Harry'emu szczególnie inspirujące. Nawet Wer'Q'quinn był poirytowany, choć odczytywanie nastroju lądowej kałamarnicy nie należało do łatwych zadań.

Ta sytuacja skłoniła szympansa do dalszych rozważań nad swą aktualną misją.

Być może Wer'Q'quinn nie poinformował swych szefów, że wysyła mnie na wyprawę. Niewykluczone, że chce spojrzeć na wydarzenia z perspektywy, która nikomu w kwaterze głównej nie przyszlaby nawet do głowy, nie wspominając już o próbach zrobienia czegoś w tej sprawie.

Harry doceniał zaufanie, jakim obdarzył go przełożony... ale jednocześnie martwił się myśląc o płynących stąd implikacjach.

Czy to możliwe, że wszystko się rozpada? – zastanawiał się. – Może ten misjonarz Skiano ma rację? Jeśli to koniec świata, cóż nam pozostaje poza zadbaniem o stan własnej duszy?

Zaledwie na midurę przed wyruszeniem na misję Harry z mieszanymi uczuciami i odrobiną lęku zgodził się przyjąć zaproszenie Skiano i odwiedzić jego małą kongregację neofitów. W niewielkim magazynie położonym w taniej dzielnicy Kazzkarku spotkał pstrokatą bandę istot, które przyłączyły się do nowej dziwacznej sekty.

Była tam para tęgich Synthian – istot tradycyjnie przyjaźnie nastawionych do terrańskich zwyczajów oraz idei – a także grupka małych wazonów, Pring o wylupiastych oczach, troje pornathów, pręgowany ruguggl oraz...

Harry pamiętał, że zatoczył się do tyłu z zaskoczenia, ujrawszy grupkę przerażających Braci Nocy! Te istoty o muskularnych, opływowych ramionach oraz rekinopodobnych obliczach sływały z silnych, lecz kapryśnych impulsów religijnych. Próbowwały różnych wyznań i stawały się ich fanatycznymi zwolennikami, dopóki nie znalazły sobie czegoś nowego. Mimo to szympans był wstrząśnięty, ujrawszy ich w tak mieszanej grupie wyznawców, u boku istot, których nic absolutnie nie łączyło z ich gatunkiem i klanem.

Różnorodni wierni skupiali się wokół symbolu, który Harry'emu wydawał się dziwaczny, a zarazem niepokojący. To był holograficzny portret Ziemi, ojczystego świata jego gatunku, neosympansów. Z planety biła święta iluminacja pod postacią wiązek promieni w kształcie krzyża. W miarę jak hologram się obracał, Ziemia puchła... a potem się rozpadała, oddając swą substancję jasnym promieniom, wzmacniając dar oświecenia aktem złożenia się w ofierze.

Po paru chwilach świat skupiał się na nowo w cudownym zmartwychwstaniu i rozpoczynał się kolejny cykl.

– Uczono nas, że celem życia jest samodoskonalenie – zaczął Skiano, przemawiając najpierw w błyskowym dialekcie drugiego galaktycznego przy użyciu dolnej pary oczu, a potem, niemal jednocześnie, w słyszalnym siódmym galaktycznym, płynącym z brzmieniacza, który trzymał w ręce.

– Owa mądrość z pewnością jest prawdziwa. Przekracza wszelkie granice kategorii i klasy. Gdy już osiągnie się rozumność, treścią życia musi być coś więcej niż prosta kontynuacja ego i genów. Dawno temu Przodkowie uczyli, że naszym najwyższym celem jest poszukiwanie poczucia celu. By nasze istnienie miało sens, potrzebujemy czegoś, ku czemu wymierzimy pocisk swego życia. Co jednak we wszechświecie można udoskonalić? Z pewnością nie materię, która zawsze z czasem redukuje nawet najwspanialsze artefakty i pomniki do słabej poświaty promieniowania cieplnego. Każdy indywidualny organizm będzie się starzał i z czasem umrze. Niektóre wspomnienia można zapisywać albo rejestrować na cyfrowych nośnikach, ale prawdziwe doskonalenie zawsze się z czasem zatrzymuje. Nawet kosmos, który obserwujemy zmysłami, sprawia wrażenie skazanego na rządy entropii i chaosu. Tylko gatunki stają się z czasem coraz doskonalsze. Najpierw ślepa ewolucja przygotowuje drogę na niezliczonych światach kolebkach, przesiewając i testując najrozmaitsze zwierzęce formy, aż wreszcie pojawiają się drogocenne organizmy przedrozumne. Mogą one następnie wstąpić w błogosławiony krąg adopcji i Wspomagania, korzystając z przewodnictwa tych, którzy zjawili się przed nimi, i z czasem przyspieszać swój rozwój. Do tego punktu ścieżka, którą wskazali nam Przodkowie, była dobra i mądra. Dzięki niej światy kolebki chroniono i uznawano za święte. Dzięki niej potencjał mógł przetrwać, a wiedzę przekazywano w nieskończonym kręgu wychowania. A co się dzieje, gdy starszy gatunek nauczy już podopiecznych wszystkiego, co wie, przekazuje im głęboką mądrość i zrozumienie? Wtedy nadchodzi pora powrotu do pracy nad samodoskonaleniem, wycofania się z życia kosmicznych wędrowców, by szukać gatunkowej doskonałości w miłosnym Objęciu Pływów. Tą właśnie ścieżką, wiodącą w ciasne objęcia grawitacji, odeszli ponoć sami Przodkowie, którzy czekają na jej końcu, chcąc przywitać każdą nową linię genetyczną, która osiągnie ostateczną transcendencję.

Skiano złączył zakończone przyssawkami dłonie i pochylił się ku wiernym.

– Ale czy to jedyna droga prowadząca do doskonałości? Owa dalekowzrocza, skupiona wyłącznie na gatunkach wizja zbawienia wydaje się zimna i odległa, zwłaszcza dzisiaj, gdy być może zostało nam już bardzo niewiele czasu. Za mało, by młodsze gatunki zdążyły się udoskonalić tradycyjnym sposobem. Poza tym, cóż owa wizja oferuje jednostkom? To prawda, że świadomość, iż poświęciliśmy życie na pracę nad tym, aby następne pokolenie stało się nieco doskonalsze od nas i nasi potomkowie postąpili kolejny krok na szlaku ku spełnieniu, może sprawiać wielką satysfakcję. Czy jednak nie istnieje żadna nagroda dla istot, które w tym życiu były dobre, honorowe i szlachetnie poświęcały się dla innych? Czy nie ma żadnej ciągłości ani transcendencji dla pojedynczej jaźni? Zaiste, przyjaciele i współbracia, powiadam wam, że jest taka nagroda! Wieści o niej dotarły do nas z najmniej prawdopodobnego ze wszystkich miejsc. Z małego niezwykłego świata, na którym dzikusy dobiły się do rozumności nieskalane i nietknięte, po pokonaniu długiej i żmudnej drogi samowspomagania, na której jedynie pieśni wielorybów łagodziły ich samotność. One... oraz niosąca pociechę obietnica jedyne prawdziwego Boga. Piękna i straszna obietnica. Ów mały świat zwany Ziemią wkrótce ją wypełni, gdy zostanie umęczony za nasze grzechy. Zaiste, za każdą pojedynczą istotę rozumną. Obietnica zbawienia i życia wiekuistego.

Harry zostawił na miejscu ostatni pakiet instrumentów i miał trochę czasu do zabicia, nim będzie musiał je zebrać. Dlatego wznowił pościg za intruzami.

Wszystkie trzy statki trzymały się blisko Alei... co było rozsądnym środkiem ostrożności,

ponieważ konwencjonalne gwiazdoloty raczej nie były przystosowane do nawigacji w przestrzeni E. W ten sposób mogły skoczyć z powrotem do wszechświata realnego, gdyby sytuacja w imperium memów stała się nagle groźna.

Oczywiście „skok” do wnętrza Alei również był niebezpieczny. Na przykład statek mógł się wyłonić w Pięciu Galaktykach i wszystkie składające się nań atomy mogły zajmować odpowiednie pozycje... ale w odległości metrów zamiast angstromów, przez co ciało pilota osiągnęłoby rozmiary gwiazdy i gęstość wysokiej próżni.

Nawet jeśli statek i załoga zachowały fizyczną spójność, mogły trafić do regionu przestrzeni położonego daleko od wszelkich drogowskazów i punktów transferowych, co w praktyce uniemożliwiłoby powrót do domu.

W porównaniu ze zwykłymi gwiazdolotami stateczek Harry’ego był wytrzymały i elastyczny, znacznie lepiej przystosowany do tego typu podróży. Zaprojektowano go z myślą o warunkach panujących w przestrzeni E i pilotował go żywy, wyszkolony obserwator, mógł więc znaleźć bezpieczniejsze punkty wejścia i wyjścia niż sama Aleja.

Ze wszystkich ściganych statków najbardziej martwiło Harry’ego maszynowe jestestwo. Myślał o nim z uczuciem bliskim litości.

Grozi mu naprawdę poważne niebezpieczeństwo. Biedny mechanoid musi wymacywać sobie drogę niemal na oślep.

Harry nakazał przyspieszyć biegnącej na uginających się nogach stacji. Zadawał sobie pytanie, co mogło skłonić podobne jestestwo do wtargnięcia do przestrzeni E w ślad za dwoma statkami należącymi do tlenodysznych. Wkrótce zaczął wykrywać ślady cyfrowych procesów myślowych, niezawodny znak, że gdzieś za otaczającą go mgiełką działają zaawansowane, nieosłonięte komputery.

To tak, jakby mechanoid krzyczał do wszystkich drapieżnych memów w okolicy: „Hej, zwierzaki! Chodźcie mnie zjeść!”

Harry zapatrzył się w mrok i ujrzał przed sobą nieprawdopodobnie wysokie urwisko. Jego jasnoszarawą powierzchnię pokrywały symetryczne czerwone plamy. Bariera wznosiła się nagle nad równinę i znikła we mgle wiele metrów – albo mil – na górze. Błyszczący przewód Alei zmierzał prosto na nią!

Czerwono-pomarańczowe kleksy rozmieszczono w czysto geometrycznych szeregach, na podobieństwo ciągnących się bez końca szeregów walczących ze sobą okrętów. Harry popatrywał na nie niepewnie, aż wreszcie pilot oznajmił, że to tylko dwuwymiarowe odbarwienia, nic więcej.

Stacja maszerowała przed siebie, deptając kosmaty step szcudłowatymi nogami. Harry wkrótce uświadomił sobie, że w barierze widnieje dziura, w którą wnika Aleja. Po obu stronach było trochę wolnego miejsca, wystarczająco wiele, by zmieściła się tam platforma zwiadowcza albo mały gwiazdolot.

– *Jestem przekonany, że ktoś tu użył broni energetycznej* – wyszeptał z namysłem tryb pilotażu.

Szympanś również zauważył, że przypominające jaskinię przejście poszerzono siłą. Od miejsca wlotu rozbiegały się szczeliny, a między puszystymi cylindrami wałały się ukruszone fragmenty ściany.

– Durnie! Ich statek był za wielki, by tu się zmieścić. Zamiast znaleźć metaforę, która pozwoliłaby im się przedostać, po prostu utorowali sobie drogę przemocą!

Harry potrząsnął głową. Próby zmieniania przestrzeni E siłą były niebezpieczne. Znacznie lepiej było znajdować drogę, przestrzegając jej dziwnych zasad.

– *Najwyraźniej zdarzyło się to przed rokiem, gdy większy statek próbował podążyć za mniejszym. Czy mam włączyć tryb obserwacji w celu ustalenia, jakiego rodzaju broni użyto?*

Harry potrząsnął głową.

– Nie ma czasu. Niewątpliwie mamy do czynienia z idiotami... albo fanatykami. Tak czy inaczej, to oznacza kłopoty.

Ponownie zapatrzył się w mrok otaczający wnikającą do jaskini Aleję. Z pewnością była to kolejna granica strefy. Gdy tylko tam wejdzie, metaforyczne zasady znowu się zmienią.

Wer'Q'quinn nie byłby z tego zadowolony. Nie sposób było zagwarantować, że Harry zdoła wycofać się z jaskini. Pierwszeństwo powinno mieć rozmieszczanie instrumentów.

Po dłuższej przerwie – co typowe dla neoszymów, poświęconej głównie na drapanie się – podjął z uśmiechem decyzję.

– Wchodzimy tam – rozkazał. – Przygotuj się do przejścia symbolicznego! – Zajął miejsce w fotelu pilota i zapiął pasy. – Zasuń kotary i...

Napisane kursywą *p* zawirowało szybciej.

– *Ostrzeżenie! Coś się zbliża!*

Harry wyprostował się i rozejrzał wokół. Połowę pola widzenia przesłaniało mu urwisko. Za sobą miał świetlisty przewód Alei, który ciągnął się przez porośniętą kosmatymi cylindrami równinę, aż wreszcie nikał w mgiełce.

Szarpnął się za oba kciuki, przypominając sobie pierwszą zasadę przetrwania w przestrzeni E. Kiedy spotkasz obcego, siedź cicho i dowiedz się, kim jest, zanim cię zauważy.

– Identyfikacja? Potrafisz określić, skąd przybywa?

Program pilotujący wahał się tylko przez chwilę.

– *Obiekt jest nieznany. Zbliża się ze strefy przejściowej.*

– Musimy zniknąć mu z oczu – mruknął. – Ale gdzie się schowamy?

– *Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, chyba że spróbujemy lotu. Wymyśliłeś już jakiś sposób, Harvey?*

– Nie wymyśliłem, niech cię szlag!

– *Nieprzyjaciół jest coraz bliżej.*

Harry walnął pięściami w poręcz. Pora coś przedsięwziąć. Wszystko jedno co.

– Podbiegnij do ściany!

Stacja ruszyła przed siebie zgrabnym galopem. Harry wsunął wszystkie cztery kończyny w rękawy ręcznego pilotażu.

– Przejmuję stery! – zawołał.

Gdy platforma dotarła do pionowej ściany, wysunął dwie szcudłowate nogi wehikułu i wsparł je na gładkiej powierzchni.

Wstrzymał oddech...

Stacja stanęła w pozycji pionowej i zaczęła się wspinać po ścianie tak swobodnie, jakby do tego właśnie ją zaprojektowano.

DZIENNIK ALVINA

Muszę jak najszybciej napisać tę notatkę. Nie ma czasu na poprawki. Nie zdążę poprosić autoskryby, żeby sprawdził gramatykę albo zasugerował mi jakieś trudniejsze słowa. Weszliśmy już na pokład jednej ze zdobycznych thennańskich szalup. Do startu została niespełna midura. Muszę szybko skończyć, żeby móc zostawić kopię na pokładzie „Streakera”.

No wiecie, chcę, by Gillian Baskin ją zachowała, bo nie mam pojęcia, czy nasz mały wypad zakończy się powodzeniem. Wysłano nas w nadziei, że szalupa zdoła dotrzeć w bezpieczne miejsce, podczas gdy „Streaker” stawia czoło zagrożeniu, z jakim nigdy się dotąd nie zetknął. Sprawy mogą się jednak potoczyć dokładnie na odwrót. Jeśli nauczyliśmy się czegoś podczas naszych przygód, to tego, że niczego nie można być pewnym.

Tak czy inaczej, doktor Baskin coś mi obiecała. Jeśli ona zdoła dotrzeć do domu, a my nie, postara się wydać mój dziennik na Ziemi albo w jakimś innym miejscu. W ten sposób chociaż po śmierci zostanę prawdziwym pisarzem. Moje słowa będą czytane jeszcze po stuleciach i mogą dotrzeć na wiele światów.

To tak superpołyskliwie, że niemal pozwala mi znieść myśl o rozłące, choć pożegnanie z przyjaciółmi, których zdobyliśmy na pokładzie gwiazdolotu, było dla mnie prawie tak samo trudne jak pozostawienie całej rodziny na Jijo.

Niemniej jeden z członków załogi poleci na naszym stateczku.

Doktor Baskin dała nam swego najlepszego pilota, chcąc mieć pewność, że dotrzemy bezpiecznie do celu.

– Nic nie wskazuje na to, że będziemy potrzebować kosmicznego surfera najwyższej klasy tam, dokąd się udajemy – oznajmiła mi.

– Wy zaś tylko z Kaa będziecie mieć jakiekolwiek szanse.

Oczywiście, Huck musiała się sprzeciwić. Wymachiwała wszystkimi szypułkami i uskarżała się swym specjalnym jęklwym tonem, który tylko młodzi g’Kekowie potrafią opanować tak znakomicie.

– Skazano nas na wygnanie – zawodziła. – I to w chwili, gdy „Streaker” wreszcie ma dotrzeć w naprawdę ciekawe miejsce!

– To nie jest wygnanie – zaprzeczyła Gillian. – Macie do wykonania ważną i niebezpieczną misję, do której posiadacie szczególne kwalifikacje. Misję, która może nadać sens wszystkiemu, przez co musieliśmy przejść.

Oczywiście obie miały rację. Nie wątpię, że odesłano nas między innymi dlatego, że jesteśmy młodzi i Gillian czuje się winna, że trzyma nas tutaj, gdzie w każdej chwili grozi nam niebezpieczeństwo, niekiedy nadciągające z kilkunastu różnych kierunków jednocześnie. Najwyraźniej pragnie, by nasza czwórka – a zwłaszcza Huck – jak najszybciej znalazła się w bezpiecznym miejscu.

Z drugiej jednak strony nie sędzę, aby chciała się rozstać z Kaa, gdyby nie istniały ważne powody, mogące jej pomóc wykonać misję. Jestem przekonany, że naprawdę pragnie, abyśmy wrócili do Pięciu Galaktyk i potajemnie nawiązali kontakt z Radą Terrageńską.

– Przedtem, gdy na pokładzie byli tylko ludzie i delfiny, nie było to dla nas możliwe – wyjaśniła. – Nawet gdybyśmy się zakradli do najbardziej zapadłego portu, zauważono by nas natychmiast, gdyby tylko któryś z nas się odezwał, aby kupić zapasy albo zapytać o drogę. Ziemianie są zbyt powszechnie znani, czy może raczej osławieni, byśmy w dzisiejszych czasach mogli gdziekolwiek zjawić się incognito. Kto jednak zwróci uwagę na młodą urzę? Albo małego

czerwonego qheuena czy hooną, którzy odwiedzili jakiś odległy port kosmiczny? Będziecie po prostu kolejnymi obdartymi gwiazdnymi wędrowcami, sprzedającymi garstkę zdobytych po drodze infobitów, by kupić bilet czwartej klasy i dotrzeć do Sektora Tanith, dokąd wzywają was osobiste sprawy. Oczywiście, Huck będzie musiała pozostawać w zamknięciu albo cały czas nosić przebranie. Niewykluczone, że będziecie zmuszeni transportować ją w pojemniku dla zwierząt, nim dotrzecie w bezpieczne miejsce. Tymbrimczycy zapewniliby jej ochronę. Albo może Thennanie, pod warunkiem, że zgodziłaby się wstąpić na służbę i słuchać ich pretensjonalnych rad na temat gatunkowego samodoskonalenia. Tak czy inaczej, zbyt wiele od niej zależy, abyśmy mogli podejmować jakiegokolwiek ryzyko.

Te ostatnie słowa ukoili wściekłość Huck, rozjuszona wzmianką o „transportowaniu” jej z miejsca na miejsce. Z nas wszystkich to ona ma najwięcej powodów, aby pozostać przy życiu. Jest jedynym żywym g’Kekiem poza Jijo, a ponieważ Jophurzy mogą unicestwić cały jej gatunek u nas w domu, wygląda na to, że od tej pory jej przeznaczeniem będzie macierzyństwo, a nie poszukiwanie przygód. Ta zmiana nieco ją otrzeźwiła.

– A co z Kaa? – zapytała Ur-ronn. Kołysała długą, wąską głową, sepleniąc jak wszystkie ursy. – Trudno wędzie ukryć wielkiego delfina. Czy nany go nosić w wagązu?

Doktor Baskin potrzęsła głową, ignorując jej sarkazm.

– Kaa nie będzie wam towarzyszył aż na Tanith. Zbyt przyciągałby uwagę. Poza tym złożyłam mu obietnicę i pora jej dotrzymać.

Chciałem zapytać, co to za obietnica, gdy porucznik Tsh’t weszła do pokoju mapowego i oznajmiła, że załadowała na szalupę zapasy na podróż.

Moja noorka, Huphu, siedziała mi na ramieniu, ale jej rozumny kuzyn, skryty tytlal imieniem Skarpetka, wylizywał się na pobliskim stole konferencyjnym. Wyglądał całkiem jak ziemskie zwierzę zwane wydrą, ale miał białe sterczące kolce na karku, a jego mina wyrażała wzdorliwe znużenie.

– I co? – zapytała go Gillian, choć od chwili opuszczenia Jijo nie odezwał się ani słowem. – Chcesz się spotkać z Tymbrimczykami i opowiedzieć im o sytuacji na Jijo? Czy raczej wolisz polecieć z nami do miejsc, których nasza kategoria życia z reguły nie ogląda?

Gillian sformułowała pytanie w ten sposób, że pomyślałem, iż wiem, jakiej odpowiedzi spodziewała się po ciekawskim Skarpetce. Wcale się jednak nie zdziwiłem, kiedy otrzymała przeciwną.

Dla żartu tytlal jest gotowy odgryźć sobie ogon.

Pewnie powinienem jeszcze opisać, jak to się stało, że pośpiesznie wsiedliśmy do małej szalupy, by polecieć nią tam, gdzie miał się udać „Streaker”.

Stało się tak dlatego, że Gillian otrzymała lepszą propozycję.

A przynajmniej propozycję nie do odrzucenia.

Dlaczego musimy się teraz rozstać?

Kiedy kończyłem poprzednią notatkę, „Streaker” mknął przez labiryntowe wnętrza punktu transferowego, zaledwie kilkadziesiąt strzałów z łuku przed jophurskim okrętem liniowym, który uczeplił się nas jak mysz preriowa swego ostatniego młodego. Wyglądało na to, że możemy się pozbyć wroga tylko w jeden sposób, to znaczy skierować się na jeden ze światów, na których znajdują się kwatery główne Wielkich Instytutów. Tam zawsze panuje intensywny ruch i krąży mnóstwo okrętów wojennych. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, Instytut mógłby w ostatniej chwili ogłosić zawieszenie broni i ocalić nas, nim ogólna wymiana ognia rozwali „Streakera” na

drobne kawaleczki.

No dobra, w tym planie z pewnością było sporo luk, ale nikt z nas nie potrafił wymyślić nic lepszego. Lepsze to, niż pozwolić Jophurom pojmać „Streakera” i wykorzystać jego tajemnice przeciwko wszystkim pozostałym klanom Pięciu Galaktyk.

Dlatego mknęliśmy przed siebie wzdłuż nici transferowej, uchylając się przed uchodźcami z setek zniszczonych światów fraktalnych, które rozpadały się w całej Czwartej Galaktyce....

Nie pytajcie mnie, jak i dlaczego to wszystko się wydarzyło. Takie sprawy znacznie wykraczają poza moje pojmowanie. Niemniej przynajmniej jedna z Jijan czegoś się domyślała. Mędrzyni Sara sprawiała wrażenie, że wie, co to znaczy, gdy część tych ogromnych gwiazdolotów zmieniła na naszych oczach kształt, a także symbole na dziobach. o ile dobrze to pojmuję, niektórzy uchodźcy szukali nowych domów spokojnej starości, chcąc wrócić do spokojnego, wypełnionego kontemplacją życia. (Choć najwyraźniej o wolne miejsca było trudno).

Inni postanowili porzucić tę wygodną egzystencję i wrócić do dawnych tlenodysznych kuzynów, aby wesprzeć ich podczas kryzysu. Doktor Baskin chciała wmieszać się do tej grupy i przemknąć razem z nią do tłocznych części Pięciu Galaktyk.

Istniała też trzecia opcja, wybierana przez nieliczną mniejszość. Jej przedstawiciele uważali, że są już gotowi wkroczyć na następny szczebel drabiny rozumności, opuścić emerytowany stan i podjąć próbę przejścia do znacznie wyższej kategorii. Nie było powodów, dla których mielibyśmy interesować się tą grupą, i to właśnie był błąd!

Obecnie zmierzaliśmy w samo serce punktu transferowego – ku zawężonej pętli, którą Kaa zwał węzłem transgalaktycznym. Gdy tam dotrzemy, na dobre opuścimy Czwartą Galaktykę.

Zabrzmiały alarmy. Zaliczyliśmy kolejną pętlę i ujrzeliśmy to przed sobą.

W pierwszej chwili widziałem tylko unoszącą się w pustce chmurę światła, bezkształtną i pozbawioną wszelkiej struktury. Gdy jednak się zbliżyliśmy, sytuacja się zmieniła. Miałem wrażenie, że widzę ogromną istotę o niezliczonych, wijących się ramionach! Owe kończyny wyciągały się ku zbiegającym się niciom transferowym i zrywały z nich gwiazdoloty jak jagody z gałązek!

– Hmm... czy to zawsze tak wygląda? – zapytała Huck, niepotrzebnie, bo wszyscy zauważyliśmy miny swych ziemskich przyjaciół. Oni również nigdy czegoś takiego nie widzieli.

– Czy to bó... bó... bó... bóg? – zapytał Koniuszek Szczypiec, jękając się z nagłej bojaźni.

Nikt mu nie odpowiedział, nawet zawsze skłonny do sarkazmu Niss. Lecieliśmy prosto na gigantyczny obiekt. Nie istniała żadna trasa, która pozwoliłaby nam go ominąć. Mogliśmy tylko gapić się bezsilnie i liczyć mijające dury, czekając na swoją kolej.

Niebo wypełniła jasność. Ogromne świetlne ramię sięgnęło ku nam i nagle wszystko zaczęło się poruszać b-a-r-d-z-o p-o-w-o-l-i.

Moje wnętrzości wypełniły nieprzyjemne mdłości, a skóra zrobiła się dziwnie odrętwiała. Macka zdjęła „Streakera” z nici transferowej, ryk silników gwiazdolotu przeszedł w szept biegu jałowego. Wszystkie ekrany wypełnił biały blask, któremu jednak nie towarzyszyło gorąco. Sparaliżowany strachem, zastanawiałem się, czy za chwilę pożre nas jakaś głodna istota albo może obojętne zjawisko naturalne. Zresztą, co za różnica?

Blask był tak cudowny i wspaniały, że czułem, iż widzę czystą, destylowaną śmierć.

Nie mam pojęcia, jak długo trwało przejście. W końcu jednak blask przygasł, a wraz z nim ustąpiły towarzyszące mu fizyczne doznania. Silniki „Streakera” nadal pracowały na biegu jałowym, ale czas odzyskał normalne tempo i znowu widzieliśmy wszystko wyraźnie. Sara mocno tuliła Emersona, a mała szympansiczka, Prity, obejmowała ich oboje. Ur-ronn przycisnęła się do Huck i Koniuszka, Huphu i Skarpetka wbiły zaś osiem pazurzystych łap w moje swędzące ramiona.

Wszyscy rozejrzeliśmy się wokół, zdumieni, że możemy to zrobić.

Ekranu znowu zaczęły działać, pokazując nam, że nadal znajdujemy się w krętych wnętrznościach punktu t... ale nie stykaliśmy się już z nicią! „Streakera” otaczała spora bańka prawdziwej przestrzeni.

Nie tylko „Streakera”. Wokół nas ciągnęły się długie, równe szeregi gwiazdolotów, z reguły znacznie większych od naszego! Wszystkie najwyraźniej czekały spokojnie na jakieś wydarzenie.

Hologram Nissa zmaterializował się z opóźnieniem. Płatanina jego cienkich linii zaciskała się nerwowo.

– *Dostrzegam tylko jedną wspólną cechę tych wszystkich statków – oznajmiło komputerowe jestestwo. – Każdy z nich nosi Znak Jedności. Symbol złożony z dwóch odcinków spotykających się pod kątem stu czterech stopni. Godło Transcendencji.*

Przyjrząwszy się białej poświacie, uświadomiliśmy sobie, że w jakiś sposób sortuje ona statki zdejmowane z nici transferowych. Niektóre – większość – okręzały świetlistą kulę i kierowano je z powrotem tam, skąd przybyły. Znikały potem szybko, uciekając do rodzinnych galaktyk.

Mniej więcej co setny gwiazdolot odkładano jednak na bok. Biała poświata zdawała się przyglądać z uwagą każdemu z nich, a potem przenosiła większość z nich do naszej falangi wybranych...

Wybranych do czego? Czy byliśmy więźniami? Próbkami? Kandydatami? Przekąskami?

Ku naszej uldze ta ostatnia myśl szybko okazała się fałszywa. Pobliski gwiazdolot nagle zapłonął łagodnym, pulsującym ogniem i jego transformacja się odwróciła. Po paru chwilach dwunogi symbol z powrotem zamienił się w koncentryczne kręgi. Statek natychmiast opuścił formację i pomknął chwiejnie ku strumieniowi oddalających się uchodźców.

– Dostali cykora – kwitowała jak zwykle wyrozumiała dla innych Huck. Ujrzyliśmy jeszcze kilka podobnych przypadków, ale biała poświata dodawała też nowe gwiazdoloty do naszych szeregów.

Emerson D’Anite zaczął grzebać przy dalekozasięgowym monitorze. Wkrótce chrząknął i wskazał palcem coś, co na nim zauważył. Nasza bańka lokalnej czasoprzestrzeni nie była jedyna! Na ekranie widniało co najmniej kilkanaście podobnych punktów zbornych, niewykluczone też, że dalej znajdowało się ich znacznie więcej. Niektóre zawierały kolczaste fraktalne gwiazdoloty, podobne do tych, które towarzyszyły nam. W innych gromadziły się żółtawe kuliste obiekty, niekiedy łączące się i rozdzielające jak kapki tłuszczu.

– Zangowie – zidentyfikował je Emerson, dumny z tego, że potrafi nazwać owe statki, jakby jedno słowo mogło rozjaśnić nam w głowach.

– Hmm... – odezwała się mędrzyni Sara. – Czy ktoś wie, co tu właściwie robimy? Czyżby coś mi umknęło? Czy wzięto nas za przedstawicieli transcendentnej kategorii życia?

– To b... byłby spory awansss – odparła porucznik Tsh’t, podrzucając wielką głową zakończoną butelkowanym nosem.

– *W rzeczy samej – dodał Niss. – Większość tlenodysznych gatunków trudzi się przez wiele setek tysięcy lat, parając się handlem, Wspomaganiem, prowadzeniem wojen i wędrówkami wśród gwiazd, nim wreszcie usłyszą zew i znajdą sobie uregulowaną gwiazdę, przy której będą mogły zanurzyć się w Objęciu Pływów. Po przyłączeniu się do Kategorii Emerytowanej gatunek może czekać jeszcze milion lat, nim będzie gotowy postawić następny krok.*

– Czy nie fowinniśmy foradzić się filii Wiwlioteki, którą nacie na fokładzie? – zasugerowała Ur-ronn.

Wirujący hologram Nissa zadrżał.

– Biblioteka Galaktyczna nie zawiera zbyt wielu informacji na temat Emerytowanej Kategorii. Starsi powtarzają nam, że nie powinniśmy się interesować takimi sprawami.

Jeśli zaś chodzi o to, co dzieje się później... no cóż, w tym punkcie wkraczamy do królestwa religii. Większość wielkich kultów w Pięciu Galaktykach skupia się na tym, co właściwie dzieje się z gatunkiem, który osiąga transcendencję. Wielu wierzy, że Przodkowie pierwsi wkroczyli na tę drogę, zapraszając innych, by podążyli za nimi, gdy już będą gotowi. Ale...

– Ale to nie odpowiada na pytanie Sary – dokończyła Gillian Baskin. – Dlaczego zaliczono nas do tej grupy? Zastanawiam się, czy...

Przerwała nagle, zauważając, że niemy były inżynier, Emerson D’Anite, znowu zaczął gestykulować, próbując przyciągnąć swoją uwagę. Raz po raz pukał się w nos, a potem wskazywał przed siebie, ku oknu dzielącemu pokój mapowy od mostka gwiazdolotu. Przez parę chwil wszyscy byli zbici z tropu. Potem Tsh’t wydała z siebie głośny pisk.

– Dziób ssstatku! Pamiętacie, jak jedna z frakcji Prastarych Istot na spółkę z maszynami przerobiła nasz kadłub, pokrywając „Streakera” nową, niezwykłą zbroją? Co, jeśli zastąpili też przeznaczonego do jednorazowego zapisu obserwatora na naszym dziobie? Nikt z nas nie miał potem okazji się mu przyjrzeć. Może nie ma już tam symbolu przekreślonej sssspirali, a zamiasssst niej...

Nie musiała kończyć. Wszyscy już zrozumieli, co chciała powiedzieć. Być może „Streaker” nosił teraz godło identyfikujące jego załogę jako coś, czym z całą pewnością nie była.

Pozostali najwyraźniej uznali to za wiarygodne... choć nikt nie potrafił sobie wyobrazić, dlaczego nasi dobroczyńcy mieliby zrobić coś takiego.

Gdy jednak zobaczyłem minę Gillian Baskin, uświadomiłem sobie, że nie uwierzyła w tę teorię. Najwyraźniej nasunęła się jej jakaś inna myśl. Być może potrafiła lepiej wytłumaczyć fakt naszej obecności w tym miejscu.

Zapewne tylko ja stałem wystarczająco blisko, by usłyszeć słowo, jakie wyszeptała tonem, w którym słyszałem smutek i rezygnację.

Zapisuję je teraz, choć nie mam pojęcia, co oznacza.

Gillian powiedziała tylko:

– Herbie...

Tak oto nadeszła chwila rozstania.

Wygląda na to, że „Streaker” w końcu znalazł swego rodzaju azyl. Nigdzie nie widzimy jophurskiego okrętu liniowego, choć nie wiadomo, czy nie zjawi się znowu. Tak czy inaczej, doktor Baskin zdecydowała, że nie będziemy próbować ucieczki przed tym obrotem koła fortuny, lecz pozwolimy, by niosło nas przez pewien czas.

Ale my, wuphończycy, nie będziemy przy tym obecni. Mamy wleźć na pokład starej thennańskiej szalupy – nadal noszącej na dziobie przekreśloną spiralę – i pozwolić Kaa zaprowadzić nas z powrotem do Drugiej Galaktyki. To niełatwe zadanie, zwłaszcza że będziemy musieli opuścić tę bańkę spokojnej czasoprzestrzeni i ucześcić się szybkiej nici transferowej. A to będzie dopiero początek naszych trudności. Potem mamy znaleźć jakiś mały port, w którym będziemy mogli zakraść się do społeczeństwa Pięciu Galaktyk.

Gdy już tam się znajdziemy, jeśli kości Ifni będą nam sprzyjały, spróbujemy odegrać rolę wysłanników Gillian, przekazać w jej imieniu informacje o kluczowym znaczeniu i potem może znaleźć sobie jakieś zajęcia na resztę życia.

Podobnie jak Huck mam w całej tej sprawie mieszane uczucia. Co jednak możemy zrobić, poza próbowaniem?

Tsh't umieściła już wszystkie zapasy w ładowni, a Kaa zajął miejsce w przystosowanym dla delfinów siedzeniu pilota. Uderza niecierpliwie ogonem, pragnąc jak najszybciej ruszyć w drogę. Wszyscy, którzy zostają na „Streakerze”, uściskali już nas i życzyli nam szczęścia.

– Przynieście Jijo dumę – rzekła nam mędrzyni Sara. Żałowałem, że nie leci z nami, byśmy mogli korzystać z jej mądrości i by w naszej grupie znaleźli się przedstawiciele wszystkich Sześciu Gatunków ze Stoku. Jeśli jednak ktoś z naszego małego świata miał się udać tam, gdzie bytują transcendentne istoty i mieć szansę zrozumienia, co widzi, to z pewnością tylko ona. Pewnie trzeba się pogodzić z losem i tyle.

Tyug, traeki alchemik, bucha słodką parą. Ten aromat koi obawy i wątpliwości nawiedzające nas w chwili rozstania. Tak sobie myślę, że jeśli traeki potrafi zachować spokój we wszechświecie pełnym Jophurów, powinienem podchodzić z otwartością do myśli o spotkaniu dawno utraconych kuzynów – hoonów, którzy przez całe życie cieszyli się potęgą i wygodami gwiazdnych bogów, ale nigdy nie czytali Conrada, Ellisona czy Twaina. Biedacy.

– Musimy nazwać ten statek – upiera się Koniuszek, stukając szczypcami w metalową podłogę.

Ur-ronn kiwa opływową uryjską głową.

– Oczywiście, tylko jedna nazwa jest odfowiednia.

Zgadzam się z nią cichym burkotem. Zwracamy się w stronę Huck, która porusza szypułkami w geście odpowiadającym wzruszeniu ramion. Ona również musi teraz dźwigać brzemie odpowiedzialności, do którego nie jest przyzwyczajona.

– Niech będzie „Marzenie Wuphonu” – zgadza się i decyzja zapada jednogłośnie.

Gillian Baskin czeka przy włączu, bym mógł jej wręczyć dysk z autoskryby. Muszę skończyć dyktować tę notatkę, choć jest zbyt krótka i niewygladzona.

Drogi czytelniku, jeśli to koniec mojej historii, to znaczy, że „Streaker” zdołał powrócić do domu, a my nie. Nie zgłaszam żadnych skarg ani pretensji. Pamiętaj o nas, jeśli zechcesz.

Dziękuję, doktor Baskin. Za przygody i za wszystko.

Życzę szczęścia.

I żegnaj.

HARRY

Ten region przestrzeni E miał w sobie coś straszliwie znajomego. Owo wrażenie towarzyszyło Harry'emu od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał prerię pokrytą kosmatymi, powyginanymi wyrosłami oraz wąskie wieże wznoszące się z niej ku majaczącej na górze płaszczyźnie. Po plecach ciągle przebiegały mu nieprzyjemne ciarki. Tak właśnie neoszympanś odczuwa *déjà vu*.

Teraz spoglądał na tę samą scenę z innej, przyprawiającej o zawrót głowy, perspektywy. Jego stateczek przylgnał do wyniosłego urwiska, otoczony zamazującą wszystko mgiełką. Na płaskiej, pionowej powierzchni powtarzały się symetryczne czerwone plamy, przypominające odciski stóp pozostawione przez armię cierpiących na płaskostopie potworów.

– Tego nigdy przedtem nie zrobiłem – zaczął Harry ochryplym ze zdumienia głosem. – Kto by pomyślał, że obowiązujące w tym miejscu zasady pozwolą wielkiej maszynie wdrapać się jak pajak na ś...

Przerwał nagle. Otworzył i zamknął usta, uświadomiwszy sobie prawdę.

To niemożliwe!

Przyjrzał się powtarzającym się plamom na urwisku, a potem niknącym w mgiełce wieżom. Zmiana skali wszystko mu wyjaśniła.

Na pewno zorientowałbym się wcześniej, gdyby nie słaba widoczność.

Harry poczuł się jak kretyn na kosmiczną skalę. Jęknął głośno.

– Na brodę geparda i przepuklinę Tarzana... to jest pokój. Pokój w czyimś cholernym domu!

Ta świadomość z opóźnieniem wyostrzyła jego spostrzeżenia.

Preria pokryta kosmatymi wyrosłami?

Dywan!

Wysokie, wąskie wieże?

Nogi mebli. A ta wielka płaszczyzna, z której spadłem, to na pewno blat stołu.

Regularne plamy na „urwisku” zapewne były tapetą albo jakimś jej niegustownym odpowiednikiem. Z tak bliska nie był w stanie poznać, czy jej motyw jest ziemski, czy obcy.

Tę strefę przestrzeni E odwiedza bardzo niewielu gości. Dlatego gdy się tu zjawiłem, zapewne była w surowym, nieufornym stanie. Cała ta szopka mogła powstać z jakiegoś obrazu z mojej podświadomości.

Myślał wówczas o kształcie stacji, która zachowała długie nogi po poprzedniej misji, porównywał ją do pajaka. Być może z tej właśnie myśli zrodził się ów subkosmos o tak niesamowicie osobistym charakterze.

Chyba że to wszystko sen, a w rzeczywistości leżę gdzieś, pogrążony w malignie, pod tonami gruzu, który zwałił się na stację w chwili jej przybycia.

Tak czy inaczej, tłumaczyło to, dlaczego większość istot rozumnych uważa tę część przestrzeni E za szczególnie niebezpieczną.

Być może tak właśnie owady widziały wnętrze domu. Wszystko było dla nich zamazane. Harry zastanawiał się, czy na ścianach wiszą obrazy, na stole stoi taca z owocami, a na sofie na drugim końcu pokoju mruczy gigantyczny kot.

Może lepiej tego nie wiedzieć ani nie zmuszać przestrzeni E do urealniania zbyt wielu wizji.

Tylko jeden szczegół psuł obraz ogromnego, staromodnego salonu – Aleja. Wąski, kręty, świetlisty przewód wylaniający się z mglistej dali, przecinający podłogę, a potem znikający w ścianie poniżej miejsca, w którym znajdował się Harry. Aleja, czyli Rzeczywistość, zdominowana

przez materię i sztywne prawa fizyki.

– *Wyczuwam zbliżające się wibracje* – oznajmiła stacja. – *Od strony połączenia-rozdarcia...*

Innymi słowy, z mysiej dziury, w którą wnikała Aleja, zmierzając ku innemu regionowi przestrzeni E. Trzech intruzów podążyło tą trasą przed nim, zostawiając wyraźne ślady. Najpierw, przed mniej więcej rokiem, przez dziurę przecisnął się niewielki statek. Ścigał go większy, który nieroztropnie wyrąbał sobie szerszą drogę. Oba pozostawiły wyraźny ślad tlenożycia. Trzeci statek przybył niedawno i zostawił mieszane tropy.

A teraz coś zbliżało się z przeciwnej strony.

Harry sprawdził systemy sterowania bronią i zauważył, że kilka ekranów się pali, co świadczyło, że te typy uzbrojenia mogą tu funkcjonować, choć dopiero się okaże w jaki sposób.

– Sprawdźmy, czy znowu wyjdzie nam ta druga sztuczka – wyszeptał.

Przeszedł na sterowanie ręczne i z głośnym łoskotem przytwierdził kotwicę rzeczywistości do ściany. Potem nerwowo oderwał od powierzchni wszystkie kończyny statku, pozwalając mu zawisnąć wysoko nad powierzchnią.

– Obniżaj! – rozkazał i lina zaczęła się wydłużać. Zatrzymała się dwie długości stacji nad punktem, w którym dywan stykał się ze ścianą. Aleja biegła nieco na lewo od niego.

To, co stamtąd wyjdzie... nie może być dużo większe od tej stacji. A większość gwiazdolotów odwiedzających przestrzeń E nie jest przystosowana do panujących tu warunków. Mam kilka silnych punktów, w tym również zaskoczenie.

To brzmiało logicznie. Harry'emu niemalże udało się przekonać samego siebie.

Logika była jednak kapryśną przyjaciółką, nawet w jego rodzinnym wszechświecie. W przestrzeni E była tylko jedną z wielu gier wykorzystujących symbole i idee.

Jednym z wielu sposobów, aby zawędrować na manowce.

– *Nadchodzi!* – oznajmił tryb pilotażu, gdy coś zaczęło się wyłaniać z mrocznego tunelu.

Intruz wyglądał żałośnie. Był absurdalnie długi i na tyle wąski, że z trudem zmieścił się w tunelu. Składał się z łańcucha połączonych zawiasami segmentów poruszających się na stawowatych nogach. Wypadł pośpiesznie z ciemnego korytarza, a potem skręcił w bok, trzymając się ściany. Po jego długim ciele przebiegały drżenia. Obserwujący go z góry Harry odnosił wrażenie, że widzi coś rannego i przerażonego, co kuli się trwożnie, próbując odzyskać oddech.

Nie musiał włączać trybu obserwacji, by natychmiast się zorientować, że jestestwo jest maszyną. Sztywny, sformalizowany sposób ruchu dowodził tego z całą pewnością. Jeszcze bardziej charakterystyczny był fakt, że nie zmieniało się łatwo. Każda inna forma życia po wejściu w nowy region przestrzeni E odbyłaby już jakąś transformację, dopasowując swe wyobrażenie o sobie, swój obraz, do nowego środowiska.

W tym królestwie wiara często równała się rzeczywistości.

Jednakże maszyny z samej swej natury stanowiły najczystszy przejaw stosowanych praw fizyki. Gdy przebywały w Rzeczywistości, spójność była źródłem ich siły, tu jednak okazywała się słabością. Postawiona przed bezwzględnością zmiany fizycznej forma maszyna musiała najpierw starannie ocenić nowe warunki, a potem stworzyć plan i dokonać kolejnych przekształceń stosownie do niego.

Harry zrobił zbliżenie ręcznym teleskopem i zauważył, że na ciele mechanoida roi się od mniejszych obiektów, robotów naprawczych i konserwatorskich, które pracowały w gorączkowym tempie, próbując zmienić kształt i funkcję całości za pomocą oddzielania, przenoszenia i przytwierdzania na nowo fragmentów realnej materii. Podczas tych czynności drobne odłamki sypały

się na wielkie obszary dywanu. Wykrywacz atomów stacji Harry'ego zarejestrował potężną chmurę cząstek rozprzestrzeniającą się na wszystkie strony. Wkrótce zjawia się tu padlinożerne memy.

Z całą pewnością było to kiedyś urządzenie służące do podróży kosmicznych, mieszkańiec głębokiej, ciemnej próżni. To zdumiewające, że maszyna w ogóle mogła się przystosować do tego środowiska.

Na ekranie rozbłysły nietypowe odczyty. Część zanieczyszczeń składała się z tlenu, azotu oraz skomplikowanych cząsteczek organicznych, świadczących o obecności zupełnie innej kategorii życia.

Chwileczkę.

Harry już przedtem podejrzewał, że to może być trzecie jestestwo, które śledził. Teraz zdobył pewność.

– Na pewno natknęło się na coś, co mu się nie spodobało – konkludował. – Coś wystarczająco groźnego, by skłonić je do ucieczki.

Tryb pilotażu wkrótce potwierdził jego przypuszczenia.

– *Wykrywam kolejne obiekty zbliżające się z przeciwnej strony do granicy rozdarcia.*

Podążają szybko za pierwszym.

Harry zlokalizował źródło nietypowych emisji gazu w szczelnie zamkniętym poszerzeniu ulokowanym w pobliżu środka przypominającej kształtem gaśienicę maszyny.

To habitat. Zawiera atmosferę i inne elementy potrzebne do podtrzymywania życia.

Niektóre błyszczące plamki mogły być oknami, choć w środku było za ciemno, aby mógł cokolwiek zobaczyć.

Najwyraźniej maszyna zdawała sobie sprawę, że zostało jej niewiele czasu. Prace nad rekonfiguracją przyspieszyły, ale małe robociki psuły się od nadmiernego tempa, przegrzewały i spadały na dywan, który zaczął falować pod wpływem tych wstrząsów, okazując niepokojące oznaki ożywionego głodu. W przestrzeni E atomy były rzadkością i nie mogły przetrwać długo. Wiele prostych stworzeń memetycznych uważało fragmenty materii za użyteczne śladowe substancje odżywcze, przydające żywym abstrakcjom odrobiny realności.

– *Trzydzieści dur do przybycia nowych intruzów* – oznajmił tryb pilotażu.

Choć prace nie zostały ukończone, maszynowa gaśienica doszła do wniosku, że nie ma czasu do stracenia i rzuciła się do ucieczki wzdłuż lśniącej Alei.

Ciekawe dlaczego nie próbuje wrócić do normalnej przestrzeni przez skok do środka. Co prawda, mogłaby się wyłonić niemalże wszędzie i potrzebować stuleci, by dotrzeć do porządnego węzła czasoprzestrzennego, ale maszyny z reguły miały mnóstwo czasu.

Przychodziło mu do głowy kilka możliwych odpowiedzi.

Może jest zbyt poważnie uszkodzona, aby przetrwać przejście.

A może jej organiczny ładunek nie może sobie pozwolić na poświęcenie paru stuleci na kosmiczne wędrówki.

Niezgrabna maszyna miała poważne problemy. Metalowe nogi zaczęły przywierać do podłoża albo odłamywać się i odpadać. Harry wyobraził sobie ranne zwierzę, próbujące uciekać resztką sił.

Zwrócił się ku ścigającym. Ich przybycie zapowiedział jasny rozbłysk światła. Włosy na dywanie skuliły się trwożnie. Potem pojawiło się pierwsze stworzenie.

Przypominało Harry'emu pancerną dżdżownicę o głowie pokrytej połyskliwymi płytami. Bestię zamieszkującą mroczne dziury i bezpowietrzne głębie. Szybko jednak zmieniło postać, przystosowując się do nowego królestwa. Na górze pojawiły się podobne do oczu narządy, pod spodem zaś wyrosły nibynóżki. Jestestwo stanęło zgrabnie na niezliczonych, cieniutkich witykach, zupełnie jak stonoga.

Czy raczej milionnoga – pomyślał Harry.

Tylko jeden rodzaj istot mógł się tak szybko przeobrażać w przestrzeni E. Ten, dla którego była ona domem. Zaawansowany mem. Drapieżna idea. Może nawet sama idea drapieżnictwa.

Gdy pierwsza istota przystosowała się już do lokalnych zasad gigantycznego salonu, z otworu wyłoniło się kilka następnych. Polowały stadnie, pragnąc w końcu dopaść bezbronną ofiarę.

To nie mój interes – pomyślał Harry, pociągając się nerwowo za kciuki. – Moje pierwsze zadanie to zebrać instrumenty dla Wer'Q'quinna. Drugie to wykrywanie i powstrzymywanie intruzów... ale memy poradzą sobie z tym bez mojej pomocy.

Wahał się jednak, głównie pod wpływem wspomnienia chwili, gdy po raz ostatni słuchał misjonarza Skiano, głoszącego swe dziwaczne credo z prowizorycznej ambony ustawionej pod wirującym powoli hologramem ukrzyżowanej Ziemi. Posiłkując się światłem i dźwiękiem, kaznodzieja oznajmiał, że każda rozumna istota powinna zmierzać do zbawienia swej osobistej duszy.

– Choć nasza sekta dopiero niedawno pojawiła się na bulwarach i w zaułkach Pięciu Galaktyk, dawne religie już widzą w nas zagrożenie. Próbują nas uciszyć za pomocą zarządzeń i prawnego nękania, bez skrupułów utrudniając życie naszym emisariuszom. Ich najpoważniejszy zarzut brzmi tak, że uczymy samolubstwa. Jeśli Abdykatorzy, Oczekujący, Transcendujący oraz inne tradycje zgadzają się ze sobą w jakiegokolwiek sprawie, to w tej, że zbawienie osiągają wyłącznie gatunki i klany doskonalące się stopniowo, by w końcu podążyć za błogosławionymi Przodkami w Objęcie Pływów. Każde pokolenie powinno z poświęceniem pracować nad tym, aby pomóc następnemu posunąć się dalej, krok po kroku. Jakie to straszne, jeśli biliony i tryliony osobników zaczną myśleć o sobie! Co, jeśli każda myśląca istota może osiągnąć zbawienie dzięki wierze w Boga, który znajduje się poza wszelkimi znanymi poziomami uniwersalnej rzeczywistości? Co, jeśli Objęcie Pływów można ominąć i osiągnąć niebo opisywane w świętych księgach Terry? Czy w takim przypadku wszyscy zaprzestaliby starań o postęp gatunku? Zapomnieliby o potomności, skupiając się na duchowej nagrodzie dostępnej teraz? – W dolnej parze oczu Skiano pojawiły się jasne błyski. – Na to pytanie istnieje odpowiedź. Udzielili jej Budda, Mojżesz, Jezus i inni wielcy prorocy nauczający w erze chwalebnej samotności Ziemi. Ich odpowiedź, nasza odpowiedź, brzmi tak, że najpotężniejszym narzędziem na drodze ku zbawieniu zawsze było współczucie.

Choć minęło już wiele dni, myśli Harry'ego nadal krążyły wokół niewiarygodnych, wielokrotnych sprzeczności zawartych w przekazie Skiano.

Przygryzł wargę, spoglądając na unoszące się w powietrzu *p*.

– Ilu jest łowców? – zapytał.

– *Liczba memoidów wynosi pięć* – odpowiedział tryb pilotażu. – *Dwa przekształciły się już całkowicie i wznowiły pościg za mechanicznym intruzem. Dwa następne nadal się przeobrażają. Piąty pozostaje w tunelu, czekając na swoją kolej.*

Harry zobaczył, że dwa drapieżne memy pędzą przez pseudodywan, poruszając się na milionie falujących witek. Szybko zbliżały się do uszkodzonej maszyny. Dwa następne zdążyły ukończyć transformację, gdy Harry spacerował po pomieszczeniu, żałując, że wysłuchał kazania Skiano.

W gruncie rzeczy nie był pewien, co skłoniło go do działania.

Współczucie mogło mieć z tym coś wspólnego, on jednak wolał oskarżać inne uczucie.

Ciekawość.

Nigdy się nie dowiem, kogo przewoziła ta głupia, niezgrabna maszyna, jeśli pożre ją banda żarłocznych poglądów.

Piąty memoid wyszedł z tunelu i rozpoczął metamorfozę.

Harry podjął z okrzykiem decyzję. Nacisnął guzik, uwalniając kotwicę rzeczywistości. Stacja runęła w dół, wystawiając wszystkie osiem nóg jak szpony.

Pierwszy przeciwnik uległ najłatwiej.

Podczas transformacji, gdy memoid przystosowuje swą konceptualną konstrukcję do nowego środowiska, jest bezbronny. „Parafrazuje sam siebie, przechodząc w inny idiom”, jak wyjaśniał Harry’emu Wer’Q’quinn podczas szkolenia. W takich chwilach dająca pewność siebie spójność słabła, czyniąc stworzenie podatnym na atak z zewnątrz.

Memoid zareagował szybko, gdy spadająca stacja przeszła jego grzbiet w kilku miejscach, wypuszczając z siebie kilka krytycznych pojęć.

PRZERWANIE

WAHANIE

ZWĄTPIENIE

W przestrzeni E idea może zachować spójność bez mózgu, który będzie ją myślał, ale tylko wtedy, gdy przekonanie jest wystarczająco silne, by uwierzyć w siebie. Dla takiego samopodtrzymującego się pojęcia niepewność jest gorsza niż trucizna, zwłaszcza jeśli wprowadzi się ją w odpowiednim miejscu i czasie. Skomplikowany mem nie był w stanie poradzić sobie z atakiem i szybko się rozpadł, a jego składowe twierdzenia pożarł otaczający go dywan. Harry mógł swobodnie ruszyć w pościg za następnymi.

Bądź jak pająk – pomyślał, przygotowując konsolę sterowania bronią do akcji. Miał teraz za sobą zaskoczenie i prędkość... a także fakt, że cała ta subdomena przestrzeni E z pewnością zestaliła się wokół ośrodka pochodzącego z jego umysłu, zapewne pochodzącego z dzieciństwa wspomnienia jakiegoś gigantycznego pokoju.

Szybko zbliżał się od tyłu do dwóch następnych memów. Postanowił, że spęta je promieniem splątującym. Ta broń sprawiała wrażenie idealnie dopasowanej do atakowania w przestrzeni E. Strzelała gęsto splecionymi zestawami sylogizmów, logicznych argumentów wybranych z tekstów zawartych w Wielkiej Bibliotece Galaktycznej. Niektóre z nich były starsze niż miliard lat.

No to ruszamy z tym koksem.

Harry wycelował i wystrzelił.

Broń była zależna od otoczenia, jej wygląd i postać zmieniały się stosownie do lokalnych warunków. W innych regionach przestrzeni E strzelała wiązkami żrącego światła albo świetlistymi dowodami fałszywości, przypominającymi gorejące kule armatnie. Tutaj strumienie destylowanych argumentów rozchodziły się spiralnie we wszystkie strony niczym lepki pajęczy jedwab, aż doścignęły bliższą parę memetycznych drapieźców.

Pierwszy potknął się natychmiast. Jego liczne nogi ugrzęzły w lepkich pasmach starożytnych argumentów, a tułów spowiły pasma kłótliwego rozumowania. Zwinął się w zbliżony do kuli kształt, a potem zaczął szybko parować.

Jego partner miał więcej szczęścia. Otoczony przez sieć drapieźnik zdołał się zatrzymać na czas. Gdy tylko pasmo żrącej tezy stykało się z jego ciałem, paląc je dotkliwie, kontrargumenty wypływały z rany niczym gorliwe przeciwciała.

Istota odwróciła metaforyczne spojrzenie i zaczęła pluć trucizną. Ku stacji pomknęły kapki – zapewne przekonujące wyjaśnienia, mające skłonić statek Harry’ego, by przestał istnieć. Mógłby je zapewne zestrzeliwać albo strącać, a nawet spróbować przetrzymać atak, ale zdecydował się już na

inną taktykę. Wykorzystując swą znajomość lokalnej strefy, kazał stacji ugiąć wszystkie osiem nóg, a potem przeskoczyć nad żrącymi pociskami oraz parą zaplątanych alloforów.

Leciał przez kilka długich sekund, patrząc na przesuwany się pod nim jak morze dywan... był tak daleko w dole, że Harry zaczął się obawiać lądowania, zwłaszcza gdy jego trasa zbliżyła się niebezpiecznie do błyszczącej Alei.

Nie jestem przygotowany na wejście do niej w tym punkcie!

Szansę przetrwania kolizji w przypadkowym miejscu nie wyglądały zbyt dobrze.

Na szczęście zdołał wykręcić stację nieco w bok i minął o włos świetlistą tubę. Lądowanie było jednak twarde i niepewne. Harry uderzył o najbliższą gródź i boleśnie stłukł sobie bark. Co gorsza, kabinę wypełniły dźwięki pęknięcia jakichś przedmiotów. Zabrzmiał alarm. Rozbłysły czerwone światła.

Skrzywił się i wrócił do pulpitu sterowniczego. Okazało się, że dwie nogi stacji złamały się przy lądowaniu, a trzecia jest paskudnie wykręcona. Jego wierny wehikuł utykał nieprzyjemnie, zwracając się ku nowym przeciwnikom.

Mimo to żyły Harry'ego wypełnił ogień adrenaliny. Szympons obnażył zęby ze wściekłym warknięciem.

Trzy z głowy. Zostały jeszcze dwa – pomyślał z nadzieją.

Niestety, następna walka nie miała już być tak łatwa.

Jeden z ocalałych drapieźców, widoczny tuż przed stacją, skoczył już na nieszczęsną ofiarę. Wrywał z wielkiej maszyny kawałki metalu, rozszarpując ją z radosną pasją. Drugi memoid zwrócił się w stronę Harry'ego, czujny i w pełni gotowy. Całkowicie już przystosował swą postać do tego królestwa i przypominał teraz drapieżne, owadopodobne stworzenia, wyposażone w szczypcę oraz jadowy kolec, jakie niekiedy wylazą spod mebli ku wielkiemu niezadowoleniu lokatorów. Harry odnosił wrażenie, że dostrzega u przeciwnika dziką radość, jakby był on samą esencją wojowniczości.

Z otworu gębowego memoida skapywała piana dysputy. Spojrzał na stateczek Harry'ego i skoczył ku niemu.

Tym razem nie było szans, by usunąć się na bok, szympons spróbował więc uchylić się w lewo, a potem w prawo. Pomimo tych rozpaczliwych uników jedna z grudek przylgnęła do przedniego okna i rozprzestrzeniła się szybko, pokrywając je połyskliwym śluzem.

Harry odwrócił wzrok, ale zdążyły go zalać fale zrozumienia.

Co ja tu robię, do licha? Mógłbym bezpiecznie wylegiwać się w łóżku. Gdybym został na Ziemi, otaczaliby mnie przyjaciele i kochanki. Ale ja musiałem przylecieć tutaj, aby zginąć!

Żal był bardzo dotkliwy, mimo że Harry pojmował, iż jego źródłem jest atak przeciwnika. Na szczęście uczucie miało ogólny, rozproszony charakter. Memoid nie wiedział, z jakiego rodzaju stworzeniem ma do czynienia, nie potrafił więc wyprodukować trucizn o specyficznym działaniu. Jeszcze nie. Niestety, podobnie zaawansowane drapieżniki cechowały się wielką wrażliwością i szybko odkrywały słabe strony swych ofiar.

Harry nie zamierzał dać mu takiej szansy. Raz jeszcze uruchomił promień splątujący. Stacja ponownie wyemitowała lepka pajęczynę argumentów. Tym razem jednak cel uchylił się zrećnie przed pułapką, być może przyjmując jakieś niepowtarzalne, niepowiązane ze sobą aksjomaty. Kilka nici, które dotknęły memoida, ześliznęło się z niego, nie będąc w stanie podważyć egzotycznych postulatów. Drapieżnik uwolnił się od nich błyskawicznie, a potem wygiął grzbiet i ruszył do szarży. Pędził tak szybko, że Harry nie miał szans ucieczki.

Stworzenie otworzyło paszczę, odsłaniając zamiast zębów szeregi ostro zakończonych śrub,

które szybko się obracały. Wyglądało to przerażająco.

Zmierza do abordażu!

Harry sięgnął do pulpitu sterowniczego i nacisnął guzik z napisem FLARY DYSTRAKCYJNE. Nieraz już ratowały mu skórę podczas poprzednich misji, tworząc oślepiające chmury sprzecznych danych przypominające folię zakłóceńową. Uciekał dzięki nim przed jeszcze większymi potworami.

Ale tym razem efekt raczej go zawiódł. Szarżujący drapieznik zwolnił tylko odrobinę, gdy eksplodowały przed nim obłoki mgły.

Kiedy nie wiesz, co robić, użyj siły fizycznej – pomyślał, uruchamiając minidziało. Stacja targnęły wstrząsy, gdy ku napastnikowi pomknęły pociski o wysokiej prędkości. Memoid stanął dęba, rycząc i wywijając szczypcami. Nadzieja jednak szybko zgasła. Harry uświadomił sobie, że jego atak nie wyrządza żadnych szkód. Stwór łapał pociski w locie, wbudowując ich materiał do swej macierzy informacyjnej! Wirujące śruby zmieniły kolor z symulowanego pastelowego błękitu na ciemną metaliczną szarość.

Wyłączył z przekleństwem działo. Właśnie udało mu się zwiększyć szanse przeciwnika.

Stacja zadrżała tylko leciutko, gdy memoid w nią uderzył i wlażł na szczyt, szukając punktu zaczepienia. Skomplikowana, rozrzedzona idea nie miała zbyt wielkiej masy ani pędu. Idee mogły jednak osłabiać przeciwnika, a ta robiła to z pasją, wbijając swe świdry w kadłub stateczka.

Harry spróbował jeszcze innych guzików i przełączników, ale nic nie skutkowało. Wszystkie systemy broni przestały funkcjonować albo przeformatowały się w coś, przed czym elastyczny memoid bronił się bez trudu.

W przestrzeni E obiekt złożony z atomów nie mógł wytrzymać zbyt długiego starcia z żywą ideą.

W ścianach pojawiły się pierwsze zagłębienia... które zaraz zapadły się do środka i zobaczył w nich wirujące stożkowate świdry. Po chwili ostrza zmieniły kształt, zmieniając się w małe stworzenia. Roztocza – pomyślał Harry, uświadamiając sobie, że nawet małe owady i pająki mają swoje pasożyty. Drapieznik wykombinował znakomitą sztuczkę, wykorzystując przeciwko Harry'emu logikę tego podkrólestwa.

Szympanś wcisnął ostatni guzik, używany w rozpaczliwych sytuacjach, takich jak ta.

Sterownię natychmiast wypełnił kłębiący się tłum istot. Holograficzne obrazy ukazywały najrozmaitsze formy tlenodyszne, wodorodyszne i maszynowe życia. Nieliczne pętały. Inne chodziły, toczyły się albo tupały, tworząc imitację pangalaktycznego, ponadczasowego przyjęcia, na które zaproszono przedstawicieli wszystkich rzeczywistości.

Kilkunastu maleńkich intruzów ruszyło do środka, poszukując conceptualnego ośrodka stacji, to znaczy samego Harry'ego. Małe paskudztwa błyskały straszliwymi szczypcami, obwąchując tłum imitacji istot rozumnych. Jedno z nich postanowiło zaatakować fałszywego Zanga. Rzuciło się na unoszącą się w powietrzu żółtą kulę, która zadrżała pod wpływem uderzenia. Hologram natychmiast zapadł się wokół roztocza, otaczając go warstwą miażdżących antymemów. Nastąpiła implozja, a po niej rozbłysk światła. Na pokład upadła garstka rzadkiego pyłu.

Zawierają trochę realnej materii – uświadomił sobie Harry. – Są diabelnie niebezpieczne!

Jeśli któryś z nich go ugryzie, będzie mógł nie tylko zakazić jego umysł, lecz również kasać rzeczywiste ciało.

Dwaj kolejni intruzi dali się nabrać, zaatakowali niewłaściwe cele i zostali zniszczeni. Harry widział jednak, że są coraz ostrożniejsi. Roztocze stopniowo nauczyły się ignorować wodorodyszne i maszynowe formy, koncentrując się na obrazach tlenodysznych organizmów.

Muszę je uprzedzić. Ale jak to zrobić? Jak mogę utorować sobie drogę wyjścia z tej kabały?

Jeśli uda mu się wrócić do bazy, będzie mógł udzielić kilku rad ekipom techników pracujących

nad systemami broni. W tej chwili jednak dostrzegał tylko jedną nadzieję. Musi jakoś się uwolnić od rodzicielskiego memoida, uniemożliwić mu sterowanie roztoczami. Co prawda, zostaną jeszcze dziury w kadłubie statku, ale tym zajmie się później.

Nie ośmielił się dotknąć ręcznych urządzeń sterowniczych. To by go zdradziło. Przywołał więc tryb pilotażu.

– *Słucham, Herman?* – odpowiedziało unoszące się w powietrzu *p*.

– Nie zbliżaj się do mnie! – wyszeptał Harry przez zaciśnięte zęby. – Trzymaj się na dystans i słuchaj uważnie. Chcę, żebyś kazał stacji kołysać się i trząść w nieprzewidywalny sposób... musimy stracić z kadłuba tego przeklętego przez Ifni obcego!

– *To by było pogwałcenie norm bezpieczeństwa.*

– To rozkaz! – warknął Harry. – Ogłaszam stan alarmowy. Zrób to!

Platforma zwiadowcza zaczęła się poruszać. Choć dwie złamane nogi utrudniały jej zadanie, wielki memoid nie stanowił zbyt poważnego obciążenia. Jego rzeczywista masa zapewne nie przekraczała kilkuset gramów, nawet po pochłonięciu kul Harry'ego. Stacja przesuwała się w lewo, w prawo, do przodu, a potem obracała się wkoło, posuwając się krokiem pijanego przez dywanowy krajobraz.

Memoidowi wyraźnie się to nie spodobało, pomimo jego niewielkiej bezwładności. W końcu ruch również jest postacią informacji. Szympanś usłyszał słabe, płaczące dźwięki. Napastnik trzymał się rozpaczliwie, nie chcąc stracić kontaktu ze swymi roztoczami.

Niestety, zygzakowaty krok przeszkadzał również Harry'emu, miotając nim w tę i we w tę. Hologramy naśladowały jego ruchy, ale wiedział, że prędzej czy później się zdradzi.

Przez jedno okno dostrzegał blade zarysy metalicznego jestestwa maszynowego. To był intruz, za którym tu dotarł. Istota nie powinna była przebywać w tym królestwie, w którym myśl stawała się rzeczywistością.

Ostatni drapieznik podzielił ją już na kilka części i posuwał się teraz w stronę habitatu...

Stacja zatoczyła się nagle. Harry stracił z oczu bolesną scenę, gdy cisnęło go pod inne okno. To, które nadal pokrywała tynktura żalu.

Och, żałuję z całą pewnością.

Żałuję, że nie przybyłem tu wyposażony w naprawdę potężną broń memetyczną. Zatruwające mózg toksyny produkowane przez dzikusów. Przesycone niezdrową słodczą ideę, które hipnotyzowały miliony, więząc je w jednej, ciasnej wizji rzeczywistości i czyniąc elastyczne umysły sztywnymi jak kamień.

Harry był przekonany, że nawet miejscowe drapiezniki – zwinne i gibkie w przestrzeni abstrakcyjnej – okazałyby się konceptualnie kruche w starciu z uwodzicielskim rozumowaniem Platona, Marksa albo Ayn Rand... Freuda albo Tomasza z Akwinu... Goebbelsa albo Hub...

Stacja zatrzymała się z gwałtownym wstrząsem, przerywając myśli Harry'ego i ciskając nim o szafkę. Szympanś odwrócił się błyskawicznie i dostrzegł, że kilka roztoczy również poleciało w tę samą stronę pod wpływem swych posiadających realną masę elementów. Dwa zderzyły się z hologramami i natychmiast zostały zniszczone.

Ale dwa następne ocalały i rąbnęły w ścianę tuż obok Harry'ego. Odzyskując równowagę, wyczuł, że zwracają swą uwagę ku niemu.

O kurde.

Otoczyły go, przypartego plecami do szafek. Gdy stacja wznowiła szalone ruchy, oba roztocze ruszyły ku niemu po kołyszącej się podłodze, strzelając szczypcami i wymachując skorpionimi ogonami.

Harry spróbował oczyścić umysł. Mentalna dyscyplina podobno czyniła intelekt odpornym na toksyczne idee.

Niestety, równie zdyscyplinowane istoty były beznadziejnymi obserwatorami przestrzeni E. Zwerbowano go dla jego łatwowiernej wyobraźni i właśnie z powodu tej cechy pasożyty będą w stanie go załatwić.

– Hmm... może mógłbym was zainteresować paroma myślami? – wypalił szybko na bezdechu. – Na przykład... to zdanie jest kłamstwem!

Strzeliły tylko szczypcami, wyraźnie rozbawione.

– W takim razie może... skąd wiecie, że istniejecie?

Totalna pogarda.

Kurde, w starych serialach to czasem działało.

Oczywiście, od zaawansowanych memów podobne banały odbijały się jak strzały o krzemienych grotach od stalowej zbroi. Ale co z ideą, z którą mogły nigdy się dotąd nie spotkać?

– Hmm, czy ktoś wam kiedyś mówił o uczuciu zwanym współczuciem? Niektórzy uważają, że to najpewniejsza droga do zba...

Roztocza przygotowały się do skoku.

Stacja zakołysała się ponownie, gdy autopilot wykonał kolejny manewr.

Wtem przez okno usytuowane naprzeciwko Harry'ego do środka wlała się jasna poświata. Sterownię wypełnił blask gwiazd.

Harry westchnął.

– Niech się stanę ogoniastą małą...

Nim zdążył dokończyć zdanie, kilka rzeczy wydarzyło się jednocześnie.

Oba pasożyty skoczyły.

Wielki memowy drapieжник uczeplony kadłuba wrzasnął przeraźliwie.

Wirująca szaleńczo stacja zderzyła się z Aleją. Otarła się o nią bokiem i przycisnęła wielkiego memoida do ściany, dając mu posmakować rzeczywistego kontinuum.

Mózg Harry'ego wypełniło rozpaczliwe zawrodo. Drapieжник rozerwał się, syjąc na boki skomplikowaną treścią swej konceptualnej konstrukcji.

Jeden z osieroconych roztoczy rozpadł się, nie zdążywszy dolecieć do gardła Harry'ego, drugi jednak zdołał zachować spójność wystarczająco długo, by uderzyć szympansa od tyłu.

Tym razem to Harry krzyknął. Wył przeraźliwie, czując, że coś wnika w jego ciało. Ból pozbawił go zdolności racjonalnego myślenia, przeszył pośladki i grzbiet, szerząc się po ciele jak palący ogień. Jednocześnie, w głębiach jaźni, wątpliwości i niepewność zaatakowały wszystkie jego przekonania, wszystkie drogie sercu założenia.

Wokół szympansa płonęły słońca i galaktyki. Stacja oparła się o Aleję, naciskając graniczną błonę. W każdej chwili mógł się zacząć powrót do przestrzeni rzeczywistej.

Maszynaria zawodziła równie rozpaczliwie jak Harry.

Wszystkie memy i hologramy zniknęły. Powietrze uciekało ze stacji przez kilkanaście małych otworów. Harry jednak niemal tego nie zauważał. Zawisł między królestwem żywych idei a rzeczywistością, w której panowały surowe, uniwersalne zasady, i za wszelką cenę próbował trzymać się swej esencji, poczucia wewnętrznej tożsamości.

Siebie.

EWASX

To nie jest najlepsza z możliwych kryjówek.

W takim razie dlaczego my/ja ją wybrałem, moje pierścienie?

Dlaczego spośród wszystkich zakamarków potężnego okrętu liniowego zdecydowaliśmy się akurat na tę komorę, pełną szczelnie zamkniętych szklanych pojemników i bulgoczących komórek inkubacyjnych?

Dlatego, że to „dom”? Miejsce, gdzie powstaliśmy?

Nasz drugi torus poznawczy obala tę myśl, przypominając, że większość naszych pierścieni składowych zaczęła się gdzie indziej, w woniejących dołach mierzwowych pełnych pysznej gnijącej roślinności, w prymitywnej osadzie zwanej Dalekim Podmokłym Azylem, na samotnej Jijo.

To prawda. Tylko trzech członków naszego stosu zaczęło się tutaj, na pokładzie „Polkjhy”, w tym sterylnym żłobku, gdzie nowo narodzone pierścienie wiedzie się ku doskonałości przy użyciu komputerowo kontrolowanych dawek syntetycznych substancji odżywczych. Ale to nasze trzy najważniejsze części, tak?

Muskularny torus ruchu, wyposażony w zwinne nogi.

Obwarzanek zapachów, dzięki któremu poznaje nas jophurska załoga.

I oczywiście wasz pierścień władzy, najcenniejszy ze wszystkich. Najważniejszy składnik (ja), niezbędny, aby przerodzić skromnie rozproszonego traekiego w chwalebnie skupionego Jophura.

Czy to powód do nostalgii? Wystarczający, by zwać tę zaciemnioną komorę domem? (Choć wygląda na to, że ostatnio doznała uszkodzeń, które naprawiono tylko pobieżnie).

Proszę bardzo. Możecie pogłaskać wosk pamięci. Przypomnijcie sobie, jak wyglądały sprawy na Jijo przed zmianą. Wspomnijcie, jak my/ja nauczyliśmy się rozumieć obce postacie rodzicielstwa dzięki bliskim kontaktom z pięcioma innymi gatunkami.

Podczas naszego poprzedniego wcielenia, jako otoczony powszechną miłością traekci mędrzec Asx, my/ja trzymaliśmy w swych delikatnych mackach qheuehskie i g'keckie larwy, a także hoońskie i ludzkie dzieci. Kołysaliśmy je i wydmuchiwaliśmy na nie mgiełki kołysankowe o słodkim aromacie, mające sprowadzić piękne sny.

Nasza gwałtowna transformacja w Ewasxa zachowała owe wspomnienia, zamiast je stopić. Mimo to czuję się zbity z tropu.

Co próbujecie mi powiedzieć, moje pierścienie?

Że powinniśmy im zazdrościć?

Tego, że żaden stos pierścieni, ani traeki, ani Jophur, nigdy nie zazna rodzicielskiej miłości?

Składa się nas z części. Buduje. Produkuje, jak jakieś maszyny. Być może właśnie dlatego inne gatunki czują do nas tak wielką nienawiść/zazdrość.

Co? Mówicie, że na Jijo nie ma takiej nienawiści? Ach, ale pomyślcie o cenie, jaką wasi koloniści płacą za sympatię innych! Życie w straszliwej ciemności, a co gorsza, jesteście skazani na pozostanie spokojnymi traekimi, niemal całkowicie sparaliżowanymi brakiem ambicji. Czy nie przyznacie, że życie nigdy nie było tak barwne, gdy składałyście się na biednego, potulnego Asxa?

Przyznacie? jesteście gotowe to przyznać?

Znakomicie. Być może jednak czynimy pewne postępy.

CO? CO TO MA BYĆ?

Chcecie, żebym ja, torus władzy, również przyznał coś w zamian?

Mam się zgodzić, że widzieliśmy ostatnio również pewne wady – słabe strony – monomanii typowej dla Jophurów.

Nie, nie musicie głaskać świeżego wosku ani przywoływać straszliwych wydarzeń, których świadkiem byliśmy przed ucieczką ze sterowni. Gwałtowne poczynania naszych gniewliwych, poirytowanych przywódców raczej nie mogą służyć jako przykład. Nie wykazali się wielkimi postępami na drodze ku oświeceniu.

Jaki jednak mamy wybór? „Polkjhy” musi ścigać statek delfinów! Jego tajemnice mogą rzucić światło na Czas Zmian, którego konwulsje ogarnęły Pięć Galaktyk. Jeśli Ziemianie rzeczywiście znaleźli relikty Przodków w płytkiej gromadzie kulistej, co może to mówić o tym, jak zarządzano Galaktyczną Cywilizacją przez ostatni miliard lat? Czy nie sugeruje to, że cała nasza religijno-genetyczna hierarchia jest postawiona na głowie?

CO? CO MÓWICIE?

Nasz drugi pierścień poznawczy pyta: „I co z tego?”.

I co z tego, jeśli starożytne wierzenia dotyczące Przodków okażą się fałszywe?

I co z tego, jeśli okłamano nas w sprawie Objęcia Pływów?

I co z tego, jeśli jakiś inny klan zdoła zagarnąć „Streakera” i pierwszy odczytać przewożone przez niego informacje? Dlaczego rozsądne rozumne istoty miałyby pienieć tłuszcz z powodu tak trywialnych, nikogo nieobchodzących spraw?

Nie... jestem pewien, jak odpowiedzieć.

Pytanie wydaje się absurdalnie niepojęte... jakby ktoś zapytał, dlaczego oddychamy tlenem, metabolizujemy pokarm, rozmnażamy się albo wyrażamy lojalność wobec kuzynów i potomności. Niepokoi Mnie głęboko myśl, że w ogóle możecie zgłaszać podobne wątpliwości!

BYĆ MOŻE JA/MY JEDNAK NIE POWINIENEM UCIEKAĆ ZE STEROWNI!

(I szukać schronienia w tym mrocznym/swojskim miejscu).

W rzeczy samej, nasz wspólny rdzeń aż kipi od szalonych, prowokacyjnych myśli, podważających podstawowe przekonania Jophurów. Co więcej, odkąd zostałem zbiegiem, nie potrafię już przemawiać władcym głosem, który pozwoliłby mi zmiażdżyć takie podszepty.

BYĆ MOŻE LEPIEJ BY BYŁO POZWOLIĆ, ŻEBY ZWOLENNICY WIELKIEGO KAPŁANA ROZEBRALI NAS/MNIE NA CZĘŚCI ZAMIENNE.

W ten sposób zapewne bardziej bym się przydał „Polkjhy” i całemu wielkiemu klanowi Jophurów.

Główną zaletą tej kryjówki jest fakt, że pokładowe czujniki nie będą tu mogły wykryć śladowych związków chemicznych emitowanych przez nasze ciało. Zamaskują je szeregi przezroczystych szafek wzrostowych, pełnych młodocianych pierścieni wszelkich możliwych typów. Rzecz jasna, są tu roboty-pielęgniarki, opiekujące się młodymi. Ci maszynowi niewolnicy zdradzą mnie, ale tylko wtedy, gdy ktoś z mostka zapyta, czy tu jestem. Dopóki nie padnie jasno zdefiniowane pytanie, Ja/my powinienem tu być bezpieczny. Mogę emitować feromony autorytetu, wydawać maszynom rozkazy i udawać, że kieruję całym złobkiem.

Istnieje też inne zagrożenie. W przypadkowych odstępach czasu zjawiają się tu rozmaite stopy pierścieni, żądające części zamiennych.

Z reguły są to żołnierze. Wysokie i groźne zestawy bojowe, naznaczone bliznami oraz straszliwymi plamami podczas trwających nadal walk z Zangami, którzy wtargnęli na pokład naszego okrętu liniowego. Obca plaga opanowała już jedną trzecią pokładów i stref „Polkjhy”. Ostatnio udało się poczynić pewne postępy w walce z nią, ale nasi żołnierze zapłacili za to wysoką cenę i muszą teraz zastąpić pierścienie uszkodzone w walce z bliska z wodorodysznymi.

Na szczęście nikt z kasty wojowników nie próbuje kwestionować mojej/naszej obecności w tym miejscu... a my staramy się nie rzucać im w oczy.

Tak, moje pierścienie. Jest tylko kwestią czasu, nim my/ja zostaną złapani. Wkrótce czeka nas demontaż. Zastanawiam się, czy będzie im się chciało zachować któryś z naszych torusów albo woskowych sznurów pamięci celem wykorzystania w innych zestawach.

To raczej wątpliwe.

Podczas długich chwil bezczynności my/ja stoję przed ekranami wzrokowo-zapachowymi, obserwując z fascynacją wydarzenia, które nastąpiły po śmierci naszego kapitana-dowódcy.

Pamiętacie, moje pierścienie, jak nasz wielki statek mknął przez kręte wnętrza punktu transferowego, podążając tuż za ziemskim gwiazdołotem z tak wielką biegłością, że Ziemianie nie mieli szans ucieczki?

Stosy z Wydziału Badań zameldowały, że uczyniono postępy w próbach zrozumienia niezwyklej powłoki ochronnej otaczającej „Streakera”, która przedtem uniemożliwiła naszym promieniom powstrzymanie delfinów. Owa otoczka najwyraźniej zapewniała niewidzialność, ale z naszej pokładowej Biblioteki dowiedzieliśmy się, że większość Galaktów już dawno zarzuciła tę technologię! Stosunkowo łatwo jest ją zanegować, jeśli się wie, jak to zrobić. Tylko zaskoczenie sprawiło, że na Fraktalnym Świecie okazała się skuteczna.

Bibliotekarze obiecali, że wkrótce przedstawią skuteczne przeciwśrodki.

Tymczasem węzeł transferowy wypełniły niezliczone statki uchodźców, pochodzące nie tylko ze zniszczonego schronienia dla emerytowanych gatunków, które zostawiliśmy za sobą, lecz również z setek innych! Każdy statek emigrantów musiał wybrać jedną z trzech możliwości: Mógł pozostać w Czwartej Galaktyce i poszukać innego odosobnionego azylu bądź też zmienić kategorię życia. Wrócić do cywilizacji Pięciu Galaktyk... albo spróbować zanurzyć się jeszcze głębiej w Objęciu Pływów. Czuliśmy się zafascynowani i zaszczyceni, widząc, jak wiele szlachetnych Prastarych Istot dokonuje brzemiennego w skutkach wyboru. Nie odwiodło nas to jednak od nieustępliwego pościgu za Ziemianami.

I wtedy właśnie ujrzeliśmy Selektora.

Coś znanego tylko z legend.

Rzadko oglądane wcielenie przeznaczenia.

Świetlistą chmurę, która segregowała tłum podekscytowanych statków, wybierając niektóre z nich, a resztę odsyłając w dalszą drogę.

PAMIĘTACIE, JAK BYLIŚMY ZASKOCZENI, KIEDY SELEKTOR WYBRAŁ GWIAZDOŁOT ZIEMIAN I DELIKATNIE UMIEŚCIŁ GO WŚRÓD TYCH, KTÓRYCH PRZEZNACZENIEM BYŁA TRANSCENDENCJA?

W salach i korytarzach „Polkjhy” zapanowało porażające zdumienie. Któż mógłby przewidzieć coś takiego? Delfiny są najmłodszym licencjonowanym rozumnym gatunkiem w całej Cywilizacji

Pięciu Galaktyk. Bez względu na to, czy osiągnęły to podstępem, czy też rzeczywiście na to zasłużyły, żadne zdrowe na umyśle jestestwo nie mogłoby tego oczekiwać!

W tym momencie nasz nowy kapitan-dowódca ustąpił przed nieuniknionym. Wydano rozkazy. „Polkjhy” musi zaprzestać pościgu!

Mieliśmy wrócić do Pierwszej Galaktyki, do bazy Jophurów, aby uwolnić się od plagi Zangów i przekazać wiadomość o naszych odkryciach. Choć nie udało się nam pojmać ziemskiego gwiazdolotu, moglibyśmy opowiedzieć, co się z nim stało. Ta informacja powinna okazać się wartościowa.

Co więcej, jest też Jijo, wspaniała nagroda pocieszenia! Gdy ujawnimy swemu rodzinnemu klanowi jego lokalizację, ten mały świat przedterminowych osadników stanie się doskonałą placówką dla genetycznych eksperymentów/eksploatacji. Źródłem bogactwa dla gatunku. Sama ostateczna zagłada g'Keków oznaczałaby, że nasze trudy nie poszły na marne.

Być może klan tak bardzo ucieszyłby się z tych osiągnięć, że pozwolono by istnieć temu prymitywnemu, hybrydowemu stosowi – temu Ewasxowi – pod warunkiem, że mnie/nam uda się uniknąć pojmania do owej chwili.

Dlatego załoga się radowała, mimo że nasza główna misja zakończyła się niepowodzeniem. Choć „Streaker” umknął, wszystko wskazywało na to, że to nie nasza wina. Osiągnęliśmy więcej niż jakikolwiek inny statek w znanej przestrzeni. A teraz mogliśmy wracać do domu.

Ale wtedy wydarzyło się coś naprawdę nieoczekiwanego.

Pamiętacie, moje pierścienie? Czy może wosk niespodzianki jest jeszcze za świeży i zbyt płynny, by prawdziwa pamięć mogła się zestalić?

Nadeszła nasza kolej, by stanąć przed Selektorem. Spodziewaliśmy się, że – jak wielu innych przed nami – kieruje nas on rutynowo na szybką trasę wiodącą do Pierwszej Galaktyki.

Statek wypełniło niezwykle światło. My/ja poczułem, że coś mnie obserwuje. Niektóre z naszych/moich pierścieni, dawniej wchodzące w skład Asxa, porównywały to wrażenie do komunii z cudownym kamieniem z Jijo, Świętym Jajem.

Potem, ku naszemu/mojemu/ogólnemu zdumieniu, podniesiono „Polkjhy” z nici transferowej i umieszczono w szeregach wybranych!

Tych, których godła świadczyły, że czeka ich wielki zaszczyt i oświecenie w Objęciu Pływów.

Tak oto dowiedzieliśmy się o cudownej chwale naszego nowego, wyniesionego stanu... i o bólu, który jeszcze nas czeka.

Ale nikt, od naszego najbardziej czcigodnego stosu kapłańskiego aż po najmłodszych rangą wojowników, nie potrafił odpowiedzieć dlaczego?

Dlaczego miał nas spotkać ten zaszczyt?

Nie ubiegaliśmy się o niego.

I żaden jophurski stos na pokładzie tego szlachetnego statku nie raduje się, że mamy go otrzymać.

Ja/my przyznaję się do błędu.

JEDEN STOS WYRAŻA ZADOWOLENIE.

Niektóre z pierścieni poznawczych pozostałych po Asxie radują się na tę wiadomość.

Myślą, że oznacza ona, iż „Polkjhy” nie będzie mógł przekazać wiadomości o Jijo. Jeśli ten okręt liniowy nie dotrze do domu, dziwaczne społeczeństwo skundlonych przedterminowych osadników będzie mogło nadal radować się pokojem.

Czy tak wygląda wasza nadzieja/przekonanie, moje pierścienie?

Mógłbym was teraz zdyscyplinować impulsami pełnego miłości bólu, przegnać nielojalność z naszego wspólnego rdzenia, ale...

Ale wygląda na to, że Selektor wykonał już swoje zadanie! Armady zgromadzone przez niego w kieszeniach zwiniętej przestrzeni ruszyły wreszcie z miejsca... w szeregach, kolumnach, regimentach wszystkie suną wzdłuż specjalnych nici transferowych, rozgrzanych do białości przez tarcie.

Wibracje i nagłe zakręty wstrząsają „Polkjhy” tak gwałtownie, że chwiejne ruchy przedostają się nawet przez nasze potężne pola stabilizujące.

A teraz, jakby tego wszystkiego było mało, seria wytrącających z równowagi niespodzianek trwa.

Roboty nadal opiekują się inkubatorami, w których młodociane pierścienie o rozmaitych kształtach, atrybutach i kolorach pochłaniają destylowane substancje odżywcze, wyrastając na elementy nowych jophurskich stosów.

Żołnierze nadal zgłaszają się tu po naprawę, chcąc zastąpić uszkodzone pierścienie nogowe, manipulatory-miecze, torusy chemosyntezy, a nawet śmiertelnie ranne pierścienie władzy. Najwyraźniej furia bitwy z Zangami nie słabnie.

Tymczasem ja/my obserwuję na monitorach, jak „Polkjhy” dociera do jakiegoś odległego układu planetarnego jako część uporządkowanego roju kandydatów do transcendencji – od konwencjonalnych gwiazdotatów i kolczastych fraktalnych sylwetek, aż po drżące kule, które dla naszego przerażonego wzroku wyglądają bardzo po zangowsku!

Przez kilka jador dziwaczna armada pokonuje przestrzeń kilkunastu paktaarów za pomocą skoków przez przestrzeń B. Okrążamy wielką, błyszczącą mgławicę, aby dotrzeć do następnego punktu transferowego. Wreszcie konwój zagłębia się w węzle i zaczyna się kolejna jazda po nici. Mkniemy wzdłuż granic wielowymiarowych skaz, gdzie dawno temu surowa esencja rozszerzającego się wszechświata skupiła się w przestrzeń.

Podczas tego wszystkiego ja/my ukrywam się w mrocznym zakamarku żłobka przed naszymi/moimi towarzyszami z załogi... aż wreszcie do naszej odrętwiałej od szoku świadomości raz jeszcze wdziera się nieoczekiwane.

Gapimy się na nowego intruza.

Przybysz ukazuje się naszym pełnym niedowierzania zmysłom.

To najdziwniejsza istota, jaką ja/my/ja kiedykolwiek widziałem.

Zjawiała się przed paroma chwilami bardzo niekonwencjonalną drogą. Przez przewód zaopatrzeniowy. Przybyła do żłobka w smukłym wózku przeznaczonym do transportowania surowców oraz próbek, nie istot rozumnych!

Wyczołgała się na zewnątrz, nim zdążyliśmy zareagować, i wyprostowała długie kończyny, prezentując sylwetkę przypominającą proporcjami *Homo sapiens*. W rzeczy samej, stercząca z jej szczytu głowa z pewnością była ludzka. I znajoma.

Ja/my gapilem się na to ze zdumieniem, czyż nie tak, moje pierścienie? Kilka naszych torusów poznawczo-pamięciowych okazało radość, wypuszczając opary rozpoznania i powodując, że z naszego wspólnego szczytu oracyjnego popłynęły słowa:

– Lark! Czy... to... naprawdę... ty?

I rzeczywiście, na twarzy pojawił się niepowtarzalny ludzki uśmiech. Gdy przybysz przemówił,

jego głos brzmiał tak samo, jak za dawnych czasów, na Jijo.

– Witaj, czcigodny Asxie... czy może powinienem cię zwać Ewasxem?

Kilka naszych elementów zastanawiało się nad właściwą odpowiedzią, inne zaś gapiły się na przekształcone ciało zaczynające się poniżej szyi. Lark nadal poruszał się na dwóch nogach, złożonych ze sztywnych kości połączonych stawami, ale jego ciało spowijała teraz półprzezroczysta błona, wydymająca się do przodu jak wyjątkowo workowaty strój. Owa wypukłość pulsowała niezdrowym, półpłynnym rytmem, od którego po naszym/moim centralnym rdzeniu spływały dreszcze mdłości. Z pleców sterczała wyjątkowo wielka narośl przypominająca guz, Lark nie buntował się przeciwko temu brzemienu.

Nasze pierścienie chemosyntezy wykryły kilka okropnie śmierdzących gazów, takich jak metan, cyjan i siarkowodór.

Wszystko to były substancje charakterystyczne dla Zangów!

Zaskoczenie sprawiło, że nasza odpowiedź była, łagodnie mówiąc, chaotyczna.

– Ja/my... nie potrafimy powiedzieć, jakie... imię... byłoby obecnie najbardziej odpowiednie... dla tego stosu. Zaczyna się/trwa głosowanie nad tą kwestią... Ale mimo to... mogę szczerze zapewnić, że niektóre części nas/mnie/tego stosu poznają pewne... części... ciebie...

Nasz wspólny głos ucichł. Ani anglic, ani szósty galaktyczny nie sprawiały wrażenia zbyt dobrze przystosowanych do wyrażenia odpowiedniego/adekwatnego poziomu zdumienia. Popłynęły emocjonalne feromony... i ku naszemu zaskoczeniu Lark/Zang odpowiedział w taki sam sposób!

Z nowej zewnętrznej powłoki jestestwa popłynęły cząsteczkowe przekazy, powodujące natychmiastowe zrozumienie w naszych/moich receptorach porowych.

WZAJEMNE ROZPOZNANIE.

PRZYJAZNE INTENCJE.

PRAGNIENIE ODNALEZIENIA ROZWIĄZANIA.

Szukając źródła owych przekazów zapachowych, nasze/moje narządy zmysłowe zlokalizowały toroidalną wypukłość uwidaczniającą się w pobliżu piersi Larka.

Fioletową wypukłość.

To był traECKI pierścień, wcielony do grupowego jestestwa, które mieliśmy przed sobą!

My/ja natychmiast rozpoznaliśmy jeden z małych torusów, które Asx przed kilkoma jadurami stworzył potajemnie, bez wiedzy pierścienia władzy Ewasxa, by pomóc Larkowi i jego ludzkiej towarzysze uciec z niewoli.

Pogłaskawszy wosk pamięci z tamtego czasu, ja/my uświadomiłem/przypomniałem sobie, że był też drugi tajny pierścień.

– Ten drugi zostawiłem tutaj – wyjaśnił Lark, jakby czytał w moich/naszych myślach. – Był ranny i Ling ukryła go w żłobku, gdzie otrzymał opiekę i pokarm. To jeden z powodów, dla których wróciłem. Moi nowi towarzysze pragną odnaleźć mały czerwony pierścień. Chcą poznać jego cel.

Nie musi tłumaczyć, co to za „towarzysze”. Jophurzy, w przeciwieństwie do większości pojedynczych istot, instynktownie rozumieją, że można ze sobą łączyć zupełnie różne elementy, aby stworzyć złożone jestestwo. W tym przypadku chimera składa się z ludzkich, traECKICH i zangowskich elementów... unia przerażająca, ale z jakiegoś powodu wiarygodna.

– Prosisz... prosicie o naszą/moją pomoc w odnalezieniu czerwonego pierścienia? – pytam.

Lark kiwa głową.

– Jego moce mogą zaprowadzić pokój na tym ogromnym okręcie...

Przerywa na chwilę, jakby oddawał się komunii z samym sobą, a potem mówi dalej.

– Jest jednak coś jeszcze. To cena, jakiej zażądałem za zgodę na udział w tej misji. Musimy uratować Ling.

HARRY

Do jego najnowszego koszmaru wtargnęły głosy, przedzierając się przez deliryczne bełkotanie i mordercze drapanie.

– Chyba wraca do siebie – ktoś stwierdził.

Harry szarpnął się gwałtownie, potrząsając głową z lewej ku prawej.

Przez chwilę, która zdawała się trwać wieczność, jego umysł był całkowicie odsłonięty, wystawiony na przestrzeń E, przerodził się w żyzny grunt dla kolonizacji. Pasożytnicze memy – złożone, samopodtrzymujące się symboliczne jestestwa niepodobne do niczego, co wyobrażano sobie na Ziemi, wtargnęły do środka, by przywłaszczyć sobie niespójne sny szympansa. Nawet teraz, gdy zaczęło powracać coś przypominającego świadomość, niesamowite kształty nie przestawały tłoczyć się i chichotać, dziwaczniejsze niż wszystko, co mogło się zrodzić w organicznym umyśle.

Zdołał jednak je jakoś odepchnąć – być może dzięki sile woli albo zwykłemu uporowi – i utorować sobie drogę ku jawie.

– Jesteś pewien, że powinniśmy pozwolić mu wstać? – zapytał drugi, wyższy głos. – Popatrz na te zęby! Może być niebezpieczny!

Pierwszy z mówiących sprawiał wrażenie spokojniejszego, choć w jego głosie pobrzmiwała nuta niepewności.

– Daj spokój, widziałaś już szympanasy. To nasi przyjaciele. Po wszystkim, przez co przeszliśmy, szczęście nie mogłoby nam bardziej sprzyjać.

– Mówisz, że to szympanasy? – sprzeciwił się drugi głos. – Nie stykałam się z nimi tak często jak ty ani nie czytałam tylu książek, ale założę się, że żaden szympanas nigdy tak nie wyglądał!

Ten komentarz szczególnie mocno pobudził Harry'ego do walki z uporczywą sennością.

Co niby jest nie w porządku z moim wyglądem? Mam ładniejszą gębę niż każda bezwłosa małpa!

Nie ulegało wątpliwości, że to ludzie. Choć mówili z dziwnym akcentem, poznawał charakterystyczne nosowe brzmienie.

Skąd wzięli się ludzie w przestrzeni E?

Gdy spróbował uchylić powieki, jego oczy zaatakowała bolesna jasność. Z jego ust wyrwał się jęk. Zasłonił twarz ciężkim przedramieniem.

– Czy...

W gardle miał suchość tak wielką, że z trudem zdołał się odezwać.

– Czy mogę dostać... trochę wody?

Zdziwiła go ich reakcja.

– On gada! – pisnął przeraźliwie wyższy głos. – To nie może być szympanas! Walnij go!

Harry otworzył oczy i ujrzał świat wypełniony jasnym blaskiem oraz zamazanymi cieniami. Usiadł z wysiłkiem. Dwie pobliskie sylwetki odsunęły się pośpiesznie. Harry zorientował się, że to młodzi ludzie, mężczyzna i kobieta. Byli brudni i rozczochrani.

– Hej! – wychrypiął. – Niby dlaczego nie mogę być...

Umilkł nagle. Nie był w stanie powiedzieć nic więcej ani nawet się poruszyć. Mógł jedynie gapić się na rękę, którą miał przed sobą. Jego własną rękę... porośniętą rzadkim futrem.

Lśniącym i białym.

Jego włosy miały kolor szronu pokrywającego zimną parapety na Horście.

Serce zabiło mu gwałtownie. Co gorsza, w grzbiecie, tuż nad pośladkami, poczuł ostry ból,

jakby budziła się tam do życia odrętwiała kończyzna.

– Uważaj! – zawołała dziewczyna. – On wstaje!

Harry podniósł się, próbując stłumić panikę, a potem obmacał swe ciało w poszukiwaniu ran i brakujących części. Ku jego wielkiej uldze okazało się, że wszystkie ważne kawałki są na miejscu. Jego oczy poruszały się jednak szaleńczo, poza wszelką kontrolą, szukając, co jeszcze może być nie w porządku.

Białe futro... białe futro... mogę z tym żyć... pod warunkiem, że nic więcej się nie zmieniło...

W ograniczonym przez strach polu widzenia Harry'ego znowu zjawił się mężczyzna. Miał na sobie łachmany, a twarz porastał mu kilkutygodniowy zarost. Zbity z tropu, wystraszony szympanś mógł jedynie cofnąć się z groźnym warknięciem.

– Hej, spokojnie – rzekł młodzieniec. – Prosiłeś o wodę. Mam trochę w tej manierce.

W ręce trzymał jakiś przedmiot przypominający brudną tykwę albo dynię, zatkany drewnianym cylindrem.

Co to ma być? – pomyślał Harry. – Jakiś żart? Czy kolejny myślowy syf z przestrzeni E?

Nie przestając cofać się po pokładzie uszkodzonej stacji, wyrztał przez okno i zobaczył, że krajobraz na zewnątrz się zmienił. Rozległa równina pokryta puszystym dywanem była teraz żółta, nie beżowa. Mgiełka zgęstniała, zasłaniając wszystko poza pobliskim wzgórkim z metalowego gruzu, który tlił się i rozpuszczał powoli, pochłaniany przez żarłoczne nici. Harry miał ochotę zapytać, co się stało, jak długo był nieprzytomny, skąd się tu wzięli ci ludzie i jak zdołali się dostać na statek. Być może uratowali mu życie, ale był bliski hysterii i ledwie potrafił się powstrzymać przed krzyżeniem na nich.

Białe futro... ale to nie wszystko. Coś jeszcze jest nie w porządku! Te roztocza zrobiły mi coś więcej. Wiem o tym!

Widział teraz wyraźnie obydwój ludzi. Kobieta – właściwie jeszcze młoda dziewczyna – miała na twarzy paskudną bliznę. Trzymała w ręce łom, dzierżąc go jak broń. Chłopak ją powstrzymywał, choć jego wygląd również Harry'ego wyraźnie zdumiał i przeraził.

– Nie chcemy cię skrzywdzić – zapewnił. – Uratowałeś nas przed potworami. Przeszliśmy na twój statek i załataliśmy kadłub. Posłuchaj, ja się nazywam Dwer, a to jest Rety. Jesteśmy ludźmi... Ziemianami. Możesz nam powiedzieć, kim właściwie jesteś?

Harry miał ochotę krzyżeć. Czy byli ślepi? Czy opiekunowie nie powinni znać swych podopiecznych? Nawet z białym futrem szympanś pozostaje...

Coś z tyłu go połechtalo. Oczywiście, miał za sobą gródź i nie mógł się już cofać dalej, ale wrażenie zjawilo się nieco za wcześnie i bylo w nim coś osobliwego, jakby ściana muskala przedłużenie jego grzbietu.

Mój grzbiet.

To właśnie w jego podstawę wgryzł się mały drapieźny mem, wypełniając ciało i umysł Harry'ego falami zaburzeń i dezorientacji.

– No wiesz... wyglądasz na jakiegoś naszego kuzyna. – Podenerwowany młodzieniec mówił coraz szybciej. – I przed chwilą przemówiłeś do nas w anglicu, więc może...

Harry go nie słuchał. Nerwowo, z narastającym lękiem, sięgnął za siebie lewą ręką, dotknął ściany, a potem przesunął dłoń w dół.

Coś uniosło się jej na spotkanie. Czuł to wyraźnie. Coś, co było częścią jego ciała.

W jego dłoń zgrabnie wsunął się węzowaty, pokryty futrem wyrostek. Ten ruch wydawał się równie naturalny jak drapanie się po tyłku albo pociąganie za kciuki.

To tylko mój cholerny ogon – pomyślał z pewną ulgą Harry.

I rozdziawił szeroko usta.

Oddech zamarł mu w gardle... a potem wydostał się na zewnątrz z przeciągłym, żalobnym westchnieniem.

Dwoje ludzi odsunęło się nerwowo, gdy oddech przeszedł metamorfozę niczym jakiś niecierpliwy mem obdarzony niezależną wolą, przeradzając się w ochrypy, histeryczny śmiech.

Gdy Harry wreszcie zdobył się na to, aby przyjrzeć się spokojnie swemu odbiciu, okazało się, że wcale nie wygląda tak źle. W gruncie rzeczy białe futro przydawało mu... hmm... charyzmy.

Jeśli zaś chodzi o dodatkowy narząd, pogodził się już z myślą o nim.

Musi się do czegoś przydawać – pomyślał. – Ale nie podoba mi się myśl o rachunkach od krawców.

Rzecz jasna, mogło być znacznie gorzej. Memoid, który wtargnął do jego ciała, był już umierający. Jego rodzic przed chwilą eksplodował po krótkim kontakcie z Materialną Rzeczywistością. Pasożyt z pewnością w ostatnim tchnieniu uczeplił się jakiejś przypadkowej myśli Harry'ego i za jej pomocą wymusił szybko zmianę w jego wizji samego siebie. W przestrzeni E wyobrażenie o sobie mogło niekiedy mieć drastyczny wpływ na rzeczywistość.

Jedno było pewne: Z takim wyglądem nie może wrócić na Ziemię. Nazywano by go „ogoniastą małpą” i byłoby to tylko najmniej dotkliwie z licznych upokorzeń.

Podejmując służbę w Instytucie Nawigacji, zdawałem sobie sprawę, że zapewne oznacza to, iż spędzę całe życie z dala od swych pobratymców. Teraz należę do Wer'Q'quina w jeszcze większym stopniu niż przedtem.

Na jego rozkaz stacja pokuśtykała wzdłuż długiej roziskrzanej Alei z maksymalną bezpieczną prędkością, wracając tą samą drogą, którą tu przyszła, by pozbierać pakiety instrumentów i wykonać misję, nim dojdzie do kolejnych zakłóceń.

Dobrze przynajmniej, że Wer'Q'quinn zapewne nie zauważy żadnych zmian w moim wyglądzie. Starą kałamarnicę obchodzi wyłącznie to, czy wykonałem robotę.

Zostawał mu tylko jeden problem.

Młodzi ludzie.

Najwyraźniej to Rety i Dwer byli „organicznym ładunkiem” pechowego maszynowego jestestwa. Ich mały habitat miał właśnie zaatakować żarłoczny memetyczny drapieznik, gdy zjawił się Harry. Z ich punktu widzenia był przysłowiową kawalerią, rycerzem z jakiejś bajki, który przybył z odsieczą akurat na czas.

Później odwzajemnili mu się tym samym, gdy już ostatni memoid uciekł, obzarty ukradzionymi atomami. Przekonali umierający mechanizm, aby wykorzystał resztkę swych materiałów do budowy śluzy, a następnie przeszli na pokład statku Harry'ego i uratowali leżącego na podłodze nieprzytomnego pilota przed śmiercią z uduszenia.

Potem mechanoid skonał, a jego masa użyźniła na pewien czas ubogą w materię pustynię.

– Nie potrafiliśmy odgadnąć, gdzie się znajdujemy ani dlaczego nas tu zabrał – wyjaśnił Dwer, pożerając potrójną porcję racji żywnościowych Harry'ego. – Maszyna nigdy się nie odzywała, choć wydawało się, że rozumie, gdy przemawiałem do niej w drugim galaktycznym.

Harry przyglądał się z uwagą Dwerowi. Chłopak stanowił fascynującą mieszankę barbarzyńcy i dżentelmena. Nie próbował przeczyć, że jest przedterminowym osadnikiem, potomkiem zbrodniczych kolonistów, którzy przed z górą dwoma stuleciami wyrzekli się technologii. Mimo to potrafił czytać w sześciu galaktycznych językach i wyraźnie rozumiał implikacje swej sytuacji.

– Gdy mechanoid przyjął nas na pokład, w pobliżu czerwonego olbrzyma, pomyśleliśmy, że już

po nas. Zwoje mówią, że maszyny mieszkające w głębokim kosmosie mogą być niebezpieczne i niekiedy są wrogami naszej kategorii życia. Ale ten mechanizm dał nam schronienie, poprawił jakość powietrza, którym oddychaliśmy, i naprawił urządzenie do produkcji pokarmu. Nawet zapytał nas, dokąd chcemy lecieć!

– Chyba mówiłeś, że w ogóle się nie odzywał – zdziwił się Harry.

Rety, nastolatka z blizną na policzku, potrząsnęła głową.

– Jeden z jego robotów przyszedł na pokład z tabliczką metalu, na której wydrapano słowa. Nie wiem, dlaczego chciał rozmawiać w taki sposób, bo przecież mieliśmy małego nauczyciela, który mógł z nim pogadać. Ale robot chyba przynajmniej zrozumiał naszą odpowiedź.

– A co mu powiedzieliście?

Oboje odezwali się jednocześnie.

Dwer: – Chciałem, by nas zabrał do domu.

Rety: – Powiedziałam mu, żeby zabrał nas do tych, którzy są najważniejsi!

Dwoje ludzi wymieniło spojrzenia. W ich oczach gorzały zadawnione pretensje.

Harry zastanawiał się przez dłuższy czas nad ich słowami. Wreszcie pokiwał głową ze zrozumieniem.

– To sprzeczne polecenia. Dla was albo dla mnie znaczyłoby to, że trzeba wybrać jedną z opcji albo wynegocjować kompromis, ale wątpię, aby maszyna zareagowała w taki sposób. Podejrzewam, że próbowała je połączyć i zoptymalizować. Oczywiście, jej definicje użytych przez was terminów mogły znacznie odbiegać od tego, co mieliście na myśli.

Młodzi ludzie mieli speszone miny. Harry potrząsnął głową.

– Mogę wam tylko powiedzieć, że kiedy znalazłem wasz trop, z całą pewnością nie zmierzaliście z powrotem do swej kolonii przedterminowych osadników.

– Ha! – zawołała Rety, kiwając głową z satysfakcją.

– Nie zmierzaliście też na Ziemię, do baz Wielkich Instytutów ani żadnego z mocarstw Pięciu Galaktyk.

– W takim razie dokąd...

– W gruncie rzeczy mechanizm zabierał was, ryzykując własnym życiem, do królestw i domen tak tajemniczych, że niemal nie mają nazwy. Najwyraźniej podążał starym tropem dwóch...

Harry'emu przerwał ostrzegawczy sygnał, świadczący, że tuż przed nimi znajduje się kolejny pakiet czujników Wer'Q' quinna.

– Wybaczcie na chwilę, dobra? – powiedział ludziom, którzy najwyraźniej rozumieli, że ma do wykonania robotę. Nawet Rety traktowała go teraz z szacunkiem, który wydawał mu się przesadny u przedstawicielki gatunku jego opiekunów.

Wziął się do pracy, zebrał ostatni pakiet za pomocą manipulatorów stacji, a przed sprowadzeniem go na pokład spryskał specjalnym rozpuszczalnikiem, chcąc się upewnić, że do obudowy nie przyczepiły się memetyczne mikroby. W pobliskiej Alei lśniły gwiazdy. Królestwo materialnych istot i godnych zaufania praw fizyki było odległe zaledwie o kilka metrów, ale Harry nie zamierzał do niego wracać. Droga do domu, którą wybrał, była bardziej okrężna, ale zapewne nieporównanie bezpieczniejsza.

Kończąc zadanie, zerkał na Dwera i Rety, dwoje uratowanych przez siebie rozbitków... którzy również go ocalili. Oni także wywodzili się z Ziemskiego Klanu, a ludzie oficjalnie byli odpowiedzialni za Wspomaganie neoszympanów. Prawnie jednak nie był im nic winien. W gruncie rzeczy jego obowiązkiem jako urzędnika jednego z Wielkich Instytutów było aresztowanie wszelkich spotkanych przedterminowych osadników.

Ale co by to dało? Wątpił, aby znali się na astrodynamice i potrafili powiedzieć, gdzie znajduje się ich kolonia. Ich przesłuchanie nic nie da. Sądząc z tego, co mówili do tej pory, pochodzili z bardzo niezwykłej kolonii, pokojowej unii sześciu gatunków, które w Cywilizacji Pięciu Galaktyk z reguły były wrogami. W tej chwili jednak, gdy wszystkie galaktyki ogarnął chaos, a szlaki nawigacyjne przestawały funkcjonować, biurokracja w Bazie Kazzkark zapewne po prostu ich zignoruje.

Tak czy inaczej, Harry ze zdziwieniem przekonał się, że brzmienie głosów przemawiających w znajomych dialektach dzikusów sprawiło mu wielką przyjemność. Choć przez większą część życia był samotnikiem, bliskość ludzi dziwnie go podbudowała. W końcu byli mu bardzo bliscy.

Kamera wsunęła się do niszy z zadowalającym brzękiem. Usatysfakcjonowany Harry zerknął do notatnika.

Ostatni. Wiem, że niektórzy zwiadowcy zakładali się o to, że nie wrócę z wyprawy, nie wspominając już o jej sukcesie. Nie mogę się doczekać, aż utrę im wszystkim nosy – albo dzioby, trąby czy inne wyrostki!

Sfatygowana stacja odwróciła się wreszcie od Alei, utykając ciężko, i skierowała się ku skupisku smukłych wież. Harry wiedział już, że to nogi kilku metaforycznych krzeseł oraz ogromnego stołu. Najlepsza droga do domu.

Ciekawe, jak długo ta strefa zachowa postać skupioną wokół mojego ziarna punktu widzenia. Czy po moim odejściu powróci tu chaos? A może to objaw tego, przed czym ostrzegał mnie Wer'Q'quinn – przesadnego wyobrażenia o własnej ważności?

Harry wiedział, że nie jest pierwszym materialnym intruzem, który w ostatnim czasie odwiedził tę okolicę. Przed nim i przed pechowym mechanizmem przeleciały tędy dwa inne statki, jeden z nich ścigał drugi.

Czy to wszystko... – Rozejrzał się wokół, spoglądając na ogromne meble i inne ozdóbki wypełniające symboliczny pokój. – ...mogło się ukształtować jeszcze przed moim przybyciem? Z pewnością nie pamiętam świadomie, abym kiedykolwiek był w podobnym pokoju, nawet w dzieciństwie. Być może ziarna dostarczył jeden z tych poprzednich statków?

Martwiło go, że nadal nie ma pojęcia, dlaczego mechanoid sprowadził tu Dwera i Rety.

Połączył dwa polecenia w jedno. Zabrał ludzi do domu i do „tych, którzy są najważniejsi”.

Potrząsnął głową, nie potrafiąc tego zrozumieć.

Jedno jest pewne. Temu misjonarzowi Skiano totalnie odbije, gdy tylko zobaczy troje Ziemiaków – dwoje prawdziwych, żywych ludzi i przeobrażonego szympansa – spacerujących po bulwarach Kazzkarku. To powinno wywołać sensację!

Tuż przed nimi majaczyła noga stołowa – ta, po której Harry miał nadzieję się wspiąć ku wybranemu przez siebie portalowi, pod warunkiem, że znajdzie go tam, gdzie podpowiadał mu instynkt, a stacja zachowała zdolność wspinania. A także...

Włączył się tryb pilotażu. Napisane kursywą *p* pojawiło się w powietrzu obok szympansa.

– Tak! – zawołał Harry, kiwając głową.

– *Obawiam się, że muszę zameldować o ruchu wykrytym w symboliczną lewą stronę od kierunku, w którym zmierzamy. Szybko zbliżają się potężne memetyczne jestestwa!*

Harry jęknął. Nie miał najmniejszej ochoty na kolejne spotkanie z miejscową kategorią życia.

– Czy możemy przyspieszyć?

– *Tak, ale za cenę niewielkiego zwiększenia ryzyka. O jakieś dwadzieścia procent.*

– W takim razie zrób to, proszę.

Stacja ruszyła prędzej... z każdym następnym krokiem utykając coraz dotkliwiej. Harry spojrzał

na Rety i Dwera, którzy jak zwykle sprzeczcali się ze sobą w sposób przypominający niektóre znane mu małżeństwa – nierozłączne, ale nigdy nie mogące się w niczym zgodzić. Postanowił, że na razie nic im nie powie.

Niech myślą, że niebezpieczeństwo minęło. Przynajmniej jeszcze przez chwilę.

Harry usiadł przy oknie na rufie i wyrżał w mrok na zewnątrz.

Potrzebujemy tylko kilku minut. Dajcie nam chociaż tyle, memetyczne skurwysyny!

Zaswędziały go plecy. Uniósł rękę, aby się podrapać, ale powstrzymał ten ruch, gdy nowy narząd uporał się z tym zadaniem znacznie sprawniej. Ogon uniósł się zgrabnie, zawinał i pomasaował swędzące miejsce. Tym razem również wydawało się to Harry'emu naturalne, choć zarazem zaskakujące. Ruchami ogona kierowała jego świadoma lub nieświadoma wola.

Niech wam serca pękają z zazdrości – pomyślał, wygładzając ogonem piękne futro barwy kości słoniowej. – Biedni ludzie. Skazani na gołe skóry... i gołe tyłki.

Potem nie miał już czasu na głupstwa.

Zauważył we mgle ruchy kilku ciemnoszarych istot. Były potężne, znacznie większe od wielonogów, z którymi przedtem walczył. Sprawiały wrażenie gładkich i zaokrąglonych. Posuwały się po dywanie jak stado olbrzymich słońi.

Nagle uświadomił sobie, że to niewłaściwa metafora. Gdy stworzenia się zbliżyły, poznał ich szybkie, urywane ruchy, sterczące wyrostki podobne do uszu oraz ruchliwe nosy.

Myszy... cholerne gigantyczne myszy! Ifni, tego właśnie potrzebowałem.

Uświadomił sobie z drzeniem trwogi, że zauważyły stację.

– Zwiększyć prędkość! – rozkazał nerwowym głosem trybowi pilotażu. – Musimy wspiąć się na nogę, zanim nas dościgną!

Na tablicy rozdzielczej rozbłysły żółte i czerwone światła. Stacja przyśpieszyła kołyszącym się krokiem. Ogromna kolumna z przypominającego drewno materiału była tuż przed nimi, Harry wyczuł jednak, że memy również przyśpieszyły. Samopodtrzymujące się formy konceptualne znacznie bardziej skomplikowane i drapieżne od wszystkich, jakie napotkał do tej pory. Będzie trudno. Naprawdę bardzo trudno.

Boże. Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam.

CZEŚĆ CZWARTA

KANDYDACI DO TRANSCENDENCJI

NA NASZ wszechświat połączonych ze sobą gwiazdnych szlaków – Pięć Galaktyk – składają się niezliczone hierarchie. Niektóre gatunki są starożytne, doświadczone, pełne mocy i mądrości. Inne dopiero niedawno wkroczyły na ścieżkę samoświadomości.

TO NIE są warunki, w których natura mogłaby stworzyć równość. Nie będzie sprawiedliwości dla słabych, jeśli jakiś kodeks nie powściągnie gwałtownych porywów nieokiełznanej siły.

TEMU właśnie celowi służą liczne tradycje i regulacje, które odziedziczyliśmy po Wielkich Przodkach. Formalizują one stosunki między opiekunami a podopiecznymi lub między kolonistami a nierozumnymi stworzeniami zamieszkującymi życiodajne światy. Niekiedy owe zasady wydają się tak skomplikowane i arbitralne, że trudno nam zachować cierpliwość. Zapominamy, o co w tym wszystkim chodzi. Niedawno mędrzec z terrańskiego klanu gwiazdnych wędrowców (delfin) zasugerował, że sprawę można ująć całkiem prosto, posługując się pojęciem szacunku dla łańcucha pokarmowego.

INNY ziemski mędrzec (człowiek) sformułował to jeszcze prościej, tworząc coś, co nazwał Złotą Metaregulą.

„TRAKTUJ tych, którzy stoją niżej od ciebie tak, jakbyś chciał, aby traktowali cię ci, którzy stoją wyżej”.

Z DZIENNIKA GILLIAN BASKIN

Szkoda, że nie ma z nami Toma. Byłby zachwycony tym wszystkim.

Tajemnicą.

Przerażającym splendorem.

Jestem sama w mrocznym gabinecie. Stoję przy wąskim oknie i wyglądam na otaczający „Streakera” migotliwy ylem – substancję tworzącą nasze kontinuum, elementarny składnik, z którego wyłoniły się wszystkie poziomy hiperprzestrzeni, podłoże tego, co zwiemy „próżnią”.

Widok przyprawia o ciarki. Jest nieopisanie piękny. Mimo to mój umysł pracuje jak szalony. Nie potrafię się uspokoić i radować tą wspaniałością.

Moje serce pragnie tylko jednego. Tego, by Tom mógł dzielić się ze mną tym wszystkim. Niemalże czuję, jak obejmuje mnie w talii, jak muska mnie jego oddech, a głos przekonuje, abym zapomniała o nieprzyjemnych szczegółach, zmartwieniach, ciągłych niebezpieczeństwach i żalu, które nie przestają nas prześladować.

– Nikt nie mówił, że podróże kosmiczne będą łatwe i bezpieczne. Albo wygrzebanie się z pierwotnego błota, by ujrzeć niebo, jeśli już o tym mowa. Możemy być tylko sprytnymi małpami, kochanie, porywczymi dzikusami aż po kres naszych dni, ale coś w nas słyszy ten zew i musimy wszystko zobaczyć na własne oczy.

Oczywiście wszystko to byłoby prawdą. Miałam przywilej ujżenia bardzo wielu cudów. A mimo to odpowiadam duchowi jego głosu, jak zapracowana matka karcąca męża, który skupia się na filozofii i zapomina o codziennych obowiązkach.

Och, Tom. Nawet gdy otacza nas milion cudów, ktoś musi dbać o szczegóły.

Tutaj, na pokładzie tego kruchego czółna, tym kimś jestem ja.

Mijają dni, a „Streaker” nadal podąża razem z resztą tej niezwyklej floty. Ogromna armada ruchomych kontenerów – mam opory przed zwaniem wielkich jak planety obiektów „statkami” – mknie naprzód, niekiedy wchodząc w hiperprzestrzeń poziomu A albo B, albo wpadając w gardło kolejnego punktu transferowego... straszliwy tłum lewiatanów sunie przez kosmiczne szlaki nie zaznaczone na żadnych mapach w naszym archiwum.

Czy powinnam się czuć zaskoczona? Ile razy słyszałam, jak inne istoty rozumne – od Soran i Pilan aż po Synthian i Kantenów – wychwalają pod niebiosa majestatyczną pojemność i mądrość Biblioteki Galaktycznej, której zasoby zawierają informacje z niezliczonych światów, gromadzone przez ponad miliard lat, odkąd założyli ją legendarni Przodkowie.

My, młodsze gatunki, jesteśmy skłonni uważać Bibliotekę za wszechwiedzącą. Rzadko wspomina się o jej największej słabości.

Biblioteka służy tylko Cywilizacji Pięciu Galaktyk. Starożytnej kulturze tlenodysznych gwiazdnych wędrowców, do której Ziemianie przyłączyli się przed trzema stuleciami.

Na potrzeby małego, ubogiego Ziemskiego Klanu to wystarczało z nawiązką! Społeczeństwo Pięciu Galaktyk – ze swymi tajemniczymi tradycjami, rywalizującymi ze sobą sojuszami oraz czcigodnymi Instytutami – jest tak złożone i potężne, że trudno sobie wyobrazić to, co może wykraczać poza nie.

A jest wiele takich rzeczy. Co najmniej siedem innych kategorii życia, istniejących równoległe do naszej. Kategorii o zupełnie innych potrzebach i ambicjach, a także własnych rodzajach mądrości.

Nawet wiecznie ciekawi Tymbrimeczycy radzili nam unikać kontaktów z owymi całkowicie obcymi istotami, tłumacząc, że to zbyt niezrozumiałe, nieopłacalne i niebezpieczne, by warto było zadawać sobie trud.

Po tym, przez co przeszliśmy, musimy przyznać im rację.

Oczywiście wszyscy wiedzą, że najstarsze tlenodyszne gatunki z czasem wymierają albo przechodzą do „następnego fazy”. Podobnie jak indywidualne istoty, gatunki nie są nieśmiertelne. Cykl Wspomagania, stanowiący podstawę galaktycznego społeczeństwa, opiera się na odtwarzaniu i odnowie. Wszyscy przekazują dalej dar rozumności, który im ofiarowano.

Jako nowi gracze, nieświadomi, rozpaczliwie ubodzy i muszący dbać o własnych podopiecznych – szympany i delfiny – skupiliśmy się na pierwszych ruchach, studiowaliśmy zasady, aby móc się zachowywać jak odpowiedzialni opiekunowie i być może uniknąć losu, jaki zwykle spotyka dzikusów.

Początek jest ważny.

Ale wszystkie sojusze i klany wspominają z szacunkiem tych, którzy żyli przed nimi. Tych, którzy – jak czcigodni pradziadkowie – wykonali obowiązki wychowawców, a potem przenieśli swą uwagę na inne sprawy, zmierzając ku nowym wyżynom i nowym horyzontom.

Po ucieczce przed zdradą na Oakka postanowiłam, że nie będziemy już ufać skorumpowanym Instytutom, lecz poszukamy rady u tych uczonych, obiektywnych starców, o których nam opowiadano. Istot, które wyrzekły się gwiazdnych wędrówek na rzecz bardziej kontemplacyjnego bytowania Emerytowanej Kategorii w pobliżu czerwonego karła.

Wydarzenia, do których doszło na Fraktalnym Świecie, stały się dla nas surową nauką. Dystans nie musi oznaczać bezstronności. Tak zwana Emerytowana Kategoria jest w rzeczywistości tylko poczekalnią dla tlenodysznych gatunków, które nie potrafią już znieść rygorów płaskiej czasoprzestrzeni. Mimo że kryją się w studni grawitacyjnej niczym pustelnicy, próbując doskonalić swe gatunkowe dusze, to wcale nie znaczy, że są tolerancyjni albo mądrzy. Po tym, co uczyniły nam Prastare Istoty, byłam skłonna wrócić do Pięciu Galaktyk i zaryzykować ponowny kontakt z cywilizacją tlenodysznych.

Ale teraz, wbrew wszelkiej logice i rozsądkowi, nie pytając o zdanie, adoptowała nas Kategoria Transcendentna!

To przynajmniej zdaje się sugerować symbol na naszym dziobie. Ktoś albo coś umieścił tam dwie linie stykające się pod kątem rozwartym. Być może miał to być wyjątkowo kiepski żart.

Godło symbolizujące wysokie osiągnięcia duchowe, a także gotowość wyrzeczenia się wszelkich doczesnych trosk.

Krótko mówiąc, znaczy to: „Hej, spójrzcie na nas! Jesteśmy gotowi aspirować do boskości!”.

Kurde, co za sytuacja. Czuję się jak ulicznik, który ukradł smoking z dokumentami i w jakiś sposób zdołał się wkraść na ceremonię noblowską, a teraz siedzi obok mównicy i zaraz ma wygłosić mowę!

A tak naprawdę chciałby tylko mieć szansę wykraść się niepostrzeżenie, zanim dorośli się zorientują i złoją mu skórę.

Ucieczka nie będzie jednak łatwa. Całą wielką flotę otacza coś w rodzaju pola bezwładności, w którym unosimy się bezradnie wśród hordy potężnych transportowców. Co więcej, nasze systemy nawigacyjne odmówiły posłuszeństwa. Nie wiemy, gdzie jesteśmy, a tym bardziej nie mamy pojęcia, dokąd lecieć.

W pewnej chwili, podczas wyjątkowo gładkiego tranzytu przez przestrzeń B, Akeakemai zameldował, że otaczające nas pole osłabło. Kazałam mu przesunąć „Streakera” na granicę roju, licząc na to, że uda się nam wymknąć podczas jednego z cyklicznych powrotów do normalnej przestrzeni. Ale gdy już przygotowywaliśmy się do ucieczki, Olelo uderzyła gwałtownie ogonem i gwizdnęła ostrzegawczo. Śledziły nas nieprzyjacielskie wiązki skanera!

Wkrótce zauważyliśmy jophurski okręt, przebijający się przez tłum olbrzymich ark.

Kiedyś okręt liniowy był w naszych oczach wszechmocny, teraz jednak wydawał się mały w porównaniu z otaczającymi go lewiatanami. Jego lśniący ongiś pancerz naznaczyły plamy. Powłoka w tych miejscach zdawała się pulsować, jakby statek pokryły zakaźne pęcherze. Niemniej złożona z egotystycznych pierścieni sokowych załoga nadal ma do dyspozycji potężne moce i ściga „Streakera” z wielką determinacją. Zaatakują nas, gdy tylko opuścimy bezpieczny konwój.

Wycofaliśmy się między tytany, chcąc poczekać na sposobniejszą chwilę.

Być może tajemnicza choroba, która dopadła Jophurów, w końcu ich wyeliminuje.

Wszechświat może nam dać jeszcze jeden cud.

Kto wie?

Może rzeczywiście osiągniemy transcendencję?

Niss wysondował naszą ukradzioną jednostkę biblioteczną w poszukiwaniu informacji na temat niezwyklej warstwy ochronnej, która pokryła kadłub „Streakera”, zapewniając statkowi osłonę, lecz jednocześnie go obciążając. Początkowo była ona gęstą powłoką gwiazdnej sadzy, pozostałą po przelocie przez atmosferę czerwonego węglowego słońca. Potem jakaś tajemnicza frakcja Prastarych Istot przetworzyła ją – z czystej życzliwości albo z jakichś tajemniczych powodów – w błyszczącą otoczkę, która ocaliła życie nam wszystkim.

– *To rodzaj pancerza – wyjaśnił Niss. – Zapewnia straszliwie skuteczną ochronę przed bronią energetyczną, o czym przekonaliśmy się w spektakularny sposób we Fraktalnym Świecie. Przeszukując archiwa, dowiedziałem się, że tej metody powszechnie używano do ochrony okrętów wojennych aż do chwili, gdy przed około dwustoma milionami lat odkryto jej fatalną wadę, co uczyniło ją przestarzałą.*

– Na czym polega ta wada? – zapytałam. No pewnie, coś tak dogodnego musiało mieć jakąś piętę achillesową.

– *Znaczna część sadzy produkowanej przez Izmunuti składa się z cząsteczek zwanych przez Ziemiaków fullerenami, otwartych siatkowych sfer oraz rurek złożonych z co najmniej sześćdziesięciu atomów węgla. Taki materiał ma liczne zastosowania w przemyśle, zwłaszcza pod postacią płacht albo połączonych ze sobą łańcuchów. Dlatego roboźniwiarki leciały na Izmunuti w poszukiwaniu surowca dla swych nieudanych prób naprawy Fraktalnego Świata.*

– Już przedtem wiedzieliśmy, że to mocny materiał – odpowiedziałam. – Suessi miał wielkie trudności z usunięciem go. Ale to nie to samo, co oparcie się wiązce dezintegratora ósmej klasy!

Niss wyjaśnił, że potrzebna była specjalna transformacja, by nadać gwiazdnemu surowcowi inną postać, w której w lukach między atomami węgla można umieścić dodatki. Bezcielesny głos maszyny nazwał je „atomami dziwnej materii”.

Przyznaję, że z początku go nie zrozumiałam. Najwyraźniej niektóre pierwiastki mogą powstawać z innych elementów niż zwyczajne protony, elektrony i neutrony, wykorzystywać nietypowe odmiany kwarków. Takie atomy trzeba umieszczać w klatkach, bo inaczej często znikają z normalnej przestrzeni na poziom D albo do innego subkontinuum, gdzie czują się bardziej u siebie.

Czułam się dziwnie, wyobrażając sobie, że „Streakera” pokrywa taki materiał.

Ale z drugiej strony, gdybym zgineła, czułabym się jeszcze dziwniej.

Doskonale pamiętam, że myślałam wtedy, iż straszliwe wiązki zamienią nas w parę. Ku naszemu zaskoczeniu nowy pancierz pochłonął jednak całą energię, przekazując ją co do erga na inny poziom rzeczywistości, gdzie rozproszyła się bez szkody.

– Niezła sztuczka – zauważyłam.

– *W rzeczy samej, doktor Baskin* – odparł Niss pełnym ironii tonem. – *Tyle że przed kilkuset eonami ktoś odkrył, że można unieszkodliwić tę wspaniałą osłonę przez proste odwrócenie pływu. Zamienia ono ów rewelacyjny materiał w wielką antenę absorbującą energię z hiperprzestrzeni, co prowadzi do usmażenia załogi razem ze wszystkim, co jest w środku.*

Oto dlaczego nikt w całych Pięciu Galaktykach nie jest na tyle głupi czy zdesperowany, by używać takiego pancierza przez dłuższy czas. W pierwszej chwili okazał się skuteczny, ponieważ Jophurzy dali się zaskoczyć. Mają jednak na pokładzie „Polkjhy” swoją filię Biblioteki, równie dobrą jak nasza. Z pewnością odkryli już prawdę i są przygotowani do następnego starcia.

Musimy jakoś się pozbyć tej skorupy!

Poleciłam Hannesowi Suessiemu rozgryźć ten problem. Mam też na głowie mnóstwo innych.

Po pierwsze, gławery wyją dzień i noc.

Przed odlotem w małej szalupie z Kaa, Alvin Hauph-Wayuo nauczył nas, jak dbać o tych uwstecznionych potomków potężnych gwiazdnych wędrowców i czym ich karmić. Nie było to zbyt skomplikowane. Mieliśmy dawać im imitacje larw i co kilka dni czyścić zagrodę. Gławery sprawiały wrażenie flegmatycznych i niewymagających. Ale gdy tylko Kaa odleciał, zabierając Alvina i jego przyjaciół w bezpieczne miejsce, brudne stwory zaczęły zawodzić bez końca.

Zapytałam jedyną Jijankę, która z nami została, co to może oznaczać, ale Sarę ich zachowanie również zdumiewa. Mogę się jedynie domyślać, że ma ono coś wspólnego ze zmianą składu ogromnej floty migracyjnej, która nas otacza.

W miarę naszej wędrówki przez rozległe obszary przestrzeni i hiperprzestrzeni przyłączało się do nas coraz więcej globul, mieszających się z fraktalnymi statkami byłej Emerytowanej Kategorii. Zangowie... a także inne odmiany wodorodysznych... stanowią obecnie mniej więcej dwie trzecie armady, choć ich statki są z reguły znacznie mniejsze od monumentalnych gwiazdolotów tlenodysznych.

Nasze gławery najwyraźniej wyczuwają w jakiś sposób obecność Zangów. To je ekscytuje, choć trudno powiedzieć, czy ze strachu, czy z radości.

Nie tylko one są podenerwowane. Zostawiliśmy bardzo wielu członków załogi na Jijo i „Streaker” wydaje się teraz pusty, niemalże przypomina statek widmo. Otaczają nas tajemnice, a przed nami jest niebezpieczna niepewność.

Mimo to mogę bez zastrzeżeń stwierdzić, że delfiny nadal pozostające na pokładzie tego statku znakomicie wywiązują się z zadań, wykazując się pełnym profesjonalizmem i poświęceniem. Po trzech latach selekcji zostali nam najlepsi z wybranej przez Creideikiego załogi. Ci, którzy najwyraźniej są odporni na uwstecznienie i mentalne zastraszenie. Poddani próbie w bezlitosnym tyglu są perłami Wspomagania, skarbami swego gatunku. Jeśli zdołamy wrócić do domu, wszyscy bez wyjątku otrzymają nieograniczone przywileje rozplodowe.

Rzecz jasna, to tylko wzmaga ironię.

Żaden z finów nie wierzy, że jeszcze ujrzymy Ziemię.

Sara większość czasu spędza ze swą małą szympansiczką Prity, rysując na małym komputerze

hiperprzestrzenne mapy oraz skomplikowane macierze czasoprzestrzenne.

Kiedy zapytałam Nissa, czym się zajmują, sarkastyczne jestestwo zbyło ich projekt jako „bzdurne przesady”.

Innymi słowy, Sara próbuje ukończyć dzieło swego nauczyciela, połączyć starożytną ziemską matematyczną fizykę z komputerowymi modelami nauki Galaktów. Ma nadzieję zrozumieć w ten sposób niezwykle, przerażające zakłócenia, których świadkami byliśmy. Wygląda na to, że te konwulsje ogarnęły spory fragment wszechświata.

– Nadal brakuje mi jakiegoś elementu albo wskazówki – oznajmiła mi dziś rano z połączeniem frustracji z upajającą radością, jaką sprawia intensywne praca nad czymś, co kochamy. – Zastanawiam się, czy to może mieć coś wspólnego z Objęciem Pływów.

Niss z zasady lekceważy wysiłki Sary, ponieważ w Wielkiej Bibliotece nie ma wzmianek na ten temat, ja jednak podziwiam jej talent i odwagę, nawet jeśli szanse na sukces nie wyglądają za dobrze. Mogę tylko powiedzieć „brawo”.

Biedny Emerson zawsze kręci się obok Sary z tęsknym wyrazem oczu. Przygląda się jej próbnym modelom, przepływającym przez holoeokran, i czasami mruży powieki, jakby próbował sobie przypomnieć coś, co ma na czubku języka. Być może pragnie jej pomóc albo ostrzec ją przed czymś. Czy też po prostu wyrazić swe uczucia.

Ich narastająca bliskość to piękny widok, choć nie potrafię powstrzymać ukłuc zazdrości. Przed wypadkiem Emerson durzył się we mnie, ale nigdy nie odwzajemniałam jego afektu. Niemniej jest mi bliski i to rozumiałe, że mam mieszane uczucia, gdy zwrócił uwagę na kogoś innego. Naga prawda wygląda tak, że Sarze przypadł jedyny funkcjonujący ludzki mężczyzna w promieniu kilku megaparseków. Jak mogłabym się nie czuć z tego powodu jeszcze bardziej samotna niż przedtem?

Tak, Tom, czuję, że nadal gdzieś tam jesteś. I Creideiki też. Wędrujecie po mrocznych zakamarkach kosmosu. Odbieram słabe echo twej esencji. Z pewnością powodujesz mnóstwo zdumiewających kłopotów i pakujesz się w kłopoty powodowane przez innych, jeszcze bardziej zwiększając zamieszanie.

Czy ty również czujesz w tej chwili moje myśli? Zakładając, że nie ulegam pobożnym życzeniom albo nie oszukuję samej siebie.

Nie potrafisz czy może nie chcesz mi odpowiedzieć?

Czuję się taka zagubiona... nawet nie wiem, gdzie jesteśmy.

Tom, proszę, wróć i zabierz mnie do domu.

Dobra, uzalenie się nad sobą usunę później. Przynajmniej mam Herbiego za towarzystwo.

Dobry, stary Herb. Mumia, która stoi w kącie mojego gabinetu, zwracając ku mnie puste spojrzenie. Humanoidalna, ale obca i niepojęta. Starsza od wielu gwiazd. Enigma, za którą Tom zapłacił więcej niż jednym życiem. Skarb o niewyobrażalnej wartości, którego obraz przyprawił tysiąc galaktycznych klanów i sojuszy o śmiertelną panikę, skłonił do złamania własnych praw i pościgu za biednym „Streakerem” przez wiele warstw kosmosu, aby zagarnąć nasz ładunek, nim wpadnie w ręce-pazury-macki-szczęki kogoś innego.

Wydano mi jednoznaczne rozkazy. Mam przekazać Herbiego i nasze inne skarby „odpowiednim władzom”.

Kiedyś myślałam, że może to oznaczać Wielką Bibliotekę albo Instytut Migracji.

Gdy te „neutralne” instytucje gorzko nas rozczarowały swą zdradą, postawiliśmy na Prastare Istoty i o mały włos nie straciliśmy wszystkiego.

A teraz?

Odpowiednie władze.

Nie mam pojęcia, kto w tym wszechświecie mógłby to być.

Do tej pory odwlekałam wspomnienie o najbardziej niepokojącej wiadomości. Nie ma już jednak na co czekać.

Wczoraj musiałam aresztować drogą przyjaciółkę.

Tsh't, moją zastępczynię, tak bardzo kompetentną i godną zaufania. Opokę, na której polegałam od bardzo dawna.

Rozdziera mi serce, gdy przełączam obraz na monitor celi i widzę, jak krąży bez upręży po basenie o szczelnie zamkniętych drzwiach z kodowym zamkiem.

Byłam do tego zmuszona.

Odkąd odkryłam, że nas zdradziła, nie miałam innego wyjścia.

Jak mogło do tego dojść? Jak mogłam być ślepa na wszystkie ostrzeżenia? Na przykład „samobójstwo” dwóch danickich jeńców przed paroma miesiącami. Powinnam była dokładniej zbadać sprawę. Zasięgnąć języka. A ja byłam zajęta innymi sprawami i zostawiłam jej całe śledztwo.

W końcu jednak nie mogłam dłużej ignorować dowodów. Zwłaszcza odkąd pomogła uciec innemu, znacznie bardziej niebezpiecznemu więź...

Przed kilkoma godzinami musiałam przerwać pisanie. (Choć ten temat z pewnością nie należał do przyjemnych).

Moją uwagę odciągnęło coś innego.

Nasza sytuacja raptownie się zmieniła.

Niss zawiadomił mnie, że pole bezwładności się załamuje.

Cała ogromna armada wreszcie zaczęła zwalniać, przechodząc z poziomu A na B, a potem C. Przeskoki do normalnej przestrzeni za każdym kolejnym razem stawały się coraz dłuższe. Wkrótce dalekozasięgowe czujniki pokazały, że zwalniamy, kierując się ku świecącemu słabym niebieskim blaskiem punkcikowi, będącemu naszym celem.

Skan widmowy Olelo ujawnił, że to biały karzeł, bardzo gęsta gwiazda o średnicy ponadstukrotnie mniejszej od ziemskiego Słońca, składająca się głównie z popiołów po reakcjach termojądrowych, które przed eonami wstąpiły w ostatnią fazę spalania. Jak na białego karła, jest bardzo stara i masywna. Świeci już tylko blaskiem wywodzącym się z kolapsu grawitacyjnego, który może potrwać jeszcze dwadzieścia miliardów lat.

Zaczęliśmy wykrywać pobliskie anomalie – czarne, wrzecionowate obiekty orbitujące bardzo blisko gęstej starożytnej gwiazdy. Masywne struktury, tak wielkie, że można je było zobaczyć jako mroczne cienie otoczone aureolą blasku lub iskier, gdy tylko przechodziły między nami a gorejącą tarczą. Co zdarzało się często. Było ich bardzo wiele i krążyły tak blisko gwiazdy, że pojedynczy obrót trwał niespełna minutę!

Wkrótce upewniliśmy się, że to artefakty poruszające się nad samym dnem bardzo głębokiej studni grawitacyjnej.

Naturalnie ta myśl nie była dla nas obca. Przypominała mi Fraktalny Świat otaczający ciasną powłoką czerwonego karła – azyl dla oddających się kontemplacji emerytów. W rzeczy samej to miejsce jest kuzynem owego ogromnego habitatu, tyle że odległości są tu stukrotnie mniejsze. Wewnątrz stromej studni, ciasnego leja skondensowanej czasoprzestrzeni, kryją się olbrzymie ilości materii.

Tym, którzy tam mieszkają, najwyraźniej nie zależy zbyt na wolnym miejscu.

Należą do kategorii życia łączącej innego rodzaju wymiarów. Miażdżącego uścisku, który starsze rasy uważają za zbawczą miłość.

Poszłam do pokoju mapowego, by razem z innymi obserwować nową wariację na znany temat, pojawiającą się powoli przed nami.

– W każdej galaktyce sssą miliardy białych karłów – zauważył Akeakemai. – Jeśli choć drobny ułamek z nich ma tak wielką p... populację, liczebność transcendentnych istot musi być zdumiewająca. A na przedkontaktowej Ziemi nikt nie potrafiłby nic wykryć!

Sara trzymała za rękę Emersona, który spoglądał nerwowo na otaczające nas statki, być może obawiając się tego, co mogą nam zrobić. Świetnie go rozumiałam.

Wszyscy czekamy na kolejny cios.

Mknęliśmy przez normalną przestrzeń, nieustannie zwalniając, gdy nagle zmaterializował się Niss, aby złożyć raport. Zdołał odnaleźć wzmiankę o godle zdobitym dziób „Streakera”, rozwartym kącie symbolizującym naszą rzekomą przynależność do wyższej kategorii rozumności.

– Pozwól mi zgadnąć – przerwałam wirującemu hologramowi, nim zdążył cokolwiek wyjaśnić. – Godło symbolizuje unię wodoru– i tlenodysznego życia, które wreszcie mogą się połączyć.

Zaskakiwanie zarozumiałej maszyny jest jedną z nielicznych radości, jakie mi pozostały.

– *Skąd... wiesz?* – zapytał Niss.

Wzruszyłam ramionami w beztroskim geście mającym zamaskować fakt, że po prostu zgadłam.

– Dwa odcinki stykają się pod kątem stu czterech stopni. To musi symbolizować cząsteczkę wody. Wodór i tlen łączące się ze sobą w najbardziej podstawowy składnik chemiczny wszystkich rodzajów życia. Nie ma w tym nic szczególnie tajemniczego.

Wirujące linie zachwiały się lekko.

– *Być może dla ciebie* – przyznał Niss. – *Opinie Ziemiaków mogą nie być aż tak mocno utrwalone. Ale dla mnie to szok. Po wszystkich tych ostrzeżeniach, powtarzanych bez końca historiach o tym, jak bardzo niebezpieczni są Zangowie... jak bardzo nielogiczni, drażliwi i niepojęci...*

Wzruszyłam ramionami.

– Mali chłopcy przezywają dziewczynki i na odwrót. Często nie potrafią nawzajem znieść swego towarzystwa, dopóki nie dorosną i nie zaczną się potrzebować.

To była uproszczona analogia, ale miała sens!

Często zastanawiałam się nad antagonizmem między tymi dwiema kategoriami życia, jeśli Zangowie i ich bracia są tak fundamentalnie od nas różni, gwałtownie agresywni i niezrozumiali, to jak zdołali przez podobnie długi czas utrzymać pokój z Cywilizacją Pięciu Galaktyk? Dlaczego jedna ze stron nie zniszczyła drugiej, zamiast z niechęcią współpracować ze sobą i wspólnie regulować skomplikowane sprawy migracji oraz zarządzania ekologią światów? Dlaczego oba rodzaje życia dzieliły ze sobą spiralne ramiona i gwiazdne szlaki, ograniczając przemoc do minimum?

Jak osiągnięto ten cel? To nie wydawało się prawdopodobne.

Chyba że wszystko uzgodniono na wyższym szczeblu! Takim, na którym obie kategorie osiągały wreszcie dojrzałość konieczną do współpracy.

Unia, do której każda ze stron wnosi to, czego brakuje drugiej.

Tak oto dotarliśmy do miejsca zjednoczenia i konsolidacji.

Unii zawieranej pośród silnych prądów grawitacyjnych, głęboko w Objęciu Pływów.

Najwyraźniej zaproszono nas tu.
Zostaje tylko jedno pytanie.
Po co?

HARRY

Spodziewał się, że przywitają go w domu gratulacje, być może od samego Wer'Q'quinna, a przynajmniej jednego z ważniejszych pomocników starej kałamarnicy, gorąco pragnących odebrać zgromadzone przez Harry'ego dane i usłyszeć relację z jego udanej misji.

Cholernie trudnej misji, prawdę mówiąc. Zakrojonej na epicką skalę podróży do jednego z najgorszych regionów przestrzeni E, z której nie tylko zdołał wrócić, lecz na dodatek uratował dwoje ludzkich przedterminowych osadników!

Spodziewał się braw, ale zastał w Bazie Kazzkark tylko chaos.

Wszystkie przedziały dokowe na północnym biegunie planetoidy były zajęte, zostawiono tylko trochę dla oficjeli. Zbliżając się do portu, Harry musiał wykrzyzczeć swój kod priorytetu i dodatkowo wesprzeć go groźbami, nim gburowaty robomonitor z Instytutu Migracji raczył zwolnić jedno z miejsc zarezerwowanych dla Instytutu Nawigacji.

Za skapanym w świetle gwiazd rusztowaniem zauważył niezliczone, smukłe statki uchodźców. Cumowały w warstwach od końca do końca planetoidy, tworząc gęsty chaos mrocznych sylwetek oraz migających świateł stroboskopowych.

– Ależ to wszystko ciekawe, Dwer! – wyszeptała dziewczyna z blizną na twarzy. Jej oczy rozbłysły na ten widok. – A nie mówiłam? Trzymaj się mnie, a zaprowadzę cię do cywilizacji! Tak właśnie powiedziałam. Żegnaj stara, cuchnąca Jijo, witaj galaktyko! Nigdy już nie będziemy brudni, głodni, biedni ani znudzeni!

Harry wymienił spojrzenia z drugim człowiekiem, wysokim mężczyzną. Dwoje młodych dzikusów wypłynęło na głębokie wody, ale w przeciwieństwie do Rety Dwer najwyraźniej zdawał sobie z tego sprawę. W jego oczach widniał niepokój połączony z bojaźnią.

Ja czuję się podobnie – pomyślał szympans. Gwiazdoloty upakowano ciasno jak pnie murw połamanych przez potężną wichurę na Horście.

Po moim odlocie zaburzenia musiały się znacznie nasilić... jeżeli uciekinierzy szukają schronienia na starym, zapyziałym Kazzkarku!

Magnetyczne uchwyty pewnie unieruchomiły sfatygowany stateczek zwiadowczy. Silniki wreszcie się wyłączyły z jękiem wytchnienia. Harry również odetchnął z głęboką ulgą, wreszcie uwolniwszy się od napięcia, towarzyszącego mu od chwili wylotu.

Wróciłem do domu... jeśli można go tak nazwać.

Zapisał dane dla Wer'Q'quinna na przenośnej płycie, a potem odwrócił się i wyprowadził gości przez służbę na zewnątrz. W normalnych czasach, po powrocie z innej misji, taka para wywołałaby sensację w sennej bazie. Plotki o nowo odkrytym przypadku przedterminowego osadnictwa szerzyłyby się szybko, a funkcjonariusz, który dokonał aresztowania, okryłby się sławą.

Harry'ego dręczyły resztki poczucia lojalności. W końcu ludzie byli opiekunami jego gatunku. Teoretycznie nie powinno go to już obchodzić, ale trudno było się uwolnić od nawyków.

Poza tym Dwer i Rety uratowali mi życie.

Konflikt wewnętrzny sprawił, że gdy wyszli przez krótki tunel do wnętrza planetoidy, szympans czuł raczej niepewność niż triumf.

Wszędzie panuje zamęt, więc może po prostu nikt nie zauważy raportu o nich.

Doszedł do wniosku, że może się z tym pogodzić.

W Atrium Wejściowym natknęli się na hałas i ogólne zamieszanie. Przedstawiciele najróżniejszych gatunków przepychali się i walczyli o pozycję, ignorując skomplikowane rytuały starszeństwa oraz międzyklanowy protokół. Wszyscy pragnęli jak najszybciej dostać się do środka, szukając azylu przed coraz mniej pewnym kosmosem. Dokumenty z Instytutu pozwoliły Harry'emu przejść przez kilka bramek. Zdołał się wysunąć na czoło kolejki, holując za sobą dwoje ludzi. Mimo to minęła prawie midura, zanim dotarł do ostatniej bramki z napisem IMIGRACJA I KWARANTANNA. Przez ten czas zdołał podsłuchać trochę plotek krążących w ogarniętej paniką i niepewnością Cywilizacji Pięciu Galaktyk.

– ...w trzech czwartych punktów transferowych w Sektorze Lalingush wykryto dyslokacje albo katastrofalne rekombinacje domen – wysyczał w siódmym galaktycznym stojący obok tunicguppit. Kupiec pograżył się w rozmowie z pękatym pbrt'lem, wściekle mrugającym powiekami osadzonego w klatce piersiowej oka.

P'ort'1 parsknął w odpowiedzi, wydając z siebie dźwięk o bogatej, wielotonowej harmonii.

– Słyszałem, że większość ocalałych punktów transferowych przejęły miejscowe sojusze, pobierające nielegalne podatki od wszystkich statków, które próbują się przedostać. Jeden ze skutków tej sytuacji to wielkie tłumy kupców, studentów, pielgrzymów i turystów, którzy nie mogą wrócić do domu!

Ku zaskoczeniu Harry'ego młodzi ludzie nie wykazywali oznak paniki. Tłum nie onieśmiał ich nawet w najmniejszym stopniu. Rety głaskała po szyi maleńkiego uryjskiego „męża”, Dwer zaś gapił się na zdumiewającą różnorodność rozumnych form życia, od czasu do czasu szepcząc coś dziewczynie do ucha i wskazując palcem jakiegoś obcego, którego poznawał, być może dzięki legendom opowiadanych przy plemiennym ognisku na jego rodzinnym świecie. Harry nie spodziewał się po nim podobnie kosmopolitycznego podejścia, młodzieniec zdradzał jednak nerwowość, mocno ściskając pod pachą łuk i strzały.

Szympanś zastanawiał się, czy nie skonfiskować mu tego prymitywnego ekwipunku. Teoretycznie więźniowie nie powinni chodzić uzbrojeni. Niemniej wątpił, czy nawet najbardziej upierdliwy galaktyczny biurokrata rozpoznałby broń w tym zestawie gałązek, sznurka oraz kawałków łupanego kamienia.

Jeśli już mowa o upierdliwości... – pomyślał, zbliżając się do głównego stanowiska. Dyżur pełnił ten sam zrzędlawy hooński urzędnik co poprzednio. Nie zaprzestał też robienia trudności. Mimo że ogłoszono stan wyjątkowy, Twaphu-anuph gwałtownie poruszał pięknie ufarbowanym gardłem, gdy tylko spotkał kogoś, kto miał w dokumentach choć najdrobniejszy błąd. Ignorując protesty, odsyłał wszystkich na koniec kolejki. Gdy Harry wreszcie dotarł do jego biurka, hoon wyraźnie już padał z nóg z przepracowania.

Przygotuj się na niespodziankę, stary, ponury biurokrato – pomyślał Harry, ciesząc się na myśl, że jego ogon i nowy kolor futra przyprawia Twaphu-anuph o szok.

Ku rozczarowaniu szympansa hoon zerknął tylko na niego pobieżnie, a potem ponownie spojrzął na ekrany monitorów. Najwyraźniej białe futro nie kłóciło się z jego myślowym obrazem ziemskiego szympansa.

– Ach, hrr-rrm. To znowu obserwator Harms, prześladowający moje przeciążone zmysły swą niemile widzianą małpią fizjonomią – odezwał się Twaphu-anuph, mówiąc w szóstym galaktycznym z szyderyczym akcentem. – Ale tym razem przyprowadził ze sobą dwoje swych równie nieprzyjemnych, brudnych ziemskich panów. Czy przybyli tu, aby zabrać cię wreszcie do domu, jak zbiegłe dziecko?

Rety i Dwer zeszywnieli.

– Twaphu-anuph, przekraczasz swe uprawnienia – odpowiedział Harry pośpiesznie, z większą stanowczością, niż zrobiłby to w innej sytuacji. – W ich zakres nie wchodzi obrzucanie obelgami innych akolitów Wielkich Instytutów Galaktycznych. Niemniej, jeśli natychmiast nas przepuścisz, mogę się powstrzymać przed złożeniem formalnego protestu.

Być może to zmęczenie długą, udaną misją przydało głosowi Harry’ego większej pewności siebie. Ku jego zaskoczeniu wielki hoon nie wykazywał ochoty do dalszego drwienia z niego. Twaphu-anuph wyciągnął wielką dłoń.

– Hr-rr-r. Pokaż mi identyfikatory tych ludzi. Proszę.

Harry potrząsnął głową.

– Oni są próbkami przeznaczonymi do obserwacji przez Instytut Nawigacji. Wchodzą na teren Kazzkarku na moich dokumentach. Wolno ci tylko zapisać ich obrazy i przeprowadzić skan biologiczny. To powinno potrwać około trzydziestu dur. Przepisy nie pozwalają na dłuższą zwłokę. A może mam się poskarżyć Wer’Q’quinnowi?

Hoon i szympans spojrzeli sobie w oczy. Spod gardła Twaphu-anuph popłynął basowy dźwięk. Harry wiedział, że biurokrata przeklina go w półprywatnym gatunkowym dialekcie. Nie mógł formalnie zgłosić zniewagi, ponieważ nie użyto żadnego z oficjalnych języków galaktycznych. Niemniej kilku gapiów najwyraźniej zrozumiało jego kąśliwe słowa i na swój sposób wyrażało zgodę albo rozbawienie. Od czasu katastrofy na NuDawn, przed kilkoma stuleciami, wrogość ze strony hoonów była stałym, nużącym elementem życia członków prześladowanego Ziemskiego Klanu.

Dwer Koolhan nagle parsknął głośnym śmiechem. Ten dźwięk przebił się przez nieprzyjazny burkot Twaphu-anuph, wybijając go z rytmu. Hoon skierował zaskoczone spojrzenie na młodego człowieka, który odpowiedział mu w anglicu. To również był nieoficjalny język, ale w dzisiejszych czasach wielu Galaktów go rozumiało.

– Ajaj, to było niezłe! Zaczekaj durę, niech wytłumaczę biednemu szympansowi, co powiedziałaś na temat jego typu budowy, przodków i tak dalej!

Dwer pochylił się ku Harry’emu i mrugnął znacząco.

– Uśmiechaj się i udawaj, że mówisz mi coś, co mam powtórzyć temu durniowi – wyszeptał.

Szympans zamrugał ze zdziwienia.

– Co właściwie próbujesz...

Dwer wyprostował się i ryknął głośnym śmiechem, wskazując na Harry’ego. Udał, że próbuje coś powiedzieć biurokracie, ale śmiech mu to uniemożliwia.

– Mówi... szympans mówi...

Rety zatoczyła oczyma z kwaśną miną, ale Harry mógł jedynie gapić się ze zdumieniem na młodzieńca, który zaczerpnął głęboko tchu, spojrzał prosto na Twaphu-anuph i zaczął naśladować niski hooński burkot!

W oczach Dwera rozbłysła dzika gwałtowność. Młodzieniec wydał z siebie przypominający beknięcie jęk, od którego podgardle nadgorliwego inspektora poruszyło się ze zdumienia i trwogi.

Zapadła nagła cisza. Dwer zaczerpnął oddechu i przeszedł na anglic.

– Widzisz, czy to nie było bystre? Tam, skąd pochodzę, szympansa, który powiedziałby coś takiego, nazwano by prawdziwym...

Harry złapał chłopaka za ramię i ścisnął mocno. Dwer był muskularny jak na człowieka, ale nie mógł się mierzyć z szympansią siłą. Młodzieniec przerwał posłusznie i uśmiechnął się do tłumu gapiów. Nikt z nich nie słyszał dotąd burkoczącego człowieka, a już z pewnością nie Harry!

Potem, na dokładkę, maleńki „mąż” Rety wystawił główkę z torby i syknął pogardliwie na wysokiego hoon. Tłum zareagował kolejnymi okrzykami zdumienia.

– Dość tego! – krzyknął Twaphu-anuph i walnął ciężką pięścią w przełącznik. Bramka otworzyła się nagle. – Ludzie mówią po hoońsku? Hoonowie po ziemsku? Czy cały wszechświat oszalał? Zjeżdżajcie stąd! Natychmiast!

Biurokrata skrył wielką głowę w dłoniach. Harry nie wypuszczał Dwera z uścisku. Ciągnął go za sobą, aż wreszcie wszyscy bezpiecznie zniknęli na alejach Kazzkarku. Puścił młodzieńca dopiero wtedy, gdy Atrium Wejściowe zostało daleko z tyłu.

Odsunął się od młodego przedterminowego osadnika i przyjrzał mu się z uwagą, jakby widział go po raz pierwszy.

Po dłuższej chwili szympans chrząknął i skinął głową.

– Mam do ciebie tylko jedno pytanie.

– Słucham?

– Czy mógłbyś mnie nauczyć tej sztuczki?

Nawet o ważnych incydentach można meldować w taki sposób, że wydają się pozbawione znaczenia.

Czekając pod gabinetem Wer'Q'quinna, aż szef go przyjmie, Harry pośpiesznie przerobił pisemną relację o tym, jak spotkał Dwera i Rety w przestrzeni E. Usunął z niej przypuszczenie, że dwoje ludzi pochodziło z kolonii przedterminowych osadników. Nie musiał zmieniać żadnych faktów. Kto oprócz innego Ziemianina wiedziałby, co oznaczają ręcznie szyte skórzane stroje oraz neolityczna broń Dwera?

Zdołał nawet przekonać sam siebie, że właściwie wcale nie łamie przysięgi. W pewnym sensie.

– Wasz statek się rozbił i straciliście cały dobytek, ale uratowało was maszynowe jestestwo – tłumaczył parze ludzi. – Doznaliście też uszkodzeń mózgu, co spowodowało częściową amnezję. To powinno dać wam uprawnienia do otrzymania wsparcia, zgodnie z Tradycją Pomocy Wędrowcom. Może wam to wystarczyć na wodę, powietrze i białka, dopóki nie znajdziecie sobie jakiegoś zajęcia. Jasne?

Dwer pokiwał z powagą głową.

– Słyszałeś, yee? – wyszeptwała Rety do swego ursika. – Uszkodzenia mózgu? Założę się, że to Dwer świetnie potrafi zasymulować.

W odpowiedzi „mąż” dziewczyny spróbował ukąsić ją w lewą dłoń, ale Rety cofnęła ją szybko. Harry doszedł do wniosku, że lubi to małe stworzonko.

– Znam kilku ludzi w Dolnym Mieście – dodał. – Może potrafią znaleźć wam jakąś robotę. Tu macie chip z danymi zawierający standardowe informacje na temat Kazzkarku i otaczającego go sektora. – Wręczył Rety pręt danych. Dziewczyna wsunęła go do najcenniejszego posiadanego przez siebie przedmiotu, sfatygowanego uczącego komputera terrańskiej konstrukcji. – Przystudiujcie je dokładnie, kiedy będę w środku. Gdy skończę, zaprowadzę was w jakieś bezpieczne miejsce. Ale w zamian chcę wysłuchać waszej historii, jasne? Opowiecie mi o swoim domu i o wszystkim.

Dwoje ludzi pokiwało głowami. Harry był pewien, że są szczerzy.

W powietrzu uniosły się dźwięczne tony. Niepowtarzalny rytm i melodia, które Harry znał już lepiej niż własne imię.

Wezwanie. Pracownicy Wer'Q'quinna z pewnością sprawdzili już dane zebrane przez instrumenty zaglądalejące z zewnątrz do realnego kosmosu.

Nareszcie – pomyślał, wstając. Dwoje młodych ludzi pograżyło się w oglądaniu obrazów z jednostki uczącej, wyszedł więc bez słowa. Zmierzał pośpiesznie do gabinetu szefa, z każdą chwilą coraz bardziej podekscytowany. Dzięki temu sukcesowi z pewnością zasłużył na uznanie Instytutu

Nawigacji. Być może wystarczy to, aby zdradzono mu wielką tajemnicę.

Może wreszcie ktoś mi powie, co, na probabilistyczny czyściec Ifni, właściwie jest grane?

Minęło kilka midur, nim oszołomiony Harry wreszcie opuścił gabinet Wer'Q'quinna.

Liczył na wyjaśnienia.

Ale teraz zadawał sobie pytanie, czy proszenie o nie rzeczywiście było dobrym pomysłem.

Czy zawsze tak to wygląda? Bogowie ostrzegają nas, byśmy uważali, czego sobie życzymy, bo czasami to się spełnia.

Niektóre wiadomości były dobre, inne złe... a jeszcze inne po prostu przerażające.

Najpierw pogratulowano mu, że wrócił żywy z trudnej wyprawy. Zmiana koloru futra oraz dodatkowa część ciała były stosunkowo niską ceną w porównaniu z tym, co spotkało niektórych innych obserwatorów. Otrzymał wysoką rekompensatę i urzędnicy Instytutu nie mieli nic więcej do powiedzenia na ten temat.

Jeśli chodzi o samą misję, Wer'Q'quinn nie mógłby być bardziej zadowolony. Wykorzystując szczególne właściwości przestrzeni E do obserwacji realnego wszechświata, rozmieszczone przez Harry'ego kamery zdołały zmierzyć stopniowe rozciąganie się podpróżni stanowiącej jego podstawę. Ów proces szybko zbliżał się do rozdarcia. Dzięki śmiałej wyprawie Harry'ego uczeni pracujący dla Wer'Q'quinna wiedzieli o nim prawie tyle samo co ich szlachetni zwierzchnicy w stolicy kwadrantu.

Były też złe wiadomości.

Owi zwierzchnicy musieli już od pewnego czasu zdawać sobie sprawę, co się dzieje. Mimo to zwlekali z ogłoszeniem stanu wyjątkowego aż do ostatniej chwili. Nawet teraz starali się łagodzić obawy.

– Czy to może być spisek? – zapytał w pewnej chwili Wer'Q'quinn Harry.

Przypominająca kałamarnicę istota machnęła kilkoma mackami.

– W takim przypadku, obserwatorze Harms, musiałyby w nim uczestniczyć istoty kierujące wszystkimi ważniejszymi Instytutami, a także większość starszych rangą gatunków. W gruncie rzeczy, dzięki temu, że poznaliśmy nowe fakty, moim pracownikom udało się wycisnąć z naszej filii Wielkiej Biblioteki coś tak zdumiewającego, że wszystkim nam niemal zaparło dech.

– A co to jest? – zapytał Harry, przetykając z wysiłkiem ślinę.

– Najwyraźniej do takich wydarzeń dochodzi nie po raz pierwszy! Mniej dramatyczna forma tego samego zjawiska wystąpiła przed stu pięćdziesięcioma milionami lat, prowadząc do trwałego lub tymczasowego wyłączenia siedemdziesięciu procent wszystkich punktów transferowych! Wtedy również równowagę społeczną zakłóciły gwałtowne zaburzenia oraz mordercze wojny. Szczególnie mocno ucierpiała Trzecia Galaktyka.

– Ale... jak to możliwe, że ukryto podobne informacje? Biblioteka nie powinna...

Wer'Q'quinn zbył jego zastrzeżenia machnięciem macki, uznając je za naiwne.

– Tylko niewiele faktów jako takich utajniono. Cała operacja miała bardziej subtelny charakter. Wyolbrzymiono znaczenie pewnych wydarzeń, inne zaś nieproporcjonalnie umniejszono.

Harry cieszył się, że futro ukrywa jego rumieniec. Sam postąpił dokładnie tak samo, ukrywając prawdę o Rety i Dwerze pod stosem szczegółów.

– Chaos, który zapanował w tamtej epoce, zawsze przypisywano wielkim międzyklanowym wojnom, a te w rzeczywistości okazały się skutkiem, nie przyczyną – ciągnął Wer'Q'quinn. – Zresztą wszyscy są przyzwyczajeni do tego, że im dalej cofnąć się w przeszłość, tym bardziej niejasne i pełne niepewności stają się historyczne relacje. Być może właśnie dlatego znacznie ważniejsze

wydarzenie, jakim był Upadek Groniński, przyciąga tak niewiele uwagi.

– Jaki upadek?

– Groniński. Wybacz, ale jako dzikus masz luki w wykształceniu. Wśród Galaktów dzieci uczy się w szkołach o tym, że około dwustu trzydziestu milionów lat temu Przodkowie powrócili pod postacią duchów, aby ochraniać tlenowe życie i służyć mu przewodnictwem podczas jednego z najcięższych kryzysów. Międzygwiazdowa nawigacja stała się straszliwie trudna. Konflikty zniszczyły całe populacje. Tylko niewielka liczba klanów przetrwała, by w następnym pokoleniu wznowić cykl Wspomagania.

– Chyba... – Harry zmarszczył brwi. – Chyba coś o tym słyszałem. Czy nie uważa się, że to maszyny i Zangowie byli w jakiś sposób za to odpowiedzialni?

– To tylko powierzchowne wyjaśnienie, które większość akceptuje, nie zadając dalszych pytań. Prawdziwa odpowiedź brzmi jednak inaczej. Chodzi o coś zakrojonego na większą skalę i znacznie bardziej przerażającego.

To właśnie była ta trzecia i najbardziej niepokojąca wiadomość.

– Najwyraźniej obecne konwulsje są przejawem naturalnej katastrofy o skali niewidzianej od czasu Upadku Gronińskiego. W najbliższych durach i pidurach czekają nas znacznie straszliwsze wydarzenia.

– W jakim sensie straszliwsze?

Wer'Q'quinn splótł kilka długich, wyposażonych w przyssawki macek w ucisku tak silnym, że mógłby giąć stał. Stara istota, zwykle niewzruszona jak gwiazda neutronowa, drżała, jakby potrzebowała maksymalnie wyteńczyć wolę, aby wypowiedzieć następne słowa.

– Wygląda na to, że nasza cywilizacja może stracić jedną z galaktyk.

Harry wyszedł do przedpokoju nadal pogrążony w oszołomieniu.

Wer'Q'quinn dał mu do zrozumienia, że wyznaczył już dla niego nowe zadanie, o którym dowie się jutro, gdy tylko otrzyma awans.

Chodziło o jakąś wiadomość nadaną niedawno z obłązonej Ziemi. Ostrzeżenie skierowane do wszystkich placówek Instytutów. Wysoko postawieni urzędnicy starali się je utajnić, jeśli tylko mogli, ale plotki o jego zawartości wywołały już panikę w kilku kwadrantach.

Wszystko to brzmiało fascynująco, ale w tej chwili zmęczenie Harry'ego dostrzegł nawet jego szef, zwykle niezwracający uwagi na takie rzeczy. Szymponsowi mąciło się w głowie i Wer'Q'quinn kazał mu wrócić do domu i porządnie odpocząć, zanim wróci do pracy.

Harry wyszedł do wyłożonego piękną boazerią korytarza i zatrzymał się na dłuższą chwilę, zastanawiając się, co mu umknęło.

Dwer i Rety – uświadomił sobie wreszcie. – Mieli tu na mnie zaczekać.

Rozejrzał się wokół.

Zniknęli!

Wyszedł pośpiesznie przez położoną na końcu pomieszczenia bramę i znalazł się na najwyższym poziomie budynku Instytutu Nawigacji, spoglądając z góry na kłębiące się tłumy. Zastanawiał się, dokąd uciekło dwoje ludzi. Nie znali pełnej zawziętości i niebezpieczeństw galaktycznej kultury i nie mieli pojęcia, co może ich spotkać w tłumie przedstawicieli kilkuset porywczych gatunków... z których wiele darzyło Ziemiaków gorącą nienawiścią.

SARA

Wszystko sprowadzało się do kwestii języka.

Możemy sobie wyobrazić tylko to, co nasz umysł potrafi opisać – pomyślała.

System uporządkowanych galaktycznych dialektów od dwóch miliardów lat pomagał tlenodysznyim gatunkom komunikować się ze sobą, ograniczając nieporozumienia do minimum. Wszystkie cechowały się pedantycznie logiczną semantyką, składnią i gramatyką. Sara doszła jednak do wniosku, że służy on również zgoła przeciwnemu celowi zaciemniania pewnych spraw. Wyrafinowaną kulturę technologicznie zaawansowanych i wysoce inteligentnych istot celowo odwodzono od myśli na niektóre tematy. Rozważania pewnych możliwości.

To właśnie może być prawdziwy powód, dla którego dzikusów zawsze spotyka zagłada – pomyślała. – Mogą nie posiadać typowych ślepych plamek i dzięki temu dostrzegać to, co musi pozostać w ukryciu.

A do tego nie można dopuścić.

Sara spoglądała przez kryształową szybę na rój przypominających ogromne igły habitatów okrążających z szaloną prędkością gęstą dogasającą gwiazdę. Wszystkie były ustawione wzdłuż linii promieni białego karła i wydawało się, że wewnętrznymi końcami niemalże muskając oślepiająco jasną powierzchnię. Ci, którzy mieszkali tak głęboko w stromej studni grawitacyjnej gwiazdy, musieli doświadczać potężnych sił pływowych, rozciągających wszystkie komórki ich ciał.

Rzecz jasna, po to właśnie tam zamieszkali.

Metaliczny wodór składający się na Fraktalny Świat nie mógłby wytrzymać straszliwego żaru oraz naprężeń panujących w tym miejscu. Hannes Suessi próbował jej wyjaśnić, jakiego rodzaju wzmocnione polami materiały są w stanie oprzeć się podobnym siłom, ale umysł Sary ugiął się pod kaskadą specjalistycznych terminów. Tak zaawansowana technika dalece wykraczała poza granice jej barbarzyńskiej edukacji i wydawała się niemal boska.

Ach, ale matematyka... to było coś zupełnie innego, leszcze w domu, gdzie jej jedynymi narzędziami były papier i ołówek, poznała całą masę sprytnych sztuczek, pozwalających skrótowo opisywać niezliczone sposoby, na które przestrzeń może się zakrzywiać, wyginać lub rozdzierać. To były analityczne metody i jako takie wykraczały poza galaktyczną tradycję.

Teraz, gdy miała do dyspozycji czarodziejskie maszyny z pokładu „Streakera”, nauczyła się rzucać prawdziwe zaklęcia. Dzięki słowom i gestom tworzyła wspaniałe mapy i wykresy, materializujące się w powietrzu. Tensory rozszczepiały na jej oczach. Transformacje Tarskiego i funkcje Takebayashiego z łatwością radziły sobie z pozaskończonymi całkami, gdy tylko tego zapragnęła, rozwiązując problemy, z którymi żaden numeryczny procesor nie uporałby się za pomocą brutalnej mocy obliczeniowej.

Mała szympaniczka, Prity, pomagała Sarze, bezgłośnie kształtując zręcznymi dłońmi zarysy, które następnie przeradzały się w równania.

Równania opisujące kosmos poddany naprężeniom.

Szkoda, że mędrzec Purofsky tego nie widzi – pomyślała Sara.

Mogłoby się zdawać, że rachunek całkowy i komputery już od dawna czekały, by połączyć swój potencjał. Teraz wreszcie się to stało i urzeczywistniały pod jej przewodnictwem marzenie starego nauczyciela, dowodząc, że koncepcje Einsteina i Lee miały sens.

Być może eksperci na Ziemi zdołali już dokonać tej samej sztuki, działając otwarcie lub

potajemnie. Niemniej Sara czuła się jak badaczka dziewiczego ładu. Te idee rzuciły światło na przyszłość, ujawniając nadchodzącą katastrofę na niewyobrażalną skalę.

No cóż, teraz przynajmniej wiemy, że nie jesteśmy odpowiedzialni za to, co wydarzyło się we Fraktalnym Świecie. To pewnie pocieszy Gillian.

Doktor Baskin wyraźnie czuła się winna z powodu tego, że przyczyniła się do wywołania zaburzeń, które doprowadziły do zagłady ogromnej, kruchej konstrukcji z zamrożonego wodoru wraz z miliardami jej mieszkańców. Wszystko wskazywało na to, że to bezpośredni skutek ich przybycia, że „Streaker” był jak wąż, który przyniósł zepsucie do rajy. Obliczenia Sary wskazywały jednak na naturalne przyczyny, potężne i nieuniknione, bezosobowe jak trzęsienie ziemi i znacznie bardziej niepowstrzymane od huraganu.

Nic dziwnego, że do naszego konwoju przyłączyło się tak wielu uchodźców. Delikatne struktury Criswella z pewnością pękają wszędzie w Pięciu Galaktykach, zmuszając istoty z Emerytowanej Kategorii do powrotu do cywilizacji tlenodysznych albo do przejścia na następny poziom... choć mogą też zostać na miejscu i zginąć.

Wielu z tych, którzy nie byli w stanie znieść choćby krótkiego rozstania z Objęciem Pływów, pozostawało w pobliżu swych małych czerwonych słońc, choć kontinuum wokół nich drżało gwałtownie, rozbijając ich kruche domy z lodu na szybko parujące odłamki.

Spoglądając na białego karła lśniącego oślepiającym blaskiem, Sara zadawała sobie pytanie, czy pogarszające się warunki zaszkożą również temu tłoczemu królestwu, w którym połyskliwe igły okręzały z wielką prędkością supergęstą gwiazdę. Kryła się tu moc znacznie większa niż we Fraktalnym Świecie. Mieszkające w tym miejscu czcigodne, starożytne gatunki łączyły w sobie najlepsze cechy wodoru- i tlenodysznych.

Z pewnością istoty z Transcendentnej Kategorii wiedzą, co się wydarzy. W porównaniu z takimi mędrkami jesteśmy jak mrówki. Na pewno potrafią bezpiecznie przetrwać Czas Zmian.

To była kojąca myśl.

Niestety, Sara nie potrafiła powstrzymać niepokoju.

Martwiła się myślą o Buyurach.

Na następnym zebraniu jej rewelacje przyjęto raczej spokojnie. Nawet gdy oznajmiła, że „Streaker” nie jest odpowiedzialny za tragedię Fraktalnego Świata, doktor Baskin sprawiała wrażenie bardziej zainteresowanej tym, co wydarzy się później.

– Chcesz powiedzieć, że wszystkie te zakłócenia są naturalnym efektem rozszerzania się wszechświata?

– Zgadza się – potwierdziła Sara. – Metryka czasoprzestrzeni, w tym również stanowiący jej podłoże ylem, rozciąga się i słabnie, aż wreszcie osiąga granicę wytrzymałości. Granice domen pękają gwałtownie i łączą się ponownie w innych miejscach. To mniej więcej tak jak ciśnienie, które narasta pod ziemią, prowadząc do trzęsienia. Tak zwane nici albo skazy w oryginalnej macierzy mogą się zerwać, zmieniając punkty transferowe w bezużyteczne wiry, co prowadzi do izolacji całych sektorów, kwadrantów, a nawet galaktyk.

Starsza kobieta potrząsnęła głową.

– Kosmos rozszerza się od szesnastu miliardów lat. Dlaczego to wszystko miało się wydarzyć akurat teraz?

– *Prosta odpowiedź na twoje pytanie brzmi tak, że to nie jest izolowany przypadek* – przerwał jej nagle Niss.

– Nie rozumiem.

– *Chodzi mi o to, że to już się wydarzyło. Pozwól, że zadam ci pytanie, doktor Baskin. Czy ten symbol coś dla ciebie znaczy?*

Nad stołem konferencyjnym pojawił się obraz trzynastu spiral i czterech owali. Wszystkie nachodziły na siebie.

Gillian zamrugała, a potem rozciągnęła usta w kwaśnym grymasie.

– *Cholernie dobrze wiesz, że tak. Tom znalazł go na kadłubach statków z Płytkiej Gromady... tak zwanej Floty Duchów, która wpędziła nas w kłopoty, gdy tylko ją zobaczyliśmy.*

Niss uprzejmie pochylił swój lej splątanych linii, a potem mówił dalej.

– *W takim razie z pewnością przypominasz sobie jedną z możliwości, które omawialiśmy. Taką, że to mogą być emisariusze z zupełnie innej cywilizacji, nie mającej nic wspólnego z naszymi pięcioma połączonymi ze sobą galaktykami. Być może flota przybywała z zupełnie innego węzła życia i pokonała setki megaparseków w płaskiej, otwartej przestrzeni?*

Niss zaczekał, aż Gillian skinie głową.

– *No więc, mogę teraz obalić tę hipotezę. Ona nie jest prawdziwa. Te statki pochodzą z naszej przeszłości... z czasów, gdy na nasz węzeł składało się więcej niż pięć galaktyk.*

Wzdłuż jednej ze ścian pokoju konferencyjnego biegła wypełniona wodą rura. Akeakemai uderzał w nią swym szerokim ogonem, powodując burzę pęcherzyków tańczących wokół jego gładkiego szarego ciała. Po aresztowaniu porucznik Tsh't był najstarszym stopniem delfinem na pokładzie i ten zaszczyt wyraźnie wprawiał go w nerwowość.

– *W... w... więcej? Chcesz powiedzieć, że kiedyśśś było ich siedemnaście?*

– *Tak jest, siedemnaście, w tym cztery eliptyczne i trzynaście spiral. Niemniej niedługo później – zapiski nie są jasne, gdy chodzi o daty – najwyraźniej było ich jedenaście... potem siedem... a wreszcie pięć, które znamy dzisiaj.*

Zapadła cisza.

– *Ale... ale... jak to możliwe, że dotąd nie wiedzieliśmy o czymś tak... o czymś tak... – wyjąkał po chwili Hannes Suessi, choć jego oblicze cyborga pozostawało gładkie jak lustro.*

– *O czymś tak ważnym? Tak monumentalnym i dramatycznym? Jestem przekonany, że szok i zaskoczenie, jakie okazujesz, są wystarczającym wytłumaczeniem. Każda kolejna utrata była potężnym ciosem dla z reguły spokojnego i konserwatywnego społeczeństwa galaktycznego. W gruncie rzeczy podczas poprzednich takich epizodów fale zaburzeń, o których mówiła mędrzyni Koolhan, musiały być jeszcze gwałtowniejsze. Z pewnością powodowały nieopisane zniszczenia. Ocaleni zapewne przez długie wieki poświęcali wszystkie swe wysiłki odbudowie.*

A teraz wyobraźcie sobie, że podczas kluczowych stuleci po każdej katastrofie kontrolę nad Wielką Biblioteką przejmują starsze, mądrzejsze duchy. Nie trzeba zbyt wiele wysiłku, by usunąć pewne zapisy i poprawić inne... albo obciążyć winą za nastanie chaosu jakieś inne, bardziej zwyczajne czynniki. Na przykład Zangów, zbrodnicze klany tlenodysznych albo eksplozję rozmnażania się maszynowych form życia.

– *Ale jak mogli ukryć utratę całych galaktyk?*

– *To mogło być łatwiejsze, niżby się zdawało. Ostatnim razem, gdy wydarzyło się to na większą skalę, podczas Upadku Gronińskiego, nie zachowały się niemal żadne wzmianki o utraconych terytoriach, ponieważ Instytut Migracji przygotował się do tego wydarzenia, nakazując...*

Sara nagle wstała.

– *Nakazując ewakuację!*

Zwróciła się w stronę Gillian i pozostałych.

– Wtedy, dwieście trzydzieści milionów lat temu, Transcendenci z pewnością wiedzieli o nadchodzącej katastrofie. Dlatego nakazali opuścić dwie galaktyki, które miały być utracone, zanim doszło do zerwania kontaktu. – Wpatrzyła się w pustą przestrzeń. – To tłumaczy tajemnicę Czwartej Galaktyki! Dlaczego nagle całą spiralę nakazano pozostawić odłogiem, zmuszając wszystkich tlenodysznych gwiazdnych wędrowców do jej opuszczenia? Nie chodziło o ekologiczną regenerację. Po prostu zorientowali się, że zbliża się następny podział!

Hologram Nissa wykonał gest odpowiadający wzruszeniu ramion, jakby wszystko to było już teraz oczywiste. Maszynowe jestestwo nie zamierzało nikogo przepraszać za to, że potrzebowało tak wiele czasu, by się wszystkiego domyślić.

– *Najwyraźniej wyższe kategorie życia wtajemniczyły we wszystko najważniejszych urzędników Wielkich Instytutów albo manipulowały nimi. Dlatego instytucje rządzące tlenową cywilizacją były przygotowane.*

– Nadal pozostaje wiele spraw, których nie rozumiemy – sprzeciwiła się Sara. – Dlaczego zagrożoną galaktykę trzeba było opróżnić z gwiazdnych wędrowców? Jak to wszystko wpływa na inne kategorie życia? Co...

– Jestem pewna, że pomożesz nam rozstrzygnąć również i te kwestie, mędrzyni Koolhan – przerwała jej Gillian Baskin. – Na razie skupmy się na tej jednej informacji. Jest wystarczająco niepokojąca. Kiedy wspomniałaś, że jedna z galaktyk ma się oddzielić, myślałam, że chodzi ci o tę, w której znajduje się Ziemia. O Drogę Mleczną. To mogłoby tłumaczyć, dlaczego nasza planeta tak długo pozostawała w izolacji. I dlaczego spowodowaliśmy tak wielki tumult, gdy w końcu nawiązaliśmy kontakt z Cywilizacją Pięciu Galaktyk.

– *Z całym należnym szacunkiem, doktor Baskin, powinnaś powściągnąć swą wrodzoną skłonność do solipsyzmu. Choć nasz stateczek wywołał pewne zamieszanie, wszechświat naprawdę nie obraca się wokół waszego gatunku* – odpowiedział Niss, wracając do typowego dla siebie protekcyjnego tonu.

Sara uznała te słowa za zarozumiałe i niesprawiedliwe, ale Gillian zaakceptowała wymówkę skinieniem głowy.

Suessi złożył raport z wysiłków zmierzających do usunięcia przezroczystej powłoki pokrywającej statek, pancernia, który ongiś uchronił ich przed niszczycielską bronią, ale teraz wydawał się śmiertelnym całunem. Przed dwoma godzinami omal nie stał się ich zgubą, gdy „Streaker” spróbował się wymknąć z lejowatej studni grawitacyjnej i opuścić rój „kandydatów do transcendencji”.

Niestety, jophurski okręt, „Polkjhy”, czaił się tuż nad nimi i natychmiast rozpoczął atak innego rodzaju. Za pomocą impulsów w paśmie rezonansu hiperprzestrzennego nieprzyjaciel wywołał reakcję dziwnych atomów uwięzionych w pokrywającej kadłub „Streakera” powłoce, zmieniając tę pulsującą warstwę w wielką antenę przyciągającą energię z przestrzeni D! Zgodnie z przewidywaniami Nissa temperatura szybko zaczęła rosnać. Płyty pokładowe rozgrzewały się coraz bardziej i nie mogli w żaden sposób odprowadzić gromadzącego się ciepła.

„Streaker” nie miał efektywnych sposobów walki, nie mógł nawet uwolnić się z unieruchamiających go pól siłowych „Polkjhy”, aby z powrotem skryć się w ciżbie fraktalnych ark niepowstrzymanie opadających po spirali ku białemu karłowi. Jeśli Jophurzy nie zaprzestaną ataku, Ziemianie będą musieli się poddać... albo się ugotują.

Nagle z roju wyłoniła się globula Zangów. Statek nadał sygnał kodowy, pod wpływem którego zamknięte w ładowni jijańskie gławery zaczęły przeraźliwie zawodzić. Wyraźnie sfrustrowany

„Polkjhy” zwolnił uścisk i wycofał się. Od wielkiego statku Zangów oddzielili się „delegaci”, którzy pomknęli w stronę „Streakera”.

Pełni ulgi Terranie ruszyli na spotkanie zbliżających się globul.

– Chyba czas już pożegnać się z naszymi małymi przyjaciółmi – twierdziła Gillian Baskin.

Glawery miały ruszyć na spotkanie przeznaczenia wytyczonego dla nich bardzo dawno temu.

Grupka czworonogów bez oporu weszła do śluzy. Sara pożegnała się z nimi.

Może to da wam odkupienie, którego szukali wasi przodkowie, przybywając na Jijo. To dziwny, ale szlachetny cel. Zjednoczyć to, co było oddzielone. Stworzyć most nad przepaścią, pomóc tlenodyszny połączyć się z wodorodyszny.

Wreszcie zrozumiała, jak to możliwe, że obie cywilizacje współistniały przez tak długi czas, pomimo swarliwej antypatii dzielącej je od siebie w ich młodzieńczej fazie gwiazdnych wędrówek. Były sobie przeznaczone, jak połączona w księżde losu para, która uświadamia sobie wzajemną bliskość dopiero w przeddzień wesela.

Co więcej, ta unia wyjaśniała, dlaczego znanym kosmosem nigdy nie zawładnęły maszyny. Połączone siły obu kategorii z nawiązką wystarczały, by przeciwstawić się silikonowi i metalowi, nie pozwolić cyfrowej rozumności zdobyć przewagi i zużyć całych zasobów materii w Pięciu Galaktykach.

Wszystko to wydaje się bezbłędnie dopasowane, na swój sposób nawet romantyczne. Zupełnie jakby ktoś zaprojektował wszechświat z myślą o tym celu.

Obserwując, jak glawery opuszczają statek w błyszczących, półprzezroczystych kulach, zazdrościła im jasno określonej roli. Tego, że są takie ważne. W obecnej chwili to one były wielkim sukcesem Jijo, cenionymi uczestnikami niezaprzeczalnie szlachetnego przedsięwzięcia, pomagającymi swą mądrą prostotą doprowadzić do chwalebego zjednoczenia.

Po ich odejściu w gwiazdolicie zrobiło się bardziej pusto.

Suessi zameldował, że jego wysiłki zakończyły się niepowodzeniem. Nie był w stanie żadnymi dostępnymi środkami zdrapać pokrywającego kadłub materiału.

– Ktokolwiek dał „Streakerowi” tę powłokę, nie tylko uratował nam życie we Fraktalnym Świecie, lecz również upewnił się, że będziemy musieli podążać z konwojem aż na samo dno.

„Polkjhy” krążył na górze, gotowy zaatakować w razie kolejnej próby ucieczki, „Streaker” nie miał więc innego wyboru, jak tylko podążać razem z armadą kandydatów ku ogromnym, przypominającym dziury habitatom. Akeakemai wydyszał pełne rezygnacji haiku.

** Jesteśmy gotowi? Czy nie?*

** Wyrwani z błogich snów,*

** Usłyszmy zew głębin! **

Emerson D’Anite roześmiał się w głos, mimo że miał uszkodzony mózg. Sara musiała jednak skorzystać z przenośnego komputera, aby przetłumaczyć te słowa. Zapewne i tak umknęły jej pewne niuanse ekscentrycznego, opartego na intuicji troistego.

Czy jestem gotowa? Na transcendencję?

Sara zastanawiała się, co to właściwie znaczy. Wyobraźnia podsuwała jej jedynie obraz potężnych, chłodnych intelektów zamieszkujących hybrydowe ciała straszliwie rozciągnięte przez pływy. Owe intelekty kontemplowały mądrość tak złożoną, że jej ukochane równania wydawały się przy niej zaledwie ruchami wici jakiejś prymitywnej bakterii. Nawet gdyby takie istoty znalazły jakiś sposób, by wcielić ludzi i delfiny do swych złożonych umysłów, taka perspektywa nie wydawała się

jej zbyt atrakcyjna.

Zresztą to pewnie tylko jakaś sztuczka Prastarych Istot, tak samo jak rozwiercenie mózgu Emersona albo zrobienie cyborga z Hannesa. Żart, który zrozumiemy dopiero po dotarciu do tych błyszczących igieł.

Wysłuchawszy raportu Suessiego, doktor Baskin skupiła się na praktycznych zagadnieniach.

– Jakie fizyczne niebezpieczeństwa mogą nam zagrozić po zbliżeniu się do białego karła?

– Jest tam silne promieniowanie ultrafioletowe – odpowiedział S'tat, jeden z inżynierów Suessiego, stojący w wędrowniku u końca stołu konferencyjnego. – Ale wygląda na to, że nasz pancerz powstrzymuje je bez t... trudu.

– A co z silną grawitacją? Czy nasze zegary zwolnią bieg?

– Takkkk. Pole jessst tak potężne, że spowolni bieg czasu. – Akeakemai pokiwał głową, wypuszczając pęcherzyki z otworu nosowego. – O niessspepełna jeden procent.

Gillian skinęła głową.

– A co z gradientem grawitacji?

Sara to sprawdziła.

– Pływy są tam o kilka rzędów wielkości potężniejsze niż we Fraktalnym Świecie. Wszyscy będziecie czuli, że coś szarpie wasze ciało. Nie sądzę, aby miało to być przyjemne wrażenie, choć podobno przedstawicielom starszych gatunków istot rozumnych wydaje się ono nieodparcie atrakcyjne.

Gillian pokiwała głową.

– To właśnie jest sławetne Objęcie Pływów. Im wyższy stopień rozwoju osiąga gatunek, tym bardziej go pragnie i tym trudniej mu znieść warunki panujące w płaskiej przestrzeni. Dlatego tak rzadko oglądamy transcendentne formy życia. Nic dziwnego, że uważa się je za odrębną kategorię.

– Odrębną – zgodził się Suessi – ale nadal skłonny do ingerencji w sprawy młodszych gatunków.

Gillian wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Po co martwić się czymś, czego nigdy nie będziemy mogli zmienić?”.

– A więc to jest transcendencja. Każdy wspomóżony gatunek, który przetrwa młodzieńczą fazę gwiazdnych wędrówek, prędzej czy później ląduje w takim miejscu. Czy to tleno-, czy wodorodyszni. Zlatują się ze wszystkich Pięciu Galaktyk, zmierzając ku białym karłom, by osiągnąć... właściwie co? Potrafisz mi to powiedzieć, Niss?

Splątane linie zawirowały jeszcze szybciej, tworząc labirynt ciągle się zmieniających wzorców.

– *Twoje pytanie jest obsesją teologów w młodzieńczej kulturze, którą zwiemy domem.*

Niektórzy wierzą, że transcendentne istoty znajdują w Objęciu Pływów nową młodość.

Inni zapewniają, że najstarsze istoty przechodzą przez mistyczny portal, podążając za błogosławionymi Przodkami do lepszego królestwa. Jak świetnie wiecie, drobne różnice w podobnych wierzeniach mogą powodować potężne napiętności wśród porywczych klanów takich jak Soranie, Tandu...

– No pewnie – mruknął ze złością Hannes. – Cholerni fanatycy.

– *To twoja opinia, a także moich tymbrimskich twórców oraz innych umiarkowanych klanów, które sądzą, że nie powinniśmy się wtrącać w sprawy Transcendentnej Kategorii. Poznamy odpowiedź, gdy nadejdzie nasza kolej.*

Czy jednak muszę wam przypominać, że to właśnie ci „fanatycy” należą do najpotężniejszych gatunków wędrujących po płaskiej przestrzeni w niezliczonych gwiazdolotach? Posiadają wielkie wpływy i potrafią działać szybciej od umiarkowanych. Ich floty oblegają obecnie Terrę i ścigają

nasz statek od chwili, gdy opuściliśmy Płytką Gromadę.

Gillian pochyliła się ku przodowi. Jej kości policzkowe rysowały się ostro w blasku wirującego hologramu.

– Zmierzasz do czegoś. Przejdź do rzeczy.

– *Chodzi mi o to, że „Streakera” spotkały straszliwe prześladowania, ponieważ reprezentuje on zagrożenie oraz afront dla tradycji czczonej w całych Pięciu Galaktykach.*

Wasze relikty i dane zagrażają głęboko zakorzenionym wierzeniom.

– Tyle już wiedzieliśmy – odparła Gillian. – Czy mogę przyjąć, że w końcu domyśliłeś się dlaczego?

Niss rozszerzył swą spiralę linii, niemalże dotykając nimi twarzy jasnowęsej kobiety.

– *W rzeczy samej, sądzę, że tak.*

Wygląda na to, że wasze odkrycie wskrzesza starożytną herezję, od milionów lat uważaną za martwą.

Herezję, według której wszystko, w co wierzy nasza cywilizacja, jest fałszem.

LARK

W głębinach jophurskiego okrętu sytuacja zmieniła się po raz kolejny.

Kiedy Lark poprzednio odwiedził centrum życia „Polkjhy”, przypominało ono gęsty, lecz uporządkowany gaj, pełen rzędów i szeregów bujnej roślinności wspierającej się na metalowych rusztowaniach. Jej zadaniem było oczyszczanie powietrza i wody na wielkim statku, a całość służyła jego jophurskiej załodze równie skutecznie jak każda inna maszyna.

Teraz rosła tu splątana dżungla. Rośliny i inne autotrofy z niezliczonych światów wyrwały się z przeznaczonych dla siebie miejsc i oplotły szybko znikającą pod zielskiem kratownicę, mieszając się ze sobą w chaosie anarchicznej biogenezy.

Lark zauważył pośród wszystkich tych roślin małe, szybko się poruszające stworzenia – rozmaite zwierzęta, których przedtem z pewnością tu nie było. Czyżby uciekły z jakiegoś pokładowego laboratorium albo menażerii, korzystając ze zniszczeń oraz zamieszania spowodowanych walkami? A może kierujące centrum komputery celowo rozmroziły je i wypuściły na wolność w desperackiej próbie odzyskania kontroli nad miniaturowym ekosystemem, który z każdą midurą stawał się coraz dzikszy i bardziej skomplikowany? Zapuściwszy się w gąszcz, zauważył nawet małe, żywiące się odpadkami stworzenia przypominające indywidualne jophurskie pierścienie, które wyginały ciało, posuwając się wśród gałęzi w poszukiwaniu gnijącej materii organicznej. Ich pastelowe kolory sugerowały niewinność i prostotę. Żaden nie sprawiał wrażenia zainteresowanego zmierzaniem ku rozumności przez łączenie się w stosy.

Larkowi nowy obraz centrum podobał się bardziej. Pochodził ze świata, na którym naturze pozwalano odnaleźć własną równowagę. Ten skomplikowany i z konieczności chaotyczny proces był skuteczniejszy niż jakikolwiek plan. Nawet gdy wielu uczestników planetarnej biosfery było wrogami, walczącymi ze sobą zębami i pazurami, całość wyglądała jak współpraca, w której każdy osobnik i każdy gatunek miał do odegrania swą rolę, pomagającą w sprawnym funkcjonowaniu całego systemu.

To zupełnie jak nasza grupka osobliwych sojuszników – pomyślał, zastanawiając się nad niezwykłą ekspedycją, która dotarła aż do serca jophurskiego okrętu. – Możemy sobie nie ufać, ale współpracujemy ze sobą, bo nie mamy wyboru.

Przedzierając się przez wybudane zielsko, zatrzymał się na chwilę przed pęczem pełnym dojrzałych brzoskwiń wspinaczek, owoców popularnych na tyłu tlenowych światach, że nikt nie potrafiłby ich zliczyć. Zerwał jedną z nich i uniósł do ust, ale potem musiał poczekać, aż warstwy błony usuną się z drogi i pozwolą mu ugryźć kęs. Czerwony sok spływał po języku i między zębami, a także po podbródku. Komórki smakowe mężczyzny zaatakował przyjemny smak. Pożarł łączywie jeszcze kilka owoców. To był jego pierwszy porządny posiłek od wielu dni.

Jego pasażer – zmodyfikowana globula Zangów, która rozciągnęła się po jego ciele, pokrywając je jak niewygodna druga skóra – najwyraźniej zrozumiał skargę Larka. Przed lewym okiem mężczyzny pojawiła się witka. W jej galaretowatej masie utworzyła się wakuola. Pojawiły się w niej maleńcy poddelegaci, odgrywający mikroskopijny dramat, by porozumieć się z człowiekiem na sposób Zangów, przez symulację.

Lark potrząsnął głową.

– Nie jestem niewdzięczny. Wiem, że karmiłeś mnie masą własnego ciała, byśmy mogli dotrzeć tak daleko, ale wybaczone, jeśli wolę dla odmiany zjeść coś, co nie śmierdzi zgniłymi jajami!

Był przekonany, że jego słowa – dźwiękowe wibracje powietrza – nic nie znaczą dla obcego.

Ten rodzaj języka, abstrakcyjny i sformalizowany, był dla kulistych istot równie obcy jak myśl o poruszaniu się na sztywnych nogach usztywnionych przez twarde kości. Lark podejrzewał, że stworzenie/jestestwo śledziło ruchy jego gałek ocznych, odczytując znaczenia z tego, na którą drobinę czy symulację globuli nieświadomie postanowił spojrzeć, a także, w jakiej kolejności to robił. Była to prymitywna forma telepatii, niepodobna do niczego, o czym czytał albo słyszał.

Poddelegaci jeszcze przez pewien czas kontynuowali występy w wakuolowym teatrze.

– No dobra – rzekł wreszcie Lark. – Wiem. Pora ruszać w drogę. Nie mamy czasu.

W gęstym listowiu tuż przed nim coś poruszyło się z głośnym szelestem. Lark sięgnął po swą najlepszą broń, fioletowy pierścień rozpylający na życzenie sygnałowe związki chemiczne, mylące niekiedy jophurskich strażników albo roboty bojowe. Choć skuteczność małego, sprytnego torusa ostatnio spadła, nieraz już uniknęli dzięki niemu walki. To pozwoliło im zawędrować daleko za linie wroga.

Przez dżunglę przedzierała się masywna istota, szeroka u podstawy i zwężająca się ku szczytowi. To był złowieszczy kształt Jophura.

Albo traekiego – pomyślał Lark, kucając pośród cieni. Nawet gdy była już tak blisko, że poznał jej plamistą sylwetkę, nie był pewien, które określenie jest właściwe. Złożona istota, która kiedyś była Asxem, kochanym przez wszystkich traekim mędrcom, potem przerodziła się w Ewasxa, butnego Jophura. Teraz jednak nie chciała reagować na żadne z tych imion. W górę i w dół woskowej piramidy złożonej z tłustych obwarzanków przepływały fale. Wśród segmentów wciąż trwały debaty. Wewnątrz tłuszczowej wieży zawierano nowe układy. Pierścień władzy nie panował już nad nią całkowicie.

Spór w każdej chwili mógł jednak zostać rozstrzygnięty na korzyść zachowania lojalności wobec kapitana-dowódcy „Polkjhy” albo zdradzenia miejsca pobytu Larka walczącej z trudnościami załodze. Ale na razie to się nie stało. Wciąż utrzymywał się dziwny niepewny sojusz Zanga, człowieka i stosu pierścieni. Luźna koalicja zbiorowych istot. Lark postanowił, że będzie zwał zdezorientowane stworzenie „X-em”, przynajmniej dopóki nie podejmie ono jakiejś decyzji.

Po stosie przepłynęły szybko fale cienia i barw. Z jego szczytu oracyjnego popłynął szept w szóstym galaktycznym:

– Ja/my/ja zdołaliśmy zrealizować plan. Uzyskać dostęp do terminala w stacji roboczej agronoma. (Sam agronom był nieobecny, ponieważ na czas trwania kryzysu przeniesiono er-jego do zadań bojowych.) Moje/nasze zadanie zdobycia informacji w ten sposób stało się możliwe do wykonania.

– Tak? – Lark zbliżył się o krok. – Dowiedziałeś się, dokąd zabrali Ling?

Miał nadzieję, że znajdą ją w centrum życia, w pobliżu gniazda, gdzie byli szczęśliwi, choć tylko przez krótką chwilę.

Złożona istota drżała i dygotała. Po jej pofałdowanym woskowym ciele pełzały dziesiątki maleńkich pierścieni karmazynowej barwy, karmiących się jego wydzielinami. Te z pozoru niewinne toroidy dla załogi „Polkjhy” były roznośicielami zarazy straszliwszej niż plaga Zangów.

– O pozostałych ludziach – Ling i Rannie – nie ma nowych meldunków. Jeśli chodzi o to, gdzie ostatnio przebywali, ja/my zdołaliśmy ustalić kwadrant statku... ale odcięto go przed dwudziestoma midurami, gdy do środka wdarła się nowa grupa zangopodobnych istot.

Wiadomość o nadciągnięciu posiłków wodorodysznych nie wpłynęła na pasażera tak, jak spodziewał się tego Lark. Jestestwo zadrżało, wyrażając pragnienie unikania kontaktu z nowymi intruzami, dopóki nie będzie można przyjrzeć się im z bezpiecznej odległości.

No proszę – pomyślał Lark. – Wśród wodorodysznych również istnieją frakcje, narody, rasy,

czy jak je tam zwał. Podobnie jak my boją się kuzynów bardziej niż prawdziwych obcych. Pewnie nie powinno mnie to dziwić.

Podczas długiej, krętej podróży ze złością trzech niezwykle sojusznicy nieraz zatrzymywali się przed ekranami terminali, aby obserwować przekazywane przez jophurską załogę obrazy, mające informować żołnierzy, co dzieje się na zewnątrz. X próbował opisać Larkowi białego karła i wyjaśnić mu wszystko, co wiadano o transcendentnym życiu, Zang zaś okazywał nerwowość. Wstrząsnęły nim narastające dowody na to, że wodorod- i tlenodyszne formy życia w końcu łączą się ze sobą w głębokiej studni grawitacyjnych płynów. Pasażer Larka wyraźnie nie był zachwycony tą wiadomością.

To wszystko cię przerasta tak samo jak mnie, prawda? – zapytał go w pewnej chwili człowiek. Potrzebował kilku podejść, by wytłumaczyć, o co mu chodzi. Dopiero uczył się tego dziwnego sposobu porozumiewania. W końcu jednak Zang zadrżał gwałtownie, a potem uspokoił się i potulnie wyraził zgodę.

Nawet wodorodyszne jestestwa mają trudności w kontaktach ze swymi bogami. To chyba prawo natury.

– Masz współrzędne miejsca, w którym ostatnio przebywała Ling? – zapytał X-a.

– W rzeczy samej. Powinniśmy być w stanie dotrzeć do tamtego sektora... jeśli się ośmielimy.

Lark pokiwał głową. Musi teraz jakoś przekonać towarzyszy, że warto podjąć ryzyko.

– A co z tą drugą sprawą, którą miałeś sprawdzić?

Na stosie tłuszczowych toroidów rozblęśla seria cieni, migotliwych wyrazów żalu, tak głęboko jijańskich, że istota przypominała Asxa bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Mówiąc, przeszła na siódmy galaktyczny.

– Niestety, wieści są straszliwe z twojej perspektywy... i być może również z naszej/mojej. Podczas długiej podróży tego statku z nieszczęsnego habitatu dla emerytowanych gatunków do tego zgromadzenia transcendentnych istot „Polkjhy” kilkakrotnie zdołał namierzyć miejscowe skupiska gwiazd, ustalić ich pozycje i wystrzelić kapsuły z wiadomościami. W przynajmniej trzech przypadkach istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że udało im się uciec z konwoju-roju i dotrzeć w wybrane miejsca w Cywilizacji Pięciu Galaktyk. Innymi słowy, Jophurzy zdołali zawiadomić swój klan o Jijo.

O nieszczęsnych g’Kekach. O traeckich uchodźcach, którzy przez tak długi czas wymykali się dominacji pierścieni władzy. A także o ludziach i innych gatunkach, potencjalnych ofiarach tajnych doświadczeń/manipulacji prowadzonych poza zasięgiem prawa i innych hamulców.

Larkowi opadły ramiona. Serce ciążyło mu tak bardzo, że Zang zadał serię pytań, niepokojąc się o stan jego metabolizmu.

Jijo jest zgubiona – uświadomił sobie mężczyzna.

Rzecz jasna, zawsze należało się liczyć z taką możliwością, ale trudności, jakie spotkały „Polkjhy”, sprawiły, że wydało się możliwe – choć niezbyt prawdopodobne – że potężny okręt zginie marnie, nim zdoła zameldować o odkryciach poczynionych w Czwartej Galaktyce. Dlatego właśnie Lark i Ling zdecydowali się porzucić bezpieczne gniazdo i spróbować posiać zamieszanie w kwaterze głównej nieprzyjaciela.

Pewnie trzeba było tam zostać, kochać się i jeść owoce, dopóki by nas nie znaleźli albo nie nadszedłby koniec wszechświata.

Teraz nie zostało mu już nic poza pragnieniem uwolnienia Ling i spędzenia z nią czasu, jaki im został... a także zadania ciosu wrogom, jeśli tylko okaże się to możliwe.

Na szczęście miał broń. Dar od starego, sprytnego traeckiego mędrca, Asxa.

Czerwony pierścień. Ten, który Ling ukryła w żłobku, nim ją pojmano. Asx z pewnością zaprogramował go jako drapieżnika, wnikającego do inkubatorów i rozmnażającego się w nich, aby wypełnić jak najwięcej nisz. Gdy walki z Zangami zmusiły jophurskich żołnierzy do szukania części zamiennych, otrzymali potomków tego oryginalnego pierścienia.

To zmutowana postać pierścienia władzy. Wprowadzono do niej zmiany, na które mógł wpaść tylko stary mędrzec-farmaceuta, opierający się na wiedzy zgromadzonej przez traekich w ciągu dwóch tysięcy lat wygnania. Sztuczek, z jakimi zaawansowani technicznie Jophurzy z pewnością nigdy się nie spotkali na gwiazdnych szlakach.

Wkrótce koleje wojny odwróciły się znowu. Zamiast dalej wypierać wodorodysznych siły Jophurów zaczęły tracić teren. Wielu żołnierzy padło ofiarą dziwnej epidemii. Napady samokrytycyzmu albo wielotorowego myślenia w traeckim stylu dopadały tych, którzy poprzednio byli egotystycznie samolubni i pewni siebie. Niektóre stopy rozpadały się na poszczególne składniki i każdy z nich odpełzał swoją drogą. Inne oddawały się kontemplacji, ulegały katatonii albo wygłaszały szalone przemowy i emitowały straszliwe smrody.

Niektóre zaczęły nawiedzać nowe, niezwykle myśli.

Gdyby tylko udało się nam najpierw rozprzestrzenić chorobę w pobliżu centrum dowodzenia, nie dając im czasu na reakcję...

Jophurzy byli jednak szybcy, inteligentni i odporni. Wycofali się i wprowadzili kwarantannę, co pozwoliło im zachować kontrolę nad najważniejszymi czynnościami statku.

Ale tylko z najwyższym trudem. W większej części „Polkjhy” zapanował chaos. Wędrowiec nie był w stanie przewidzieć, co go czeka na następnym pokładzie albo w kolejnym korytarzu. Obie osłabione strony konfliktu nie były w stanie zrobić nic więcej poza obroną swych enklaw, podczas gdy w pozostałych częściach statku panowała anarchia.

– Trzeba przedyskutować jeszcze jeden szczegół – ciągnął X. – Ja/my zdobyłem pewną informację, podsłuchując kanał dowodzenia. Meldunki sugerują, że część załogi mostka jest głęboko zaniepokojona. Kapitan-dowódca i stos kapłański spierają się o znaczenie niedawno odebranej wiadomości.

– Wiadomości?

– Ostrzeżenia, które rozesłano na całe Pięć Galaktyk. Jeśli jest prawdziwe, to bardzo złe wieści dla wielu gatunków i klanów, ale przede wszystkim dla tego statku i wszystkich przebywających na jego pokładzie istot.

– Kto wysłał to ostrzeżenie? – zapytał Lark.

– Pochodzi z rodzinnego świata twego gatunku, Larku Koolhan. Z obleżonej, zagrożonej zagładą Ziemi. Najwyraźniej Rada Terrageńska doszła do wniosku, że nie ma wiele do stracenia i zaczęła rozpowszechniać obrazoburczą teorię tłumaczącą zaburzenia, które ostatnio wstrząsnęły Pięcioma Galaktykami. To hipoteza stworzona przez grupę tamtejszych mędrców, którzy potajemnie połączyli matematyczne inkantacje dzikusów z galaktyczną nauką. Sama koncepcja jest tak prowokacyjna, a jej oskarżycielskie implikacje tak niepokojące i przerażające, że Wielkie Instytuty poczuły się zmuszone do wygłoszenia rozpaczliwego dementi. Tak bardzo rozpaczliwego, że w wielu kręgach wiarygodność Ziemi znacznie wzrosła! W rzeczy samej, reakcja niektórych klanów była tak silna, że zdecydowały się wysłać armady mające znieść obleżenie Ziemi, podczas gdy inne floty zmierzają ku niej z myślą o zemście i eksterminacji! Liczba okrętów wokół Terry wzrosła dziesięciokrotnie.

Lark słuchał tego wszystkiego zdumiony i osłupiały. Zamrugał kilkanaście razy z rzędu, niezdolny do innej reakcji.

– Ale... co...

Potrząsnął głową, prowokując nerwową, pluskającą reakcję swego galaretowatego towarzysza.

– Ale co mówi to ostrzeżenie?

Stworzenie imieniem X buchnęło kolorową parą, demonstrując nerwową bojaźń na sposób jijańskich traekich.

– Twierdzi, że Wielkie Instytuty zataiły straszliwe niebezpieczeństwo. Że większość połączeń między Pięcioma Galaktykami może wkrótce się rozpaść, ściągając na nieprzygotowanych chaos i zniszczenie. Potem zaś ma dojść do gwałtownych zaburzeń, które zniszczą wiele wspaniałych i szlachetnych rzeczy. Co więcej, jeśli Ziemianie mają rację (a nie dopuścili się fałszerstwa pod wpływem desperacji), nam, w „Polkjhy”, grozi największe niebezpieczeństwo. Tutaj, w tym świętym miejscu, gdzie transcendentne istoty szukają oświecenia w Objęciu Pływów.

DWER

Z początku był przekonany, że pościg za Rety okaże się łatwy.

Jak człowiek mógłby się ukryć na Kazzkarku? Wszędzie, dokąd udał się Dwer, rozmaite istoty kierowały na niego swe organy zmysłów. Wskazywano go najróżniejszymi kończynami oraz witekami, a we wszystkich zaułkach towarzyszyły mu szeptane komentarze we wszystkich galaktycznych dialektach. Najwyraźniej Ziemianie okryli się złą sławą.

Nawet gdyby nikt w Kazzkarku nie miał pojęcia, jakiego rodzaju śmierdzącym dwunogiem jest Rety, dziewczyna sama przyciągnęłaby do siebie uwagę. To było równie pewne jak to, że gwiazdy są ogniem. Odkąd poznał młodą przedterminową osadniczkę, zawsze czyniła to niezawodnie.

Instynkt skłaniał Dwera do większej ostrożności. Wolał krążyć ukradkiem po tym dziwnym, hałaśliwym miejscu. Było obszerne niczym kanion, lecz zarazem ciasne jak busowy las. Jedyne cienki dach powstrzymywał drogocenne powietrze przed ucieczką w kosmos. Takie środowisko budziłoby niepokój, nawet gdyby nie było tu tłumów obcych, którzy kłócili się głośno albo gestykulowali, a gdy tylko Dwer przechodził obok, przechodzili w stłumiony szept.

Nigdy nie mogłem znieść tłumów. A Harry Harms mówił, że to maleńka placówka! Nie potrafię sobie wyobrazić prawdziwego miasta.

Dwer starał się nie gapić dlatego, że to nieuprzejme, a także dlatego, że nie chciał wyjść na totalnego kmiotka. Historie, które matka czytała mu na głos przed snem, bardzo często opowiadały o wsiowych prostaczkach, którzy przybyli do metropolii, gdzie oskubali ich miejscowi drapieżcy.

Na szczęście nie mam zbyt wielu rzeczy, które warto by ukraść – pomyślał. – Dobrze i to.

Zatrzymał się na ruchliwym skrzyżowaniu. Chciał się zastanowić.

Dokąd bym pobiegł, gdybym był na miejscu Rety?

To wszystko by się nie wydarzyło, gdyby zachował czujność. Gdy czekali na Harry'ego w budynku Instytutu Nawigacji, zostawił Rety w korytarzu, aby skorzystać z toalety. Podziwianie niezwykłego zestawu urządzeń przeznaczonych do usuwania wydaliny wielu różnych gatunków zajęło mu sporo czasu. Gdy wreszcie wrócił – potargany i mokry po kilku bliskich wypadkach incydentach – dziewczyna zniknęła. Prowadzące na ruchliwą ulicę drzwi były otwarte.

Harry się wścieknie – pomyślał Dwer. Wypadł na zewnątrz, licząc na to, że zobaczy uciekinierkę. Dostrzegł jakąś niską dwunożną istotę znikającą za rogiem i rzucił się w pościg, ale zaraz stracił ją z oczu w labiryncie bocznych zaułków.

Potrzebował planu. Ułożył w myślach listę priorytetów Rety.

Po pierwsze – uciec z Jijo i upewnić się, że nikt nigdy nie sprowadzi jej tam z powrotem.

Dwer był przekonany, że ten cel już osiągnęła, Rety mogła się jednak martwić o to, że Harry Harms wie za dużo. Nie można było wykluczyć możliwości, że szympans zdobędzie informacje, które pozwolą mu ustalić położenie Jijo, a może nawet zażąda, aby wrócili tam z nim. Dziewczyna mogła nie chcieć podejmować takiego ryzyka.

Po drugie – znaleźć źródło utrzymania. Stać się cenna dla kogoś potężnego, by nigdy już nie zagroził jej głód.

Dwer był w kropce. Rety miała komputerową jednostkę uczącą oraz dane na temat Kazzkarku dostarczone przez Harry'ego. Czy mogła stworzyć jakiś plan, podczas gdy on siedział w toalecie?

Po trzecie – pozbyć się blizn. Zawsze wstydziła się znaków pozostawionych na jej twarzy przez okrutnych dręczycieli z jej plemienia mieszkającego pośród Szarych Wzgórz. Szczerze mówiąc, Dwer niemal ich nie zauważał. Widział na Jijo znacznie gorsze. Poza tym każdy, kto pokochałby albo

znieawidził Rety, czyniłby to z powodu jej potężnej osobowości oraz siły woli.

Ona jednak z pewnością zechce się ich jak najszybciej pozbyć.

Czy można to było zrobić na Kazzkarku? Wśród stałych mieszkańców bazy nie było ludzi, czy więc ktoś potrafił tu biegle naprawiać ich ciała?

Czemu by nie? W komputerach można przechowywać wiedzę niezliczonych specjalistów. A medycyna z pewnością ma priorytet. Nigdy nie wiadomo, kto może odwiedzić placówkę, więc lepiej być przygotowanym na wszelkie możliwości.

Zdawał sobie sprawę, że jego rozumowanie opiera się na bardzo wątych podstawach. Już od wczesnego dzieciństwa słuchał opowieści o wspaniałej cywilizacji porzuconej przez jego przodków. Rzeczywistość oszołomiła go jednak i przyprawiła o odrętwienie.

Może trzeba było zaczekać na Harry'ego. Znam Rety, a on zna Kazzkark. Razem byłoby nam łatwiej niż osobno.

Dwer chciał już wracać, lecz nagle dopadło go dziwne, niepokojące wrażenie. Minęło kilka chwil, nim odnalazł odpowiednie słowo na jego określenie.

Zabłądziłem.

To nigdy jeszcze mu się nie zdarzyło! Nie w domu. Zawsze wyczuwał, gdzie jest północ, a gdy tylko postawił krok, w jego umyśle tworzyło się coś w rodzaju mapy. Tu jednak, na unoszącej się w kosmosie planetoidzie, jego umysłowi brakowało jakichś wskazówek o kluczowym znaczeniu. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje!

Zatrzymał się pod kamiennym murem, starając się odzyskać orientację. Obok przechodziły rozmaite dziwaczne formy życia. Ignorował je, próbując się skupić, ale uniemożliwiała mu to narastająca panika.

Po pobycie w przestrzeni E byłem przekonany, że potrafię przywyknąć do wszystkiego. Mogę być przedterminowym osadnikiem, ale nie jestem barbarzyńcą. Od dziecka przyzwyczaiałem się do obecności innych gatunków, ale to... ale to...

Hałas, tłok, zapachy oraz irytująca obecność tak wielu rozumnych umysłów tak wielu rodzajów – niekiedy pełnych wrogości do jego gatunku – sprawiały, że chciał skryć się w najbliższej dziurze i nigdy z niej nie wychodzić.

Dwer nie miał pojęcia, jak długo trwał ten atak lęku. Zakończył się jednak nagle, gdy w jego polu widzenia pojawiła się spora, kudłata istota. Była niższa i znacznie grubsza niż człowiek, miała wąsiki nad ustami oraz sterczące, brązowe futro. Masywny, wyglądający na ssaka dwunóg odstłonił ostre zęby w grymasie, który Dwer wziął za śmiertelną groźbę, dopóki nie usłyszał radosnego pozdrowienia!

– Proszę, proszę! – zagrzmiała istota w anglicu. – Człowiek? To równie pewne jak to, że żyję i jem miętówki! Proszę, proszę. Zaiste, to człowiek, tu na radosnym zadupiu! Nie miałam przyjemności od czasów... przed kryzysem, kiedy był pokój! Graba?

Istota wyciągnęła mięsistą łapę, to wysuwając, to znowu chowając pazury. Dwer zamrugał. Przypominał sobie niejasno starą ziemską tradycję dotykania się dłońmi i ściskania ich. Na Jijo dawno już ją zarzucono, ponieważ większość obcych jej nie lubiła. Niepewnie wyciągnął lewą dłoń, tę, której mniej mu będzie brakowało, gdyby istota ją urwała. „Uścisk” nie wypadł zbyt zgrabnie. Oboje byli wyraźnie zadowoleni, kiedy się skończył.

– Wybacz mi ignorancję – zaczął Dwer, próbując naśladować uprzejmy międzygatunkowy ukłon, jaki kilka razy widział na Jijo. – Ale czy możesz mi powiedzieć, kim... albo czym...

Jego głos ucichł, gdy pękate stworzenie stojące naprzeciwko zarumieniło się nagle. Jego żółtawa, porośnięta brązowym futrem skóra nabrała czerwonego odcienia. Młodzieniec

przestraszył się, że obraził istotę, ale ta nagle zaczęła sapać rytmicznie, wyraźnie próbując imitować śmiech w ludzkim stylu.

– Prawda to? Mnie nie poznajesz? Synthianki? Zawsze należeliśmy do najlepszych przyjaciół was, ludzi! Zaiste, najlepszych! Proszę, proszę. To znaczy, do tego przekłętego kryzysu. Przyznaję to. Przyjaźń poddaje się ciężkiej próbie, gdy śmierć płynie jak światło gwiazd. Przyznaję to. Ja, która zwę się Kiwei Ha'aoulin, przyznaję! Nie znienawidzisz mnie z tego powodu?

Dwer pokiwał głową. Synthianka? Tak jest, słyszał o nich... przypominał też sobie niejasno, że widział obrazki w starym folio. Fallon pokazywał mu je, gdy próbował go nauczyć trochę galaktoksenologii w bibloskich archiwum. W rzeczy samej, w dawnych czasach poprzedzających lot „Tabernacle” na Jijo ten gatunek słynął z dobrych stosunków z Ziemią. Od tej pory wiele mogło się jednak zmienić.

– Teraz na mnie kolej, by cię przeprosić, Kiwei Ha'aoulin – rzekł, powtarzając nazwisko istoty najlepiej, jak potrafił. – Ucierpiałem z powodu lekkich... hmm... uszkodzeń mózgu po wypadku w głębokim kosmosie. Straciłem też wtedy cały dobytek.

Synthianka omiotła spojrzeniem obdarty strój Dwera, zatrzymując wzrok na łuku qheueńskiej produkcji i kołczanie pełnym strzał.

– Cały dobytek? A więc ten piękny zestaw łuczniczy wyprodukowany przez prymitywnych tubylców... nie jest twoją własnością... i nie mógłbyś, być może, go sprzedać?

Dwer gapił się na nią przez kilka sekund. Harry Harms zapewniał, że żaden Galakt nie będzie miał pojęcia, czym są pięknie rzeźbione drewniane narzędzia. Kiwei Ha'aoulin jednak nie tylko natychmiast rozpoznała prymitywną broń, lecz również pragnęła ją nabyć! Jej napięte mięśnie zdawały się emitować rozgorączkowaną chciwość.

To hobbistka – uświadomił sobie Dwer. – Entuzjastka.

Spotykał już podobne osoby, nawet na Jijo. Z jakiegoś powodu nagle włączyły się jego instynkty łowcy i tropiciela. W końcu w handlu obowiązywało wiele praw dżungli. Panika umknęła, ustępując miejsca poczuciu swojskości.

– Proszę, proszę – rzekł, naśladowując w złagodzonej formie sposób mówienia Synthianki. – Być może trochę przesadziłem. Przyznaję, że udało mi się uratować z katastrofy parę drobiazgow. Szczególnie wartościowych drobiazgow.

– Skarbów, z pewnością – odrzekła istota. Po jej zgarbionym grzbiecie przebiegły drżenia pożądliwości. – Wśród swych pobratymców jestem znana jako miłośniczka terrańskich-ziemskich obiektów. Pomogę ci znaleźć kupców na takie rzeczy. I co ty na to? Z ubogiego rozbitka w swobodnego gwiazdowego podróżnika możesz się przerodzić! Na tyle swobodnego, że będzie cię stać na bilet na komfortowy statek z tego niemiejca do jakiegoś innego miejsca, być może.

Nie czekając na odpowiedź, Synthianka ujęła go pod rękę.

– Proszę, proszę. Pogadamy jeszcze trochę? Kiwei Ha'aoulin zna w pobliżu bardzo dobrą posiłkownię. Porządna pogawędka o skarbach i wieściach z gwiazd. Pójdziemy?

Dwer pogłaskał łuk prawą dłonią. Na Jijo faktycznie byłby wartościowy. Pomimo swego dziwnego zachowania Kiwei Ha'aoulin najwyraźniej potrafiła rozpoznać cenne obiekty. Kto wie, ile byłaby skłonna zapłacić miłośniczka prymitywnych ziemskich narzędzi?

Dwer pokiwał głową, nie tylko z ciekawości, lecz również z głodu.

– Przyjmuję twoją gościnność, Kiwei Ha'aoulin. Chodźmy porozmawiać o różnych sprawach.

Ignorując wrogie spojrzenia i szept, podążył za nową przyjaciółką, licząc na to, że wszystko będzie dobrze.

EMERSON

Siedział w swym sekretnym kryształowym azylu i obserwował przesuujące się na zewnątrz niezliczone gwiazdy... a także równie liczne światła, które w rzeczywistości były potężnymi statkami. Otaczająca ich przestrzeń była tak zatłoczona, że nieuzbrojonym okiem za jednym razem dostrzegał setki błyszczących płatków śniegu albo migotliwych kul płynu. Fraktalne arki i globule tłoczyły się coraz gęściej, opadając po spirali ku wspólnemu celowi – żarzącemu się białym blaskiem dysкови otoczonemu przez roje ogromnych, połyskliwych igieł niemalże dotykających jego powierzchni.

Emerson wolał na to nie patrzeć. Sama myśl o owym miejscu była prawie tak samo bolesna jak jego oślepiający obraz.

Wiedział, co musi się niedługo wydarzyć, jeszcze przed przybyciem na miejsce. Przygotowania do tej chwili kosztowały go mnóstwo wysiłku.

Okaleczony, pozbawiony zdolności mowy Emerson tylko w przybliżeniu pojmował, dlaczego „Streaker” tu przybył i co oznacza fakt, że statki Zangów mieszają się swobodnie z tlenodysznymi, których zawsze dotąd unikali... a niekiedy walczyli z nimi zawzięcie. Patrzył, jak Gillian i Sara rozmawiają ze sobą, marszcząc czoła z intensywnością towarzyszącą skupieniu myśli. Starał się wyłowić z „bla-bla”, które słyszał, skrawki sensu, ale niektóre z powtarzanych przez nie fraz, na przykład „Objęcie Pływów”, nie budziły w jego zranionym umyśle żadnej reakcji, chyba że miały coś wspólnego z narastającą tendencją jego ciała do wyciągania się w jednym szczególnym kierunku, z nogami skierowanymi ku białemu karłowi.

Ale niektóre pojedyncze słowa zdawały się coś znaczyć, choćby nawet w niewielkim stopniu.

– Objęcie – wyszeptał, ciesząc się zmysłowym brzmieniem tego wyrazu.

Przed kilkoma godzinami Emerson siedział obok Sary i wspierał głowę na jej ramieniu, radując się chwilą spokojnej bliskości. Nauczył się głaskać ją po włosach, co łagodziło napięcie spowodowane jej codziennym trudem nad wydarciem ze wszechświata prawdy o nim za pomocą siły czystej matematyki. Jego obowiązek był przyjemny. Z radością da jej wszystko, czego będzie potrzebowała.

Poza tym jednym, czego pragnęła w tej chwili.

Delikatnie i nieśmiało dała mu do zrozumienia, że potrzebuje większej bliskości, a on był zmuszony ją odepchnąć. Wsunął się z ciepłych objęć kobiety i zauważył pytania w jej oczach. Bała się, że nie uważa jej za pociągającą. Że odniesione rany mogły go pozbawić męskich pożądań. I że zostało im bardzo niewiele czasu na to, aby z dwojga stać się jednym.

Jak mógł jej to wyjaśnić? Potrzebowałby słów, zdań, całych tomów, by uzasadnić stłumienie naturalnego pragnienia pozwolenia ciałom podążyć tam, dokąd serca już poszły. Z narastającą frustracją przeszukiwał pamięć w poszukiwaniu odpowiedniej piosenki, nic jednak nie znalazł. Mógł jedynie przed ucieczką do swej skąpanej w blasku gwiazd kryjówki dotknąć policzka Sary i spojrzeniem wyrazić prawdę o swej miłości.

Z seksualnością Emersona wszystko było w porządku i gorąco pragnął to Sarze udowodnić. Ale nie w tej chwili. Czekala go konfrontacja i będzie potrzebował wszystkiego, co miał. Potężne zwierzęce pożądania mogą stać się dla niego kotwicą, będą mu przypominały o priorytetach, o których bardziej zaawansowane umysły zapomniały.

Jego plan z konieczności był prosty, ponieważ myślenie bez słów wymagało ogromnego wysiłku. Wyobrażał sobie pewne uczynki, ruchy ciała, uczucia oraz obrazy i dzięki temu mniej

więcej wiedział, czego się spodziewać i jak powinien zareagować, gdy to się stanie.

Z pewnością już niedługo. Emerson nadal rozumiał znaczenie przestrzennych obrazów. W miarę jak „Streaker” zagłębiał się w grawitacyjny lej białego karła, jedna prawda stawała się coraz oczywistsza. Wkrótce nadejdzie chwila, po której nie będzie już powrotu. Konwój potężnych gwiazdolotów stanie się tak gęsto upakowany, że żaden pojedynczy statek nie umknie z niego na własnych silnikach. Gillian musi spróbować ucieczki albo podjąć ryzyko, że na zawsze opuszcza zewnętrzny kosmos, królestwo otwartej próżni, w którym żyły młode gatunki, a gwiazdziste niebo przesywały gwiazdoloty. To samo dotyczyło ukrywającej się frakcji Prastarych Istot. Muszą zadziałać szybko albo zostaną uwięzieni razem z... Emerson przerwał na chwilę tę myśl, a potem podjął ją na nowo, z większą ostrożnością.

... albo... zostaną... uwięzieni... razem z nami wśród habitatów Transcendentów i nie będą już mogli ingerować w sprawy dziejące się w Pięciu Galaktykach.

Z jego gardła wyrwało się ciche chrząknięcie. Choć tym razem się tego spodziewał, nagły powrót mowy wypełnił go mieszkanką smutku, radości i strachu...

Słowa... słowa powróciły!

Przynajmniej teraz był lepiej przygotowany. Od wielu dni starannie przechowywał wspomnienia, z wysiłkiem zamrażając zasłyszane od innych urywki w nadziei, że gdy nadejdzie czas, wszystkie złożą się w całość.

Pozwól mi zgadnąć. Godło symbolizuje unię wodoru– i tlenodysznego życia, które wreszcie mogą się połączyć.

...te statki pochodzą z naszej przeszłości... czasów, gdy na nasz węzeł składało się więcej niż pięć galaktyk.

...wyobraźcie sobie, że podczas kluczowych stuleci po każdej katastrofie kontrolę nad Wielką Biblioteką przejmują starsze, mądrzejsze duchy.... by usunąć pewne zapisy i poprawić inne... albo obciążyć winą...

...a więc to jest transcendencja. Każdy wspomóżony gatunek, który przetrwa młodzieńczą fazę gwiazdnych wędrówek, prędzej czy później ląduje w takim miejscu...

Ktokolwiek dał „Streakerowi” tę powłokę, nie tylko uratował nam życie we Fraktalnym Świecie, lecz również upewnił się, że będziemy musieli podążyć z konwojem aż na samo dno...

...w żaden sposób odprowadzić gromadzącego się ciepła...

Tak wiele idei zbiegających się w jedno miejsce! Podobnie mógł czuć się człowiek, któremu usunięto zaćmę z oczu i nagle zamiast mgły ujrzał klarowne obrazy! Niemniej wiele z tych pojęć wydawało mu się znajome, jakby już od pewnego czasu czaiły się tuż pod powierzchnią zrozumienia, przygotowane do odczytu przez nieuszkodzone części jego mózgu. Potrzebował tylko jasno sformułowanych zdań, aby wszystko złożyło się w całość.

Emerson z chęcią stałby tam przez wiele godzin, pozwalając, by grawitacyjne pływy kierowały jego głowę ku niebu, a jego umysł łączył ze sobą kaskady pojęć, które wypełniły go nagłym potopem. Nie miał jednak na to czasu.

Przerwał mu głos, odległy, a zarazem drwiący. Zdystansowany, ale pogardliwy.

– *ZAUWAŻAMY, ŻE NAS NIE WEZWAŁEŚ, MIMO ŻE DALIŚMY CI KOD, BYŚ MÓGŁ SIĘ Z NAMI POŁĄCZYĆ, GDY BĘDZIESZ GOTOWY PRZYJĄĆ NASZĄ OFERTĘ.*

Emerson nawet nie próbował wypatrywać ich statku pośród jasnych światła na zewnątrz. Z pewnością był ciemny i zbliżył się zamaskowany. Nie miał szans go zauważyć. Błyskawicznie

wy dostał się z ciasnej kryształowej kopuły i zbiegł po drabince, zaprojektowanej dawno temu dla zupełnie innego gatunku.

– Zastanawiałem się, jak mocno wam zależy na tym, co chcecie ode mnie dostać – mruknął pod nosem. Dźwięk nie był tu medium komunikacji. Prastare Istoty po prostu monitorowały ukradziony fragment jego mózgu, który w jakiś sposób połączyły kwantowym kanałem z resztą. Gdy znalazł się wystarczająco blisko Emersona, wypełniały go jego słowa.

A one mogły je natychmiast odczytać.

– *NIE MUSIMY NIC TŁUMACZYĆ TAKIM JAK TY. WYSTARCZY, ŻE TEGO PRAGNIEMY, A TY NAM TO DASZ.*

Truchtając korytarzem, Emerson wyciągnął z kieszeni mały instrument własnej roboty z migającym wskaźnikiem. Nie potrzebował słów, aby skonstruować to proste narzędzie, nie zastanawiał się też nad jego znaczeniem.

– Czy nie zaczyna wam brakować czasu? – zapytał swych dręczycieli, członków Emerytowanej Kategorii, którzy stracili dom w chwili zagłady Fraktalnego Świata. Istot, które rzekomo przeszły w stan spoczynku, ale ich sławetna bezstronność nie sprostała surowej próbie. – Jeśli będziecie czekać zbyt długo, czeka was transcendencja, czy tego chcecie, czy nie. Dane, których pragniecie, nic wam wtedy nie dadzą. Nie będziecie mogli przesłać wiadomości swym przyjacielom w Pięciu Galaktykach.

W jego głowie poniosły się echem lodowate głosy:

– *POŚWIĘCILIŚMY DŁUGIE EONY NA WPRAWIANIE SIĘ W CIERPLIWOŚCI. CAŁA TA BIEGANINA, PODEJMOWANIE RAPTOWNYCH KROKÓW... JEST DLA NAS NIEPRZYJEMNA. ZAPOMNIELIŚMY, JAK SZYBKO SKUTKI NASTĘPUJĄ PO CZYNACH*

Emerson skręcił za rogiem i przeszedł przez właz, podążając za wskazaniem trzymanego w ręce instrumentu.

– Ehe, cała ta niepewność musi was doprowadzać do szału. Powiedzcie mi, jak się z tym czujecie? Stoicie u progu transcendencji, celu, do którego zmierzaliście od miliona lat, ale chcecie się cofnąć w ostatniej chwili, tylko po to, by zdobyć parę bajtów danych ukradzionych z nędznego ziemskiego gwiazdolotu. Czy nie kusi was zapomnienie o dawnych obsesjach i pogrążenie się w Objęciu Pływów?

Odpowiedź nadeszła dopiero po długiej przerwie. Emerson nie przestawał biec niemal całkowicie opustoszałymi korytarzami „Streakera”.

– *NIE MASZ POJĘCIA, JAK TRUDNO NAM SIĘ PRZED TYM POWSTRZYMAĆ PIESZCZOTY GRAWITACJI SĄ TAK PEŁNE ZMYSŁOWOŚCI, ŻE ŻADNE SŁOWA – ŻADNE FIZYCZNE WRAŻENIA – NIE WYSTARCZĄ, BY TO OPISAĆ.*

– Spróbujcie – zachęcał ich Emerson. – Co jest tak atrakcyjnego w Objęciu Pływów?

– *JESTEŚCIE ZA MŁODZI, ABY TO ZROZUMIEĆ. W OBJĘCIU CZUJEMY SIĘ ZJEDNOCZENI Z CAŁYM KOSMOSEM. TO DAJE FILOZOFICZNE POCIESZENIE, WYKRACZAJĄCE POZA GRANICE WIARY. MOŻNA TU ZNALEŻĆ MĄDROŚĆ I WIEDZĘ, ZNACZNIE GŁĘBSZE NIŻ W WIELKIEJ BIBLIOTECE, CZY NAWET NIŻ TO, CO JEST DOSTĘPNE WE FRAKTALNYM ŚWIECIE.*

– Naprawdę? W takim razie dlaczego po prostu nie ulec pokusie? – W jego odbijającym się echem od pastelowych ścian głosie zabrzmiała gwałtowność. – Postąpcie mądrze i szlachetnie. Przyjmijcie swój dyplom. Ukończcie szkołę, do cholery! Oddajcie mi mój mózg. Życie, które mi ukradliście. Zstąpcie do swojego raju z czystą karmą i czystym sumieniem!

Gdy Prastare Istoty mu odpowiedziały, w ich głosie zabrzmiała nuta bliska skruchy.

– W NORMALNEJ SYTUACJI TWOJA PROPOZYCJA BYŁABY ETYCZNIE UZASADNIONA. TERAZ JEDNAK STAWKA JEST ZNACZNIE WYŻSZA, CO ZMUSZA NAS...

Znowu nastąpiła przerwa.

– CHWILECZKĘ. WYKRYWAMY COŚ W TWOIM EMOCJONALNYM TONIE. W TWOIM SPOSOBIE...

Emerson poczuł dziwne łaskotanie, jakby ktoś drapał lewą połowę jego mózgu, czy może ją sondował. Gdy głos odezwał się znowu, pobrzmiwała w nim nuta wyrzutu.

– NAUCZYŁEŚ SIĘ PODSTĘPNYCH, MYLĄCYCH SZTUCZEK. NAJWYRAŹNIEJ NIE MOŻEMY JUŻ SKANOWAĆ TWOICH MYŚLI PRZEZ PROSTE MONITOROWANIE SŁÓW I GLIFÓW. TO, CO MÓWISZ, SPRAWIA WRAŻENIE ARGUMENTÓW, ALE W RZECZYWISTOŚCI CHODZI CI O ZWŁOKĘ. O ZYSKANIE NA CZASIE. UJAWNIAJ NAM, CO UKRYWASZ! UJAWNIAJ ALBO DOŚWIADCZYSZ BÓLU!

Emerson zacisnął zęby, biegnąc przed siebie. Ze wszystkich sił starał się powstrzymać śmiech, ukryć głębię swej pogardy. Odrobina jednak wyciekła, gdy starożytne umiejętności przebiły się przez kolejne zasłony. Choć Prastare Istoty nie potrafiły wydobyć faktów z opornego umysłu Emersona, zdołały dość dokładnie poznać jego uczucia.

– POSTRZEGAMY, ŻE W TWOIM PRZYPADKU WSZYSTKIE FORMY PROSTEGO PRZYMUSU SĄ PRZESTARZAŁE LUB BEZUŻYTECZNE. BÓL JUŻ CIĘ NIE PORUSZA, CHOĆ WIELE EMERYTOWANYCH ISTOT POTRZEBUJE WIEKÓW, BY PRZYSWOIĆ SOBIE TĘ LEKCJĘ. NIE USKARŻASZ SIĘ TEŻ ANI NIE PRÓBUJESZ SIĘGNAĆ PO TO, CO CI ODEBRANO. ŻADNA POKUSA ANI ŁAPÓWKA NIE SKŁONI CIĘ DO ZDRADY PRZYJACIÓŁ I TOWARZYSZY Z KLANU. NAWET NIE PRÓBOWAŁEŚ UKRAŚĆ DANYCH, O KTÓRE PROSILIŚMY. WSZYSTKO TO ZASŁUGUJE NA PODZIWIW, ZWŁASZCZA U DZIKUSA. W RZECZY SAMEJ, W INNEJ SYTUACJI Z RADOŚCIĄ PRYZNALIBYŚMY CI REKOMPENSATĘ ZA TWOJE CIERPIENIA I PODYSKUTOWALIBYŚMY Z TOBĄ O ZALETACH NIEPEWNOŚCI. ALE PROBLEMY, PRZED KTÓRYMI STOIMY, SĄ ZBYT POWAŻNE, A CZASU ZOSTAŁO NIEWIELE. MUSIMY OTRZYMAĆ TE INFORMACJE!

Instrument w ręce Emersona nagle rozbłysł, wskazując nowy kierunek. Do góry. Męczyzna zatrzymał się pod uchylonym włazem. Z drugiej strony sączyło się światło.

– Pozwólcie mi zgadnąć – wygarnął na głos Emerson, nadal licząc na zwłokę. – Mielicie plan rezerwowy, na wypadek gdybym was nie posłuchał.

– OBLICZENIA OPARTE NA PRZEPROWADZONYCH POPRZEDNIO SKANACH NEURONOWYCH PRZEWIDYWAŁY TYLKO NIEWIELKĄ SZANSE NA TO, ŻE ZGODZISZ SIĘ WSPÓŁPRACOWAĆ Z PEWNOŚCIĄ NIE SĄDZISZ, ŻE ZADOWOLILIŚMY SIĘ TAK WĄTŁĄ NADZIEJĄ?

Emerson pozwolił głosowi gadać, wsunął kierunkowskaz do kieszeni i skoczył w górę. Złapał za krawędź włazu i, pomagając sobie nogami, wcisnął się do przewodu konserwacyjnego. Błogosławiąc w myślach niskie przyciąganie panujące na pokładzie, ponownie skonsultował się z wskazującym kierunek urządzeniem i ruszył pełnym osłoniętych przewodów tunelem w stronę rufy.

– ...Z PEWNOŚCIĄ NIE BYLIŚMY AŻ TAK GŁUPI, BY POLEGAĆ TYLKO NA TOBIE.

– Chwileczkę! – zawołał, bojąc się, że Prastare Istoty przerwą kontakt. – Być może nadal jestem w stanie wam pomóc. Ale musicie coś zrozumieć... my, ludzie, nie znosimy tajemnic. Czy nie możecie mi powiedzieć, do czego są wam potrzebne dane ze „Streakera”? Co jest tak cholernie ważnego w tej głupiej flocie starożytnych statków, którą odkryliśmy?!

To właśnie było najważniejsze pytanie prześladowające zbiegłych Ziemiaków przez trzy długie, piekielne lata.

Och, powierzchowna odpowiedź była łatwa. Gdy Creideiki i Orley przekazali obrazy z Płytkiej Gromady, wywołali w Pięciu Galaktykach szereg religijnych schizm. Konkurencyjne klany i sojusze, które przez wieki powściągały wzajemną wrogość, wysłały wojenne floty, rozkazując im zdobyć zebrane przez „Streakera” próbki, a zwłaszcza współrzędnie floty wraków.

Niektórzy twierdzili, że Armada Duchów może być błogosławionymi Przodkami, którzy wracają po dwóch miliardach lat, aby przyjrzeć się swym potomkom. Ale w takim przypadku dlaczego reagować przemocą? Czy dogmatyczne rozbieżności nie zostaną przewyciężone, gdy wszyscy poznają prawdę?

Emerson wyczuł wahanie. Potem odebrał słabe wrażenie zgody, jakby głos czekał jeszcze na jakieś inne wydarzenie. Do tej pory mógł dla zabicia czasu porozmawiać z bystrym dzikusem.

– *WSZYSTKO SKUPIA SIĘ WOKÓŁ OBJĘCIA PŁYWÓW. ROZKOSZNEGO POCIĄGANIA, KTÓREGO ZACZYNAJĄ PRAGNAĆ WSZYSTKIE GATUNKI, GDY JUŻ UTRACĄ ZAINTERESOWANIE LATANIEM PO KOSMOSIE W SZALONYCH GWIAZDOLOTACH. WSZYSCY ULEGAMY TEMU WABIKOWI, ZAPOMINAMY O DZIELĄCYCH NAS RÓŻNICACH, BY ZGROMADZIĆ SIĘ WOKÓŁ MAŁYCH CZERWONYCH SŁOŃC, GDZIE NASZE UMYSŁY MOGĄ WZRASTAĆ I ZMIERZAĆ KU CZYSTOŚCI. POTEM WIELU Z NAS OPUSZCZA OWE AZYLE I ZMIERZA KU MIEJSCOM TAKIM JAK TO, GDZIE TLEN I WODÓR ŁĄCZĄ SIĘ POKOJOWO ZE SOBĄ, ZJEDNOCZONE WSPÓLNYM ZACHWYTEM NAD WZMACNIAJĄCYM OBJĘCIEM, DOWODZĄC, ŻE DZIAŁA TU PLAN, PIĘKNY I WSPANIAŁY...*

Mężczyzna usłyszał cichy stukot dobiegający gdzieś z góry. Odłożył delikatnie kierunkowskaz, a potem pobiegł w kierunku, z którego docierał dźwięk. Z drugiej kieszeni wyjął małe urządzenie, skradzione przed kilku dniami z gabinetu Gillian Baskin.

– *...ALE TO, DOKĄD POŁĄCZONE GATUNKI UDAJĄ SIĘ POTEM, KU JAKIEMU PRZEZNACZENIU ZMIERZAJĄ, ZAWSZE POZOSTAWAŁO TAJEMNICĄ. MŁODSZE KLANY SPIERAJĄ SIĘ O TO NIEUSTANNIE, ALE TRANSCENDENTNE FORMY ŻYCIA NIGDY TEGO NIE WYJAŚNIAJĄ. MAMY TYLKO NIEJASNE WSKAZÓWKI ORAZ NIEZWYKŁE EMANACJE POCHODZĄCE Z...*

Emerson skupił się, starając się opróżnić głowę z myśli, wyszedł zza rogu i nagle ujrzał przed sobą blask gwiazd widocznych za kryształową szybą. Znał to miejsce. Znajdował się tu główny laser komunikacyjny. Szeroka rura wymierzona ku wielkiemu oknu zajmowała większą część dostępnej przestrzeni.

Za szybą była magiczna powłoka „Streakera”, gruba na metr, ale absolutnie przezroczysta. Cudowny, a zarazem śmiertelnie niebezpieczny pancierz pokrywał niemal cały gwiazdolot.

Obok stał ktoś zajęty pracą przy otwartej konsoli. Emerson poznawał biegłość jego rąk, zgrabnie posługujących się narzędziami, by przeprowadzać szybkie zmiany w konstrukcji lasera. Jedną z kończyn była niewątpliwie sztuczna, to, co zostało z głowy, zamknięto zaś w zwierciadlanej kopule. Te cyborgiczne elementy uratowały na Fraktalnym Świecie życie głównemu inżynierowi. Były przejawem szczodrości innej, bardziej przyjaźniej nastawionej frakcji Prastarych Istot. Tak przynajmniej sądziła wówczas załoga.

Obok Suessiego leżał wielki czytnik oraz kilka krystalicznych komórek wiedzy, wystarczająco pojemnych, aby pomieścić wszystkie informacje zdobyte z tak wielkim wysiłkiem przez „Streakera”.

– Cześć, Hannes – przywitał go na głos Emerson.

Gdy tylko się odezwał, kilka rzeczy wydarzyło się jednocześnie.

Suessi odwrócił się z wizgiem serwomechanizmów, unosząc palnik. Krótki płomień narzędzia gorzał oślepiającym blaskiem. Emerson nie widział twarzy starego przyjaciela i mógł jedynie zakładać, że tamten jest gotowy użyć palnika.

W tej samej chwili głos umilkł z sykiem zaskoczenia, który przeszył czaszkę Emersona z siłą wstrząsu elektrycznego. Mężczyzna krzyknął, odruchowo łapiąc się za skronie. Ta reakcja trwała jednak tylko chwilę. Zacisnął zęby i wymierzył ukradziony pistolet plazmowy w punkt położony za lśniącą kopułą Suessiego.

– Przestańcie albo zniszczę laser! Wiecie, że ból na mnie nie podziała.

Palnik natychmiast zgasł.

– *NAPRAWDĘ NIE POTRAFIMY W TO UWIERZYĆ. JAK GŁUPCY POPEŁNILIŚMY TEN SAM BŁĄD, NIE DOCENIAJĄC CIĘ PO RAZ KOLEJNY. NASZE KOMPUTEROWE MODELE KONSEKWENTNIE UMNIEJSZAJĄ SPRYT DZIKUSÓW TAKICH JAK TY. CZY ZDOBYŁEŚ TĘ ZDOLNOŚĆ PRZYSTOSOWANIA PODCZAS WYGNANIA NA ŚWIECIE PRZEDTERMINOWYCH OSADNIKÓW?*

– Pochlebstwa w niczym wam nie pomogą. Niemniej to prawda, rzeczywiście nauczyłem się tam nowych sposobów myślenia. Powinniście czasami posłuchać, jak przeklinam. Albo śpiewam.

– *BYĆ MOŻE W INNYM ŻYCIU. A WIĘC DOMYŚLIŁEŚ SIĘ, ŻE Z PEWNOŚCIĄ MAMY DRUGIEGO AGENTA. CZY PRZYCZEPIŁEŚ DO NIEGO TRANSPONDER, BY MÓC GO ZNALEZĆ, GDY TYLKO SIĘ ZJAWIMY?*

Emerson skinął głową.

– Coś w tym rodzaju wydawało się prawdopodobne. Hannes był tu jedyną osobą, którą mogliście przekształcić.

– *NIE PRZEKSZTAŁCILIŚMY LUDZKIEGO RZEMIEŚLNIKA. CI, KTÓRZY GO NAPRAWILI, BYLI SZCZERZY. ALE PÓŹNIEJ WCHŁONĘLIŚMY TĘ FRAKCJĘ I W TEN SPOSÓB UZYSKALIŚMY KODY DOSTĘPU. PONIEWAŻ TO EWIDENTNIE JEST DLA CIEBIE WAŻNE, ZAPEWNIAMY, ŻE NIE CZUJE BÓLU. DLA NIEGO WSZYSTKO TO TYLKO ZŁY SEN.*

– Cóż za wyrozumiałość! – warknął Emerson.

– *UWAŻASZ NAS ZA OKRUTNYCH. ALE W GRĘ WCHODZI LOS WIELU GATUNKÓW I BILIONÓW ISTOT. DLATEGO MIELIŚMY POWODY...*

– Widzę tylko tyle, że jesteście tchórzami! Pociąga was Objęcie Pływów, ale boicie się mu ulec. Obawiacie się, że to mogłoby okazać się błędem.

– *UPRASZCZASZ, ALE JESTEŚ BLISKI PRAWDY. TA OPOWIEŚĆ JEST TAK PIĘKNA, TAK DOSKONAŁA – TLENOWE I WODOROWE FORMY ŻYCIA ŁĄCZĄ SIĘ W HARMONIJNYM POKOJU, WCHODZĄC DO CUDOWNEGO LEJA TRANSCENDENCJI. DLATEGO PRAWIE NIKT Z KANDYDATÓW NIE KWESTIONUJE POWSZECHNEJ AKCEPTACJI OWEJ ŚCIEŻKI, KTÓRĄ ICH PROTOPLAŚCI PODAŻALI OD NIEPAMIĘTNYCH CZASÓW. OBJĘCIU NIEMAL NIE SPOSÓB SIĘ OPRZEĆ. SKOK KU TRANSCENDENCJI JEST WYRAZEM NAJWYŻSZEGO ZAUFANIA. WYRAZEM WIARY. ALE W TYM WŁAŚNIE PROBLEM! NIEKTÓRYM Z NAS WIARA NIE WYSTARCZA. ZAWSZE ISTNIAŁA MNIEJSZOŚĆ WYZNAJĄCA HEREZJĘ, KTÓRA WIDZI W OBJĘCIU PŁYWÓW COŚ INNEGO.*

Emerson pokiwał głową.

– System recyklingowy. Boicie się, że ten biały karzeł jest jak rów oceaniczny na Jijo... Wielkie Śmietnisko. Sprytna metoda pozwalająca usunąć z drogi stare, by zrobić miejsce dla nowego! Tak, to ma co najmniej tyle samo sensu co mistyczny portal do jakiejś wyższej warstwy rzeczywistości!

Poczucie obcej obecności wypełnił głęboki smutek, pełen obaw niepokój, który wydawał się szczególnie przejmujący u tak starożytnego i uczonego gatunku.

– *ODKRYCIA DOKONANE W PŁYTKIEJ GROMADZIE PRZEZ WASZ STATEK Z ZAŁOGĄ ZŁOŻONĄ Z DELFINÓW... PRAWDZIWY POWÓD, DLA KTÓREGO WYWOŁAŁY TAK WIELKĄ KONSTERNACJĘ...*

Głos ucichł. Emerson pochylił się nerwowo, gdy pokład zakołysał się pod jego stopami. Drzenie z każdą chwilą stawało się coraz szybsze i intensywniejsze.

– Zaatakowaliście nas! – oskarżył Prastare Istoty. – Całe to gadanie miało tylko odwrócić moją uwagę, dopóki...

– *MASZ RACJĘ, TWIERDZĄC, ŻE PRÓBOWAŁEM GRAĆ NA CZAS – przerwał mu głos. – ALE ROBIŁEM TO Z INNEGO POWODU. WYCZUWANE PRZEZ CIEBIE WSTRZĄSY SĄ REZULTATEM NAPRĘŻEŃ W SAMEJ STRUKTURZE KOSMOSU. TO DALSZY CIĄG TEGO SAMEGO PROCESU, KTÓRY ZNISZCZYŁ NASZ DOM, ZWANY PRZEZ WAS FRAKTALNYM ŚWIATEM. TE ZABURZENIA ROZSZERZAJĄ SIĘ Z NARASTAJĄCĄ SZYBKOŚCIĄ.*

– Sara myśli...

– *ŚLEDZILIŚMY JEJ PRACĘ Z ZAINTERESOWANIEM. NAJWYRAŹNIEJ WIE O TYM, CO TRANSCENDENCI STARALI SIĘ UKRYĆ – ŻE LOS WKRÓTCE ZERWIE WIĘZY ŁĄCZĄCE NASZE GALAKTYKI... SIEĆ, KTÓRA TWORZY CYWILIZACJĘ.*

To były zdumiewające słowa. Coś w tonie, z jakim je wypowiedziano, zaniepokoiło jednak Emersona.

– Gracie na zwłokę? Dlaczego? Przecież już powstrzymałem Hannesa przed... Zaklął.

– Oczywiście. Prastare Istoty niczego nie zostawiłyby przypadkowi. Macie trzecią opcję. Plan rezerwowy numer dwa. Na czym on polega? Powiedzcie mi!

– *BO CO ZROBISZ W PRZECIWNYM RAZIE? ZASTRZELISZ PRZYJACIELA? MOGLIŚMY JUŻ PRZED KILKOMA DURAMI NAKAZAĆ MU ATAK NA CIEBIE. WEDŁUG NASZYCH OBLICZEŃ SIŁA I SZYBKOŚĆ CYBORGÓW DAŁYBY MU TRZYDZIEŚCI PROCENT SZANS NA ODNIESIENIE SUKCESU, ZANIM ZDAŻYSZ GO WYELIMINOWAĆ. Z NASZEGO PUNKTU WIDZENIA WARTO BYŁOBY PODJĄĆ TAKIE RYZYKO, GDYBY NIE FAKT, ŻE NASZA TRZECIA AGENTKA OPUŚCIŁA JUŻ WASZ STATEK.*

– Wasza... trzecia agentka?

– *ZAWARLIŚMY UMOWĘ Z MŁODĄ DZIKUSKĄ. W ZAMIAN ZA KOPIE DZIENNIKA POKŁADOWEGO WASZEGO STATKU ZABIERZEMY JĄ STĄD I WYŚLEMY NA SPOTKANIE Z JEJ BOGAMI.*

Emerson ominął Suessiego, który zamarł w bezruchu, podbiegł do okna lasera i przycisnął do niego twarz.

Dziób „Streakera” znajdował się na lewo od niego. Jedną ze śluz uwolniono od magicznej powłoki, aby umożliwić opuszczanie statku. Kilkaset metrów od niej dostrzegł małą, pękatą szalupę ratunkową, skręcającą ku czarnej plamie w przestrzeni.

Plamie, która zasłaniała gwiazdy.

Emersona dopadły zawroty głowy. Jego procesy myślowe były teraz znacznie szybsze niż przed okaleczeniem. Mimo to minęło parę chwil, zanim zrozumiał...

– Porucznik Tsh't! Uwolniliście ją z więzienia i pomogliście jej uciec!

– *TO BYŁO PROSTE. UŻYLIŚMY MEMÓW, KTÓRE ZAKAZIŁY WASZE KOMPUTERY. ZNACZNIE TRUDNIEJSZE OKAZAŁY SIĘ FIZYCZNE CZYNNOŚCI, UZYSKANIE DOSTĘPU DO*

MIEJSC, GDZIE GILLIAN BASKIN PRZECHOWUJE SWOJE TAJEMNICE. WYKORZYSTALIŚMY W TYM CELU SUESSIEGO, PONIEWAŻ JEGO UMYSŁ BYŁ POD NASZĄ KONTROLĄ. TO ON UKRADŁ DANE. POTEM ROZKAZALIŚMY DWOJGU AGENTÓW PRZEMYCIĆ JE ZE STATKU ODDZIELNYMI DROGAMI. I TERAZ, POMIMO TWOJEJ INGERENCJI, WRESZCIE ZDOBĘDZIEMY INFORMACJE POTRZEBNE, BY PODJĄĆ TRAFNE DECYZJE DOTYCZĄCE LOSU NIEZLICZONYCH ISTOT. DLATEGO JESTEŚMY SKŁONNI OKAZAĆ SZCZODROŚĆ I ZARADZIĆ WIELU WASZYM KŁOPOTOM. Z SZACUNKU DLA TWEJ BARBARZYŃSKIEJ POMYSŁOWOŚCI ZGODZIMY SIĘ ZAOFEROWAĆ CI ZADOŚĆUCZYNIENIE. ODLATUJĄC, ZOSTAWIMY CI COŚ, Z CZEGO ODZYSKANIA Z PEWNOŚCIĄ SIĘ UCIESZ...

Głos ucichł. Nadciągnęła kolejna fala czasoprzestrzennych wstrząsów. Tym razem po skórze Emersona przebiegły łaskoczące ciarki, a wzdłuż jego przewodu pokarmowego przesunęło się pulsowanie, doprowadzając do kilku głośnych erupcji.

Gwiazdy na zewnątrz zamigotały. Przesłaniająca je czarna plama rozpląnęła się, odsłaniając znajomy zarys.

– Statek zwiadowczy klasy „Galuphin” – uświadomił sobie Emerson. Droga, ale konwencjonalna konstrukcja galaktyczna.

– Co... – zabrzmiał pobliski głos. Hannes Suessi odzyskał z jękiem świadomość. – Skąd się tu wzięłem? Co się dzieje?

Emerson miał teraz na głowie pilniejsze sprawy niż wyjaśnianie sytuacji przyjacielowi. Fluktuacje przestrzeni pokrzyżowały szyki enigmatycznym Prastarym Istotom. Z ich statku spadła maska, nie próbowały więc dłużej się ukrywać, lecz popędziły z maksymalną prędkością ku szalupie Tsh't, by zdobyć poszukiwane informacje.

Jednakże tumult, od którego kadłub „Streakera” zaczął wibrować, im również przysparzał trudności.

Otoczająca gwiazdolit ze wszystkich stron armada „kandydatów do transcendencji” rozpadała się na grupy. Fale zagęszczonej metryki rozrywały ciasne szeregi, spychając na siebie poszczególne falangi potężnych statków. Emerson dostrzegał już zderzenia i oślepiające wybuchy. Ich fale przebiegały z miejsca na miejsce, gdy kolczaste statki tlenodysznych zderzały się przedwcześnie z globulami wodorodysznych, uwalniając konwulsyjne fale czystej energii.

Głos umilkł, ale Emerson nadal odbierał wrażenia Prastarych Istot. Czuły głęboki niepokój. Który przechodził w strach. A potem w desperację.

Zwiadowczy statek zbliżał się urywanym ruchem do maleńkiej szalupy Tsh't. Zadanie utrudniały mu chaotyczne fale zaburzeń. Niebo wypełniał jaskrawy blask straszliwych katastrof, niezliczone rzesze istot ginęły tuż przed progiem transcendencji, a dawni dręczyciele Emersona uparcie zbliżali się do stateczka zdradzieckiej delfinicy.

– Czuję się... jakby ktoś mnie wykorzystał – wyszeptał Suessi, podchodząc do okna i wyglądając na zewnątrz. – Wielka szkoda, że straciłeś zdolność mowy, chłopcze. Chętnie bym się czegoś dowiedział na ten temat.

– Hannes... – zaczął Emerson, a potem musiał zaczekać, aż jego umysł wypełni kolejna fala zdolności mowy. Wiedział, że każda z nich może się okazać ostatnią. – Hannes, musimy uruchomić laser komunikacyjny i spalić te dwie łodzie! Natychmiast!

Suessi spojrział na niego ze zdumieniem, zaskoczony tym krótkim, niespodziewanym atakiem elokwencji. Metalowa kopuła jego głowy zwróciła się w kierunku wskazanym palcem przez Emersona.

– Te łodzie? Dlaczego nie połączyć się z doktor Baskin i nie użyć prawdziwych wiązek

bojowych?

Kwantowe łącze między Emersonem a jego ośrodkiem mowy nagle zniknęło, pozostawiając go w bezradnej niemocie. Nie mógł wytłumaczyć, że nieprzyjaciel, chcąc zapewnić sobie bezpieczną ucieczkę, z pewnością użył memów, które obezwładniły systemy sterujące wszystkich regularnych broni na pokładzie.

Dzięki czystej sile woli udało mu się wykrztusić kilka słów:

– Nie ma... czasu! Zrób to.

Hannes skinął błyszczącą kopułą i uniósł barki w typowym dla siebie geście wzruszenia ramion.

– Dobra! Ale będziesz musiał mi pomóc. To ustrojstwo w zasadzie nie służy do niszczenia statków kosmicznych.

Natychmiast wzięli się do roboty, pogrążając się w rytmie od dawna znanym inżynierom walczącym z nagłym kryzysem na pokładzie – od rzymskich triem poprzez staromodne łodzie podwodne aż po pierwsze powolne gwiazdoloty, które Ziemianie wysłali w Drogę Mleczną, licząc na to, że znajdą przyjazny wszechświat.

Emerson przekonał się, że brak zdolności mowy nie przeszkadza mu tak bardzo, jeśli pozwoli rękom i oczom swobodnie współpracować ze sobą. Skądś wiedziały, które połączenia trzeba przestawić, jakie poprawki wprowadzić. Gdy Hannes coś powiedział, ręce reagowały, jakby go rozumiały.

To uwolniło umysł Emersona, pozwoliło mu obserwować wydarzenia z dziwną bezstronnością, mimo że w korytarzach „Streakera” zabrzmiały alarmy, wzywające załogę na stanowiska bojowe. Suessi wyraźnie pragnął dołączyć do swej ekipy w maszynowni, ale obaj ufali sobie tak bardzo, że uwierzył Emersonowi na słowo, iż to, co robią tutaj, jest ważniejsze.

Emerson cieszył się jeszcze bardziej niż przedtem, że nie był zmuszony zastrzelić przyjaciela.

– W porządku – oznajmił wreszcie Suessi. – No to ruszamy.

Laser zapulsował, temperatura w małym pomieszczeniu spadła gwałtownie o kilka stopni, gdy energia wypłynęła w przestrzeń kosmiczną.

Emerson natychmiast zauważył, że pierwszy impuls chybił celu, znikając pośród światła eksplozji otaczających „Streakera” ze wszystkich stron. Z każdą chwilą stawały się one coraz jaśniejsze i straszliwsze.

Zaklął szpetnie i wcisnął kilka guzików jeden po drugim, przechodząc na sterowanie ręczne. Następnie zaczął obracać laser, celując tylko za pomocą wzroku.

Zwiadowczy stateczek nadal walczył z falami czasoprzestrzennych zaburzeń, próbując dotrzeć do łodzi, w której uciekała Tsh't. Kontakt nie przebiegł łagodnie. Płyty kadłuba wgniotły się na jednym z boków, ale solidny stateczek thennańskiej roboty wytrzymał wstrząs. Wkrótce powierzchnia większej jednostki zaczęła topnieć i pochłonęła kapsułę ratunkową.

Tsh't i jej skradziony ładunek byli bezpieczni w objęciach tych, którzy tak bardzo go pożąдали.

Emerson miał mieszane uczucia, szarpiąc się z opornym laserem. Choć nienawidził Prastarych Istot za ich brutalność – a zwłaszcza za to, że okaleczyli go, a także innych, dla egoistycznych celów – rozumiał, przynajmniej w pewnym stopniu, ich motywy. Nawet bez słów potrafił sobie wyobrazić panikę stojącą za ich poczynaniami.

Z czasem – po przejściu przez młodzieńczą fazę porywczych gwiazdnych wędrowców – każdy gatunek musiał zdecydować, czy ruszy dalej w głąb wygodnego leja, który zdawał się z radością witać wszystkie dusze przygotowane do połączenia kultur tlenodysznych i wodorodysznych istot, a potem do podążenia w dalszą drogę.

Ale ku czemu wiodła ta droga?

Zdecydowana większość była przeświadczona, że musi to być coś wspanialszego i bardziej szlachetnego niż wszystko, co można znaleźć w kosmosie. Miejsce, do którego w zamierzonych czasach odeszli błogosławieni Przodkowie.

Mniejszość była jednak innego zdania.

Na Jijo Emerson poznał głęboką, brutalną prawdę na temat cyklu życia. Ta metafora zapisała się w jego umyśle, mimo że mowa go opuściła.

Wizja najgłębszych rowów morza.

I jedno słowo.

Odpady.

Nacisnął guzik.

Z lasera ponownie popłynął dźwięk niższy od hoońskiego burkotu i przepojony agresją bardziej niż okrzyk bojowy pustynnej uryjskiej wojowniczkii. Towarzyszyła mu nagła fala chłodu.

Coś rozbłysło pośród nocy! Iskry zniszczenia. Na jednym z końców zwiadowczego stateczka zapłonął ogień, rozświetlając segment rufowy niszczycielskimi eksplozjami.

Głos ponownie zabrzmiał w umyśle Emersona, pełen bólu i zdziwienia:

– CZY WIESZ, CO UCZYNIŁEŚ? PO ODLOCIE STĄD ZAMIERZALIŚMY PRZESŁAĆ CI CYLINDER Z FRAGMENTEM TKANKI, KTÓRY TAK BARDZO PRAGNIESZ ODZYSKAĆ. NIE POTRZEBOWALIBYŚMY JUŻ JEGO ANI CIEBIE. A TERAZ TWÓJ SKARB ZGINIE RAZEM Z NAMI, GDY SPADNIEMY NA GASNĄCE BIAŁE SŁOŃCE.

Śmiertelnie raniony stateczek pomknął już w dół, ku gwiazdzie. Silniki „Streakera” zwiększyły obroty, popychając gwiazdolit w przeciwną stronę.

– Wiem – odparł z westchnieniem Emerson. Z chwilą oddania strzału bardzo wiele jego nadziei obróciło się w popiół. Zwłaszcza marzenie o rozmowie z Sarą. O tym, że będzie mógł jej powiedzieć, co czuje. A nawet o tym, że będzie mógł zatrzymać myśli, które w tej chwili wydawały mu się tak naturalne i płynne, swobodne i piękne. Łatwe i pełne wdzięku myśli, które za parę chwil znowu staną się trudne, gdy na zawsze utraci to, co mu skradziono, i co potem na chwilę odzyskał.

– ALE DLACZEGO? NA SWÓJ PRYMITYWNY SPOSÓB ROZUMIESZ POWODY NASZEGO NIEPOKOJU. SYMPATYZUJESZ Z NASZYMİ OBAWAMI DOTYCZĄCYMI OBJĘCIA PŁYWÓW. A NAWET PODEJRZEWASZ, ŻE MOŻEMY MIEĆ RACJĘ! CZY TO BYŁOBY TAKIE ZŁE, DAĆ NAM WSKAZÓWKI, KTÓRYCH POTRZEBUJEMY, ŻEBY POZNAĆ PRAWDĘ O PRZEZNACZENIU? WIEDZIEĆ, KTÓRĄ DROGĘ WYBRAĆ?

Pytania były tak bolesne, że Emerson zapragnął na nie odpowiedzieć, dopóki jeszcze był czas.

Czy powinien wspomnieć o rozkazach Rady Terrageńskiej, mówiących, że tajemnice z Płytkiej Gromady muszą należeć do wszystkich gatunków... albo do żadnego?

Gniewny fragment jego jaźni miał ochotę oznajmić obcym, że to była pyrrusowa zemsta za to, co mu uczynili, nawet jeśli uważali to za usprawiedliwione.

W rzeczywistości jednak żaden z tych powodów nie był wystarczającym motywem morderstwa. „Streaker” drżał pod naporem coraz intensywniejszych fal czasoprzestrzennych, wspinając się powoli w górę poprzez wir zderzających się ze sobą ark oraz płonących kul Zangów, a Emerson cały czas zastanawiał się nad właściwą odpowiedzią.

Aż wreszcie ją znalazł.

Taką, która była logiczna i w pełni sprawiedliwa.

– Dlatego, że nie pytaliście mnie o zgodę – wyjaśnił, gdy kwantowe łącze zaczęło słabnąć po raz ostatni. – Nigdy... nie powiedzieliście... „proszę”.

HARRY

Z początku poszukiwania nie szły mu dobrze.

Kazzkark był labiryntem tuneli, w którym najrozmaitsze istoty mogły z łatwością zniknąć – czy to celowo, czy przypadkiem. Sytuacja pogorszyła się przy tym znacznie, odkąd spokojne życie instytutowej placówki zniknęło niczym ulotne wspomnienie. Uchodźcy nie przestawali napływać, mimo że planetoida zaczęła drżeć pod wpływem fal podprzestrzennych zaburzeń. Wszyscy byli podenerwowani i często dochodziło do incydentów dającym zajęcie robotom z Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego.

Jeśli chodzi o poszukiwania dwojga zaginionych ludzi, Harry był w praktyce zdany na własne siły.

Pierwszą wskazówkę odnalazł, gdy podsłuchał synthiańską handlarkę, chwającą się towarzyszom w barze dla kosmicznych kupców, że trafiła się jej świetna okazja. Będzie mogła nabyć świetnie zachowane starożytne artefakty dzikusów, które następnie sprzeda kolekcjonerom.

– Lekkie poczucie winy, oto co czuję, myśląc o niskiej cenie, jaką zapłaciłam za cudownie autentyczne, ręcznie produkowane obiekty – przechwalało się krzepkie stworzenie w szóstym galaktycznym.

– W ich autentyczną, prymitywną naturę nie wątpię. Dowody na nią stały się przemożne, gdy tylko wprowadziłam do skanera programy archeologiczne, sprawdzające ślady narzędzi, skutki zużycia oraz pozostałości olejów cielesnych. Rezultaty? Absolutny brak technośladów oraz innych dowodów świadczących o fałszerstwie! To było autentyczne tubylcze narzędzie/broń, wytarte i zużyte wskutek prymitywnej walki o przetrwanie w barbarzyńskich warunkach! Słucham? Co powiedziałaś? Chciałbyś zobaczyć ten cudowny nabytek? Ależ oczywiście! Oto on. Zwróć uwagę na eleganckie krzywizny i na zręczne połączenie materiałów pochodzenia zwierzęcego i roślinnego. Oto niegalaktyczna rozumność w całej swej krasie! Ludzki rozbitek, który był uprzednio właścicielem tych artefaktów, ponoć doznał uszkodzenia mózgu, co musiało upośledzić jego poczucie wartości! Odzyskanie pamięci po kosmicznej amnezji nie będzie przyjemnym doświadczeniem dla biednego młodego dzikusa, który nagle uświadomi sobie, o ile więcej mógł otrzymać za swój cenny zestaw łuczniczy, który teraz sprzedam z wielkim zyskiem na rynku kolekcjonerskim. Zwłaszcza teraz, gdy główne źródło podobnych zabytków, planeta Ziemia, za kilka jadur z pewnością zniknie w kaskadach ognia.

Harry nie był obecny, gdy wypowiedano te słowa. Znajdował się na drugim końcu Kazzkarku, szukając Rety i Dwera w obozie dla ubogich uchodźców. Owe urywki rozmowy przekazał do jego ucha pomysłowy program szpiegowski.

Po awansie jego status wzrósł i mógł teraz zlecić obserwację wszystkich dźwiękowych sygnałów na planetoidzie. Komputer poszukiwał w niezliczonych rozmowach kilku rzadko spotykanych słów kluczowych, ale do owej chwili zdołał wykryć jedynie mało znaczące korelacje. Tym razem jednak Synthianka w kilka dur wymieniła połowę listy, pomijając właściwie tylko samo imię Dwera.

Harry popędził w tamtą stronę, wysyłając priorytetową prośbę o wsparcie. Być może winna była złota kometa, którą nosił teraz na kołnierzu, a może po prostu się śpieszył, ale przepychał się przez tłum, ignorując oburzone spojrzenia istot z klasy opiekunów.

Gdy przybył na miejsce, czekało już na niego kilku robonadzorców, czających się groźnie w

pobliżu baru oferującego liczny zestaw środków oszłamiających. Zebrał się tłum gapiów.

– *Tylne wejście zabezpieczono, majorze zwiadu Harms* – zameldował jeden z kołyszających się w powietrzu robotów. – *Klienci chyba nic nie podejrzewają. Kilku z nich ma ukrytą broń, ale tylko typów, które możemy unieszkodliwić z prawdopodobieństwem sukcesu wahającym się od umiarkowanego do wysokiego.*

Harry chrząknął.

– Wolałbym mieć pewność, ale to będzie musiało mi wystarczyć. Trzymajcie się blisko mnie. Niech wszyscy was zobaczą, kiedy wejdziemy do środka.

Kusiło go, aby wyciągnąć własną broń, ale wolał załatwić to uprzejmie, jeśli tylko okaże się to możliwe.

– No dobra. Ruszajmy.

W loży siedziała szóstka synthiańskich kupców. Wszyscy wyglądali podobnie – mieli szarobrazowe futra i ciemne pręgi na twarzach. Przysadziste istoty nosiły na szerokich ramionach i okazałych brzuchach pasy na naboje. Na stole leżały: smukły łuk i kołczan pełen strzał, wszystko to wykonane z pięknie obrobionego drewna i kości. Gdy handlarka po nie sięgnęła, Harry natychmiast zapytał, skąd je ma.

Kiwei Ha'aoulin zareagowała pełnym pasji oburzeniem, przybierając pozę agresywnego prawnika. Harry przez ponad dwadzieścia dur słuchał, jak Synthianka głośno uskarża się na „nielegalny podsłuch i wścibskich biurokratów”, nim wreszcie stracił cierpliwość i przypomniał jej, że Kazzkark jest wyłączną własnością Wielkich Instytutów, a ostatnio ogłoszono tu stan wojenny. Co więcej, czy handlarka rzeczywiście by chciała, żeby sprawdzono zawartość jej ładowni, starannie porównując każdy smig i dram z tym, co zapisano w manifestach ładunkowych?

Z przywodzącego na myśl szopa oblicza szybko zniknęła wojowniczość. Harry nigdy dotąd nie spotkał Synthianina, ale często występowali oni w codziennych holodramatach na Ziemi, gdzie stereotypowo przedstawiano ich jako jowialnych, skłonnych do entuzjazmu i nieubłaganie interesownych.

Handlarka długo się zastanawiała nad słowami Harry'ego, po czym przeszła na całkiem niezły potoczny anglic.

– Proszę, proszę, majorze zwiadu. Wystarczyło zapytać. Czy mam cię zaprowadzić w miejsce, gdzie ostatnio widziałam Dwera Koolhana? Tak! Ale ostrzegam, że jeśli go znajdziesz, może wyglądać inaczej. Kiedy się rozstawaliśmy, wypytywał o chirurga kosmetycznego, jakby miał zamiar się ukrywać!

Gdy szli szybko głównym bulwarem, Harry szeptał do mikrofonu policzkowego, pytając, czy któryś z miejscowych zakładów naprawy ciała miał ludzkich klientów w ciągu półtorej doby, które minęły, odkąd Kiwei Ha'aoulin ostatnio widziała Dwera.

Sprawdził też, co słyhać w gmachu Instytutu. Wer'Q'quinn zarządził za cztery midury kolejne pilne spotkanie pracowników.

A przynajmniej tych, którzy nadal tu przebywali. Większość zwiadowców i starszych rangą urzędników opuściła Kazzkark. Krążyli po całym kwadrancie w pilnych misjach ratunkowych, konfiskując statki wszelkich rozmiarów, by ewakuować izolowane placówki, oraz rozmieszczając boje, mające ostrzegać podróżników przed zdestabilizowanymi punktami transferowymi, a także obserwować szerzenie się chaosu w tej części Pięciu Galaktyk.

Szczególnie niepokojące były meldunki o nagłych wybuchach przemocy wśród tlenodysznych

klanów, a nawet między różnymi kategoriami życia. W Sektorze Corcuomin doszło do niezwykle gwałtownej konfrontacji między jedną z bardziej samotniczych kultur wodorodysznych a ogromnym rojem maszynowych jestestw, których ojczysta domena, położona w głębokim kosmosie, ucierpiała z powodu rozdarć przestrzeni tak straszliwie, że wielkie ilości niezarejestrowanych mechanoidów zaczęły migrować na bogate terytoria, zakazane dla nich mocą starożytnych traktatów. Starcie było szalone i brutalne. Użyto broni o bezprecedensowej mocy, która przebiła granice między poziomami przestrzeni. W rezultacie wiry czasoprzestrzenne z poziomów A i B wtargnęły do „normalnego” kontinuum, powodując zniszczenia wszędzie, dokąd dotarły. Krążyły nawet pogłoski, że w walkach, jako sojusznicy jednej czy drugiej strony, uczestniczyły memetyczne formy życia. Być może jednak po prostu próbowały one wykorzystać okazję i zakazić swymi ideogramatycznymi macierzami nowych gospodarzy – wypełniając pole bitwy szalonymi impresjami zmysłowymi oraz szerząc idee zbyt dziwaczne i skomplikowane dla organicznych lub elektronicznych mózgów.

Pośród tych wszystkich wydarzeń Wer’Q’quinn nadal zwlekał z przydzieleniem Harry’emu nowego zadania. Szimpans był zbyt niedoświadczony i pozbawiony zdolności dyplomatycznych, aby powierzyć mu poważne stanowisko dowódcze, lecz jednocześnie najwyraźniej zbyt cenny, by można mu było zlecić jakąś pozbawioną znaczenia misję.

– Bądź w kontakcie – powiedział mu Wer’Q’quinn. – Podejrzewam, że nim to wszystko się skończy, będziemy jeszcze potrzebowali twojej znajomości przestrzeni E.

Synthiańska handlarka skręciła w jedną z bocznych ulic, gdzie sprzedawano ubrania i wszelkiego rodzaju ekwipunek osobisty.

Tu właśnie ostatnio widziałam człowieka. Pożegnał się ze mną, ściskając sakiewkę pełną Galaktycznej Monety otrzymanej ode mnie. Miałam wrażenie, że pragnie jak najszybciej wydać swą nowo zdobytą fortunę.

– Galaktycznej Monety? – zapytał Harry. Znacznie lepiej by było, gdyby Dwerowi zapłacono kredytami albo markami, które można było przesłedzić w Sieci Komercyjnej. – Ile mu zapłaciłaś?

Kiwei Ha’aoulin próbowała się wykręcić od odpowiedzi, powołując się na kupieckie przywileje, ale wkrótce sobie uświadomiła, że to nic nie da.

– Siedemdziesiąt pięć pół jednostek.

– Siedemdziesiąt pięć! – warknął Harry, zaciskając pięści. – Za autentyczne artefakty ziemskich autochtonów z przedprzemysłowej ery? Ty pozbawiona skrupułów...

Przeklinał Synthiankę przez dłuższą chwilę, ponieważ handlarka najwyraźniej tego właśnie oczekiwała. Gdyby tego nie zrobił, uraziłby jej dumę. Jego myśli gnały już jednak naprzód. Nie miał zamiaru mówić Kiwei Ha’aoulin, że cenny łuk i strzały są znacznie młodsze, niż jej się zdawało, i w rzeczywistości stanowią kontrabandę ze świata nielegalnych przedterminowych osadników. Wyrzeźbiły je qheueńskie zęby, a potem utwardzono je w uryjskiej kuźni.

Przerwała mu komputerowa wiadomość. Najwyraźniej jeden z zakładów naprawy ciała odwiedził niedawno młody Terranin, który zapłacił gotówką za szybką przeróbkę. Nie było to nic nadzwyczajnego, po prostu zwykła odbudowa profilu, jaką zakład miał w swym obejmującym wszystkie gatunki archiwum.

– Ruszajmy! – powiedział Synthiance. Przez chwilę próbowała protestować, ale gdy obrzucił ją groźnym spojrzeniem, wzruszyła ramionami na bardzo ziemski sposób.

– Oczywiście, majorze zwiadu Harms. Proszę, proszę. Cały czas pozostaję na twoje usługi.

Niestety, zakład naprawy ciała, o który chodziło, znajdował się kawałek drogi za Placem Wiary. By tam dotrzeć, musieli ominąć zgraję misjonarzy i gorliwców, podekscytowanych postępującym

załamanie się porządku w Pięciu Galaktykach.

Odkąd Harry ostatnio odwiedzał tę strefę, bardzo wiele się zmieniło. Zwykle stały tu eleganckie namioty, dogłądane przez porządnie odzianych akolitów, uprzejmie omawiających swe starożytne dogmaty w tradycyjny sposób, podkreślany wyrażającymi pewnością i cierpliwością rytmemi. Ponieważ większość galaktycznych sekt starała się nawrócić całe gatunki i klany, nacisk kładziono zawsze na nieustanne powtórzenia i wszechobecność przekazu. „Wywieszano flagę” i czekano, aż inne istoty rozumne stopniowo przyzwyczają się do doskonalszego spojrzenia na przeznaczenie. Indywidualne istoty liczyły się tylko jako nośniki mające przekazywać idee swym rodzinom i narodom.

Już podczas poprzedniej wizyty Harry’ego w tym miejscu atmosfera spokojnego uporządkowania zaczynała słabnąć. Teraz, gdy kamienne ściany drżały od sporadycznych wstrząsów podprzestrzennych, ulotniła się niemal całkowicie.

Spokojne ongiś placówki kilku sojuszy religijno-filozoficznych – Spadkobierców, Zanurzonych i Transcendujących – wypełniały tłumy. Nieskalane zasłony dzielące je od siebie stratowano, gdy słuchacze przepychali się ku wykrzykującym kaznodziejom odzianym w jaskrawe srebrzyste szaty. Mówcy stali na absurdalnie wysokich ambonach, kołyszących się pod samym sufitem. Ich pełne pasji słowa tłumaczone na kilkanaście galaktycznych dialektów wypełniały namioty donośnym hukami i jasnymi rozbłyskami, jakby sama głośność była wystarczającym narzędziem perswazji. Każda ze stron starała się zagłuszyć rywali tak usilnie, że Harry słyszał właściwie tylko nieartykułowany ryk, od którego pękała mu głowa. To jednak nie powstrzymywało tłumów. Powietrze sprawiało wrażenie naelektryzowanego od ich emocji.

Tu z pewnością jest gęsto od niewidzialnych fal psionicznych i glików empatycznych – uświadomił sobie Harry. Cieszył się, że jego talenty mentalne rozwinęły się w innym kierunku i był szczęśliwie niewrażliwy na tego typu irytujące impulsy. Gdyby w tym tłumie był Tymbrimczyk, witki by mu się usmażyły od tyłu szalonych wibracji.

Na placu zaszły też inne zmiany. Plutony akolitów Spadkobierców i Zanurzonych, wyposażone w laski, pałki, noże kuchenne i inne rodzaje prowizorycznej broni, spoglądały na siebie nieufnie i gniewnie. Harry’emu wydało się nawet, że za jedną z półprzezroczystych zasłon dostrzega ruchy kilku wielkich patykowatych stworzeń przywodzących na myśl modliszki.

Zadrżał na widok łatwych do rozpoznania sylwetek.

Tandu.

Potem Harry i Kiwei minęli namioty Oczekujących oraz Abdykatorów... czy raczej ich resztki. Wystrzępione chorągwie leżały na ziemi – nieme świadectwo tego, jak bardzo gwałtowny charakter przybrały starożytne konflikty. Różnice zdań nie były już tylko kwestią teorii i nie wyrażano ich cierpliwie. Wszystko wskazywało na to, że zbliża się dzień sądu.

Garstka usmarowanych sadzą Oczekujących – głównie pająkowatych guldingarów i varhistów o grubych rogach – grzebała ostrożnie w zgłiszczach. Osłaniały ich roboty wynajęte w jakiejś miejscowej prywatnej agencji ochrony. Zwłaszcza varhisty sprawiały wrażenie gorąco spragnionych zemsty.

We wszystkich bocznych alejach słyszało się zgiełk i liczne spekulacje. Formacja robogliniarzy pomknęła z maksymalną prędkością na wschód i zniknęła za rogiem, gdzie doszło do jakichś hałaśliwych zaburzeń. Kilka dni później Harry zobaczył w zaułku kilku obdartych rabusiów okradających coś, co wyglądało na leżącego w cieniu trupa.

Na głównej alei prowadzącej z północy na południe ustawiono rozklekotane ambony, za którymi stali kaznodzieje wrzaskiem próbujący przyciągnąć uwagę przechodniów. Ponury Peeoot nadal stał tam, gdzie ostatnio widział go szympan. Wyciągał spiralną szyję i wytrzeszczał wylupiaste oczy,

bełkocząc w mało znanych dialektach o tym, że wszystkie gatunki powinny wrócić do swej podstawowej natury, cokolwiek miałyby to znaczyć.

Harry zauważył też Komahda, którego zwodniczy uśmiech poszerzył się jeszcze na widok szympansa. Stworzenie dodatkowo uderzyło w ziemię pojedynczą tylną nogą.

– Spójrzcie! – zawołał Komahd, wyciągając kościste palce. – Przechodzi tędy kolejny Terranin. Oto dowód na to, że ta obmierzła zaraza nie zniknie, nawet gdy jej świat ojczysty w końcu padnie i wymierzy mu się sprawiedliwość. Nie, moi przyjaciele. Nie stanie się to nawet wtedy, gdy Ziemia zostanie skonfiskowana, a jej bogata pula genetyczna podzielona między sprawiedliwych. Rozprzestrzenili się już wśród nas jak zjadliwe wirusy! Czyż wszyscy dziś nie widzieliście licznych dowodów ich złowrogiemu wpływu?! Nawet tutaj, na dalekim Kazzkarku, dzikusy i ich obłąkani zwolennicy szerzą odrażające kłamstwa i kalumnie, wskrzeszają starożytne, samolubne herezje, atakują naszą wspólną wizję przeznaczenia i podważają podstawy społeczeństwa, przedstawiając naszych czcigodnych przodków jako niewiele więcej niż głupców!

Wykrzykując pełne nienawiści hasła pod adresem klanu Harry’ego, Komahd nie przestawał się „uśmiechać” oraz poruszać zwodniczo atrakcyjnymi rzęsami. Ten wprowadzający w błąd obraz na rodzinnym świecie istoty z pewnością znaczył coś zupełnie innego. Uwagę szympansa przyciągnął fakt, że gniew kaznodziei, przedtem paranoicznie skierowany przeciwko wodorodysznym, teraz całkowicie skupiał się na małym, biednym Ziemskim Klanie.

Wydawało mu się to niesprawiedliwe i przesadne, zwłaszcza że wszyscy stawiali na to, że Terra padnie w najbliższych tygodniach, dniach czy może nawet godzinach. Niemniej wyczuwał, że mała grupka zwolenników Komahda jest agresywnie nastawiona. Jeśli zostanie tu dłużej, mundur Instytutu Nawigacji może się okazać niewystarczającą ochroną.

– Zaczekaj – wyszeptała Kiwei Ha’oulin, gdy Harry pociągnął ją za ramię. – Argumenty tej istoty sprawiają wrażenie logicznych i przekonujących! Jej retoryka brzmi nader przekonująco. Rozumowanie wydaje się nieodparte!

– Bardzo zabawne, Kiwei – warknął Harry. – Chodźmy już. Szybko.

Wyraźnie zachwycona swym poczuciem humoru Synthianka zachichotała radośnie. Jej pobratymcy byli skłonni do entuzjazmu, ale nader wszystko cechował ich pragmatyzm. Podobnie jak wiele gatunków należących do „umiarkowanej większości” nie byli zainteresowani niezrozumiałymi religijnymi sporami o naturę transcendencji, lecz woleli zajmować się własnymi sprawami, przekonani, że przeznaczenie poradzi sobie bez nich. Gdyby zależało to od nich, chętnie podzieliliby się ze wszystkimi osławionymi „odkryciami «Streakera»”, a nawet zapłaciliby Terranom przyzwoite znaleźne, aby wynagrodzić im poniesione trudy.

Niestety, umiarkowana większość słynęła również ze zwlekania i niezdecydowania. Z czasem mogą rozstrzygnąć długie debaty o to, czy uratować Ziemię, ale pomoc nadejdzie za późno, by zrobić cokolwiek poza poruszeniem popiołów.

Jeśli już mowa o zajmowaniu się własnymi sprawami, Harry miał nadzieję, że minęli już ostatnie religijne zbiegowisko, ale gdy tylko wyszli za róg, drogę zablokował im tłum jeszcze większy od poprzednich! Ciżba ciągnęła się daleko na wszystkie strony, wypełniając nakryte kopułą skrzyżowanie, które przedtem służyło jako rynek organicznych suplementów diety.

Różnorodność widocznych tu gatunków przyprawiała o zawrót głowy – od zwiewnych, smukłych zitlthów aż po parę masywnych brma. Instrumenty wykryły obecność rozmaitych istot, o których zdumiony szympans słyszał dotąd tylko niejasne pogłoski. Las niezwykłych kończyn, głów, torsów i narządów zmysłów kłębił się nieustannie, aż wreszcie zdezorientowany Harry nie był w stanie określić, gdzie kończy się jedno stworzenie, a zaczyna drugie.

Same zapachy były tak intensywne i różnorodne, że omal od nich nie zemdlął.

Wielu gapiów używało przenośnych urządzeń przekazujących im słowa odległych misjonarzy, widocznych stąd jedynie jako srebrne plamy na odległym podium. Inni unosili rozmaite oczy ku wielkim ekranom, ulokowanym wysoko na kamiennych murach. Każdy z obrazów przemawiał w innym dialekcie.

Część tłumu parła naprzód, szukając czegoś niewysłowionego w bezpośredniej obserwacji.

– To ciekawe – odezwała się Kiwei Ha'aoulin. – Zauważyłam kilka gatunków, które z reguły nie są skłonne do ulegania religijnemu ferworowi. A także sporo takich, których klany pozostają w głębokim ideologicznym konflikcie. Popatrz tam! Oczekujący tourmuj i Spadkobierca talpuur stoją obok siebie, głęboko zafascynowani. Zastanawiam się, jaka konceptualna magia mogła ich tak silnie zafrapować.

– Kogo to obchodzi? – warknął zniecierpliwiony Harry. Pragnął dotrzeć do zakładu naprawy ciała przed jego zamknięciem, żeby trop nie wystygł. – Ifni! Nigdy się nie przepchamy przez ten tłum.

Chciał już zasugerować, by zawrócili i podążyli dłuższą trasą, gdy jego angielskie przekleństwo przyciągnęło uwagę wysokiej, przypominającej wielbłąda istoty, która skierowała nań spojrzenie czarnych jak węgiel oczu.

To był j'8lek. Ten gatunek gwiazdnych wędrowców od dawna darzył Ziemią głęboką antypatią. Prawa ręka Harry'ego zdrząła, szukając uspokajającego dotyku broni u pasa.

Ale j'8lek zrobił coś nieoczekiwanego. Gapił się na szympansa przez kilka dur, a potem nagle pochylił długą szyję w ukłonie wyrażającym głęboki szacunek! Stworzenie rozepchnęło tłum czterema potężnymi nogami, torując początki drogi Harry'emu i jego towarzysze.

Oboje ruszyli naprzód, lekko zdumieni owym faktem, ale potem ta sama sytuacja zaczęła się powtarzać! Od czasu do czasu któryś z gapiów zauważał Harry'ego i pośpiesznie usuwał mu z drogi stojące obok stworzenia. Nikt się nie sprzeciwiał ani nie opierał. Nawet istoty o wysokiej randze starszych opiekunów ustępowały mu uprzejmie drogi, jakby był im równy.

To było niezwykle, oszałamiające doświadczenie, szczególnie dla szympansa, który miał niespełna półtora metra wzrostu. Czuł się, jakby jakaś moc sprawiała, że morze wysokich obcych rozstępowało się przed nim, tworząc wąską ścieżkę. Nie widział, dokąd prowadziła, i nie miał pojęcia, czego się spodziewać na jej końcu. Z pewnością byłoby to lekko niepokojące, gdyby nie fakt, że wszyscy byli tak cholernie uprzejmi.

To czyniło całą sprawę totalnie niepokojącą!

Tłum otaczał Harry'ego ze wszystkich stron i tylko od czasu do czasu udawało mu się przelotnie dostrzec ekrany. Wkrótce usłyszał głos kaznodziei, wyraźnie artykułującego słowa w siódmym galaktycznym. Poznawszy go, aż się potknął z wrażenia.

– ...wszyscy rozumieją, dlaczego wielkie i potężne sojusze religijne wpadły w szal, usłyszawszy wiadomości, które napłynęły niedawno ze świętego świata męczennika. Dar wysłany nam przez cudowną, skazaną na zagładę Ziemię.

Dar prawdy!

Łącząc galaktyczną naukę ze swą pomysłową matematyką, dzikusy zdołały odkryć tajemnicę od eonów ukrywaną przez wysokich rangą urzędników Instytutów, znaną również majestatycznym istotom z Kategorii Emerytowanej i Transcendentnej, a mianowicie fakt, że konwulsje targające obecnie Pięcioma Galaktykami są naturalnym procesem i powinniśmy witać je z radością, zamiast się ich lękać!

Harry natychmiast poznał charakterystyczny sposób mówienia, a także niezwykle przekaz.

To był misjonarz Skiano! Ten sam, który uprzednio głosił swe kazania na ulicy, nie mogąc sobie

pozwolić nawet na przenośną ambonę. Skłonna do ekstrawaganckich metafor istota porównywała naturę „dzikusów”, za jakich uważano Ziemian, którzy ponoć sami wspomogli się do stanu rozumności bez pomocy opiekunów, do legend o „narodzinach z dziewicy”. Harry wyraźnie pamiętał wielką, przypominającą dziób statku głowę z dwiema parami oczu, których błyski głosiły mrozące krew w żyłach proroctwo. Ziemię ponoć czekało coś w rodzaju ukrzyżowania, chwalebna śmierć za innych, a potem duchowe zmartwychwstanie.

Wreszcie zrozumiał, dlaczego tłum rozstępował się przed Terraninem, mimo że był tylko szympansem. (Choćby nawet z drżącym nerwowo ogonem!)

Niestety, ta świadomość nie pocieszała go zbyt. Najwyraźniej Skiano wyniosła na szczyt fala ogólnej hysterii. Harry nadziei się na zgromadzenie wyznawców jednej z najdziwaczniejszych herezji w całych dziejach Pięciu Galaktyk!

Zafascynowana i jednocześnie głęboko rozbawiona tym wszystkim Kiwei Ha'aoulin ruszyła przodem, przepychając się z entuzjazmem przez tłum, jakby chciała zrekompensować narastające opory Harry'ego. Zachowywała się jak nadęty majordomus, ogłaszający wszem wobec, że nadchodzi Ziemianin!

– Proszę, proszę – szeptała półgębkiem, zachęcając go, aby cieszył się specjalnym traktowaniem, dopóki trwa. – Może powinieneś się rozchmurzyć, mały, futrzasty przyjacielu! Cały kosmos się rozpada, więc możemy przy okazji przynajmniej trochę się zabawić!

To nie było typowo synthiańskie podejście, ale z drugiej strony fatalizm mógł się stać silnym antidotum na tchórzostwo.

Tym razem Harry postanowił posłuchać jej rady. Rozprostował ramiona, starając się osiągnąć pełną godności pionową pozę, jaką ludzcy opiekunowie wpajali jego przodkom razem z darem mowy i rozumności. Wygładził białe futro i nawet pozwolił, by anormalny ogon uniósł się dumnie nad jego głowę.

Tłum skończył się nagle. Harry i Kiwei znaleźli się na podwyższeniu, na którym mogli wygodnie usiąść dygnitarze pragnący oglądać spektakl.

Szympanś pragnął tylko odejść stąd jak najszybciej i wrócić do poszukiwań zaginionych przedterminowych osadników. Niestety, jedyna dostępna droga prowadziła po rampie ku zarezerwowanym miejscom. Ruszył w górę razem z Kiwei, słuchając głoszącego swą niezwykłą doktrynę Skiano.

– ...dlaczego potężne sojusze i Prastare Istoty tak usilnie sprzeciwiają się idei Boga, który kocha każdą indywidualną osobę? Dla którego ważne są nie gatunki czy klany, ale poszczególne jestestwa, świadome i zdolne do współczucia?

Czy to możliwe, że boją się, iż taka idea mogłaby położyć kres Wspomaganiu albo doskonaleniu gatunków?

Nonsens! Wszystko to nadal będzie się działo pod kierownictwem wolnych indywidualów! Suwerennych jestestw wierzących w siebie i w osobiste odkupienie, dzięki któremu każda honorowa istota spotka Stwórcę wszechrzeczy i osiągnie całkowite spełnienie w Punkcie Omega.

Harry słyszał to wszystko już przedtem. Doktryna stanowiła dziwaczne połączenie wielu starożytnych ziemskich wierzeń – często wzajemnie sprzecznych – przekształconych tak, aby przemawiały do obaw dręczących galaktyczne masy w chwili, gdy pewność, do której przywykły, słabła na wszystkich frontach. Pomysłowy dodatek wprowadzony przez Skiano – obsadzenie planety dzikusów w roli umęczonego odkupiciela – wykorzystywał straszliwą sytuację Terry, ale w niczym nie pomagał w ocaleniu jej od oblegających ją gniewnych flot.

Harry mógł uważać kazanie za dziwaczne, ale gdy ujrzał zebranych na podwyższeniu dygnitarzy,

zdumiał się jeszcze bardziej. Siedział wśród nich nie kto inny, jak jego dawny przeciwnik, inspektor portowy. Wysoki hoon pochylał się tak nisko, jak tylko mógł, wyraźnie pragnąc znaleźć się gdzie indziej.

Szympanś zawołał go głośno po imieniu.

– Twaphu-anuph! Czy to naprawdę ty? Postanowiłeś trochę poszerzyć horyzonty, tak? Uznałeś, że pora wreszcie ujrzeć światło?

Hoon wzdrygnął się wyraźnie na jego widok. Rozpaczliwie poruszył elegancko ufarbowanym podgardlem i wskazał bezradnie na młodą hoonkę siedzącą obok.

– Moja obecność w tym miejscu... nie jest dobrowolna. To moja... hr-rm... córka skłoniła mnie do przyjścia tutaj.

Harry z trudem stłumił śmiech. Jeśli hoonowie mieli jakąś sympatyczną cechę, to tę, że straszliwie rozpieszczali swe dzieci. Nadal nie potrafił zrozumieć, jak ten miły atrybut harmonizuje z gatunkiem ponurych, świętoszkowatych, nieustępliwych biurokratów.

Szympanś cieszył się z niezadowolenia Twaphu-anuph, a Skiano kontynuował kazanie.

– Dzisiaj widzimy, jak wielkie potęgi próbują ukryć prawdę, jednocześnie starając się spuścić na błogosławioną Ziemię deszcz zagłady. Dlaczego? Dlatego, że boją się Wielkiego Błędu.

Dawno temu udało się zdławić tak zwaną herezję. Ale prawdę można tylko ukryć, nie zniszczyć.

A teraz obawiają się, że wszystkie rozumne istoty wreszcie się dowiedzą...

Misjonarz o przypominającej dziób statku głowie przerwał na chwilę dla efektu.

– ...że sławetne „Objęcie Pływów” może w rzeczywistości być objęciem kłamstw!

Tłum z pewnością znał już sedno jego przekazu, ale gdy Skiano wypowiedział te słowa, w ogromnej hali zabrzmiał głośny jęk.

To dało Harry’emu szansę, by jeszcze trochę podręczyć biednego urzędnika portowego.

– I co ty na to, staruszkule? – wyszeptał. – Niezliczone pokolenia tyrają jak niewolnicy, nigdy nie mając okazji się zabawić, tylko po to, by wasi odlegli, przemądrzali przodkowie mogli wskoczyć do czarnej dziury w poszukiwaniu rajów. A co, jeśli na drugim końcu osobliwości nie ma nic? Jeśli wszystko to niczemu nie służy?

Przygnębiony Twaphu-anuph skulił się jeszcze bardziej, ale jego podekscytowana córka pochyliła się ku podwyższeniu. Skiano spacerował po nim w tę i w tę, skąpany w blasku reflektorów.

– ...ale istnieje też inny rodzaj zbawienia! Taki, który nie potrzebuje dalekich horyzontów przestrzeni i czasu. Dostępny dla każdego z nas, jeśli tylko otworzymy się...

Córka Twaphu-anuph zwróciła się do swego drugiego towarzysza, młodego, krzepkiego hoon, którego ramię ścisnęła z wyraźną sympatią. Na jej ramieniu przysiadł smukły rousit, gapiący się na czarne, przypominające fretkę stworzenie wylegające się na plecach hoońskiego mężczyzny. To był kolejny przykład niewytłumaczalnej ironii. Zwierzęta z reguły lubiły hoonów, choć rozumne istoty raczej nie podzielały tych uczuć.

Dwoje młodych wyraźnie poczyniło już pierwsze kroki w cyklu tworzenia więzi. Ten widok mógłby być wzruszający, gdyby nie jego nieunikniony rezultat – kolejne pokolenie ponurych ciemności.

Dlaczego hoonowie zapragnęli zobaczyć ten dziwny wiec? To, co się tu głosi, sprzeciwia się wszystkim ich przekonaniom!

Harry podskoczył odruchowo, gdy nagle trąciła go Synthianka.

– Popatrz! – Kiwei Ha’aoulin wyciągnęła rękę. – Czy to może być jedna z Ziemi, których szukasz?

Harry przyjrzał się końcowi jasno oświetlonej sceny. Krążyli po niej pomocnicy Skiano, odziani w powłóczyste niebiesko-złote szaty. Wypatrzył między nimi drobną ludzką sylwetkę spowitą w taki sam strój. Rozkazującymi gestami kierowała ruchami akolitów, wysyłając ich w tłum z tacami.

Harry zamrugał z zaskoczenia.

Rety!

Już sama kąpiel wystarczyła, by całkowicie odmienić wygląd młodej przedterminowej osadniczki. Wspaniały strój posunął sprawę jeszcze dalej. Szympanś zauważył jednak, że jej twarz również się zmieniła. Z policzka i żuchwy zniknęła tkanka bliznowata, ustępując miejsca gładkiej różowej skórze.

To wcale nie Dwer był klientem zakładu naprawy ciała. Powiniennem był się tego domyślić.

Rety z pewnością kręciła się po Kazzkarku tak długo, aż wreszcie znalazła jedyną grupę, dla której była bezcenna. Kult otaczający czcią błękitną planetę dzikusów. Wyglądało nawet na to, że dziewczyna zdołała osiągnąć pewne znaczenie w jego szeregach. Z pewnością potrafiła sobie poradzić w każdej sytuacji.

– Tak oto krąg się zamyka – wyszeptała Kiwei Ha'aoulin. – Wkrótce wszyscy spotkacie się ze sobą. Mogę spokojnie odejść.

Harry wyciągnął rękę, chcąc zatrzymać Synthiankę... ale przez audytorium nagle przebiegła kolejna fala. Tłum rozstępował się jak Morze Czerwone. Z ciżby istot, które pośpiesznie schodziły, spełzały, sfruwały albo zsuwały się z drogi, wyłoniła się niewysoka sylwetka w brunatnym stroju o nieco zamazanych zarysach. Dwer Koolhan zdjął kaptur stroju domowej roboty, a jego rozczochrana czupryna zdawała się lśnić w kontraście z ubraniem, podobnie jak ciemne oczy.

Najwyraźniej wydał część z tych siedemdziesięciu pięciu pól jednostek – pomyślał Harry. Młodzieniec trzymał w ręce małą elektroniczną tabliczkę, poruszając nią jak tubylcy z Horsta różdżką używaną do poszukiwań wody. Przez ramię przerzucił sobie prowizoryczne ustrojstwo złożone z wygiętych metalowych prętów oraz elastycznych taśm. Żaden Galakt nie rozpoznałby w nim broni, ale Harry wiedział, że to groźna ręczna katapulta, na ciasnych ulicach bardziej użyteczna niż łuk i strzały. U pasa człowiek miał długi nóż schowany w pochwie.

Każdy, kto nie był Ziemianinem, pomyślałby, że Dwer jest całkowicie spokojny i nie zwraca uwagi na otaczający go tłum. Harry jednak potrafił odczytać napięcie w zarysie ramion kierowanego przez żywy korytarz ku rampie dla dygnitarzy człowieka. Kiwei przed chwilą próbowała wykraść się ukradkiem, ale teraz ciekawość wzięła w niej górę nad ostrożnością i Synthianka postanowiła zaczekać na młodego przedterminowego osadnika.

– Proszę, proszę – powtarzała raz po raz, nerwowo oblizując wąsiki.

Dwer pozdrowił Synthiankę skinieniem głowy. Ku jej widocznej uldze najwyraźniej nie miał żalu o to, że go oszukała.

Podchodząc do Harry'ego, wyłączył małe urządzenie wyszukujące.

– Dobrze, że uruchomiłeś osobisty nadajnik, kapitanie Harms. Zapłaciłem za kilka lekcji i nauczyłem się, jak wykryć ten sygnał. W domu używamy do tego celu pszczoł wężycielek.

Harry wzruszył ramionami. Nie liczył na to, że się uda. Najwyraźniej w ojczyźnie przedterminowych osadników uczono ich zaradności.

– Cieszę się, że nic się wam obojgu nie stało – mruknął, wskazując głową na Rety.

Dwer omiół spojrzeniem scenę. Dziewczyna stała na niej z papugą Skiano na ramieniu, prowadząc audytorium w dziwnie wciągającym psalmie, łączącym co najmniej sześć różnych galaktycznych dialektów z powolnym, dźwięcznym anglikiem. Żrenice Dwera rozszerzyły się nagle,

ale jego twarz nic nie zdradzała.

– Powiniennem być się domyślić – rzekł, potrząsając głową. – Masz pomysł, jak ją stamtąd wydostać, nie powodując zamieszek wśród tych...

Młodzieniec przerwał. Szczęka mu opadła... ale błyskawicznie zamknął usta.

– Nie wierzę w to – wyszeptał. – Przepraszam na chwilę, kapitanie Harms – dodał z wyrazem nieubłaganej determinacji na twarzy. – Jest coś, co muszę natychmiast zrobić.

Harry zamrugał.

– Ale... co...

Dwer ominął go, szybko i bezgłośnie ściągnając wierzchnią tunikę. Zręcznymi, błyskawicznymi ruchami związał jej rękawy i kaptur, tworząc prowizoryczny worek, który następnie wziął w lewą rękę. Potem zaczął się skradać tuż za pierwszym rzędem dygnitarzy, ignorując oburzone chrząknięcia tych, którzy siedzieli w drugim. Miarowy śpiew tłumu zagłuszał wszelkie skargi. Dwer przeszedł za Twaphu-anuph i jego córką, kierując się w stronę trzeciego hoonu, i nagle fretkopodobne zwierzę coś wreszcie wyczuło. Choć spoglądało w drugą stronę, kolce na jego karku uniosły się nagle, wysuwając się nad gęste futro. Stworzenie zaczęło się odwracać. W jego oczach pojawił się błysk zdumienia, świadczący, że poznaje młodzieńca. W tej samej chwili Dwer skoczył.

Niech mnie ogolą – pomyślał Harry, gapiąc się na stworzenie usiłujące się wyrwać z mocnego uścisku młodego człowieka. Syczało wściekle i próbowało kąsać, aż wreszcie zniknęło w improwizowanym worku. Nawet wtedy tkanina nie przestała gwałtownie się poruszać. Więzień nie zaprzestawał prób ucieczki.

To tytlal!

Harry od początku miał wrażenie, że skądś zna gibkie stworzenie, ale rozmiary się nie zgadzały.

Miniaturowy tytlal... siedzący na ramieniu hoonu!

Nic dziwnego, że miał trudności z rozpoznaniem stworzenia. Tytlale z reguły ważyły prawie tyle co szympany. Nie były żadnymi zwierzętami, lecz inteligentnymi, obdarzonymi zdolnością mowy gwiazdnymi podróżnikami, świetnie znanymi i podziwianymi na Ziemi. Co więcej, podobnie jak ich opiekunowie, Tymbrimczycy, tytlale serdecznie nie znoszą hoonów!

Harry'emu nasuwały się możliwe wyjaśnienia tego faktu. Czy jest prawdopodobne, że młodzieniec próbował uratować tytlalskie dziecko wzięte do niewoli?

Ta teoria upadła, gdy trzeci hoon odwrócił się, zobaczył Dwera i wydał z siebie radosny, zaskoczony burkot. Worek nie przestawał podskakiwać, a gapie mogli ujrzeć widok bezprecedensowy w Pięciu Galaktykach – człowieka i hoonu ściskających się radośnie jak kuzyni z tego samego miasteczka, którzy od dawna się nie widzieli.

Znaleźli miejsce, gdzie mogli porozmawiać, pod wspartym na kratownicy podium dla dygnitarzy. Harry ze zdumieniem usłyszał, że wysoki obcy przyjaciel Dwera świetnie mówi w kolokwialnym anglicu, choć jego akcent brzmi archaicznie.

Co więcej, „Alvin” promieniował entuzjazmem i radością życia, które w jego przypadku wydawały się zupełnie naturalne. Harry nigdy dotąd nie widział tak zachowującego się hoonu.

– Hr-rr. Kiedy cię ostatnio widziałem, Dwer, wisiałeś pod balonem na gorące powietrze, gotowy w pojedynkę zaatakować jophurski gwiazdolot. Jak tu trafiłeś?

– To długa opowieść, Alvin. Nie mielibyśmy szans, gdyby nie kapitan Harms. A co z tobą? Czy to znaczy, że „Str...

Dwer przerwał nagle i potrząsnął głową, unieważniając to, co chciał powiedzieć.

– Czy to znaczy, że nasi przyjaciele zdołali dotrzeć do punktu transferowego?

Harry pierwszy raz w życiu widział, jak hoon wzrusza ramionami. Gest wyglądał zaskakująco wdzięcznie i ekspresyjnie, jak na tak drętwy gatunek.

– Ehe, zdołali. W pewnym sensie. Można by tak powiedzieć.

– Hoon westchnął, poruszając wytatuowanym workiem podgardlanym. – Na razie powiedzmy, że to również długa opowieść.

– Znam tu bardzo miły lokal, gdzie dają darmowe posiłki i napoje tym, którzy mają do opowiedzenia ciekawe historie, choćby nawet długie – zasugerowała Kiwei. – Może pójdziemy...

Dwer zignorował Synthiankę.

– A twoi koledzy? Ur-romn? Huck? Koniuszek? Tyug?

– Wszyscy czują się dobrze, podobnie jak przyjaciel, który nas tu dostarczył. Jak pewnie rozumiesz, niektórym z nas łatwiej jest się pokazywać publicznie niż innym.

Dwer pokiwał głową. Nie ulegało wątpliwości, że między rozmówcami krążyły liczne ukryte znaczenia.

Chwileczkę – pomyślał Harry. – Jeśli Dwer i Rety są przedterminowymi osadnikami z jakiejś ukrytej kolonii i znają tego hoon, w takim razie on również...

Myśl się urwała, gdy Alvin odpowiedział na jakąś uwagę Dwera jowialnym burkotem niesamowicie przypominającym śmiech.

– A więc w końcu udało ci się dorwać Skarpetkę.

Młody człowiek uniósł worek, który wreszcie przestał się poruszać.

– Ehe. I nie wypuszczę go, dopóki nie odpowie mi na parę pytań.

Alvin znowu się roześmiał. Twaphu-anuph zadrżał, wyraźnie zbity z tropu, ale córka biurokraty sprawiała wrażenie zachwyconej tym dźwiękiem. Ona również okazywała nietypowy dla hoonów entuzjizm. Przedstawiła się jako Dor-hinuf i zaskoczyła obu Ziemiaków, proponując, że uściśnie im dłonie.

– Od chwili przybycia tutaj Alvin powiadał mi o waszym cudownym świecie, Shangri-la – oznajmiła Dwerowi. – Tak wiele gatunków żyje na nim w pokoju, a hoonowie nauczyli się żeglować!

Jej zaraźliwe podniecenie wydawało się równie niezwykle jak dziwaczny obraz, który nagle wypełnił umysł Harry'ego – hoonowie pływający po wzburzonym morzu w wysmukłych łodziach.

Shangri-la? – pomyślał szympan. – Oczywiście, ukrył prawdziwą nazwę planety przedterminowych osadników. Ale dlaczego wybrał akurat tę? Odniesienie do terrańskiej literatury? A jeśli już o tym mowa, jak to się stało, że hoon ma na imię Alvin?

Sądząc po dobiegających z tyłu dźwiękach, heretyckie zgromadzenie wreszcie dobiegało końca. Harry zwrócił na ten fakt uwagę pozostałych.

– Tym razem zgadzam się z Kiwei. Powinniśmy się udać w jakieś odosobnione miejsce i porozmawiać, nim będę musiał wrócić do budynku Instytutu. Ale najpierw zabierzmy Rety...

Przerwał, zdając sobie sprawę, że coś się zmieniło. Wyczuł przez podeszwy stóp kolejne drżenie, jedno z tych, które od kilku jądur nawiedzały sporadycznie Kazzkark. Tym razem jednak dominował w nim nowy rytm.

Jego intensywność rosła.

Pozostali również to wyczuli. Hoonowie szeroko rozstawili kudłate nogi, a z worka, w którym Dwer trzymał tytlala, dobiegło ciche skomlenie. Trybuna zakołysała się niepokojąco, z kamiennego sufitu – jedynej bariery dzielącej znajdujące się w środku istoty od próżni na zewnątrz – posypały się zaś tumany kurzu.

Jest coraz gorzej – pomyślał Harry.

Gdy w pobliskiej ścianie pojawiła się powiększająca się szybko szczelina, ponownie zmienił

ocenę sytuacji.

Zdecydowanie gorzej.

KAA

– Pilotcie, obudź się! Szybko! Jesteś potrzebny!

Coś szarpnęło brutalnie Kaa, jakby był złapaną na haczyk rybą, bezlitośnie wyciąganą z morza na lince. Słowa przebiły się do jego snu, rozpraszając sonarową wizję Peepoe.

Płynęła obok niego. Właściwie nie tyle ona, co kształt uformowany z ech i cieni wiązki sonaru, odbijającej się od ścian jego kabiny na podobieństwo wdzięcznej sylwetki radośnie przesywającej fale, tak blisko, że niemalże mógłby jej dotknąć. Mknęli przez łagodne jijańskie morze, nadzy i wolni.

Delfiny śpią tylko jedną półkulą mózgu naraz. Mimo to ów epizod miał pełną moc i wyrazistość. Snu Wieloryba, otoczył go obecnością ukochanej oraz planety, na której ongiś planowali spędzić razem życie.

Kiedy odrażający głos rozproszył szczęśliwą iluzję, Kaa znów poczuł ból utraty Peepoe. Ciśnięto go z powrotem do okrutnego metalowego czyścica, odległego od niej o megaparseki.

Sfrustrowany delfin uderzył ogonem o pływające łóżko wędrownika, po czym skierował zaspane prawe oko na niezwykłą sylwetkę Huck, istoty, której fizyczna postać wyglądała jak nieprawdopodobne połączenie elementów organicznych z mechanicznymi. Młoda g'Keczka, tocząca się na dwóch chybotliwych kołach, poruszała wszystkimi czterema szypułkami w szalonym podnieceniu, trajkocząc szybko o czymś, co straszliwie ją podenerwowało.

Budzące się neodelfiny powoli odzyskują zdolność rozumienia angielskich fraz, zwłaszcza po zanurzeniu w Śnie Wieloryba, ale tym razem gniew Kaa przedarł się przez zasłonę, skłaniając go do gwałtownej odpowiedzi.

– Powiedziałem, żeby mnie nie budzić... chyba że sytuacja jest alarmowa!

Wreszcie dotarły do niego słowa rozgorączkowanej Huck.

– Bo taka jest! – zawodziła g'Keczka. – P... przed chwilą się obudziłam i zobaczyłam, że Koniuszek Szczypiec...

– Tak? – zapytał Kaa, wysyłając przez neurołącze polecenie uruchomienia wędrownika. – Co z nim?

g'Keczka wytaczała się już szybko z małej kabiny. Dwoje oczu kierowało przed siebie, a dwoje do tyłu, na pilota.

– Chodź szybko! Koniuszek umiera!

Mały czerwony qheuen spoczywał nieruchomo obok śluzy, rozpościerając symetrycznie wszystkie pięć nóg niczym chora rozgwiazda. Niektóre szczypce drżały jeszcze i strzelały odruchowo, ale poza tym nie było oznak ruchu. Kaa podprowadził wędrownika bliżej, kierując przednią kamerę na leżącego, aby przyrzeć mu się uważniej, i zauważył, że spod szerokiego chitynowego pancerza skapują strużki nieprzyjemnie wyglądającej, przypominającej wysięk substancji.

– C... co się stało? – zapytał zaniepokojony.

– Skąd mam wiedzieć? – burknęła Huck. – Już ci mówiłam, że siedziałam w tej szafce, którą wyznaczyłeś mi jako kryjówkę, i próbowałam zasnąć, bo nie pozwalasz mi opuszczać statku. Kiedy wyszłam, już tu leżał!

– Ale... n... nie wiesz, co mu się stało? Nie potrafisz mu pomóc?

– Hej, jestem g'Keczką, ale to jeszcze nie znaczy, że muszę być lekarką, tak samo, jak nie każdy delfin jest pilotem. Musimy wezwać pomoc!

Kaa nasłuchiwał nierównego oddechu chorego qheuena. Tajemnicza substancja sączyła się ze wszystkich pięciu pach. Nieszczęsna istota z pewnością była bliska śmierci.

– Nie... – Potrzęsnał na boki wielką szarą głową. – Nie możemy tego zrobić.

– Co? – Huck zakołysała się do tyłu tak gwałtownie, że jej koła odbiły się od podłogi. Zakręciła nimi ze świstem szprych, wbijając w Kaa spojrzenie wszystkich oczu. – Nie jesteśmy już w głuszy, ty rybi łbie. Dotarliśmy do cywilizacji! Tam, za śluzą, mają najróżniejsze rzeczy, znane Jijanom tylko z ksiązek, jak na przykład szpitale i automedy. Mogą go uratować!

Kaa rozumiał gniew i oburzenie młodej g'Keczki. Jej żarliwe oddanie dla przyjaciela. Współczuł jej, ale mógł udzielić tylko jednej odpowiedzi.

– Nie możemy przyciągać do siebie uwagi. Wiesz o tym. Jeśli ktoś będzie podejrzewał, że na pokładzie tego statku może być delfin, pokroją go na kawałki, żeby tylko się do mnie dostać. To samo dotyczy g'Keków. Musimy poczekać na powrót Alvina i Ur-ronn. Oni mogą się poruszać po stacji, nie wzbudzając sensacji. Albo jeszcze lepiej Tyuga. Alchemik mógłby...

– To potrwa całe midury! Wiesz, że Alvin znalazł sobie gwiazdną hoonkę, Tyug szpieguje Jophurów, a Ur-ronn za każdym razem gdzieś znika, żeby pogadać z inżynierami!

Rzecz jasna, na tym właśnie polegał plan. Ta trójka miała grać rolę szpiegów, poznać sytuację panującą w Bazie Kazzkark i w całych Pięciu Galaktykach. Gdyby okazało się to możliwe, mieli też nawiązać kontakt z którymś z nielicznych sojuszników Ziemi albo znaleźć jakiś sposób na przedostanie się do Drugiej Galaktyki. Oprócz przekazania Radzie Terrageńskiej wiadomości od Gillian Baskin zamierzali też dowiedzieć się czegoś o swoich pobratymcach i być może znaleźć jakieś źródło utrzymania dla siebie i swych przyjaciół.

Huck miała rację. Alvin i Ur-ronn mogli się zjawić dopiero za wiele godzin. Koniuszek nie wytrzyma tak długo.

– Przykro mi, ale nie możemy zniszczyć wszystkiego w zamian za niewielką szansę – zaczął Kaa.

– Nie obchodzi mnie, czy jest niewielka! I nie dbam o ryzyko! To nie ma znaczenia!

Rozwścieczona g'Keczka kołysała szypułkami i splatała je ze sobą. Pomimo jej przekleństw Kaa wiedział, że musi być stanowczy, bardziej nawet ze względu na nią niż na siebie. Wszystkim g'Kekom na Jijo groziła zagłada, celowa eksterminacja przez mściwych Jophurów, dokonujących starożytnej wendety. Ta mała g'Keczka mogła być jedyną nadzieją całego gatunku. Za pomocą tuby z nasieniem przechowywanej w lodówce zwiadowczego stateczku mogła go wskrzesić w jakiejś bezpiecznej kryjówce ochranianej przez przyjaźnie nastawionych strażników.

Choć ta rola raczej nie pociągała żadnej przygód Huck, rozumiała ona jej znaczenie. Ale teraz postanowiła odrzucić to wszystko w imię przyjaźni.

Osobistej lojalności. Miłości. Te motywy ponoć powinny mieć pierwszeństwo nad wszystkimi innymi – myślał przygnębiony Kaa, słuchając, jak młoda g'Keczka wymyśla mu, domagając się otwarcia drzwi. – Wychowała się na ziemskich powieściach i reaguje tak samo jak ja. Tylko ktoś do gruntu zły postawiłby twardy pragmatyzm wyżej niż osobiste oddanie, porzuciłby kogoś bliskiego na pewną śmierć... albo coś jeszcze gorszego... nawet jeśli logika mówi, że to „słuszne”.

Kaa czynił sobie wyrzuty w myślach, a Huck robiła to samo na głos. Małą sterownię wypełniało echo jej wrzasków.

Pilot jednak nie ustąpił.

Tak czy inaczej, wkrótce sprawa się rozstrzygnęła. Koniuszek Szczypiec zmarł po kilku durach.

Huck brakowało siły mięśni i woli, by pozbyć się zwłok. Dlatego to zadanie przypadło Kaa.

Podźwignął masywnego qheuena w mechanicznych ramionach i zaniósł go do recyklera. g'Keczka odwróciła troje oczu od krwawej sceny, ale czwarte gapiło się na nią, na drżącej szypułce, jak sparaliżowane szokiem.

Jak to mogło się stać? – gryzł się Kaa, kierując wędrownikiem przez neurołącze, jakby maszyna była przedłużeniem jego ciała. – Czy ktoś zaatakował statek? A może to była ta choroba, o której słyszeliśmy... ta sama, która zabiła tak wielu qheuenów na Jijo?

Jeśli tak, gdzie Koniuszek się nią zaraził?

Wtem Huck zakrzyknęła głośno. Jej zdumione gwizdy przyciągnęły uwagę Kaa. Delfin odwrócił wędrownik i ruszył ku niej, porzucając makabryczne zadanie. Spojrzał na wskazane przez nią zakrwawione miejsce, gdzie przed chwilą leżał Koniuszek.

Oboje dostrzegli tam wyrytą głęboko w metalowym pokładzie podobiznę, częściowo zamaskowaną przez straszliwe płyny.

– Na... na... – wyjąkała Huck. – Na pewno wygryzł go, kiedy leżał tu umierający! Biedny Koniuszek nie mógł mówić ani chodzić, ale nadal zdołał poruszać ustami, którymi dotykał podłogi!

Kaa gapił się na to, zdumiony tnącą siłą qheueńskich szczęk, a także znakomitym, wręcz artystycznym wykonaniem ostatniego dzieła w życiu nieszczęsnego stworzenia.

To była twarz, w przybliżeniu humanoidalna, lecz również raczej drapieżna. Szczupła i wygłodniała, o ledwie zaznaczonych policzkach i małych, zaciśniętych złowrogo ustach. Kaa rozpoznał ją natychmiast.

– To Rothen!

Gatunek działających ukradkiem przestępców i drobnych oszustów, którzy zdołali powołać wśród Ziemiaków kult uważający ich za opiekunów całego Ziemijskiego Klanu i bogów zasługujących na cześć Terran.

Nagle sobie przypomniał, że na pokładzie „Streakera” przebywała podobna istota! Więzień, sprowadzony potajemnie na pokład podczas pobytu w Wuphonie. Rotheński władca imieniem Ro-kenn, organizator wielu przestępstw popełnionych przeciwko Sześciu Gatunkom na Jijo.

– Na pewno zakradł się na pokład naszego statku! – zawołała Huck. – Ukrywał się, dopóki nie przybyliśmy do portu, a potem zamordował biednego Koniuszka, żeby się dostać do drzwi!

Kaa gorączkowo rozważał przerażające implikacje tych faktów. Bez względu na to, jak wielkimi możliwościami mógł dysponować, Ro-kenn z pewnością nie zdołałby uciec samodzielnie. Musiał mieć pomocnika na pokładzie „Streakera”. Co więcej, jeśli Rothen znalazł się w Kazzkarku, wszystkie ich plany były zagrożone.

Zachowaj spokój – powtarzał sobie. – Ro-kenn nie może się zwrócić do władz. Zbrodnie, które popełnił na Jijo, są gorsze od wszystkiego, czego dopuścili się przedterminowi osadnicy.

Tak, ale może się natychmiast udać do jednego z wielkich fanatycznych klanów albo sojuszy, aby podjąć próbę sprzedania im informacji o „Streakerze” i Jijo. A z pewnością wyśle wiadomość do innych Rothenów.

– Lepiej spróbujmy się skontaktować z Alvinem i Ur-ronn – rzekł g'Keczce. Tym razem Huck sprawiała wrażenie skłonnej się z nim zgodzić.

To jednak nie było łatwe. Wszystkie dostępne linie komunikacyjne były zapchane intensywnym ruchem. A sytuacja pogorszyła się jeszcze, gdy nadeszła kolejna fala podprzestrzennych zaburzeń, od której planetoida zatrzęsała się i zagrzechotała, wypełniona echemi jak wielki, pusty w środku dzwon.

Z DZIENNIKA GILLIAN BASKIN

Wszechświat jest pełen tragedii, ale dopiero teraz, gdy najwyraźniej się rozpada, dostrzegam zdumiewające, pełne ironii piękno kosmicznego planu.

Podobnie jak we Fraktalnym Świecie nagle ze wszystkich stron otoczyły nas zniszczenia o wiele rzędów wielkości większe niż wszystko, co do tej pory byłam w stanie sobie wyobrazić.

Daleko pod nami, w pobliżu gęstego jądra prastarej, masywnej gwiazdy, krążą podobne do igieł habitaty – każdy z nich o długości większej niż średnica Księżyca – wykonane z supermocnego, boskiego materiału i zdolne wytrzymać potężne naprężenia pływowe. Ale teraz te domostwa transcendentnych istot wykazują oznaki terminalnego przeciążenia. Zewnętrzna powłoka spada z nich z drzeniem jak krucha wylinka, gdy przez tę część Czwartej Galaktyki przechodzą kolejne fale przestrzennych konwulsji.

Sara i Niss zgodnie twierdzą, że to objawy rozdarcia na fantastyczną skalę, większą niż wszystko, co widziano od ćwierci miliarda lat.

Jeszcze bardziej ucierpiała ogromna armada „statków kandydatów” towarzysząca „Streakerowi”, która opada po wielu krzyżujących się ze sobą spiralach ku owym monolitom. To, co jeszcze niedawno było majestatycznym orszakiem, triumfalnym i pełnym nadziei połączeniem dwóch wielkich kategorii życia we wspaniałej, chwalebnej unii, szybko pogrążyło się w chaosie i pożodze.

Ogromne arki i globule były tak ciasno upakowane, że każda kolejna fala hipergeometrycznych zaburzeń wpycha jeden szereg na drugi. Kolidy powodują oślepiające eksplozje, pochłaniające niezliczone miliony ofiar i spychające z kursu kolejne statki.

Pomimo tego straszliwego trendu tylko kilka statków dołączyło do „Streakera” w próbach ucieczki, wspierając się z wysiłkiem przez labirynt do otwartej przestrzeni, gdzie można znaleźć względne bezpieczeństwo. Wygląda na to, że od uzależnienia od pływów nie można się tak łatwo uwolnić, gdy już zakosztuje się jego głębszych przyjemności. Jak zwierzęta w rui, niepowstrzymanie przyciągane do terenów rozplodowych, nie zmieniają kursu, mimo że wiedzą, iż płoną, lecz mkną coraz szybciej w głąb leja, zmierzając ku Objęciu, którego tak bardzo pragną.

Czy to właśnie jest ostateczne przeznaczenie inteligentnego życia? Po wielowiekowych wysiłkach zmierzających do rozwoju mózgu, nauczania się kontemplacji, mądrości i tak dalej, wszystkie gatunki miałyby ulegać niewysłowionemu instynktowi? Tęsknocie tak potężnej, że muszą gnać na oślep przed siebie, nawet gdy cel rozpada się na ich oczach?

Wreszcie, po wielu latach, udało mi się zrozumieć powody prześladowań, które spotkały członków załogi „Streakera”. A także Ziemię. Odkryta przez nas Flota Duchów naprawdę jest wyzwaniem, szokującą herezją wymierzoną w samo serce galaktycznych wierzeń.

Większość tlenodysznych – a także wodorodysznych – utrzymuje, że prawdziwa transcendencja jest celem tych, którzy łączą się ze sobą w Objęciu Pływów. Po jego drugiej stronie musi coś być... tak przynajmniej powtarzają sobie od niezliczonych wieków. W przeciwnym razie po co we wszechświecie powstałby tak elegancki system doskonalenia, skupiania i oczyszczania tego, co najlepsze w obu kategoriach życia?

Z pewnością to właśnie jest Wielka Ścieżka, o której mówili Przodkowie, gdy odchodzili przed dwoma miliardami lat.

Ach, ale co z Flotą Duchów, z jej niepokojącymi symbolami i nęcącymi sugestiami starożytnych prawd?

Gdzie ją znaleźliśmy?

W „płytkiej” gromadzie kulistej, pełnej słabo świecących gwiazd i niemal całkowicie pozbawionej metali, płynącej samotnie ku granicom Drugiej Galaktyki. W miejscu, gdzie czasoprzestrzeń jest tak płaska, że nawet młode gatunki czują słabą, nerwową repulsję. Podobne okolice rzadko się odwiedza, ponieważ nie ma tu nic ciekawego dla żadnej z kategorii życia, nawet maszyn.

(Ale w takim przypadku jaka wskazówka... jakie przeczucie... przyciągnęło tam Creideikiego? Czy wytyczył kurs na Płytkę Gromadę dlatego, że Wielka Biblioteka wyraźnie ją lekceważyła i artykuł o niej był równie pobieżny jak notatka dotycząca Ziemi? A może za jego decyzją kryło się coś więcej? Wtedy wydawała się ona bardzo dziwna).

Teraz wreszcie rozumiem, dlaczego nasi wrogowie – Tandu, Soranie, Jophurzy i inni – zareagowali tak gwałtownie, gdy „Streaker” przekazał pierwsze obrazy Floty Duchów... a także Herbiego i całej reszty.

Jeśli to naprawdę są relikty wielkich Przodków, szczelnie zamknięte w chronionych polami siłowymi statkach przez niezliczone eony, co mówi nam to na temat Objęcia Pływów? Czy gatunek założycieli – najstarszy i najmądrzejszy ze wszystkich – desperacko próbował umknąć przed tym wabikiem? Czy Przodkowie unikali głębokich miejsc? A jeśli tak, to czy mogli znać straszliwą prawdę na ich temat?

Być może uważali Objęcie za coś zupełnie innego. Nie za drogę ku transcendencji, lecz za sposób usuwania odpadów. System recyklingu, podobny do Wielkiego Śmietnika na Jijo.

Metodę używaną przez naturę do usuwania starego, żeby zrobić miejsce dla nowego.

Stojący w swej szklanej gablocie Herbie uśmiecha się do mnie zza biurka. Mumia z niesamowicie humanoidalnym grymasem na twarzy jest moim najbliższym towarzyszem, odkąd opuścił nas Tom. Czasami łapię się na tym, że przemawiam do niej na głos.

I co, staruszkule? Czy na tym właśnie polega wielki żart? Czy wreszcie zdołałam się zorientować, dlaczego ciągle się uśmiechasz?

A może pod spodem kryją się kolejne warstwy?

Dalsze straszliwe niespodzianki.

Trudno będzie wydostać się z tej pułapki bez dwóch naszych najlepszych pilotów. Rój ark i globul ciągnie się nad nami bez widocznego końca, wychodząc daleko poza granice wszelkich układów planetarnych. Nawet masa ich wszystkich sięga skali makroplanetarnej. Przypominają dysk akrecyjny otaczający nowo narodzoną gwiazdę.

Skąd się wzięła taka masa „kandydatów”?

Czy to możliwe, że w innych miejscach sytuacja wygląda tak samo? Jeśli choć drobny ułamek starych białych karłów jest celem podobnych konwergencji, znaczyłoby to, że są miliony takich gwiazd, otoczonych imigrantami pragnącymi dostać się do rajów przez lej pełen kolizji i ognia.

Z praktycznego punktu widzenia znaczy to, że „Streaker” nie może próbować żadnych skoków czasoprzestrzennych, dopóki nie oddalimy się od wszystkich tych masywnych statków i zaburzeń wywołanych przez ich potężne silniki.

Jeśli nawet uda się nam przedostać w otwartą przestrzeń, nadal podąża za nami jophurski okręt. Wykrywamy go od czasu do czasu. Śledzi nas jak jakiś nieustępliwy drapieżnik, okaleczony i

konający, który nie ma już żadnych powodów do życia, poza dokończeniem polowania. Jeśli wydostaniemy się z roju, pozostanie nam jeszcze to niebezpieczeństwo.

Gdybyśmy tylko mogli się pozbyć tej powłoki i przywrócić „Streakerowi” dawną manewrowość!

Hannes pracuje nad nowym pomysłem, pomaga mu Emerson D’Anite. Ma to coś wspólnego z wielkim laserem komunikacyjnym.

Biedny Emerson próbuje nam coś wytłumaczyć. Nuci melodie i rysuje obrazki, ale rozumiemy z tego tylko tyle, że jakiś czas temu udało mu się odeprzeć kolejny memetyczny atak na „Streakera” i że zabił przy tym zdrajczynię, Tsh’t.

Nie potrafię nic poradzić na to, że żal mi przyjaciółki. Słodkiej towarzyszki, która stała u mojego boku w ciągu wielu kryzysów. Biedna Tsh’t myślała, że postępuje słusznie, szukając pomocy i wsparcia u swych bogów.

A teraz kolejne widmo podąża za mną przez noc, pływając w moich niespokojnych snach niczym morświn.

Najważniejsza wiadomość brzmi tak, że Nissowi udało się wreszcie osiągnąć przełom, przeniknąć do tego, co służy Transcendentom jako sieć łączności.

Jak można się było spodziewać, jest to gęsty, skomplikowany system, przerastający galaktyczną technologię w takim samym stopniu, w jakim ręczny komputer przewyższa liczydło. Przez długi czas był dla nas niewidzialny, ponieważ tylko jego drobne części pozostające na obrzeżu korzystają z klasycznej elektroniki albo fotoniki. Wygląda na to, że większość opiera się na wykorzystaniu kwantowych komputerów na skalę tak ogromną, że z pewnością konieczne są wysoce skondensowane pola grawitacyjne.

– Tutaj takie pola nie są dostępne – zauważył Niss. – Nawet w igłowych habitatach, krążących tuż nad gęstą gwiazdą, potencjał jest o wiele rzędów wielkości za niski.

Z pewnością dotykamy brzegów czegoś znacznie większego. Czegoś, czego ośrodek znajduje się daleko stąd.

Nasunęła się nam myśl, że to może być nasza szansa. Nadzieja nawiązania kontaktu z „wyższymi władzami”, co nakazała nam uczynić Rada Terrageńska. Stworzenia, które zdradziły nas we Fraktalnym Świecie – tak zwane Prastare Istoty – w porównaniu z jestestwami korzystającymi z tej sieci są jak niemowlęta. Wszystkie znaki wskazują, że muszą one stanowić szczyt osiągnięć życia.

Czuję jednak opory przed przekazaniem im danych z Płytkiej Gromady. Rozczarowaliśmy się już bardzo wiele razy. Niewykluczone, że Transcendentów również dręczy strach przed tym, że Objęcie Pływów może się okazać śmiertelną pułapką.

Jeśli nasunęła im się myśl o zemście, będziemy równie bezsilni jak chomik w starciu z czołgiem klasy „Bolo”.

– Najpierw zadajmy proste pytania – zasugerowałam. – Ktoś ma jakieś sugestie?

– Zapytaj ich o Buyurów – wygarnęła Sara Koolhan. – Czy są z nimi na dole? Czy zostali Transcendentami?

Gatunek, który jako ostatni dzierżawił Jijo, stał się od niedawna jej obsesją. Ta rasa genetycznych manipulatorów najwyraźniej z góry wiedziała o tym, że ich świat najadą przedterminowi osadnicy i że nadchodzi Czas Zmian.

– Nawet tak proste zapytanie trudno będzie przetłumaczyć. Może się też okazać niemożliwe wprowadzenie go do macierzy tak, by ktokolwiek je zauważył i raczył odpowiedzieć – ostrzegł Niss.

– Niemniej jednak spróbuję.

Oczywiście ryzykujemy, że przyciągniemy w ten sposób uwagę jeszcze potężniejszych wrogów. Ale nasze szanse i tak nie wyglądają za dobrze, więc chyba warto spróbować.

Tymczasem nasz delfini astronom, Zub'daki, przekazał nam kolejne złe wieści o roju zbliżających się kandydatów.

Nic go nie obchodzą hiperprzestrzenne zaburzenia niszczące tkankę rzeczywistości. To jest dziedzina Sary. Zub'dakiego interesuje sam biały karzeł oraz wielka ilość materii zbliżająca się do niego niczym śmieci spływające ze zlewu.

– *Co sssię stanie, jeśli większość ark nie trafi w cel?* – zapytał.

– *Jeśli nie ssspotkają się z igłowymi bramami? Jeśli igiel już tam nie będzie i nie będzie miał kto ich przechwycić?*

Obawiam się, że moja pierwsza odpowiedź zabrzmiała raczej brutalnie. Zapytałam, co to nas obchodzi, jeśli ogarnięte paniką stado olbrzymów wpadnie do grobu, który samo sobie wykopało? Jesteśmy zaledwie mrówkami i naszym obowiązkiem jest ucieczka. Przetrwanie.

Niemniej pójdę wysłuchać, co ma do powiedzenia.

Co mi zaszkodzi jedno zmartwienie więcej? Już dawno przestałam je liczyć.

LARK

Ich ponowne spotkanie było dziwaczne i radosne, mogło też budzić niepokój.

Lark od dawna marzył o odzyskaniu kochanki, a teraz spoglądał na nią nad przepaścią szerszą niż kilka dzielących ich od siebie metrów.

Unosiła się w kluchowatym gulaszu, gęstym roju wijących się, pulsujących obiektów poruszających się ospale za ogromną, przezroczystą błoną. Rozdęta masa wypełniała większą część wielkiej komory i przedostawała się przez kilka włazów do innych części statku.

Oprócz ludzkiej sylwetki Ling Lark zauważył też co najmniej jedną wijącą się larwę qheuena, a także trochę zwierząt z Jijo i z innych światów. Poznawał również mnóstwo traeckich pierścieni oraz niezliczone zielone, rozgałęziające się twory, które z pewnością były kiedyś roślinami.

W tej tętniącej życiem mieszance krążyły formy przypominające ameby albo galaretowate, kołyszące się balony. Choć różniły się kolorem i wyglądem od Zanga, którego nosił na sobie jak ubranie, nie ulegało wątpliwości, że są jego kuzynami.

Mimo rodzinnego podobieństwa pasażer Larka gwałtownie zareagował na widok „kuzynów”, próbując skłonić go do ucieczki. Mężczyzna był jednak nieugięty. Zmuszał zeszywniałe nogi do ruchu, zmierzając w stronę Ling.

Jej nagą postać spowijały rozmaite pulsujące stworzenia.

Symbionty – pomyślał Lark. Niektóre z nich zasłaniały usta i nos kobiety, inne zaś wnikały w ciało, łącząc się z krwiobiegami. Przed kilkoma tygodniami na taki widok przeszłyby go zimny dreszcz, teraz wszystko to wydawało mu się równie znajome jak oddychanie. Po prostu bardziej rozbudowana wersja więzi łączącej go z jego Zangiem.

Podszedł bliżej i spróbował spojrzeć Ling w oczy. Czy ta ogromna komórka wchłonęła ją jako organelę służącą jakiemuś prostemu biochemicznemu celowi, czy też kobieta zachowała swą esencję?

Pasażer Larka opuścił nibynóżkę nad jego lewe oko, tworząc wakuolę w polu widzenia mężczyzny. W tej niewielkiej przestrzeni setki maleńkich „delegatów” pączkowały i wirowały, naśladując rozmaite kształty mające zasugerować Larkowi, że powinien natychmiast stąd zmiatać!

– Och, zamknij się, ty tchórzu! – warknął z niesmakiem mężczyzna. – Na Jijo nauczyliśmy się, że można się zaprzyjaźnić z dawnymi wrogami. A poza tym, czy masz teraz coś lepszego do roboty?

Sens jego słów dotarł jakoś do Zanga, który wycofał wypustkę i wchłonął ją z powrotem z wyraźnym niezadowoleniem.

W rzeczy samej nie mieli drogi powrotu do bazy stworzenia, znajdującej się na przeciwległym końcu statku. Między nimi leżały rozległe, pełne chaosu obszary. Na pokładzie „Polkjhy” roiło się od rozmaitych stworzeń, które pełzały po korytarzach i przegryzały się przez ściany pomieszczeń, wypełniając je groteskowymi kształtami oraz dziwaczными formami. Jak dotąd systemy o kluczowym znaczeniu dla funkcjonowania statku nie ucierpiały. Wszystkie pozostawały pod kontrolą niedobitków jophurskiej załogi – wymieniającej coraz bardziej oszalałe i pełne paniki komunikaty – ale kto wie, jak długo to potrwa?

Mężczyzna wyczuł obok obecność trzeciego członka ich grupki.

– Masz rację, Lark – wyszeptał stos błyszczących pierścieni. Jego masywne ciało pulsowało pod wpływem prowadzonej przez poszczególne elementy debaty. – Celem tego ogromnego makrojestestwa najwyraźniej jest wzrost aż do chwili całkowitego wypełnienia „Polkjhy”. Moglibyśmy uciec, ale co to da? Trop zaprowadził nas w to miejsce. Nasze/moje/dwa/nasze

przeznaczenie z pewnością leży w środku. Dowiedzmy się, czego chce to stworzenie. Ku czemu zmierza. Co planuje tu osiągnąć.

Lark zauważył, że oczy zanurzonej w galaretowatej masie Ling, do tej pory rozpaczliwie puste, zmieniły wyraz, odzyskując stopniowo klarowność, i skierowały się ku niemu.

Natychmiast pojawił się w nich błysk rozpoznania! Choć jej usta zasłaniał symbiont, łatwo było zauważyć, że się uśmiechnęła. Wyciągnęła ramiona w stronę Larka, radując się z jego widoku.

– Spójrzmy na to pozytywnie – zaproponował, choć jego pasażer zadrzał z trwożnej rezygnacji. – Mam wrażenie, że w środku jest ciekawie. Możemy się tam wiele nauczyć, tak?

Potężna błona nie próbowała ich pochwycić, kiedy podeszli bliżej, a nawet nieco się cofnęła. Wydawało się, że obwąchuje ich ostrożnie, jakby godziła się, by spróbowali zdobyć jej sympatię. Lark wyciągnął ku niej rękę. Była zimna, lecz z jakichś niezgłębionych powodów elektryzująco przyjemna w dotyku.

Jego pasażer zadrzał. Lark odebrał wrażenie zaskoczenia. To nie był śmiertelny wróg, którego spodziewał się Zang, lecz odległy krewny, większy i bardziej przyjazny.

Zapadła decyzja. Uformowała się jama, przypominająca tunel albo drzwi.

Bez chwili wahania Lark ruszył ku ukochanej.

Instynkt najwyraźniej go nie zawiódł. Połączenie miało w sobie coś głęboko naturalnego.

Teoretycznie tlenodyszne i wodorodyszne formy życia były wzajemnie niekompatybilne. Używały innej chemii i odmiennych źródeł energii, a także funkcjonowały w zupełnie różnych temperaturach. Życie jednak świetnie sobie radzi z rozwiązywaniem problemów. Symbioza pozwala dwóm lub więcej organizmom połączyć swe możliwości i osiągnąć cel nierealny dla każdego z nich osobno. To właśnie się wydarzyło, gdy w dawnych ziemskich oceanach komórki utworzyły unie bardziej kompetentne niż ich poszczególne składniki.

Lark wkrótce przyzwyczał się do idei, że to samo może się wydarzyć również na znacznie wyższym poziomie, szczególnie pod przewodnictwem zaawansowanej inteligencji.

Tak czy inaczej, wkrótce otoczył go rój rozmaitych „organelli”, ale jego obchodziła tylko jedna z nich, ta, której pieśzczoły sprawiły, że poczuł się w tym dziwnym miejscu bardziej u siebie, niż kiedykolwiek w swym łóżku na Jijo.

Cieszę się, że zachowaliśmy funkcjonalność w naprawdę ważnych sprawach – twierdził.

Ling przytuliła się do niego, maksymalizując kontakt między ich unoszącymi się w galarecie ciałami. Jej odpowiedź dotarła do niego nie jako dźwięk, lecz bezpośrednio, jakby przekazywało ją płynne otoczenie.

Typowy mężczyzna. Jeśli twoje narządy płciowe są usatysfakcjonowane, nic innego się nie liczy.

Zamrugął.

A co z twoimi narządami?

Odpowiedziała ospałym uściskiem, z pewnością wyrażającym zadowolenie. Jej skóra nadal drżała lekko po intensywnym akcie miłosnym.

Ta część jaźni Larka, która była niestrudzonym myślicielem, zadawała sobie pytanie, na co makroistocie może się przydać ludzka seksualna namiętność. Nie można powiedzieć, żeby nie był zadowolony z tej nowej fazy swego życia, ale gdy jego myśli wkroczyły na szlak, nic nie mogło ich powstrzymać.

A co się stało z Rannem? – zapytał.

Trzeci człowiek na pokładzie statku, okrutny danicki wojownik, oddał swe talenty na służbę

Jophurom. Lark nie zazna spokoju, wiedząc, że nieprzyjaciel nadal gdzieś się tam kryje.

Nie przejmuj się nim. Już nam nie zagrozi.

Spojrzał na Ling. Wzruszyła ramionami, wzbijając w górę strumień pęcherzyków powietrza.

Jego również wchłonęło. Matce jego smak najwyraźniej nie przypadł do gustu, ale ona nie lubi marnować dobrego materiału, więc wykorzystwała go w inny sposób. Jakiś czas temu widziałam parę jego fragmentów – to chyba było płuco i noga – wcielonych do jakichś organelli.

Lark zadrżał, ciesząc się, że jego „smak” odpowiadał makroistocie.

Nazywasz to stworzenie Matką?

Skinęła głową. Nie musiała nic tłumaczyć. Ta nazwa miała tyle samo sensu co każda inna, choć czuła opiekuńczość z pewnością stanowiła tylko jeden z aspektów natury stworzenia. Potrafiło również okazywać brutalny pragmatyzm.

Wyczuł, że Zang się z nim zgadza. Jego towarzysz stał się teraz zwartą globulą, unoszącą się nieopodal. Łączyła ich obecnie tylko wąska rura wnikać do lewego boku mężczyzny, a nawet ona może się wkrótce rozpuścić, gdy obaj poznają swe nowe role w tym świecie. Zanga nadal wypełniała głęboka niepewność, choć można by się spodziewać, że łatwiej przystosuje się do tego świata pełnego unoszących się w galaretowatej cieczy cebulowatych delegatów, przedstawiających efektowne symulacje.

W mrocznej dali Lark wypatrzył jeszcze kogoś, komu przystosowanie nie sprawiało trudności. Stos woskowych traeckich pierścieni, który kiedyś był Asxem, a potem Jophurem zwanym Ewasxem, stał pewnie na podłodze, otoczony chmurami pęcherzyków, błon oraz pełzających symbiontów. Sądząc po barwnych falach przepływających po jego bokach, bawił się jak nigdy w życiu. Cóż mogłoby być bardziej traeckie niż stanie się częścią większego wspólnego przedsięwzięcia, w którym każda cząstka i każdy pierścień miały do odegrania swą rolę?

Lark nadal się zastanawiał, jak to wszystko jest zorganizowane. Czy istniał nadrzędny umysł sterujący całością, coś w rodzaju jophurskiego pierścienia władzy? A może wszystkie elementy miały prawo głosu? Oba modele symbiozy występowały w naturze... i w polityce.

Miał wrażenie, że decyzja w tej sprawie jeszcze nie zapadła. Matka dopiero się kształtowała.

Chodź – odezwała się Ling, biorąc go za rękę. – Chcę ci coś pokazać.

Lark potrzebował chwili, aby się przyzwyczaić do ruchu w tym nowym środowisku. Z reguły przypominało to pływanie, choć w niektórych miejscach gęstość otoczenia się zmieniała i stopy obojga dotykały podłogi, umożliwiając im chodzenie na ludzki sposób. Nie było tu jednak ostrych przejść, jak między morzem a brzegiem. Jeden stan przechodził stopniowo w drugi, podobnie jak myśli dzielone przez Larka i Ling.

Wreszcie kobieta wskazała na wielkie skupisko falujących witek rozchodzących się na wszystkie strony z jednego miejsca. Wiele z nich docierało do wijących się postaci – Lark zauważył kolejną larwę qheuena, parę traeckich stosów... a także postać przypominającą centauroidalną urse zwiniętą w embrionalną kulę. Chroniło ją coś w rodzaju pęcherza płodowego. Nie poznawał płowej istoty, ale wiedział, że Jophurzy zabrali z Jijo „uryjskie próbki”. Ursa poruszała powoli bokami, jakby oddychała spokojnie, a w jej trojgu oczach dostrzegał inteligentną klarowność.

Były tu też inne tlenodyszne istoty. Niektóre pamiętał z obrazków w papierowych książkach przechowywanych w bibloskim archiwum, innych zaś nie znał. Wszystkie wyposażono w symbionty łączące je z wodorodysznyimi globulami oraz innymi podobnymi stworzeniami. Najbardziej niesamowity był fakt, że żadna z nich nie sprawiała wrażenia niezadowolonej.

Matka wnika tu do siatki danych – wyjaśniła Ling, wskazując na punkt, w którym zbiegały się witki. Lark wyteżył wzrok i wypatrzył w mroku jedną z głównych konsol komputerowych „Polkjhy”.

Ling złapała trzy wijące się macki, oferując po jednej Larkowi i Zangowi.
Sprawdźmy, co się dzieje gdzie indziej.

To był dziwny sposób odbierania informacji, częściowo neuronowy, a częściowo wizualny. Wykorzystywał też funkcje umysłu Larka z reguły służące wyobraźni. Obrazom wydarzeń towarzyszyła mówiąca „co by było gdyby” aura niepewności typowa dla marzeń.

To miało sens. Dla wszystkich wodorodysznych istot myślenie było procesem symulacji, odłączania drobnych części siebie, aby grały role, prowadząc scenariusz do logicznej konkluzji. Dzięki swym wcześniejszym doświadczeniom z Zangami Lark szybko się w tym zorientował. Nauczył się sięgać na zewnątrz i spoglądać na siebie jak na obiekt swego zainteresowania.

Jestem „Polkjhy”... kiedyś byłem dumnym okrętem butnego rodu Jophurów.

Ale teraz podzieliłem się na wiele odrębnych części. Moja jophurska załoga – dzielna, lecz zdesperowana – sprytnie oddzieliła obszary, które uważała za najważniejsze... silniki, broń i podstawowe urządzenia podtrzymujące życie.

Kierowana przez zdeterminowane, skupione pierścienie władzy przygotowuje się do ostatniej bitwy z ohydnyimi intruzami... kontynuując jednocześnie łowy już tylko dla zemsty. Ściga statek Ziemiaków, nie dbając o to, czy dotrze za nim do piekła, czy do samego nieba.

Larka wypełniło dziwne uczucie – niechętny podziw dla nieustraszonych Jophurów. Odporność, z jaką znosili kolejne katastrofy, dowodziła, że ich gatunek nie bez powodu zdobył znaczenie i wpływy wśród pełnych wigoru tlenodysznych gwiazdnych wędrowców. Fakt, że potrafili się oprzeć, choćby tylko przez pewien czas, mocom znacznie starszym i silniejszym od siebie, był imponującym osiągnięciem.

Niemniej Lark miał nadzieję, że wkrótce ulegną.

Ling sterowała delikatnie jego uwagą, kierując ją na zewnątrz, poza udręczony statek.

Nagle zachwiał się, znalazłszy się wśród kolosalnego tornada!

Otoczał ich gigantyczny cyklon, wir masywnych obiektów, które sypały jasnymi iskrami, wpadając po spirali do leja prowadzącego ku słabemu płomieniowi małej białej gwiazdy.

Lark szybko się zorientował, że jego zasób wiedzy nie ogranicza się już do wąskiego wykształcenia jijańskiego przedterminowego osadnika, wsiowego biologa wychowanego na papierowych książkach. Z niewielkim wysiłkiem woli mógł wnikać do umysłu swej towarzyszk i postrzegać fakty, współzależności oraz hipotezy mogące wyjaśniać to, co widzieli. A poza Ling były też inne archiwa, nie tak znajome, lecz równie dostępne.

Sięgnął ku ogromnemu cyklonowi opadających w dół statków kosmicznych, identyfikując się z nimi.

Jestem Rojem Kandydatów, migracją wybrańców wyłonionych spośród emerytowanych cywilizacji zarówno tleno-, jak i wodorodysznych.

Wypełnia mnie zachwyt, że wreszcie zdołałem tu dotrzeć.

Znużenie bezcelowymi wysiłkami i dylematami płaskiej przestrzeni i rzeczywistego czasu.

Wabi mnie i przyciąga kuszący urok Objęcia Pływów.

Jestem w pełni świadomy zaburzeń, do jakich doszło w Pięciu Galaktykach.

Zdaję sobie sprawę ze stojących przede mną niebezpieczeństw.

Mimo to nie zatrzymuję się. Łączę w całość swe liczne podjednostki. Tworzę niepowtarzalną unię z tego, co było jedynie obiecującymi surowcami. Integruję to, co najlepsze w wodrze i tlenie.

Jestem pełen nadziei i zadaję sobie pytanie, co mnie czeka...

Lark zrozumiał teraz kontekst wydarzeń, które spotkały „Polkjhy”. Wszystko to było elementem

znacznie większego procesu! Do podobnego łączenia form życia z pewnością dochodziło na milionach ogromnych statków zgromadzonych w pobliżu... tyle że zapewne przebiegało ono bardziej pokojowo, bez tak zacieklego oporu załóg, znacznie lepiej na to przygotowanych niż biedni Jophurzy.

Mimo to Lark wyraźnie wyczuwał słyszalną w tle nutę bliskiego desperacji niepokoju. Majestatyczne zgromadzenie kandydatów do transcendencji powinno mieć gładki, uporządkowany przebieg. Tu jednak chaos pogłębiał się z każdą durą. Iskry, które wcześniej wyglądały tak radośnie, ujawniły się teraz jako gwałtowne zderzenia. Wśród nadlatujących statków szerzyła się nagła śmierć.

Ling znowu wyciągnęła rękę i jego umysł podążył we wskazanym kierunku. Zamiast skierować się ku górze, ich wspólna uwaga popędziła w dół, ku źródłu grawitacji i światła, gdzie ogromne, smukłe konstrukcje okręwały gęstą gwiazdę po ciasnej orbicie.

W pierwszej chwili mogło się wydawać, że igłowe habitaty również mają poważne trudności. Na oczach obojga ludzi odpadały od nich fragmenty większe od gór, odrywane przez potężne siły pływowe.

Mimo to Lark nie czuł strachu ani niepokoju, nie odnosił też wrażenia, że nadciąga katastrofa.

Nic dziwnego! – twierdził. – Igły wcale nie są habitatami! To bramy prowadzące w inne miejsce!

Ling pokiwała głową.

To oczywiste, jeśli się nad tym zastanowić.

Lark wysłał swój umysł jak opadającego na zdobycz sokoła ku jednej z wirujących szybko konstrukcji, długiej i cienkiej niczym oszczep. Choć od obiektu odpadały fragmenty powłoki, odrywane przez chaotyczne hiperprzestrzenne zaburzenia, wiedział skądś, że te elementy nie są istotne. Były tylko tymczasowymi siedzibami i elementami wzmacniającymi. Po ich zrzućeniu odsłaniały się świetliste rdzenie, na których trudno było skupić spojrzenie.

Jego mentalny obraz przypominał jednego z „kandydatów” – arkę/globulę po transformacji – który zakończył długie zejście po spirali i zbliżał się szybko ku igle, muskając powierzchnię oceanu plazmy białego karła. Wielki hybrydowy statek – pełne połączenie cywilizacji dwóch kategorii życia – opadał ku odsłoniętej bramie, stale przyśpieszając, jakby przyciągało go jakieś potężne pole.

I nagle globula/arka umknęła gdzieś w bok przez wąską szparę wyciętą w czasoprzestrzeni.

Przejście było otwarte tylko przez parę chwil, ale to wystarczyło, by Lark mógł dostrzec, co jest po drugiej stronie.

Najpierw zauważył gęstą, wirującą ciemność. Mroczną kulę, na której nagle rozjarzały się świecące punkciki. W jakiś sposób wyczuwał zakrzywienie otaczającej obiekt przestrzeni, przesłaniające położone dalej gwiazdozbiory.

To gwiazda neutronowa – wyjaśniła Ling. – Dawno już wypaliła całe paliwo. Zapadła się pod wpływem przyciągania do rozmiarów znacznie mniejszych od białego karła. Niespełna dziesięć kilometrów średnicy! Nacisk grawitacji w jej wnętrzu jest tak wielki, że atomowe jądra łączą się z chmurami otaczających je elektronów, tworząc „zdegenerowaną materię”. Iskry, które tam widzisz, to rozbłyski gamma. Siatka Transcendentów przetworzyła je na widzialne światło, żebyśmy mogli je dostrzec. Każdy błysk reprezentuje fragment materii, być może nie większy niż bakteria, który rozpędził się niemal do prędkości światła, zanim uderzył w powierzchnię. W każdej galaktyce można znaleźć około pół miliarda tych gęstych reliktyw... a co trzydzieści lat rodzi się nowy. Ale tylko nieliczne gwiazdy neutronowe mieszczą się w wąskim zakresie cech spełniających wymagania Transcendentnej Kategorii. Muszą być spokojne, szybko wirować wokół osi, ale mieć słabe pola magnetyczne.

Lark przewycięzył zaskoczenie.

Rozumiem, co tu się dzieje. Proces trwa! Rosnącego pożądanego pływów nie może zaspokoić zwykły biały karzeł. Rzecz jasna, migrują w miejsca, gdzie pola grawitacyjne są jeszcze potężniejsze. To znaczy, że niezliczeni kandydaci otaczający „Polkjhj” po prostu przechodzą na drugą stronę! Biały karzeł jest tylko punktem zbornym, miejscem, gdzie łączą się ze sobą i przechodzą transformację, przygotowując się do następnej fazy.

Gdy wąskie przejście znowu się otworzyło, Lark ponownie wysłał swe myśli na drugą stronę, mknąc na fali nośnej kolosalnego systemu przekazywania informacji niczym pchła morska surfująca na grzbiecie tsunami. Pragnął się dowiedzieć, jak wygląda życie transcendentnych istot w tym niezwykłym miejscu.

Gwiazdę neutronową otaczało coś w rodzaju gęstej mgły, unoszącej się tuż nad powierzchnią.

To habitaty – wyjaśniła Ling.

Lark spróbował przyrzeć się im dokładniej, ale zadanie utrudniała mu wielka prędkość, z jaką krążyły tuż nad gładką czarną powierzchnią. Każdy obrót trwał ułamek sekundy. Przyciąganie było tam tak potężne, że siły pływowe rozerwałyby każdy fizyczny obiekt o średnicy większej niż kilka metrów.

Choć Matka wyostrzyła jego zmysły, istniały granice tego, co był w stanie przetworzyć jego organiczny mózg.

Ale... – Zająknął się w myśli. – Kiedy wodoro- i tlenodyszne życie łączą się ze sobą, rezultat nadal jest organiczny... oparty na wodzie. Ciała korzystają z chemicznych reakcji zachodzących w płynach. Jak tego typu istoty mogą przetrwać w podobnych warunkach?

Jakby jego pytanie było rozkazem, punkt widzenia przesunął się na zewnątrz, ku regionom przestrzeni położonym dalej od gwiazdy neutronowej. Można tam było zobaczyć ogromny rój ciemnych, wrzecionowatych obiektów ustawionych w równe szeregi.

Lark wyczuł, że są zbudowane z metalu. Czekwały na swoją kolej z milczącą cierpliwością, która mogła się zrodzić jedynie w bezkresnej międzygwiazdnej pustce.

Nagle zrozumiał.

To maszyny!

Przybyła trzecia kategoria życia. W odpowiedzi na jakiś nieodparty zew, jej najlepsi, najbardziej zaawansowani przedstawiciele zebrali się, aby uczestniczyć w nowej unii.

Małżeństwie innego rodzaju.

W przestrzeni znowu uformowała się wąska szczelina prowadząca do okolic białego karła. Na wypaczonym przez potężną grawitację niebie pojawiła się kolejna globula/arka, przynosząc ładunek połączonych ze sobą organicznych form życia.

Kilkadziesiąt oczekujących mechanizmów otoczyło ją ze wszystkich stron, tworząc kokon włóknistego światła.

Nie było oporu. Wzmocniony zmysł empatyczny Larka nie wyczuwał strachu ani rezygnacji. Tylko gotowość do metamorfozy.

Jako biolog dostrzegał naturalność i elegancję tego procesu, mimo że szczegóły szybko stały się zbyt niewyraźne i skomplikowane nawet dla jego wzmocnionych zmysłów.

Wtem rozbłysł oślepiający płomień, pochłaniając wszystko.

Pozostał tylko deszcz błyszczących iskier, opadający niecierpliwie ku potężnym, pocieszającym objęciom pól grawitacyjnych tuż nad gwiazdą neutronową.

Larkowi zakreśliło się w głowie. Porażony bojaźnią, wrócił do realnego świata, szukając punktu zaczepienia w łagodnych brązowych oczach Ling.

I na tym koniec? To jest kulminacja wszystkiego? Wodorowcy, tlenowcy i maszyny łączą się w całość, by po kres wieków krążyć wokół czarnego, gęstego słońca?

Kobieta potrząsnęła głową.

Nie byłam w stanie przeniknąć dalej, ale logika sugeruje, że jest inaczej. Zastanów się, Lark. Trzy kategorie życia scalają się w jedno. Te, które słyną jako najbardziej aktywne. Najpotężniejsi manipulatory materią i energią. Nareszcie wiemy, dlaczego wodorowcy, tlenowcy i mechanoidy mogli tak długo współistnieć ze sobą. Łączy ich wspólne przeznaczenie. Żadna z tych kategorii nie może się rozwijać bez pozostałych. Ale istnieją też inne. Liczba stylów rozumności nie ogranicza się do trzech! Na przykład kwantowcy i metamemy. Krążą też pogłoski o jeszcze innych, o których nie ma wzmianek w Wielkiej Bibliotece. Prosta logika – i estetyka – każą mi sądzić, że ten proces trwa dalej. Inni z pewnością również się do niego przyłączają, na jakimś poziomie wykraczającym poza ten, który zobaczyliśmy.

Lark zamrugał.

Wykraczającym? Co mogłoby leżeć dalej...?

Nagle zrozumiał.

Mały Zang unoszący się obok odebrał jego myśli i wypuścił pęcherzyki o odrażającym zapachu – odpowiednik krzyku przerażenia – a potem skurczył się trwożnie. Mężczyzna jednak pokiwał tylko głową.

Mówisz o czarnych dziurach.

Jego myśli zalał nieproszony strumień informacji mówiącej o wielu różnych rodzajach znanych nauce „dziur”. Były to miejsca, gdzie gęstość materii przekraczała punkt, za którym nie było już powrotu, otaczając się grawitacją tak szczelnie, że światło ani żadna informacja nie mogły się wydostać na zewnątrz. Do celu opisanego przez Ling nadawały się tylko nieliczne z głębokich osobliwości. Raczej te mniejsze, o masie nie większej niż kilkadziesiąt przeciętnych słońc. Bezdenne otchłanie o stromych stokach wypełnionych najpotężniejszymi ze wszystkich pływów... gdzie czas zwalnia niemal do zera.

W takiej wąskiej strefie, tuż nad horyzontem zdarzeń czarnej dziury, zacierała się granica między materią a energią. Przyczynowość również stawała się niepewna, wymykała się z uchwytu Ifni. Jeśli warunki były odpowiednie, wszystkie rozmaite kategorie życia mogły się tam zjednoczyć, tworząc gulasz czystej rozumności. Inteligencji w jej najbardziej zasadniczej postaci.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze.

Masz rację, to logiczne i estetyczne, a nawet na swój sposób piękne. Ale mam jedno pytanie, Ling. Jakie jest nasze miejsce w tym wielkim planie? Mówię o nas dwojgu. Wszystkie te istoty w otaczających nas arkach i globulach mogą być przygotowane do takiego przeznaczenia... zakładając, że przetrwają chaos i zaburzenia, a potem dotrą na wyższy poziom. W końcu od wieków oczyszczały swe dusze z myślą o tej transformacji. Ale my trafiliśmy tu przypadkowo! Dlatego, że znaleźliśmy się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiednim czasie. Nie powinno nas tu być!

Ling wsunęła dłoń w jego uścisk. Umysł Larka wypełnił jej ciepły uśmiech.

Podoba ci się nasze nowe gniazdo, kochanie?

Uścisnął jej dłoń.

Wiesz, że tak. Po prostu trudno mi się cieszyć na myśl o następnym kroku, „unii” z jakimiś gwiazdnymi komputerami, a potem ściśnięciu do rozmiarów ziarenka grochu, by wreszcie...

Przerwała mu lekkim mentalnym dotknięciem, uspokajającą pieszczotą, która rozproszyła rodzącą się panikę.

Wszystko w porządku, Lark. Nie martw się tym. Bardzo wątpię, byśmy mieli długo jeszcze podążać tą ścieżką. Nie, jeśli Jophurzy będą mieli coś do powiedzenia w tej sprawie.

SARA

Uzyskanie odpowiedzi na zadane pytanie nie ukończyło obaw Sary.

Marszczyła niespokojnie czoło, spoglądając na wirujący obok hologram Nissa.

– Cholera! Miałam nadzieję, że skurczybyki zostały Transcendentalni.

– *Czy mogę zapytać, dlaczego interesuje cię los jednego ze starszych gatunków?*

W komputerowym głosie pobrzmiewało zdziwienie.

Kobieta zasępiła się jeszcze bardziej.

– Buyurowie nie byli po prostu zwyczajnym gatunkiem. W czasach, gdy dzierżawili Jijo, słynęli ze sprytu i dowcipu. Można by powiedzieć, że byli Tymbrimczykami swojej epoki, ale potrafili znacznie subtelniej manipulować politycznymi rozgrywkami o władzę... a także nieporównanie dłużej czekać na pointę dobrego żartu.

– *Dziękuję za komplement w imieniu moich tymbrimskich twórców* – odparł sarkastycznym tonem Niss. Sara nauczyła się już jednak ignorować symulowane nastroje urządzenia, mające na celu krótkoterminowe irytowanie rozmówcy. Niepokoiła ją myśl o gatunku dowcipnisiów o horyzoncie czasowym sięgającym miliona lat.

O cierpliwych zgrywusach, wśród ofiar których mogli się znajdować jej rodacy, Sześć Gatunków Jijańskiej Wspólnoty.

– Jesteś pewien, że Transcendenci dokładnie wszystko rejestrują? – dopytywała się. – Może Buyurowie przeszli na następny poziom przez innego białego karła, inny lej łączący?

– *Nie rozumiesz natury kwantowych komputerów* – odparł z przekąsem Niss. – *Każdy element Siatki Transcendentnej pozostaje w lokalnym kontakcie ze wszystkimi pozostałymi. Nie dzieli ich bariera przestrzeni ani nawet czasu. Każdy Transcendent wie to, co wiedzą inni. Mówimy o stanie najbardziej zbliżonym do tego, co ludzie zwali kiedyś boską wszechwiedzą... przynajmniej po tej stronie Punktu Omega.*

Sara chrząknęła.

– Do tej pory widziałam już kilkanaście poziomów tak zwanych gwiezdnych bóstw i żaden z nich zbytnio mi nie zaimponował – oznajmiła z silnym akcentem nadrzewnych farmerów z Dolo. – Mam wrażenie, że małostkowość jest nieodłączną cechą życia, nawet jeśli wespnie się ono na wyżyny.

– *Jesteś za młoda na taki cynizm* – twierdził z westchnieniem Niss. – *Tak czy inaczej, na zapytanie wysłane przez ciebie do Siatki odpowiedziano. Zakładając, że Transcendenci nie kłamią, możemy być w praktyce pewni, że Buyurowie jeszcze do nich nie dołączyli.*

Sara łypnęła spode łba na hologram, niezadowolona z tej wiadomości. Przeciwna odpowiedź byłaby najlepszym możliwym rozwiązaniem problemu, którym ostatnio się gryzła. Im bardziej zagłębiała się w równania modelujące gwałtowne konwulsje wstrząsające obecnie kosmosem, tym oczywistszy stawał się pewien fakt.

Obliczenia były po prostu zbyt eleganckie, za piękne, by mogła uwierzyć, że nikt w całym galaktycznym społeczeństwie nie zauważył korelacji. Bez względu na to, jak konserwatywna i ograniczona była większość, niektórzy z pewnością również znaleźli skróty takie jak ona. Podobne sposoby ominięcia ślepych plamek.

Każdy, kto tego dokonał, zdołałby przebić zasłonę tajemnicy i wiedziałby z wielkim wyprzedzeniem, że nadchodzi kryzys czasoprzestrzenny. Czas, gdy wszystkie hiperprzestrzenne ścieżki padną ofiarą zaburzeń i wszędzie zapanuje chaos.

Rosnąca liczba dowodów przekonywała Sarę, że Buyurowie musieli wiedzieć. Zaplanowali wszystko w ten sposób, aby zwabić przedterminowych osadników do układu planetarnego Jijo po ewakuowaniu Czwartej Galaktyki ogłoszonej za pozostawioną odłogiem. Postarali się, by pobliski punkt transferowy popadł w stan uspienia, a Izmunuti wkroczyła w fazę rozbłysku, tworząc zamkniętą butelkę dla wszystkich próbek, które wpadną w pułapkę.

Jest też więcej podobnych zbiegów okoliczności – myślała. – Na przykład fakt, że wszystkie grupy osiedliły się na Stoku, mimo że z początku prowadziliśmy ze sobą wojny. Ponoć powodem były Święte Zwoje, podejrzewam jednak, że działały tu inne siły.

Jajo. Dyskretnie wpływało na naszych przodków już dwa tysiące lat przed tym, jak wyłoniło się nagle z ziemi.

Dlaczego zresztą zatrzymywać się w tym miejscu? Czy Buyurowie nie mogli też wybrać gatunków, które wyślą skradacze na Jijo, by nielegalna kolonia miała odpowiedni skład?

Czy na przykład manipulowali g'Kekami, popychając radosnych i bogatych mieszkańców kosmicznych habitatów do pozbawionej szans wendety przeciwko Jophurom, tylko po to, by mała garstka niedobitków poszukała schronienia za bezlitosnym, niemrugającym okiem Izmunuti? Czy wyzwolili niektórych Jophurów od pierścieni władzy, tworząc grupkę odtworzonych traekich, którzy byli zmuszeni poszukać schronienia na Jijo i zaprzyjaźnić się z g'Kekami?

Problem z tworzeniem wiarygodnych teorii spiskowych polegał na tym, że umysł szybko wychwytywał wszystkie możliwe korelacje, czyniąc z każdej z nich oczywistość... na przykład można było oskarżać Buyurów o wszystko, co spotkało Ziemię w ciągu kilku ostatnich tysiącleci. Ponieważ ciemnota, ignorancja, ból i izolacja uczyniły ludzi tym, kim byli, w końcu poczuli się zmuszeni wysłać skradacze do odległych zakątków kosmosu. Szalupy ratunkowe, takie jak „Tabernacle”, miały ocalić próbki ich gatunku przed nadchodzącym potopem.

Czy Buyurowie zaaranżowali to wszystko, by ich arcydzieło, jakim było Jijo, miało odpowiedni skład?

Sara potrząsnęła głową. Jeśli pójdzie tą drogą, poszerzając swą teorię poza zasięg dostępnych dowodów, pograży się w paranoi.

– *Wnikając do Transcendentnej Siatki, dowiedzieliśmy się jeszcze czegoś – podjął Niss. – Na granicach Układu Słonecznego od tygodni trwa tytaniczna bitwa. Pomimo pomocy nowych, odważnych sojuszników siły broniące Ziemi są na krawędzi załamania. Wkrótce fanatycy utorują sobie drogę do błękitnej planety, ojczyzny twojego gatunku.*

A gdy to już się stanie, nie będzie rozsądne liczyć na zmiłowanie.

Podczas gdy Sara szukała odpowiedzi, próba ucieczki posuwała się powoli naprzód.

Zewnętrzne kołnierze „Streakera” nadal pokrywała „magiczna” powłoka i manewrowość statku pozostawała znacznie niższa niż zwykle. Pod nieobecność Kaa Szczęściarza, Akeakemai i innych delfinów mieli sporo trudności z powolnym oddalaniem się od białego karła.

Ze wszystkich stron otaczał ich najstraszliwszy karambol wszechczasów, szalony, superszybki wir pełen szczątków po gwałtownych eksplozjach. Choć większość kul kandydatów uparcie trzymała się kursu po schodzącej w dół spirali, nie zważając na zderzenia i fale chaosu, drobna mniejszość próbowała ucieczki, podobnie jak „Streaker”. Zbiegów było wystarczająco wielu, by zakłócić szyk, pozbawić go wszelkich resztek porządku. Przedostanie się przez ten wir będzie wymagało czegoś więcej niż szczęścia Ifni. Cudu.

Nawet jeśli ziemski gwiazdolot zdoła się wyrwać na otwartą przestrzeń, pozostanie jeszcze jophurski okręt liniowy oraz stary problem znalezienia bezpiecznej kryjówki we wszechświecie.

Sara zerknęła na stojącą po drugiej stronie pokoju mapowego Gillian Baskin. Starsza kobieta rozmawiała ze smukłą, niebieskoszarą istotą unoszącą się po drugiej stronie szklanej bariery, w wypełnionej wodą części pomieszczenia. Delfini astronom, Zub'daki, tłumaczył jej coś w dialekcie anglicu utrzymanym w tonacji tak wysokiej, że Sarze trudno było go zrozumieć. Gillian jednak opuszczała bezradnie ramiona, a twarz miała bladą i zapadniętą, więc wieści nie mogły być dobre.

To mogą być nasze ostatnie chwile – uświadomiła sobie Sara. – Powinnam spędzić je z Emersonem, a nie pograżać się w teoriach na temat starożytnych zbrodni albo analizować kosmiczne katastrofy, którym nikt nie potrafi zapobiec.

Niestety, Emerson nigdy tu nie przychodził. Pomimo swego kalectwa zagarnął wszystkich techników, których mógł poświęcić Suessi. Dali już sobie spokój z próbami zdrapania niebezpiecznej powłoki przylegającej do kadłuba „Streakera” i zajęli się pracami nad laserem komunikacyjnym. Choć natura pomysłu Emersona nadal pozostawała niejasna dla większości załogi, Gillian zatwierdziła projekt między innymi po to, by dać pozbawionym zajęcia członkom załogi coś do roboty.

Chciałabym też mieć taki azyl... coś, co pozwoli mi czymś się zająć, udawać, że mam jakiś wpływ na wydarzenia. Ale jedyna technologia, na jakiej się znam, to produkcja papieru za pomocą prymitywnych młotów roztwarzających oraz mocy płynącej z małego młyna wodnego Nela. Poza tym jestem tylko szamanką recytującą inkantacje. Użytkowniczką dziwacznej ziemskiej sztuki zwanej matematyką.

Prity przyniosła jej kilka arkuszy z perspektywicznymi rysunkami przedstawiającymi hiperprzestrzenne ścieżki, udręczone i rozciągnięte niemal do granicy rozerwania. Wyczuwając nastroj swej pani, szympansiczka odłożyła papiery i usiadła Sarze na kolanach.

Droga, słodka Prity – pomyślała kobieta, głaszcząc ją. – Nadal jesteś niema, podczas gdy ziemskie szympansy nauczyły się już mówić i latać gwiazdolotami. A mimo to tak bardzo chciałabym się tobą pochwalić! Z pewnością zdumiałabyś wszystkich, nawet gdy dotrzemy na Terre.

Nadal rozmawiająca z Zub'dakim Gillian kilkoma szybkimi gestami przywołała holograficzne obrazy innych delfinów. Byli wśród nich Akeakemai oraz główna astrogator, Olelo, która słuchała przez parę chwil, a potem zaprotestowała tak głośno, że uszu Sary dobiegły dźwięki podwodnego anglicu pomieszanego z troistym.

– ...posuwamy się tak szybko, jak tylko w tych warunkach pozwala rozsądek. Pomknąć w ten chaos na łeb, na szyję, byłoby totalną lekkomyślnością!

Sara nie dosłyszała odpowiedzi doktor Baskin, ale Akeakemai był nią wyraźnie wstrząśnięty. Wybałuszył oczy w niemal ludzkim wyrazie zaskoczenia. „Uśmiech” wiecznie prezentowany przez neodelfiny ustąpił miejsca grymasowi niezadowolenia.

Sara zdjęła ostrożnie Prity z kolan i postawiła ją na pokładzie. Następnie wstała i podeszła do rozmawiających. Temperatura dyskusji rosła z każdą durą.

– Ale c... c... co z Transscendentami! – zaperzył się Akeakemai. – Z p... p... pewnością nie pozwolą na coś takiego!

Na co nie pozwolą? – pomyślała zdziwiona Sara.

Nagle w powietrzu obok Gillian Baskin zmaterializował się wirujący hologram Nissa.

– *Mam złe wieści* – oznajmiła maszyna. – *Bramy się zamykają. Nie przyjmują już więcej kandydatów z tego roju.*

– Tego się obawiałam – twierdziła Gillian. – Zaburzenia podprzestrzenne uniemożliwiają dalsze funkcjonowanie bram. Arki nie mają dokąd polecieć. Będą się gromadziły tuż nad powierzchnią białego karła.

– To już się dzieje. Coraz więcej statków kandydatów kończy transformację i wchodzi na niską, zatłoczoną orbitę. Ale... – Hologram wygiął się w ukłonie. – Mylisz się w kwestii bram. One nie są uszkodzone. To prawda, że nie przepuszczają już więcej kandydatów, ale to dlatego, że stoją przed nimi inne zadania.

– Pokaż nam! – zażądała Sara, wkraczając w uprawnienia Gillian. Starsza kobieta skinęła głową i pojawił się wielowymiarowy obraz. Wszystkie obiekty były na nim przedstawione w skali logarytmicznej, pozwalając widzom obserwować wydarzenia z najdrobniejszymi szczegółami.

Potężne statki tłoczyły się wokół białego karła jak stado spłoszonych zwierząt, krążąc coraz bliżej gorejącego ognia. Nieustannie napływały też następne, powiększając wirujący wokół białego karła dysk. Każdy kandydat szukał przejścia na następny poziom. Do legendarnego miejsca położonego w pobliżu jakiejś gwiazdy neutronowej, gdzie po kolejnej transformacji będzie się mógł radować objęciem potężnych pływów.

Ale teraz prowadzące tam szlaki zniknęły! Podobne do igieł konstrukcje jeszcze przed paroma chwilami pracownie przenosiły kandydatów do miejsca przeznaczenia, ale teraz porzuciły posterunki i oddalały się od gwiazdy, pozostawiając spóźnialskich swojemu losowi!

Bramy migotały wciąż zmieniającymi się kolorami, przez co sprawiały wrażenie śliskich. Przypominały Sarze Tęczowy Wyciek, pokrytą aktywną psionicznie skałą pustynię na Jijo. Nawet jedno spojrzenie mogło tam zachwiać równowagą umysłu.

Oddalające się miarowo od białego karła igły mknęły przez lej wypełniony opadającymi ku gwiazdzie arkami. Zmuszały niezliczone statki do gwałtownych manewrów dla uniknięcia kolizji i zostawiały za sobą obszary chaosu. Ostatnie resztki porządku w masowej pielgrzymce szybko zniknęły. W miejscach, gdzie przeleciały lewiatany, rozbłyskiwały potężne eksplozje przypominające fosforyzujące okrzemki unoszące się w zmaconym morzu, przez które płynie jakaś ogromna bestia.

– Jedna z tych igieł leci prosto na nasss! – zawołała astrogator.

– Zabierzcie nas stąd! – rozkazała Gillian. – Do licha z ostrożnością! Maksymalna prędkość inercyjna!

– Tak jest! – odpowiedział Akeakemai z mocnym uderzeniem ogona.

Z silników „Streakera” niemal natychmiast popłynęło niecierpliwe buczenie. Sara poczuła pod stopami złowieszczą wibrację. Towarzyszyło jej dziwne napięcie w plecach. To pola kompensujące próbowały wyrównać przeciążenie.

– Oczywiście wiesz, *zzzzz* to nic nie da – odezwał się Zub’daki. – Nawet jeśli unikniemy zderzenia i wymkniemy się Jophurom, i t... tak się stąd nie wydostaniemy. Żeby uniknąć nadchodzącej katastrofy, „Streaker” musiałby znajdować się kilka lat świetlnych stąd.

– O czym mówisz? – zapytała Sara. – Co ma się wydarzyć?

Nim delfini astronom zdążył jej odpowiedzieć, kobieta odsunęła się z głośnym westchnieniem.

Holoekran wypełniała jedna z ogromnych, przypominających oszczepy bram. Zbliżała się szybko, zostawiając za sobą ślad chaosu. Wyglądało na to, że przeleci tuż obok gwiazdolotu. Biliony ginęły w zderzeniach albo oślepiających eksplozjach, a ona mknęła beztrąsko ku górze.

Sara zauważyła jednak coś więcej.

– Ona strzela do niektórych statków!

W rzeczy samej gigantyczny artefakt nie zadowalał się sianiem chaosu w szeregach migracji. Wypuszczał też na wszystkie strony wiązki energii przypominające okrutne, świetliste lassa, wymierzone w wybrane cele.

To nie była anomalia. Wszystkie pozostałe bramy zachowywały się tak samo, oddalając się

pośpiesznie od białego karła.

Sara poczuła, że Prity ujęła ją za prawą dłoń. Przerazona orgią zniszczenia – znacznie bardziej krwawą i niszczycielską niż to, co wydarzyło się we Fraktalnym Świecie – kobieta mogła tylko gapić się na to w osłupieniu.

Szkoda, że nie ma tu Emersona. Wolałabym, żebyśmy oglądali koniec razem.

Fala potężnych wybuchów zbliżała się z każdą chwilą. Sara miała czas na jeszcze jedną myśl, nim świetlisty potwór uderzył ponownie, wypuszczając oślepiającą wiązkę w stronę „Streakera”.

Boże, wybacz mi tę myśl... ale to jest piękne.

DZIENNIK ALVINA

Jak mogę wyrazić radość, którą czuję? Albo smutek, jednocześnie wypełniający moje tętniące napięciem kręgi?

Czasami w życiu jest zbyt wiele ironii. Wszechświat wokół nas się rozpada, ale mnie pobłogosławiła fortuna Ifni. Znalazłem miłość i niezwykłą, ciepłą akceptację wśród pobratymców A tymczasem biedny Koniuszek – pierwszy, który wpadł na pomysł wyruszenia na wyprawę – zmarł przedwcześnie na samym progu cywilizacji, ponieważ znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

Major zwiadu Harry Harms chciał zawiadomić policję o morderstwie, ale pilot Kaa ubłagał go, by tego nie robił. Formalne śledztwo musiałyby nas zdemaskować, zdradzić fakt obecności na Kazzkarku delfinów oraz przedterminowych osadników. Nade wszystko zaś musimy ochraniać Huck, nawet jeśli irytuje ją, że znalazła się w takiej sytuacji. To ona jest najbardziej wściekła z nas wszystkich. Głośno domaga się, byśmy pomścili Koniuszka bez względu na koszt!

Byłem zmuszony zgodzić się z Kaa. Zresztą ład i porządek legły w gruzach, było więc wątpliwe, czy „formalne śledztwo” osiągnęłoby zbyt wiele.

– Zaciągnąłem języka w paru miejscach – oznajmił major zwiadu Harms. – I rozesłałem programy wyszukujące rotheńskiej podobizny na monitorach, na wypadek gdyby Ro-kenn okazał się nieostrożny i wyszedł otwarcie na aleje. Idę jednak o zakład, że się ukrywa. Rotheni słyną z umiejętności charakteryzacji i zmieniania wyglądu.

– Mógł też znaleźć kryjówkę u któregoś z wielkich klanów – zauważył Kaa. – Może już w tej chwili targuje się z nimi o cenę za sprzedaż „Streakera” i Jijo.

By się przed tym zabezpieczyć, Harry poprosił Kaa o przeniesienie naszego stateczka do stanowisk cumowniczych Instytutu Nawigacji, gdzie ukryliśmy go za jego łodzią o niezwykłym wyglądzie.

– Musicie zrozumieć, że w normalnej sytuacji z pewnością bym tak nie postąpił – wyjaśnił. – Złożyłem przysięgę. W pierwszej kolejności jestem winien lojalność Instytutowi i Cywilizacji Pięciu Galaktyk. – Wzruszył z rozmachem ramionami. – Ale teraz nie jest już jasne, co to właściwie znaczy.

Przyznaję, że gdy go słuchałem, trudno mi było się powstrzymać przed głośnym burkotaniem! Wiem, że nie powinienem być zaskoczony, widząc szympansa przemawiającego z podobnym spokojem i elokwencją. Zwłaszcza takiego, który stał dumnie, trzymał się prosto, miał eleganckie białe futro i ogon o godnej pozazdrosczenia zręczności. Najwyraźniej jego gatunek wiele skorzystał na kilku dodatkowych stuleciach genetycznego Wspomagania od czasów, gdy „Tabernacle” opuścił Ziemię, zabierając niemych kuzynów Harry’ego na Jijo.

– Tak czy inaczej – ciągnął major Harms – macie pełen zestaw bioidentyfikatorów Ro-kenna, zawarty w waszym raporcie dla Rady Terrageńskiej. Być może Rada wyśle w pościg za nim jednego ze swych osławionych agentów międzygwiazdnych. Jestem pewien, że sukinsyn w pełni zapłaci za swe zbrodnie.

To były śmiałe słowa. Nawet Huck dała się trochę udobruchać.

Jakie jest jednak prawdopodobieństwo, że okażą się prawdą, biorąc pod uwagę to, co słyszymy o oblężeniu Terry?

Nasza wspaniała drużyna zaczęła się rozpadać jeszcze przed śmiercią Koniuszka.

W zeszłym tygodniu Ur-ronn poznała grupę p’un m’angów, będących właścicielami frachtowca.

Te ptakopodobne stworzenia mają kolce zamiast skrzydeł i nie posiadają żadnych organów manipulacyjnych poza dziobami. Załoga popadła w poważne kłopoty. „Wynajęty pomocnik” porzucił statek i wrócił do domu na czas kryzysu.

Byli zachwyceni, że znaleźli na jego miejsce ursę, nawet jeśli Ur-ronn przyznała, że jej techniczne wykształcenie nie jest zbyt szczegółowe.

Ponieważ na głównych szlakach handlowych pilotowanie statkiem jest niemal całkowicie automatyczne, a większość rutynowych zadań wykonują roboty, załoga potrzebuje kogoś obdarzonego inteligencją oraz zręcznymi manipulatorami, kto będzie przenosił różne rzeczy, chodził w różne miejsca i naciskał dźwignie, gdy sprawa okaże się zbyt skomplikowana dla maszyn. To łatwa robota dla kogoś tak nieustrzonego jak Ur-ronn. Jej zręczne dłonie poradzą sobie z każdym zadaniem. Po tyranii dla Uriel w Kuźni Mount Guenn to będzie dla niej dziecinna zabawa.

Poprosiłem Twaphu-anuph, żeby rzucił okiem hoońskiego biurokraty na kontrakt, sprawdzając wszystkie szczegóły. Orzekł, że umowa jest w porządku. P’un m’angowie wysadzą Ur-ronn w trzecim odwiedzionym porcie. Uryjskie statki często się tam zatrzymują i będzie mogła się skontaktować z pobratymcami. Po drodze zdobędzie doświadczenie i zarobi trochę kredytów.

Mam nadzieję, że nie zamęczy swych biednych pracodawców na śmierć pytaniami.

– Frzynajmniej statek jest czysty i suchy – twierdziła po wizycie na pokładzie. – Nie na tej frzekłej frzez Ifni wilgoci, którą nusiałan znosić fo drodze tutaj! Foza tyn f’un n’angowie nie śnierzą tak faskudnie jak Zienianie!

Kaa odpowiedział dobrodusznie wzgardliwym prychnięciem. Podczas podróży z Czwartej Galaktyki oboje spędzali razem bardzo wiele czasu, rozmawiając o technologii i łagodząc nawzajem swe obawy. Wątpię, czy kiedyś ujrzę dziwniejszą przyjaźń niż ta, która połączyła kochającego wodę delfina z hydrofobiczną ursą.

– Wędę miała wszystkie troje oczu otwarte, wyfatrując zienskiego alwo tynwrńskiego statku, którenu nogławyn to frzekazać – zapewniła, poklepując torbę, którą miała pod lewą pachą. Znajdowała się w niej kopia zakodowanego raportu Gillian Baskin, przeznaczonego dla Rady Terrageńskiej.

(Ja również mam ukryty duplikat. Kto wie, któremu z nas uda się pierwszemu przekazać raport. Zakładając, że kosmos zechce nam to umożliwić... a Ziemia przetrwa).

Było mi smutno, kiedy Ur-ronn odchodziła z p’un m’angami. Żegnając się z drogą koleżanką, miałem ochotę unieść ją nad ziemię i uściskać na hooński sposób. Wiem jednak, że nasze gatunki inaczej patrzą na podobne sprawy. Ursy nie są skłonne do nostalgii ani sentymentalizmu.

Oczywiście, Ur-ronn kocha mnie i Huck na swój sposób. Być może od czasu do czasu wspomni nas z przelotną sympatią.

Ale jej życie wkrótce wypełni intensywna praca.

Nie będzie za nami tęskniła nawet w przybliżeniu tak mocno jak my za nią.

Tak to już jest.

Po odejściu Ur-ronn wrócił do mnie inny towarzysz.

Po całych midurach intensywnego przesłuchania Dwer wreszcie wycisnął ze Skarpetki to, co chciał usłyszeć. Mały noor w końcu przemówił, potwierdzając to, co podejrzewaliśmy już od dawna. Przed stuleciami Tymbrimczycy ulokowali na Jijo nielegalną kolonię swych ukochanych podopiecznych. Choć większość noorów jest niema i częściowo uwsteczniiona, ukryta wśród nich grupka zachowała pełen potencjał mentalny zrodzony ze Wspomagania. Są tytlalami.

Skarpetka zgodził się zdradzić Dwerowi kodowe słowa i frazy, które wywabią tytlali z ukrycia.

To była cena, której zażądał człowiek za zwrócenie mu wolności. Skarpetka zamierza teraz skontaktować się z Tymbrimczykami i poinformować ich o tym, co wydarzyło się na Jijo. Ponieważ ten cel jest kompatybilny z moim, mały noor wyruszy w drogę ze mną.

Dwer sprawia wrażenie usatysfakcjonowanego. W gruncie rzeczy, podejrzewam, że przede wszystkim chciał choć raz przechytryć Skarpetkę, nim wyruszą z Kaa w drogę powrotną na Jijo.

Nim wszystko się rozpadnie.

Pięć Galaktyk drży, gdy zbliża się chwila podziału.

Trzęsienia przestrzeni przybierają na intensywności. W ścianach starożytnej planetoidy pojawiają się wciąż nowe szczeliny. Staje się oczywiste, że nawet izolowany Kazzkark nie zapewni bezpiecznego azylu przed nadchodzącymi konwulsjami. Strumień uchodźców odwrócił już kierunek. Więcej statków i rozumnych istot opuszcza stację, niż na nią przybywa. Zakłócenia objęły już połowę normalnych szlaków gwiazdnych i wiele istot korzystało z pozostałych stabilnych tras, by wrócić do domu póki czas.

Wśród opuszczających Kazzkark wyróżniają się odziani w niebieskie i złote szaty akolici, głoszący dziwaczną wiarę. Skupia się ona na zbawieniu jednostek, nie gatunków, a centralną rolę w niej gra Ziemia, zwana światem męczennikiem.

Ta sekta twierdzi, że kocha Terę, lecz jednocześnie raduje się z jej ukrzyżowania.

Nie mam pojęcia, czy ten sam przekaz głosi się w milionie innych miejsc, czy też apostoł Skiano działa w pojedynkę. Tak czy inaczej, kult znajduje w tych niespokojnych czasach wielu wyznawców, Jego misjonarze ruszają w kosmos, by głosić swą wiarę, gotowi wykorzystać chaos, który wstrząsnął starożytnymi religiami.

W samym centrum tego wszystkiego jest Rety, grająca rolę głównej pomocnicy i majordomusa Skiano. Młoda ludzka kobieta nawet na odległej Jijo sprawiała wrażenie zupełnie niecywilizowanej, ale teraz – przeobrażona przez chirurgię plastyczną i nowy strój – rozkazuje nawróconym, nawet gwiazdnym wędrowcom z zaawansowanych gatunków, jak jakiś wyniosły władca ze starożytnej linii opiekunów.

A oni jej słuchają! Kłaniają się z szacunkiem, mimo że papuga siedząca na jej ramieniu wykrzykuje nieuprzejme, zgryźliwe uwagi.

Nigdy nie spotkałem człowieka, który okazywałby więcej pewności siebie, aroganckiego przekonania o własnym statusie.

Skiano tymczasem spaceruje powoli w kółko, w jednej z par jego oczu błyskają niesamowite światła, druga zaś wpatruje się w dal.

Rzecz jasna, Dwerowi nie udało się przekonać Rety do porzucenia grupy fanatyków. Nie ustąpiła nawet wtedy, gdy Harry Harms obiecał jej bilet na swój rodzinny świat, położoną daleko od obecnych kłopotów kolonię, gdzie mogłaby znaleźć wygodę i bezpieczeństwo wśród pobratymców.

Harry i Dwer okazują frustrację, ale, szczerze mówiąc, rozumiem nieugiętą determinację Rety. Nauczyła się, jak przyjemnie jest czuć się kimś ważnym i znaleźć akceptację tych, którzy cię cenią.

Podobnie jak ja.

Wkrótce będę musiał odłożyć dziennik. Dor-hinuf oczekuje mnie w domu rodziców. Członkowie miejscowej społeczności hoonów zbiorą się tam, aby zjeść kolację i recytować poezję. Na Jijo takie spotkania zdarzają się często, ale wśród moich kuzynów, gwiazdnych bogów, najwyraźniej uważa się je za prowokującą nowość.

Muszę przerzucić skrzynkę książek, które przywiozłem z domu, by wybrać coś na dzisiejszy

wieczór. Poprzednim razem czytałem Melville'a i Cousteau, ale najwyraźniej ludzcy pisarze niełatwo docierają do większości tych cywilizowanych hoonów. Pewnie minie sporo czasu, nim zdołam ich przekonać do Verne'a i Marka Twaina.

Najczęściej chcą, żeby burkotał ody Chuph-wuph'iwu i Phwhoon-dau, śpiewał melodramatycznie o wypełnionych wiatrem żaglach rozpiętych na mocnych masztach, o walce z wiatrem i słonymi bryzgami, gdy ostry jak nóż dziób śmiało przecina wzburzone wicherą wody. Ojciec byłby dumny, gdyby się dowiedział, że hooński renesans literacki na Jijo, od tak dawna zaćmiony przez ziemskich autorów, wreszcie znalazł wdzięcznych odbiorców wśród naszych odległych kuzynów wędrujących wśród gwiazd.

Bardzo mnie to cieszy, nie przestaję jednak zadawać sobie pytania, jak mogło do tego dojść?

Ileż w tym ironii! Huck i ja zawsze marzyliśmy o cudownych, romantycznych podróżach gwiazdolotami. Ale dla tych cywilizowanych hoonów statki kosmiczne są tylko środkami lokomocji – nudnymi narzędziami przewożącymi ich od jednego przydziału do drugiego w ramach rutynowego przeznaczenia wyznaczonego dla nas dawno temu przez naszych opiekunów, Guthatsa.

Dlaczego więc akurat teraz zapragnęli słuchać burkotów pełnych nadziei i radości? Czy chodzi o to, że na zewnątrz wzmagają się chaos? A może to zawsze w nich tkwiło, ukryte pod mroczną skorupą opresyjnego biurokratycznego niezadowolenia?

Czy rzeczywiście prosty obraz żaglowca wystarcza, by przebudzić coś ukrytego głęboko?

Jeśli tak, niewykluczone, że owa radość kryła się tam zawsze. Żaden cywilizowany hoon nie naraziłby się na śmierć albo kalectwo, wyruszając na morze. Samą tę myśl odrzucono by jako absurdalną. Rachunki się nie zgadzały. Moi niechętni ryzyku pobratymcy nigdy nie podjęliby takiej próby.

Poza tym, kto wśród nas umie pływać? Nic w naszym drzewie rodowym nie tłumaczy logicznie świerzbienia budzącego się w hoońskich kolcach na widok gór lodowych na burzliwym horyzoncie albo na melodyjny dźwięk lin i żagli śpiewających na wietrze niczym matka burkoczająca do dziecka.

Odkryliśmy to wszystko dopiero na Jijo, gdzie nasi przodkowie porzucili narzędzia gwiezdnych bogów, a także obowiązki i oczekiwania narzucone nam przez Guthatsa.

Trzeba jednak oddać sprawiedliwość naszym opiekunom. Chcieli dobrze. W końcu to im zawdzięczamy rozumność. Galaktyczne społeczeństwo narzuca surowe standardy i większość starszych gatunków ich przestrzega, prowadząc podopiecznych ku trzeźwej, odpowiedzialnej dorosłości. Guthatsa wykorzystali najsilniejsze cechy naszego gatunku – lojalność, obowiązkowość, poświęcenie dla rodziny – by skierować nas w wąski, ściśle wytyczony kanał roztropnej, obsesyjnej gorliwości.

Dopiero teraz Dor-hinuf i jej współbracia dowiedzieli się, że Guthatsa nas oszukali. Ukradli nam nasz największy skarb, który odzyskaliśmy dopiero dzięki wagarowaniu... ucieczce ze szkoły, by wyruszyć na rzekę.

Na Jijo, gdzie hoonowie wreszcie odzyskali to, co nam odebrano.

Nasze dzieciństwo.

LARK

Bramy do transcendencji najwyraźniej ukończyły już migrację, przesunęły się w nowe miejsca położone znacznie dalej od białego karła. Wszystkie ogromne igły krążyły teraz po zdecydowanie szerszych orbitach, nad zewnętrznymi granicami roju kandydatów.

Pokonały tylko niewielki – na kosmiczną skalę – dystans, ale spowodowały po drodze kolosalne zniszczenia.

Pod nimi znajdował się kipiący kocioł, pełen ognia i chaosu. Miliony potężnych gwiazdolitów rozpaczliwie walczyły o przetrwanie. Ich dobrze wyliczone spiralne trasy, już przedtem zaburzone przez fale chaosu, ogarnął całkowity rozgardiasz. Rozpadły się na niezliczone burzliwe wiry. Rezonansy silników krzyżowały się ze sobą, ich interferencja tworzyła pola wzajemnego przyciągania, które nagle kierowały gwiazdoloty ku sobie, gdy jedna gigantyczna arka, próbując uniknąć kolizji z drugą, nieuniknienie wpadała na trzecią.

W tłocznym leju rozjarzały się kolejne erupcje, zamieniające rozumną materię w ogień białej plazmy.

Jakby chciały jeszcze pogorszyć sytuację, tytaniczne igły podczas swej krótkiej podróży strzelały oślepiającymi wiązkami, które pochwyciły kilkadziesiąt gwiazdolitów, najwyraźniej wybranych przypadkowo, i powlokły je za bramami jak cieleta złapane na łąso. Ci z pominiętych, którzy otarli się przypadkowo o jedną z wiązek, natychmiast zmieniali się w parę.

Dlaczego? – zapytał Lark, przerażony tym widokiem. – Dlaczego to robią?

Liczył, że Ling mu to wytłumaczy, ponieważ żyła kiedyś wśród gwiazdnych wędrowców, a także poświęciła więcej czasu od niego na eksplorację Transcendentnej Siatki Danych. Tym razem jednak była tak samo zdumiona i przerażona jak on.

Nie... potrafię tego odgadnąć. Chyba że przyjęli już wystarczająco wielu kandydatów i doszli do wniosku, że nie potrzebują więcej... Albo może fale chaosu stały się za silne i musieli zrezygnować z wysyłania kolejnych pretendentów na wyższy poziom.

Mężczyzna potrząsnął głową, uwalniając się od jednego z symbiontów, który ostatnio się na niej zagnieździł i pożerał jego ostatnie mieszki włosowe.

Ale to nie tłumaczy tak brutalnej pogardy dla życia! Tam na dole są rozumne istoty! Biliardy rozumnych istot! Każda z nich należała do jakiegoś starożytnego gatunku, który przez wieki uczył się i doskonalił pilnie, żeby tu się dostać...

Ling ujęła Larka za ramię i pogłaskała go po nim, przytulając się blisko w poszukiwaniu ciepła, które dawało pocieszenie im obojgu.

Ale w porównaniu z Transcendentami są jak zwierzęta. Można ich poświęcić, jeśli ich zagłada będzie służyła wyższemu celowi.

Mężczyzna zamrugał kilkakrotnie.

Wyższemu celowi? Jaki cel mógłby usprawiedliwiać...

Przerwał nagle, gdy ujawniła się nowa obecność, poszukująca ich na mentalnych ścieżkach siatki. Wkrótce Lark poznał tego, kto kiedyś był jego nauczycielem... potem wrogiem... a teraz stał się po prostu przyjacielem.

X, zmodyfikowany traeki, przez pewien czas prowadził samodzielne poszukiwania, obecnie zaś chciał się podzielić ich wynikami.

Jophurzy stracili już nadzieję, że wrócą do swego klanu albo zdołają wykonać zadanie. Co

więcej, zdają sobie sprawę, że zostało im bardzo niewiele czasu. Wkrótce zwane przez was *Matką makrojestestwo*, którego częściami obecnie się staliśmy, dokończy podboju „Polkjhy”, wdzierając się do sekcji inżynierskiej, zamienionej przez byłą załogę w ostatnią redutę. Gdy to się wydarzy, przestaną być *Jophurami* – przynajmniej według swej wąskiej definicji. Postanowili, że przedtem dokonają dramatycznego, rozstrzygającego czynu. Ostatecznego aktu zemsty.

Lark skierował swój umysł na zewnątrz, wyobrażając sobie potężny ongiś okręt wraz z jego otoczeniem. Dzięki szczęściu albo nieprawdopodobnym umiejętnościom pilotów „Polkjhy” zdołał umknąć z roju kandydatów. Tylko pograniczne okolice dysku dzieliły ich od otwartego kosmosu, czarnego, pełnego gwiazd nieba, nadal od czasu do czasu marszczonego falami chaosu. Ścieżka z pozoru stała otworem i wabiła ich perspektywą ucieczki, ale ocalali członkowie załogi wiedzieli, że to niemożliwe. *Matka* wchłonie ich do swego hybrydowego wnętrza na długo przed dotarciem do pierwszego punktu transferowego. Zakładając, że nadawał on się jeszcze do użytku.

Płynne środowisko wypełniał pomruk silników, pobrzmiwający nutami niezachwianej determinacji. Lark wyczuł trajektorię „Polkjhy” i zorientował się, że okręt zmierza prosto na jedną ze świecących igieł!

Podczas walki i chaosu Jophurzy uparcie – wręcz obsesyjnie – trzymali się swego oryginalnego celu. Ani na moment nie stracili z oczu ziemskiego statku.

A teraz jest on na wprost przed nimi, wplątany w świetlną pajęczynę Transcendentów.

Lark przesunął swój punkt widzenia na zewnątrz, upewniając się, że wszystkie wielkie igły są otoczone przez schwyte statki, unieruchomione warstwami świetlistych sznurów. W siatce nie zdołał odnaleźć wyjaśnienia tych dziwnych poczynań, wkrótce jednak zauważył, że od jednego z uwięzionych gwiazdolotów odbija się echem słaby rezonans.

Coś znajomego.

Ling dołączyła do niego i wspólnie zaczęli się zbliżać do statku, aż wreszcie usłyszeli cichy trzask i w obwodach nagle zabrzmiały dźwiękowe regularności.

To był ludzki głos, smutny, ale pełen nieubłaganej determinacji.

– ...powtarzamy, nie wybraliśmy tego przeznaczenia. Nie jesteśmy prawomocnymi członkami roju kandydatów. Nie należymy też do emerytowanej kategorii życia. Nie mamy nic wspólnego z Objęciem Pływów i nie pragniemy obecnie doświadczyć żadnej postaci transcendencji. Obowiązek wzywa nas z powrotem do Drugiej Galaktyki. Proszę, pozwólcie nam odlecieć! Pokornie błagamy o pozwolenie opuszczenia tego skazanego na zagładę miejsca, dopóki jeszcze jest czas. Raz jeszcze powtarzamy, nie wybraliśmy tego przeznaczenia...

Lark poczuł mentalne dotknięcie traekiego, dzielącego się z nim myślami, które zdawały się pełzną jak gładkie rzeczułki skapującego wosku.

To bardzo interesujące. Najwyraźniej Terran wybrano do jakiegoś zaszczytnego zadania. Jakiejś misji albo usługi uznanej za godną przez najwyższe umysły. A mimo to pragną się uchylić od tego zaszczytu i wrócić do rozpaczliwej ucieczki przez świat pełen żalu i niebezpieczeństw! Tymczasem ocalali Jophurzy skierowali „Polkjhy” do szarzy, kierowani tylko jedną myślą – odmówić Ziemianom smaku transcendencji, na którą nie zasłużyli! Zbliża się konfrontacja. Ciekawie będzie ją obserwować.

Lark doceniał dystans okazywany przez traekiego pomimo faktu, że najprawdopodobniejszym wynikiem owej konfrontacji było zamienienie „Polkjhy” w parę, rozgniecenie jak dokuczliwego komara przez niewyobrażalnie potężniejsze moce.

Zastanawiał się nad tym, jak uniknąć tego niepożądanego końca.

Ciekawe, czy udałoby się nawiązać kontakt ze „Streakerem” za pośrednictwem siatki.

Ling pokiwała głową.

Nie widzę przeszkód. Choćby tylko na parę chwil.

Ich traECKi przyjaciel był tego samego zdania.

Ja/my też mamy powody, aby tego pragnąć. Połączmy swe siły celem uzyskania połączenia.

HARRY

Gdy jedna z wielkich galerii na południowym biegunie rozpadła się nagle i kilka tysięcy bezradnych mieszkańców wypadło w śmiertcionośną próżnię, wysocy urzędnicy sprawujący rządy w Kazzkarku ustąpili wreszcie przed nieuniknionym i wydali długo oczekiwany rozkaz ewakuacji.

– Moje poszukiwania w najstarszych, najlepiej chronionych przed dwuznacznościami archiwach Wielkiej Biblioteki sugerują, że podczas Upadku Gronińskiego zapewne panowały podobne warunki – wyjaśnił Wer'Q'quinn, gdy Harry zgłosił się po kolejny przydział.

Obserwowali z wysoko usytuowanego balkonu w budynku Instytutu Nawigacji tłumy płynące głównymi arkadami ku różnym punktom wyjścia. Wszyscy zmierzali ku gwiazdolotom, którymi tu przylecieli. Wer'Q'quinn poruszał ospale nibynóżką, nie przestając kontemplować przeszłości.

– Wówczas, podobnie jak teraz, Instytuty początkowo wszystkiemu zaprzeczały. Później, na polecenie wyższych kategorii życia, ukrywały prawdę przed większością naszej cywilizacji, aż wreszcie było już za późno na skoordynowane przygotowania. W gruncie rzeczy tym razem powtórzyłby się identyczny scenariusz, gdyby nie ostrzeżenie nadane niedawno z Ziemi. Bez niego większość gatunków w Pięciu Galaktykach nie miałaby czasu na przygotowania.

– Mnóstwo klanów postanowiło zignorować ostrzeżenie – poskarżył się Harry. – Niektóre były zbyt zajęte atakowaniem Ziemi, żeby go wysłuchać.

Na chwilę zapadła pełna przygnębienia cisza.

– Nie sądzę, by wszystkie te przestrzenne zaburzenia mogły wpłynąć na oblężenie Ziemi, prawda? – zapytał wreszcie szympans.

Wer'Q'quinn skierował na niego kałamarnicowate oczy, jakby wypatrywał znaków słabnięcia lojalności.

– To faktycznie nie wydaje się prawdopodobne – przyznał. – Według naszej oceny nawet do trzydziestu procent punktów t w Drugiej Galaktyce zachowa przynajmniej częściową funkcjonalność. Oczywiście, w szczytowym punkcie kryzysu metryczna reakcja wstrząśnie wszystkimi poziomami hiperprzestrzeni. Biada każdemu statkowi, który spróbuje wtedy pseudoprzyśpieszenia! To jednak raczej nie powinno przeszkadzać potężnym okrętom, które już w tej chwili otaczają twój ojczysty układ planetarny. Nic im nie zgrozi, pod warunkiem że pozostaną w normalnej przestrzeni i powstrzymają się przed użyciem broni prawdopodobieństwa, dopóki zaburzenia się nie skończą. Rzecz jasna, w Czwartej Galaktyce spodziewamy się znacznie poważniejszych efektów.

Szympanś pokiwał głową.

– I dlatego tam właśnie mnie wysyłasz.

– Chcesz się wycofać? Znajdziemy innego kandydata.

– Naprawdę? Ciekawe, kto się zgodzi polecieć w takich warunkach do przestrzeni E?

Odpowiedzią Wer'Q'quinna była wymowna cisza. Z tych, którzy mu pozostali, tylko Harry posiadał doświadczenie i talent niezbędne, by liczyć na sukces w dziwnym królestwie żywych idei.

– Kurde – mruknął szympans – czemu by nie, he? Mówisz, że powinno mi wystarczyć czasu na rozmieszczenie nowych pakietów instrumentów wzdłuż Alei, stąd aż po Czwartą Galaktykę i powrót przed rozpoczęciem kryzysu?

– To będzie trudne – przyznał Wer'Q'quinn. – Niemniej uzupełniliśmy nasze tradycyjne szacunki nowymi przybliżeniami, uzyskanymi za pomocą wynalezionych przez dzikusów matematycznych

inkantacji zawartych w przekazie z Ziemi. Obie metody dają te same wyniki. Nie powinno dojść do wielkiego rozdarcia przed twoim bezpiecznym powrotem.

Raz jeszcze zapadła długa cisza.

– Oczywiście, i tak bym poleciał – mruknął wreszcie Harry.

Wer'Q'quinn westchnął cicho i podkulił nerwowo macki.

– Wiem o tym.

– Dla Pięciu Galaktyk – dodał szympans.

– Tak. – Głos jego szefa zadrżał. – Dla Cywilizacji... Pięciu Galaktyk.

Przez bulwary Kazzkarku przewalił się już szczyt exodusu. W odpadkach pozostawionych przez ewakuujących się w pośpiechu uchodźców grzebali poszukiwacze cennych drobiazgów. Harry'emu towarzyszył unoszący się w powietrzu robotragarz niosący kapsuły przeznaczone do pozostawienia w przestrzeni E. Telemetryczne pomiary przeprowadzone przez te instrumenty mogą ujawnić nowe informacje na temat sił rozdzierających tkankę łączną przestrzeni. Być może następnym razem – za jakieś sto milionów lat – podobne sprawy będzie się rozumiało nieco lepiej.

A następny raz nadejdzie. W miarę rozszerzania się wszechświata coraz więcej starożytnych „skaz” łączących ze sobą galaktyki będzie się rozciągało, aż wreszcie pęknie. Po każdym podobnym podziale liczba ocalałych punktów t będzie mniejsza, a dostęp do szybkich hiperprzestrzennych tras coraz trudniejszy.

Starzejący się kosmos staje się coraz mniej interesującym i bardziej niebezpiecznym miejscem. W epoce Przodków wszystko z pewnością wydawało się bardzo łatwe i bliskie – pomyślał Harry.

– To były magiczne czasy i wyczarowanie ścieżki między dwoma dowolnymi punktami w siedemnastu połączonych ze sobą galaktykach wydawało się niemal trywialnym zadaniem.

Rozprostował ramiona.

No trudno. Przynajmniej mogę uczestniczyć w czymś ważnym, nawet jeśli Wer'Q'quinn zbyt optymistycznie ocenia moje szanse powrotu do domu.

Gdy Harry przybył tu ze szkoły, Kazzkark wydawał mu się nieskazitelnie czysty. Teraz korytarze spowiła mgiełka unoszącego się w powietrzu pyłu, wyrwanego ze ścian przez trzęsienia planetoidy i fale chaosu, z narastającą częstotliwością nawiedzające cały sektor. Stały się teraz tak częste, że Harry niemal przestał je zauważać.

Najlepszy dowód na to, że nawet nienormalność może z czasem wydać się normalna.

Po drodze do portu zauważył liczną grupę hoonskich urzędników z rodzinami. Wszyscy dźwigali bagaże albo ciągnęli za sobą wózki poduszkowe, czekając na wejście na pokład transportowca odlatującego na jeden z należących do nich światów. Kolejka była uporządkowana, czego należało się spodziewać po hoonach, niemniej Harry zauważył coś dziwnego. Wszyscy sprawiali wrażenie mniej ponurych, bardziej ożywionych niż ich pobratymcy.

To ich ubrania – uświadomił sobie nagle Harry. – Alvin namówił ich do włożenia hawajskich koszul!

W rzeczy samej, mniej więcej jedna trzecia potężnych dwunogów zrezygnowała z typowych szat w nudnym białym albo srebrnym kolorze, zastępując je tunikami pokrytymi barwnymi nadrukami przedstawiającymi kwiaty i tropikalne paprocie. Stroje rozcięto na plecach, aby zrobić miejsce dla sterczących kręgow. Hoonowie burkotali, stojąc cierpliwie w kolejce, i pobliski korytarz wypełniały echa znacznie żywsze od trenów typowych dla tego gatunku.

Harry aż się potknął, usłyszawszy jedną z melodyjnych fraz szóstego galaktycznego.

Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, przysięgłbym, że to tłumaczy się na anglicznie jako „hej

ho!”.

Niektórzy starsi hoonowie spoglądali na to wszystko z wyraźnie zdziwionymi – a nawet urażonymi – minami, ale z przodu stała grupka młodzieży – nastolatków, zauważył Harry – którzy rycieli refren z entuzjazmem, wydymając worki podgardlane, radosną balladę o zmianie i zmierzaniu ku nowym perspektywom.

W samym rogu, za hoonami, stała dziwna, powłócząca nogami postać przypominająca niskiego, obdartego Jophura. To był Tyug, traECKI alchemik z Jijo, towarzyszący Alwinowi w następnej fazie jego przygód.

Przechodząc obok, Harry spróbował spojrzeć chłopakowi w oczy, ale ten całkowicie się pogрузił w swej roli młodego wieśniaka, który przybył do miasta, by trochę je rozruszać. Dor-hinuf stała obok, a na szerokich ramionach Alvina wylegiwały się dwa tytlale. Alvin opierał się o luźno owinięty w brezent kufer. Udawał nonszalancję, ale jednocześnie bardzo uważał na jego zawartość.

Na oczach Harry’ego brzeg tkaniny uniósł się nagle i z ciemnego wnętrza wysunęło się oko na kołyszącej się szypułce. Drugie spróbowało podążyć za nim, by przyjrzeć się otoczeniu.

Nie przerywając burkotu, Alvin wyciągnął muskularną rękę, złapał niesforne oczy i wepchnął je do środka. Potem zawiązał szczelnie brezent. Kufer zadrżał, jakby ktoś w środku przetaczał się z boku na bok na znak protestu. Młody hoon jednak wsparł się tylko na skrzyni całym ciężarem ciała i po chwili wszystko się uspokoiło.

– Ahoj! – zawołał inny hoon, stojący na czele, gdy wreszcie otworzyła się bramka prowadząca do ich statku. – Cisza tam na rufie! Odpływamy!

Harry bardzo się starał. Wytężył wszystkie siły i zdołał przejść pięćdziesiąt metrów, nim jego obolałe boki nie mogły już znieść więcej. Potem schował się za kamiennym rogiem, osunął się pod najbliższą ścianę i ryknął głośnym śmiechem.

Oficjalny Port był niemal całkowicie opustoszały. Dygnitarze z Biblioteki, Instytutu Migracji, Handlu oraz Wojny opuścili już planetoidę, pozostawiając puste stanowiska cumownicze. Tylko pracowite ekipy Wer’Q’quinna pozostały na posterunku, organizując wyprawy ratownicze albo rozmieszczając wskaźniki pozwalające gwiazdnym wędrowcom omijać niebezpieczne strefy. To była szlachetna praca. Harry mógłby pożyteczniej spędzić czas, pomagając ratować życie podróżnych i łątać poszarpaną tkaninę galaktycznego społeczeństwa. Po rozdarciu Instytut Nawigacji będzie musiał wspierać odrodzenie przez wznowienie handlu.

Ale Wer’Q’quinn zachował mnie dla tej misji. Stara ośmiornica pewnie wie, co robi.

Na Harry’ego czekała jego czcigodna platforma obserwacyjna, przystosowana do wędrówek po memetycznych dżunglach przestrzeni E. Choć ta misja z pewnością będzie wyjątkowo niebezpieczna, szympans zorientował się, że przyśpieszył kroku, gnany dziwną niecierpliwością.

Nucił coś pod nosem. Nagle zauważył, że to ta sama melodia, którą Alvin i jego nowa rodzina burkotali przed odlotem.

Wyraźnie wpadała w ucho.

To była piosenka o radosnym oczekiwaniu.

W sam raz dla wędrowców.

Gdy szympans lądował na stateczek instrumenty otrzymane od Wer’Q’quinna, w planetoidę uderzyły kolejne fale chaosu. Starożytnie kamienne ściany jęczały od intensywnych wibracji. Pokłady i gródź statku drżały gwałtownie. Harry musiał uskoczyć na bok, gdy z górnej półki spadła niezabezpieczona skrzynia. Pseudograwitacja na Kazzkarku była bardzo słaba, zdołał więc uniknąć

zmiażdżenia, ale pojemnik pękł i delikatne części wysypały się na podłogę.

Zbierając je, słuchał głosu syreny, oznajmiającej, że gdzieś doszło do przebiccia. Sierść opadła mu dopiero po kilku durach. Najwyraźniej port zachował szczelność. Na razie.

Opuścił swój stateczek, aby odwiedzić solidną thennańską szalupę, cumującą tuż za nim. Przeszedł przez służę i wezwał krzykiem pilota.

– Kaa! Jesteś gotowy do odlotu? Zabieram się stąd za niespełna midurę. Nadal chcesz podążyć za mną?

Szary, gładkoscóry delfin wyszedł z kabiny pilota, poruszając się na sześcionożnej maszynie. Zaczynał okazywać zmęczenie. Minęło kilka tygodni, odkąd ostatnio miał okazję sobie popływać. Poza okresami odpoczynku spędzonymi w ciasnym zbiorniku z wodą większość czasu męczył się na leżance wędrownika.

– Nie mogę ssię doczekać – wysyczał pilot. – Niessstety, muszę tu czekać na powrót Dwera.

Harry rozejrzał się.

– A niech to – mruknął. – A dokąd on poszedł?

Odpowiedział mu inny głos, dobiegający z ulokowanego z tyłu wejścia. Wypowiadał angielskie słowa przypoehlebnym, niemal uwodzicielskim tonem.

– Proszę, proszę. Przypuszczam, że ludzki młodzieniec próbuje – tak jest, po raz kolejny! – przekonać swą żeńską odpowiedniczkę, Rety, by poleciała z nami. Czyż się ze mną nie zgadzasz?

Kiwei Ha'aoulin wyszła z jednej z maleńkich kabin, omijając stos zapasów unieruchomionych za pomocą siatki ładunkowej. Synthianka uparła się, że musi towarzyszyć Kaa, choć ostrzegali ją, że zapewne będzie to podróż w jedną stronę. W gruncie rzeczy każda kolejna przestroga zwiększała tylko jej determinację. Zaproponowała nawet, że sfinansuje zakup żywności oraz innych towarów, których potrzebował Kaa.

Nie wierzyła, że tak zwane wielkie rozdarcie jest blisko.

– Te zaburzenia przejdą – zapewniła beztrąsko. – Nie mówię, że wszystko wróci do normy. Instytuty i wielkie klany będą potrzebowały stuleci, aby przywrócić porządek, i przez ten czas nie będą zbyt stanowczo wymuszać przestrzegania drugorzędnych praw dotyczących małych kolonii przedterminowych osadników. Albo przemytu! Czujesz zapach kupieckiej szansy? Zostanę handlową agentką Jijo, tak jest! Zachowując pełną tajemnicę, będę działała jako pozaplanetarna łączniczka dla Sześciu albo Siedmiu Gatunków. Wszyscy się wzbogacimy dzięki sprzedaży na rynku kolekcjonerskim prymitywnych artefaktów produkowanych przez autochtonów!

Harry obserwował, jak chciwość walczy w niej z typową dla Synthian ostrożnością. Kiwei rozwiązała w końcu ten konflikt, stanowczo odrzucając jakąkolwiek możliwość, że zaburzenia mogą doprowadzić do fundamentalnych zmian w kosmosie. Harry czuł się winny z tego powodu, że ustąpił jej żądaniom, ale synthiańska handlarka była straszliwie uparta i potrafiła zameczyć wszelką opozycję. Zresztą Kaa potrzebował zapasów.

Kiwei przeszła nad prostą karykaturą wyrzeźbioną przez Koniuszka w metalowym pokładzie, mrozącą krew w żyłach podobizną mordercy, który zapewne opuścił już Kazzkark, by knuć kolejne intrygi.

– W rzeczy samej, Dwer poszedł po Rety. Przed paroma chwilami, gdy monitorowałam kanały komunikacyjne, nadeszła pilna wiadomość od chłopaka.

– Nic mi nie p... powiedziałaś! – oburzył się Kaa, uderzając gniewnie ogonem.

– Pilocie, byłeś zajęty sprawdzaniem list kontrolnych i tak dalej. Poza tym, planowałam osobiście ruszyć na odsiecz ludzkiemu młodzieńcowi! Chciałam okazać szczodrość, tak? Czy zechcesz mi towarzyszyć, majorze zwiadu Harms?

Harry skulił się z zakłopotaniem. Optymalne okno startowe nadchodziło za midurę. Ale jeśli chłopak miał kłopoty...

– Czy Dwer powiedział, na czym polega problem?

Synthianka potarła brzuch w nerwowym geście.

– Wiadomość była niejasna. Najwyraźniej sądził, że trzeba działać szybko, bo inaczej dziewczyna zginie.

Wytropili młodego Jijanina w pobliskim magazynie. Odziany w ciemny płaszcz chłopak przykucnął za stosem porzuconych skrzyń. Gapił się ze sfrustrowaną miną na grupę istot zgromadzonych w odległości około czterdziestu metrów.

Puste kontenery ozdobiono niebieskimi i złotymi draperiami, tworząc miło wyglądające tło dla wysokiego misjonarza Skiano. Wokół niego zebrało się ponad dwudziestu akolitów z takiej samej liczby gatunków. Głowa Skiano górowała nad tłumem na podobieństwo dziobu wielkiego statku. Jedna para oczu błyszczała nieustannie, jakby oświetlała drogę podczas ciepłej nocy.

Większość nawróconych rozproszyła się już na wszystkie strony, niosąc do najdalszych zakątków cywilizowanego kosmosu swą nadzwyczajną wiadomość o osobistym zbawieniu, ta grupka jednak pozostała przy swym przywódcy. Wszyscy śpiewali hymny, od których po plecach Harry'ego przebiegały zimne ciarki.

– Co tu się dzieje? – zapytał Dwera, przechodząc obok niego. Bardzo szybko wypatrzył drobną ludzką sylwetkę. Rety siedziała z dala od pozostałych, jej twarz skrywała poświata przenośnego komputera.

– Ostrożnie! – warknął Dwer. Złapał Harry'ego za kołnierz i pociągnął do tyłu.

– Hej – poskarżył się szympans, ale nagle w pobliską skrzynię uderzyło kilka pocisków małego kalibru. W powietrze posypały się drzazgi.

Harry zamrugał.

– Ktoś do nas strzela!

Dwer zaryzykował wyrznięcie zza rogu, a potem skinął na szympansa i Synthiankę, zapewniając ich, że mogą bezpiecznie do niego dołączyć. Wskazał na dwóch odzianych w niebieskie szaty akolitów – gello i Pahańczyka – którzy stali obok podium, spoglądając przed siebie z groźbą w oczach. Oba gatunki wychowano na wojowników i miały wrodzony talent do gwałtownych konfrontacji. Choć nawrócili się na religię pokoju, przydzielono im zadanie odpowiednie do ich uzdolnień. Gello trzymał w rękach pałkę o metalowym czubku, a Pahańczyk przytoczył sobie do ramienia proste urządzenie, ręczną katapultę podobną do tej, którą przedtem nosił Dwer.

– To ciekawe – twierdziła Kiwei. – Odkąd zabroniono im noszenia zaawansowanej broni, szybko zapoznali się ze sztuczkami dzikusów. Z pewnością to Rety ich tego nauczyła. Być może nowa wiara otworzyła nieco ich umysły.

Harry zbył ten głupi komentarz wzruszeniem ramion.

– Nie chcę, żebyśmy podchodzili bliżej. Dlaczego? – zapytał Dwera.

– Ostrzegali mnie, żebym przestał niepokoić Rety. Powiedzieli, że odciążam ją od wiary. Nie potrafią się zdobyć na zabójstwo świętego Ziemianina, ale ponieważ przeznaczeniem Terran jest cierpieć za wszystkich, nie zawahają się przed połamaniem mu paru kości. Na twoim miejscu byłbym ostrożny.

Frustracja Harry'ego rozjarzyła się jeszcze goręcej.

– Posłuchaj, Dwer, nie mamy wiele czasu. Rety postanowiła zostać z tymi, którzy będą ją kochać i dbać o nią. To znacznie więcej, niż dano większości istot w tym wszechświecie, a jej szanse wyglądają lepiej niż w przypadku, gdyby wróciła z nami. Pora jej pozwolić decydować za siebie.

– W normalnej sytuacji zgodziłbym się z tobą – odparł człowiek, kiwając głową. – Rety była strasznie uciążliwa. Z wielką radością pozwoliłbym jej podążyć własną drogą, jest jednak pewien problem. Sprawy mogą wcale nie wyglądać tak, jak je opisałeś.

– Tak? A to dlaczego? – zapytał Harry, unosząc brwi.

W odpowiedzi Dwer wyciągnął rękę.

– Popatrz na prawo, za podium. Widzisz coś? Za tą zasłoną?

Szympons westchnął raz jeszcze i wpatrzył się w powłóczystą kotarę z barwnej tkaniny, rozwieszoną między dwoma filarami tuż za pogrążonymi w medytacji zwolennikami Skiano.

– O czym ty gadasz? Nic nie...

Przerwał. Coś tam się poruszało. W pierwszej chwili sylwetka przypominała mu maszynę o kanciastych zarysach, wyposażoną w ostrza przeznaczone do cięcia. Wtem silniejszy powiew przycisnął zasłonę do obiektu, ujawniając ostry, przypominający modliszkę zarys.

– Szeffie Ifni... – wyszeptał Harry. – Dlaczego tam się ukrywa Tandu?

Jednego był pewien – żaden przedstawiciel tego gatunku nigdy by się nie nawrócił na herezję głoszoną przez Skiano! Nieśmiertelność jakiejś abstrakcyjnej „duszy” nie mogłaby się dlań równać atrakcyjnością z szansą zmiążdżenia wrogów i narzucenia opornemu wszechświatowi woli własnego gatunku. Do tej pory prawo i rytuał powstrzymywały podobne impulsy – Tandu rzadko zabijali otwarcie bez uzasadnienia w galaktycznym prawie. Co jednak się stanie, jeśli cywilizacja się załamie? Krążyły pogłoski o tajnych bazach wypełnionych niezliczonymi jajami wojowników, gotowymi do wyklucia się na dany znak.

– Dlaczego Pahańczyk i gello stoją tak spokojnie? – zastanawiał się na głos szympans. – Na pewno nie wiedzą...

– Wiedzą – przerwała mu Kiwei. – Popatrz. Cały czas zwracają się plecami do zasłony, jakby próbowali ignorować to, co się za nią kryje. Najwyraźniej wydano im rozkazy. Tego Tandu sprowadzono tu celowo!

Celowo? Harry pociągnął się nerwowo za kciuki. Nagle nasunęła mu się pewna myśl.

– Kiwei, podaj mi tabliczkę danych. Muszę coś sprawdzić.

Synthianka spełniła jego prośbę. Harry wymamrotał polecenia skierowane do ręcznej maszyny. Korzystając ze swych uprawnień, polecił programom wyszukującym odnaleźć przekazy nadane z komputera Rety. Jeśli szczęście będzie mu sprzyjało, wkrótce...

– Mam to! – oznajmił, jego towarzysze pochyliłi się nad urządzeniem. Na lewej połowie podzielonego ekranu pojawiła się młoda Jijanka. Jej rysy wygładziła niedawno przeprowadzona operacja. Po prawej mieli kopie obrazów, które tak całkowicie pochłoneły jej uwagę.

– I co teraz? – zapytał Dwer. – Wykorzystamy to połączenie, żeby z nią pogadać? Gwarantuję, że po prostu się wścieknie i przerwie rozmowę.

Harry wzruszył ramionami.

– Miałem nadzieję najpierw chwilę ją pospiegować. – Przyjrzał się obrazowi widocznemu po prawej. – To wygląda na listę światów, na które kult ostatnio wysłał misjonarzy. W większości to światy handlowe, o dobrych kontaktach przestrzennych i kosmopolitycznych kulturach, które nie prześladują odmiennych punktów widzenia. Ich mieszkańcy są bystrzy. Ale nie rozumiem, co to ma wspólnego...

Przerwał nagle, gdy na twarzy dziewczyny pojawił się wyraz samozadowolenia.

– Ta będzie idealna! – zawołała Rety z wyraźną satysfakcją.

Obraz się zakołysał, kiedy wstała i wsunęła komputer pod pachę.

Harry dostrzegł na chwilę niebieskie draperie oraz oblicza skulonych akolitów wpatrzonych w

jakieś odległe horyzonty. Scena znieruchomiała, kiedy dziewczyna się zatrzymała i przemówiła głośno, by przekrzyczeć szeptaną melorecytację:

– Panie, wybrałam miejsce dla siebie. Widzisz? Zaznaczyłam je tutaj!

Kamera przesunęła się w górę, ukazując na chwilę obraz kolorowej ziemskiej papugi chodzącej po potężnym barku misjonarza. Potem Rety wycelowała lepiej i na ekranie pojawiła się imponująca głowa Skiano. Jego broda przypominała taran, górna para oczu lśniła jak reflektory skierowane do potomności, dolna zaś wędrowała w poszukiwaniu ostatecznej prawdy.

– To Zornup! – ciągnęła Rety. – Jestem pewna, że o nim słyszałeś. Atmosfera i tak dalej jest w sam raz, więc będę tam zdrowa. Jest tam też ludzka placówka handlowa, na wypadek gdybym potrzebowała kontaktu z pobratymcami. To mało prawdopodobne, ale lepiej nie zamykać przed sobą tej możliwości, prawda? Tak czy inaczej wysłałeś tam już małą misję, ale widzę, że planeta leży w dobrym punkcie i mnóstwo kosmicznych szlaków prowadzi z niej we wszystkich kierunkach. Będziemy mogli wysyłać akolitów, których uda się nam zwerbować, na cały kosmos. Dlatego uważam, że Zornup zasługuje na apostoła wyższej rangi, tak? To znaczy, kogoś takiego jak ja! Polecę ostatnim komercyjnym wahadłowcem do Trzeciej Galaktyki. Odlot jest za pół midury, więc jeśli pozwolisz...

Niewzruszone oczy Skiano wreszcie nieco przygasły. Dolna para skierowała się ku dziewczynie.

– Zasługujesz na coś więcej niż taka placówka, moje drogie dziecko dzikusów. Nie pozwolę, aby skalaty cię codzienne zadania, takie jak nawracanie i oddychanie tym samym powietrzem co niewierni.

– Ale ja...

– Godnych oczekuje nagroda – ciągnął misjonarz odległym, namaszczonym tonem. – Tak powiedziano dawno temu waszym świętym i prorokom. Jezusowi, Izajaszowi, Mahometowi i Buddzie... w gruncie rzeczy wszystkim wielkim mędrcom waszego błogosławionego i przekłętego gatunku, który dzięki swym cierpieniom w mroku mógł ujrzeć to, czego nie dostrzegali wszyscy ci, którzy żyli w świetle.

– Wiem o tym, panie. Dlatego pozwól mi nieść słowo...

– Oczywiście, wszyscy ci prorocy popełnili błędy w zapisie tego, co widzieli. Jak mogli dokładnie zarejestrować podobną chwałę za pomocą prymitywnego atramentu i papieru, posługując się językami niewiele lepszymi od zwierzęcych chrząknięć? Niemniej przeznaczenie przemówiło. Od zapalonego przez nich światła zapłoną inne stosy i żar prawdy rozniesie się wszędzie, choć wszystko wokół nas legnie w gruzach.

– Zgadza się! A teraz pozwól mi...

– Niestety, ja nie ujrzę owej ziemi obiecanej, owej apoteozy. Jak Mojżesz, muszę się zatrzymać przed wejściem do doczesnej Walhalli. Moje starania umęczyły to biedne ciało. Czas już zgłosić się po nagrodę, którą obiecano mi we śnie. Ominąć rutynę czyścica i wstąpić prosto do rajów.

– Świetnie – odpowiedziała Rety, pośpiesznie i niespokojnie.

– Życzę szczęśliwej podróży. A teraz wróćmy do Zornupa...

– Wzywa mnie nagroda – ciągnął hieratycznym tonem Skiano. – Osobiste zbawienie znacznie lepsze niż Objęcie Pływów. Mimo to... nie potrafię się uwolnić od niespokojnych przeczuc. Czy zrobiłem wszystko, czego ode mnie wymagano? Co, jeśli po przybyciu do bram nieba przekonam się, że odźwierni nie poznają mojego dziwnego ciała i twarzy? Przez bardzo długi czas mieli do czynienia wyłącznie z Ziemianami, czy więc są gotowi wpuścić do nieba dusze innych gatunków?

Pokręcił masywną głową na boki.

– Nasunęła mi się myśl, że odźwierni będą przychylniej nastawieni, jeśli będzie mi towarzyszyła eskorta złożona z tych, którzy zgodzą się świadczyć na moją korzyść...

Obraz na ekranie zamigotał, jakby trzymające urządzenie ręce nagle się zatrzęsły. Rytmiczny śpiew osiągnął końcową kulminację i ucichł pośród ech.

– Ta „podróż”, o której mówiłeś... – zabrzmiał nerwowy, ochrypły głos Rety. – Nie wybierasz się na nową misję, prawda? Chcesz umrzeć!

Harry zadrżał, usłyszawszy odpowiedź.

– Opuścić tę powłokę, tak. W towarzystwie nawróconych, by dowieść, że jestem godzien nagrody... a także człowieka, prawdziwej dzikuski ze świata męczennika, która poświęci się za mnie przed aniołami i świętymi.

Dwer szarpnął szympansa za ramię tak mocno, że omal go nie przewrócił, a potem wyciągnął drugą rękę.

– Zasłona...

Kiwei wydała z siebie cichy jęk, gdy tkanina opadła, odsłaniając wojownika Tandu o królewskim wyglądzie Pokrywająca jego ciało farba, a także wyposażenie świadczyły, że istota przygotowała się na rytualną rzeź. Ruszyła ku akolitom, unosząc sześć kończyn, w których ścisnęła błyszczące miecze.

Zamiast stanąć w obronie wiernych dwaj żołnierze – gello i Pahańczyk – dołączyli do ich ustawionej w łuk za plecami przywódcy grupy i czekali spokojnie.

Rety, szarpnięta się w niewzruszonym uścisku Skiano, zeszywniała nagle i zakrzyknęła cicho, gapiąc się przed siebie z przerażeniem i bojaźnią. Papuga krążyła z wrzaskiem nad nimi.

– Wezwij roboty policyjne! – zażądała Kiwei. – Ta ceremonia nie jest w pełni dobrowolna. Jestem gotowa to poświęcić!

A co to da? – pomyślał Harry, pędząc za szybszym Dwerem. – Prawo przestało tu funkcjonować. Zresztą pomoc i tak nie przybyłaby na czas.

Prowadziło to do bardzo ważkiego pytania: co właściwie zamierzali z Dwerem osiągnąć, biegnąc ku scenie ceremonialnego szatkowania przez Tandu, poza dołączeniem do ofiar?

Jijański młodzieniec zatrzymał się tylko dwadzieścia metrów przed grupką wiernych. Odrzucił płaszcz na bok, wyjął kompozytowy łuk przywieziony z dalekiej ojczyzny i nałożył strzałę na cięciwę.

– To moje! – wrzasnęła Synthianka, która została daleko z tyłu. Kradzież oburzała ją znacznie bardziej niż rytualny mord-samobójstwo. – Zabrałeś je z mojego przedziału. Masz mi je natychmiast zwrócić albo złożę skargę!

W czasie, który zajęło Kiwei wygłoszenie tej absurdalnej groźby, Tandu zdążył podejść do wyznaczonych ofiar i unieść kilka mieczy, Dwer zaś wypuścił trzy strzały jedną po drugiej.

Harry wyciągnął rękę do młodego myśliwego.

– W ten sposób nic nie wskórasz przeciwko Tandu! Oni nie mają słabych punktów, w które mogłyby...

Przerwał nagle. Małe pociski zboczyły niespodziewanie z trasy i zamiast uderzyć w kata, przeleciały w sporej odległości obok niego i trafiły w Skiano! Dwoje ciemnych oczu zgasiły zakończone kamiennymi grotami drzewce. Trzecia strzała zniknęła w otwartych do krzyku ustach misjonarza.

Białymi rękami Skiano targnęły konwulsje. Przez chwilę tylko jedna z czterech trzymała Rety. Dziewczyna wbiła zęby w zaciśniętą dłoń, wyrwała się ze słabnącego uścisku i pochyliła się nagle, by nie złapał jej Pahańczyk. Potem skręciła w niespodziewanym kierunku i przemknęła między

patykowatymi nogami Tandu!

– Tutaj! – zawołał Harry, machając rękami. – Uciekaj!

Tandu wydał z siebie przerażający dźwięk. Wynajęto go pod określonymi warunkami i miał tylko broń odpowiednią dla ceremonialnej ofiary religijnej. Nic nie wspomiano o oporze. To równało się złamaniu kontraktu!

Korytarzami Kazzkarku poniósł się ryk istoty, wzywającej towarzyszy, aby przybyli i pomścili zniewagę, jeden z mieczy uderzył, odcinając głowę Pahańczyka.

Krzepki wojownik gello zareagował odruchowo, łamiąc obitą metalem pałką jedną, a potem drugą z przednich nóg Tandu, nim jego również przeszył ostry jak skalpel oręż. Tymczasem dwaj kolejni akolici – latający glououvis i zyu8 o pazurzastych stopach – również stracili z oczu cel całego zgromadzenia. Przypomniawszy sobie o starożytnej nienawiści, rzucili się na Tandu. Dziobali go z góry i z dołu, uchylając się przed przeszywającymi powietrze ostrzami.

Pośród tego pandemonium Dwer nie przestawał wypuszczać strzał, eliminując jedną po drugiej zmysłowe szypułki wielkiego modliszkowatego stworzenia.

Szympanś chciał mu powiedzieć, żeby oszczędzał amunicję. Taka taktyka rzadko okazywała się skuteczna przeciwko Tandu. W tej samej chwili Rety wydostała się jednak z tłumu i pobiegła ku brzegowi podwyższenia. Czując, że wolność jest blisko, postawiła dwa długie kroki naprzód, przygotowując się do skoku.

Harry'ego ścisnęło nagle w gardle, gdy zobaczył, że Tandu wyciągnął ku niej kończynę. Z ostrej jak brzytwa klingi skapywała już różnobarwna posoka.

Wtem ponownie uderzyły fale chaosu. Podłoga zadrżała, podskakując niczym ranione zwierzę. Ze ścian posypały się tumany pyłu. Barwne sztandary załopotwały na wzmagającym się wietrze. Z oddali dobiegło wycie syreny.

Szympanś zakołysał się na nogach, patrząc bezradnie, jak Rety zachwiała się na skraju niestabilnego podwyższenia, a potem runęła w dół, wymachując rozpaczliwie kończynami.

Popędził jej na pomoc, choć wiedział, że przybędzie za późno.

Po chwili usłyszał jednak, jak uderzyła w nawierzchnię. Rety nigdy nie dawała za wygraną. Nie rozplakała się ani nie jęknęła. Nie zamierzała sprawiać wszechświatowi żadnej satysfakcji, a już z pewnością nie przez uskarżanie się na pecha.

GILLIAN

Lucyfer znaczy „niosący światło”.

Ta myśl przybyła nieproszona, w chwili, gdy przez pobliskie okno do środka napłynęła poświata, padająca na jej twarz.

Anioły są świetliste... ale nie zawsze dobre.

Widok, który miała przed sobą, przypominał Gillian, ile pięknych i przerażających rzeczy zdążyła już zobaczyć w ciągu ostatnich miesięcy i lat. A także, ilu głęboko zakorzenionych przekonań była zmuszona się wyrzec.

Na przykład przypominała sobie chwilę, gdy w krętych wnętrzościach punktu transferowego ziemską załogę stanęła przed Wielkim Selektorem, przesiewającym niezliczone gwiazdoloty, by wybrać spośród nich te, których przeznaczeniem będzie transcendencja. Ogromna świetlista zjawa przywodziła jej na myśl potężnego serafina, oddzielającego w dzień sądu zbawionych od potępionych. Nikt nie zdziwił się bardziej niż ona, gdy jarząca się oślepiającym blaskiem kula energii zidentyfikowała „Streakera” w tłumie statków i odłożyła go na bok dla jakiegoś celu, którego Selektor nie raczył im wyjaśnić.

Być może teraz go poznamy – pomyślała. W rzeczy samej tamtego „anioła” łączyło wyraźne podobieństwo rodzinne z ogromną, igłopodobną bramą, która wzięła „Streakera” do niewoli, oplatając go miłosnym uściskiem świetlistych witek, razem z kilkudziesięcioma innymi gwiazdolotami. To zachowanie nieprzyjemnie kojarzyło się Gillian z pajakiem, owijającym smakowite kąski w swą nić, aby zachować je na później.

Pozostałe schwyte statki bez wyjątku były olbrzymimi arkami wypełnionymi połączonymi ze sobą tlenowymi i wodorowymi formami życia. To byli prawdziwi kandydaci do transcendencji, wyrwani z wiru otaczającego białego karła. W porównaniu z nimi „Streaker” był maleńki jak gąsienica wśród piłek plażowych. Niemniej jego również okryła powłoka świecących, skłębionych nici.

– To nieznan material – twierdził Hannes Suessi. – Nasze instrumenty nie potrafią nawet przeprowadzić porządnego odczytu.

– *Ktoś mógł planować to dla nas od samego początku* – domyślał się Niss. – *Jeszcze we Fraktalnym Świecie. Niewykluczone, że powłoka, którą tam otrzymaliśmy, miała służyć jako bufor, czy może klej, między naszym kruchym metalowym kadłubem a ową tajemniczą substancją.*

Gillian potrząsnęła głową.

– Może to tylko inny rodzaj pancerza.

Na kilka sekund zapadła cisza. Wszyscy spojrzeli na skierowany ku tyłowi ekran. Najwyraźniej nasunęła im się ta sama złowieszczą myśl.

Wkrótce coś się wydarzy. Coś, co będzie wymagało „osłony” na niewyobrażalną dotąd skalę.

Przynajmniej wydawało się, że niedawna orgia zniszczenia dobiegła wreszcie końca. Miliony statków, które niegdyś posuwały się naprzód w procesji złożonej z równych szeregów i kolumn niczym uprzejmi pielgrzymi szukający odkupienia w świątyni, zderzyły się ze sobą i rozbiły na drobne kawałeczki. Teraz tylko od czasu do czasu rozbłyskiwało światelko informujące, że kolejny „kandydat”, który zdołał przetrwać tak długo, uległ w końcu siłom, jakie przedtem sproszkowały miliony innych, zostawiając po nich tylko gaz, pył i jony.

Starożytną dogasającą gwiazdę otaczał skłębiony lej, przesłaniający mały biały dysk czarnymi wstęgami pyłu i skłębioną mgiełką.

Według Zub'dakiego ta wzburzona chmura miała szczególne właściwości dynamiczne. Nie będzie okrążyła gwiazdy długo ani nawet opadała na nią stopniowo po spirali w ciągu tygodni albo lat.

– Burza odpadków ma prawie zerowy moment pędu – oznajmił delfini astronom. – W miarę kontynuowania kolizji rozmaite prędkości obwodowe zredukują się. Gdy to się wydarzy, cała masa spadnie na gwiazdę, niemal jednocześnie!

Zapytany, kiedy dojdzie do tej katastrofy, delfini uczoney odpowiedział:

– Niedługo. A gdy to się ssstanie, znajdziemy się w punkcie zerowym największego widowiska w całym kosssmosie.

Gapiący się na mroczne tornado, zawierające obrócone w pył nadzieje niezliczonych gatunków oraz indywidualnych osobników, towarzysze Gillian świetnie zdawali sobie sprawę, że przedstawienie wkrótce się zacznie. Akeakemai zagwizdał z niedowierzaniem, wracając do pierwszego pytania Gillian.

– Pancierz chroniący przed... tym, co nadchodzi?

Delfin porzucił anglic, by wyrazić swe wątpliwości w troistym.

* *Gdy wielcy bogowie,
* W swej mocy,
* Zaczynają wierzyć,
* We własne slogany...*

* *Albo w swą mądrość,
* Nieomylną,
* Czy też moc,
* Niezwyciężoną...*

* *Wtedy natura,
* Mądra i cierpliwa,
* Udziela bóstwom,
* Nauczki...*

* *Wtedy natura,
* Bystra i rozumna,
* Wskazuje każdemu z nich
* Ograniczenia...*

* *Wielcy Śniący muszą,
* Mknąc na grzbiecie tsunami!
* Dla Transcendentów?
* Supernowa!*

Gillian pokiwała głową z uznaniem. To była bardzo dobra delfinia metaforyka.

– Creideiki byłby dumny – twierdziła.

Akeakemai uderzył ogonem, skrępowany pochwałami.

** Ironiczna poezja jest łatwa. **

– Wybaczcie, że niewiele wiem o fizyce gwiazd, ale próbowałam się jej nauczyć, więc przekonajmy się, czy dobrze to rozumiem – odezwała się Sara Koolhan. – Kiedy ta wielka wirująca chmura odpadów wreszcie się zapadnie, powiększy o dziesięć procent masę gęstego, gorącego białego karła. Gwiazdy, która już teraz jest bliska granicy Chandrasekhara. Większość nowego materiału zostanie ściśnięta do nieprawdopodobnej gęstości i dojdzie w niej do błyskawicznych reakcji termojądrowych, co doprowadzi...

– *Do tego, co Ziemiańskie zwali kiedyś wybuchem supernowej typu I – wtrącił Niss, niezdolny się oprzeć zaprogramowanej potrzebie przerywania. – Normalnie zdarza się to wtedy, gdy wielka ilość materii ściągnięta z sąsiedniej gwiazdy olbrzyma spada na pobliskiego białego karła. W tym jednak przypadku katalizatorem będą ciała jeszcze niedawno żyjących istot! Składająca się na nie substancja pomoże rozpalić stos, który przez chwilę powinien płonąć jaśniej niż cała galaktyka i być widoczny aż na granicach wszechświata.*

Gillian odnosiła wrażenie, że słyszy w głosie zbudowanej przez Tymbrimczyków maszyny nutę hysterii. Choć Nissa zaprogramowano tak, aby poszukiwał nowości i zaskoczenia, mógł właśnie osiągnąć granice swej wytrzymałości.

– Zgadza się, że szanse przetrwania podobnego wydarzenia są niewielkie, choćbyśmy nawet otrzymali najlepszą osłonę. Niemniej zbieg okoliczności wydaje się zbyt nieprawdopodobny, by go zignorować.

– Zbieg okoliczności? – zdziwił się Suessi.

– Moment pędu znosi się zbyt dokładnie. Transcendenci z pewnością to zaplanowali. Celowo wymordowali tych wszystkich kandydatów. Chcieli sprowokować eksplozję.

– I co dalej? Najciekawsze pytanie brzmi, dlaczego nasze atomy nie mieszają się teraz z atomami wszystkich tych robali, zwierzaków i innego tałatajstwa?

Gillian wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia, Hannes. Najwyraźniej mamy odegrać jakąś rolę. Ale jaką? Kto wie?

Według obliczeń Zub'dakiego do totalnego kolapsu miało dojść najwcześniej za dwadzieścia godzin. Być może nawet dopiero za kilka dni.

– Upadek może spowodować ciśnienie promieniowania, rosnące w miarę, jak gwiazda staje się coraz gorętsza – wyjaśnił delfin. – Cały processs zapłonu może się od tego zrobić chaotyczny. Chyba że na to też mają jakiś sposób.

Nie musiał tłumaczyć, o kim mówi. Świecąca pulsującym blaskiem igła-brama była tuż obok. Dorównywała długością średnicy ziemskiego Księżyca, a w sieci z tajemniczego półprzezroczystego materiału złapała kilkadziesiąt gwiazdolatów.

Usłyszawszy zapewnienie, że do nadejścia kryzysu zostało jeszcze trochę czasu, Gillian wróciła do swej kabiny. Chciała trochę odpocząć. Weszła do słabo oświetlonego pomieszczenia i zerknęła na starożytnego trupa, uśmiechającego się w szklanej gablocie.

– Wygląda na to, że nasze cierpienia nie potrważą już długo, Herb. Wreszcie zbliża się koniec, kres wszystkich naszych kłopotów.

Wychudły trup, rzecz jasna, nie odpowiedział ani słowem. Gillian westchnęła.

No cóż. Tom miał takie ulubione powiedzenie. Jeśli już musisz odejść, to przynajmniej...

– *To przynajmniej odejść z trzaskiem* – dokończył za nią czyjś baryton.

Gillian odwróciła się błyskawicznie i przykucnęła lekko. Serce tłukło jej z zaskoczenia. W

cieniu ktoś stał. Ktoś albo coś. Postać była wysoka i dwunożna, miała szerokie ramiona i postawę dobrze zbudowanego ludzkiego mężczyzny.

– Kto... kto tu jest? – zapytała.

– *Nikt, kogo musiałabyś się obawiać, doktor Baskin* – odparł głos o niesamowicie znajomym brzmieniu. – *Pozwól, że przejdę w światło.*

Kiedy tak zrobił, serce Gillian zamiast zwolnić zabiło jeszcze szybciej. Cofnęła się, unosząc prawą rękę na wysokość między gardłem a mostkiem.

– T... Tom? – zapytała głosem balansującym na krawędzi między nadzieją a strachem.

Widziała jego nieodłączny uśmiech, radosny jak u małego chłopca. Spokojną postawę człowieka gotowego na wszystko. Świetnie znane dłonie, tak bardzo biegłe w tysiącu różnych zadań.

Pochylił pytająco głowę o czarnych włosach z lekką nutą siwizny, jakby czuł się nieco rozczarowany jej reakcją.

– *Jill, czy jesteś aż tak łatwowierna, że wierzysz własnym oczom?*

Gillian starała się stłumić uczucia, zwłaszcza falę rozpaczliwej samotności, która zalała ją, gdy krótkotrwała nadzieja zgasła. Gdyby to rzeczywiście był Tom, dowiedziałyby się o tym na kilka różnych sposobów, nim jeszcze by go ujrzała. Mimo to jego znękana troskami twarz wyglądała bardzo realnie. Odcisnęły się na niej próby przyćmiewające te, przez które przeszła ona. Częścią jaźni pragnęła wyciągnąć rękę, aby go dotknąć. Choć na chwilę ukoić jego zmartwienia.

Nawet jeśli wiedziała, że to tylko kłamstwo.

– Nie... nie jestem aż tak naiwna. To chyba oczywiste, kim jesteś naprawdę. Powiedz, czy zaczerpnąłeś obraz Toma z mojego umysłu? Czy może...

Spojrzała na własne biurko, gdzie słabym blaskiem świecił hologram jej męża, a także podobizna Creideikiego oraz innych, których znała i kochała na Ziemi.

– *Jedno i drugie po trochu* – padła odpowiedź, gdy Gillian odwróciła się na chwilę. – *Korzystałem też z wielu innych źródeł. To podejście wydawało się obiecujące. Połączenie rozpoznania z napięciem i żalem. Mogło być nieco okrutne, ale sprzyjało skupieniu. Czy już jesteś skupiona?*

– Przyciągnąłeś moją uwagę – zapewniła, zwracając się w stronę gościa. Nagle wstrząsnęło nią kolejne zaskoczenie.

Tom zniknął! Jego miejsce zajął Jacob Demwa, stary przewodniczący Wywiadu Terrageńskiego, który mocno naciskał na rzecz wysłania na wyprawę gwiazdolotu z załogą złożoną z delfinów. „Streaker” był jego dziełem w takim samym stopniu co Creideikiego. Na ciemnej, stwardniałej skórze mężczyzny odcisnęły się ślady wieloletnich lotów w głębokim kosmosie, gdy wędrował między licznymi przyczółkami Ziemi, walcząc o powstrzymanie losu spotykającego większość dzikusów.

– *To dobrze* – rzekł gość głosem przypominającym głos starego Jake’a... choć brakowało w nim części nut zrzedliwego humoru.

– *Ponieważ mogę poświęcić tej rozmowie jedynie drobną część swej świadomości. Jest też wiele innych zadań, które muszę bezzwłocznie wykonać.*

Gillian pokiwała głową.

– Wyobrażam to sobie. Musicie być okropnie zajęci mordowaniem bilionów istot rozumnych po to, by na krótką chwilę zapalić kosmiczną pochodnię. Powiedz mi, dla jakiego celu zginęły te wszystkie biedne stworzenia? Czy to była religijna ofiara? Czy może coś bardziej praktycznego?

– *A czy trzeba wybierać? Można by powiedzieć, że to było trochę tego i trochę tamtego. Albo ani jedno, ani drugie. Te pojęcia trudno jest wyrazić za pomocą waszego dyskursywno-*

symbolicznego języka.

Z jakiegoś powodu Gillian spodziewała się podobnej odpowiedzi.

– Pewnie masz rację. Dziękuję przynajmniej za to, że nie użyłeś takich terminów jak „prosty” czy „prymitywny”. Inni nieraz już przypominali nam, jak nisko stoimy w hierarchii życia.

Podobizna Jacoba Demwy uśmiechnęła się, ukazując zmarszczki we wszystkich właściwych miejscach.

– *Jesteś rozgoryczona. Po waszych poprzednich kontaktach z tak zwanymi Prastarymi Istotami trudno mieć o to do ciebie pretensję. Owe stworzenia były niewiele starsze od was i niewiele więcej wiedziały. Niedojrzałe dusze często okazują arogancję znacznie większą, niż usprawiedliwiałyby to ich osiągnięcia. Starają się podkreślić fakt, że zaszli wysoko, poniżając tych, którzy są tuż pod nimi. W swym dzienniku umieściłaś porównania do mrówek krzątających się pod stopami rozdeptujących ich nieświadomie bogów. Doktor Baskin, każdy naprawdę zaawansowany umysł potrafiłby czuć empatię nawet do „mrówek”.*

Oddzielając małą część siebie od całości, mogę rozmawiać z tobą w ten sposób. Wyrozumiałość nie kosztuje wiele i czasem warto ją okazać.

Gillian zamrugnęła, nie wiedząc, czy powinna się czuć wdzięczna, czy urażona.

– Twoja koncepcja wybiórczej wyrozumiałości brzmi... przerażająco.

Replika Demwy wzruszyła ramionami.

– *Na niektóre sprawy nic nie można poradzić. Te złożone istoty, które niedawno zginęły i których masa wraz z innymi atrybutami składa się obecnie na gęsty obłok wirujący na granicy zagłady, swą śmiercią przysłużą się celom o kluczowym znaczeniu znacznie skuteczniej, niż mogłyby to zrobić jako młodszy rangą Transcendenci. Tu i w wielu innych miejscach znanego kosmosu zapalą światła przewodnie w krótkiej chwili, gdy przeznaczenie otworzy okno pozwalające niebom na rozmowę.*

Gillian zmarszczyła czoło w intensywnym skupieniu.

– Światła przewodnie? Dla kogo miałyby być przeznaczone? Transcendenci już teraz panują nad wszystkim w Pięciu...

Przerwała nagle.

– Na zewnątrz? – próbowała zgadnąć. – Chcecie się skontaktować z innymi, którzy mieszkają poza Pięcioma Galaktykami?

Demwa mruknął z aprobatą.

– *Widzisz? Proste rozumowanie nie jest takie trudne, nawet dla mrówki! W rzeczy samej, celem tego zakrojonego na wielką skalę przedsięwzięcia jest nadanie krótkich wiadomości z jednej lokalizacji we wszechświecie do drugiej. Pozdrowienia zapisanego przez nas w potężnej erupcji światła, która wkrótce rozbłyśnie w tym miejscu, jaśniej niż cała galaktyka.*

– Ale...

– *Ale! Chciałaś stwierdzić, że przecież mogliśmy to zrobić w dowolnej chwili! Że istoty takie jak my mogą bez trudu zapalać supernowe, jakby były zwykłymi reflektorami. To prawda! Co więcej, ta metoda jest zbyt powolna i pełna szumów, by pozwolić na prawdziwą rozmowę. W sumie to tak, jakbyśmy wykrzyczeli do wszechświata: „Tu jesteśmy!”. Co więcej, przygniatająca większość sąsiednich galaktyk jest pogrążona w tajemniczym milczeniu albo produkuje emanacje zbyt dziwaczne i tajemnicze, byśmy mogli cokolwiek z nich zrozumieć, nawet przy użyciu naszych najlepszych symulacji. Tak czy inaczej, zagadki nie da się rozwiązać przez rozmowę na dystans za pośrednictwem powolnych fal świetlnych.*

Chcąc uniknąć przenikliwego spojrzenia fałszywego Demwy, Gillian wbiła wzrok w

przeciwległą ścianę i zamyśliła się głęboko.

– Idę o zakład, że to wszystko ma jakiś związek z wielkim rozdarciem, które przewidziała Sara. Wiele dawnych połączeń – kanałów podprzestrzennych i nici transferowych – w końcu pęka. Możemy całkowicie utracić kontakt z Czwartą Galaktyką. – Zaciśnęła dłonie. – To z pewnością stwarza szansę. Chodzi o coś, co może się wydarzyć tylko podczas rozdarcia, gdy wszystkie poziomy hiperprzestrzeni ogarną konwulsje. Utworzy się okno czasowe, w którym...

Spojrzała na gościa i skrzywiła się, widząc, że znowu się zmienił. Miejsce Jake'a Demwy zajęła podobizna matki Toma.

May Orley uśmiechnęła się do niej. Miała na sobie kombinezon termiczny, chroniący ją przed surową zimą Minnesoty. W obu dłoniach trzymała kijki narciarskie.

– *Mów, moja droga. Czego jeszcze się domyślasz?*

Kiedyś, przed wyruszeniem w tę długą, pełną wydarzeń wyprawę, tak nagłe zmiany kształtu mogłyby zaniepokoić Gillian. Po latach spędzonych na dyskusjach z Nissem chamskie zagrywki mające wstrząsnąć rozmówcą spływały po niej jak woda po kacze.

– Okno czasowe, w którym przestrzenne łącza będą potężniejsze niż zwykle! – Wskazała palcem na Transcendenta. – W którym fizyczne obiekty będzie można cisnąć na drugi koniec nieprzebytej przepaści dzielącej od siebie gromady galaktyk z nadświatlną prędkością. To jak ciśnięcie do morza butelki z wiadomością podczas wyjątkowo wysokiego przyływu

– *Bardzo piękna metafora* – odparła namiastka jej teściowej. – *W rzeczy samej, rozdarcie przypomina potężną, pochłaniającą wszystko falę, która może jednym skokiem pokonać megaparseki. Zapalona przez nas supernowa stanie się ręką, która rzuci tę butelkę do wody.*

Gillian wciągnęła raptownie powietrze, uświadamiając sobie kolejną implikację.

– Chcecie, żeby „Streaker” był jedną z tych butelek.

– *Brawo!* – Transcendent nagrodził ją oklaskami. – *Potwierdzasz wszystkie nasze symulacje i modele, które niedawno zasugerowały zmianę procedury. Jeśli dodamy do mieszanki dzikusów, mogą się oni okazać bardzo cennym składnikiem. Może tym razem uda się uniknąć niepowodzenia, jakie spotkało nasze poprzednie wysiłki, gdy próbowaliśmy wysyłać wiadomości przez wielką płaską pustynię dzielącą nasz węzeł galaktyk od niezliczonych spiralnych nieb, które widzimy w pustce poza naszym zasięgiem.*

Gillian nie mogła już dłużej znieść nieszczerzej sympatii May Orley. Zasłoniła oczy, częściowo po to, by pozwolić Transcendentowi ponownie zmienić kształt... ale również dlatego, że zakręciło się jej w głowie. Słabość dotarła do kolan, gdy kobieta coś sobie uświadomiła.

Zamiast bliskiej śmierci w płomieniach ofiarowano jej przygodę, wyprawę odkrywczą najniezwyklejszą ze wszystkich. Gillian poczuła się, jakby zadano jej cios w żołądek.

– *Próbowaliście... to zrobić już od bardzo dawna, prawda?*

– *Od chwili wyjścia z najstarszego kryzysu, o którym zachowały się wzmianki. Tego, który nastąpił po odejściu Przodków, gdy rozdarcie podzieliło naszą szczęśliwą wspólnotę siedemnastu połączonych galaktyk. Przez wszystkie te wieki pragnęliśmy ponownie nawiązać kontakt z utraconymi wówczas braćmi.*

Głos zmieniał się stopniowo, stawał się grubszy i bardziej ochryple.

– *Rozłłka sprawia nam ból głębszy, niż potrafisz sobie wyobrazić. Przede wszystkim z tego powodu dopilnowaliśmy, aby gwiazdni wędrowcy opuścili Czwartą Galaktykę. Tym razem uraz spowodowany utratą nie będzie aż tak głęboki.*

Gillian odsłoniła oczy i zobaczyła, że Transcendent przypomina teraz Charlesa Darta, szympaniego uczonego, który zaginął na Kithrupie razem z Tomem, Hikahi i kilkunastoma innymi

osobami.

– Naprawdę sięgacie pamięcią aż tak daleko?

– *Mieszkamy głęboko w Objęciu Pływów, orbitujemy tuż nad samą granicą tego, co zwiecie „czarnymi dziurami”. To pozwala nam osiągnąć kilka różnych celów. W owym królestwie potężnej grawitacji możemy przeprowadzać kwantowe obliczenia na nieograniczoną skalę, łącząc w całość spostrzeżenia wszystkich kategorii życia. Z troskliwą miłością symulujemy przeszłe wydarzenia, alternatywne rzeczywistości, a nawet całe kosmiczne przeznaczenia.*

Gillian stłumiła atak histerycznego śmiechu. Nigdy nie słyszała tak wymyślnego języka z ust szympansa.

Zapanowała nad sobą z najwyższym trudem, ale Transcendent spokojnie kontynuował wyjaśnienia, jakby niczego nie zauważył.

– *Istnieje jeszcze inny efekt życia tuż nad horyzontem zdarzeń, gdzie czasoprzestrzeń zakrzywia się tak mocno, że światło ledwie może się wydostać na zewnątrz. Czas dla nas zwalnia, choć reszta wszechświata gna naprzód jak opętana. Inni przemykają obok nas, pędząc do wnętrza osobliwości w poszukiwaniu nieznanych królestw, ścigają własną wizję przeznaczenia, ale my zostajemy tutaj, stoimy na straży, odporni na entropię. Czekamy, obserwujemy, eksperymentujemy.*

– Inni przemykają obok... – powtórzyła Gillian, mrugając szybko. – Do wnętrza czarnych dziur? Ale kto...?

Powoli uświadomiła sobie, jak brzmi odpowiedź. Na jej twarzy wykwitł posępny uśmiezek.

– Mówisz o innych Transcendentach! Na Boga, nie jesteście jedyńi, prawda? Wszystkie kategorie życia łączą się w sąsiedztwie czarnych dziur. Wodorodyszni, tlenodyszni, maszyny i cała reszta zbierają się tam, gdzie pływy są najpotężniejsze. Ale dla większości to jeszcze nie koniec opowieści, tak? Wędrują dalej, do wnętrza osobliwości! Bez względu na to, czy trafiają w ten sposób do lepszego wszechświata, czy też są eliminowani jako odpady, postanawiają podążać dalej, podczas gdy wy zatrzymujecie się przed granicą. Dlaczego? – zapytała. – Dlatego, że się boicie? Że brak wam odwagi, by stawić czoło nieznanemu?

Tym razem transformacja odbyła się na jej oczach. Wir boleśnie intensywnych kolorów sprawiał wrażenie poirytowanego. Po chwili przeszedł w obraz jej ojca, który dawno już nie żył, ale teraz odtworzono jego podobiznę z ostatnich dni, gdy leżał na szpitalnym łóżku, wychudzony i zgorzkniały, spoglądając na Gillian z głęboką dezaprobatą.

– *Na twoim miejscu, doktor Baskin, zastanowiłbym się, czy to rozsądne i usprawiedliwione, drwić z potężnych istot, których motywacje ledwie potrafisz pojąć.*

Skinęła głową.

– Masz rację. Najpokorniej przepraszam. A teraz, czy mógłbyś, proszę, przybrać inną postać? Ta...

Po kolejnym świetlistym piruecie gość zmaterializował się jako Rothen, jeden z nikczemników, którzy podawali się za ukrytych opiekunów Ziemi i stworzyli wokół siebie kult złożony z ludzkich złodziei i rzezimieszków. Gillian skrzywiła się boleśnie. Ten widok przypominał jej o straszliwej sytuacji, w jakiej znaleźli się jej rodacy. Groźby i niebezpieczeństwa mnożyły się z każdym mijającym rokiem, miesiącem a nawet dniem.

– *Teraz, gdy już wyjaśniłem ci, na czym polega wasza rola, zostało jeszcze kilka spraw do omówienia – oznajmił fałszywy Rothen.*

– *Do waszego komputera wprowadzono pewne informacje dotyczące środków ostrożności, które powinniście podjąć, aby zapewnić sobie wygodę podczas nadchodzącego przejścia. Niemniej nowa powłoka, którą właśnie otaczamy wasz statek, jest inteligentna i ma wielkie możliwości.*

Ostłoni was przed eksplozją gwiazdy, uciekając przed większą częścią żaru i falą uderzeniową, podczas gdy grawitacyjny wstrząs wyrzuci was na poziom hiperprzestrzeni wykraczający daleko poza...

– Ale co, jeśli nie zechcemy polecieć? – przerwała mu Gillian.

Przypominająca Rothena istota uśmiechnęła się. Ten przyjazny gest przyprawił Gillian o zimny dreszcz.

– *Czyżby chwała i przygoda nie były wystarczającymi motywacjami? W takim razie spróbujmy czegoś innego. Obrona oblężonej Ziemi właśnie się załamuje. Wkrótce wrogowie staną się właścicielami waszego ojczystego świata, a potem wszystkich jego kolonii, a nawet tajnych kryjówek, w których zdesperowani Terranie umieścili swe niewielkie placówki w poszukiwaniu bezpieczeństwa. Tylko wy, przebywający na pokładzie „Streakera”, macie szansę zanieść ziarna swego gatunku i kultury poza zasięg szkolnych zabijaków, którzy chcą zgładzić albo obrócić w niewolników wszystkich ludzi oraz delfiny. Czy nie jesteś tego winna swoim przodkom oraz potomkom? Szansy na przetrwanie waszego rodu gdzieś z dala od wszystkich znanych niebezpieczeństw?*

– Ale cóż to za szansa? – zapytała Gillian. – Sam przyznajesz, że nigdy dotąd się nie udało...

– *Symulacje wskazują, że teraz, gdy do mieszanki dodano dzikusów, prawdopodobieństwo sukcesu jest znacznie większe. Już ci o tym mówiłem.*

Gillian potrząsnęła głową.

– Przykro mi. To kuszące, ale wydano mi rozkazy. Mam obowiązki...

– *Wobec Rady Terrageńskiej?*

W głosie Transcendenta pobrzmiwało zwątpienie.

– Tak... ale również wobec mojej cywilizacji. Cywilizacji Pięciu Galaktyk. Wam może wydawać się tylko mrowiskiem, faktycznie wkroczyła teraz w nieprzyjemną fazę i dominują w niej „szkolni zabijacy”, o których wspominałeś. Ale Tymbrimczycy i niektóre inne gatunki sądzą, że można ją zmienić, jeśli zastosuje się odpowiednie bodźce.

Wskazała głową na Herbiego, starożytny relikwiarz odnaleziony przez „Streakera” w Płytkiej Gromadzie.

– Prawda może mieć uzdrawiający wpływ, nawet na tych, których strach popchnął do agresji.

Fałszywy Rothen skinął głową. Jego oblicze znowu zaczęło się zmieniać.

– *To godne pochwały podejście u tak młodego i szlachetnego gatunku. Ale oczywiście nasze potrzeby mają pierwszeństwo przed pragnieniami prymitywnej cywilizacji swarliwych gwiazdnych wędrowców. Tak czy inaczej, zostało już niewiele czasu... o czym za chwilę się przekonasz.*

Twarz gościa pozostawała niezdefiniowana. Gillian zastanawiała się nad znaczeniem jego ostatnich słów.

Wtem rozległ się sygnał komunikatora stojącego na jej biurku. Pojawił się mały hologram Zub’dakiego. Szarogłowy delfin sprawiał wrażenie podekscytowanego i zaniepokojonego. Najwyraźniej nie zauważył, że Gillian nie jest sama.

– Doktor Bassskin?

– Tak? O co chodzi, Zub’daki?

– Wydarzenia przyśpieszają na sposób, którego nie przewidziałem. Może przysłałabyś tutaj, żeby się temu p... przyjrzeć?

Gillian poczuła nagły ucisk w żołądku. W normalnej sytuacji natychmiast odpowiedziałaby na podobne wezwanie. W tej chwili jednak trudno byłoby jej sobie wyobrazić, że w całym wszechświecie mogłoby być coś ważniejszego od rozmowy z transcendentnym bóstwem trzymającym

w rękach los ich wszystkich.

– Czy nie można z tym chwilkę zaczekać? Jestem teraz raczej zajęta.

Delfini astronom wybałuszył ciemne oko, jakby nie wierzył własnym uszom.

– Doktor Baskin... pozwól, że to wyjaśnię. Wspomniałem przedtem, że ciśnienie światła może opóźnić opadanie chmury szczątków na gwiazdę. W miarę jak biały karzeł się rozgrzewa, jego narastający blask odpycha zapadający się dysk, spowalniając wzrost masy gwiazdy. To mogłoby prowadzić do słabego, przeciągającego się wybuchu. Ale t... teraz coś się zmieniło! Gaz i sadza zaczynają się skupiać! Cała masa konsoliduje się w małe, gęste kulki! Niepoliczony biliony małych kamyczków pojawiają się jednocześnie!

– I co z tego? – zapytała Gillian, wruszając ramionami. Jej uwagę odwracał widok gościa, który stał teraz przed szklaną gablotą, przyglądając się Herbiemu. Zarysy Transcendenta falowały, gdy próbował się upodobnić do eksponatu. Uświadomiła sobie, że z pewnością stara się odtworzyć jego dawny wygląd, nim jeszcze Herbie spędził z górą miliard lat jako mumia w Płytkiej Gromadzie.

– I co z tego? Pytasz i co z tego? – Zub'dakiego zatkało. – To znaczy, że obłok stanie się w praktyce przezroczyście dla wiatru słonecznego! Nic nie będzie hamowało przyspieszenia, z jakim opada na gwiazdę. Cała olbrzymia masa runie na nią z wielką prędkością!

Gillian pokiwała głową.

– To znaczy, że eksplozja przebiegnie szybko i gładko.

– I będzie bezprecedensowo potężna!

Jej gość miał trudności ze znalezieniem właściwego kształtu, jakby w wyglądzie Herbiego było coś nieuchwytnego. A może Transcendenci byli w tej chwili zbyt zajęci, by poświęcać wiele mocy obliczeniowej tak nieistotnej sprawie.

Potrząsnęła głową.

– Podejrzewam, że to po prostu kolejny przejaw superkompetentnej technologii, Zub'daki. Najwyraźniej wszystko to przygotowano z góry, być może na długo przed naszym urodzeniem. Powiedz, czy masz nową ocenę chwili, w której zacznie się kolaps?

– Źle mnie rozumiałaś, doktor Bassskin – zawołał delfin z frustracją w głosie. – Kolaps już...

Głos astronoma umilkł nagle. Przerwał mu ostry dźwięk sygnałów alarmowych. Hologram odwrócił się, przemykały za nim szare cienie zmierzające na stanowiska. Potem obraz Zub'dakiego zniknął całkowicie.

Zastąpiło go wirujące tornado Nissa.

– O co chodzi? – zapytała Gillian. – Co znowu się stało?

Niss pochylił się lekko, jakby zaczął zauważać obecność gościa.

Potem hologram zadrżał i najwyraźniej zapomniał o Transcendencie.

– Muszę... zameldować, że znowu nas zaatakowano.

Gillian zamrugła.

– Zaatakowano? A kto to zrobił?

– *A jak myślisz? Nasz stary prześladowca, jophurski okręt „Polkjhy”. Choć wyraźnie zmutował i uległ transformacji, zbliża się do nas szybko. Zaczął też emanować wibracje na częstotliwościach rezonansowych poziomu D, próbując ponownie zmienić nasz kadłub w antenę przyciągającą potężny strumień ciepła...*

– Przestań! – zawołała Gillian, machając obiema rękami. – To szaleństwo! Czy Jophurzy nie wiedzą, co się tu dzieje? Pod czyją opieką jesteśmy?

Niss odpowiedział świetnie już jej znanym gestem zastępującym wruszenie ramion.

– *Nie mam pojęcia, co wiedzą Jophurzy. Podobna nieustępliwość w obliczu przemożnej siły*

faktycznie graniczy z obłędem, niemniej fakt pozostaje faktem. Temperatura naszego kadłuba zaczęła rosnać.

Gillian zwróciła się ku gościowi. Jego twarz przeradzała się w piękne, humanoidalno-płazie oblicze, niemalże świetliste w swej barwie i teksturze. W innej sytuacji uznałaby to za jeden z najcudowniejszych widoków, jakie oglądała w życiu, ale teraz spojrzała na niego tylko przelotnie.

– I jak? – zapytała.

– *O co pytasz, doktor Baskin?* – odparł Transcendent, zwracając się ku niej. Rekonstrukcja nadal miała nieco niepewny charakter, jakby jej stary towarzysz, przedpotopowy trup, nie zmartwychwstał do końca.

– Czy... nas obronicie?

– *Prosisz o naszą ochronę?*

Gillian była tak zdumiona, że niemal odebrało jej mowę.

– Myślałam... że skoro zadaliście sobie tyle trudu, by nas wybrać i przygotować...

Zdziwiony Niss zawirował szybciej.

– *Mówisz do mnie? Czy jest tu ktoś jeszcze? Moje instrumenty nie potrafią...*

Poirytowana Gillian skinęła dłonią i jej sztuczny asystent zniknął. Gapiała się ze zdumieniem na Transcendenta, który migotał, z każdą chwilą stając się jaśniejszy.

– *Podobna inwestycja wymaga zaufania, doktor Baskin. Czy dzikusy potrafią przetrwać podróż przez bezkresną przepaść między niebami? Czy wystarczy wam hartu ducha, aby stawić czoło tajemniczym wyzwaniom, jakie was oczekują? Oraz mieszkańcom odległego galaktycznego królestwa, do którego przybędziecie?*

Gość rozbłysnął jasnym blaskiem, kończąc transformację z wysuszonej mumii w coś, co naprawdę przypominało boga.

– *Nasuwa się nam myśl, że może być potrzebny jeszcze jeden test, który podda próbie waszą wartość.*

Gillian zasłoniła oczy, ale blask wkrótce stał się zbyt intensywny, by mogła go znieść. Widziała w nim kości własnej dłoni. Słowa gościa przeszły jej skórę i wstrząsnęły duszą.

– *Jeszcze jeden test... w krótkich chwilach, które pozostały... nim nasz wszechświat się zmieni.*

LARK

Mimo zdarzających się od czasu do czasu przerw odległy głos wyraźnie docierał do Larka, niosąc się echem w jego umyśle.

...jeszcze kilka spraw do omówienia... środków ostrożności, które powinniście podjąć, by zapewnić sobie wygodę podczas nadchodzącego przejścia... nowa powłoka osłoni was... grawitacyjny wstrząs wyrzuci was na poziom hiperprzestrzeni wykraczającej daleko poza te, z których zwykle korzystają gwiazdni wędrowcy.

Współpracując z Ling oraz innymi członkami Konsorcjum Matki, zdołał odnaleźć w niewiarygodnie skomplikowanej Transcendentnej Siatce coś na tyle prostego, że zwykle organiczne formy życia mogły to zrozumieć. To był najlepszy efekt wszystkich tych wysiłków. Proste wyjaśnienie w anglicu tego, co wielcy mieli nadzieję osiągnąć dzięki obecnemu zamieszaniu.

Najwyraźniej pragnęli wykorzystać niezwykle warunki panujące w kosmosie do wystrzelenia specjalnie zmodyfikowanych statków, wysłać swych emisariuszy w podróż w jedną stronę ponad rozległą przepaścią dzielącą od siebie gromady galaktyk.

Jeśli dodamy do mieszanki dzikusów... uniknąć niepowodzenia, jakie spotkało nasze poprzednie wysiłki... gdy próbowaliśmy... przez wielką płaską pustynię dzielącą nasz węzeł galaktyk od niezliczonych spiralnych nieb, które widzimy w pustce poza naszym zasięgiem...

Lark wyczuwał narastającą ekscytację w otaczającym go ciekłym środowisku, w którym unosili się z Ling pośród tłumu symbiotycznych organizmów. Matka najwyraźniej była rozgorączkowana, a zarazem zaniepokojona tą wiadomością. Wiedział o tym między innymi dlatego, że to jego pełne niepewności myśli w znacznej mierze ukształtowały ów nastrój.

Wyczuł obecność Ling. Odwrócił się i zobaczył, że kobieta płynie ku niemu przez wypełniony życiem mrok. Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń.

Czujesz to? Pierścienie władzy postanowiły zaatakować i zniszczyć „Streakera”, bez względu na konsekwencje!

Lark zamrugał z zaskoczenia. Wypuścił własne mentalne czułki do sieci pokładowej „Polkjhy”, odebrał przekazy z jophurskiego centrum dowodzenia i wkrótce potwierdził złe wiadomości.

Stos kapłański i nowy kapitan-dowódca zgadzali się ze sobą całkowicie. Z nieugiętą stanowczością skierowali „Polkjhy” na nowy, śmiertelny kurs. Ruszyli do ataku, nie dbając o skutki.

Co chcą osiągnąć? Jeśli spróbują przeszkadzać Transcendentom, sprowokują ich do zmiążdżenia tego statku i wszystkich na pokładzie, jak dokuczliwego owada!

Ling pokiwała głową. Lark zorientował się, że właśnie sam sobie odpowiedział. Z punktu widzenia jophurskich przywódców to była ostatnia szansa zniszczenia hybrydowego, tlenowodorowego superorganizmu, który opanował większą część statku. Najwyraźniej Jophurzy woleli zginąć w chwale, niż się poddać.

Ich samobójcza decyzja zasmuciła Larka. Dlaczego nie mogli po prostu zaczekać na supernową? Miał ochotę zobaczyć wstęp do tego spektakularnego wydarzenia. Poczuć pierwszy supergęsty strumień neutrin przenikający jego ciało, zwiastun skwierczącego światła, które rozświetli noc na nieprzeliczonych światach.

Oczywiście Matka nie zamierzała przyjąć tego spokojnie. Za zgodą wszystkich swych rozumnych członków społeczność ruszyła do totalnego ataku na wszystkie istotne ocalałe reputy nienawróconych Jophurów. Wkrótce Lark poczuł swarliwą furję walki. Obie strony wymieniały

śmiercionośne impulsy w zanieczyszczonych korytarzach, jeszcze bardziej niszcząc udręczone ściany. Zakończenia nerwowe Larka obracały każdą śmierć albo obrażenia w ukłucie bólu, fizycznego i osobistego.

Matka wkrótce przebije się do maszynowni – zauważyła Ling. – Ale może nam się nie udać odciąć mocy na czas i uratować Ziemi... albo zapobiec rozwścieczeniu Transcendentów.

W rzeczy samej opór był zaciekły. Stosy pierścieni i roboty nieustępliwie broniły się przed kosztownym atakiem. Globule Zangów oraz inni członkowie Konsorcjum Matki nie zaprzestawali szturm, atakując linie obronne lothurów z nieliczącą się ze stratami odwagą.

Lepiej chodźmy im pomóc – pomyślał Lark. Ling skinęła głową. Oboje czuli, w jak wielkim stopniu Matka wyczerpała swe zasoby. Nie mogli sobie pozwolić na zwłokę.

Mimo to, gdy już chcieli się włączyć do walki, coś powstrzymało ich oboje. Lark stanął jak wryty, poczuwszy opór.

Nie był to właściwie rozkaz. Raczej wspólna decyzja podjęta przez wszystkie pozostałe symbionty. Zgodzono się, że w tej chwili nie będzie się ryzykować życia obojga ludzi.

Lepiej przysłużą się całości swą wiedzą i inteligencją. Podejmą kolejną próbę spenetrowania siatki i nawiązania porozumienia.

Lark z pewnym oporem uznał mądrość tej decyzji. Wrócili z Ling do pracy, ponownie otwierając odkryte poprzednio kanały.

Nasuwa się nam myśl, że może być potrzebny jeszcze jeden test... który podda próbie waszą wartość.

Jeszcze jeden test... nim nasz wszechświat się zmieni.

Lark westchnął przeciągle. W spienionej wodzie uniosły się pęcherzyki powietrza.

A więc Transcendenci nadal byli gotowi wprowadzić zmiany, do ostatniej chwili próbowali udoskonalić swój eksperyment. A może „bogowie” po prostu żartowali sobie z biednych Ziemi. Tak czy inaczej, nie zamierzali bronić „Streakera” swą wszechpotężną mocą. Pozwolą, by „Polkjhy” go zaatakował, a potem ocenią rezultaty.

Nie mieli wiele czasu na poszukiwania. Jedną częścią umysłu Lark śledził upadek potężnej masy na gwiazdę.

Białe karzele kipiały już, ogarnięte perturbacjami. Wewnętrzna krawędź chmury spadała na niego z wielką prędkością. Po udręczonej powierzchni starożytnej gwiazdy przebiegały koncentryczne kręgi jaskrawoniebieskiego ognia. W kosmos strzelały płonące pióropusze plazmy, zwiastujące nadejście znacznie potężniejszych fajerwerków.

Z mostka „Polkjhy” płynęły tymczasem niezakodowane zniewagi pod adresem załogi „Streakera”. Kadłub gwiazdolotu zamienił się w zdradliwą antenę, zmuszoną do przyciągania ciepła z innych poziomów przestrzeni.

I w tej właśnie chwili Lark usłyszał znajomy głos.

To był jego stary przyjaciel, traeki z Jijo, który kiedyś był Asxem, potem Ewasxem, aż wreszcie stał się mądrą, złożoną istotą znaną po prostu jako X.

Wreszcie udało mi się nawiązać kontakt z komputerem ziemskiego gwiazdolotu – oznajmiło hybrydowe stworzenie.

Gratulacje – odparł Lark. – *Czy przekazałeś informacje, które pragnąłeś wysłać?*

X udzielił twierdzącej odpowiedzi z nutą woskowatej satysfakcji. Wszystko, czego się dowiedzieli o jophurskich pierścieniach władzy, przekazano do pokładowych archiwów „Streakera”, w tym również umiejętność hodowania czerwonych torusów, które okazały się tak bardzo skuteczne w walce z egocentryczną dominacją.

Na co jednak zdadzą się te informacje? Nawet jeśli „Streaker” przetrwa nadchodzący atak i wybuch supernowej, Transcendenci cisną go gdzieś daleko od Pięciu Galaktyk, aby pomknął na kosmicznej fali pływowej ku gwiazdnym krajobrazom, w których nigdy nie słyszano o Jophurach.

X jednak nie dostrzegał w tym sprzeczności.

Może zainteresuje cię też inny fakt, który poznałem. Na pokładzie ziemskiego gwiazdolotu przebywa pasażer. Ktoś zaliczany obecnie do jego czcigodnych przywódców. Ludzka osoba znana nam obu.

Lark wyczuł w jego słowach pełną bólu ironię. Skierował swą wolę na wskazaną ścieżkę i po chwili uzyskał dostęp do rejestrów „Streakera”, gdzie znalazł informację, o której wspominał X.

Sara!

Dopadły go spazmy nagłego zaskoczenia. Ciało mężczyzny zawirowało. Ling złapała go za prawą rękę, pragnąc pomóc mu opanować szok.

Co robi tam moja siostra, tak daleko od Jijo? Jak się wpakowała w taką kabałę?

Cios stał się jeszcze potężniejszy, gdy Matka podała ocenę szybkości, w jakiej nagrzewał się „Streaker”. Przy tym tempie temperatura osiągnie punkt krytyczny za niespełna pół midury.

Wkrótce później woda na pokładzie statku delfinów zacznie wrzeć.

EMERSON

Alarm zaskoczył wszystkich w centrum sterowania „Streakera”.

Uwagę członków załogi całkowicie pochłonęła gniewna, powiększająca się gwiazda oraz tajemnicze zachowanie pobliskiej igłopodobnej bramy. Dlatego zapomnieli o bardziej przyziemnych niebezpieczeństwach.

Wszyscy oprócz Emersona.

On wiedział lepiej. Nieraz już miał do czynienia z Jophurami i zdawał sobie sprawę z ich nieustępliwości. Ową determinację wpoili ich gatunkowi nieostrożni nadzorcy Wspomagania, nierozumiejący wartości umiarkowania. Gdy nadszedł atak, Emerson był gotowy.

Utracił umiejętność władania językiem, nie potrafił więc odczytać ostrzeżeń rozbłyskujących na ekranach monitorów ani zrozumieć natury używanej przez nieprzyjaciela broni. Szczegóły nie miały znaczenia. Wiedział, że atak opiera się na rozgrzaniu „Streakera” do bardzo wysokiej temperatury. Już teraz od ścian i podłóg buchało nieprzyjemne ciepło. Do statku napływały wielkie ilości energii, mimo że małe słońce nie było jeszcze gotowe wybuchnąć.

Sara wyciągnęła do niego rękę i poczuł się winny, że ograniczył się tylko do krótkiego, wyrażającego miłość uścisku, a potem uciekł. Był jednak przekonany, że lepiej spróbować uratować życie ukochanej, niż zostać przy niej i upiec się razem z nią.

Biegąc gorącym korytarzem, nie przestawał krzyczeć, w nadziei, że automatyczny system komunikacji przekaże jego prostą wiadomość.

– Suessi! Karkaett! Teraz, teraz, teraz!

Czy przyjdą? Obrócenie jego pomysłu w rzeczywistość kosztowało bardzo wiele pracy. Wykorzystali technologię sprzed dwustu lat do nowego celu, mającego zapewnić im przetrwanie. Mimo to nadal się niepokoił. Może po prostu chcieli mu zrobić przyjemność, pomagali mu w pracy, aby nie czekać beczynn timer na koniec.

Pędził przez przewód konserwacyjny, cały czas przyspieszając kroku, aż wreszcie wpadł do małego pokoiku, w którym odbyła się jego ostatnia, triumfalna konfrontacja z Prastarymi Istotami. Odetchnął z ulgą, ujrawszy, że Hannes i dwójka delfinich inżynierów są już na miejscu, zgromadzeni przy wielkim laserze. Rozmawiali ze sobą w słodkim dialekcie inżynierii. Emerson nie rozumiał ich szybkich, efektywnych fraz, ale i tak brzmiały dla niego jak muzyka.

Piękna pieśń kompetencji.

Hannes zwrócił ku Emersonowi swą zwierciadlaną kopułę, chcąc mu zadać pytanie. Na tyle proste, że jego ośrodki językowe były w stanie je zrozumieć.

– Tak! – Młodszy mężczyzna pokiwał z wigorem głową. – Zrób... to!

Hannes nacisnął przełącznik i laser podskoczył nagle na swej podstawie, sycząc i parując niczym jakaś potężna bestia, budząca się z parsknięciem do ruchu.

Emerson przesunął się wzdłuż potężnej lufy. Chciał zobaczyć, dokąd wypływają te wielkie ilości energii.

Nie dostrzegł tam nic oprócz gwiazd.

Na pobliskim ekranie widniał jednak czerwony punkcik, reprezentujący gwiazdolot Jophurów. „Polkjhy” zbliżał się do „Streakera” z drugiej strony.

Oczywiście podczas starcia z Prastarymi Istotami sprzyjało mu szczęście. Potrzebowałby potężnego uśmiechu fortuny, by ten nieprzyjaciel również był w zasięgu. Zresztą systemy obronne okrętu liniowego zapewne zdołałyby powstrzymać nawet tak potężną wiązkę.

Wzruszył ramionami. Nieważne. Nie musieli zniszczyć statku Jophurów, by ich pokonać.

Emerson poczuł zimny powiew. Zadrżał i wkrótce zauważył, że nad otworami nosowymi wszystkich delfinów pojawiła się charakterystyczna mgła. Wyglądało to, jakby buchały z nich fontanny szronu. Jego oddech również zamieniał się w parę. Po paru chwilach w pomieszczeniu zrobiło się wyraźnie zimniej i Hannes rozkazał wszystkim zmiatać. Pora stąd odejść i pozwolić maszynie działać zgodnie z planem.

Emerson jednak zwlekał, ciesząc się dotykiem lodowatego powietrza, napływającego przez przewody wentylacyjne do odległych części statku. W jego wyobraźni wiązka lasera była jak wielka pompa, usuwająca ciepło z gwiazdolotu równie szybko, jak inne siły je przyciągały, a potem wystrzeliwująca je w kosmos. Uśmiechnął się, usatysfakcjonowany myślą, że starożytna ziemską technologia pokrzyżowała szyki Galaktom, podobnie jak stało się to dawno temu, w gorącej atmosferze Słońca.

Nadal... coś... potrafię... – pomyślał, spoglądając na własne dłonie.

Gdy jego uśmiech przeszedł w głośnie dzwonięcie zębami, Emerson w końcu pozwolił, aby Hannes i pozostali zaciągnęli go do mieszkalnych części statku.

Czekała na niego Sara.

Będą mogli spędzić kilka chwil razem.

Nim gwiazda wybuchnie.

GILLIAN

– Dlaczego nie poprosiliście o ochotników? – zapytała gniewnie gościa.

Transcendent wrócił do jej gabinetu, budując swą postać z drobin pyłu i cząsteczek powietrza. Być może chciał wznowić ich rozmowę albo pogratulować Gillian sprytnej sztuczki wymyślonej przez inżynierów z załogi „Streakera”, którzy zbudowali laser chłodzący, urządzenie służące do usuwania ciepła z gwiazdolotu, wysyłania go w pustkę z taką samą szybkością, z jaką napływało z przestrzeni D.

Galaktowie raczej rzadko potrzebowali tego typu prymitywnych, efekciarskich, godnych dzikusów urządzeń. Wydawałyby się im absurdalnie prostackie, jak rakiety albo śmigłowe samoloty. Ale gdy ludzie przed dwoma stuleciami zaczęli badać wnętrze własnego słońca – zrobili to z czystej ciekawości – sztuczka z laserowym chłodzeniem okazała się użyteczna i na kilka różnych sposobów zmieniła bieg historii.

Wkrótce po powrocie gość przybrał postać unoszącej się w powietrzu przed Gillian istoty o szarej, błyszczącej skórze oraz krótkim, potężnym ogonie, którego ruchy naprawdę wywoływały lekkie powiewy, szeleszczące papierami leżącymi na biurku. Obraz wykrystalizował się, upodabniając do najserdeczniejszej delfiniej przyjaciółki Gillian, porucznik Hikahi, jednej z tych, którzy zostali na Kithrupie razem z Tomem i Charlesem Dartem.

Nim Transcendent zdążył przemówić, Gillian dokończyła oskarżenie:

– Mówisz, że dzikusy są wam potrzebne jako dodatek do załóg statków, które wysyłacie do innych galaktyk. Czy nigdy nie przyszło wam do głowy, żeby poprosić? Znam Ziemiaków. Zgłosiłyby się tysiące, miliony ochotników! Nawet gdyby wiedzieli z góry, że konieczne będzie połączenie się z wodorodysznyimi, maszynami i innymi dziwnymi stworami. Wśród nas nigdy nie brakowało dziwaków i poszukiwaczy przygód, którzy zapłaciliby każdą cenę, aby tylko jako pierwsi ujrzeć jakiś nowy horyzont.

Fałszywy delfin przetoczył się na bok, niemal ospale, jakby cieszył się nowym doświadczeniem.

– *Zapamiętam to... to sobie* – zanucił głosem przypominającym głos Hikahi. Serce Gillian przeszło ukłucie tęsknoty. – *Być może skorzystamy z twojej rady... gdy przydarzy się następna okazja.*

Gapiała się przez chwilę na Transcendenta, a potem zaśmiała się, cicho i bez wesołości.

– No jasne. Za sto milionów lat, gdy nadejdzie kolejne rozdarcie!

– *To nie tak długo dla tych, którzy mieszkają w sssąsiedztwie osobliwości. Takich jak my, których nazwałaś tchórzami, bo czaimy się nad granicą czarnej dziury, zamiast skoczyć w nieznane.*

Posłuchaj. – Uniosła rękę. – Już was za to przeprosiłam. Myślę, że lepiej będzie, jeśli przejdziemy do rzeczy.

– *Tak jessst!*

Gość zatoczył symulacją ciała radosną pętlę.

Gillian uniosła brwi.

– Czy już wiesz...

– *Co masz zamiar powiedzieć? Twoje powierzchniowe myśli łatwo odczytać, ale nawet bez uciekania się do psioniki potrafimy uzyskać dobre przybliżenia, oparte na tym, jak poprzednio zachowywałaś się w różnych sytuacjach. Właśnie poddajemy te modele rewizji. Chcesz się dowiedzieć, co przewidują nasze najnowsze symulacje?*

– Słucham – odparła z ostrożnością w głosie.

Imitacja Hikahi skierowała na nią ciemne oko.

– *Miałaś zamiar odrzucić zaszczytą funkcję naszych emissariuszy. Oznajmić, że pilne obowiązki wzywają cię gdzie indziej. Obowiązki, których nie możesz zignorować.*

Gillian wzruszyła ramionami.

– Po naszej ostatniej rozmowie każdy potrafiłby się tego domyślić. Zakładając, że tak bym zrobiła, jak byś mi odpowiedział?

– *Oznajmiłbym, że nie masz wyboru. Twój statek wyposażono już w środek lokomocji oraz osłonę i jest gotowy wykorzystać szansę, gdy tylko w pobliżu otworzy się czasoprzestrzenna szczelina. Jeśli będzie wam sprzyjało szczęście, będziecie mogli bezpiecznie dotrzeć poza granice znanej cywilizacji. Nie chcielibyśmy, aby ta inwestycja poszła na marne. Odrzucilibyśmy twoją prośbę.*

Gillian westchnęła gorzko.

– To pewnie nieunikniona odpowiedź. Jak według waszych symulacji zareagowałabym na to?

Delfinokształtna istota parsknęła śmiechem.

– *Groźbami! Oznajmiłabyś, że jesssteś gotowa wysadzić statek... albo zagrozić misji w jakiś inny sposób.*

Gillian poczuła ciepło na twarzy. Tak rzeczywiście wyglądałby jej następny ruch. To był desperacki plan, ale w tak krótkim czasie nie potrafiła wymyślić nic lepszego.

– To pewnie brzmi dość banalnie – przyznała.

– *Oczywiście wzięliśmy pod uwagę wszystkie podobne możliwości. W tym przypadku nasze analizy pokazują, że to byłby bluff. Postawiona wobec wyboru między przygodą a nieuniknioną zagładą z pewnością wybrałabyś przygodę!*

Gillian opadły ramiona. Transcendenci szybko się uczyli, a mając do dyspozycji kolosalną moc obliczeniową, mogli symulować całe alternatywne rzeczywistości. Nic dziwnego, że potrafili uprzedzić każdy plan, jaki mogła stworzyć w swym małym ludzkim mózgu.

– A więc to wszystko? – zapytała. – Nie mamy wyboru. Polecimy do jakiejś innej galaktyki, czy tego chcemy, czy nie.

– *Twoje linearne domysły są tylko częściowo prawidłowe. W rzeczy samej nie macie wyboru. W tym punkcie masz rację, doktor Bassskin. Możemy zmusić ciebie i twoją załogę do odlotu i t... tyle.*

Gość potrząsnął gładką, szarą głową, rozpoczynając kolejną transformację. Zarysy Hikahi zaczęły się rozmywać. Jej symulowane ciało się rozciągnęło.

– *Ale nasze symulacje nie ograniczają się do tego, co zrobiłabyś dzisiaj – ciągnął Transcendent. – Sięgają też w przyszłość... do tygodni, miesięcy i lat, które nastąpiłyby później, aż po chwilę waszego przybycia do jakiegoś odległego królestwa.*

Kobieta zamrugnęła ze zdziwienia.

– Sięgnęliście w przyszłość aż tak daleko?

– *Z wysokim stopniem prawdopodobieństwa. I we wszystkich naszych modelach pojawia się pewien problem. Jeśli będziesz miała więcej czasu, nasunie ci się inny pomysł. Uświadomisz sobie, że możecie mieć i przygodę, i zemstę! Szansę odwiedzenia odległych królestw i jednocześnie odegrania się na tych, którzy wysłali was w tę daleką podróż wbrew waszej woli.*

Mogła tylko gapić się, mrugając ze zdziwienia, na Transcendenta, który przybrał inny kształt. To był kolejny delfin, nieco dłuższy i potężniejszy niż Hikahi. Straszliwa rana obok jego lewego oka zarosła tkanką bliznowatą.

To Creideiki – uświadomiła sobie z lekkim drżeniem.

– Nie... nie rozumiem, do czego zmierzasz. Chyba że...

Przełknęła ślinę, próbując się skupić. Przenikliwe spojrzenie walenia utrudniało jej to zadanie.

– Chyba że martwicie się o to, co o was opowiemy potężnym umysłem, które spotkamy po tamtej stronie.

Tym razem gość nie odpowiedział w anglicu. Imitacja dawnego dowódcy „Streakera” uniosła udręczoną głowę i wydała z siebie serię piskliwych klekotów, wypełniając gabinet Gillian wyrafinowanymi kupletami troistego.

** Jakaż zemsta*

przetrwa dłużej

** Niż okrucieństwo*

zniesławienia,

** Szerzonego przez oburzonych*

potomków,

** Oczerniających*

odległych rodziców?

** Czy pragniesz umknąć przed wyrokiem*

śmierci wydanym przez czas?

** Albo okrutną erozją*

entropii?

** Znamy tylko jedną*

pewną metodę

** Zapewniającą zdobycie*

nieśmiertelności...

** Najpierw zasłuż na miłość i gorące oddanie*

** Jeśli chcesz*

żyć wiecznie,

** Najpierw zasłuż na miłość*

I gorące oddanie

** Tych, którzy przyjdą*

po tobie,

** A będą powtarzać*

twe imię z czcią

Nawet gdy gwiazdy wystygną.

Gillian przymrużyła powieki, spoglądając na replikę dawnego towarzysza i dowódcy. Delfini kapitan wyglądał bardzo autentycznie. Odnosiła wrażenie, że mogłaby wyciągnąć rękę i pogłaskać jego ciepły, szary bok. Wiele wycierpiał, ale się nie poddał.

– To... pierwsze prawdziwie mądre słowa, jakie usłyszałam z twoich boskich ust – oznajmiła. – Mogłoby się niemal здаwać... że naprawdę jesteś...

Transcendent przerwał jej nagle. Jego podłużna postać zaczęła się rozplýwać, przechodząc w kulę światła.

– *Czy możesz być... całkowicie pewna... że nie jestem?*

Zamrugnęła, nie wiedząc, co sądzić o tej niespodziewanej sugestii.

– Chwileczkę! – zawołała. – Co się teraz stanie? Co macie zamiar...

Gość zniknął bezgłośnie, ale delikatna obecność utrzymała się w jej umyśle jeszcze przez pewien czas, szepcząc:

– *Mamy mnóstwo roboty... i bardzo niewiele czasu...*

Powietrze przeszył przenikliwy gwizd. Pojawił się hologram Akeakemaia, przemawiającego do niej z mostka „Streakera”.

– Gillian! Zub’daki mówi, że upadek obłoku przyśpiesza! Do wybuchu zostały tylko minuty!

Skinęła głową. Czowała się zmęczona i zupełnie nieprzygotowana do obserwowania końca wszechświata. Czy choćby jego części.

– Już idę – odpowiedziała, kierując się ku drzwiom. Powstrzymał ją jednak głos pilota.

– To nie wszystko! – dodał rozgorączkowany Akeakemai. – Wielka igła... jest...

Przerwał mu nagły hałas. Gillian zobaczyła, że na mostku zapanowało gwałtowne poruszenie. Oficerowie pomknęli we wszystkie strony, uderzając z pasją ogonami.

– Niss! – zawołała. – Pokaż mi, co tam się dzieje!

Pojawił się nowy holoelektroekran z widokiem na otaczającą ich przestrzeń.

Większość pola widzenia wypełniała wielka jak planeta igła Transcendentów. Jeden z jej boków świecił teraz tak jasno, że niemal nie sposób było na niego patrzeć, odbijając gniewny blask białego karła. Gwiazda z każdą chwilą płonęła coraz goręcej, szybko zmierzając w stronę Armagedonu.

Gillian szybko się zorientowała, co tak podekscytowało Akeakemaia. Igła się rozszczepiała. Gdy wreszcie się rozdzieliła, trysnęły z niej wiązki światła, które pochłonęły trzy pobliskie obiekty.

Migające napisy zidentyfikowały jej cele.

Pierwszym był „Streaker”. Gwiazdolot zadrżał, gdy wiązka w niego uderzyła.

Drugim był okręt Jophurów.

Trzecim jeden z kulistych „kandydatów”, otoczony teraz splątaną masą niezwyklej nici.

Wszystkie trzy statki wciągnięto do środka.

A potem wiązki światła zaczęły je przecinać jak precyzyjne chirurgiczne lancety.

CZY TERAZ TO CZUJECIE, MOJE PIERŚCIENIE? I INNE MOJE MAŁE JAŹNIE?

A ty, Lark?

I ty, Ling?

Czy czujecie, jak Matka – makrojestestwo, do którego wszyscy się przyłączyliśmy – wije się z niepewności i strachu, gdy kadłub „Polkjhy” przecinają wiązki energii? Czy wyczuwacie, jak odległe ściany i grodzie pękają, a powietrze, pył i istoty wypływają w próżnię? Przez chwilę wygląda na to, że nadciąga chwila zagłady.

Nasz/mój/wasz koniec wreszcie nadszedł.

ALE UWAGA! CZY WYKRYWACIE NAGŁĄ ZMIANĘ NASTROJU?

Matka się raduje. My/ja/wszyscy uświadomiamy sobie prawdę.

To są skalpele, które tną szybko i selektywnie. Z „Polkjhy” usunięto zaledwie kilka małych segmentów!

Instrumenty informują nas, że w ziemskim gwiazdolocie również wywiercono tylko jeden czy dwa niewielkie otwory.

Ale trzecia ofiara miała mniej szczęścia!

Najbliższa z potężnych globul – potężny statek-kandydat przygotowany do epickiej podróży – został całkowicie rozpruty! Wszystkie nasze pierścienie oraz segmenty obserwują z bojaźnią i grozą, jak jego zawartość... tysiące hybrydowych istot rozumnych, odrzuca się na bok jak wnętrzności świeżo złapanej ryby... pozostawiając tylko powłokę złożoną ze świetlistych witek.

Żywią skorupę, która rusza szybko w stronę „Polkjhy”!

TERAZ NASZA UWAGA ZWRACA SIĘ KU GOREJĄCEMU SŁOŃCU.

Przez jak długi czas wirowało spokojnie? Biały karzeł jest pozostałością po wczesnych dniach tej galaktyki. Jego krótka młodość minęła już bardzo dawno temu, przechodząc w długą, ospałą starość. Gdyby pozostawiono go w spokoju, mógłby się kurczyć powoli jeszcze przez dwadzieścia miliardów lat, świecąc białym, migotliwym blaskiem. Nie miał bliskiego gwiazdnego towarzysza, który zapewniłby mu nagły przyływ masy, niezbędny do bardziej spektakularnej śmierci.

Ale teraz ta masa napłynęła!

Niczym pielgrzymi zmierzający do świątyni, miliony gwiazdolotów odpowiedziały niedawno na wezwanie Wielkiego Selektora. Przybyły w to miejsce i ustawiły się uprzejmię w spiralne, krzyżujące się ze sobą kolejki. Szukały odkupienia i przejścia na wyższy poziom... ale znalazły tylko śmierć, na samym progu transcendencji. Ich trupy, ściśnięte w gęste kulki, spadają teraz na gwiazdę, powodując nowy ferment, prowadzą jej równowagę masy i energii ku szczególnemu punktowi.

Za którym nie będzie już powrotu.

MOJE PIERŚCIENIE... WIELE Z WAS WCHODZIŁO KIEDYŚ W SKŁAD ASXA. STAREGO TRAECKIEGO MĘDRCA.

Na Jijo nie musiałyście roztrząsać podobnych problemów. Zamiast martwić się o granicę Chandrasekhara i o przezroczystość dla promieniowania, my/wy/ja rozstrzygaliśmy dysputy między lokalnymi wioskami i plemionami. Udzielaliśmy porad małżeńskich kłótlivym uryjskim, ludzkim i qheueńskim rodzinom. Siedzieliśmy całymi dniami na jakiejś aromatycznej kupie mierzwy, z radością

prowadząc spory między sobą.

Matka uprzejmie udostępnia nam potężne zasoby informacji, umożliwia swobodny dostęp do pokładowej biblioteki „Polkjhy”, niedawno zdobytej na broniących się jeszcze Jophurach.

Stąd właśnie ja/my/wy wiemy wszystko o punktach krytycznych i katastrofalnym kolapsie, który wkrótce nastąpi. Po nim nadejdzie potężne „odbicie” i spora część masy nieszczęsnej gwiazdy ucieknie w przestrzeń ze znacznym ułamkiem prędkości światła.

Najpierw nadejdzie fala neutrin. Nie będzie ich aż tyle jak w supernowej „typu II”, ale wystarczająco wiele, aby widmowe cząstki przekazały ciepło i pęd każdemu ciału w promieniu dziesięciu odległości Jijo od słońca. (A my znajdujemy się znacznie bliżej!) Potem nadejdzie promieniowanie X i gamma... oraz inne formy światła. Będzie go tak wiele, że czołom fali przesywającym tę część przestrzeni z jasnością biliona słońc będzie towarzyszyło wyczuwalne pole grawitacyjne.

Na koniec, jeśli z biednego „Polkjhy” cokolwiek zostanie, uderzy w niego fala protonów, neutronów, elektronów i jonów, nadając mu przyśpieszenie stu tysięcy g.

Nic dziwnego, że Transcendenci uważają, iż coś takiego wybiję dziury w kosmicznym ylemie. Najwyraźniej tego właśnie pragną. Zapalić stos tak jasny, by jego podmuch przeniósł ziarna przez największą ze wszystkich pustyni.

SŁYSZELIŚCIE NAJNOWSZĄ WIADOMOŚĆ, MOJE PIERŚCIENIE?

Lark i Ling przekazują nam, czego się dowiedzieli z Transcendentnej Siatki.

To wyjaśnienie gwałtownej operacji przeprowadzonej świetlnymi skalpelami!

Najwyraźniej potężni postanowili w ostatniej chwili zmienić plany.

Szybka improwizacja z reguły nie leży w ich zwyczajach, ale teraz pracują jak szaleni.

Przekształcają. Przebudowują.

I TO MY JESTEŚMY OBIEKTAMI ICH NAGŁEJ PRACOWITOŚCI!

Wszyscy patrzymy z fascynacją, jak dwa małe fragmenty wysuwają się gładko z ziemskiego gwiazdolotu i zmierzają ku nam, zostawiając za sobą dziury, które szybko się zamykają. Smukłe tuby mkną w kierunku „Polkjhy”... podczas gdy pusta skorupa trzeciego statku zbliża się ku nam z przeciwnej strony, żywa i świetlista.

To delfiny – mówi Ling, identyfikując zawartość cylindrów usuniętych ze „Streakera”. Jest ich kilkanaście. Ochotnicy, którzy chcą się do nas przyłączyć. Mają ze sobą archiwa genetyczne i kulturowe...

Cylindry z błyskawiczną prędkością wsuwają się w przeznaczone dla nich miejsca. Akurat na czas, bo zaraz potem świecąca skorupa owija się wokół „Polkjhy” i pieczęć zamyka się z rozbłyskiem energii.

Wszystkimi elementami składającymi się na Matkę – nawet niedawno pojmanymi jophurskimi oficerami – wstrząsa krótki psychiczny szok, gdy masa świetlistych witek obejmuje nasz przetworzony statek i wnika do niego, czyniąc zeń pulsującą, wibrującą całość.

Coś niecierpliwego, oczekującego na to, co wydarzy się potem.

CZY WYCZUWACIE CIERPIENIA GINĄCYCH W POBLIŻU BOGÓW?

Brama w kształcie igły wije się i migocze, wciągając „Streakera” do swego wnętrza. Transcendentny węzeł rozjarza się i zapada do środka, napina mięśnie, generując potężne pola, które wykrzywiają przestrzeń, tworząc tunel prowadzący przez jego wnętrza. Wąskie przejście.

Improwizowaną drogę, przez którą Terranie mogą spróbować ucieczki.

Czy zdążą na czas?

A TERAZ NADCHODZI ZAPŁON NAJJAŚNIEJSZEGO DETONATORA WE WSZECHŚWIECIE.

Być może jednak nie zwiastuje on naszej zagłady.

Wśród wielu elementów Matki przeprowadzono ankietę. Niemal wszyscy się zgadzają.

Tak właśnie byśmy zdecydowali, gdyby Transcendenci zapytali nas o zdanie. (Być może zresztą zrobili to w swych potężnych symulacjach).

Nasza unia jest oczyszczoną mieszanką różnych kategorii życia. Melanżem wypełnionym hybrydowym wigorem. Dodano do niej specjalne domieszki z Jijo i Ziemi i nasza społeczność może mieć odpowiedni skład, który pozwoli jej odnieść sukces tam, gdzie tak wielu przed nami zawiodło.

Przebyć nieprzebytą przepaść.

Pomóc w połączeniu tego, co rozdzielono.

Przynieść kosmosowi większą różnorodność... i zjednoczyć go.

Czujemy, jak nowe witki „Polkjhy” wyciągają się, chwytają tkankę wszechświata, czekając na następną falę chaosu.

Najpotężniejszą ze wszystkich.

Wielkie Rozdarcie.

Czy Transcendenci dobrze wyliczyli czas? Czy naprawdę potrafią wywoływać wybuchy supernowych w dokładnie wyliczonej chwili, aby „Polkjhy” dał się ponieść fali?

Tak, moje pierścienie i inne jaźnie.

Ja/my/ja nie możemy się doczekać tej chwili.

BIAŁY KARZEŁ DRŻY.

Ma tylko dziesięć tysięcy kilometrów średnicy. Zapłon nastąpi z prędkością dźwięku – kilka tysięcy kilometrów na sekundę. To znaczy, że powinien potrwać niespełna durę...

„STREAKER” WYTEŻA SIŁY, STARAJĄC SIĘ DOTRZEĆ DO TRASY UCIECZKI.

Leć, Saro!

Uda ci się.

Leć!

Każda mijająca sekunda wydaje się wiecznością. Ziemski gwiazdolot umyka w stronę migającego azylu.

WTEM NASZE ZWRÓCONE KU SŁOŃCU INSTRUMENTY WYKRYWAJĄ POTĘŻNE ŚWIATŁO!

Po udręczonej powierzchni gwiazdy z szaloną prędkością przepływają fale oślepiającego blasku, jakby nagle zapalono zapałkę.

A potem...

CZUJECIE JE, MOJE PIERŚCIENIE?

Neutrino w wosku.

Cóż za niezwykle wrażenie! Jak pamięć jutra.

A teraz ruszamy...

CZEŚĆ PIĄTA

CZAS ZMIAN

NIEKTÓRE KATEGORIE ŻYCIA są bardziej komunikatywne od innych.

CZŁONKOWIE KWANTOWEJ KATEGORII nie mają poczucia miejsca ani czasu. A przynajmniej nie w takim sensie, w jakim my postrzegamy te cechy. Choć są chętni wymieniać informacje, z reguły nie rozumieją naszych pytań i my również nie pojmujemy ich odpowiedzi. By słowo „znaczenie” mogło mieć jakiegokolwiek zastosowanie, potrzebny jest pewien wspólny kontekst. W porównaniu z Kwantową Kategorią rozmowy z wodorodysznymi, maszynami czy nawet co bardziej spójnymi rozumnymi memami są trywialnie łatwe.

Niemniej pewnego razu touvint, przedstawiciel gatunku podopiecznych, bezczelnie przerwał starszym podczas spotkania w przestrzeni D i zadał jednemu z kwantowców naiwnie proste pytanie.

– CZEGO możemy się spodziewać?

Nad odpowiedzią, która padła, uczeni zastanawiają się już od miliona lat. Niezwykła istota bez wahania odparła:

– Wszystkiego.

GALAKTYKI

Fala fotonów płynąca od supernowej uderzyła „Streakera” tuż przed wirującym tunelem, trasą ucieczki obiecaną przez Transcendentów.

Alarmy wyły, a delfiny piszczały, gdy fale palącej energii uderzyły w nas z tyłu, miażdżąc nasze normalne pola ochronne większą ilością ciepła na metr kwadratowy, niż zwyczajne słońce dałoby nam przez cały okres swego życia. Dawny „Streaker” niemal natychmiast zamieniłby się w parę.

Ale ziemski gwiazdolot przypominał teraz wieloryba o skórze pokrytej twardymi pąklami. „Streaker” z wysiłkiem dźwigał całe warstwy niezwyklej substancji, która migotała pod wpływem gorąca, jakby z radością witała niszczycielskie promienie.

Sara obejmowała Prity i Emersona. Dudniące wibracje wnikały do szpiku jej kości. Oślepiający blask zamazał wszystkie przekazy zewnętrznych kamer, ale czujniki informowały o potężnych strumieniach fotonów oraz neutrin, płynących z gwiazdy, która przekroczyła granice swej wytrzymałości... czy może pogrążyła się w ekstazie. W czasie rzeczywistym wybuch trwał milisekundy, ale spowalniające czas pole „Streakera” pozwalało załodze obserwować kolejne etapy erupcji w zwolnionym tempie.

– Nasza magiczna powłoka ma imponujące właściwości – twierdził Suessi. – Ale to tylko fotony. Nie ma mowy, by wytrzymała to, co nadejdzie później. Masa realnej materii większa od słońca... protony i ciężkie jądra... zmierzające ku nam ze znacznym ułamkiem prędkości światła.

Sara nauczyła się już wystarczająco wiele praktycznej fizyki, by wiedzieć, jaka pięść ich zmiażdży.

Każdy atom tlenu i węgla w moim ciele przeszedł kiedyś podobne konwulsje... wyprażyły się w słońcu, a potem utworzyły wielkie chmury, które następnie skupiły się w planety, zwierzęta i istoty rozumne.

A teraz pył pochodzący z jej ciała może wrócić do kosmicznego tygla i być może włączyć się do cyklu życia na nowym, jeszcze nienarodzonym świecie. To było kiepskie pocieszenie, ale otrzymała też inne.

Lark.

Odebrałam wiadomość od niego, gdy powłoka zamykała się już wokół „Polkjhy”, wypuszczała świetliste witki, przygotowywała się do pochwycenia fal hiperrzeczywistości w tej samej chwili, gdy galaktyki rozstaną się na zawsze.

Statek z pewnością przebija się już na drugą stronę, niesiony potężną falą pękającej metryki. Mknie ku wielkiej przygodzie.

Uśmiechnęła się na myśl o zawartej w tym ironii. Z trojga dzieci Nela tylko Lark nigdy nie marzył o opuszczeniu swej ukochanej Jijo. A teraz zobaczy więcej niż sami wielcy Transcendenci! Ślubował celibat, a teraz ze swą partnerką spłodzi nowy ludzki naród w jakiejś odległej galaktyce.

Żegnaj, bracie. Niech szef Ifni ma na ciebie oko.

Baw się dobrze.

Tunel ucieczki majaczył przed nimi, wypełniony dziwnymi, niepokojącymi spiralami. Sara spojrzała na Emersona. Przed paroma chwilami, gdy grad ostatnich szczątków Prastarych Istot spadł na udreconą powierzchnię białego karła, mężczyzna warknął jedno słowo:

– Odpady!

Potem się uśmiechnął, jakby widział ostateczną klęskę śmiertelnego wroga.

Ktoś odliczał subiektywne sekundy pozostające do nadejścia fali materii:

– ...czternaście... trzynaście... dwanaście...

– Jesteśmy już bardzo blisko – mrucał Akeakemai, uderzając ogonem, by popędzić gwiazdolit.

– Blissko...

Napięcie było tak straszliwe, że umysł Sary odruchowo powrócił do królestwa, nad którym miała pewną kontrolę. Do matematyki. Do problemu, który rozwiązała przed chwilą – gdy Gillian targowała się z Transcendentami, próbując ich przekonać, aby zabrali „Polkjhj” i pozwolili „Streakerowi” odlecieć.

W labiryncie pozaskończonych tensorów Sara odnalazła renormalizacyjny dylemat, który po prostu nie chciał zniknąć. W gruncie rzeczy wyglądało na to, że ma on zasadnicze znaczenie dla opisu fal chaosu, które widzieli. Ale według modeli samych Transcendentów był pozbawiony sensu!

Myślałam, że poznałam całą prawdę, gdy przewidziałam rozstanie galaktyk wywołane rozszerzaniem się wszechświata. Teraz jednak widzę, że jakaś dodatkowa siła przyspiesza całą sprawę.

To ma sens tylko pod warunkiem, że przyjmie się jedno osobliwe założenie.

Coś się zbliża. Coś tytanicznego.

Szczegóły były niejasne, ale Sara wiedziała o intruzie jedno.

Nie znajdzie się go w żadnej studni grawitacyjnej. Musimy go szukać gdzie indziej, w płaskiej przestrzeni. Daleko od Objęcia...

„Streaker” zadrzał gwałtownie. Wibracja nasilała się z każdą chwilą, wnikając do jej kręgosłupa.

– Fala materii! – ktoś krzyknął.

Czas zamigotał na chwilę...

Potem, na mgnienie oka, Sarę otoczyły wrzeszczące, podskakujące postacie. Emerson ścisnął ją, jakby to był koniec świata. Przez chwilę myślała, że rzeczywiście tak jest.

Potem usłyszała radosny pisk Prity, szydercze, radosne gwizdy delfinów i zdyszany śmiech ukochanego mężczyzny. Pośród tego tumultu i zamieszania zauważyła też, że wszelkie złowrogie łoskoty umilkły. Zniknęły bez śladu! Zastąpił je radosny ryk działających bez przeszkód silników.

Ekran odzyskał funkcjonalność, ukazując widok dziwnie zniekształcony ylem ścian niesamowicie dobroczynnego tunelu, przez który mknęli.

– Udało się! – zabrzmiał radosny, wzmocniony głos Suessiego.

Naprawdę?

Sara z niezadowoleniem uświadomiła sobie, że pogrążona w matematycznym transie przeoczyła moment triumfu i zbawienia.

Ależ jestem roztargniona – pomyślała i rzuciła się całować Emersona ze wszystkich sił.

PRZESTRZEŃ E

Harry zawsze dotąd wykonywał swój zawód samotnie.

Teraz wiem, dlaczego Wer'Q'quinn wysyła zwiadowców do przestrzeni E w pojedynkę. Nadmiar umysłów może tu być niebezpieczny. I zawstydzający.

Podczas wcześniejszych wypadów do królestwa żywych idei czasami docierał na nowe terytorium tylko po to, by się przekonać, że miejscowa macierz krystalizuje się wokół symboli, które wyciekły z jego umysłu. Ponieważ z reguły nie było tam nikogo poza stadami miejscowych memoidów, nie miało znaczenia, jakie tajemnice jego podświadomości ujawniają owe kształty.

Tym razem na stacji przebywało pięć istot o silnej woli, pochodzących z czterech różnych gatunków. Harry martwił się tym od chwili, gdy jego statek wyłonił się z fioletowej mgiełki na długich pajęczych nogach.

Opary wkrótce zaczęły rzednąć, jakby przeganiały je dociekliwe spojrzenia jego pasażerów. Dwer, Kaa i Kiwei Ha'aoulin przycisnęli się do okien w głównym pomieszczeniu. Dwer był już w przestrzeni E, ale dwoje pozostałych wyraźnie zafascynowała pierwsza wizyta w owym sławetnym mitycznym królestwie.

Nie okazywalibyście takiej ciekawości, gdybyście widzieli to samo co ja.

Harry powstrzymał się jednak przed zasunięciem kotar. To była dla nich ostatnia szansa ujżenia przestrzeni E na własne oczy.

I może również moja ostatnia wyprawa.

Mgła rozproszyła się całkowicie, odsłaniając bezkresny krajobraz wypełniony sześcianami, piramidami, przechylnymi płaszczyznami oraz innymi, bardziej skomplikowanymi formami geometrycznymi. Tak przynajmniej wyglądały obiekty na początku.

Gdy tylko Harry przyjrzał się uważniej jednej z nich, bryła zaczęła topnieć i zestalać się, przybierając bardziej zaokrąglone kształty. Wkrótce zauważył po obu stronach wypustki przypominające... uszy! Następnie pojawił się spłaszczony nos. Po kolejnej chwili uśmiechnęły się do niego usta pełne pożółkłych zębów, nieapetyczne, a zarazem znajome.

Sprawdził instrumenty. Memetyczny monolit dzieliło od niego z górą trzydzieści pseudokilometrów! Najwyraźniej Harry sprowokował powstanie gigantycznej rzeźby przedstawiającej jego własną głowę, wyższą od największych konstrukcji na Ziemi. Zerknął na obie strony i zobaczył zestalające się na całej równinie posągi w kształcie Synthian, delfinów i ludzi. Wkrótce repliki Kaa, Dwera oraz Kiwei pokryły równinę tak daleko, jak okiem sięgnąć.

– Proszę, proszę – odezwała się zachwycona Synthiańska handlarka, krzyżując dłonie na brzuchu. – Może ktoś powinien obudzić Rety, żeby ona również mogła mieć szansę zdobycia nieśmiertelności na megaskalę?

Harry potrząsnął głową. Gigantyczna rzeźba powtórzyła jego pełen irytacji gest.

– Na Ifni, biedne dziecko odsypia wstrząs mózgu. Zresztą podobne formy na ogół nie są trwałe. Większość takich prymitywnych memów roztapia się w ylemie zaraz po utracie kontaktu z umysłem, który spowodował ich powstanie.

– Ale czasami mogą przetrwać? Jest szansa, że zostaną tu na zawsze?

Harry wzruszył ramionami, zastanawiając się, dlaczego Kiwei to obchodzi.

– Widywałem już takie obiekty. Kryptokształty i zamrożone obrazy z dalekiej przeszłości. Wer'Q'quinn mówi, że urzeczywistniona substancja memetyczna może niekiedy stać się sztywniejsza od prawdziwej materii, podobnie jak idee, które utrwalają się w żywych mózgach. Podejrzewam, że

w przestrzeni E istnieją pojęciowe obiekty, które mogą przetrwać dłużej niż wszystkie protony i kwarki w materialnym wszechświecie.

Kiwei spojrzała na szereg wzniesień i gór. Większość z nich przedstawiała jej pyzate, pełne samozadowolenia oblicze.

– Naprawdę? – zapytała z tęsknym westchnieniem.

Dwer i Kaa zachichotali, ale Harry potrząsnął tylko głową.

– Ruszajmy, nim stanie się coś jeszcze – rzucił.

Do tej pory bardzo niewiele szło zgodnie z planem.

Najpierw były zajścia w magazynie na Kazzkarku. Dwer osłaniał ich gradem strzał, a Harry i Kiwei zdołali złapać nieprzytomną Rety i uciec z nią, unikając rozczłonkowania przez rozwścieczonego wojownika Tandu. W pobliskich korytarzach słychać już było nadciągające posiłki. Kolejne okrutne istoty biegły pomóc towarzyszowi siać zniszczenie, podczas gdy małą planetoidą co chwila wstrząsały fale chaosu.

Harry obejrzał się za siebie i zobaczył ostatnie chwile misjonarza Skiano, ciśniętego na eksplodującą kulę przedstawiającą Ziemię – błękitną „planetę męczennika”.

Kłopoty czekały na nich również w porcie. Fragmenty skalnej ściany oddzielały się od całości, miażdżąc statki stojące na pobliskich stanowiskach. Głośne alarmy ostrzegały, że za chwilę dojdzie do przebicia. Harry kazał natychmiast wszystkim wsiadać i ruszył swą stacją w drogę, holując za sobą małą korwetę Kaa. W tej samej chwili sufit zaczął się zapadać. Gdy dotarli do zewnętrznej śluzy, nie było już sensu przechodzić przez protokoły emigracyjne. Zamykająca im drogę ściana po prostu się rozpadła, odsłaniając widok na dziwnie mrugające gwiazdy.

Musieli przez chwilę omijać niebezpieczne szczątki, nim mogli sobie pozwolić choćby na prosty skok hiperprzestrzenny o krótkim zasięgu. Planetoidą wstrząsały wciąż nowe fale chaosu.

Nawet gdyby udało mi się wrócić z misji, nie ma sensu składać tutaj meldunku.

Są też inne bazy Instytutu.

Zresztą mówią, że w dzisiejszych czasach bezpieczniej jest być na planecie.

Fale chaosu wreszcie osłabły, choć Harry wiedział, że najgorsze dopiero nadejdzie. Gdy Kazzkark zniknął mu z oczu, szympans pomyślał, że ma nadzieję, iż stara kałamarnica, Wer'Q'quinn, zdoła jakoś uciec.

Potem wszystko przerodziło się w zamazaną plamę. Harry podał współrzędne Kaa i pozwolił doświadczonemu pilotowi przeprowadzić ich przez kilka skoków na poziomie B, a potem wejść do małego punktu t, który uznano już za niestabilny.

Pomysłowe manewry przeskakującego z nici na nic Kaa jakimś cudem uchroniły ich przed rozbiciem, poszatkowaniem, upieczeniem albo wyparowaniem. Niemniej była to szalona, szarpiąca nerwy podróż. Harry nie przestawał przeklinać wszystkich waleni i ich przodków aż do miocenu.

Wreszcie dotarli do wyznaczonego punktu wejścia, specjalnego, ciemniejszego niż czerń miejsca, w którym ściany między różnymi poziomami rzeczywistości były wyjątkowo cienkie i można je było przebić. Wtedy stery przejął Harry. Wkrótce potem rzeczywistość zamigotała i przeszli do królestwa, w którym fizyka pozwalała ideom żyć własnym życiem.

Szympanś ucieszył się, gdy opuścili region wielkich posągów i znaleźli się na terenie pokrytym bezkresnymi połaciami pomarańczowej, falującej „trawy”. Każde źdźbło reprezentowało jakieś podstawowe pojęcie, bytujące poza językiem czy umysłem gospodarza.

Przy bliższych oględzinach preria robiła wrażenie zerodowanej i odbarwionej. Jej wielkie

fragmenty były zryte lub wypalone, jakby zniszczyły je pożar i trzęsienie ziemi. Najwyraźniej przestrzeń E nie była odporna na zaburzenia, które wstrząsnęły pięcioma połączonymi galaktykami. Nawet stada memoidów ucierpiały. Widział kilka ogarniętych paniką grup biegających w tę i w tę, gdy ziemię i niebo przeszywały zapowiadające niebezpieczeństwo fale.

Pasażerowie gapili się na to wszystko z zachwytem, Harry jednak wytyczył kurs na Kosmiczną Aleję. Musi jak najszybciej znaleźć jej odcinek odpowiadający Czwartej Galaktyce i rozmieścić tam instrumenty. Na szczęście te nowe urządzenia były przeznaczone do jednorazowego użytku. Zostawi je na miejscu, a gdy zostaną zniszczone, ich śmiertelne krzyki przekażą pracownikom Wer'Q' quinna bardzo istotne informacje na temat Wielkiego Rozdarcia. Szef zapewnił Harry'ego, że tym razem dane zostaną podane do publicznej wiadomości, a nie zapisane w tajnych plikach, przeznaczonych wyłącznie do użytku starszych gatunków i gwiazdnych bogów.

Przed wszystkim dlatego Harry zgodził się wyruszyć na tę misję. Fakt, że przejmował się wydarzeniami mającymi nastąpić za sto milionów lat, mógł się wydawać dziwny, ale z jakiegoś powodu identyfikował się z mieszkańcami owej odległej ery. Być może jego wysiłki choć w części oszczędzą im płynącego z ignorancji przerażenia, które obecnie zapanowało w Pięciu Galaktykach. Nawet jeśli ówczesni „bogowie” będą odległymi potomkami szympanów, a na personel Instytutu Nawigacji będą się składali dziedzice dzisiejszych wszy, takich jak te, które grasowały teraz w jego futrze, przez co ciągle miał ochotę podrapać się po...

– *Kapitanie Harms* – odezwał się wirujący krąg, który zmaterializował się nieprzyjemnie blisko jego nosa. – *Mam wieści! Twój cel powinien już leżeć w zasięgu wzroku. Gratulacje! Czy mogę dodać, że było prawdziwą...*

Szympan potrząsnął krótko głową, przerywając hologramowi trybu obserwacji. Podbiegł do szeregu okien i za zawsze obecną w przestrzeni E mgiełką wypatrzył wąską, świetlistą rurę wijącą się przez teren przed nimi.

– Wreszcie coś poszło jak trzeba – wyszeptał.

Rozmieszczając instrumenty, znajdzie odpowiedni punkt Alei, przesadzi Kaa i pozostałych pasażerów do korbety, a potem przepchnie mały stateczek do normalnej przestrzeni, licząc na to, że znajdą się w zasięgu od swego celu. Być może zostanie mu jeszcze wystarczająco wiele czasu na powrót do cywilizacji, nim całe to miejsce szlag trafi.

Rety była nieustępliwa.

Od chwili, gdy odzyskała przytomność i wpadła do pomieszczenia, jedną ręką trzymając się za głowę, a drugą głaszcząc małego uryjskiego męża, stanowczo trzymała się tej samej opinii.

Nie wróci na Jijo z Dwerem i pozostałymi.

– Ty możesz sobie tęsknić za brudem i bandą zacofanych barbarzyńców, ale ja nie chcę już nigdy więcej słyszeć o tej dziurze! Wracam z Harrym.

Tak to wyglądało. Nie wyrażała wdzięczności za uratowanie życia. Ani słowem nie wspomniała o swej niedawnej religii ani nie dopytywała się o los nieżyjącego guru. Nie okazywała nic poza zapiekłą determinacją odrzucającą wszelkie sprzeciwy.

Mimo młodego wieku jest naprawdę niezwykła. Znałem trochę ludzi o podobnie silnej osobowości i każdy z nich zmienił świat. Na lepsze albo na gorsze. Większość z nich miała jednak pewną cechę, której brakowało Rety. Rozumieli praktyczną wartość taktu. Rzecz jasna, ją wychowali barbarzyńcy. Być może w cywilizacji nabędzie umiejętności społecznych, nauczy się zawierać sojusze, zdobędzie aspiracje, a z czasem nawet da się polubić.

Z jej planem był jednak pewien problem.

– Szczerze mówiąc, panienko, istnieje spore prawdopodobieństwo, że uda mi się dostarczyć was do odpowiedniego kwadrantu Czwartej Galaktyki. Może nawet sektora. Ale moje szanse ocalenia po tym...

Rety przerwała mu śmiechem.

– Nie mów mi o szansach! Nie przejmowałam się nimi, odkąd poharatał mnie galeater i własne plemię zostawiło mnie na śmierć. Ja i yee zostaniemy u twojego kudłatego boku, jeśli nie masz nic przeciwko temu. A nawet jeśli masz.

Inni pasażerowie w niczym mu nie pomagali. Kaa skierował spektroskop na pełną ciemnych mgławic i lśniących gromad gwiazd Aleję, szukając charakterystycznego rumieńca pewnego czerwonego olbrzyma o burzliwym usposobieniu. Kiwei gapiała się na równinę memów, najwyraźniej próbując ponownie narzucić im swą wolę, przywołać kolejne kształty.

Dwer zatoczył tylko oczyma w odpowiedzi. Nie miał zamiaru ponownie ingerować w życie Rety.

– No dobra – zgodził się z westchnieniem Harry. – Tylko obiecaj, że nie będziesz wchodzić mi w drogę. Ani narzekać na to, gdzie w końcu wylądujemy!

– Pod warunkiem, że to nie będzie Jijo – zgodziła się dziewczyna, kiwając głową.

Brzęczyk oznajmił, że rozmieszczono kolejny pakiet instrumentów. Jeśli szczęście uśmiechnie się do Harry'ego, wszystkie znajdą się na miejscu przed nadejściem największej fali chaosu. Wtedy pozostanie mu tylko zostawić Kaa i jego towarzyszy w pobliżu zaznaczonego na mapie punktu t i życzyć im szczęścia.

Zaoferował Kiwei szansę zmiany zdania.

– Nie musisz lecieć do Czwartej Galaktyki. Kiedy wszystkie połączenia zostaną zerwane, powrót stanie się nie...

Synthianka zachichotała, unosząc mięsistą dłoń.

– Błagam, starczy już tych bajeczek o trwałym „rozdarciu”. Majorze zwiadu, wprowadzono cię w błąd. Pięć Galaktyk zawsze było...

Stacja zatrzymała się gwałtownie. Wszyscy odwrócili się, słysząc przenikliwy pisk. Kaa mocno tłukł ogonem w leżankę wędrownika.

– Ch... chodźcie! – wołał delfin. – Ch... chodźcie to zzzobaczyć!

Harry i Kiwei podbiegli do okien. Kaa utworzył wskaźnik za pomocą neurołącza i skierował go na połyskliwą Aleję.

– To jest ona! – zasyczał pilot z satysfakcją. – Znalazłem ją!

– Izmunuti? – zapytał Dwer.

– Takkk! Tuż za tą podłużną chmurą zjonizowanego wodoru. Widmo zgadza się w sssstu procentach. Podobnie jak formacje otaczających ją gwiazd.

– Kurczę – mruknął Dwer. – Chyba nawet ja poznaję parę gwiazdozbiorów. Oczywiście, są zniekształcone.

Kaa uniósł gładką, szarą głowę i zaklekotał radośnie. Choć Harry nie władał troistym zbyt biegle, zrozumiał jego słowa.

** Wystarczyłoby, gdybym spełnił obowiązek,*

** Pomógł sprawie Ziemskiego Klanu.*

** Wystarczyłoby, gdybym uratował Peepoe,*

** I spędził z nią resztę życia.*

* *Wystarczyłoby, gdybym pomógł uratować Jijo,*
* *I poczuł smak jej jedwabistych wód.*

* *Wszystko to, a także wiele innych rzeczy*
* *Wystarczyłoby, bym z satysfakcją stawił czoło śmierci.*
* *Ale oprócz wymienionych radości*
* *Odzyskałem też swój przydomek!**

Kiwei pochyliła się, spoglądając na niezliczone punkciki gwiazd.

– To znaczy, że słońce Jijo...

– Jest b... blisko! – Kaa skierował ciemne oko na Harry'ego. – Majorze Harms, jeśli pozwolisz nam przejść tutaj, ile paktaarów...

Ktoś nagle trącił szympansa w bark, przyciągając jego uwagę. Harry odwrócił się i zobaczył Rety, trzymającą na przedramieniu swego uryjskiego towarzysza. Małe stworzenie – „mąż” dziewczyny – wyciągało długą szyję, spoglądając na Aleję.

– Hmm, majorze Harms, czy możemy ci zadać pytanie?

– Nie w tej chwili, Rety. Musimy podjąć ważną decyzję.

Skinęła głową.

– Wiem o tym, ale yee zauważył coś, co powinieneś zobaczyć.

– Wskazała na krętą rurę, w kierunku, z którego przylecieli. – Tam dzieje się coś dziwnego.

– Jak to dziwnego? – zapytał Harry, prostując się nagle.

– W kilku ostatnich durach zapaliły się trzy albo cztery bardzo jasne... O następna! – krzywiła się, gdy oślepił ją nagły blask. – Czy to normalne? Czy gwiazdy mogą się tak nagle zapalać? Pomyślałam sobie, że powinieneś...

– Tryb obserwacji! – zawołał Harry. – Sprawdź Aleję w poszukiwaniu nagłych rozbłysków. Czy to iluzje zrodzone w przestrzeni E, czy coś realnego, co dzieje się w Czwartej Galaktyce?

Unoszący się w powietrzu symbol wirował tylko przez chwilę.

– *Profile widmowe oraz jasność rozbłysków odpowiadają niezwykle potężnym supernowym typu I a. Podobne eksplozje mogą wpływać na międzyprzestrzenną membranę, którą zwiesz Aleją.*

– Widzę to! – warknął Harry. Stabilny dotąd ogromny przewód zaczął się nagle poruszać. Drżał i wyginał się przed każdym boleśnie jasnym punkcikiem.

– *Parametry bezpieczeństwa sugerują, że rozsądnie byłoby odsunąć się od granicy.*

– Supernowe nie wybuchają falami! – sprzeciwiła się Kiwei. – Każda jest izolowanym wydarzeniem astrofizycznym!

– To mi się nie podoba – dodał Dwer.

– Może powinniśmy zrobić tak, jak radzi głos – zasugerowała Rety. – Wracać stąd do cywilizowanej przestrzeni. Schowajmy się na jakiejś planecie, dopóki to wszystko...

– Zapomnij o t... tym – pisał Kaa. – Harmsss, dotrzyмай obietnicy!

Harry skinął głową.

– Dobra. Niech wszyscy, którzy lecą na Jijo, przejdą przez służę do korwety. Będziemy potrzebowali kilku dur...

Umilkł, gdy kolejna niebieska gwiazda rozjarzyła się nagle – tym razem po ich lewej stronie, prawie przy samej granicy. Erupcja powiększyła jasność tego obszaru miliard razy, wypełniając kabinę oślepiającym blaskiem.

Prędkość światła nie ograniczała zaburzeń przyczynowości, które nastąpiły potem. Jakiegoś

rodzaju fala metryczna uderzała w wewnętrzną powierzchnię Alei, która wyginała się jak udręczony wąż. Jej granice przechodziły w przestrzeń E, odbarwiając się straszliwie, gdy tworzyły się nowe uwypuklenia, miotające się jak zbolełe nibynóżki. Kilka z nich sięgało ku stacji, uderzając spazmatycznie.

Jak na wybuch supernowej, atak miał bardzo osobisty charakter. Harry nie miał jednak czasu na roztrząsanie kryjącej się w tym ironii.

– Przygotujcie się do przejścia – wychrypiął przerażonym głosem.

Cała Aleja zamigotała nagle. Harry zrozumiał, że jego wcześniejsze oceny były błędne.

Zbliża się rozdarcie.

Pasażerom zostało tylko parę chwil na to, by złapać się jakiegoś pobliskiego obiektu, nim materialny wszechświat pochwycił statek Harry'ego z przeraźliwym jękiem i pociągnął go z powrotem do królestwa atomów.

UKŁAD SOL

Gillian wiedziała, że tylko dwóch żyjących pilotów mogłoby mieć szansę szybkiego manewrowania przy takich warunkach przestrzennych.

Keepiru i Kaa. Obaj przed trzema laty wyruszyli na wyprawę ze starannie dobraną przez Creideikiego załogą.

A teraz obaj ich opuścili. Odeszli tam, gdzie byli bardziej potrzebni.

Tam, gdzie powinni się znaleźć.

Leć szczęśliwie, Keepiru.

Wysłała to życzenie między nieprzeliczone gwiazdy.

Dokądkolwiek postanowią polecieć Tom i Creideiki, proszę, doprowadź ich do bezpiecznych portów.

Jeśli zaś chodzi o Kaa, czuła się winna już od chwili, gdy zmusiła go do opuszczenia Jijo. Peepoe go potrzebowała. Według obliczeń Sary droga powrotna do Czwartej Galaktyki będzie niebezpieczna. Kaa będzie musiał wykorzystać wszystkie swoje umiejętności, ponadto będzie potrzebował sporej dawki sławetnego szczęścia.

Wiem, że ci się uda, Kaa. Obyś wkrótce pływał z Peepoe i do końca życia pozostał ulubieńcem Ifni.

Warunki w innych galaktykach nie były aż tak złe jak w Czwartej. Mimo to w całej cywilizowanej przestrzeni zapanowały rwetes i nerwowość. Instytut Nawigacji wciąż wyznaczał nowe okrężne trasy, aż wreszcie zabrakło mu boi. Potem zaczął wysyłać na wszystkie znane szlaki dzielnych ochotników, by wykrzykiwali ostrzeżenia na podprzestrzennych częstotliwościach i kierowali podróżnych na nieliczne bezpieczne trasy. Flotylle z niezliczonych planet ruszały ze śmiałymi misjami ratunkowymi, zapuszczając się w przestrzenne wiry w poszukiwaniu zaginionych statków oraz rozbitków.

Galaktyczna cywilizacja pokazywała się tu ze swej najlepszej strony. Dlatego właśnie niemal z pewnością zdoła przetrwać zaburzenia i być może wyjdzie z niego silniejsza niż kiedykolwiek dotąd. Kiedy wszystko się uspokoi. Za kilka tysięcy lat.

Tymczasem jednak w czterech pozostałych galaktykach panował chaos. Wiele klanów i gatunków zaprzestało małostkowych sporów, aby pomagać innym, ale nie brakowało też takich, którzy wykorzystywali zamęt, by grabić, wymuszać albo załatwiać stare porachunki. Religijne schizmy szerzyły się na podobieństwo trujących fal, dodatkowo nasilając starożytne nieprzyjaźnie.

A dokąd zmierza teraz „Streaker”? Prosto w miejsce, gdzie fanatycy toczą najgwałtowniejsze walki. Modlimy się o to, aby dotrzeć do celu, nim się zakończą. To dopiero jest skok z deszczu pod rynnę!

Przynajmniej nie miała powodu się skarżyć na prędkość „Streakera”. W tej chwili dysponowała zapewne najszybszym statkiem w całej cywilizacji tlenodysznych.

Nie chciałabym krytykować Akeakemaia, ale bez Keepiru czy Kaa ta podróż trwałaby miesiące, gdybyśmy lecieli trasami oznakowanych objazdów. Po przybyciu na miejsce zastalibyśmy tylko popioły.

Całe szczęście, że udzielono nam pomocy.

Ta „pomoc” otaczała kolczasty cylinder ziemskiego gwiazdolotu niczym druga skóra, powłoka migotliwych witek głaszczących rozmaite metryki kosmicznego kontinuum, wyczuwając kurs, prędkość i poziom podprzestrzeni, by posuwać się naprzód jak najszybciej. Nie zważając na

ostrzegawcze znaki i boje, półrozumna otoczka prowadziła „Streakera” przez szlaki, na których szalały burze nierozstrzygniętej hipergeometrii, dokonując błyskawicznych przeskoków, które nawet będącego w najlepszej formie Keepiru zmusiłyby do sporego wysiłku.

Wielcy Transcendenci bardzo nie lubili opuszczać wygodnego Objęcia Pływów i rzadko oddalali się od swego horyzontu zdarzeń, by ingerować w sprawy pomniejszych gatunków, ale ich słudzy z pewnością potrafili pilotować gwiazdoloty. Być może ta szczególna nagroda wynagradzała choć część straszliwego pecha, który towarzyszył „Streakerowi” od trzech lat. Po szczęśliwej ucieczce przed wybuchem supernowej Gillian przestała katalogować cuda – dobre, złe... i najzwyczajniej w świecie dziwaczne.

Po prostu zaprowadź nas do domu na czas – myślała, nie mając pewności, czy Transcendent nadal jej słucha.

Gdy „Streaker” minął potrójne latarnie sygnałne Tanith, Gillian uświadomiła sobie, że wkrótce wydarzy się niemożliwe.

Znowu ujrzymy Ziemię... choć być może tylko z daleka.

Gdy ekran wypełniło złote światło Sol, zaczęli się natykać na nowe boje ostrzegawcze, rozmieszczone przez biurokrację innego rodzaju.

UWAGA, PODRÓŻNICY!

WKRACZACIE DO STREFY KONFLIKTU ZAREJESTROWANEGO ZGODNIE Z ZASADAMI WOJNY! RADZIMY WAM NATYCHMIAST WRACAĆ NA TANITH! JEŚLI MACIE TU DO ZAŁATWIENIA JAKIŚ INTERES, ZWRÓĆCIE SIĘ DO INSTYTUTU CYWILIZOWANEJ WOJNY Z PROŚBĄ O PRZEPUSTKĘ ALBO ZAREJESTRUJCIE SIĘ JAKO KOLEJNA STRONA UCZESTNICZĄCA W WALKACH PRZECIWKO OBROŃCOM TERRY ALBO PO ICH STRONIE.

NASTĘPUJĄCE GATUNKI/NARODY/KLANY/SOJUSZE OGŁOSIŁY KAMPANIE WENDETY-WYMUSZENIA PRZECIWKO TLENOWEJ LINII ZNANEJ JAKO ZIEMSKI KLAN...

Wyliczanie frakcji oblegających ojczysty świat Gillian trwało dość długo. To była przerażająca lista. Najwyraźniej po latach sporów o to, komu powinien przypaść przywilej podboju Ziemi, Soranie, Tandu, Jophurzy i inni zgodzili się połączyć siły, a potem podzielić się łupami.

Lista sojuszników ludzkości pozostawała przynębiająco krótka. Tymbrimeczycy dochowali wierności, z wielkim kosztem dla siebie, podobnie jak dzielni Thennianie. Materialną pomoc – broń, ale nie żołnierzy – przemycali p’ort’le, zuhgowie i Synthianie, a także jedna z frakcji Sojuszu Oczekujących. Również nowa grupa, posługująca się nazwą „Akolici”, przysłała niedawno statki pełne ochotników.

Wiadomość od Instytutu Wojny wyliczała następnie długą listę protestów złożonych przez Soran i inne gatunki, uskarżające się na „sztuczki dzikusów”, które powstrzymały kilka kolejnych prób zbliżenia się na odległość umożliwiającą bezpośredni ostrzał Ziemi. Doprowadziły one do licznych ofiar w szeregach napastników oraz do utraty kilkudziesięciu dużych okrętów. Przyczyną były rodzaje broni oraz rozwiązania taktyczne, których nie można było znaleźć w Wielkiej Bibliotece i w związku z tym były podejrzane i nie uchodziło, by rozumne istoty używały ich do zabijania tych, którzy próbowali je zamordować!

Ten fragment sprawił, że Gillian zachichotała z dumą... choć najwyraźniej Radzie Terrageńskiej

zaczynało już brakować „sztuczek”. W gruncie rzeczy siły obrońców ograniczały się teraz do ognistego pierścienia, ustawionego wzdłuż orbity Luni.

Boja Instytutu zakończyła oznajmieniem, że walczący z reguły przestrzegają zasad prowadzenia wojny, podczas gdy konflikt zmierza do nieuniknionego rozwiązania.

– Ładne mi zasady! – burknął Suessi. W innych erach Instytut Wojny zdołał ją całkowicie sformalizować, uczynić z niej stosunkowo nieszkodliwy sport, w którym wyznaczeni reprezentanci ścierali się o przywileje lub honor. Jednakże obecne ograniczenia były bardzo luźne, a panujący w galaktykach chaos sprawiał, że w praktyce nie sposób było wymusić ich przestrzegania. Floty wojenne oblegające Ziemię mogły zrobić niemal wszystko. Rzucić gaz na miasta. Pojmać i „adoptować” obywateli. Nie wolno im było jedynie zaszkodzić kruchej biosferze planety, a i to mogło im ująć na sucho, jeśli rozpad społecznego ładu będzie trwał dalej.

Były też jednak dobre wieści. Najwyraźniej tak zwana Koalicja Umiarkowanych Gatunków w końcu ogłosiła, że sprzeciwia się oblężeniu i zaczęła zbierać siły, mające wymusić zawieszenie broni. Pierwsze jednostki dotrą na miejsce za kilka tygodni, jeśli nie powstrzymają ich korki na galaktycznych trasach.

Słyszeliśmy już takie obietnice – pomyślała z goryczą Gillian.

Niss zameldował, że bukmacherzy i brokerzy, którzy bynajmniej nie zaprzestali działalności pomimo Wielkiego Rozdarcia, dawali Ziemianom niewielkie szanse na to, że wytrzymają tak długo.

– Bardzo wiele się ostatnio zmieniło – oznajmiła Gillian załodze gwiazdolotu, gdy mknęli ku sferze walk otaczającej ich ojczystą gwiazdę. – Zobaczmy, czy uda się nam wpłynąć na bieg wydarzeń.

Jej plany pozostawały elastyczne, zależały od tego, jakie warunki napotkają w pobliżu Ziemi.

Być może zdołają zakończyć oblężenie, odwracając uwagę nieprzyjaciela. W końcu to jej statek był wielką zdobyczą, za którą wszyscy tak długo się uganiali. To wiadomość o odkryciach, których „Streaker” dokonał w Płytkiej Gromadzie, dały początek temu szaleństwu. Namiętności nadal nie ostygły, mimo że Wielkie Rozdarcie było jeszcze bardzo świeżym wspomnieniem, a po całej cywilizacji krążyły apokaliptyczne prorocтва, bardziej niszczycielskie niż fale chaosu. We wszystkich sektorach i kwadrantach nie cichł tumult i każdy dogmatyczny sojusz starał się rozwiązać Zagadkę Przodków przed rywalami.

Co, jeśli „Streaker” pojawi się nagle przed siłami oblegających, zacznie z nich drwić, a potem umknie w targaną zaburzeniami galaktykę? Czy floty wojenne nie podążą za nim, dając Ziemi tak bardzo potrzebny czas? Jeśli szczęście będzie im sprzyjało, mogą nawet spowodować wznowienie walk między Tandu i innymi radykalnymi frakcjami, co przerzedzi ich szyki i może ośmielić bojaźliwych umiarkowanych, skłaniając ich do interwencji.

Takie posunięcie mogło się wydawać sprzeczne z rozkazami wydanymi Gillian przez Radę Terrageńską. Polecono im się ukrywać, a przede wszystkim nie dopuścić do tego, aby zdobyte przez Creideikiego dane wpadły w niewłaściwe ręce. „Streaker” mógł przekazać informacje jedynie wykwalifikowanym bezstronnym czynnikom albo wszystkim, gdy obywatele Pięciu... czy raczej Czterech Galaktyk zgodzą się, jak się nimi podzielić.

No cóż, to z pewnością zrobiłam. Jaki czynnik mógłby być bardziej bezstronny i wykwalifikowany niż unia istot, która przejęła kontrolę nad jophurskim okrętem? Konsorcjum emisariuszy z kilku kategorii życia, wybranych przez Transcendentów na reprezentantów naszej makrokultury w jakimś odległym królestwie?

Wszystkie próbki pobrane z Floty Duchów, w tym również zagadkowy trup, którego przezwali

Herbami, znajdowały się obecnie na pokładzie przeobrażonego gwiazdolotu, daleko poza zasięgiem nawet najbardziej zawziętych fanatyków. Być może przedstawiciele jakiejś odległej cywilizacji okażą należyty zachwyt na ich widok, a nawet będą w stanie odpowiedzieć na niektóre pytania.

Jedyne, co zachowaliśmy z Płytkiej Gromady, to współrzędne. A one są w bezpiecznym miejscu.

Pierś Gillian wypełniły radosne uczucia. Wiedziała, co jest ich źródłem.

Wolność.

Podobnie jak reszta załogi „Streakera” Gillian miała wrażenie, że z jej ramion spadło straszliwe brzemie. Ciężar ich ogromnego znaczenia, który cały ten czas spoczywał na nich niczym całun, zmuszając ich, by ukrywali się i skradali jak ścigana zwierzyna. Byli zbyt cenni, by mogli sobie pozwolić na odwagę.

Ale teraz to się zmieniło.

Staliśmy się żołnierzami, nikim więcej.

Żołnierzami Ziemskiego Klanu.

HIPERPRZESTRZEŃ

Po Wielkim Rozdarciu wszystko zaczęło się rozpadać. Cała cudowna wielowarstwowa struktura czasoprzestrzeni.

Eksperci Wer'Q'quinna ostrzegali Harry'ego, że efekty towarzyszące rozdarciu w Czwartej Galaktyce będą znacznie bardziej nasilone. Zerwały się wszystkie starożytne połączenia z innymi spiralami, zapadła się też większość punktów transferowych. Co więcej, wszystkie znane poziomy czasoprzestrzeni – od A do E – miały się oddzielić jak skóry zrzucane przez węża i pójść własną drogą.

Nie tylko straciłem wszelką nadzieję na powrót do domu – myślałem podczas szaleńczego lotu, który nastąpił później – ale możemy zostać na zawsze uwięzieni w jakimś żalnym zakątku spiralnego ramienia. Albo nawet w jednym układzie planetarnym!

Zakładając, że zdołają bezpiecznie wrócić do normalnej przestrzeni.

Stacja Harry'ego drżała i trzeszczała. Wszystkie żaluzje stukały w ramach, a w grubych kryształowych szybach pojawiły się niepokojące szczeliny. Tuż za nimi zaczynał się labirynt nici transferowych, skłębionych jak udręczone robaki wijące się w śmiertelnej agonii. Połączenia w geometrii przestrzeni, wyrwane z podłoża, miały się szaleńczo, przecinając się nawzajem na krótkie kawałeczki.

W takiej chwili niedobrze było próbować pokonać barierę prędkości światła za pomocą skrótów, z których rutynowo korzystano od eonów. Oszukiwanie Einsteina stało się niebezpiecznym przestępstwem.

Bezpieczniej byłoby przejść do normalnej przestrzeni i przeczekać okres wstrząsów w pobliżu jakiejś gwiazdy mającej nadającą się do zamieszkania, pozostawioną odłogiem planetę. W najgorszym razie – jeśli podróże nadświetlne staną się niemożliwe – będą przynajmniej mieli gdzie wylądować. Kaa jednak nie chciał o tym słyszeć. Niemal natychmiast po wyjściu z przestrzeni E delfin przejął stery, odrzucił bezużyteczną już korwetę i przeprowadził koziołkującą stację Harry'ego przez dogasający wir pobliskiego punktu transferowego, rozpaczliwie szukając drogi do jedyne miejsca, które zwał domem.

Harry nigdy nie widział tak genialnego pilota. Ani choćby w połowie tak szalonego. Jego pękata stacja raczej nie była sportowym śmigaczem, lecz mimo to Kaa wykonywał nią gwałtowne zakręty, przeskakując między promiennymi niemi jak jakiś naćpany gibbon, który ucieka przez ogarniętą pożarem dżunglę, przenosząc ciężar swego ciała z jednej płonącej liany na drugą. Delfin regularnie tłukł ogonem w leżankę. Jego oczy zapadły się i zaszyły szkłem, a przez neurołącze do jego mózgu napływał potop informacji. Z wielkiej czaszki nieustannie dobiegał klekot sygnałów sonaru, niekiedy łączący się w artykułowane wyrazy.

Najczęściej pojawiała się słowo „Peepoe”. Kaa spełnił obowiązek wobec „Streakera” i Ziemi, zostało mu więc tylko jedno pragnienie: połączyć się z ukochaną.

Harry go rozumiał.

Szkoda tylko, że nie zapytał mnie o zdanie, zanim zabrał mnie w tę szaloną podróż!

Nikt nie śmiał zakłócać skupienia pilota. Nawet Rety milczała, nerwowo gładząc uryjskiego męża. Kiwei Ha'aoulin przykucnęła, mamrocząc coś do siebie w synthiańskim dialekcie. Być może żalowała, że nie posłuchała głosu ostrożności, zamiast chciwości.

Tylko Dwer nie uległ strachowi. Młody łowca oparł się plecami o konsolę sterową, a jedną

stopą o pobliskie okno. Dzięki temu miał obie ręce wolne i mógł się zająć czyszczeniem łuku, podczas gdy na zewnątrz rozplątywał się spektakularny węzeł gordyjski złożony z kosmicznych strun.

No cóż, z czasem pewnie wszystko może spowszednieć – pomyślał Harry. – Gdy już ktoś widział cały łańcuch supernowych wybuchających jedna po drugiej, a potem Aleja pochłoneła go jak jakiś udręczony potwór, coś tak prozaicznego jak pożar w hiperprzestrzeni ma prawo wydać mu się nudne.

Kaa z przeszywającym okrzykiem skierował stację ku potężnej nici, której luźny koniec miotał się szaleńczo, syjąc strumieniami straszliwych iskier! Rety krzyknęła. Harry’emu zagotowało się w brzuchu, aż bał się, że może się zanieczyścić. Zasłonił oczy, czekając na wstrząs...

...i zachwiał się, gdy nic się nie wydarzyło.

Nie poczuł nawet najłżejszej wibracji. Słyszał tylko cichy szum pracujących spokojnie silników.

Pełen obaw, lecz zarazem zaciekawiony, szympans opuścił dłonie.

Za porysowanymi szybami lśniły gwiazdy. Wzory łagodnych światel. Stabilne i niezmiennie.

Poza jednym miejscem, które migotało osobliwie, jakby wędrowała przez nie fala wypaczonej metryki. Słabnące zaburzenia chaosu, od których wciąż drżała próżnia. To jednak było nieporównanie lepsze niż przerażający dół pełen syjących iskrami węży, który przebyli przed chwilą!

Szybko oddalali się od punktu transferowego, zaznaczonego na ekranie przez migające czerwone symbole.

WSTĘP WZBRONIONY – głosiła jedna z komputerowych ikon.

WĘZEŁ NIEODWRACALNIE USZKODZONY.

WEWNĄTRZ PANUJĄ ŚMIERCIONOŚNE WARUNKI.

Potrafię w to uwierzyć – pomyślał Harry, przysięgając sobie, że uściska Kaa, gdy tylko będzie miał okazję... i zastrzeli go, jeśli delfin spróbuje wejść do drugiego podobnego punktu t.

Po przeciwnej stronie mieli rosnący z każdą chwilą dysk czerwonego olbrzyma.

– Izmunuti? – domyślił się Harry.

Kaa dalej gadał do siebie, ale Dwer pokiwał energicznie głową.

– Poznałbym ją wszędzie, choć mam wrażenie, że burze się uspokoiły, odkąd ostatnio tędy przelatywaliśmy.

Rety źle przyjęła tę wiadomość.

– Nie! – Uniosła pięści w stronę Harry’ego. – Obiecałeś, że nie będę musiała tam wracać! Zawróć statek! Zabierz mnie z powrotem do cywilizacji!

– Chyba nie rozumiesz, na czym polega problem – odparł szympans. – W tym tempie będziemy mieli szczęście, jeśli uda się nam dotrzeć do jakiegokolwiek nadającego się do zamieszkania świata. A z pewnością najbliższy z nich to...

Dziewczyna zakryła uszy dłońmi.

– Nie chcę tego słuchać. Nie chcę!

Harry spojrział na Dwera. Ten wzruszył ramionami. Pełne urazy odrzucenie rzeczywistości przez Rety przywodziło Harry’emu na myśl gatunek zwany epizjarchami, podopiecznych potężnych Tandu, którzy dzięki swym psionicznym talentom połączonym z potężną mocą ego potrafili zmienić niewielkie fragmenty otaczającego ich wszechświata, zaprowadzając w nich warunki, jakie bardziej im odpowiadały. Niektórzy uczeni przypuszczali, że wystarczy do tego potężna siła woli plus wysokie mniemanie o sobie. Jeśli rzeczywiście tak było, Rety będzie mogła ich cisnąć w jakieś odległe o megaparseki miejsce. Aż tak rozpaczliwie pragnęła nigdy już nie oglądać świata, na którym się urodziła.

Kaa uniósł butlonosą głowę. Jego czarne oko odzyskało klarowność.

– N... nie możemy tu zostać – oznajmił. – Od Jijo dzieli nas jeszcze z górą rok świetlny. Będziemy potrzebowali kilkunastu skoków przez poziom A. Albo p... pięćdziesięciu, jeśli skorzystamy z poziomu B.

Harry przypomniał sobie prognozy pracowników Instytutu Nawigacji z Kazzkarku. Rozdarcie miało według nich utrudnić dostęp do wszystkich poziomów hiperprzestrzeni. W Czwartej Galaktyce mogły one nawet oddzielić się całkowicie i odlecieć swoją drogą, pozostawiając tylko rozgwieżdżoną pustkę normalnej przestrzeni, einsteinowski kosmos, w którym panowały twarde prawa przyczynowości i obowiązywał limit straszliwie powolnej prędkości światła.

Ten proces zrzucania skóry nie miał jednak przebiegać natychmiastowo. Być może przez pewien czas z szybkich warstw nadal da się korzystać.

– Spróbuj przestrzeni B – zasugerował. – Przeczucie mi mówi, że będziemy zmuszeni po drodze często z niej wychodzić.

Kaa podrzucił potężną głowę.

– Dobra, t... to twój ssstatek. Niech będzie przestrzeń B...

Pilot ponownie skierował swą uwagę na królestwo, przez które wędrowali. Niesamowite talenty jego gatunku mogły być tu dla nich jedyną nadzieją.

Harry poczuł, że stacja przygotowuje się do następnego skoku.

Mógłbym się modlić, gdyby nie fakt, że sam wszechświat jęczy już z bólu – pomyślał.

Niemal od samego początku widzieli niepokojące ślady zniszczeń – szczątki niezliczonych statków kosmicznych, które próbowały pokonać tę samą drogę co oni i rozbiły się podczas kolejnych skoków między Izmunuti a Jijo.

– Ktoś przelatywał tędy przed nami – zauważył Dwer.

– I to najwyraźniej niedawno – dodała Kiwei głosem pełnym bojaźni. – Cała flota potężnych statków. Musiały być uwięzione w hiperprzestrzeni, kiedy nadeszło rozdarcie.

Skutki były porażające. W miarę jak Izmunuti zostawała z tyłu, a słońce Jijo robiło się coraz jaśniejsze, instrumenty Harry'ego pokazywały przerażające szczątki zniszczonej armady. Niektóre z wraków nadal świeciły po zagładzie w płomieniach.

– Dostrzegam co najmniej dwa różne typy statków – twierdził szympans, spoglądając na ekran. – Jeden z nich może być jophurski. Drugi... nie mam pojęcia.

Trudno było skupić instrumenty na czymkolwiek, ponieważ stateczek nieustannie drżał i podskakiwał. Kaa sprowadzał stację z powrotem do normalnej przestrzeni, gdy tylko niesamowity instynkt ostrzegał go, że nadciąga kolejna fala chaosu albo gdy pojawiała się niebezpieczeństwo, że otwarta fałda przestrzeni E nagle się zamknie, miażdżąc wszystko, co znajdzie się w środku.

Podróż przez tę niestabilną strefę hiperrzeczywistości – bardzo niewielką według dawnych standardów – stała się zdradliwą serią szalonych sprintów. Z dury na durę robiło się coraz gorzej. Każde kolejne przejście wymagało większej koncentracji i zmuszało przeciążone silniki do coraz potężniejszego wysiłku. Nie mogli jednak pozwolić sobie na odpoczynek. Bezwzględnie musieli wracać do hiperprzestrzeni tak szybko, jak tylko się dało. W każdej chwili przestrzeń B mogła się oddzielić całkowicie, a oni pozostaliby odcięci w kosmosie, wiele miesięcy świetlnych od najbliższego azylu. Żywności i powietrza zabrakłoby im znacznie szybciej, niż zdołaliby przemierzyć tak wielką odległość w przestrzeni o płaskiej metryce.

Szkoda, że po nawiązaniu kontaktu z Cywilizacją Pięciu Galaktyk Ziemianie zarzucili prace nad odrzutowymi raketami. Wydawało się, że to najbardziej absurdalna ze wszystkich technologii

dzikusów. Statki próbujące zbliżyć się do prędkości światła za pomocą brutalnej siły. W Wielkiej Bibliotece można było znaleźć mnóstwo łatwiejszych sposobów. Któż mógłby potrzebować równie ekstrawaganckiego rozwiązania?

Odpowiedź jest prosta. My. Każdy, kto chce podróżować po Czwartej Galaktyce, może być zmuszony z nich korzystać, od dziś aż po kres czasu.

Przynajmniej posuwali się naprzód. Z każdym skokiem wyraźnie zbliżali się do ciepłego, niezawodnego słońca. Niemniej, gdy zmierzali trasą usianą szczątkami rozbitych gwiazdolotów, pełne napięcia chwile miały boleśnie powoli.

– Domyślam się, że jophurski okręt liniowy zdołał wysłać wiadomość do kwatery głównej, zanim wyruszył w pościg za „Streakerem” – twierdził Dwer. – Posiłki przybyły w najgorszym możliwym momencie i zniszczyły je rozdarcie.

– Powinniśmy się radować – dodała Kiwei. – Nie chciałabym żyć w jophurskiej satrapii.

– Hmm – mruknął Harry. – Pod warunkiem, że cała ich flota została zniszczona w hiperprzestrzeni. Niewykluczone, że któraś eskadra dotarła bezpiecznie do celu i czeka na nas na Jijo.

To była przerażająca perspektywa. Przetrwali tak wiele, a na koniec miałyby ich pojmać pozbawione poczucia humoru stopy bezkompromisowych pierścieni sokowych.

– No cóż – odezwał się Dwer po kilku kolejnych ryzykownych skokach, gdy żółta gwiazda zaczęła wreszcie przypominać słońce. – Nie zostało nam już wiele czasu.

Przycisnął twarz do przedniej szyby. Chciał wreszcie zobaczyć Jijo równie gorąco, jak Rety pragnęła uniknąć werdyktu przeznaczenia.

ZIEMIA

Układ Słoneczny wypełniały szczątki pozostałe po z górą dwóch latach walk o zmiennych kolejach, pamiętki po nieustępliwym oporze dzikusów, który z pewnością stał się nieprzyjemnym szokiem dla najeźdźców, spodziewających się łatwego zwycięstwa. Powtarzane z czwartej ręki opowieści o tych gwałtownych starciach dotarły do załogi „Streakera” nawet na Fraktalnym Świecie. Najwyraźniej obrona Ziemi stawała się już legendą.

Trasę powolnego odwrotu znaczyły chmury jonów i odłamków... zamienione w parę połacie pasa komet... nadal się tłące kratery na Trytonie i Nereidzie... a także kilka wielkich jak planetoidy brył powyginanego metalu, krążących za orbitą Urana.

To musiało być wspaniałe widowisko. Szkoda, że mnie ominęło.

Niedawno pojawiły się nowe szczątki, pamiętka po Wielkim Rozdarcu. Okręty, które próbowały nadświetlnych manewrów podczas burzy przyczynowości, miały szczęście, jeśli udało im się po powrocie do normalnej przestrzeni zachować konsystencję gęstsza niż sorbet. Orbita Saturna stała się połyskliwym śmietnikiem, które wkrótce miało się przerodzić w ogromny pierścień wokół Słońca.

Niestety, dalekozasięgowe instrumenty wskazywały, że ocalałych okrętów z nawiązką wystarczy, aby wykonać zadanie. Dziesiątki potężnych okrętów liniowych – wśród nich kilka tytanów dorównujących gigantycznemu „Polkjhy” – zebrało się w szykach bojowych przy nowym froncie walk, aż nadto bliskim migotliwej błękitnej iskrze Ziemi.

Pierwsze pikiety zauważyły „Streakera” jeszcze za orbitą Ceres. Dziwaczna mieszana eskadra złożona z korwet i fregat Tandu, Soran oraz gorouphów, którzy połączyli swe siły w chwiejnej federacji. Byli czujni, mimo że śladowe fale chaosu nadal zakłócały pracę instrumentów. Gdy „Streaker” zignorował wezwanie do zatrzymania się, nadal mknąc ku Słońcu, najbliższe okręty otworzyły śmiertelnie celny ogień.

W ziemski gwiazdolit uderzyły ostre jak brzytwy snopy mocy, odbijając się bez szkody od przekształconego kadłuba. Wiązki ciepłe zostały pochłonięte bez dostrzegalnych efektów ubocznych, rozpraszając się w innym poziomie czasoprzestrzeni.

Jeśli nieprzyjaciel poczuł się zbity z tropu tymi niepowodzeniami, nie okazał tego po sobie. Kilka okrętów podleciało bliżej i wypuściło salwy potężnych inteligentnych pocisków, które pomknęły z wielką prędkością w stronę „Streakera”. Według Suessiego to była najpoważniejsza groźba. Broń energetyczna nie wywierała większego wpływu na powłokę Transcendentów, ale fizyczne wstrząsy mogły uszkodzić wszystko, co wykonano z materii, zwłaszcza jeśli będą silne i nastąpią szybko po sobie, w dobrze wyliczonej serii.

Rozumna powłoka „Streakera” uaktywniła się nagle, jakby zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Witki poruszyły się niczym rzeski otaczające bakterię. Od ich koniuszków oddzieliły się niezliczone maleńkie obiekty. W maksymalnym powiększeniu niezwykle myśliwce przechwytyjące wyglądały jak kieszonki wijącej się protoplazmy, czarne jak smoła, ale niepokojąco żywe.

– *To urzeczowione pojęcia* – wyjaśnił głos Nissa, przepojony niepokojem i bojaźnią. – *Niszczycielskie programy, zdolne wpoić maszynie śmiertelną wrogość do samej siebie. Nie muszą nawet przenikać do komputerów jako dane. Wystarczy im prosty kontakt fizyczny.*

– Mówisz o niezależnych memach! – zdumiała się Gillian. – Myślałam, że one nie mogą istnieć w realnej przestrzeni bez gospodarza...

– *Najwyraźniej myliliśmy się w tej sprawie* – odparł Niss, wyginając swój lej wirujących linii w geście zastępującym mu wzruszenie ramion. – *Nie zapominaj, że Transcendenci łączą w sobie wszystkie kategorie życia. Są również w części memami.*

Skinęła głową, gotowa zaakceptować niewiarygodne.

Rozprzestrzeniający się rój memów zderzył się z nadlatującymi pociskami, ale w pierwszej chwili nie było widać żadnych efektów. Na pokładzie „Streakera” zapanowało napięcie. Pociski kontynuowały lot jeszcze przez kilka sekund...

...ale potem nagle skręciły i oddaliły się po szalonych spiralach, by po chwili eksplodować, oświetlając pas planetoid jaskrawymi rozbłyskami.

Delfiny ucieszyły się głośno, ale Gillian zgasiła wszelkie oznaki radości, ogłaszając, że są przedwczesne. Przypomniała sobie ostrzeżenia Transcendenta, który odwiedził jej gabinet.

„Nie daj się oszukać złudzeniom niezwykłości. Daliśmy wam pewne atuty, ale ich skuteczność jest ograniczona. Rozsądnie byłoby pamiętać, że nie jesteście bogami. Jeszcze...”.

W rzeczy samej, Gillian na nic nie liczyła. Wkrótce nieprzyjaciel nauczy się, że nie ma sensu wysyłać robotów przeciwko statkowi bronionemu przez hordy drapieżnych idei. Albo postanowi uciec się do przygniatającej przewagi liczebnej.

No, ale pewnie mem uświeca środki – pomyślała, uśmiechając się z przelotną ironią. Gra słów była naprawdę beznadziejna. Tomowi by się spodobała.

Teraz, gdy nadeszła pora walki, Gillian zatęskniła za mężem ze zdwojoną siłą, jakby lata i kiloparseki nic nie znaczyły. Jakby rozstali się dopiero wczoraj.

Następna fala okrętów – niszczyciele – okazała się nieco skuteczniejsza. Kilka pocisków zdołało eksplodować w pobliżu „Streakera”, ale w nieskoordynowany sposób. Warstwy ochronne gwiazdolotu poradziły sobie z napływem energii.

Akeakemai poprosił o pozwolenie odpowiedzi ogniem, ale Gillian odmówiła.

– Moglibyśmy uszkodzić kilka okrętów, ale szybko by się zorientowali, że nasze ofensywne zdolności są minimalne w porównaniu z defensywnymi. Wołałabym, żeby nadal sądzili, iż jesteśmy równie potężni w ofensywie. Tak potężni, że możemy sobie pozwolić na ignorowanie ich.

Rzecz jasna był to element zaplanowanego przez nią blefu. Największego w jej życiu.

Na spotkanie „Streakera” pomknął nowy oddział, tym razem złożony z gładkich, potężnych krążowników. Gigantyczne okręty liniowe otaczające Ziemię zaczęły zmieniać szyk, ustawiając się w pustą w środku sferę zwróconą ku statkowi Gillian.

Głośniki jęczały, ćwierkały i piszczały w kilku oficjalnych językach galaktycznych. To dowódcy połączonej floty nadawali ostatnie ostrzeżenie.

ZIDENTYFIKUJCIE SIĘ ALBO ZOSTANIECIE ZNISZCZENI.

Gillian była zdziwiona.

Ścigaliście nas po całych Pięciu Galaktykach. Czy naprawdę zmieniliśmy się aż tak bardzo, że nie potraficie poznać zamierzonej zdobyczy, która zjawiała się, aby zaatakować was w waszym legowisku?

Podjęła decyzję.

Pora przerwać milczenie. Odpowiedzieć wyzwaniem na wyzwanie.

Nacisnęła przełącznik i nadała nagraną wcześniej wiadomość. Jej przygotowanie pochłaniało całą uwagę Gillian od chwili, gdy „Streaker” uciekł do chłodnego, czarnego tunelu, wyprzedzając o milisekundy pięść supernowej. Inspiracją stała się dla niej między innymi rozmowa z transcendentną

istotą.

Nie tylko jedna strona może się uciekać do iluzji – pomyślała kobieta. Ze wszystkich sztuczek, jakie zademonstrował podobny bogom gość, najmniej zaimponowała jej seria obrazów imitujących, kogo tylko się dało, od Toma i Jacoba Demwy, aż po Hikahi i Creideikiego.

Miraże są tanie.

Jeśli Ziemianie dorównywali w czymś najwyższym osiągnięciom galaktycznej technologii, to z pewnością w sztuce manipulacji obrazami.

Przedstawienie zaczęło się od jednego z jej najstarszych przebrań – tego, za pomocą którego rutynowo oszukiwała ukradzioną jednostkę biblioteczną „Streakera”.

W holozbiorniku pojawiła się sylwetka srogiego thennańskiego admirała. Istota poprawiła kolce łokciowe i barkowe, postawiła ekstrawagancki grzebień i oczyściła szczeliny oddechowe z głośnym *harrrrumf*, po czym przemówiła w oficjalnie brzmiącym, hieratycznym szóstym galaktycznym do tych, którzy oblegali Ziemię.

– *Bracia! Szlachetni opiekunowie z cywilizacji gwiazdnych wędrowców i potomkowie Wielkich Przodków! Stoję przed wami w chwili, gdy musicie dokonać ważnego wyboru. Razem ze swymi podopiecznymi i klanowymi towarzyszami możecie skorzystać na decyzjach, jakie podejmiecie w tym węźle sposobności, bądź też ucierpieć z ich powodu. Pora już przeniknąć wzrokiem zasłony fałszywych przekonań. Wasza obecność tutaj (którą mój klan w swej wielkiej mądrości odrzucił) jest przeklęta przez przeznaczenie. Nie przyniesie wam nic poza kaskadami smutku, płynącego z niewyczerpanego źródła trudności, jakie wszechświat z radością sprawia upartym!*

To naprawdę był bardzo dobry Thennanianin, napuszony i realistyczny. Ale przecież nie chodziło jej o realizm czy nawet o wiarygodność.

To bezczelność podstępu miała ich rozwścieczyć.

Fałszywy admirał mówił dalej:

– *Rozważcie fakty, sprowadzeni na manowce bracia. Po pierwsze: Przed kim Przodkowie ujawnili zabytki o wielkim i głębokim znaczeniu? Przed wami? Czy choćby nawet przed Prastarymi Istotami, które darzycie czcią?*

Wypowiadając te słowa, Thennanianin zaczął się roztapiać. Zmieniał postać w znacznie bardziej efekciarski i niepokojący sposób, niż robił to Transcendent. Gość chciał, by Gillian skupiła myśli, jej celem było zaś wzbudzenie strachu... a potem wściekłości.

Potężnie zbudowany admirał zakończył transformację w zupełnie inne jestestwo, które unosiło się teraz nad podłogą, gładkie i szare. Przypominało kapitana Creideikiego z czasów, gdy był najprzystojniejszy i miał najwięcej charyzmy, nim blizny po wypadku na zawsze nazaczyły jego piękną, gładką głowę.

– *Otóż nie! Przodkowie nie odstonili ukrytych prawd przed wami czy przed jakimś innym szlachetnym klanem lub sojuszem! Flota Duchów ukazała się istotom takim jak ta!*

Obraz Creideikiego uderzył ogonem dla większego efektu.

– *Przedstawicielowi najmłodszego z gatunków podopiecznych. Gatunku, którego talenty sprawiają, że każdy potężny klan z chęcią by go adoptował. A mimo to ów gatunek z dumą ogłasza swe członkostwo w Ziemskim Klanie dzikusów! Rozważcie też inny fakt. Ziemski gwiazdolot, „Streaker” uniknął wszystkich waszych poszukiwań i sprytnych planów, mających na celu jego pojmanie! Nawet gdy przekupiliście i podporządkowaliście sobie Wielkie Instytuty, czy owo zdradzieckie oszustwo w czymkolwiek wam pomogło?*

Postać znowu zaczęła się przekształcać, nadal przemawiając drwiącym półgłosem w szóstym

galaktycznym.

– *(Powiedzcie, bracia, czy zaczęliście się już domyślać tożsamości statku, który zmierza teraz ku wam, śmiejąc się z waszej sławetnej mocy? Potrzebujecie więcej wskazówek? Dostaniecie je!)*

Creideiki ustąpił miejsca sylwetce ludzkiego mężczyzny. Z początku chciała, by jej modelem był Tom, ale to okazało się dla niej za trudne. Dlatego zadowolili się starym Jakiem Demwą... co zapewne było dobrym pomysłem. Soranie natychmiast go poznają, ponieważ od dwóch stuleci przyprawiał ich o frustrację, wielokrotnie krzyżując ich plany.

– *Fakt numer trzy: Pomimo wielkich wydatków i niezliczonych ofiar poniesionych w imię podboju rodzinnego świata Terran, czy udało się wam osiągnąć cokolwiek poza dodatkowym wzmocnieniem ich legendy? Nawet teraz, gdy z pozoru stoicie na granicy sukcesu, czy możecie być pewni, że to nie kolejny fortel? Sztuczka mająca was skłonić do marnotrawienia zasobów? Uczynić nieoczekiwany triumf dzikusów jeszcze bardziej zdumiewającym w oczach obserwatorów? Nawet jeśli zwyciężycie i wszyscy ludzie zginą, a wszystkie delfiny i szympansy adoptuje jakiś pozbawiony poczucia humoru klan, czy zdołacie się oprzeć zemście, jaką wywrą na was inni w imię umęczonej Ziemi? Zadajcie sobie następujące pytanie. Czy to możliwe, że dzikusy staną się po śmierci jeszcze silniejsze? Albo w rzeczywistości, albo jako potop nowych idei? Idei, które dadzą początek nowej erze, wprowadzą galaktyczną kulturę na ścieżki, jakich nawet nie potraficie sobie wyobrazić?*

„Streaker” zdrzął. Światła zamigotały. Na pozostałych ekranach Gillian mogła obserwować krótką, gwałtowną, jednostronną bitwę. Przelatująca obok flotyła okrętów zasypała ich salwami. Albo wpadli już na to, by używać w pociskach głębszych komputerów, albo po prostu było ich za wiele. Tak czy inaczej, kilkanaście pocisków zdołało się przedostać i eksplodowało niepokojąco blisko.

Suessi uniósł kciuk, sygnalizując, że wybuchy nie były dostatecznie zsynchronizowane, aby mogły stanowić zagrożenie. Świadczyło to jednak, że możliwości ich systemu obronnego mają swoje granice.

Ważne, by nieprzyjaciel nie zdołał się zorientować. Niech jeszcze przez chwilę sądzi, że nic nam nie może zrobić.

Tymczasem w holozbiorniku Jake Demwa przerodził się w jedną z Prastarych Istot, jakie „Streaker” napotkał w ogromnym zimnym habitacie zwanym Fraktalnym Światem. Srogo wyglądająca postać kontynuowała monolog bez chwili przerwy:

– *Albo rozważcie fakt numer cztery: Czy ktokolwiek z was przewidział Wielkie Rozdarcie? Wszyscy jesteście tak bardzo konserwatywni, tak głęboko ufacie swym protoplastom, że nie mieliście pojęcia, iż Prastare Istoty manipulowały Wielką Biblioteką i innymi Instytutami! Z egoistycznych powodów utrzymywały Cywilizację Pięciu Galaktyk w nieświadomości! Jej obywatele nie mieli szans się przygotować ani nawet nie wiedzieli, że podobne katastrofy czasoprzestrzenne zdarzały się już w przeszłości! A mimo to ostrzeżenie nadeszło. Nawet oblegani przez wrogów Terranie spełnili obywatelski obowiązek, ogłaszając alarm na podstawie swej alternatywnej matematyki. Czy to przypadek, że ci, którzy zignorowali ową przestrożę, ponieśli wielkie szkody? Ci, których zaślepiała pogarda dla nauki dzikusów, którzy postawili ideologiczny upór wyżej niż pragmatyzm? (Czy już się domyśleliście, bracia? Czy wiecie, kto mknie teraz ku wam? Bezczelnie nie okazując szacunku, na jaki własnym zdaniem zasługujecie? Czy potraficie wywęszyć/wykryć/wy czuć/zgrokować to, czego tak bardzo pożądacie... i potajemnie się boicie?).*

Krażownicy zajęły pozycję za „Streakerem”, odcinając mu drogę odwrotu. Mająca przed ziemskim gwiazdolotem wielogatunkowa armada potężnych okrętów opuściła pozycje wokół obleżonej Ziemi, by otoczyć bezczelnego intruza nieprzeniknioną siatką ognia.

– *Rozmawiają ze sobą* – poinformował kobietę Niss. – *Okręty wymieniają sygnały. Toczy się znacznie więcej dyskusji, niż można by się tego spodziewać przed walką. Wszystko jest zakodowane, ale widzę, że debata jest ożywiona.*

Czy to możliwe, że nie zrozumieli twych aluzji i wskazówek, doktor Baskin? Niewykluczone, że przemawiałaś zbyt niejednoznacznie. Może po prostu powiemy im, kim jesteście?

Potrząsnęła głową.

– Spokojnie. Zapewne po prostu dyskutują o tym, jak najlepiej nas zabić.

„Streakerowi” została tylko jedna nadzieja. Taka postać ataku oznaczała, że nieprzyjaciel musi koncentrować swe salwy w bardzo wąskiej strefie, aby nie ostrzeliwać własnych okrętów. Jeśli ziemski gwiazdolot zdoła sprawić, że jego położenie stanie się niepewne, skupiona eksplozja może nastąpić wystarczająco daleko, by nie uszkodzić transcendentnej powłoki. A po oślepiającej eksplozji wymknie się i spróbuje ucieczki! Jeśli szczęście uśmiechnie się do Terran, zdumiewający fakt ich przetrwania skłoni nieprzyjaciół do zastanowienia i pozwoli im zdobyć przewagę na starcie... nim cała flota rzuci się w pościg.

Cel był prosty. Chcieli zyskać na czasie, dać Ziemi chwilę wytchnienia, szansę pośpiesznego uzupełnienia zapasów amunicji w lunarnych fortecach i być może umożliwienia grupce matek z dziećmi wymknięcia się przed nadejściem końca.

– P... przygotowują się do otwarcia ognia! – zawołał oficer obserwacyjny. – Nadchodzą rekkiny! – pisał na dodatek w primalu.

Umysł Gillian przeszły wyczuwalne ułknięcia, gdy kilkaset szybkich pocisków wypadło z wyrzutni i pomknęło w stronę „Streakera”. Przy tym zasięgu wiele z nich z pewnością oprócz ładunków antymaterii wyposażono w głowice psioniczne i probabilistyczne.

Z ochronnej powłoki gwiazdolotu wystartowały roje antymemów, ale tym razem z pewnością okazały się niewystarczające.

– Wiesz, co masz robić – powiedziała Gillian do Akeakemaia, powierzając życie jego umiejętnościom. To nie było zadanie dla pilota, ale dla superzdolnego geometrodynamicznego inżyniera.

Nie mając nic do roboty poza czekaniem na zagładę, ponownie spojrzała na scenę rozgrywającą się w holozbiorniku. Na mostkach wszystkich nieprzyjacielskich okrętów wyświetlano tę samą wiadomość.

Ostatnia ze stworzonych przez nią symulacji Prastarych Istot zaczęła się rozplýwać. Mimo to (kopiując sztukę, której Gillian nauczyła się od Transcendent) głos mówił dalej, celowo posługując się tonem prowokującym, protekcyjnym i jednocześnie przepojonym niewzruszoną pewnością siebie.

– *Widzicie symbol na dziobie tego statku? Czy to znajomy znak pięciu przekreślonych spiral? A może jego miejsce zajęło coś innego? Poznacie naturę naszej nowej powłoki? A przecież wasze instrumenty z pewnością wykrywają już starożytny, zwyczajny statek ukryty wewnątrz oraz sylwetki Ziemiaków z naszej załogi. I co wy na to? Czy wasze umysły potrafią pojąć tę anomalię? Tę sprzeczność? Czy może istnieje jakieś wyjaśnienie?*

Obraz w zbiorniku zmienił się po raz ostatni, przyjmując postać zarejestrowaną przez Gillian podczas rozmowy z Transcendentem. Ten widok z pewnością pozbawi nieprzyjaciela pewności siebie.

Jeśli jedno spojrzenie na Herbiego – wywodzącą się sprzed miliardolecia mumię – wprowadziło w szal połowę fanatyków w Pięciu Galaktykach, jak na nich zadziała widok rekonstrukcji? Wyglądająca jak żywa imitacja nieco płazopodobnego humanoida rozciągała usta w enigmatycznym

uśmiešku, który poszerzył się nagle, wyrażając nutę okrutnej empatii.

– *Proszę bardzo, głupia młodzieży. Z pewnością potraficie wyciągnąć wnioski z tego, co macie przed...*

Akeakemai przerwał jej piskiem.

– Pocissski za dziewięćdziesiąt sekund! Ruszamy!

Gillian zamrugnęła, gdy przeciążone silniki „Streakera” zawyły, wyrывая gwiazdolit z normalnej przestrzeni.

Szkoda – pomyślała, żałując, że wydarzyło się to tak szybko. – Miałam ochotę obejrzeć to przedstawienie do samego końca.

Teoretycznie można się wymknąć wrogom, przeskakując do hiperprzestrzeni.

Niestety, ten pomysł jest starszy od wielu gwiazd. Sztukę wojny już bardzo dawno temu przystosowano do podobnej taktyki. Pociski podążyły za uciekającym gwiazdolit, bez trudności wykrywając, w którą stronę się skierował.

Akeakemai sprawnie operował silnikami i stary statek zwiadowczy klasy „Snark” przeskakiwał w bok między znanymi warstwami, nadal istniejącymi w Drugiej Galaktyce.

W przeciwieństwie do Czwartej Galaktyki można tu jeszcze było dotrzeć do rozmaitych poziomów hiperprzestrzeni, choć było to trudniejsze niż przedtem. Gillian liczyła na to, że ta różnica zakłóci synchronizację zbliżających się pocisków. Przy odrobinie szczęścia fale chaosu – pozostałość po Wielkim Rozdarcu – dodatkowo zakłóca przestrzeń, dezorientując śmiertelne maszyny.

Niestety, nie minęło zbyt wiele czasu, nim uświadomiła sobie, że popełniła najgorszy grzech możliwy dla dowódcy. Uwierzyła, że jej przeciwnicy są głupi.

W przestrzeni B, gdzie wszystkie gwiazdy zamieniły się w karłowate tęczę, oficer obserwacyjny zawołał pełnym trwogi głosem:

– Miny! Zaminowali tę...

Akeakemai szybko zareagował, wykonując kolejny skok, ale kilka pobliskich obiektów zdążyło eksplodować i przechodzącym do przestrzeni A gwiazdolit wstrząsnęły fale uderzeniowe.

Gillian zalała falą dziwnych, lecz zarazem znajomych wrażeń typowych dla tego szybkiego królestwa. To było tak, jakby w każdym kierunku, w którym się zwróciła, otwierał się tunel, oferujący skrótową drogę za jakiś odległy horyzont. W każdym z tych przewodów świecił dysk majestatycznego, obracającego się słońca.

– Pięćdziesiąt sekund – wyszeptał Hannes Suessi, właściwie tylko do siebie.

– Nowe miny! – zabrzmiał nagle krzyk... niepotrzebnie, bo statkiem wstrząsnął werbel kolejnych eksplozji, przeciążając pochłaniającą energię transcendentną powłokę. Od nadmiarowego ciepła po skórze Gillian spłynął pot.

W naszej dawnej postaci zamienilibyśmy się już w parę – pomyślała w bolesnej chwili, nim przeszli do przestrzeni D.

Tu nie opłacało się poszukiwać skrótów. Wszystko wydawało się straszliwie odległe, jakby patrzyła przez teleskop od niewłaściwej strony.

Niestety, przestrzeń D była zamieszkała przez przedstawicieli Kwantowej Kategorii Życia – migotliwe półkształty, których zarysy stawały się mniej wyraźne, jeśli przyjrzeć im się z uwagą. Gdy tylko „Streaker” się tu zjawił, otoczyły go tłumy owych amorficznych istot.

– *Nasi wrogowie z pewnością wynajęli miejscowych pomocników, mających strzec tej drogi ucieczki.*

Nissa wyraźnie zdeprymował podobnie skrupulatny spryt.

Gillian zauważyła, że fragmenty transcendentnej powłoki zaczynają się ulatniać pod naporem nowego ataku.

– Zabierz nas stąd...

Uprzedzając jej życzenia, Akeakemai raz jeszcze zmusił do wysiłku przeciążone silniki „Streakera”. W tej samej chwili uderzyły pociski.

JJO

Kaa zdołał przeprowadzić jeszcze jeden skok, nim przestrzeń B zniknęła.

Strasliwe doznania podrażniły wszystkie nerwy w ciele Harry'ego. Szympons wrzeszczał z bólu, opróżniając płuca z powietrza.

Nawet gdy przejście już się skończyło i rozdygotani pasażerowie stacji cudem wrócili do normalnej przestrzeni, dopadła ich plaga swędzenia. Harry otarł drżącymi dłońmi łzy z oczu. Wiedział z całkowitą pewnością, w którym dokładnie momencie przestrzeń B ostatecznie oddzieliła się od Czwartej Galaktyki i odpłynęła swoją drogą, pozostawiając osierocone królestwo atomów samemu sobie.

To było tak, jakby amputowano mu część ciała. Obecność, która niepostrzeżenie towarzyszyła mu przez całe życie, odeszła na zawsze.

Uciekliśmy w ostatniej chwili – pomyślał, gdy przejaśniło mu się przed oczyma. Potem zdumiał się tym, co zdołał osiągnąć Kaa w tym ostatnim pokazie umiejętności pilotażu.

Tuż przed nimi znajdował się błękitny glob otoczony cieniutką warstwą wilgotnego powietrza. Kontynenty – pokryte brązowymi i zielonymi plamami – wypełniały przestrzeń między łukami oceanów. Wzdłuż linii dzielącej dzień od nocy można było zauważyć błyskawice tańczące w chmurach i na górskich szczytach.

– Jijo, jak sądzę – twierdził Harry.

Mój nowy dom – dodał w myśli.

– Ehe – potwierdził Dwer. – Witaj. Cieszę się, że tu wróciłem.

Młodzieniec napinał nerwowo mięśnie, najwyraźniej pragnąc jak najszybciej wrócić na leśne ścieżki, które tak kochał. W dzikiej puszczy czekały na niego dwie kobiety uważające się za jego „żony”. Dwer nie miał ochoty wyjaśniać tej sytuacji, ale nie ulegało wątpliwości, że pragnie do nich wrócić.

A co ze mną? – zastanawiał się szympons. – Perspektywy kariery w Instytucie Nawigacji nie rysują się w tej chwili zbyt różowo. Nawet jeśli Czwarta Galaktyka zachowa kilka hiperprzestrzennych połączeń, nikt nie będzie potrzebował zwiadowcy pracującego w przestrzeni E.

Patrzył na błękitny świat zbliżający się w ślimaczym tempie. Względna prędkość determinowały teraz wyłącznie pęd oraz energia kinetyczna. Bez mikroskopów pozwalających na drobne korekty lądowanie może się okazać trudne i niebezpieczne.

Rzecz jasna, mieli naprawdę niezłego pilota, więc tym problemem Harry się nie przejmował. Ale gdy już stacja wyląduje na planecie, może więcej nie wystartować. Antygravitacja wymagała sztuczek opierających się na siłach ze wszystkich poziomów przestrzeni. Ponieważ większość owych warstw zniknęła, generatory pola zapewne nie będą w stanie wytworzyć mocy potrzebnej do wydostania się ze studni grawitacyjnej Jijo.

Najprawdopodobniej nigdy już nie opuszczę planety.

Kurczę, ale przynajmniej będę żył.

Jijo z pewnością prezentowała się znacznie lepiej niż zakurzony Horst. W gruncie rzeczy była nawet ładniejsza od Terry.

I są tu neoszymponsy... chociaż tylko wcześniejsza postać, niepotrafiąca jeszcze mówić. Ale Dwer zapewnia, że poza tym są całkiem cywilizowane.

Harry westchnął.

Pewnie jako „małpa, która mówi” będę kimś wyjątkowym.

A także dzięki mojemu białemu futru...

...i ogonowi...

Parsknął pozbawionym wesołości śmiechem. Cóż za ironiczne odwrócenie sytuacji, jaką pamiętał z Ziemi. Tamtejszym szympanom, gadatliwym i wyrafinowanym, wydawał się małomówny i głupawy. Tutaj partnerki i towarzysze iskania raczej nie będą mu zawracać głowy irytującymi plotkami.

Konwersować będę mógł z sześcioma pozostałymi gatunkami „Jijańskiej Wspólnoty”, czy może ośmioma, jeśli liczyć delfiny i tytlale. Zresztą wkrótce szympany staną się dziewiątym.

Zerknął na Kaa. Dzięki jego nadzwyczajnym umiejętnościom pilotażu dotarli tu żywi i w znacznej mierze zdrowi. Delfin tak mocno pragnął jak najszybciej zanurzyć się w ciepłych przybrzeżnych wodach – i odnaleźć swą Peepoe – że mieli trudności z przekonaniem go, aby najpierw wylądował na brzegu i pozwolił wszystkim wysiąść.

– Proszę, proszę, cóż za czarujące miejsce – odezwała się Kiwei Ha’aoulin. – Pewnie będę mogła spędzić tu pewien czas i ocenić handlowe perspektywy.

Harry potrząsnął głową. Synthianka najwyraźniej znowu popadła w ten sam obłęd, zakładając, że otaczający ją świat wkrótce wróci do normalności. Harry miał nadzieję, że pozostanie szalona i szczęśliwa do końca życia, ponieważ z pewnością spędzi je tutaj, w tym zapadłym zakątku Czwartej Galaktyki.

Kaa podrzucił ciemnoszarą głową i prychnął niespokojnie.

– Wykrywam ssstatki!

Szympan podbiegł do instrumentów

– Widzę je. Większość jest za nami. Wyprzedziliśmy je dzięki tym twoim ostatnim szalonym skokom! Dotrzemy na Jijo kilka dobrych tygodni przed nimi.

Pochylił się nad ekranem.

– To głównie małe stateczki. Szalupy ratunkowe, jednostki zwiadowcze i wahadłowce. Zapewne rozbitkowie z flot zniszczonych w przestrzeni B podczas rozdarcia. – Przerwał, pociągając się nerwowo za kciuki. – Kierują się do jedyne go azylu w zasięgu. To znaczy, w to samo miejsce co my.

Dwer westchnął przeciągle.

– To znaczy, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło, nawet jeśli Wspólnota zdołała pod naszą nieobecność pozbyć się jophurskiego garnizonu.

Harry skinął głową. Według standardów cywilizacji, w której żył do tej pory, zbliżające się siły były żałośnie słabe. Niektóre z szalup nie zdołają dotrzeć na Jijo. Inne spłoną w atmosferze. Niemniej te, które pozostaną, będą stanowczo zbyt liczne, by jego stacja zdołała je powstrzymać. Wkrótce Jijanie będą mieli poważne kłopoty.

Nagle uświadomił sobie, że nadchodząca konfrontacja może mieć dalekosiężne reperkusje.

To może być jedyna planeta w całej Czwartej Galaktyce, na której bytują tlenodyszne istoty wiedzące coś o gwiazdnych podróżach. Chyba że na innych pozostawionych odłogiem planetach również ukrywają się placówki przedterminowych osadników.

Nawet jeśli hiperprzestrzeń zostanie całkowicie odcięta, miejscowa kultura z czasem sięgnie poza Jijo. Może wypełnić całą galaktykę i dać początek nowej tradycji Wspomagania, gdy tylko odkryje jakieś obiecujące gatunki.

Na myśl o implikacjach Harry’ego przeszył zimny dreszcz.

Ten, kto w tym roku zdobędzie władzę na Jijo, będzie mógł określić moralność i cały społeczny etos cywilizacji gwiazdnych wędrowców, która tu się narodzi.

Harry raz już zgodził się poświęcić całe życie pewnej społeczności. Teraz wyglądało na to, że nie będzie miał szansy odpoczynku. Zanim jeszcze odetchnie jijańskim powietrzem i skosztuje tamtejszej żywności, musi zdecydować, że stanie się częścią nowego świata i uzna jego kłopoty za własne.

Sądząc z tego, co słyszałem, Wspólnota Sześciu Gatunków naprawdę zasługuje na uznanie. Jeśli Dwer i Rety – a także Alvin i Ur-ronn – są jej typowymi przedstawicielami, Jijanie z pewnością stawiają zacięty opór.

Może zdołamy im w tym trochę pomóc, he? – pomyślał, głaszcząc konsolę starej, wiernej stacji.

Zbliżając się do Jijo po spirali, przelatywali nad jej ciemną stroną, poniżej księżyca zidentyfikowanego przez Dwera jako „Loocen”. Harry zakrzyknął głośno, ujrzawszy linię jasnych światełek biegnącą wzdłuż linii terminatora. To były miasta, tworzące długi łuk na powierzchni pozbawionego atmosfery księżyca. Potem uświadomił sobie pewien fakt.

To tylko odbicia. Światło słoneczne pada na nie pod pewnym kątem, gdy zbliża się świt. Kopuły pozostają milczące i martwe od czasu odejścia legendarnych Buyurów. Kiedy to się wydarzyło? Pół miliona lat temu?

Niemniej widok jest ładny – przyznał przed sobą. – Może kiedyś...

Nagły pisk kazał mu się odwrócić.

Rety stała przy najdalszym oknie, uparcie nie chcąc patrzeć na piękno swego rodzinnego świata. Minę miała naburmuszoną, a ramiona skrzyżowała na piersiach. Ignorowała powtarzające się okrzyki swego małego „męża”, miniaturowego ursika nazywanego yee. Centauroid stał na parapecie, przebierając czterema nogami, i wyciągał długą szyję, by uszczypnąć Rety w bark, a potem wskazywał na okno.

– *patrz, żona! patrz na ten widok!*

– Już go widziałam – odparła skwaszonym tonem. – Krajobraz. Góry, krzaki i pył. Mnóstwo pyłu. Żadnej elektryczności ani komputerów, ale tyle krajobrazu, ile tylko zapragniesz.

– *nie krajobraz!* – przerwał jej yee. – *odwróć się i zobacz fajerwerki!*

Rety nadal nie ustępowała, ale pozostali zbiegli się do okna, aby sprawdzić, o czym mówi istotka.

– Zgaś wewnętrzne światła – rozkazał Harry.

Na dole panowała jijańska noc. Bez względu na to, kto zwycięży w nadchodzącej próbie sił, tę ciemną pokrywę za kilka pokoleń mogą upstrzyć światła miast, teraz jednak Harry nie wykrywał tam żadnych śladów rozumności, nawet za pomocą swych instrumentów.

No cóż, Sześć Gatunków ukrywało się tu przez długi czas – pomyślał. – To wystarczy, aby osiągnąć mistrzostwo.

Ciekawe było wyobrazić sobie, jaka cywilizacja może się zrodzić z Jijańskiej Wspólnoty z jej głęboko zakorzenioną tradycją ochrony środowiska, połączonej ze swobodnym indywidualizmem w podejściu do nowych idei. To będzie coś interesującego, pod warunkiem że przetrwa obecny kryzys.

W pierwszej chwili Harry nie dostrzegał nic, co mogłoby usprawiedliwić ekscytację yee. Po chwili Dwer trącił go łokciem i wskazał ręką w lewo.

– Popatrz, iskra.

– Jaka ładna – ucieszyła się Kiwei.

Światelko faktycznie przypominało migotliwy węgielek unoszący się nad ogniskiem. Wzbijało się w górę bardzo powoli i delikatnie, przechodząc z wąskiej warstewki atmosfery do czarnego nieba.

– Tryb obserwacji – rozkazał Harry. – Skieruj instrumenty na anomalię, którą obserwuję, i powiększ ją.

Komputer przeskanował jego oczy, by sprawdzić, na co patrzy szympan, a potem wykonał rozkaz. Nagle pojawił się holoobraz. Harry nigdy w życiu nie widział równie niezwykłego obiektu, mimo że poświęcił lata na eksplorację dziwacznych zakamarków przestrzeni E.

Długa, wysmukła rura skierowana ostrym końcem ku górze. Z jej podstawy bił biały, gorejący żar.

– Wygląda jak płonące drzewo! – wyszeptała zdumiona Kiwei.

– To nie drzewo – poprawił ją Dwer. – To bus!

Rety w końcu uległa ciekawości i odwróciła się, akurat na czas, by zobaczyć, jak płomień gaśnie. Wysmukły pocisk mknął przed siebie. Instrumenty Harry'ego oceniły jego rozmiary. Był znacznie większy od stacji!

Ołówkowaty przedmiot nagle rozszczepił się na pół. Dolna część runęła w dół, nie przestając się tlić, a z tylnego końca górnej znowu eksplodował płomień.

– Jakie naturalne zjawisko mogłoby... – mruzczała zbita z tropu Kiwei.

– *nie naturalne, głupi szopie!* – zawołał yee. – *busowa rakietka zrobiona przez ursy-ludzi-traekich! wystrzelili wysoko raketę na powitanie Rety-yee.*

Harry zamrugał dwa razy, a potem uśmiechnął się szeroko.

– A niech mnie. Masz rację. To wielocłonowa rakietka zbudowana z opróżnionych pni drzew, czy jak tam właściwie je nazywacie, Dwer. Zrób zbliżenie na przednią końcówkę – rozkazał komputerowi. – Fragment położony najdalej od płomieni.

Przedni koniec prymitywnej rakietki przypominał grot włóczni. Najpierw rozszerzał się nieco, a potem zwężał do włóczni. Obracał się powoli wokół osi, razem z całą resztą konstrukcji.

Krótką chwilą wystarczyła, by ujrzeli wszystko. Szybę z jakiegoś rodzaju szkła. Słabe światło palące się w środku. Dwie uchwycone w przelocie sylwetki. Wężowata szyja. Krabopodobne szczytce.

Potem stacja Harry'ego nagle przekoziółkowała i wszyscy stracili równowagę. Kaa zameldował, że weszli w atmosferę planety.

– Czas zapiąć p... passy! – rozkazał pilot. Wkrótce otoczą ich inne płomienie. Jeśli przeżyją przejście przez atmosferę, niedługo postawią nogi na stałym gruncie.

Harry i jego towarzysze jeszcze przez chwilę pozostali na miejscu, chcąc jak najdłużej obserwować raketę. Komputer wyliczył jej przewidywaną trajektorię i oznajmił, że jest wymierzona w największy z księżyców Jijo.

Rety wreszcie się odezwała. Tupnęła nogą w pokład, ale tym razem nie był to napad złości, lecz przejaw czystego zachwyty.

– Superpołyskliwe! – zawołała – Wiecie, co to znaczy?

Harry i Dwer potrząsnęli głowami.

– To znaczy, że nie będę uwięziona na Jijo! Że jest droga ucieczki z tej okropnej kuli błota! A możesz się założyć o beczkę odpadów po dziadku, że skorzystam z tej drogi!

W jej oczach pojawił się blask przypominający migotliwy węgielek. Po chwili stracili raketę z oczu, schodząc w dół, ale gdy Harry zaprosił Rety na fotel i przypiął ją pasami, szczupła dziewczyna aż dygotała z tęsknoty. Nic nie zdoła powstrzymać jej ambicji.

– Zrobię wszystko, co będę musiała. Zwieję stąd tak szybko, jak tylko pozwoli ten paskudny wszechświat.

Harry pokiwał głową na znak zgody. Nie zamierzał stawać na drodze Rety.

– Jestem pewien, że ci się uda – oznajmił bez śladu wątpliwości czy protekcjonalnego tonu. Wkrótce okna zasłonił ogień. Wpadli w objęcia Jijo.

DOM

Ich udręczony gwiazdolot przygotowywał się do powrotu do normalnej przestrzeni. Naznaczyły go straszliwe rany. Większość kołnierzy zeroczasowych „Streakera” zwisała luźno albo zamieniła się w parę. Wirujące koło grawitacyjne na wpół wtopiło się w kadłub.

Jeśli zaś chodzi o warstwę ochronną zapewniającą dotąd bezpieczeństwo załodze, dar Transcendentów rozpływał się, syjąc iskrami, jak jakieś waleczne, umierające stworzenie.

Gillian cierpiała z powodu jego utraconej przyjaźni, tak samo jak innych nieszczęść, które ich spotkały. Teraz doszła do nich utrata nadziei.

Nasz plan polegał na tym, że unikniemy zniszczenia i zmusimy nieprzyjaciela do pościgu za nami, odciągając go od Ziemi.

Nasi wrogowie planowali nas zatrzymać i zniszczyć.

I obie strony chyba zdołały osiągnąć połowę swych celów.

Suessi przebywał w maszynowni, pracując razem z Emersonem i resztą ich znużonej ekipy, próbując odtworzyć dopływ mocy. Pozostałe zasoby energii ledwie wystarczały, by gwiazdolot mógł osiągnąć jedyny poziom przestrzeni, na którym nie otaczały go ze wszystkich stron miny albo inne śmiertelnie groźne twory.

Wracamy, aby stawić czoło żywym wrogom. Tlenodyszny istotom takim jak my.

Okrętom wojennym będą przynajmniej mogli się poddać i liczyć na to, że zostaną potraktowani jak jeńcy wojenni. Pod warunkiem, że zwycięzcy nie złączą natychmiast walczyć o łupy.

Rzecz jasna, Gillian nie zamierzała pozwolić, by wzięto ją do niewoli. Informacje, które miała w głowie, nie mogły wpaść w ręce nieprzyjaciela.

Westchnęła głęboko. Ledwie udało się im przeżyć dziewięćdziesiątą drugą bitwę. Jej plan prawie się udał. Za każdym razem, gdy eksplodowała mina, atakowała ich horda kwantowców albo obok przechodziła fala chaosu, zakłócało to szyk salwy pocisków, wprowadzało nieład w ich regularne szeregi i zmniejszało liczebność, dzięki czemu detonacja okazała się nieskoordynowana i nieskuteczna.

Ale i tak ledwie ją wytrzymali.

„Streaker” z wysiłkiem zakończył swe ostatnie przejście i znalazł się w normalnej próżni ojczyściej przestrzeni. Ze wszystkich stron gwiazdolot otaczały chmury oślepiających szczątków. Gillian wiedziała, że nie zdołają pokonać korwety czy nawet uzbrojonej szalupy, nie wspominając już o czekającej na nich armadzie.

– Przekażcie sygnał rozejmu – rozkazała. – Powiedzcie im, że chcemy przedyskutować warunki kapitulacji.

Mroczny lej Nissa pokłonił się w geście wyrażającym głęboki szacunek.

– *Jak sobie życzysz, doktor Baskin.*

Załoga mostka trudziła się nad zastąpieniem przepalonych modułów, a wszystkie monitory nadal oślepiła radioaktywna mgiełka zjonizowanych szczątków. Pierwszymi obiektami, które się z niej wyłoniły, były dwie studnie grawitacyjne, niewielkie dołki w czasoprzestrzeni.

Ziemia i Luna – uświadomiła sobie Gillian. – Dotarliśmy bardzo blisko.

Wkrótce na grawitacyjnym ekranie pojawiły się inne obiekty, majestatyczne i potężne jak księżyce.

Pełna napięcia chwila przypomniła Gillian wydarzenia sprzed lat, gdy odkryli Flotę Duchów. Oboje z Tomem byli wtedy bardzo młodzi i zachwyceni swą rolą badaczy kosmosu pracujących dla

Ziemskiego Klanu wspólnie ze swym przyjacielem, Creideikim. Wówczas wyglądało to podobnie. „Streakera” ze wszystkich stron otaczała mgielka. Gwiazdolot posuwał się powoli przez gęstą chmurę cząsteczek wypełniającą odległą Płytką Gromadę.

Międzygwiazdne ustronie.

Miejsce, gdzie nie powinno być nic interesującego dla gwiazdnych wędrowców.

Ale kapitan miał przeczucie.

I wkrótce z mgły wyłoniły się...

Nic się nie wyłoniło.

Gillian zamruwała, gdy zdumiewająca, jednoznaczna rzeczywistość przywołała ją z powrotem do teraźniejszości. Na mostku rozległy się nerwowe szepty. Członkowie załogi gapili się z niedowierzaniem na pustkę.

Ranione silniki „Streakera” zdołały z trudem wyprowadzić gwiazdolot z chmury szczątków i widoczność się poprawiła.

Po otaczającej ich ze wszystkich stron formacji potężnych okrętów nie został żaden ślad.

Flota zniknęła.

– Przecież... nie...

Gillian przerwała, nie potrafiąc dokończyć zdania. Ktoś inny musiał podjąć jej myśl.

– Dokąd wszyscy uciekli? – zapytała Sara Koolhan. Nie przestawała ścisnąć ręki Prity w bladej, spoconej dłoni.

Nikt jej nie odpowiedział. Jak mogliby to zrobić? Co mieli do powiedzenia?

Cisza ciągnęła się przez kilka minut. Instrumenty stopniowo sięgały coraz dalej.

– Jest tu mnóstwo szczątków, lecz w przestrzeni sześciennego astronu nie wykrywam żadnych wielkich okrętów – odezwał się wreszcie oficer obserwacyjny. – Ale pewnie mogą się ukrywać za Luną, gotowe do ataku!

Gillian potrząsnęła głową. Tak potężna armada miałaby trudności ze zmieszczeniem się za księżycowym dyskiem. Poza tym, po co mieliby zastawiać pułapkę na bezbronną ofiarę, którą mieli już w rękach? „Streaker” nie był w stanie uciekać, a nawet małe dziecko pokonałoby go w otwartej walce.

– Wykrywam mnóstwo świeżych hiperzmaszerek w polu tła – dodał Akeakemai. – Silnik się budzi. Przed chwilą okoliczną przestrzeń zaburzyły naprawdę potężne statki. Mam wrażenie, że nieprzyjaciel zwiął ssstąd piekielnie szybko!

Załoga „Streakera” nadal starała się naprawić instrumenty obserwacyjne. Nagle obok Gillian zmaterializował się wir Nissa.

– *Czy mogę wysunąć pewną hipotezę, doktor Baskin?*

– No to wysuwaj!

– *Nasuwa mi się myśl, że nasza mała holograficzna transmisja mogła wywołać nieprzewidziane konsekwencje. Miała za zadanie rozjuszyć wrogów, ale pozwól, proszę, bym zaproponował inną możliwość.*

Myślę, że ona ich piekielnie przeraziła.

Gillian prychnęła pogardliwie.

– Ta bzdura, którą skleciłam? To był czysty blef i pic na wodę. Dziecko potrafiłoby go przejrzeć! Chcesz powiedzieć, że zgraja wysoce cywilizowanych Galaktów ze swymi bibliotekami pokładowymi i zaawansowanymi systemami wywiadowczymi dała się na to nabrać?

Spirala Nissa obróciła się, w pewnym stopniu wracając do dawnej nonszalancji.

– Nie, doktor Baskin. Nie to próbuję ci powiedzieć. Sugeruję raczej, że prymitywna dzikuska, jaką jesteś, zaabsorbowana emocjami wynikającymi z chwilowego kryzysu, nie potrafi dostrzec zasadniczej prawdy kryjącej się za tym „blefem i picem na wodę”.

Ale Galaktowie ją zauważyli. Być może zaraz po tym, jak wystrzelili do „Streakera”. Albo później, kiedy zdali sobie sprawę, że wracamy. Że przetrwaliśmy niepowstrzymany atak i chcemy rozmawiać o kapitulacji.

– Przecież nie... – Zająknęła się. – Nie chodziło mi o ich...

– Tak czy inaczej, ich sojusz się rozpadł. Wyparował w jednej chwili i każda z eskadr uciekła do domu.

Wbiła w hologram zdumione spojrzenie.

– To tylko domysły. Nie wierzę ci.

Niss wygiął swój mroczny lej w geście zastępującym wzruszenie ramion.

– Na szczęście wszechświat nie dba zbyt wiele o to, w co wierzymy. Najważniejsze pytanie brzmi teraz tak, czy wrogowie przestraszyli się aż tak bardzo, że całkowicie porzucili swe cele, czy też tylko wycofali się, aby przegrupować siły, poradzić się swych wyroczni i przygotować się do ponownego ataku.

Szczerze mówiąc, podejrzewam, że prawdą jest to ostatnie. Niemniej wszystko wskazuje, że wydarzyło się tu coś godnego uwagi, doktor Baskin.

Według wszystkich standardów musisz zaakceptować werdykt historii.

Słowo, które ma osobliwy smak, gdy wypowiada się je na pokładzie tego nieszczęsnego statku. Dlatego nie dziwię się, że masz trudności z wyartykułowaniem go na głos.

Pozwól, że ci podpowiem.

To się nazywa „zwycięstwo”.

Siły Terry wyłoniły się powoli i ostrożnie ze swych ostatnich reduct, jakby obawiały się jakiegoś śmiertelnie niebezpiecznego podstęp. Z osmalonych szczytów górskich i zdruzgotanych kraterów księżycowych ku niebu wzbijały się pękate statki oznaczone bliznami po niezliczonych bitwach. Wysyłały wiązki sondujące do wszystkich mrocznych zakątków Układu Słonecznego, aż wreszcie skupiły nieufną uwagę na jedynym pozostałym intruzie. Jego sfatygowane zarysy w pierwszej chwili nie wydały im się znane.

– Trzymaj się na dystans – rozkazała pilotowi Gillian. – Żadnych gwałtownych ruchów. Bądźmy cierpliwi. Niech się przyzwyczają do naszego widoku.

– Emitujemy kod transponderowy „Streakera”, ale minie trochę czasu, nim zdołamy wysłać inne wiadomości – zgodził się Akeakemai. – Do tej chwili wolałbym ich nie denerwować!

Ujął to bardzo łagodnie. Te podniszczone jednostki przez całe dwa lata powstrzymywały przerażających Tandu i inne, sprzymierzone z nimi, wojownicze klany. Zważywszy wszystko razem, Gillian wolałaby, żeby nie usmażyli jej rodacy, skłonni strzelać bez zadawania pytań.

Minęło bardzo wiele czasu i może zaczekać jeszcze chwilę.

Jake Demwa nie będzie zadowolony ze stanu, do którego doprowadziłam „Streakera” – pomyślała. – Wracam bez dwóch trzecich załogi i próbek z Płytkiej Gromady. Będzie mnie wypytywał przez długie tygodnie, próbując dociec, dokąd uciekli Creideiki oraz Tom, i jakie niezwykle sprawy mogły ich zatrzymać na tak długi czas.

Ale z drugiej strony przynosiła Ziemi dary.

Na przykład zdolność neutralizacji jophurskich pierścieni władzy.

A także informacje o Kiqui z Kithrupa, których możemy zarejestrować jako swych

podopiecznych, nowy dodatek do naszego rosnącego klanu.

I rewqi, jijańskie symbionty pomagające różnych gatunkom zrozumieć się nawzajem. A także wszystko, czego ja i Niss dowiedzieliśmy się, przesłuchując zdobyczną filię Biblioteki Galaktycznej.

A na tym jeszcze nie koniec.

Rada Terrageńska będzie chciała dowiedzieć się wszystkiego o zagubionej kolonii na Jijo i o ekspedycji „Polkjhj”. Obie grupy stoją przed wielkimi niebezpieczeństwami, ale zarazem oferują coś, co Rada od dawna próbowała osiągnąć – odpryski Ziemskiego Klanu, które będą mogły przetrwać poza zasięgiem Galaktycznej Cywilizacji, nawet jeśli Terra kiedyś padnie.

Mieli też mnóstwo innych spraw do omówienia. Będzie musiała zdawać raporty całymi latami.

Na przykład, wszystko, czego się dowiedzieliśmy o innych kategoriach życia. Zwłaszcza o wielkich Transcendentach.

Choć owe podobne bogom istoty dysponowały wielką mocą i głęboką wiedzą, Gillian zostało po spotkaniu z nimi dziwne uczucie przypominające litość. Okazało się, że wcale nie są najstarszymi i najwspanialszymi z dzieci życia, a tylko tymi, którzy zostali z tyłu, gdy inni ruszyli w drogę bez powrotu, skacząc do wnętrza osobliwości w poszukiwaniu lepszych królestw.

W chwili irytacji nazwała ich tchórzami. Przyznawała teraz, że to było niesprawiedliwe określenie, choć zawierało w sobie ziarno prawdy.

Sprawiają wrażenie uwięzionych w Objęciu Pływów. A mimo to nie chcą mu ulec do końca, bez względu na to, czy ta droga prowadzi w jakieś lepsze miejsce, czy to tylko uniwersalny system recyklingowy. Dlatego siedzą tuż nad horyzontem zdarzeń, myśląc i snując plany, a czas przepływa spokojnie obok nich. Chyba że nagle dojdą do wniosku, iż opłaca się poświęcić krocie pomniejszych form życia, by osiągnąć jakiś cel.

Zważywszy wszystko razem, raczej nie zaprosiłaby ich na obiad.

Gdy pozostała po bitwie mgiełka rozproszyła się nieco, Gillian nakazała zrzucić z okien popękany i stopiony pancierz. Zrobiono to po raz pierwszy od pobytu na Kithrupie. Za szybami pojawiła się Droga Mleczna – gwiazdozbiory tak znajome, że ich widok z pewnością uspokoiłby jaskiniową kobietę, jej daleką protoplastkę, która zaledwie dziesięć tysięcy lat temu trudziła się przy poszukiwaniu korzonków.

Światło porusza się powoli, ale jest niepowstrzymane – pomyślała kobieta. – Za kilka tysięcy lat ten gwiazdny krajobraz rozjaśnią ekstrawaganckie światła. Supernowe, niosące na całe niebo pierwszą część wiadomości od Transcendentów.

Była ona prosta, ale ważna. Nawet ona potrafiła ją zrozumieć.

Pozdrowienia. Tu jesteśmy. Czy ktoś nas słyszy?

Gillian zauważyła, że Emerson, który uporał się już ze swymi obowiązkami w maszynowni, podbiegł do Sary i ją uściskał. Para stała obok, w towarzystwie niemej szympansiczki. Wszyscy spoglądali na te same gwiazdy, pogrążeni w prywatnych myślach.

Rzecz jasna, młoda kobieta z Jijo była kolejnym darem „Streakera” dla Ziemi, prawdziwym skarbem. Posługując się wyłącznie matematyczną intuicją, zdołała niezależnie przepowiedzieć Wielkie Rozdarcie. Już to jedno było imponującym osiągnięciem, ale Sara głosiła dalej posunięte, zdumiewające tezy. Twierdziła, że rozdarcie jest jedynie objawem. Nie rozszerzania się wszechświata, jak głosili ziemscy uczeni, lecz czegoś bardziej skomplikowanego i niezwykłego. Czegoś, co „przychodzi spoza naszego układu odniesień”, cokolwiek mogłoby to znaczyć.

Była przekonana, że w jądrze tej tajemnicy kryje się gatunek zwany „Buyurami”.

Gillian potrząsnęła głową. Wreszcie będzie mogła przekazać podobne problemy innym. Bieglým specjalistom z całej Ziemi – a także z kilkunastu zaprzyjaźnionych nieziemskich gatunków – którzy

poradzą sobie ze wszystkimi skomplikowanymi sprawami. Wreszcie wróci do leczenia, którego ją uczono.

Nigdy już nie wyślę nikogo na śmierć. Bez względu na to, jak bardzo będą wychwalać nasze osiągnięcia, nigdy nie przyjmę dowództwa.

Od tej chwili zajmę się ratowaniem życia indywidualnych osób.

O kosmos niech się martwią inni.

W gruncie rzeczy zdecydowała już, kto zostanie jej pierwszym pacjentem.

Gdy tylko wywiad przestanie mnie maglować, skupię się na próbach pomocy Emersonowi. Postaram się, aby choć częściowo odzyskał zdolność mowy. Możemy mieć nadzieję, że ziemscy badacze dokonali już jakichś odkryć w tej dziedzinie, ale jeśli tak się nie stało, wypruję z siebie flaki, by tego dokonać.

Czy za tą ambicją stało poczucie winy? Czy chciała naprawić szkody wywołane decyzjami, które podjęła jako dowódca? A może chciała mieć przyjemność patrzenia, jak Sara i Emerson przemawiają nie tylko do swoich serc, lecz również umysłów.

Patrząc, jak trzymają się za ręce, uspokoiła się nieco.

Serce nieraz wystarcza. Dzięki niemu wiele można przetrwać.

– Odzyskaliśmy dwustronny tryb holograficzny, doktor Baskin – zawiadomił ją Akeakemai. – Odbieramy transmisję.

Wielki ekran wizualny eksplodował światłem. Pokazała się na nim sterownia zbliżającego się okrętu. Jego tępo zakończona sylwetka sugerowała thennaniańską produkcję, a załoga składała się głównie z ludzi, ale twarz, która pojawiła się przed kamerą, miała wyraziste kości policzkowe i piękne, ostre rysy tymbrimskiego mężczyzny. Nad uszami unosiły się empatyczne witki.

– *...musimy uznać wasze twierdzenia za nieprawdopodobne. Przedstawcie, proszę, dowody świadczące, że to rzeczywiście TAASF „Streaker”. Powtarzam...*

Spełnienie tego żądania nie powinno być trudne. Czekala długie, gorzkie lata na tę chwilę nawiązania kontaktu. Mimo to miała dziwne opory przed odpowiedzią.

Po chwili refleksji uświadomiła sobie dlaczego.

Dla wszystkich ludzi istnieją dwa królestwa – „Ziemia” i „przestrzeń”.

Dopóki przebywam w kosmosie, mogę sobie wyobrażać, że Tom jest blisko. Oboje zgubiliśmy drogę i wędrowaliśmy przez Pięć Galaktyk. Choć dzieliły nas megaparseki, wydawało się tylko kwestią czasu, nim wpadniemy na siebie.

Ale gdy tylko postawię nogę na Starej Ziemi, będę w domu. Ze wszystkich stron otoczy mnie Terra, a kosmos stanie się odrębnym miejscem. Wielkim pustkowiem, na którym Tom zaginął razem z Creideikim, Hikahi i innymi. Będzie wędrował wśród straszliwych niebezpieczeństw, a ja spróbuję znaleźć sobie coś do roboty, aby nie czuć się samotna.

Gillian spróbowała odpowiedzieć Tymbrimczykowi. Wolałaby, żeby zrobił to ktoś inny, żeby zdjęto z jej ramion to ostatnie brzemie. Ciężar zakończenia słodko-gorzkiego wygnania.

Ratunek przyszedł z nieoczekiwanej strony. Emerson D’Anite zwrócił się z uśmiechem w stronę hologramu i zaśpiewał operowym głosem:

Wszystko na świecie to kpina,
Człowiek głupcem się rodzi!

Ta tylko myśl jedyna

Ciągle po głowie mu chodzi
Woła: Głupcami są wszyscy;
Ten, tamten, każdy w tej matni.

Lecz śmieje się dobrze ten,
Kto się śmieje ostatni!

PRZEZNACZENIE

Elementy Zangów były lepiej przygotowane do zaistniałej sytuacji i mogły ją potraktować filozoficznie. To samo dotyczyło maszynowych jestestw, które również weszły w skład makrojestestwa zwanego Matką.

W cywilizacjach opartych na wodorze albo krzemie istniało powszechne przekonanie, że tak zwana rzeczywistość jest fikcją. Wszystko, od największej galaktyki aż po najmniejszego mikroba, było tylko elementem zakrojonej na ogromną skalę symulacji. „Modelu”, za pomocą którego próbowano rozwiązać jakiś wielki problem albo zagadkę.

Oczywiście, było naturalne, że obie te kategorie życia doszły do identycznych konkluzji. Zangów ewolucja ukształtowała tak, że prowadzili wewnątrz swych ciał analogowe organiczne symulacje. Maszyny posługiwały się cyfrowymi modelami, stworzonymi przez eleganckie oprogramowanie. Zważywszy wszystko razem, nie było żadnej różnicy. Gdy obie kategorie wreszcie się połączyły, przekonały się, że patrzą na życie w taki sam sposób.

Istniejemy – my i wszystko, co nas otacza, wliczając potężnych Transcendentów – wyłącznie jako element ogromnego scenariusza, symulacji odtwarzanej przez jakiś super zaawansowany komputer, być może gdzieś na wyższym poziomie rzeczywistości albo w Punkcie Omega, w którym koniec czasu doprowadza wszystko do ostatecznego finału.

Tak czy inaczej, nie ma sensu nurzać się w poczuciu własnej ważności. Kosmiczny strumień wydarzeń, w którym uczestniczymy, jest tylko jedną z niezliczonych, różniących się od siebie jedynie drobnymi szczegółami symulacji, które przeprowadza się równolegle. To zupełnie jak program szachowy, który sprawdza szczegółowo wszystkie możliwe konsekwencje każdego ruchu.

Tak właśnie niektóre elementy Matki tłumaczyły to Larkowi i Ling. Nawet przerobieni na traekich Jophurzy nie mieli kłopotów z zaakceptowaniem tej myśli, ponieważ w skład ich życia psychicznego wchodziły wielokrotnie powtarzane eksperymenty myślowe, przepływające przez wosk skapujący po ich wewnętrznych rdzeniach.

Tylko ludzkim i delfinim członkom konsorcjum trudno było się pogodzić z tym obrazem – i to z innych powodów.

Po co? – zapytał Lark.

Po co ktoś miałby marnować olbrzymią ilość zasobów dla czegoś takiego? Żeby wyliczyć, który świat jest najlepszym z możliwych? A kiedy go znajdą... co zrobią z tym rezultatem? I z niezliczonymi modelami, które stworzyli po drodze? Co zrobią z nami?

To pytanie wyraźnie zdumiało Zangów, ale nie maszyny, które odpowiedziały mu z dziwnie szczerym samozadowoleniem.

Tlenowcy mają straszliwą obsesję na punkcie własnej ważności! To oczywiste, że wszystkie symulacje przeprowadzono, oceniono i odrzucono. Wrażenie, że istniejemy, również jest iluzją. Przejawem symulowanego czasu.

Larka ten pogląd przerażał, ale Ling zachichotała tylko, zgadzając się z delfinami, które dopiero niedawno dołączyły do pokładowej społeczności i najwyraźniej uważały cały ten metafizyczny argument za śmieszny.

Olelo, przywódczyni grupy byłych członków załogi „Streakera”, podsumowała ich punkt widzenia za pomocą haiku w troistym.

- * *Posłuchajcie łoskotu*
- * *Grzywaczy tłukących o rafę,*
- * *I powiedzcie mi, że nie jest realny! **

Lark cieszył się z ich przybycia z kilku różnych powodów. To były ciekawe istoty, oryginalnie spoglądające na wszystko. Ich obecność wzmocniła też frakcję tlenodysznych w trwającej debacie. W ciągu wielu subiektywnych lat będą mieli mnóstwo czasu na dyskusję, nim przetworzony „Polkjhy” wreszcie dotrze do celu.

Wysłał odprysk swej świadomości do jednego z instrumentów obserwacyjnych, by móc zobaczyć zewnętrzny kosmos. Czy raczej to, co grało tu jego rolę.

Niewielu miało przed nim okazję ujrzeć podobny widok. Pustkę wyraźnie się różniącą od wyrazistego koloru, jakim jest czerń. Żadna z wielkich spiralnych czy eliptycznych galaktyk nie była widoczna w swej normalnej postaci – jako twór złożony z białych, świecących punkcików. Z tak wysoko położonego miejsca gwiazdy były jedynie zmarszczkami, ulotnymi zagłębieniami w przestrzeni, które mógł wypatrzeć, jeśli wyteżył wzrok.

Wszystko wydawało się spłaszczone, efemeryczne i niepewne, prawie jak uproszczony szkic rzeczywistego obiektu.

„Polkjhy” właściwie nie był już częścią wszechświata. Zmodyfikowany okręt mknął tuż poza ylemem, niesiony falą, która nie składała się z materii, energii czy nawet czystej metryki czasoprzestrzeni.

O ile Lark potrafił się zorientować – po rozmowie z innymi i sprawdzeniu tego w pokładowej Bibliotece – „Polkjhy” posuwał się na rozkołysanej fałdzie kontekstu. Tła podstawowego prawa, z którego uformował się wszechświat – dawno temu, gdy perturbacja w zasadzie nieoznaczoności Heisenberga pozwoliła na nagłą erupcję zwaną wielkim wybuchem.

Powstanie czegoś z niczego.

Widział teraz nie przedmioty czy obiekty, lecz ogromny wir związków przyczynowych, łączących ze sobą różne możliwości.

Za rufą pędzącego naprzód statku można było zobaczyć malejącą szybko z każdą durą garstkę takich połączeń, pozostałość po niedawnym katastrofalnym rozdarciu. Zerwanie starożytnych więzów.

Poczuł, że umysł Ling dołączył do jego umysłu, aby również nacieszyć się tym widokiem. Po chwili jednak kobieta wyrwała go z zamyślenia.

Wszystko to leży za nami. Chodź, popatrzymy na nasze przeznaczenie.

Choć na tej płaszczyźnie nie istniało nic dotykającego – ani materia, ani memy, ani nawet kierunki – Lark odnosił wrażenie, że zmierzają „naprzód”. Według Transcendentów była to wielka gromada galaktyk, odległa od Drugiej Galaktyki prawie o pół miliarda parseków. Miejsce, z którego od dawna już płynęły enigmatyczne sygnały sugerujące aktywność istot rozumnych. Być może była to inna wielka cywilizacja, z którą mogli nawiązać kontakt. Podzielić się z nią wiedzą. Powiedzieć „cześć”.

Dla subiektywnego spojrzenia Larka była ona tylko kłębkami słabo świecących łuków i spiral. Delikatnymi wskazówkami sugerującymi, że istnieje tam inna domena, w której można znaleźć hipernapęd, punkty transferowe i różne inne elementy ułatwiające podróże kosmiczne.

Zobaczymy to na własne oczy – zapewniła Ling. – A także wiele innych rzeczy. Cieszysz się, że wyruszyliśmy w tę podróż?

Larka żaden Transcendent nie pytał o zdanie, w przeciwieństwie do delfinów. Mimo to czuł się

usatysfakcjonowany.

Ehe, cieszę się. Będę tęsknił za niektórymi osobami i za Jijo, ale kto mógłby odrzucić podobną szansę?

Niektórzy jednak to zrobili. Gillian Baskin, która chciała udać się tam, gdzie wzywał ją obowiązek. I Sara, której nigdy nie przestanie kochać. Doktor Baskin przysłała dwunastu delfinich ochotników, a wraz z nimi dary mające wyruszyć w podróż razem z „Polkjhy”: archiwa „Streakera” i próbki genetyczne zebrane podczas długiej podróży badawczej.

A także coś jeszcze.

Lark zerknął na najbardziej niezwykłego z członków konsorcjum Matki, zamkniętego w złotym kokonie toporgicznego zamrożonego czasu. Starożytny trup, mogący sobie liczyć więcej niż miliard lat, towarzyszył pechowej załodze „Streakera” od czasu jej pamiętnej wizyty w miejscu zwanym Płytką Gromadą.

Miał na imię Herbie.

Enigmatyczny uśmiech mumii nadawał jej wygląd wszechwiedzącej i bezgranicznie pewnej siebie.

– Czy to nie wasze najcenniejsze znalezisko? – zapytał Lark podczas gorączkowych chwil poprzedzających wybuch supernowej, gdy na „Polkjhy” przeniesiono próbki ze „Streakera”, a potem wokół okrętu zamknęła się ochronna powłoka.

– Herb i ja przeszliśmy razem bardzo wiele – odparła Gillian. – Myślę jednak, że więcej będzie z niego pożytku, jeśli poleci z wami. Może powiedziec o nas jakiejś odległej cywilizacji więcej niż cała Biblioteka pełna zapisów.

Ziemska kobieta była znużona, ale nie ugiwała karku, jakby była pewna, że jej przejścia wkrótce się skończą.

– Poza tym, nawet jeśli „Streaker” jakimś cudem przetrwa to, co nas czeka, stary Herbie nie jest niezastąpiony. Wiem, gdzie można znaleźć mnóstwo takich jak on.

Lark przypomniał sobie tę tajemniczą uwagę, gdy zmysły jego i jego towarzyszeki wędrowały pośród łagodnej poświaty przemykającej na zewnątrz, luźnych nici i szwów zawsze ukrytych za wielką tragikomedią życia. Z jakiegoś powodu sugerowało to, że opowieść jeszcze trwa, a on nadal ma w niej rolę do odegrania, pomimo zerwania wszystkich więzów przyczynowości i komunikacji.

Ktoś przysunął się do dwojga unoszących się w cieczy ludzi. Delfin – długi, opływowy i naznaczony licznymi bliznami. Ich ciała zakołysały się na prądzie wywołanym ruchem jego płetw. Poczuli silną mentalną obecność, obserwującą wraz z nimi surową scenerię widoczną za połyskliwym pancerzem „Polkjhy”.

Wkrótce ich nowy towarzysz wygłosił śpiewny komentarz.

** Nawet gdy już zostawicie*

** Prastare Istoty, Transcendentów,*

** I bogów daleko za sobą,*

** Któż będzie mógł rzec, że naprawdę jesteście*

** poza przestworem nieba? **

Ling westchnęła z uznaniem, a Lark pokiwał głową. Odwrócił się, aby pogratulować waleniewi, że tak zręcznie podsumował sytuację.

Zamrugnął ze zdumienia, ujrawszy tylko pusty obszar gęstego, organicznego rosołu Matki.

Mógłby przysiąc, że przed paroma chwilami przepłynęła tędy potężna szara sylwetka – błyszcząca, ciepła i tak bliska, że wystarczyłoby wyciągnąć rękę, by jej dotknąć! Delfin, którego nie widział wśród przybyszów.

Ale teraz nikogo tu nie było.

Minęło wiele lat, nim znowu usłyszał ten głos.

POSŁOWIE

Uważam, że to niedobrze, jeśli pisarz zamyka się w jednym „wszechświecie”, pisząc ciągle o tych samych sytuacjach i bohaterach. By uniknąć znudzenia, staram się nigdy nie pisać pod rząd dwóch powieści rozgrywających się w tym samym „wszechświecie”. Nie ulega jednak wątpliwości, że trylogia „Sztorm Wspomagania”, na którą składają się *Rafa jasności*, *Brzeg nieskończoności* i *Przestwór nieba*, jest wyjątkiem. Nie było moim zamiarem podążenie „ścieżką trylogii”, ale w miarę pracy tekst rozrastał się i stawał coraz bardziej skomplikowany. Tak to już bywa. Jeśli ktoś rzuci do stawu jeden kamień, wzorzec fal łatwo jest zidentyfikować. Jeśli jednak rzuca się ich wiele naraz, fale tworzą obraz, jakiego nikt nie mógłby przewidzieć. W realistycznie napisanej opowieści wygląda to podobnie. Implikacje rozchodzą się we wszystkich kierunkach.

Wielu ludzi zadaje mi pytania dotyczące moich książek o Wspomaganiu. Z pewnością nie jestem pierwszym autorem snującym spekulacje na temat genetycznych modyfikacji prowadzących do powstania rozumnych zwierząt. Przykładami mogą być *Wyspa doktora Moreau*, *Planeta małp* i seria *Instrumentality of Mankind* autorstwa Cordwainera Smitha. Od dziecka podziwiałem te dzieła i wiele innych, które się z nich wywodzą, zauważyłem jednak pewien szczegół. Prawie wszystkie z nich opierają się na założeniu, że ludzie „panowie” zawsze będą postępować maksymalnie źle i głupio. Innymi słowy, jeśli będziemy manipulować genami zwierząt, aby podnieść ich inteligencję, to wyłącznie w tym celu, by je wykorzystać i uczynić naszymi niewolnikami.

Nie zrozumcie mnie źle! Te moralitety pomagały nauczyć nasze zbiorowe sumienie większej empatii i tolerancji. O ironio, uważam teraz za nieprawdopodobne, by nasza cywilizacja miała traktować nowo obdarzone rozumem istoty ze szczególnym okrucieństwem, właśnie dlatego, że moralitety spełniły swoje zadanie.

Cykl o Wspomaganiu próbuje przenieść dyskusję na wyższy poziom. Przypuśćmy, że udoskonalimy szympansy, delfiny i inne stworzenia, działając z najlepszych pobudek, przyznamy im prawo głosu oraz obywatelstwo w naszej różnorodnej kulturze. Czy i tak nie wystąpiłyby problemy? Ciekawe problemy, godne kilku opowieści? Szczerze mówiąc, jestem przekonany, że kiedyś wstąpimy na tę drogę. Samotność prędzej czy później sprawi, że ktoś spróbuje Wspomagania. A gdy małpa raz zacznie mówić, kto ośmieli się zażądać: „uczynicie ją z powrotem taką, jaka była!”?

Pora zacząć myśleć o dylematach, przed którymi staniemy, nawet jeśli będziemy mądrzy.

Podobnie jak powieść *Glory Season* umożliwiła mi zbadanie związków międzyludzkich, jakie mogą wynikać z powszechnego klonowania, wszechświat Wspomagania pozwala mi eksperymentować z najrozmaitszymi wizjami cywilizacji gwiazdnych wędrowców. A ponieważ jest to niewstydzająca się swych korzeni space opera, mogę do woli intensyfikować owe pomysły. Na przykład, skoro już uznamy loty z prędkością nadświatłową za możliwe, nic nie stoi na przeszkodzie, by użyć kilkunastu różnych sposobów na oszukanie Einsteina. Im więcej, tym lepiej!

Wielu autorów science fiction przyjmuje problematyczne założenie, że tak się składa, iż ciekawe rzeczy zaczynają się dziać dopiero wtedy, gdy ludzkość wkracza na kosmiczne szlaki. Na przykład czarne charaktery z pewnością są niebezpieczne, ale zawsze da się je pokonać z niewielką pomocą naszego dzielnego bohatera. W rzeczywistości naturalnym stanem dowolnej części wszechświata w dowolnie wybranym momencie jest równowaga. Sprawy wyglądają tak samo, jak wyglądały od bardzo dawna. Możliwa jest równowaga rządów prawa, ale również śmierci. Możemy być

pierwszym gatunkiem, który wkracza na scenę, jak w moim opowiadaniu *Kryształowe sfery*, albo spóźnionymi przybyszami, jak w książkach o Wspomaganiu. Jest jednak bardzo mało prawdopodobne, byśmy spotkali równych sobie.

Innym tematem poruszonym w całym cyklu jest ekologia. To, jak traktujemy Ziemię, budzi we mnie obawę, że w galaktyce mogło już dojść do szerzących się niczym pożar lasu ekologicznych holokaustów, spowodowanych przez poprzednie gatunki gwiazdnych wędrowców, które lekkomyślnie wyczerpały zasoby zdolnych do podtrzymywania życia planet w ciągu krótkich, trwających najwyżej kilkadziesiąt tysięcy lat, rządów swego „Imperium Galaktycznego”. (Zauważcie, jak często książki science fiction wzywają nas do wzrostu i wypełnienia całej Galaktyki. Jeśli coś podobnego wydarzyło się już kilkakrotnie, może to tłumaczyć obserwowaną obecnie pustkę, fakt, że aktualnie nie słychać żadnych obcych głosów).

Galaktyka mogłaby się „wypalić” bardzo szybko, chyba że ktoś będzie regulował to, jak koloniści traktują swoje planety, zmusi ich do długoterminowego myślenia, wykraczającego poza doraźne interesy. W książkach ze świata Wspomagania opisuję, w jaki sposób mogłoby do tego dojść. Bez względu na nieprzyjemne cechy niektórych moich Galaktów – na przykład obsesja na punkcie przeszłości i purytański fanatyzm – wszyscy oni przyznają wysoki priorytet ochronie planet, biotopów oraz potencjalnie rozumnych form życia. W rezultacie otrzymujemy hałaśliwy wszechświat, pełen energii i sporów. Taki, w którym życie jest częstsze, niż mogłoby być w przeciwnym razie.

Szczerze mówiąc, nie wierzę, byśmy żyli we wszechświecie tak szalonym i ekstrawaganckim jak ten, ale to niezłe miejsce dla zabawy, w przerwach między poważniejszymi książkami.

Prosimy o więcej cudów!

Spokojnie, to jeszcze nie koniec.

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym podziękować uważnym i szczerym czytelnikom, którzy przejrzeni część tej pracy w formie maszynopisu – zwłaszcza Stefanowi Jonesowi, Steinnowi Sigurdssonowi, Rubenowi Krasnopolski'emu, Damienowi Sullivanowi i Erichowi R. Scheiderowi. Pomoc okazali mi również Kevin Lenagh, Xavier Fan, Ray Reynolds, Ed Allen, Larry Fredrickson, Martyn Fogg, Doug McElwain, Joseph Trela, David i Joy Crispowie, Carlo Gioja, Brad De Long, Lesley Mathieson, Sarah Milkovich, Gerrit Kirkwood, Anne Kelly, Anita Gould, Duncan Odom, Jim Panetta, Nancy Hayes, Robert Bolender, Kathleen Holland, Marcus Sarofim, Michael Tice, Pat Mannion, Greg Smith, Matthew Johnson, Kevin Conod, Paul Rothemund, Richard Mason, Will Smit, Grant Swenson, Roian Egnor, Jason M. Robertson, Micah Altman, Robert Hurt, Manoj Kasichainula, Andy Ashcroft, Scott Martin i Jeffrey Slostad. Profesorzy Joseph Miller i Gregory Benford zgłosili użyteczne spostrzeżenia. Robert Qualkinbush zestawił słowniki. Powieść skorzystała również z rad i spostrzeżeń mojego agenta, Ralpha Vicinazy, a także Pata LoBrutto i Toma Dupree z Bantam Books.

Ostatnia piosenka Emersona pochodzi z finału opery Giuseppe Verdiego *Falstaff*.

Niektóre z przedstawionych w książce niezwykłości nie zrodziły się w mojej wypaczonej wyobraźni. Fraktalny Świat, ogromną strukturę złożoną z potężnych kolców, zapewniających znacznie więcej powierzchni dla okien niż sfera Dysona, opisał doktor David Criswell w futurystycznej pracy, którą można znaleźć w książce *Interstellar Migration and the Human Experience*, wydanej przez University of California Press pod redakcją Bena Finneya i Erika Jonesa.

Jak zawsze, ta opowieść byłaby znacznie uboższa bez mądrych i bardzo ludzkich spostrzeżeń mojej żony, doktor Cheryl Brigham.

A teraz... upominek!

Raz już to zrobiłem, po posłowniu do powieści *Earth*. Małe zakończenie, opowieść po opowieści, dla tych, którzy dotrwali aż do moich końcowych słów. Odwiedzimy jednego z naszych bohaterów około roku po Wielkim Rozdarciu, aby spróbować zamknąć parę z licznych niedokończonych wątków.

Miłej lektury!

CYWILIZACJA

Morza Hurmuphty są bardziej słone niż na Jijo.

Wiatry nie są tu miarowe, lecz nadchodzą w dziwnie rytmicznych porywach, co utrudnia halsowanie.

Dopóki nie opracuje się odpowiedniej kadencji. Z czasem uczymy się czuć zmienne tempo, przewidywać każdy powiew. Trzymając ster lekką ręką, można naprawdę dać się ponieść wiatrowi, pozwalając, by wypełnił żagle, aż statek prawie przewraca się na bok i maszty muskają szczyty fal!

Gdy zrobiłem to po raz pierwszy, Dor-hinuf wrzeszczała tak przeraźliwie, jakby sama Śmierć przysłała po nas z głębin, by osobiście wyryczeć Pieśń Zabrania. Kiedy wróciliśmy do nowego portu, przemoczeni od stóp do głów, dygotała tak mocno, że pomyślałem, iż tym razem posunąłem się za daleko.

Kurde, ależ gruntownie się myliłem! Gdy tylko weszliśmy do naszej małej nadmorskiej khuty, wzięła mnie w objęcia i kochaliśmy się ze sobą przez całe trzy midury! Kolce grzbietowe bolały mnie potem przez kilka dni.

(Wkrótce sobie uświadomiłem, że cywilizowani hoonowie rzadko doświadczają stymulowanych popędów rodzących się z euforii! Na Jijo są one elementem codziennego życia, równoważącym instynktowną ostrożność hoonów. Nasi międzygwiazdni kuzyni wiodą jednak bardzo spokojną egzystencję i, pomijając coroczną ruję, prawie nigdy nie myślą o seksie! Na szczęście Dor-hinuf polubiła to nowe podejście, jak ursa lubi ławę).

Niestety, mamy teraz mniej czasu na wspólne romantyczne wypady. Interes się rozkręca, wieść o nim rozchodzi się po całym wysokim płaskowyżu, na którym od tysiąca lat żyją hoońskie społeczności, przycupnięte w czystych miastach, daleko od fal i pływów. Podejrzewam, że po tak długim czasie nagromadziło się mnóstwo frustracji. A może ma to coś wspólnego ze wstrząsami, które niedawno nawiedziły Pięć Galaktyk? Tak czy inaczej, mnóstwo moich pobratymców – zwłaszcza z młodszego pokolenia – jest skłonnych dla odmiany spróbować czegoś nowego. Czegoś, czego nie nauczyli nas nasi opiekunowie, Guthatsa.

Codziennie przybywają nowe grupy. Łądują obok naszej chaty, wychodzą z poduszkowców, spoglądają na lśniąca lagunę, zaniepokojeni bliskością tak wielkiej ilości wody, najwyraźniej pamiętając ostrzeżenia, wpajane im w dzieciństwie – że oceany są niebezpieczne.

Oczywiście, każdy hooński księgowy, który zdaje sobie sprawę z ryzyka, może się czuć usprawiedliwiony, jeśli korzyści przerastają potencjalne koszty.

Jeden rejs po wietrznej zatoce wystarcza, by przekonać większość z nich.

Finansową stroną przedsięwzięcia zajmuje się mój teść. Twaphu-anuph zrezygnował ze stanowiska w Instytucie Migracji, aby kierować naszym małym kurortem. Spotyka się z inwestorami, załatwia pozwolenia ekologiczne i wydzierżawienie maksymalnie długiego odcinka dziewiczego brzegu, nim inni hoonowie zorientują się, ile jest wart. Nadal uważa, że to czyste wariactwo i sam za nic w świecie nie wejdzie na pokład żaglowca, ale gdy tylko zasiada nad księgami, słyszę, jak burkocze radośnie.

Jaka jest teraz jego ulubiona piosenka? *Morskie opowieści!*

Chyba trochę mnie niepokoi świadomość, że ani zapadające w pamięć wizje Melville'a, ani jijańska morska poezja Phwhoon-dau nie działają na Twaphu-anuph tak mocno jak ziemskie wulgarne rymowanki. Gdy dochodzi do najmniej przyzwoitych fragmentów, krokwie aż drżą.

Kto by pomyślał?

Mam obecnie tak wiele zajęć – udzielam lekcji żeglowania i muszę wymyślać wszystko od początku – że nie mam czasu zajmować się literaturą. Często przez wiele jadur nawet nie otwieram dziennika. Myślę, że moje młodzieńcze ambicje zostania wielkim pisarzem będą musiały poczekać. Może w następnym życiu.

W gruncie rzeczy znalazłem lepszy sposób na to, by zmienić hoonów. Dać im odrobinę szczęścia. Zmienić towarzyszącą im reputację skwaszonych, ponurych liczykrupów. I być może uczynić ich lepszymi sąsiadami.

Na Jijo wszystkie pozostałe gatunki lubiły hoonów! Mam nadzieję, że dożyję chwili, gdy to samo stanie się prawdą tutaj, na gwiazdnych szlakach cywilizacji.

Zresztą sprawa literackiego renesansu jest w dobrych rękach. Czy raczej w dobrych szypułkach. Huck zgodziła się zaakceptować połowę przypisanej jej roli.

– Będę miała dzieci – oznajmiła. – Ale musicie wynająć hoońskie niańki, żeby się nimi zajęły. W końcu mnie wychowywali hoonowie i tylko spójrzcie na rezultaty!

W dawnych czasach odpowiedziałbym jej drwiną, ale bez Koniuszka i Ur-ronn nic już nie jest takie samo. Zresztą jestem już żonaty i wkrótce zostanę ojcem. Pora nauczyć się trochę taktu.

Huck zdołała się pogodzić z myślą o nieustannej ciąży, ponieważ tylko w ten sposób może przywrócić jej gatunek w Czterech Galaktykach, ale absolutnie odmówiła zgody na drugą część naszego planu, przewidującą, że będzie wiodła życie w ukryciu, aby nie wykryli jej starożytni wrogowie g'Keków.

– Niech tu przyjdą! – krzyczy, kręcąc kołami i machając szypułkami, jakby była gotowa do walki z całym jophurskim imperium naraz, a także innymi, którzy pomogli zniszczyć jej lud. Może powodem jest jej rosnące poczucie ważności albo swoboda ruchu, jaką czuje, śmigając po gładkich chodnikach miasta Hurmuphta, czy może studenci, odwiedzający jej salon, by słuchać wykładów o terrańskiej i jijańskiej literaturze, ale rzadko odwiedza teraz Zatoczkę, a gdy już się zjawi, słucham przez midury jej gadania i odzywam się bardzo rzadko.

Być może ma rację, twierdząc, że robi się ze mnie stary, nudny hoon.

Albo problem polega na tym, że g'Kekowie nie lubią kompromisów – a już szczególnie Huck. Nie potrafi zrozumieć, że w życiu trzeba iść na ustępstwa. Że na każdą zmianę, jaką zdołamy narzucić wszechświatowi, musimy płacić zmianami, które zachodzą w nas.

Przyniosłem swym międzygwiazdnym kuzynom dary z Jijo – przygodę i dzieciństwo – a oni w zamian nauczyli mnie, że można znaleźć spokój w ognisku domowym i basowych melodyjnych rytuałach, które powstały w zamierzchłych czasach, gdy nasz gatunek nie wstąpił jeszcze na ścieżkę Wspomagania i nie obchodziły go odległe gwiazdy.

A teraz te gwiazdy stały się jeszcze dalsze. Odkąd Pięć Galaktyk raptownie przerodziło się w Cztery, połowa punktów transferowych i ścieżek międzyprzestrzennych utraciła stabilność i może jej nie odzyskać za naszego życia. Niezliczone statki zaginęły, szlaki handlowe przestały funkcjonować i wiele światów musi polegać na własnych zasobach.

To pewnie znaczy, że minie sporo czasu, zanim otrzymam list od Ur-ronn. Jestem pewien, że świetnie się bawi gdzieś tam, spotykając się z inżynierami wszystkich możliwych gatunków, zanurzona po długą szycję w praktycznych problemach wymagających rozwiązania.

Choć ursy nie są sentymentalnymi istotami, mam nadzieję, że przypomina nas sobie od czasu do czasu.

Jedyne, co mogę powiedzieć o biednym Koniuszku, to że okropnie mi go brak.

Czasami po prostu trzeba się z czymś pogodzić.

Śmierć zawsze była największą, nieprzekraczalną przepaścią. Teraz pojawiła się druga. Gdy Czwarta Galaktyka w końcu się oddzieliła, wszystkie rozumne istoty poczuły to na jakimś głębokim, organicznym poziomie. Nawet na powierzchniach planet liczni mieszkańcy przeżyli wstrząs i przez całe dni snuli się potem otępiali.

Uczeni sądzą, że w Czwartej Galaktyce owe efekty musiały być znacznie silniejsze, ale nigdy nie dowiemy się tego na pewno, ponieważ całe to ogromne koło gwiazd znalazło się poza naszym zasięgiem. A wraz z nim Jijo. Moi rodzice. Dom.

Znajduję jednak pocieszenie w wizji delfinów pływających beztrosko w jedwabistych wodach nieopodal Wuphonu, bawiących się w berka z odpadowcem mojego ojca, a wieczorem przyplływających do brzegu, aby porozmawiać o poezji w opalizującym blasku Loocen.

Oczywiście, Wspólnota Sześciu Gatunków może teraz podrzeć Święte Zwoje i przestać ukrywać swe twarze przed niebem. Nie obowiązują jej więcej prawa Cywilizacji Pięciu Galaktyk. Być może Jijanie poradzili już sobie z jophurskimi najeźdźcami. A może stoją przed nimi jeszcze gorsze kryzysy. Tak czy inaczej, mogą wreszcie zrzucić brzemień odziedziczonej po przodkach winy. Mieszkańcy Stoku nie są już intruzami ani przedterminowymi osadnikami.

Planeta należy do nich. Muszą jej bronić i dbać o nią najlepiej, jak potrafią.

Wierzę, że sobie poradzą. Z niewielką pomocą kości Ifni.

Jeśli już mowa o niezwykłych kolonistach, właśnie zawraca mi głowę małe, podobne do wydry stworzenie, domagające się kolejnej przysługi.

Odkąd Skarpetka przyznał, że potrafi mówić, przerodził się w okropnego gadułę. Ciągłe pyta, czy do portu w Hurmuphcie przyleciał jakiś tymbrimski statek albo czy ktoś mógłby go zabrać na front walk w Drugiej Galaktyce. Jego niecierpliwość jest typowa. Choć każe się zwać tytlalem, dla mnie zawsze pozostanie noorem. Dowodzę tego, wydymając worek podgardlany i wydając z siebie jego ulubiony burkot. Siada mi wtedy na ramieniu obok Huphu, a po chwili oboje przytulają się do siebie i zapominają o świecie.

– Nigdy nas nie opuści – przewiduje Dor-hinuf. Faktycznie, wygląda na to, że lubi pracę na jachcie. Łazi po żaglach i drzewcach, żuje kwasowe kulki i wygłasza pod nosem sarkastyczne uwagi o naszych pasażerach, szcurach lądowych.

Mimo to nie jestem do końca przekonany. W małym stworzeniu pali się jakiś ogień. Jest jak człowiek służący jakiejś idei albo ursa postawiona wobec gadżetu, który pragnie wypróbować. Skarpetka nie spocznie, dopóki nie zakończy niezłałatwionej sprawy.

Sądząc z tego, co wiem o tytlalach, z pewnością chodzi o jakiś żart. Coś, co zaplanowano dawno temu. Coś potwornie zabawnego... chyba że jest się zamierzoną ofiarą.

Myślę, że pewnego dnia po obudzeniu przekonam się, że Skarpetka zniknął, a na do widzenia powiązał wszystkie nasze talrepy w supły.

Czyta teraz te słowa, wyglądając mi zza ramienia, dyszy i uśmiecha się enigmatycznie. Bawią go moje przypuszczenia, ale nie chce niczego zdradzić.

Starczy już tego. Chodź, ty mały skurczybyku. Czekaają na nas klienci. Wiatr jest dobry i kompanie chmur maszerują w równym szyku za srebrzysty horyzont.

Pokażmy tej bandzie starych, nudnych hoonów, jak wygląda prawdziwa zabawa.

SŁOWNIK TERMINÓW I GATUNKÓW

LISTA ROZUMNYCH GATUNKÓW

g'Kekowie – pierwszy gatunek przedterminowych osadników na Jijo, przybyły przed około dwoma tysiącami lat. Wspomożeni przez Droolian g'Kekowie mają koła o biomagnetycznym napędzie i cztery szypułki oczne wyrastające z tułowi połączonych z puszką mózgową. Z powodu wendety prowadzonej przez ich wrogów w Pięciu Galaktykach są wymarłym gatunkiem i ocaleli tylko na Jijo.

glawery – trzeci z kolei gatunek przedterminowych osadników na Jijo. Wspomożone przez Tunuctuyurów, których z kolei wspomogli Buyurowie, glawery są poruszającymi się częściowo na dwóch nogach istotami o opalizującej skórze i wielkich, wylupiastych oczach. Mają około metra wzrostu i rozdwojony, chwytny ogon, który służy jako uzupełnienie dla niezgrabnych dłoni. Po nielegalnym osiedleniu się na Jijo uwsteczniły się do stanu przedrozumności i przestały być uważane za członków Wspólnoty Sześciu Gatunków. Dla niektórych stanowią szczytny wzór, przewodników na Ścieżce Odkupienia.

hoonowie – piąta fala przybyłych na Jijo osadników, wszystkożerne dwunogi o jasnej, pokrytej łuskami skórze i nogach porośniętych białym, wełnistym futrem. Ich masywne, puste w środku kręgi stanowią element układu krążenia, natomiast worki rezonansowe, ongiś używane do popisów godowych, teraz służą do „burkotania”. Od czasu wspomżenia przez Guthatsa często znajdują w galaktycznej kulturze zatrudnienie jako ponurzy, gorliwi biurokraci.

Jophurzy – organizmy przypominające piramidę obwarzanków. Podobnie jak ich kuzyni, traeki, Jophurzy składają się z wymiennych, gąbczastych „pierścieni sokowych”. Każdy z owych elementów dysponuje tylko ograniczoną inteligencją, wspólnie jednak tworzą rozumną istotę zbiorową. Wyspecjalizowane pierścienie dają stosowi zmysły i organy chwytne, a niekiedy również niezwykle zdolności chemosyntezy. Jako traeki, ten unikatowy, wspomżony przez Poa gatunek był łagodny i pozbawiony ambicji. Fanatyczni Oailie wymyślili go jednak na nowo, tworząc „pierścienie władzy”, które obróciły traekich w Jophurów, bardzo ambitne istoty o ogromnej sile woli.

ludzie – najmłodszy z gatunków przedterminowych osadników, przybyły na Jijo przed niespełna trzystu laty. Ludzkie „dzikusy” wyewoluowały na Ziemi. Najwyraźniej o własnych siłach stworzyły cywilizację techniczną i uzyskały zdolność prymitywnych lotów międzygwiazdnych. Owa możliwość jest przedmiotem gorących dyskusji.

qheueni – czwarty z kolei gatunek przedterminowych osadników na Jijo. Wspomożeni przez Zhoshów qheueni są istotami o promienistej symetrii, posiadającymi szkielet zewnętrzny. Mają pięć nóg zakończonych szczypcami, a ich mózg częściowo kryje się w centralnej, wciąganej kopule. Grupa zbuntowanych qheuenów zdecydowała się na nielegalne osadnictwo po to, aby zachować swój starożytny system kastowy, w którym z szarej odmiany wywodziły się piastujące królewską władzę matriarchinie, podczas gdy czerwoni i niebiescy byli służącymi oraz rzemieślnikami. Warunki panujące na Jijo – w tym również ingerencja ludzi – doprowadziły do załamania się tego systemu.

Rotheni – tajemniczy gatunek Galaktów. Grupa ludzi zwanych dakkinami lub Danikami uważa ich za zaginionych opiekunów Ziemi. Rotheni są dwunogami nieco większymi od ludzi, lecz o zbliżonych proporcjach ciała. Są uważani za mięsożerców.

traeki – drugi z kolei gatunek nielegalnych osadników przybyłych na Jijo. Traeki są atawistycznym wariantem Jophurów i uciekli przed planem narzucenia im pierścieni władzy.

ursy – szósty z kolei gatunek przedterminowych osadników na Jijo. Te mięsożerne, centauroidalne mieszkanki równin mają długie, giętkie szyje, wąskie głowy i pozbawione barków ramiona zakończone zręcznymi dłońmi. Ursy zaczynają życie jako maleńkie, sześcionożne larwy, które matki wyrzucają z toreb, by radziły sobie same. Każda, która dożyje „wieku dziecięcego”, może być przyjęta w skład grupy. Samice osiągają rozmiary dużego jelenia i mają dwie torby rozplodowe, w których przechowują miniaturowych małżonków, mniejszych od domowego kota. Samica nosząca przedlarwalne młode usuwa z torby jednego lub obu mężów, żeby zrobić miejsce dla potomstwa. Ursy czują wstręt do wody w jej czystej postaci.

SŁOWNIK TERMINÓW

allofor – metaforyczna interpretacja pewnych zjawisk w hiperprzestrzeni poziomym E, przeprowadzona przez rozumne umysły.

anglic – ludzki język stworzony w dwudziestym pierwszym stuleciu. Zawiera wiele angielskich słów, lecz zaznaczają się w nim wpływy innych przedkontaktowych języków i zmodyfikowano go zgodnie ze wskazaniami nowych teorii językoznawczych.

atawizm stresowy – przypadłość spotykana wśród nowo wspomóżonych gatunków, których przedstawiciele tracą niekiedy wyższe zdolności poznawcze pod wpływem napięcia.

Biblioteka Galaktyczna – niewiarygodnie obszerny zbiór wiedzy zgromadzony w ciągu setek milionów lat. Pseudorozumne „filie Biblioteki” można znaleźć w większości galaktycznych osad i gwiazdolotów.

Buyurowie – poprzedni legalni lokatorzy Jijo, przypominający kształtem żaby i słynący z dowcipu, zdolności przewidywania oraz umiejętności genetycznego kształtowania wyspecjalizowanych zwierząt służących jako narzędzia. Opuścili Jijo, gdy ogłoszono ją za pozostawioną odłogiem, prawie pół miliona lat temu.

człekonaśladowca – slangowe określenie kogoś, kto imituje ludzi, z uwagi na fakt, iż choć od Wielkiego Drukowania minęło wiele czasu, literackie życie Jijo wciąż pozostaje zdominowane przez ludzkie teksty.

Danicy – zwulgaryzowany termin na określenie „danikenitów”, członków ruchu kulturowego, który powstał wkrótce po nawiązaniu przez ludzkość kontaktu z galaktyczną cywilizacją. Danicy wierzą, że Ziemianie zostali wspomóczeni przez gatunek Galaktów, który z nieznanych powodów postanowił pozostać w ukryciu. Będący ich odłamem kult wyznaje pogląd, że owymi mądrymi, tajemniczymi przewodnikami są Rotheni.

delfini primal – pół język używany przez żyjące w stanie natury, niewspomożone delfiny na Ziemi.

dura – około jednej trzeciej minuty.

dzikusy – pogardliwe galaktyczne określenie gatunku, który pozornie wspomógł się sam, osiągając status gwiazdnych wędrowców bez pomocy opiekuna.

er – neutralny rodzajowo zaimek, niekiedy używany w odniesieniu do traekich.

fin – skrótowe angielskie określenie neodelfina.

Fraktalny Świat – miejsce pobytu istot z Cywilizacji Pięciu Galaktyk, które osiągnęły stan bliski transcendencji. Zob. „struktury Criswella”.

Galakt – istota wywodząca się z istniejącej od eonów Cywilizacji Pięciu Galaktyk.

hiperprzestrzeń poziomu E – niebezpieczny region hiperprzestrzenny, w którym granica między świadomością a rzeczywistością ulega zamazaniu. Spójne wewnętrznie pojęcia mogą tam istnieć bez mózgu czy komputera, który by je zawierał albo kontemlował. Zob. „allofor”.

Ifni – prawdopodobnie wulgaryzacja angielskiego słowa oznaczającego „nieskończoność”. W tradycji astronautów imię bogini szczęścia. Personifikacja przypadku albo prawa Murphy’ego.

Instytuty Galaktyczne – olbrzymie, potężne akademie, które rzekomo zachowują neutralność i nie mieszają się do międzyklanowej polityki. Instytuty bezpośrednio kierują różnymi aspektami galaktycznej cywilizacji. Niektóre z nich działają już od ponad miliarda lat.

Izmunuti – czerwony olbrzym położony nieprzyjemnie blisko jijańskiego słońca. Jego węgłowy wiatr osłania Jijo przed nadzorem Instytutu Migracji.

Jadura – około czterdziestu trzech godzin.

Jajo – zob. Święte Jajo.

Jijo – planeta w Czwartej Galaktyce, zamieszkała przez siedem gatunków przedterminowych osadników: ludzi, hoonów, qheuenów, ursy, g’Keków, uwstecznione gławery oraz „zdemodyfikowanych” Jophurów znanych jako traeki.

Kategorie Życia – siedem rodzajów rozumnego życia znanych w Pięciu Galaktykach:

tlenodyszni – przedstawiciele cywilizacji galaktycznej, w tym również ludzie.

wodorodyszni – żyją w „redukujących” atmosferach i mają wolniejszy metabolizm. Najczęściej mieszkają na gazowych olbrzymach, gdzie unoszą się pośród chmur, przeprowadzając wewnętrzne symulacje świata.

Kategoria Emerytowana – dawni opiekunowie, którzy wkroczyli w wiek starczy i „przeszli na emeryturę”, wycofując się z uczestnictwa w galaktycznych sprawach.

Kategoria Maszynowa – samopowielające się rozumne mechanizmy. Na ogół trzymają się pełnych intensywnego promieniowania regionów głębokiego kosmosu, niechcianych przez wodoroani tlenodysznych, choć niektóre typy toleruje się z uwagi na ich użyteczność.

Transcendenci – gatunki, które „awansowały” na wyższy poziom. Wśród Galaktów istnieje wiele sprzecznych przekonań dotyczących tej fazy życia. Uważa się, że pierwszymi, którzy ją osiągnęli, byli Przodkowie.

Kategoria Memetyczna – dziwaczne organizmy zbudowane z „myśli”, bytujące głównie w hiperprzestrzeni poziomu E.

Kategoria Kwantowa – organizmy odkryte dopiero w ciągu ostatnich stu milionów lat, bytujące

w przerwach między warstwami wszechświata. Rzadko się kontaktują ze społecznością galaktyczną. Ich sposób życia najwyraźniej opiera się na makrokwantowej nieoznaczoności.

Trwają zaciekle spory o to, czy liczba kategorii powinna wynosić osiem. Podejrzewa się też istnienie dalszych. Kontakty między różnymi Kategoriami Życia są niebezpieczne i z reguły się do nich zniechęca.

Kazzkark – stacja kosmiczna kierowana przez kilka wielkich Instytutów Galaktycznych, w tym również Instytut Nawigacji.

kidura – około pół sekundy.

Kiqui – przedrozumny gatunek ziemnowodnych istot wywodzących się z Kithrupa.

Kithrup – wodny świat bogaty w metale ciężkie.

midura – jednostka czasu. Około siedemdziesięciu jeden minut.

Morgran – punkt transferowy, w którym „Streakera” po raz pierwszy zaatakowały statki klanów fanatyków religijnych.

neodelfiny – wspomóżone delfiny, podopieczni ludzkości.

neoszympany – pierwsi podopieczni ludzkości. W pełni wspomóżone neoszympany potrafią mówić, lecz „nieukończony” wariant, który towarzyszył ludziom na Jijo, nie posiada tej umiejętności, ograniczając się do języka migowego.

noory – jijańskie określenie tytlali, wspomóżonego przez Tymbrimczyków gatunku Galaktów, który zamieszkał na Jijo, ukrywając swą rozumność. Dla Jijan noory to inteligentne i zręczne, lecz psotne stworzenia podobne do wydr. Nie można ich oswoić, lecz cierpliwi, dobroduszni hoonowie potrafią nakłonić niektóre z nich do pracy na statkach. Inne gatunki przedterminowych osadników uważają noory za szkodniki.

NuDawn – świat, którzy Terranie skolonizowali przed nawiązaniem kontaktu z Galaktyczną Cywilizacją, nieświadomie gwałcąc prawa migracji. Osadników przy użyciu brutalnej siły usunęli hoońscy biurokraci, przy pomocy pospolitego ruszenia złożonego między innymi z Jophurów.

Oakka – planeta, na której znajduje się sektorowa kwatera główna Instytutu Migracji.

Objęcie Pływów – quasi-uzależnienie skłaniające starsze gatunki do poszukiwania wrażeń wywoływanych przez grawitacyjne pływy blisko bardzo gęstych gwiazd.

opiekun – gatunek Galaktów, który wspomógł przynajmniej jeden zwierzęcy gatunek do stanu pełnej rozumności.

pidura – sześć do siódmej potęgi dur, czyli około czterech dni.

podopieczny – gatunek nadal odbywający okres terminu u opiekunów, którzy wspomogli go z

przedrozumnego stanu zwierzęcego.

„Polkjhy” – jophurski okręt liniowy, który wylądował na Jijo w pościgu za „Streakerem”.

przedterminowi osadnicy – wyjęte spod prawa istoty dopuszczające się kolonizacji światów ogłoszonych przez Galaktyczny Instytut Migracji za pozostawione odłogiem. Na Jijo termin ten oznacza tych, którzy próbują zakładać nowe nielegalne osady poza granicami Stoku.

Przodkowie – legendarny pierwszy gatunek gwiazdnych wędrowców, który przed dwoma miliardami lat rozpoczął cykl Wspomagania, kładąc podstawy pod społeczeństwo galaktyczne.

punkt transferowy – miejsce, w którym osłabienie czasoprzestrzeni pozwala statkom wlatującym w nie w ściśle określony sposób poruszać się szybciej od światła.

Rada Terrageńska – najważniejsze ciało międzygwiazdowego rządu ludzkości, odpowiedzialne za stosunki między Ziemijskim Klanem a galaktycznym społeczeństwem.

rewqi – symbiotyczne pseudogrzyby, które pomagają Sześciu Gatunkom „czytać” nawzajem swe emocje oraz język ciała.

„Streaker” – terrański gwiazdolot z załogą złożoną z neodelfinów. Dokonane przez niego odkrycia spowodowały, że całe tuziny frakcji Galaktów rzuciły się w bezprecedensowy pościg za nim. Każda z nich pragnęła zagarnąć sekrety delfinów dla siebie.

struktury Criswella – fraktalne konstrukcje zbudowane wokół małych czerwonych gwiazd, by wykorzystać całą produkowaną przez nie energię. Fraktalny kształt zapewnia większą „powierzchnię okien” niż w zwyczajnej sferze Dysona.

Śmietnisko – rozległa podmorska rozpadlina albo strefa subdukcji, utworzona przez równoległe do Stoku ruchy płyt tektonicznych. Odpady pochodzące od mieszkańców – począwszy od ich szkieletów aż po kadłuby gwiazdolotów, w których tu przybyli – powinny zostać do niego wrzucone, by siły natury mogły je wciągnąć pod skorupę Jijo, gdzie ulegną stopieniu.

Święte Jajo – tajemnicza bryła aktywnego psionicznie kamienia, której wyłonieniu się z wulkanu przed stuleciem towarzyszyły liczne wizje oraz sny.

toporg – pseudomateriał powstały z organicznie złożonego czasu.

Tymbrimczycy – humanoidalny gatunek sprzysiężony z Ziemijskim Klanem, znany ze sprytu i diabelskiego poczucia humoru.

tytlale – zob. „noory”.

Upadek Groniński – historyczna nazwa nadana czasowi, gdy po raz ostatni w galaktycznej historii rozszerzanie się wszechświata spowodowało „rozerwanie” punktów transferowych i fragmentację galaktycznej cywilizacji.

Wspomaganie – proces czyniący z przedrozumnych zwierząt w pełni rozumny gatunek zdolny przyłączyć się do galaktycznego społeczeństwa. Dokonuje go gatunek opiekunów.

ylem – podstawowa tkanina samej rzeczywistości.

Zangowie – typ wodorodysznych istot składających się z pojedynczych komórek, niekiedy przypominających olbrzymie kałamarnice. Mieszkają w atmosferach gazowych olbrzymów. Cały galaktyczny region, w którym leży Jijo, został odstąpiony wodorodyszny przez Instytut Migracji.

Ziemski Klan – mała, ekscentryczna galaktyczna „rodzina” rozumnych gatunków, składająca się z podopiecznych, neoszympanów i neodelfinów oraz ich opiekunów, ludzi.

Spis treści

[Spis treści 3](#)

[LISTA POSTACI. 6](#)

[CZEŚĆ PIERWSZA Pięć Galaktyk. 9](#)

[Harry. 10](#)

[Sara. 17](#)

[Gillian. 28](#)

[Harry. 35](#)

[Lark. 41](#)

[Dwer 47](#)

[Harry. 51](#)

[Sara. 59](#)

[Dziennik Alvina. 63](#)

[Lark. 69](#)

[Emerson. 73](#)

[Rety. 80](#)

[Lark. 87](#)

[CZEŚĆ DRUGA Kategorie życia. 92](#)

[Harry. 94](#)

[Dziennik Alvina. 108](#)

[Kaa. 113](#)

[Dziennik Alvina. 117](#)

[Lark. 121](#)

[Dziennik Alvina. 125](#)

[Gillian. 131](#)

[Tsh't 138](#)

[Lark. 145](#)

[Emerson. 149](#)

[Gillian. 159](#)

[Emerson. 163](#)

[Gillian. 170](#)

[Lark. 175](#)

[Ewasx. 184](#)

[Dziennik Alvina. 193](#)

[CZEŚĆ TRZECIA Wielki Selektor 202](#)

[Harry. 204](#)

[Sara. 219](#)

[Harry. 225](#)

[Dziennik Alvina. 234](#)

[Harry. 242](#)

[Ewasx. 255](#)

[Harry. 263](#)

[Część czwarta Kandydaci Do Transcendencji 272](#)

[Z dziennika Gillian Baskin. 273](#)

[Harry. 283](#)

[Sara. 291](#)

[Lark. 300](#)

[Dwer 306](#)

[Emerson. 311](#)

[Harry. 325](#)

[Kaa. 341](#)

[Z dziennika Gillian Baskin. 345](#)

[Lark. 350](#)

[Sara. 360](#)

[Dziennik Alvina. 366](#)

[Lark. 371](#)

[Harry. 374](#)

[Gillian. 387](#)

[Lark. 400](#)

[Emerson. 404](#)

[Gillian. 406](#)

[X.. 411](#)

[Część piąta Czas zmian. 416](#)

[Galaktyki 417](#)

[Przestrzeń E.. 419](#)

[Układ Sol 427](#)

[Hiperprzestrzeń. 431](#)

[Ziemia. 436](#)

[Jijo. 445](#)

[Dom.. 450](#)

[Przeznaczenie. 458](#)

[Posłowie. 463](#)

[Podziękowania. 466](#)

[Cywilizacja. 467](#)

[Słownik terminów i gatunków Lista rozumnych gatunków.. 472](#)

[Słownik terminów.. 474](#)